



artefakty
SHERI. S
TEPPER
TRAWA



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

O autorce

Sheri S. Tepper

TRAWA

Przełożył Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *Grass*

Copyright © 1989 by Sheri S. Tepper

Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Cryon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

ISBN 978-83-7480-576-6

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Głos się odzywa: „Wołaj!” –
I rzekłem: Co mam wołać? –
„Wszelkie ciało to jakby trawa...”.

Iz 40,6 (Biblia Tysiąclecia)

Trawa!

Miliony mil kwadratowych; nieogarnione, chłostane wiatrem trawiaste tsunami, tysiąc ukojonych słońcem trawiastych wysp, setka falujących oceanów, każda zmarszczka lśniaca szkarłatem bądź bursztynem, szmaragdem lub turkusem, wielobarwne jak tęcze, których kolorowe pasy i plamy drżą ponad preriami; trawy – niektóre wysokie, inne niskie, niektóre pierzaste, inne proste – które, rosnąc, tworzą własną geografię. Trawiaste wzgórza, gdzie masy potężnych ździebeł sterczą na wysokość dziesięciu roślących ludzi; trawiaste doliny, gdzie darń jest miękka jak mech, gdzie niewiasty składają głowy, myśląc o swoich ukochanych, gdzie mężowie kładą się i myślą o swoich kochankach; trawiaste gaje, gdzie starcy i staruszki przesiadują w ciszy wieczorami, marząc o tym, co kiedyś mogłoby się wydarzyć, a może się wydarzyło. Oczywiście tylko prości ludzie. Żaden arystokrata nie usiadłby na dzikiej trawie, żeby pomarzyć. Arystokraci mają od tego ogrody, jeśli w ogóle o czymś marzą.

Trawa. Rubinowe granie, krwiste pogórza, polany w kolorze wina. Szafirowe morza traw z ciemnymi trawiastymi wyspami, na których rosną olbrzymie pierzaste drzewa, również z trawy. Bezkresne łąki srebrnego siana, którymi potężni trawożercy wędrują po skosie jak kosiarki, pozostawiając po sobie rżysko, na którym ponownie wyrosną dzikie bezdroża falującego srebra.

Pomarańczowe pogórza płonące w blasku zachodzącego słońca. Morelowe pastwiska lśniące o świcie. Ziarniaki migoczące jak gwiazdy z cekinów. Okwiat jak delikatne koronki, które staruszki wyjmują z kufrów i pokazują swoim wnuczkom.

– Koronki, dawno temu wytwarzane przez zakonnice.

– Co to są zakonnice, babciu?

Tu i ówdzie, rozsiane po niekończących się wyżynach, stoją wioski, otoczone murami, które mają chronić przed trawą, z niewielkimi domami o grubych ścianach, mocnych drzwiach i solidnych okiennicach. Malutkie pola i sady są pełne pospolitych plonów oraz znajomych owoców, podczas gdy poza murami trawa unosi się jak ogromny ptak zajmujący całą planetę, gotowy do pokonania muru i pożarcia wszystkiego, każdego jabłka, każdej rzepy i każdej staruszki przy studni, razem z ich wnukami.

– To pasternak, dziecko. Z dawnych czasów.

– Kiedy były dawne czasy, babciu?

Tu i ówdzie, równie szeroko rozsiane jak wioski, wznoszą się posiadłości arystokratów: majątki bon Damfelsów, bon Maukerdenów oraz pozostałych, wysokie domy kryte strzechą, stojące w trawiastych ogrodach pośród trawiastych fontann i dziedzińców, otoczone wysokimi murami, w których zieją dziury bram przeznaczonych dla wyjeżdżających oraz powracających myśliwych. Tych, którym uda się powrócić.

Tu i ówdzie, węsząc pośród korzeni traw, nadbiegną ogary ze zmarszczonymi pyskami i dyndającymi uszami, powoli stawiając łapę za łapą w poszukiwaniu tego co nieuniknione, nocnej grozy, pożeracza młodych. A tuż za nimi, na wysokich wierzchowcach, nadciągną jeźdźcy w czerwonych płaszczach, pognają po trawie cisi jak cienie: nadzorca sfory ze swym rogiem, pomocnicy łowczego z batami, myśliwi, niektórzy w czerwonych, inni w czarnych płaszczach, z okrągłymi kapeluszami mocno wciśniętymi na głowy i wzrokiem skierowanym ku ogarom – dalej, dalej.

Dzisiaj pośród nich znajdzie się Diamante bon Damfels – młoda Dimity – z mocno zaciśniętymi powiekami, żeby nie widzieć gończych ogarów, z bladymi dłońmi kurczowo zaciśniętymi na wodzach, szyją kruchą jak

łodyga kwiatu, okrytą wysokim białym cylindrem myśliwskiego krawata, w czarnych butach wypolerowanych do połysku, dokładnie wyszczotkowanym czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu mocno zatkniętym na małej głowie; po raz pierwszy w życiu zapołuje z ogarami – dalej, dalej.

A gdzieś tam, u celu ich pogoni, być może wysoko na drzewie, gdyż na rozległych preriach tu i ówdzie rosną zagajniki, znajdzie się lis. Potężny i nieugięty. Lis, który wie, że się zbliżają.

Wśród bon Damfelsów powiadano, że za każdym razem, gdy ich posiadłość urządza Polowanie, można liczyć na idealną pogodę. Rodzina uznawała to za swoją zasługę, chociaż równie dobrze można to przypisać harmonogramowi Polowań, za którego sprawą bon Damfelsowie zawsze organizują łowy wczesną jesienią. O tej porze roku pogoda zazwyczaj bywa wyśmienita. Podobnie jak wczesną wiosną, gdy ponownie przychodzi kolej na bon Damfelsów.

Stavenger, Obermun bon Damfelsów, kiedyś został poinformowany przez dygnitarza z Semlinga – tego, który uważał się za eksperta w wielu nieistotnych kwestiach – że historycznie rzecz biorąc, Polowanie z ogarami to zimowy sport.

Odpowiedź Stavengera była typowa dla niego, jak również dla całej arystokracji Trawy.

– Tutaj, na Trawie – odparł – robimy to tak jak należy. Wiosną i jesienią.

Gość miał na tyle rozsądku, że powstrzymał się od dalszych komentarzy odnośnie do miejscowych zwyczajów dotyczących tej dyscypliny. Jednakże sporządził obszerne notatki i po powrocie na Semlinga napisał naukową monografię, w której porównał historyczne zasady uprawiania krwawych sportów z zasadami panującymi na Trawie. Z tuzina wydrukowanych egzemplarzy przetrwał tylko jeden, zagrzebany w archiwach Wydziału Antropologii Porównawczej na Uniwersytecie Semlińskim na Semlingu Prime.

To było dawno temu. Autor monografii obecnie już niemal zapomniał o tej sprawie, a Stavenger bon Damfels nigdy więcej nie wracał do niej myślą. Dla niego zachowania i słowa cudzoziemców były niezrozumiałe oraz godne pogardy, dlatego nikt nie powinien był wpuścić tego jegomościa na Polowanie. Taka była opinia bon Damfelsa.

Majątek bon Damfelsów nazywano Klive, ku czci jednego z ich szanowanych przodków po stronie matki. Wśród bon Damfelsów powiadano, że ogrody zostały uznane za jeden z siedemdziesięciu cudów wszechświata. Napisał tak Snipopean – wielki Snipopean – a jego książka znajdowała się w bibliotece posiadłości, rozległej i wysokiej sali, wypełnionej wonią skóry i papieru oraz środków chemicznych, których bibliotekarze używali, by zapobiegać rozpadowi się tomów. Nikt ze współczesnych bon Damfelsów nie czytał tej relacji ani nie byłby w stanie odnaleźć właściwej książki pośród takiej masy woluminów, przeważnie nieotwieranych od czasu dostarczenia. Po co mieliby czytać o trawiastych ogrodach Klive, skoro mieli je wokół siebie?

Właśnie w tej części trawiastych ogrodów, znanej jako pierwsza powierzchnia, zawsze urządzano Polowanie. Jako gospodarz, Stavenger bon Damfels pełnił rolę łowczego. Przed swoimi pierwszymi łowami w sezonie jesiennym – jak zawsze przed pierwszymi łowami, zarówno wiosną, jak i jesienią – wybrał trzech członków swojej wielkiej i rozgałęzionej rodziny, mianując ich nadzorcą sfory oraz pierwszym i drugim pomocnikiem łowczego. Nadzorcy powierzył róg bon Damfelsów, ozdobnie zakrzywiony i rzeźbiony instrument, który wydawał tylko stłumione, chociaż srebrzyste dźwięki. Pomocnikom wręczył bity – drobne, delikatne przedmioty, z którymi trzeba było się ostrożnie obchodzić, żeby ich nie połamać, zwykłe ozdoby, jak medale za odwagę, pozbawione praktycznego zastosowania. Nikt nie odważyłby się potraktować bitem ogara ani wierzchowca, podobnie jak nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby użyć rogu blisko ucha wierzchowca czy chociażby w zasięgu jego słuchu, nie licząc rytualnych wezwań oraz sygnału zakończenia Polowania. Nikt nie pytał, jak to robiono gdzie indziej, dawno temu, czy nawet ostatnio. Prawdę mówiąc, żaden z bonów

nie dbał o to, jakie zwyczaje panowały w innych miejscach. Uważali, że inne miejsca przestały istnieć, gdy opuścili je ich przodkowie.

Pierwszego dnia łowów Diamante bon Damfels, najmłodsza córka Stavengera, stanęła pośród tych, którzy gromadzili się na pierwszej powierzchni, szmerząc i przecierając zaspane oczy, jakby całą noc przeleżeli rozbudzeni, nasłuchując jakiegoś odgłosu, który się nie pojawił. Pośród nieruchomych sylwetek myśliwych przemykały służki z pobliskiej wioski, ubrane w długie białe dzwony spódnic, spod których nie widać było nóg, z włosami ukrytymi pod złożonymi fałdami jaskrawo wyszywanych stroików. Nosiły jasne tace zastawione kieliszkami nie większymi od naparstków.

Emeraude i Amethyste (przez rodzinę nazywane Emmy i Amy, a przez wszystkich innych „pannami bon Damfels”) wspólnymi siłami doprowadzały Dimity do perfekcji. Dziewczyna miała na sobie nieskazitelny myśliwski strój i bolała ją głowa od mocno ściągniętych włosów, które musiały się zmieścić pod okrągłą czarną czapeczką. Płaszcz starszych dziewcząt miały czerwone klapy, co świadczyło o tym, że brały udział w Polowaniach od tak dawna, że zostały ich pełnoprawnymi uczestniczkami. Kołnierz Dimity był czarny jak cienie kryjące się w jej oczach, cienie, które jej siostry doskonale widziały, ale świadomie ignorowały. Nie można sobie dogadzać. Nie można dopuszczać symulactwa ani tchórzostwa, zarówno u siebie, jak i u innych członków rodziny.

– Nie przejmuj się – rzekła przeciągle Emeraude, udzielając najlepszej rady, na jaką było ją stać. – Wkrótce zdobędziesz swoje myśliwskie barwy. Tylko pamiętaj, co powiedział łowczy. – Malutki mięsień w kąciku jej ust podskakiwał jak spętana żaba.

Cienie wykrzywiły się, gdy Dimity zadrzała, nie chcąc tego mówić, a zarazem nie mogąc się powstrzymać.

– Emmy, mamusia powiedziała, że nie muszę...

Amethyste się roześmiała – drobny niewesoły dreszcz, bezduszny niczym szkło.

– Oczywiście, że nie musisz, głuptasie. Nikt z nas nie musiał. Nawet Sylvan i Shevlok nie musieli.

Sylvan bon Damfels, słysząc swoje imię, obejrzał się na siostry, a jego twarz wyraźnie spochmurniała, gdy zobaczył Dimity ze starszymi dziewczętami. Przeprosił swoich towarzyszy, odwrócił się i pośpiesznie przeciął krąg bladoszarej darni, omijając kępę szkarłatnych i bursztynowych traw na środku.

– Co tutaj robisz? – spytał ostro, wbijając wzrok w dziewczynę.

– Łowczy powiedział mamusi...

– Nie jesteś gotowa. Ani trochę! – Tym razem odezwał się Sylvan, który zawsze mówił to, co myśli, nawet gdy nie podobało się to innym – niektórzy twierdzili, że właśnie dlatego to robił – zadowolony, że zwrócił na siebie uwagę, chociaż z pewnością by się tego wyparł. Dla Sylvana prawda była prawdą, a cała reszta stanowiła herezję, chociaż czasami po ludzku miewał trudności z oceną, co jest czym.

– Och, Sylvanie – odparła Amethyste, ładnie wydymając usta, które podobno były dojrzałe jak owoce. – Nie bądź taki surowy. Gdyby to od ciebie zależało, nikt oprócz ciebie nie wziąłby udziału w Polowaniu.

– Amy, gdyby to ode mnie zależało, ja także nie wziąłbym w nim udziału – warknął. – Co matka sobie myśli?

– Raczej tatuś – odpowiedziała Dimity. – Uznał, że byłoby miło, gdybym wkrótce zdobyła myśliwskie barwy. Amy i Emmy były młodsze, kiedy to zrobiły. – Zerknęła na Stavengera, który obserwował ją ponuro, stojąc pośród starszych myśliwych, smukły, kościsty i nieruchomy, z potężnym haczykowatym nosem wiszącym nad bezwargimi ustami.

Sylvan położył jej dłoń na ramieniu.

– Na niebiosa, Dim, dlaczego po prostu nie powiesz mu, że nie jesteś gotowa?

– Nie mogę tego zrobić, Syl. Tatuś spytał łowczego, a ten zapewnił go, że nigdy nie będę bardziej gotowa.

– Nie chodziło mu o...

– Wiem, o co mu chodziło, na niebiosa. Nie jestem głupia. Chciał powiedzieć, że nie jestem zbyt dobra i nigdy nie będę lepsza.

– Nie jesteś aż taka słaba – pocieszyła ją Emeraude. – Ja byłam dużo gorsza.

– Byłaś znacznie gorsza jako dziecko – zgodził się Sylvan. – Ale w wieku Dim radziłaś sobie dużo lepiej. Tak samo jak my wszyscy. Ale to nie znaczy, że Dim musi...

– Czy możecie wszyscy przestać mówić mi, że nie muszę tego robić?! – krzyknęła Dimity, a łzy spłynęły jej po policzkach. – Jedna połowa rodziny twierdzi, że nie muszę, a druga, że jestem gotowa.

Sylvan umilkł w połowie krzyku, znieruchomiał i nagle złagodniał. Kochał tą malutką. To on pierwszy nazwał ją Dimity, brał ją na ręce, gdy miała kolkę, nosił na rękach i głaskał, spacerując korytarzami Klive, trzynastoletni chłopak z troską tulący niemowlę. Teraz miał dwadzieścia osiem lat i równie mocno troszczył się o tę piętnastolatkę, w której wciąż widział dziecko.

– A czego ty chcesz? – spytał czule, dotykając jej wilgotnego czoła pod krawędzią czarnej czapki. Z mocno ściągniętymi włosami wyglądała jak mały wystraszony chłopiec. – Co chcesz zrobić, Dim?

– Jestem głodna, spragniona i zmęczona. Chcę wrócić do domu, zjeść śniadanie i przerobić swoją lekcję języka na ten tydzień – zaskłała przez zaciśnięte zęby. – Chcę iść na letni bal i flirtować z Jasonem bon Hauserem. Chcę wziąć gorącą kąpiel, a potem usiąść na dziedzińcu różanych traw i patrzeć na ptaki.

– W takim razie... – zaczął, ale jego słowa przerwał dźwięk rogu nadzorcy sfory dobiegający zza Bramy Sfory. Tu-ru, tu-ru, bardzo cicho, żeby powiadomić myśliwych, ale nie rozdrażnić ogarów. – Ogary – wyszeptał, odwracając się od Dimity. – Boże, Dim, za długo czekałaś.

Nagle umilkł i oddalił się od nich chwiejnym krokiem. Wszędzie wokół urywały się rozmowy i zapadała cisza. Twarze stawały się puste i pozbawione wyrazu. Oczy nieruchomiały. Dimity rozejrzała się po pozostałych uczestnikach, gotowych pognać za ogarami, i zadrżała. Niewidzące spojrzenie ojca przesunęło się po niej jak lodowaty wiatr. Nawet Emmy i Amy stały się nieobecne i nietykalne. Wydawało się, że tylko

Sylvan, który wpatrywał się w nią, stojąc pośród swoich towarzyszy, widzi ją i żałuje jej tak jak wielokrotnie w przeszłości.

Teraz jeźdźcy ustawili się na pierwszej powierzchni w subtelny porządku, doświadczeni po zachodniej, a młodzi po wschodniej stronie kręgu. Służki oddaliły się na dźwięk rogu, jak białe kwiaty niesione wiatrem po szarej trawie. Dimity została sama na wschodnim krańcu darni, skąd patrzyła na ścieżkę prowadzącą do miejsca, w którym przez mur posiadłości przebijała się potężna brama.

– Patrz na Bramę Sfory – zganiała się niepotrzebnie. – Patrz na Bramę Sfory.

Wszyscy obserwowali bramę, gdy ta powoli się otworzyła, wypuszczając kolejne pary ogarów ze zwisającymi uszami, językami kołyszącymi się pomiędzy zębami w kolorze kości słoniowej i prostymi ogonami. Zwierzęta ruszyły Drogą Ogarów, szeroką ścieżką porośniętą niską, wzorzystą aksamitną trawą. Ścieżka otaczała plac, a następnie biegła na zachód przez Bramę Myśliwską w przeciwnym murze, aż do ogrodów. Docierając do pierwszej powierzchni, każda para się rozdzielała i jeden z ogarów biegł w prawo, a drugi w lewo, okrążając myśliwych, patrząc na nich badawczo czerwonymi ślepiami jak rozpalone węgle, by po chwili ponownie połączyć się w pary przy Bramie Myśliwskiej.

Dimity poczuła żar ich oczu jak uderzenie. Spuściła wzrok na swoje kurczowo splecione dłonie o zbielełych knykciach, próbując o niczym nie myśleć.

Kiedy ostatnia para się połączyła, a myśliwi ruszyli w ślad za ogarami, Sylvan opuścił swoje miejsce, podbiegł do Dimity i wyszeptał jej do ucha:

– Możesz tutaj zostać, Dim. Nikt się nawet nie obejrzy. Na razie nikt się nie zorientuje. Po prostu tutaj zostań.

Dimity pokręciła głową. Miała bardzo bladą twarz, a oczy ogromne, ciemne i pełne lęku, do którego dopiero teraz się przed sobą przyznawała, ale nie miała zamiaru zostać. Kręcąc głową, Sylvan biegiem wrócił na swoje miejsce. Powoli, niechętnie, Dimity podążyła za nim, śladem myśliwych, których ogary poprowadziły przez Bramę Myśliwską. Zza muru dobiegł odgłos kopyt na darni. Wierzchowce czekały.

* * *

Z balkonu za oknem sypialni, Rowena, Obermum bon Damfelsów, niespokojnie spoglądała na tył głowy swojej najmłodszej córki. Ponad wysokim białym kręgiem jej myśliwskiego krawata sterczała chuda i bezbronna szyja. Dimity jest jak pączek kwiatu, pomyślała Rowena, przypominając sobie pochylające się kwiatki na ilustracjach w książeczkach z bajkami, które czytała w dzieciństwie.

– Przebiśniegi – wyrecytowała. – Tulipany. Hiacynty. Oraz peonie. – Kiedyś miała całą książkę o cudownych i straszliwych wrózkach, które mieszkają w kwiatach. Zastanawiała się, gdzie ta książka się podziała. Pewnie zaginęła. To był jeden z tych „zagranicznych” przedmiotów, na które stale pomstował Stavenger. Jakby kilka bajek mogło komuś zaszkodzić.

– Dimity sprawia wrażenie takiej drobniutkiej – rzekła służąca Salla. – Drobniutkiej i młodej. Ledwie nadaża za wszystkimi... – Salla opiekowała się wszystkimi dziećmi, gdy były jeszcze niemowlętami. Dimity, jako najmłodsza, pozostała niemowlęciem dłużej niż inni.

– Ma tyle samo lat co Amethyste, gdy wzięła udział w swoich pierwszych łowach. Jest starsza niż Emmy podczas pierwszego Polowania. – Chociaż się starała, Rowena nie potrafiła wyzbyć się usprawiedliwiającego tonu. – Nie jest aż taka młoda. Oczywiście ona to rozumie. – Rowena musiała to potwierdzić i w to uwierzyć. Właśnie po to było całe szkolenie, żeby upewnić się, że młodzi uczestnicy Polowania rozumieją. Nad wszystkim dało się zapanować, jeżeli tylko odbyło się odpowiedni trening. – Ona rozumie – uparcie powtarzała Rowena, sadowiąc się przed lustrem i poprawiając grube, ciemne włosy. Spoglądały na nią oskarżycielsko jej własne szare oczy, a usta zaciskały się w brzydką kreskę.

– Wcale nie – odparła Salla równie uparcie, szybko się odwracając, żeby uniknąć uderzenia dłonią w twarz, które w przeciwnym razie mogłoby jej grozić ze strony Roweny. – Ona jest taka jak pani. Nie jest do tego stworzona.

Rowena zmęczyła się patrzeniem na swoje odbicie i postanowiła zmienić taktykę.

– Jej ojciec twierdzi, że to konieczne!

Salla nie zaprzeczyła. Nie widziała w tym sensu.

– Nie jest do tego stworzona, podobnie jak pani. A przecież pani nie zmusza.

Ależ owszem, pomyślała Rowena, przypominając sobie ból. Zmuszał mnie wielokrotnie do tego, czego nie chciałam. Zgadza się, pozwolił mi zrezygnować z łowów, ale dopiero, kiedy nakłonił mnie, abym urodziła mu siódmką dzieci, chociaż pragnęłam tylko jednego albo dwojga. Kazał mi polować, dopóki się nie zestarzałam i moich oczu nie otoczyły zmarszczki. Zmuszał mnie do zabierania dzieci na łowy, chociaż nie miałam na to ochoty. Wszystkie upodobił do siebie – oprócz Sylvana. Niezależnie od tego, co zrobi Stavenger, Sylvan zawsze pozostaje sobą. Co prawda, Syl nie zdradza swoich prawdziwych myśli. Zawsze tylko wrzeszczy. Sprytny Syl ukrywa swoje przekonania pośród hałasu. A Dimity – biedna Dimity – oczywiście również pozostaje sobą, ponieważ nie potrafi niczego ukryć. Czy tego ranka zdoła zamaskować swoje uczucia?

Rowena wróciła na balkon i wyciągnęła szyję, spoglądając ponad szczytem muru. Widziała ruchy oczekujących wierzchowców, które zarzucały łbami i wymachiwały ogonami. Słyszała stuk kopyt i sapanie towarzyszące gwałtownemu wypuszczaniu powietrza. Było zbyt spokojnie. Zawsze tak się działo, gdy jeźdźcy dosiadali wierzchowców. Miała wrażenie, że ludzie powinni rozmawiać, nawoływać się nawzajem, witać. Coś powinno się dziać. Coś poza tą ciszą.

* * *

Za Bramą Myśliwską ogary czekały, niecierpliwie przestępując z łapy na łapę, chłuszcząc się ogonami, wyciągając szyje i drapiąc ziemię, a wszystko to w ciszy, jak we śnie, podczas którego obiekty się poruszają, ale nie wydają żadnych dźwięków. Wierzchowiec Stavengera ruszył jako pierwszy, zgodnie ze zwyczajem, a za nim podążyły kolejne, jeden po

drugim, zbliżając się do nadzorcy sfory i pomocników łowczego, a następnie do myśliwych, poczynając od najstarszych. Dimity stała za Emeraude i Amethyste; lekko zadrżała, gdy jej siostry wskoczyły na grzbiety czekających wierzchowców. Wkrótce tylko ona pozostała na ziemi. Kiedy już uznała, że nie przygotowano dla niej żadnego wierzchowca i będzie mogła prześlizgnąć się z powrotem przez bramę, zwierzę stanęło przed nią, w zasięgu jej dłoni.

Wbiło w nią wzrok, wyciągając przednią nogę i lekko przysiadając, dzięki czemu mogła postawić stopę na brązowej, cętkowanej nodze, chwycić wodze i jednym susem dźwignąć się do góry, co wielokrotnie ćwiczyła w symulatorze, z tą różnicą, że tym razem docierała do niej woń wierzchowca, a między nogami czuła ciężki oddech poruszający okazałymi zębami, które rozszerzały się bardziej niż do tego była zdolna maszyna. Palcami u nóg rozpaczliwie szukała zagłębień pomiędzy trzecim a czwartym zębem, aż w końcu je znalazła, znacznie bardziej z przodu niż się spodziewała. Wsunęła spiczaste czubki butów w otwory, zaczepiając się. Potem pozostało już tylko trzymać się wodzy, wbić ostrogi i zacisnąć nogi, podczas gdy potężna istota pod nią skręciła wysoko na tylnych nogach, żeby podążyć za poprzednimi wierzchowcami na zachód. Dimity spędziła wiele godzin na symulatorze ubrana w wyściełane bryczesy, były więc odpowiednio dopasowane. Niczego nie piła od poprzedniego wieczoru i niczego nie jadła od poprzedniego południa. Przez chwilę żałowała, że Sylvan nie jedzie obok niej, ale znajdował się daleko z przodu. Emeraude i Amethyste zgubiły się w tłumie. Widziała czerwony płaszcz Stavengera, który plecy miał wyprostowane jak łądyga trawy. Już nie było odwrotu. Niemal czuła ulgę, wiedząc, że nie może zrobić niczego innego, dopóki nie wrócą z Polowania. W końcu tętent kopyt wypełnił całą przestrzeń, jak rezonujący grzmot dobiegający spod ziemi.

* * *

Na balkonie ponad nimi Rowena również usłyszała ten dźwięk i zasłaniała uszy dłońmi, póki nie zapadła cisza. Stopniowo powróciły słabe odgłosy

owadów, ptaków i polnych rzekotek, uciszonych przez przybycie ogarów.

– Jest za młoda – rzekła ponuro Salla. – Och, pani.

Rowena nie uderzyła swojej słuźki, lecz odwróciła się w jej stronę ze łzami w oczach.

– Wiem – rzekła, po czym popatrzyła na rząd jeźdźców oddalających się zachodnim ogrodowym szlakiem.

Ruszają na łowy, powiedziała do siebie. Wyjeżdżają na łowy i powrócą.

Powrócą. Powtarzała to raz za razem jak litanie. Powrócą.

– Ona wróci – odezwała się Salla. – Wróci i będzie potrzebowała przyjemnej gorącej kąpieli. – Obie zapatrzyły się na zachód, nie dostrzegając tam niczego poza trawą.

* * *

Przy tym samym szerokim korytarzu, za apartamentami Roweny, w niemal nieużywanej bibliotece Klive, grupa niepolujących członków arystokracji zgromadziła się, żeby omówić kwestię, która nie przestawała ich irytować. Drugim przywódcą w Klive był młodszy brat Stavengera, Figor. Kilka lat wcześniej, po jednym z licznych wypadków podczas Polowania, jakie zdarzały się w każdym sezonie, Figor przestał brać udział w łowach. Dzięki temu miał czas wziąć na siebie liczne obowiązki w posiadłości, gdy Stavenger był zajęty. Tego dnia Figor spotkał się Erikiem bon Haunserem, Geroldem bon Laupmonem i Gustave'em bon Smaerlokiem. Gustave nosił tytuł Obermuna bon Smaerloków i wciąż stał na czele tego rodu, pomimo swojej niepełnosprawności, jednakże zarówno Erik bon Haunser, jak i Gerold bon Laupmon byli młodszymi braćmi przywódców rodów biorących udział w Polowaniu.

Cała czwórka zasiadła wokół dużego kwadratowego stołu w kącie słabo oświetlonego pomieszczenia i przekazywała sobie tekst stanowiący powód ich spotkania. Był to krótki dokument, na którego szczycie widniały zapisane ozdobną kursywą imiona i atrybuty Świętości, opatrzony pieczęciami oraz wstępami i podpisany przez samego Hierarchę. Ta sama grupa arystokratów odpowiadała na podobne dokumenty zarówno

w dalekiej, jak i niedalekiej przeszłości, a Gustave bon Smaerlok zdradzał wyraźne zniecierpliwienie faktem, że musi to robić ponownie.

– Ci ze Świątości stają się natrętni – zauważył Obermun z wózka, który zajmował od dwudziestu lat. – Tak twierdzi Dimoth bon Maukerden. Kiedy go o to zapytałem, wpadł we wściekłość. Podobnie jak Yalph bon Bindersen. Jego także pytałem. Jeszcze nie miałem okazji dostać się do posiadłości bon Tanligów, ale Dimoth, Yalph i ja zgadzamy się, że czegokolwiek chce Świątość, nie ma to nic wspólnego z nami i nie zamierzamy tutaj tolerować ich przeklętych fragierskich zwyczajów. Nasi ludzie przybyli na Trawę, żeby uciec od Świątości, więc niech teraz Świątość trzyma się od nas z daleka. Wystarczy, że pozwalamy im na dalsze rozkopywanie miasta Arbaiów, a Zieloni Bracia na północy stawiają babki z piasku. Niech inne miejsca pozostaną innymi miejscami, a Trawa pozostanie Trawą. Co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Oznajmijmy im to raz na zawsze. W końcu mamy sezon Polowań, na niebiosa. Nie mamy czasu na takie bzdury. – Chociaż Gustave już nie uczestniczył w łowach, bacznie je śledził z cichego balonu śmigłowego, gdy tylko pozwalała mu na to pogoda.

– Spokojnie, Gustave – szepnął Figor, palcami prawej dłoni masując lewe ramię w miejscu, w którym łączyło się z protezą. Czuł pod opuszkami pulsujący ból, stale mu towarzyszący, mimo upływu dwóch lat. Chociaż Figor czuł irytację, pilnował się, żeby tego nie okazywać, wiedział bowiem, że ból ma źródło w ciele, a nie umyśle. – Nie musimy tego zmieniać w otwarty bunt. Nie ma sensu rozdrażniać Świątości.

– Bunt! – ryknął starszy z mężczyzn. – A od kiedy ta fragierska Świątość rządzi na Trawie? – Chociaż słowo „fragierski” znaczyło po prostu „zagraniczny”, na Trawie zazwyczaj używano go jako największej zniewagi.

– Ciii. – Figor wziął poprawkę na stan Gustave’a. Gustave cierpiał i niewątpliwie stąd brała się jego irytacja. – Dobrze wiesz, że nie miałem na myśli takiego buntu. Chociaż nie obowiązuje nas religijna wierność Świątości, udzielamy jej nieszczerego poparcia z innych względów. Główną siedzibą Świątości jest Terra, którą uznajemy za centrum

kontaktów dyplomatycznych. Obrońcę naszego kulturowego dziedzictwa. Kolebkę ludzkości. Bla bla bla. – Westchnął, ponownie masując rękę. Gustave parsknął, ale nie przerywał. – Wielu poważnie traktuje naszą historię, Gustave. Nawet my całkowicie jej nie ignorujemy. Korzystamy z dawnej mowy podczas konferencji; uczymy nasze dzieci terrańskiego. Nie wszyscy używamy tego samego języka w naszych posiadłościach, ale uważamy, że, mówiąc między sobą po terrańsku, dajemy wyraz naszemu obyciu, czyż nie? Nadal obliczamy swój wiek w latach Świątości. Większość naszych jadalnych upraw to terrańskie rośliny z czasów naszych przodków. Po co mielibyśmy się poróżnić ze Świątością – i wszystkimi tymi, którzy mogą wściekle ruszyć jej z odsieczą – skoro nie jest nam to potrzebne?

– Chcesz, żeby kręcili się tutaj ich przekłęci jak-im-tam? Żeby ich paskudni badacze wszędzie wtykali nos i wszystko psuli?

Przez chwilę panowała cisza, gdy zgromadzeni rozmyślali o tym, co może zostać popsute. O tej porze roku popsuć da się tylko Polowanie, gdyż to jedyne ważne wydarzenie. Zimą oczywiście nikt nigdzie nie jeździ, a podczas letnich miesięcy jest tak gorąco, że można podróżować jedynie nocą, gdy organizuje się letnie bale. Jednak słowo „badania” brzmiało nieprzyjemnie. Ludzie zadający pytania. Ludzie domagający się odpowiedzi.

– Nie musimy pozwalać, żeby oni cokolwiek psuli – rzekł niepewnie Figor.

– Powiedzieli nam, po co chcą przybyć. Wybuchła jakaś zaraza i Świątosc otwiera swoje misje, szukając lekarstwa. – Ponownie pomasował się po rękę, krzywiąc usta.

– Ale dlaczego tutaj? – spytał Gerold bon Laupmon.

– A dlaczego nie? Świątosc wie niewiele albo nic o Trawie i chwyta się każdej możliwości.

Zastanowili się nad tym. To prawda, że Świątosc wiedziała niewiele albo nic o Trawie, nie licząc tego, czego mogła się dowiedzieć od Zielonych Braci. Zagraniczni przybysze pojawiali się w Mieście Ludu, gdzie mogli zostać tylko do czasu odlotu kolejnego statku. Nie wpuszczano ich do

trawiastej krainy. Semling usiłował założyć ambasadę na Trawie, ale bez powodzenia. Obecnie nie utrzymywano dyplomatycznych kontaktów z „innymi miejscami”. Choć tym mianem często określano Świątę lub Terę, używano go także w bardziej ogólnym znaczeniu. Trawa była Trawą; wszystko poza nią to inne miejsca.

Eric przerwał ciszę.

– Ostatnim razem Świątę twierdziła, że ktoś przybył tutaj z chorobą, a wyjechał zdrowy. – Wstał niezdarnie na sztucznych nogach, żałując, że sam nie może tak łatwo odzyskać sprawności.

– Głupota – warknął Gustave. – Nie potrafili nam powiedzieć, kto to był ani kiedy to się stało. Twierdzili, że chodziło o członka załogi jakiegoś statku. Nie wiedzieli jakiego. To były tylko plotki. Może ta zaraza wcale nie istnieje! – ryknął. – Może to wszystko wymówka, żeby zacząć nas nawracać, dźgać swoimi przebijakami i pobierać próbki tkanek do swoich przeklętych banków. – Choć bon Smaerlokowie przybyli na Trawę już dawno temu, w historii ich rodu nie brakowało relacji o religijnej tyranii, przed którą uciekli.

– Nie – odparł Figor. – Uważam, że zaraza istnieje. Słyszeliśmy o niej z innych źródeł. Są nią zaniepokojeni, co jest zrozumiałe. Na razie miotają się bez celu. Ale znajdą lekarstwo, jeśli będą mieli dość czasu. Jedno można im przyznać: Świątę w końcu znajduje odpowiedzi. No to może pozwólmy im poszukać odpowiedzi gdzie indziej, nie odmawiając i nie wywołując konfliktów? Powiemy Hierarsze, że nie lubimy, gdy się nas bada, bla bla bla, w końcu mamy prawo do kulturowej prywatności – będzie musiał to zaakceptować, gdyż jest to jedna z klauzul, na które Świątę przystała podczas rozproszenia, ale dodamy, że jesteśmy rozsądnymi ludźmi i możemy o tym porozmawiać, niech więc przyślą swojego ambasadora. – Figor wykonał obszerny gest. – Potem będziemy dyskutować przez kilka lat, aż cała kwestia stanie się nieaktualna.

– Aż wszyscy poumierają? – spytał Gerold bon Laupmon, mając na myśli, jak przypuszczał Figor, wszystkich o ludzkim pochodzeniu żyjących poza Trawą.

Gustave parsknął.

– Muszę to przyznać Świątoci, Geroldzie. Są sprytni. – Powiedział to tonem człowieka, który nie ma sprytu w dużym poważaniu.

Przez chwilę się zastanawiali, aż w końcu Eric bon Haunser zachęcił pozostałych:

– W ten sposób przynajmniej wyjdziemy na całkowicie rozsądnych.

Gustave ponownie parsknął.

– Przed kim? Kto nas ocenia? Kto ma takie prawo? – Uderzył w poręcz fotela, skrzywił się i poczerwieniał na twarzy. Od czasu wypadku, który przerwał jego myśliwską karierę, Gustave bywał drażliwy i trudny, a Figor starał się go uspokajać.

– Każdy może to robić, Gustave, niezależnie od tego, czy ma do tego prawo. Każdy może patrzeć. Każdy może mieć opinię, czy nam się to podoba, czy nie. A jeżeli kiedyś będziemy czegoś chcieli od Świątoci, po prostu poprosimy o odwzajemnienie przysługi.

Eric pokiwał głową, widząc, że Gustave zamierza się sprzeciwić.

– Może nigdy nie będziemy niczego od nich chcieli, Gustave. Prawdopodobnie nie. Ale jeśli przypadkiem tak się stanie, znajdziemy się w dobrej sytuacji. Czy to nie ty zawsze powtarzasz nam, żebyśmy w miarę możliwości nie rezygnowali z żadnych atutów?

Starszy z mężczyzn kipiał ze złości.

– Zatem będziemy musieli być grzeczni wobec każdego, kogo poślą – kłaniać się, szurać nogami, udawać, że jest nam równy, jakiś głupiec, jakiś przybysz spoza planety, jakiś cudzoziemiec.

– Owszem. Skoro ambasador będzie pochodził ze Świątoci, zapewne będzie to Terranin, Gustave. Z pewnością możemy przez jakiś czas go znieść. Jak już wspominałem, większość z nas zna się na dyplomacji.

– A ten fragier pewnie przywiezie żonę idiotkę oraz tuzin bachorów. Oprócz tego służących, sekretarzy i asystentów. Wszyscy będą mieli pytania.

– Umieścimy ich na odludziu, gdzie nie będą mieli komu ich zadawać. Na przykład w Opalowym Wzgórzu. – Eric z przyjemnością wymienił lokalizację byłej ambasady Semlinga, po czym powtórzył: – W Opalowym Wzgórzu.

– Opalowe Wzgórze, ha! Dalej już się nie da. Na północnym zachodzie, po drugiej stronie bagiennego lasu. Właśnie dlatego odlecieli ludzie z Semlinga. W Opalowym Wzgórzu bywa samotnie.

– Więc człowiek ze Świętości poczuje się samotny i także odleci. Ale to będzie jego wina, a nie nasza. Zgoda? Tak?

Najwyraźniej doszli do porozumienia. Figor chwilę odczekał, żeby się upewnić, czy nikt nie ma wątpliwości albo czy Gustave znów nie wybuchnie gniewem, a następnie zadzwonił po wino i sprowadził swoich gości do trawiastych ogrodów. Wczesną jesienią ogrody były w pełnej krasie, pierzaste kłosa poruszały się jak tancerze w rytm powiewów południowego wiatru. Nawet Gustave złagodniałby po godzinie spędzonej w takim miejscu. Prawdę mówiąc, w Opalowym Wzgórzu również były bardzo ładne ogrody, młode, ale dobrze zaprojektowane. Uświęceni grzesznicy, którzy pokutują za swoje winy na Trawie, wykopując ruiny i projektując ogrody – ci, którzy nazywają się Zielonymi Braćmi – z dużą troską zajęli się Opalowym Wzgórzem. Nic nie zakłócało spokoju tamtejszych ogrodów, odkąd wyprowadzili się przybysze z Semlinga. Może ten nowy ambasador zainteresuje się ogrodnictwem. Albo jego żona, jeśli jest żonaty. Albo tuzin bachorów.

* * *

Daleko od Klive, głęboko pośród traw, Dimity bon Damfels usiłowała wypędzić ból ze swoich nóg i pleców. Mimo wielu godzin spędzonych na symulatorze i towarzyszącego im bólu, teraz czuła się zupełnie inaczej. Ten ból był natarczywy, nienawistny, intymny.

„Kiedy będziesz miała wrażenie, że bólu nie da się znieść” – pouczał ją instruktor – „możesz w myślach prześledzić trasę Polowania. Odwróć swoją uwagę. Przede wszystkim nie myśl o samym bólu”.

Zatem odwracała swoją uwagę, przypominając sobie przebytą drogę. Przejechali wzdłuż Szlaku Zieleni i Błękitów, gdzie wzorzysta darń obok ścieżki przechodziła od indygo, przez wszystkie odcienie turkusy i szafiru, aż po ciemną leśną zieleń i jasny szmaragd, następnie w górę zbocza, gdzie

nieustannie falowały wysokie grzebienie wodnej trawy w kolorze akwamaryny. Dalej wodna trawa wypełniała płytki basen usiany wysepkami trawy piaskowej, co tworzyło tak cudownie realistyczny morski krajobraz, że miejsce to nazywano Ogrodem Oceanicznym. Dimity kiedyś widziała zdjęcie prawdziwego oceanu, gdy wybrała się z Roweną do Miasta Ludu, żeby kupić importowane tkaniny. Zdjęcie wisiało na ścianie w zakładzie kupca handlującego materiałami i przedstawiało morze na Świętości. Wtedy powiedziała, że morski przestwór kojarzy się jej z trawą. Ktoś roześmiał się z tych słów, twierdząc, że to trawa przypomina wodę. Skąd ktokolwiek miałby wiedzieć, które z nich wygląda jak drugie? Oba wyglądają podobnie i są podobne, z tą różnicą, że w wodzie można się utopić.

Rozmyślając o tym, Dimity z zaskoczeniem doszła do wniosku, że w trawie również niemal można utonąć. Można tego chcieć. Jej lewe kolano przeszywał ból. Cieniutkie szlaki ognia pełzły od kolana ku pachwinie. Skup uwagę na czymś innym, powtarzała w myślach. Rozprosz się.

Na końcu Szlaku Zieleni i Błękitów ogary bezszelestnie wbiegły do Lasu Trzydziestu Cieni. Olbrzymie czarne źdźbła, grube jak ciało Dimity, kołysane słabym wiatrem, zderzały się wysoko w górze przy wtórze głuchego cmokania. Aksamitną darń zasadzono w przypominających mech skupiskach wokół kopczyków kamiennej trawy. Ogary podjęły trop, wspinając się ku Rubinowemu Pogórzcu.

Na Pogórzcu dominowały barwy bursztynu i brzoskwini, moreli i róży, z żyłkami najgłębszej czerwieni, która przeplatała bledsze kolory, by następnie wybuchnąć pod niebo kępami krwistej trawy. Tutaj szlak odbijał od ogrodów i zagłębiał się w rosnące dziko trawy okolicznych wyżyn. Nie było na nich widać niczego poza wysokimi źdźbłami, przez które brnął jej wierzchowiec, nie rozlegały się żadne dźwięki poza szelestem pierzastych kłosów i nie trzeba było się skupiać na niczym poza obroną przed uderzeniami ździebeł. Dimity pochylała głowę, by ich ciosy spadały na jej wyścielaną czapkę, a nie na twarz.

Po pozycji słońca widziała, że jadą na północ, i na tym się koncentrowała. Siedem pozostałych posiadłości było od siebie oddalonych o przynajmniej godzinę lotu, ale zajmowały one tylko niewielką część powierzchni Trawy. Co Dimity wiedziała o terenach położonych na północ od domu bon Damfelsów? Nie było tam już żadnej posiadłości. Najbliżej znajdowała się rezydencja bon Laupmonów, położona daleko na południowym wschodzie. Dokładnie na wschód znajdowała się posiadłość bon Haunserów. Klasztor Zielonych Braci wznosił się na północy, ale nieco na wschód od posiadłości bon Damfelsów. Na północy nie było żadnych innych posiadłości ani wiosek, tylko preria oraz długa, wąska dolina z licznymi zagajnikami. W zagajnikach mieszkają lisy, przypomniała sobie Dimity. Niewątpliwie jechali w stronę tej doliny.

Ból nagle znów dał o sobie znać, przechodząc na drugą nogę. „Jeszcze lepiej niż odwrócenie uwagi” – uczył mistrz jeździecki – „sprawdza się wpadnięcie w rytm jazdy i niemyślenie o niczym”. Próbowwała nie walczyć z bólem, nie rozpraszać się, tylko trwać. „Przede wszystkim nie niepokój wierzchowca ani nie zwracaj na siebie uwagi ogarów”. Nie zamierzała zwracać ich uwagi. Chciała się rozluźnić i o niczym nie myśleć.

Podczas ćwiczeń na symulatorze nigdy jej się to nie udało, więc z zaskoczeniem odkryła, że znacznie łatwiej jej to przychodzi podczas łowów. Zupełnie jakby coś pracowało w jej umyśle i go czyściło. Jakaś gumka. Szur, szur, szur. Poirytowana, zaczęła potrząsać głową, niezadowolona z tego uczucia, w ostatniej chwili przypominając sobie, że w żadnym wypadku nie wolno jej się poruszać. To wtargnięcie do jej umysłu nie dawało jej spokoju. Postanowiła ponownie skupić się na czymś innym i przypomniała sobie swoją najnowszą balową suknię, w myślach przeglądając każdą falbanę oraz każdy haftowany liść i kwiat, a po jakimś czasie bolesne uczucie w jej głowie odeszło.

– Jedź – powiedziała cicho do siebie. – Jedź, jedź, jedź.

Powtarzane słowo zajęło miejsce pustki, wypychając suknię balową, a Dimity po prostu trzymała wodze i poruszała się razem z wierzchowcem. Niczego nie widziała spod zaciśniętych powiek. Kręgosłup stał się kolumną

cierpienia. Zaszło jej w gardle. Rozpaczliwie pragnęła krzyknąć, a powstrzymywanie krzyku pochłaniało wszystkie siły.

Nagle długi górski grzebień się skończył. Dziewczyna gwałtownie otworzyła oczy, niemal wbrew swojej woli, i popatrzyła w głąb rozciągającej się pod nią doliny. Ta przypominała Oceaniczny Ogród, tylko że tutaj na wietrze falowały wysokie trawy w bursztynowych i burych odcieniach, wyspami zaś były drzewa, całe zagajniki złożone z jedynych gatunków, jakie pojawiają się na Trawie. Drzewa bagienne, które rosną wszędzie tam, gdzie na powierzchnię wydostają się strumienie. Lisie drzewa, które zapewniają schronienie zębatym diabłom. Tam one mieszkają. Tam się kryją, kiedy akurat nie przemykają pośród traw, zabijając żrebaki.

„Nigdy nie mów o żrebackach, gdy wierzchowce cię słyszą” – napominał mistrz. – „To nasze słowo. Po prostu zakładamy, że są jakieś żrebaki, chociaż ich nigdy nie widzieliśmy, więc o nich nie wspominaj. Tak naprawdę nigdy nie mów niczego w zasięgu słuchu wierzchowców”.

Dlatego teraz milczała, tak jak wszyscy jeźdźcy, którzy zachowywali swoje spekulacje dla siebie. Dimity widziała ich twarze, blade od skupienia, i to nie na sobie. Nigdy by nie uwierzyła, że Emeraude może być tak cicha, gdyby nie zobaczyła tego na własne oczy. Mamusia pewnie także nie dałaby temu wiary. A Shevlok! Prawie zawsze widywała go z importowanym cygarem w ustach – Shevlok uznawał tylko najlepszy tytoń pochodzący ze Wstydu – albo w trakcie snucia jakiejś opowieści. Oczywiście, nie licząc chwil, gdy w pobliżu był ojciec. W obecności Stavengera Shevlok zazwyczaj przesiadywał w kącie i nie zwracał na siebie uwagi, chyba że zdolnością do dyskrecji.

Polowanie wyróżniało się ciszą. Było jak zamrożone latryny zimą, gdy nikt się w nich nie pojawiał. Dimity skupiała się na spokojnym oddychaniu. Ponownie miała wrażenie, że coś wymazuje zawartość jej głowy, i walczyła z tym uczuciem, rozmyślając, co zje na kolację po zakończeniu Polowania. Trawiastą kurę usmażoną na oleju i posypaną importowanymi przyprawami. Sałatkę owocową. Nie. Za wcześnie na świeże owoce. Ciasto z suszonymi owocami. A potem ruszyli w głąb doliny

ku jednemu z mrocznych zagajników, a Dimity przypomniała sobie słowa mistrza. „Drzewa są niezwykle. Trudno będzie się nie zachłysnąć albo nie krzyknąć. Oczywiście nie wolno ci tego zrobić. Będziesz miała zamknięte usta. Nie będziesz wyciągała szyi, rozglądała się ani zmieniała położenia ciała”. Poza tym przez tysiące godzin obserwowała je na ekranach symulatorów.

Dlatego miała zamknięte usta i nieruchome spojrzenie, gdy wjechała między górujące nad nią czarne wieże, których liściaste brzemie przesłaniało niebo. Świat nagle wypełniły odgłosy wody oraz poruszających się w niej kopyt, ślizgających się i chlupoczących, a do jej nozdrzy wdarła się woń bardzo różna od zapachu deszczu. To nie był zwykły smród wilgoci, ale odór czegoś rozmokłego, zatęchłego i żyznego. Dimity bardzo cicho otworzyła usta i zaczęła przez nie oddychać, przyzwyczajając się do zapachu, od którego miała ochotę kichać, kaszleć i gwałtownie wciągać powietrze. Poczowała sygnał dany ogarom, ale go nie zrozumiała, dopóki zwierzęta nie skoczyły naprzód, rozpraszając się na wszystkie strony z nosami przy ziemi. Odgłosy ich bezładnego szurania stopniowo ucichły. Towarzyszyły temu historyczne słowa, które przekazał jej mistrz. „Do zagajnika” – powtórzyła w myślach. – „Do zagajnika, pieski”. Jakby ktoś rzeczywiście odważył się zawołać „pieski” do ogarów!

Gdzieś, raz za razem, odzywał się przenikliwy głos polnej rzekotki, arytmiczne pulsowanie w głębi gaju, które powtarzało się, dopóki nie nabrało pozorów schematyczności, następnie ucichło, by powrócić, gdy Dimity już myślała, że umilkło na dobre. Dostrzegła rzekotkę kątem oka, białą i zwinną, wijącą się pośród korzeni trawy.

Kiedy rozległo się donośne i przeciągłe wycie ogara, serce jej zamarło. Po chwili dołączył drugi ogar, pół tonu wyżej, a ich wspólne wycie raniło jej uszy jak nóż. Potem odezwało się całe stado, a ich pojedyncze głosy zagubiły się pośród potężnej kakofonii – auu-auu – niemelodyjnej i dysonansowej. Wierzchowce odpowiedziały wrzaskiem i zanurzyły się głębiej w las. Znaleźli lisa, wypłoszyli go i podjęli pościg. Dimity zamknęła oczy i ponownie przytrzymała się wodzy, przygryzając język, przygryzając

policzki, byle tylko zachować świadomość i prostą postawę. Wtedy coś jej przyszło do głowy.

To Zagajnik Darenfeldów, odezwał się jej umysł. Kiedyś znajdował się w granicach posiadłości Darenfeldów. Polujesz w Zagajniku Darenfeldów, gdzie zginęła twoja przyjaciółka, Janetta bon Maukerden. Dimity otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, ale jej umysł ponownie nakazał zamknięcie się wargom. „Nie będziesz o tym wspominać” – pouczyła sama siebie. Nikt nie powiedział, że Janetta tutaj zginęła. Nikt tego nie powiedział. Słyszała tylko jej imię i wyszeptaną nazwę „Zagajnik Darenfeldów”. A gdy o to spytała, odpowiedzieli: „Cicho, cicho, nic nie mów, o nic nie pytaj”.

„Wiedzą więcej od ciebie” – uznała. – „Nie możesz im powiedzieć niczego, czego by już nie wiedzieli”.

Ogary wyły i biegły, a wierzchowiec, na którym siedziała, mknął ich śladem. Trzymała się na jego grzbiecie, znów zaciskając powieki. Nic więcej nie mogła zrobić. Tylko pozostać na miejscu. Nie spaść. Milczeć. Znosić ból. Trwać na Polowaniu.

Polowanie także trwa. Czas mija. Lis ucieka całymi godzinami. Myśliwi godzinami go ścigają. Dimity zapomina, kim jest i gdzie jest. Nie ma wczoraj ani jutro. Jest tylko niekończące się teraz, pełne tętentu kopyt na darni, szelestu traw, przez które się przebijają, wrzasku lisa przed nimi, wycia ogarów. Mijają godziny. Może dni. Być może jada od wielu dni. Dimity tego nie wie.

Nie ma jak śledzić upływu czasu. Pragnienie. Głód. Znużenie. Ból. Wszystkie one towarzyszą im już od wczesnego ranka: palące pragnienie, dojmujący głód, ból w kościach, tkwiący głęboko jak choroba. Usta nie mogą być bardziej suche, a żołądek bardziej pusty. Ból nie może się stać silniejszy. Dimity w końcu przestaje z nim walczyć. Będzie trwał wiecznie. Coś w jej głowie wymazuje wszelką troskę. Nic nie odmierza czasu. Nie ma żadnego wcześniej. Nie ma żadnego później. Tylko nicość. Aż w końcu wierzchowiec pod nią zwalnia i zatrzymuje się, a ona niechętnie wyrывa się z bolesnego otępienia i otwiera oczy.

Stoją na skraju kolejnego zagajnika i powoli zaczynają do niego wchodzić, w głąb gaju, w katedralny cień drzew. Wysoko nad nimi korony rozchylają się, wpuszczając długie świetliste włócznie, jakimi słońce przebija mrok. Jedna z nich oświetla Stavengera, który stoi na swoim wierzchowcu z harpunem w dłoniach, gotowy do rzutu. Spomiędzy gałęzi w górze dobiega wściekły wrzask, a potem ręka Stavengera gwałtownie się porusza i za harpunem rozciąga się linka, jak nić z najczystszego złota. Ponownie rozlega się straszliwy wrzask, tym razem wywołany cierpieniem.

Jeden z ogarów wysoko skacze i chwyta linkę zębami. Pozostałe idą w jego ślady. Złapały. Ściągają lisa z drzewa, a ten cały czas wyje i wrzeszczy, nawet na chwilę nie milknąc. Coś ogromnego i mrocznego o lśniących oczach i potężnych kłach spada pomiędzy ogary, a wtedy słyhać już tylko wrzask pomieszany z odgłosem kłapania zębów.

Dimity ponownie zamyka oczy, za późno, żeby przegapić fontanny ciemnej krwi pośród walczących zwierząt, i czuje... czuje przyływ rozkoszy tak niezwykle intymnej, że rumieni się i wstrzymuje oddech; jej nogi drżą, zaciskając się na bokach wierzchowca, a całym ciałem wstrząsa skurcz ekstazy.

Wszyscy wokół również drżą z zamkniętymi oczami. Oprócz Sylvana. On siedzi wyprostowany, wpatrzony w krwawy chaos, z zębami obnażonymi w milczącej wściekłości sprzeciwu i twarzą pozbawioną wyrazu. Ze swojego miejsca widzi, jak Dimity miota się z zamkniętymi oczami. Odwraca się, żeby na to nie patrzeć.

* * *

Dimity otworzyła oczy dopiero, gdy wrócili do Klive i wyjechali z Mrocznego Lasu na Szlak Zieleni i Błękitów. Tam ból stał się zbyt dotkliwy, żeby go znosić w milczeniu, i dziewczyna bezwiednie jęknęła. Jeden z ogarów obejrzał się na nią, olbrzym w fioletowe cętki, o ślepiach jak płomienie. Cały był pokryty krwią, własną albo lisa. Wtedy Dimity zdała

sobie sprawę, że te same ślepie zerkają na nią podczas Polowania, nawet wtedy, gdy lis spadł z drzewa w sam środek stada, a ona poczuła... to coś.

Spuściła wzrok na swoje dłonie kurczowo zaciśnięte na wodzach i już więcej nie podnosiła głowy.

Kiedy dotarli do Bramy Myśliwskiej, nie potrafiła sama zsiść z wierzchowca. Sylvan musiał jej pomóc. Znalazł się u jej boku tak szybko, że nikt nie zauważył jej słabości. Nikt poza ogarem o czerwonych ślepiach lśniących w zapadającym zmroku. Potem zwierzę odeszło, tak samo jak pozostałe ogary i wierzchowce, a nadzorca sfory cicho zadał w róg przy bramie i zawołał:

– Polowanie skończone. Wróciliśmy. Wpuście nas!

Ze swojego balkonu Rowena usłyszała przytłumiony zew rogu. Oznaczał, że zwierzęta odeszły, a zostali ludzie, którymi trzeba się zająć. Wychyliła się przez balustradę, zaciskając jedną dłoń na drugiej, z otwartymi ustami przyglądając się, jak służący otwiera od wewnątrz Bramę Sfory, a zmęczeni myśliwi z trudem przez nią przechodzą: Łowczy i uczestnicy Polowania ubrani w czerwone płaszcze, kobiety w czerni, podobne do żab w swoich szerokich wyściełanych bryczesach. Białe bryczesy były poplamione potem, a nieskazitelną czystość myśliwskich krawatów skalają pył oraz plewy wysokich traw. Służący czekali z pucharami z wodą oraz kawałkami smażonego mięsa na szpikulcach. Podgrzewane wanny z parującą wodą już od wielu godzin czekały na myśliwych, którzy rozeszli się do swoich komnat, niosąc mięso i napoje. Wstrzymując oddech, gotowa krzyczeć pod wpływem strachu, z którym walczyła podczas tego długiego dnia, Rowena wypatrywała pośród jeźdźców wątlej sylwetki Diamante. Gdy ją ujrzała, wspartą na ramieniu Sylvana, z jej oczu popłynęły łzy i z trudem odnalazła głos, który niemal straciła, przekonana, że Dimity nie wróci.

– Dimity. – Rowena wychyliła się za balustradę, nie chcąc, żeby usłyszał ją Stavenger lub któryś ze starych strażników-arystokratów. Kiedy dziewczyna podniosła wzrok, Rowena przywołała ją gestem, a Sylvan skinął głową w stronę bocznych drzwi. Kilka minut później Dimity

znalazła się w komnacie matki, a Salla powitała ją z okrzykiem obrzydzenia.

– Co za brud! Jesteś cała zapaskudzona, dziewczyno. Jak jakiś migerer. Od stóp do głów. Zdejmij płaszcz i krawat. Przyniosę ci szlafrok, a ty pozbądź się reszty tych brudnych ubrań.

– Jestem brudna, ale cała i zdrowa, Sallo – odrzekła dziewczyna, blada jak księżyc, słabo odpychając niestrudzone dłonie Salli.

– Dimity?

– Matko.

– Oddaj Salli swoje ubrania, kochanie. Pomogę ci zdjąć buty. – Przez chwilę stękały, zmagając się z wysokimi czarnymi butami. – Możesz się tutaj wykąpać i opowiedzieć mi o Polowaniu. – Przeszła przez luksusową sypialnię, przyzywając córkę i otwierając drzwi prowadzące do wanny wyłożonej mozaiką kafelków, gdzie już parowała woda podgrzewana nad paleniskami. – Możesz skorzystać z mojego olejku do kąpieli. Zawsze go lubiłaś, kiedy byłaś mała. Jesteś obolała?

Dimity próbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale jej się nie udało. Z trudem powstrzymała drżenie dłoni, zdejmując bieliznę i rzucając ją na podłogę łazienki. Dopiero kiedy zanurzyła się po szyję w parującej wodzie, Rowena ponownie ją zagadnęła.

– Opowiedz mi, jak było.

– Nie wiem – szepnęła dziewczyna. – Nic się nie wydarzyło. – Woda wypłukiwała ból. Dimity cierpiała przy każdym ruchu, ale w kojącym ciepłe wody ból kryjący się głęboko w kościach stawał się niemal rozkoszą. – Nic się nie wydarzyło.

Rowena bardzo cicho tupnęła, a w jej oczach zaśniły łzy.

– Bez trudu dosiadłaś wierzchowca?

– Raczej tak.

– Czy... czy już wcześniej go widziałaś?

Dimity otworzyła oczy, spoglądając na matkę w nagłym przypiływie świadomości.

– Wierzchowca? Wydaje mi się, że widziałam go, kiedy się paśł niedaleko pola niskiej trawy, gdzie kiedyś bawiliśmy się z Sylem.

Może to coś oznaczało. Przyglądała się pytająco twarzy matki, ale Rowena tylko pokiwała głową. Kiedy ona po raz pierwszy uczestniczyła w Polowaniu, również dosiadała wierzchowca, który obserwował ją, gdy była dzieckiem.

– Dokąd pojechaliście?

– Chyba do Zagajnika Darenfeldów... w dolinie.

Rowena ponownie przytaknęła, przypominając sobie górujące mroczne drzewa przesłaniające niebo, ziemię pokrytą drobnymi kępkami kwitnącego mchu, odgłos płynącej wody pod mchem i korzeniami. Przypomniała sobie przyjaciółkę Dimity, kochankę Shevloka, Janettę...

– Wypłoszyliście lisa?

– Tak. – Dimity zamknęła oczy, nie zamierzając mówić nic więcej. Nie miała ochoty o tym rozmawiać. Chciała zapomnieć. Następnym razem natychmiast podda się bólowi. Następnym razem nie będzie z nim walczyć. Przez przymknięte powieki widziała pytającą twarz Roweny, która wciąż czegoś się od niej domagała, czegoś pragnęła. Dimity westchnęła. – Ogary zagłębiły się w zagajniku. Wkrótce wszystkie zaczęły wyć, a my pomknęliśmy za nimi. Pamiętam, że kilka razy traciły trop, ale zawsze na nowo go podejmowały. Chociaż może tylko mi się wydawało. On uciekał bez końca. Aż w końcu ogary osaczyły go na drzewie gdzieś na północy.

– Zabiliście go?

– Stavenger to zrobił. Tatuś. To znaczy Łowczy. Wystarczył jeden rzut. Nie widziałam, gdzie trafił harpun, ale ściągnęli lisa z drzewa i ogary go dopadły. – Zaczerwieniła się mocno, gdy krew napłynęła jej do twarzy na wspomnienie tego, co wydarzyło się potem.

Rowena dostrzegła rumieniec, właściwie go zinterpretowała i odwróciła się, żeby nie musieć się mierzyć z tym, co oznaczał. Wstydem. Zażenowaniem. Paraliżującym skrępowaniem. Rowena zastanawiała się, co innego może powiedzieć. Jej również się to przytrafiało. Za każdym razem. Nikomu o tym nie wspominała. Do tej chwili nie wiedziała, czy to jej własny wstydlivy sekret, czy wspólna tajemnica.

– A więc nie widziałaś lisa?

– Tylko plamę na drzewie. Potem ślepią, zęby i zaraz wszystko się skończyło.

– Ach. – Rowena westchnęła, zalana łzami, śmiejąc się z siebie i swoich obaw, zażenowana wstydem Dimity, ale jednocześnie uspokojona.

– Matko! Nic mi nie jest. Wszystko dobrze.

Rowena pokiwała głową, ocierając oczy. Nie wydarzyła się żadna ze złych rzeczy, które groziły Dimity. Dziewczyna dosiadła wierzchowca, jechała na jego grzbiecie, nie spadła, nie zaatakował jej lis, nie zaniepokoiła ogarów.

– Matko – odezwała się cicho Dimity, poruszona łzami Roweny, chcąc jej coś przekazać.

– Tak, Dimity...

– Jeden z ogarów wciąż mnie obserwował, kiedy wracaliśmy. Taki fioletowy i cętkowany. Nie przestawał na mnie patrzeć. Widziałam go za każdym razem, kiedy opuszczałam wzrok.

– Chyba się mu nie przyglądałaś!

– Oczywiście, że nie. Wiem, że nie wolno tego robić. Nie zorientował się, że coś zauważyłam. Po prostu uznałam, że to dziwne.

Rowena biła się z myślami. Powiedzieć za mało? Powiedzieć za dużo? Niczego nie powiedzieć?

– Ogary już takie są. Czasami nas obserwują. Czasami na nas nie patrzą. Czasami zachowują się, jakbyśmy je bawili. No wiesz.

– Nie bardzo.

– One nas potrzebują, Dimity. Nie potrafią się wspinać, więc nie mogą zabić lisa, dopóki go nie ściągniemy.

– Potrzebują do tego tylko jednego człowieka, który jest na tyle silny, żeby rzucić harpunem.

– Myślę, że to nie wszystko. Najwyraźniej podoba im się Polowanie. Towarzyszący mu rytuał.

– Kiedy wracaliśmy, zastanawiałam się, jak się to wszystko zaczęło. Wiem, że urządzano polowania z ogarami na Terrze, jeszcze przed Świętością, zanim odlecieliśmy. Czytałam o tym w swojej książce do historii, widziałam ilustracje z końmi, psami i małym futerkowym

zwierzakiem, który w ogóle nie przypominał naszego lisa. Nie rozumiałam, po co w ogóle próbowali go zabić. Z naszymi lisami nie da się postąpić inaczej. Ale dlaczego robimy to właśnie w taki sposób?

– Jeden z pierwszych osadników zaprzyjaźnił się z młodym wierzchowcem i nauczył się go dosiadać, to wszystko – odpowiedziała Rowena. – Potem nauczył tego swoich przyjaciół, a młody wierzchowiec sprowadził więcej osobników swojego gatunku, aż w końcu znów mogliśmy urządzić Polowanie.

– A ogary?

– Nie wiem. Mój dziadek kiedyś mi powiedział, że pewnego dnia po prostu się pojawiły. Jakby wiedziały, że ich potrzebujemy, żeby zorganizować prawdziwe Polowanie. Zawsze zjawiają się właściwego dnia we właściwym miejscu, tak samo jak wierzchowce...

– Skoro nazywamy je ogarami, chociaż nimi nie są, to dlaczego wierzchowców nie nazywamy końmi? – spytała Dimity i położyła się w wannie, na wpół zanurzając głowę, zadowolona, że nie musi dużo mówić. Może potem matka umyje jej plecy.

Rowena wyglądała na zaskoczoną.

– Och, mam wrażenie, że Hippae nie byłyby tym zachwycone.

– Ale nie przeszkadza im, że nazywamy je wierzchowcami?

– Ależ moja droga, nigdy ich tak nie nazywamy, kiedy mogą nas usłyszeć. Przecież o tym wiesz. Nigdy nie używamy wobec nich żadnych nazw, jeśli są w zasięgu słuchu.

– Dzieje się coś dziwnego w głowie, prawda? – odezwała się Dimity.

– Słucham? – Rowena nagle wstała. – O czym ty mówisz?

– Podczas Polowania. Nie czujesz, że wtedy dzieje się coś dziwnego w głowie?

– Rzeczywiście, Polowanie potrafi zahipnotyzować – odparła Rowena, zamyślona. – W przeciwnym razie byłoby raczej nudne. – Położyła złożony ręcznik w zasięgu ręki córki, a następnie wyszła, zamykając za sobą drzwi, żeby ciepła para nie uciekała z pomieszczenia.

Jeden z ogarów obserwował Dimity? Przygryzła wargę, zmarszczyła czoło i nagle na jej twarzy zagościła udręka. Będzie musiała o tym

porozmawiać z Sylvanem. Teraz razem z Figorem jest zajęty problemami ze Świętością, ale może coś zauważył. Nikt poza nim na pewno nie mógł zwrócić na to uwagi. A może to wszystko tylko przywidziało się Dimity? Zmęczenie i wielogodzinny ból mogą mieć takie działanie.

Jednakże byłoby to dziwaczne złudzenie. Ogary zabiły ofiarę, powinny więc być w dobrym nastroju. Nie było żadnego powodu, dla którego któryś z nich miałby obserwować Dimity. Nawet nie było powodu, żeby dziewczyna miała sobie coś takiego wyobrazić. Z pewnością nikt nigdy nie mówił jej o Janetcie... o tej stronie medalu.

Porozmawia o tym z Sylvanem. Najszybciej jak się da. Kiedy tylko ustalą coś w sprawie tej idiotycznej naukowej misji i wszyscy będą mogli się skupić na czymś innym.

* * *

Trawa.

Miliony mil kwadratowych prerii, z wioskami i posiadłościami, z myśliwymi i ofiarami, gdzie wieje wiatr, a blask gwiazd oświetla łądygi oraz kłosa i gdzie oślizgłe rzekotki nawołują cały dzień i noc, poza chwilami, gdy coś odzywa się głęboko w rozgwieżdżonym mroku i wszędzie zapada oszałamiająca, niepokojąca cisza.

Na północy, niemal na skraju krainy porośniętej niską trawą, znajdują się ruiny miasta Arbaiów, podobnego do innych ich miast, które można znaleźć na zasiedlonych światach, z tą różnicą, że na Trawie jego mieszkańcy zostali zabici. Pośród ruin niestrudzenie pracują Zieloni Bracia, kopiąc rowy, spisując artefakty, kopiując tomy z biblioteki Arbaiów. Mówi się, że Bracia są pokutnikami, chociaż nikt na Trawie nie wie ani nie dba o to, za co pokutują.

Nieco na północ od wykopalisk, w rozległym, sklepionym klasztorze, inni Zieloni Bracia zajmują się swoimi ogrodami, świniami i kurami, podniebnymi wspinaczkami oraz wędrowaniem pośród traw, być może w celu nawracania Hippae albo lisów, kto wie? Oni także są pokutnikami, wyrzuconymi ze Świętości w to dalekie, samotne miejsce. Przebywali tutaj,

niechętnie, kiedy zjawili się arystokraci. Niektórzy z nich ubolewają, że nadal tutaj będą, równie niechętnie, gdy arystokraci odejdą.

Wreszcie mamy Miasto Ludu, wybudowane w jedynym miejscu na planecie, gdzie prawie nie ma trawy, na wysokim kamiennym zboczu otoczonym bagiennym lasem – długą, smukłą elipsę o obszarze mniej więcej stu mil, gdzie królują transport, magazyny i gospodarstwa hydroponiczne, kamieniołomy, łąki i kopalnie, a także inne źródła nieporządku i kakofonii związanych z życiem i działalnością ludzi. Miasto Ludu, do którego obcy mogą przybywać, nikogo nie niepokojąc, gdzie cudzoziemcy mogą się oddawać swoim niezrozumiałym zwyczajom oraz, jak mawiają bon Damfelsowie, godnym pogardy interesom.

Jest także port, gdzie pękate statki osiadają na ognistych ogonach, przybywając ze Wstydu i Semlinga, a także z planety, którą większość nazywa Świętością, dopóki sobie nie przypomni, że jej prawdziwa nazwa to Terra, pierwszy dom ludzi. Mężczyźni i kobiety na Trawie noszą wiele przebrań: włóczęgów, kupców, rzemieślników, członków załóg statków i kaznodziejów, którzy potrzebują hoteli, magazynów, sklepów, burdeli i kościołów. Są też malcy na placach zabaw i nauczyciele w szkołach. Od czasu do czasu niewielka grupa śmiałych dzieci lub znudzonych włóczęgów porzuca port albo miasto i schodzi kilka mil po długim zboczu do miejsca, w którym teren się spłaszcza, tworząc bagnistą łąkę. Tamtejszy mech jest sprężysty i uporczywie wilgotny, ale wkrótce, jeśli się nie zatrzymujemy, staje się rozmokły jak po kilkudniowym deszczu. Wędrowcy mogą przejść jeszcze kawałek po takim podłożu, czując, jak ich stopy zapadają się z chlupotem, ale większość się wycofuje, w obawie, że ziemia się rozstąpi, co rzeczywiście się dzieje już kawałek dalej, a uparci odkrywcy muszą przeskakiwać z kępy na kępę ponad płataniną strumyków lśniących w oleistym świetle. Na bagnach rosną olbrzymie drzewa o niebieskich liściach, kwitną kwiaty jak blade świece, latają ćmy o skrzydłach pokrytych pyłkiem, duże i barwne jak papugi, pachnące kadzidłem, a także mieszkają wielkie pospolite rzekotki, których przodkowie przybyli dawno temu razem z pierwszymi osadnikami.

Tyle można zobaczyć podczas spokojnego spaceru z Miasta Ludu – tyle, ale nie więcej, ponieważ tuż za drzewami bagno staje się głębsze, a kępki trawy zmieniają się w gęste wysepki rozdzielone krętymi ciemnymi rzekami pełnymi poskręcanych korzeni i istot, które wiją się i wpadają w szlam ze złowieszczym chlupotem. Tam drzewa mają bardziej niebieskie liście i stają się coraz wyższe, przesłaniając światło. Żeby dotrzeć dalej w głąb lasu, potrzebna byłaby łódź, płytki skif albo łódź płaskodenna z długą żerdzią do odpychania od mrocznych głębin bądź wiosłem, które można by cicho zanurzyć w gładkiej ciemnej wodzie, by poruszać się w tym labiryncie liściastych korytarzy.

Oczywiście już tego próbowano. Niektórzy śmiałkowie budowali lepsze bądź gorsze pływające jednostki, żeby kontynuować wędrówkę; lekkomyślni prostaczkowie, wśród których było także kilka dziewcząt, sporządzali łodzie, którymi mieli się prześlizgnąć między potężnymi wieżami pni oraz zwieszającymi się mackami pnączy i zanurzyć w połyskujące cienie bagiennego lasu. Nieliczni. Być może było ich więcej, ale spośród tych, którzy wyruszyli, duża część nie wróciła. Próbowali także dorośli ludzie spoza planety, mężczyźni i silni, ale ginęli tak samo jak dziewczęta i chłopcy.

A co z tymi, którzy wrócili? Cóż mogli powiedzieć, poza tym, że było tam mokro i ciemno, wszędzie coś się wiło, a im dalej wędrowali, tym więcej napotykali wilgoci, mroku i wijących się istot. Prawdę mówiąc, niewiele mówili. Zupełnie jakby nie pamiętali, co widzieli w mokrych otchłaniach bagiennego lasu. Jakby weszli i wyszli przez przypadek, śpiąc, niczego nie widząc ani nie słysząc.

Zresztą, kogo to obchodzi? Po co w ogóle się tam zapuszczać? Nic groźnego dla ludzi nie wylania się z grzęzawiska porośniętego drzewami i pnączami, jak również nie widziano tam niczego, co by się komukolwiek przydało. Z góry potężne drzewa wyglądają jak niespokojne grzywacze na szarozielonym szerokim morzu. Z daleka przypominają mur odgradzający Miasto Ludu, powstrzymujący erupcję niespożytej energii tamtejszych kupców i rzemieślników. Od wewnątrz stanowią ochronę przed nieustępliwą trawą. Północ, południe, wschód i zachód, wszystkie strony

miasta zamyka bagienny las. Nie prowadzi do niego ani z niego żadna droga, głębiny lasu, jego drzewa i wody, pozostają nieprzeniknione i niepoznane, chociaż są tak szerokie i złożone, że – mimo iż nikt nigdy nie widział niczego podobnego – każdy w Mieście Ludu wierzy, że pewnego dnia wyłoni się stamtąd coś, co ich wszystkich oszołomi.

Ulice Świętej Magdaleny jak zwykle pokrywało głębokie błoto. Marjorie Westriding Yrarier musiała zostawić ślizgacz przy bramie osady, obok tabliczki z wypisaną liczbą mieszkańców, i dalej ruszyć pieszo przez grzędawisko, w którym zapadała się niemal po kostki, obok kaplicy i garkuchni, do chałupy, którą przydzielono Bellalou Benice i jej dzieciom. Teraz już jednemu dziecku: Lily Anne. Dwoje legalnych dzieci wyrzekło się matki miesiąc temu, więc się stąd wyniosły. To określenie brzydko brzmiało i Marjorie się zaczerwieniła, zła na siebie za to, że gniewa się na dwójkę niemal dorosłych Benice'ów. „Wyniosły się” dobrze opisywało sytuację, a sama Bellalou zapewne zachęcała swoje potomstwo, żeby po osiągnięciu wymaganego wieku jak najszybciej dopełniło tej poniżającej ceremonii. Na Terrze zarówno rząd planetarny, jak i większość prowincjonalnych władz utożsamiały się z judeochrześcijańskim dziedzictwem, ale zasada „szanuj ojca swego i matkę swoją” nie miała żadnego znaczenia dla nielegalnych ani ich rodziców.

Po dotarciu do chatki Marjorie postawiła swój plecak na werandzie i oskrobała buty o krawędź stopnia, rzucając kleiste bryły w bagno. Nie było dla tego żadnego usprawiedliwienia. Mniej kosztowałoby wybrukowanie ulic niż rozkładanie tymczasowych chodników podczas cokuwartalnych wizytacji, ale Marjorie była głosem mniejszości w Radzie Zarządców, która nie pozwalała sobie na żadne dobroczynne ekstrawagancje. Większość członków rady podejmowała decyzje dotyczące Hodowli, nawet nie oglądając tego miejsca ani jego mieszkańców. Jednocześnie rozplywali się

nad Marjorie i trzęśli nad jej „oddaniem” oraz „odwagą”. Kiedyś sprawiało jej to satysfakcję. Dawno temu. Kiedy jeszcze nie wiedziała tego, co teraz.

Drzwi chatki się uchyliły, ukazując opuchniętą twarz Bellalou. Ktoś znów ją pobił. Nie jej domniemany mąż. Jego zastrzelono w zeszłym roku za nielegalną prokreację.

– To pani – odezwała się Bellalou.

– Dzień dobry. Bellalou. – Marjorie posłała jej powitalny uśmiech, ostrożny, nie protekcyjny. – Jak się czuje Lily?

– Dobrze – odpowiedziała kobieta. – Nic jej nie jest.

Lily Anne oczywiście nie czuła się dobrze. Kiedy Marjorie weszła do niechlujnego pokoju, nielegalna zwróciła ku niej ponurą twarz, równie posiniaczoną jak oblicze matki.

– Znowu mnie pani sprawdza.

– Chcę zadbać, żebyś dożyła odlotu statku, Lily.

– A może wolałabym umrzeć, nie przyszło to pani do głowy?

Marjorie roztropnie pokiwała głową. Owszem. Pomyślała o tym. Może Lily wolałaby umrzeć. Może większość nielegalnych wolałaby nie żyć niż dać się zabrać na Pokutę, gdzie dwie trzecie z nich i tak nie dożyje trzydziestki. Chociaż Marjorie podjęła tę pracę, kierując się religijnym przeświadczeniem, że warto żyć za wszelką cenę, było to zanim obejrzała niektóre filmy dokumentalne i przeczytała niektóre demaskujące materiały. Nawet ona już nie była pewna, że Pokuta jest lepsza od śmierci.

– Nie mówisz tego poważnie, Lily – zaoponowała.

– Jak cholera.

Marjorie zainterweniowała, próbując przekonać nie tylko dziewczynę, ale także siebie.

– Popatrz na to od tej strony, Lily. Na Pokucie możesz mieć tyle dzieci, ile zechcesz. – To przynajmniej była prawda. Na Pokucie potrzebowano wzrostu populacji, tak jak na Terrze starano się go powstrzymać. Dzieci urodzone na Pokucie stawały się obywatelami tej planety.

– Nie chcę mieć tam dzieci. Chcę dziecka, które pani zabrała.

To była najnowsza skarga Lily, od czasu aborcji, którą zorganizowała Marjorie, ryzykując wolność i narażając na szwank swoje małżeństwo. Ani

Rigo, ani miejscowe władze nie spojrzwałyby przychylnym okiem na ten akt miłosierdzia. Spowiednik Marjorie, ksiądz Sandoval, również nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział. Wykonała kolejny krok na drodze, z której kiedyś miała nadzieję zawrócić, i mu nie powiedziała.

– Pani Westriding nie zabrała twojego dziecka, Lily. Dobrze wiesz, że gdybyś się nie poddała aborcji, ludzie by cię zastrzelili, gdy tylko zobaczyliby, że jesteś w ciąży. – Bellalou błagalnie popatrzyła na córkę. – Nielegalnym tego nie wolno. – Tak naprawdę tylko trzecie i kolejne żywe dzieci były nielegalne. Chociaż sama Bellalou nie była nielegalna, jej status nie miał większego znaczenia. Jako rodzic takiej osoby została pozbawiona praw obywatelskich. Kontynuowała, jakby chciała zapewnić córce radosną przyszłość. – Na Pokucie będzie lepiej.

– Nie chcę Pokuty. Wolę, żeby mnie zastrzelili! – wykrzyknęła dziewczyna.

Ani Marjorie, ani Bellalou nie zaprzeczyły. Marjorie zastanawiała się, dlaczego po prostu na to nie pozwoliła. Biedne zwierzątko. Nieświadome jak kurczę. Straciła już połowę zębów, a nawet nie potrafiła czytać ani pisać. Nikomu nie wolno było uczyć nielegalnych ani zapewniać im opieki medycznej. W dniu szesnastych urodzin Lily zostanie zabrana do portu, gdzie dołączy do tłumu innych młodych nielegalnych skazanych na życie i śmierć w planetarnej kolonii, a gdyby nie niedawna aborcja oraz wszczęcie wyjątkowo nielegalnego pięcioletniego implantu antykoncepcyjnego, to biedne cielątko nie dotrwałoby do deportacji. Zgodnie z planetarnym prawem, każdą ciężarną nielegalną czekało rozstrzelanie, razem z nielegalnym albo pozbawionym praw mężczyzną, którego wskazała jako współodpowiedzialnego – jeśli w ogóle to robiła, co zdarzało się zaskakująco często. Jednakże takie oskarżenia wysuwane wobec szanowanych osób doprowadziły do zmian w prawie. Obecnie tylko kobiety były strażniczkami w Hodowli. Tylko kobiety wchodziły w skład komisji wizytacyjnej.

– Wam wolno mieć dzieci! – zawodziła Lily. – Wam, bogaczom!

– Dwoje dzieci – odparła Marjorie. – Tylko dwoje. Gdybym urodziła trzecie, byłoby nielegalne, tak jak ty. Odebrano by mi prawa, tak samo jak

twojej matce. Zmuszono by moje starsze dzieci, by się mnie wyparły, tak jak twój brat i siostra postąpili wobec Bellalou. – Powtarzała to wszystko znużonym tonem, nie wierząc w to, co mówi. Bogacze nie wpadali w takie tarapaty. Nigdy. Tylko biedota łapała się w sidła ignorancji, religii, świętoszkowatych praw ustanawianych przez ludzi, którzy bezkarnie je łamali. Marjorie również miała implant, importowany z Enklawy Humanistycznej na wybrzeżu. O tym również nie wspomniała księdzu Sandovalowi. Nie powiedziała także Rigowi, ale z pewnością podejrzewał. Zapewne jego kochanka też taki miała.

Wstała, wygładzając fałdy na spodniach.

– Przyniosłam ci trochę ubrań, które będziesz mogła nosić na statku – powiedziała dziewczynie. – A także kilka przedmiotów, które przydadzą ci się na Pokucie. – Wręczyła paczkę Bellalou. – Lily będzie ich potrzebowała, Bellalou. Proszę, nie pozwól, żeby je wymieniła na eufy. – Pomimo wielu prób ich wyplenienia, sprzedawcy euforiaków wciąż świetnie prosperowali w Świętej Magdalenie.

– Daj – zajęczała Lily, wyciągając ręce po paczkę.

– Później – odpowiedziała matka. – Później, kochanie. Dam ci ją później.

Skończywszy z Bellalou, Marjorie wyszła na lepkie powietrze i błoto, zadowolona, że wizyta dobiegła kresu, ale niezbyt chętna do zaplanowanych odwiedzin w kolejnym półtuzinie chatek. Tak niewiele mogła zrobić. Jedzenie dla głodnych dzieci. Trochę środków odkażających i przeciwbólowych, które nie były uznawane za prawdziwe lekarstwa. W tej prowincji mieszkali głównie Uświęceni, co oznaczało prawny zakaz antykoncepcji i aborcji. A jeśli połączy się to z planetarnym prawem zezwalającym na posiadanie zaledwie dwójki dzieci, to co się otrzyma? Świętą Magdalenę. Hodowlę. Charytatywną fundację założoną przez bogatych starokatolików, żeby chronić pechowych i nieroztropnych, którzy postanowili podążać za swoimi pragnieniami lub religią. Jako przewodnicząca Komisji Wizytacyjnej Marjorie знаła to miejsce lepiej niż większość ludzi. Wygładzając dłońmi potargane włosy, poprawiła się w myślach: znała je lepiej niż ktokolwiek. Chętnie podziwiali jej oddanie, ale nie palili się, żeby ją naśladować.

To wszystko tylko zwiększało jej wątpliwości. Poprzednie przewodniczące były nimi tylko z nazwy albo wynajmowały ludzi, którzy zastępowali je podczas wizytacji, chociaż były równie mało majątne jak Marjorie. Dlaczego ona koniecznie chciała to robić sama?

„Postrzegasz siebie jako świętą” – kpił Rigo. – „Nie wystarczy ci, że zdobyłaś złoty medal na igrzyskach olimpijskich? Nie wystarczy ci, że jesteś moją żoną? Musisz być także świętą Marjorie, która poświęca się dla ubogich?”.

To ją zabolalo, chociaż nie było prawdą. Złoty medal zdobyła dawno temu, zanim się pobrali. Owszem, młoda Marjorie Westriding była medalistką, ale o przyznaniu medali w dużej mierze decydowała subiektywna opinia sędziów i działaczy: można odczuwać dumę, nawet nie będąc pewnym swoich zasług, a przynajmniej tak Marjorie tłumaczyła nieprzychylnemu Rigo, który zanosił się śmiechem i udawał, że jej nie wierzy, nawet gdy namiętnie ją obejmował. Szczera odpowiedź na jego pytanie brzmiała: nie, złoty medal nie wystarczy. Poza tym to było dawno temu. Chciała dorównać tamtemu sukcesowi, osiągnąć coś wyłącznie swojego, coś idealnego. Kiedyś myślała, że tę funkcję spełnią rodzina i dzieci, ale najwyraźniej tak się nie stało.

Dlatego spróbowała swojej obecnej roli, ale również bezskutecznie. Zaciskając zęby, zeszła w błoto i ruszyła w stronę następnej chatki. Kiedy po kilku godzinach wróciła do ślizgacza, była zmęczona, brudna i bardzo przygnębiona. Jedna z „jej” dziewcząt w tym tygodniu została stracona przez patrol populacyjny. Dwójka dzieci w jednej z rodzin umierała, najwyraźniej na jakąś zakaźną chorobę, której można było uniknąć, gdyby zezwolono na szczepienia nielegalnych. Tysiąc lat temu mieszkańców Hodowli można by było wywieźć do Australii. Sto lat temu można byłoby im pozwolić wyemigrować do kolonii na dzikich planetach. Jednakże odkąd wmieszała się Świętość, która stanowczo sprzeciwiała się migracjom, kolonizacja ustała, więc nie było dokąd odsyłać nadplanowych ludzi. Pozostała tylko Pokuta, lecz nie każdy dożywał podróży.

Pokuta jednak naprawdę mogła być gorsza od śmierci. Kiedy Marjorie doszła do tego wniosku, ta praca wydała jej się bezcelowa. Dopóki rządziła

Świętość, nie było możliwości zrobienia niczego znaczącego. Każdego tygodnia kolejna dziewczyna będzie zachodziła w ciążę. Nawet jeśli Marjorie poświęci wszystkie swoje pieniądze i siły, niczego trwale nie zmieni. Jakie ma znaczenie to, czy któraś z nich ucieknie z Terry? Lily? Bets w zeszłym miesiącu? Dephine miesiąc wcześniej? Jeżeli jedna nie dotrze do celu, inna zajmie jej miejsce. Jakie życie czeka te, które tam się znajdują? Ignorancja i żal, zapewne wczesna śmierć...

Marjorie zacisnęła zęby, powstrzymując się przed płaczem. Oczywiście mogła zrezygnować. Mogła przedstawić radzie tuzin przekonujących wymówek. Ale podjęła się tego zadania i wycofanie się z pewnością byłoby grzechem...

Gwałtownie pokręciła głową, aż ślizgacz nieprzyjemnie się zakołysał. Ostrzegawczy wrzask syreny z tablicy rozdzielczej przywrócił ją do rzeczywistości. Lepiej pomyśleć o czymś innym. O dzieciach: aspiracjach Tony'ego i napadach złości Stelli. Woląла myśleć o czymkolwiek innym, nawet o Rigo i jego kochance. Kochankach. Licznych. Kolejnych.

Pojazd prześlizgnął się nad granicą dzielącą posiadłość od drogi, a Marjorie uniesieniem dłoni przywitała się ze stajennym, w duchu licząc na to, że Riga nie ma w domu, gdyż nie miała ochoty kłócić się o to, gdzie była i co robiła. Była zbyt zmęczona i przygnębiona. Pragnęła dokonać czegoś istotnego, wykonać jakiś szlachetny gest, ale po prostu zawiodła. To nie było niegodne pragnienie, więc Rigo nie powinien go kwestionować, stale pytając: po co, po co, po co. Zwłaszcza teraz, gdy sama nie była pewna.

Być może od początku miał rację. Może rzeczywiście chciała zostać świętą. A jeżeli to prawda?

Ogarnął ją gorzki śmiech; łzy popłynęły z oczu, gdy zaparkowała ślizgacz i opadła na siedzenie, zastanawiając się, jak obecnie można zostać świętym. Zaczęła ocierać twarz i spróbowała się uspokoić, ale natychmiast sobie przypomniała, że nie musi udawać spokoju, nie musi udawać pewności, niczego nie musi udawać. Przynajmniej tym razem nie będzie zmuszona tłumaczyć się przed Rigiem, gdyż ten wróci do domu dopiero wieczorem. Tego dnia Roderigo Yrarier, wierny starokatolik i oddany syn

Kościola, zrobił coś niewyobrażalnego. Odpowiedział na wezwanie ze Świątości.

* * *

Setka złotych aniołów stoi na iglicach wież Świątości z szeroko rozpostartymi skrzydłami i uniesionymi trąbami, rozświetlona przez wewnętrzne płomienie, od których lśnią jak stulecie słońc. Masywne kryształowe wieże Świątości wspierają się o siebie nawzajem jak wzniosłe, zapierające dech w piersi ognisko połyskujących powierzchni na tle mrocznego pustego nieba. Zarówno w dzień, jak i w nocy stanowią latarnię morską, drogowskaz – jak twierdzi Świątosc – dla wielkiej ludzkiej diaspory ścieśnionej na najbliższych możliwych światach w ciemnych oceanach kosmosu.

Są także znakiem nawigacyjnym dla rojów wycieczkowych statków, które wiszą w wymaganej odległości pięćdziesięciu kilometrów z tłumami gapiów w punktach obserwacyjnych. Statkom nie wolno bardziej się zbliżać z obawy przed jakąś niesprecyzowaną katastrofą.

Mogą zbliżyć się jedynie na tyle, by turyści dostrzegli olbrzymie anioły na szczytach wież i odczytali połączone słowa wypisane za pomocą luster i świateł na najwyższych murach.

Świątosc. Jedność. Nieśmiertelność.

Chociaż z tej odległości nie da się zobaczyć gołym okiem żadnych szczegółów, Świątosc nigdy nie ogląda się z bliska. Dla wszystkich światów Świątosc na zawsze pozostaje na horyzoncie Terry, dostrzegalna, ale daleka, święta i nieosiągalna, w pełni dostępna tylko dla swoich wybrańców: Hierofantów, sług, akolitów. Jeżeli jakiś mężczyzna z zewnątrz musi się dostać do środka (kobiet w ogóle się nie wpuszcza), najpierw powinien zdobyć właściwe dokumenty. Następnie musi ich użyć, po udowodnieniu, że rzeczywiście jest mężczyzną, żeby uzyskać dostęp do pilnie strzeżonej stacji daleko na wsi, gdzie strażnicy – jeśli uznają, że spełnia wymogi – pozwolą mu wsiąść do pojazdu, który zawiezie go

cichymi tunelami do recepcji, odpowiednio oddalonej od strzeżonego serca Świątości.

Tym sercem są podziemne kwatery samego Hierarchy, położone nisko pod aniołami na wieżach, chronione przez pół mili ziemi i kamienia. Wysocy rangą Hierofanci zajmują okoliczne mieszkania. Powyżej znajdują się maszyny, dalej kaplice, a dopiero potem stacja i recepcja. W najniższych komnatach wież mieszczą się apartamenty sług i kleru średniego stopnia. Im wyżej ktoś mieszka, tym niżej się znajduje w hierarchii instytucji, a przynajmniej tak wszyscy uważają. Im wyżej, tym dłużej trzeba schodzić do kaplic i tuneli, w których Świątosc odprawia rytuały. Im wyżej ktoś mieszka, tym mniejszą ma wartość. Na samym szczycie, w towarzystwie chmur, rozlokowani są pełni zapału nawróceni, którym brak rozumu nie pozwala na pełnienie innych ról, starcy, których imiona odchodzą w niepamięć, a także zaprzysiężeni akolici, którzy odbywają niedobrowolną służbę.

Właśnie tutaj, na najwyższym piętrze najwyższej wieży, Rillibee Chimes trawi kolejne godziny, siedząc pogrążony w rzekomej medytacji, w ciszy otoczonej obłokami, przeglądając dokumenty, spędzając bezżenne noce na swoim wąskim łóżku, nieskalany szczęśliwymi snami. To tutaj rankiem wstaje i się myje, tutaj wdziewa miękkie kapcie oraz czystą bezbarwną szatę z ciasnym, anonimowym kapturem i nakłada puder na twarz, żeby usunąć niewłaściwy kolor. Kiedy to robi, obserwuje ptaki, które przelatują w długich kluczach w kształcie litery V, kierując się na południe ku ciepłym krainom, ku domowi Rillibee'ego. Świątosc znajduje się na skraju pustkowia, zarówno po to, żeby oddzielić się od monotonii codziennych spraw świata, jak również, by nie zajmować przestrzeni, której natura potrzebuje do innych celów. Za lśniącymi wieżami rozciągają się arktyczna tundra, lód i zimno, którego nikt nie zakłócał od wielu wieków.

Jednakże zimno nie ma żadnego znaczenia w Świątosci. Wewnątrz wież temperatura nigdy się nie zmienia. Nie pada deszcz, a śnieg nie zakłóca spokoju w cichych korytarzach. Nic nie rośnie. Według doniesień, nic nie umiera. Gdyby Rillibee poważnie zachorował, zostałby zabrany, a inny akolita zająłby jego pokój, wykonywałby jego pracę i uczestniczył

w jego nabożeństwach. Nikogo by nie obchodziło, że jeden uczeń zastąpił drugiego. Być może powiadomiono by jego rodziców lub opiekunów, jeśli takich miał, ale to wszystko. Chociaż, zgodnie z doktryną, nieśmiertelność osoby jest jedynym powodem istnienia Świątości, podczas służby nie dopuszcza się indywidualności – przynajmniej nie na poziomie Rillibee’ego. W Świątości są znane zaledwie nieliczne nazwiska: Hierarcha, Carlos Yrarier; szef wydziału misyjnego, Sender O’Neil; Hierarcha Elekt. Nazwisko Rillibee’ego nigdy do nich nie dołączy.

Czasami raz za razem cicho powtarza swoje imię, przypominając sobie, kim jest, kurczowo trzymając się samego siebie, osobowości, którą znał, wspomnień, przeszłości i ludzi, których kiedyś kochał. Czasami wpatruje się w sąsiednią wieżę, próbując dostrzec kogoś pod połyskującą powierzchnią, kogoś, kto też nosi imię, tłumiąc krzyki wzbierające w jego zeszywniałej krtani.

– Jestem Rillibee Chime – szepcze do siebie. – Urodzony pośród kaktusów pustyni. Towarzysz ptaków i jaszczurek. – Przywołuje wspomnienie ptaków, jaszczurek, sznurów kaczek na niebie, płaskich kukurydzianych placków smażonych na gorącej blasze, smaku pikantnej fasoli, Miriam, Joshuy, Songbird, takich, jakimi byli dawno temu. – Jeszcze dwa lata – szepcze do siebie. – Jeszcze dwa lata.

Jeszcze dwa lata jego służby. Co prawda, nie został zaprzysiężony przez swoich rodziców tak jak synowie Uświęconych. Nie został przyobiecany po to, by jego matka mogła urodzić syna. Tylko wśród Uświęconych kobiety muszą oddawać swoich synów na kilkuletnią służbę w Świątości, a rodzina Rillibee’ego nie została Uświęcona. Nie, Rillibee został zabrany, przyjęty, adoptowany, przydzielony do służby, ponieważ nie było nikogo innego, kto mógłby kontrolować pazernych sługusów Świątości.

Jeszcze dwa lata, powtarzał Rillibee, jeśli uda mu się tak długo wytrzymać. A jeżeli nie? Czasami zadaje sobie to pytanie, bojąc się odpowiedzi. Co się dzieje z tymi, którzy nie są w stanie odbyć całej służby? Co z tymi, którzy nie potrafią stłumić wrzasków, bełkoczą, krzyczą albo bluźnią, tak jak on ma ochotę bluźnić...?

„Psiakrew” – powiedziała papuga dawno temu, rozbawiając Miriam. – „Psiakrew. Cholera”.

– Psiakrew – szepcze Rillibee.

„Pozwólcie mi umrzeć” – powiedziała papuga. Nikt się wtedy nie roześmiał.

– Pozwólcie mi umrzeć – zgadza się Rillibee, wyciągając dłonie w stronę lśniących sześćskrzydłych serafinów na wieżach.

Nic się nie dzieje. Anioły, chociaż bezustannie nagabywane, nie zabijają go.

Każdego dnia idzie ze swojego boksu do zsuwni i przez chwilę na nią patrzy, zastanawiając się, czy wystarczy mu odwagi, żeby wskoczyć. Kiedy przybył do Świątości, był tam wpychany, raz za razem, czując, że spada bez końca. Ciarki przechodziły mu po plecach, a żołądek próbował wydostać się przez nos. Minęło dziesięć lat, a on wciąż krzyczy w myślach za każdym razem, gdy myśli o wpadnięciu do zsuwni. Znalazł inne wyjście, które jest w stanie zaakceptować. W bezdennej studni znajdują się grube metalowe szczeble w kształcie klamer, przeznaczone dla ludzi, którzy muszą czyścić lub naprawiać zsuwnie. Tysiąc stóp w dół. Tysiąc stóp do góry. Rillibee wspina się po nich dwa razy dziennie, wstając na tyle wcześnie, żeby na pewno zdążyć.

Po chwili wspinaczki dociera do kantyny. Pojawia się tutaj od dekady, odkąd skończył dwanaście lat, ale wciąż powstrzymuje kaszel, gdy czuje woń śniadania. Kantyna. Pełna wiecznego smrodu paskudnych potraw.

Nie zostaje na posiłek. Ponownie schodzi do sali służbowej i wyszukuje swój numer pośród tysiąca innych na podświetlonej tablicy. RC-15-18809. Praca urzędowa dla Hierarchy. Wymagany urzędopis. Oprowadzanie. Poziom minus trzy, pokój 409, godzina 10.00.

Hierarcha. Dziwne, że do jego obsługi wyznaczyli kogoś tak młodego i niezdecydowanego jak Rillibee. A może wcale nie dziwne. W Świątości jest tylko drobną częścią, którą można łatwo wymienić. Oprowadzanie gościa czy obsługa urzędopisu nie wymagają oddania.

Jego ciało będzie potrzebne dopiero za dwie godziny. Najwyższy czas coś zrobić. Czas udać się do Zaopatrzenia i pobrać urzędopis. Czas wspiąć

się do sklepu i kupić coś, co smakuje jak prawdziwe jedzenie. Czas pójść do biblioteki i wybrać coś dla zabicia czasu. Boi się wejść między ludzi. Okrzyki samotności i frustracji kłębią się u podstawy jego języka. Przełyka ślinę, próbując je odpędzić, ale pozostają, szorstkie i tłuste grudki nieprzełkniętego, notorycznego smutku.

Lepiej pójść tam, dokąd nikt nie chodzi. Ponownie zejść na poziom kaplic i powoli przejść korytarzem, mijając kolejne kaplice, słuchając komarzego brzęczenia głośników wiszących nad każdym z ołtarzy. Rillibee wybiera kaplicę na oślep, wchodzi i siada, zakładając słuchawki, które spowalniają komarze brzęczenie do zrozumiałej prędkości. Ciężki basowy głos skanduje: „Artemus Jones. Favorella Biskop. Janice Pittorney”. Rillibee zsuwa słuchawki i patrzy na ołtarz.

Każdego dnia jeden ze starszych siada za ołtarzem i czeka, aż anonimowy akolita przekaże mu listę nowych członków. Starszy kiwa głową, a akolita zaczyna: „Na Semlingu dziecko płci żeńskiej urodzone w rodzinie Marthy i Henry’ego Spike’ów, któremu nadano imię Alevia Spike. Na Zwycięstwie chłopiec urodzony w rodzinie Kruchego Brązu i Zaginionego Błękitu, nazwany Złamanym Dźwiękiem. Na Pokucie chłopiec w rodzinie Domala i Susan Crasmere’ów, któremu nadano imię Domal Vincente II”.

Po każdej takiej informacji starszy nisko się kłania, intonując słowa, które od zbyt częstego powtarzania straciły sens i których nikt w wieżach już nie słyszy. „Świętość. Jedność. Nieśmiertelność”. Ich znaczenie się nie liczy. Wypowiedzenie tych słów otwiera święte wrota. Sylabiczny pomruk wprowadza nowe imię do rejestru ludzkości. Po wybrzmieniu słów odziany w szatę akolita przez chwilę trzyma formularze i próbki tkanek w kłębach świętego dymu, a następnie wrzuca je do otworów, za którymi zjeżdżają po wypolerowanych kamiennych pochyłościach do miejsca, którego akolita, podobnie jak inni tymczasowi akolici, nigdy nie zobaczy. Tam imię jest wprowadzane do akt, a próbka trafia do banku tkanek, dzięki czemu w świętej historii otwiera się miejsce dla małej, czerwonej, pomarszczonej Alevii, krzyżącego Złamanego Dźwięku, sennego Doma.

Rillibee kilka razy przebywał w tych stukających otchłaniach, gdy pełnił służbę w archiwum. Znajdują się tam maszyny genealogiczne, które przy wtórze pomrukiwań przydzielają numery i zapisują genetyczne informacje zawarte w próbkach komórek, mogących w razie potrzeby posłużyć do wskrzeszenia ciała Alevii, Złamanego Dźwięku czy Doma albo dowolnej innej osoby kiedykolwiek żyjącej, która może się wyłonić z maszyn klonujących, wyjątkowa i odmienna od pozostałych ludzkich braci, żywych czy martwych. Oczywiście tylko pod względem ciała. Nikt jeszcze nie znalazł sposobu na zapisanie wspomnień ani osobowości. Ale lepsze ciało niż nic, stwierdzają Uświęceni, gdy zostawiają próbki. Jeżeli ciało ożyje, będzie zbierało wspomnienia, a w końcu stanie się nowym stworzeniem podobnym do poprzednika. Kto wie, czy nowa Alevia w pewnych okolicznościach, doświadczając poczucia *déjà vu*, nie będzie na nowo przeżywać swojego poprzedniego życia? Kto wie, czy Dom, patrząc w lustro, nie zobaczy w nim ducha swojego poprzedniego istnienia?

W otchłaniach Świątości znajdują się imiona wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy żyli w historii ludzkości. Ci, o których nie zachowały się żadne pisemne wzmianki, zostali opisani na drodze ekstrapolacji przez szumiące maszyny, sięgające czasów sprzed pojawienia się ludzkości. W maszynach znajdują się także dane ludzi, których nikt nie znał, a których imiona wypowiedano w językach używanych u zarania dziejów. To nieistotne, że nikt dzisiaj nie posługuje się mową *homo habilis*; maszyny ją znają, podobnie jak imiona tych, którzy się nią porozumiewali. Na liście znajdują się Adam, który dopiero co zszedł z drzewa, oraz Ewa, drapiąca się po tyłku dłonią o rozcapierzonym kciuku. Ich genotypy również tam są, zaprojektowane przez maszyny i połączone z odpowiednimi sekwencjami DNA. Wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek żyli, znajdują się w Świątości/Jedności/Nieśmiertelności.

A to wszystko, każda maszyna, wpis i próbka, jest pilnie strzeżone. Wszędzie są strażnicy, obserwujący, powiadamiający, składający raporty. Wypatrują tych, którzy nie uznają ideałów *Ś/J/N*. Wypatrują akolitów, którzy popadają w bełkotliwe szaleństwo. Wypatrują członków Pleśni, sekty, która zmęczyła się kłopotliwym życiem i pragnie tylko końca,

ostatecznego zniszczenia Świątości, Terry, setki światów, samego życia – końca wszystkich mężczyzn i kobiet na wiecznej liście.

Każdego dnia, w każdej z tysięcy kaplic maszyny odczytują na głos części listy, od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu. Kiedy lista zostaje odczytana w całości, maszyny zaczynają od początku. Komarzy jęk towarzyszący czytaniu nigdy się nie kończy, raz za razem przedstawiając całą ludzkość od ojca Adama po małego Doma.

Gdy to się dzieje, Rilibee siedzi, wpatrując się w starszego, jednym uchem słuchając imion podawanych przez akolitę, a do drugiego ponownie przykładając słuchawkę, w której trwa recytacja: „Violet Wilberforce. Nick En Ching. Herbard Guston”. Każdy, kto kiedykolwiek żył, ale nie Rilibee Chime. Mechaniczny głos nigdy nie wypowiedział jego imienia. Może nie zostanie zwerbowany, dopóki nie ukończy dwunastu laty służby i nie odejdzie. Słuchawki lepią się od kurzu. Dawno nikt tutaj nie przychodził, dawno nikt nie interesował się litanią.

Wkrótce zabierze urzędopis i zgłosi się do pokoju 409 na poziomie minus trzy. Za chwilę. Na razie posiedzi tutaj w ciszy, dławiąc się swoją samotnością, sam powtarzając swoje imię, wsłuchując się w jego brzmienie, w ludzki głos w pustym piekle, gdzie nikt go nie wywołuje.

* * *

Kiedy Rigo Yrarier wysiadł z kapsuły transportowej w podziemnej recepcji, nie był zaskoczony, że cierpnie mu skóra pod wpływem przesądneho obrzydzenia. Nie chciał się tutaj pojawić. Wujek Carlos wysłał mu wiadomość, błagając o przybycie. Wujek Carlos, rodzinny skandalista. Carlos, szkielet w konfesjonale. Apostata Carlos, który dawno temu porzucił starokatolicką religię, w której go wychowano, po czym został Hierarchą tego... wszystkiego. Rigo rozglądał się, usiłując jakoś to zdefiniować. Tego ula. Tego nieświętego mrowiska. Poza przeszklnym pomieszczeniem, w którym stał, identycznie ubrane i upudrowane postacie krzątały się pośpiesznie niczym anonimowe owady.

Rigo nie chciał przyjechać, nawet z misją miłosierdzia, jak to określił wujek Carlos w swojej wiadomości. Misje miłosierdzia to domena Marjorie, a nie Riga, a on nie sympatyzował z jej pracą. To wszystko na nic. Nie da się ocalić ludzi, którzy są zbyt głupi, żeby samemu się uratować, a według Riga to samo dotyczyło Świętości. Jednakże potem, ku zaskoczeniu Riga, ksiądz Sandoval zachęcił go, żeby odpowiedział na prośbę. Niewątpliwie ksiądz miał własne powody. Zapewne będzie chciał usłyszeć raport; dowiedzieć się wszystkiego o Świętości, jak ona wygląda, co się tam dzieje. Starokatolicki kler mógł zwiedzać Świętość mniej więcej tak często, jak często sam pozwalał diabłu służyć do mszy.

Przesądna odraza, jaką czuł Rigo, była tylko jednym z elementów składających się na jego niechęć. Kłębili się w nim także wściekłość i wrogość, które rozpoznawał i próbował ukryć, rozglądając się za kimś, kto mu wskaże drogę. Widmowy wizerunek ubranej w szatę i upudrowanej nieistoty, przechodzącej przez syczące drzwi i składającej ukłon powitalny, nie uwolnił Riga od poczucia, że coś po nim pełza. Podobnie jak długa wędrówka rozwidlającymi się korytarzami w ślad za przewodnikiem, obok kolejnych kaplic, bez wyjątku pustych i gwarnych od przenikliwych głosów odczytujących imiona, niekończące się listy imion.

Byłoby lepiej, pomyślał Rigo, gdyby wynaleźli nie tylko maszyny do mówienia, ale także do słuchania, a przynajmniej polecili jednej z maszyn, żeby w ciszy sama sobie powtarzała imiona. Z pewnością skutek byłby taki sam, a pozbyto by się komarzego wycia, od którego swędziała skóra i bolała głowa. Jego imię niewątpliwie również znajdowało się gdzieś pośród tego hałasu. Jego, Marjorie i dzieci. Nie było przed tym ucieczki, mimo że ich rodziny złożyły formularze wykluczenia, deklarując inne wyznanie i zgłaszając sprzeciw wobec umieszczenia ich oraz dzieci na liście Świętości, zapewniając, że nie wierzą w mechaniczną nieśmiertelność i nadzieję na fizyczne wskrzeszenie, co mogła im zaproponować Świętość. Pomimo żarliwego oburzenia jego ojca na arogancję i żądania Świętości, pomimo histerycznej reakcji jego matki, a także delikatnej niezgody księdza Sandovala, Świętość robiła to, na co miała ochotę. Wszyscy wiedzieli, że formularze wykluczenia to parodia. Ich wypełnienie

stanowiło sygnał dla któregoś z Uświęconych misjonarzy, żeby namierzyć wykluczonych i nękać ich do chwili, gdy uda się od nich uzyskać żywe komórki. Można to było zrobić chociażby na zatłoczonej ulicy albo w pasażu. Wystarczyło szybkie uderzenie albo uszczypnięcie, dotyk igły. Misjonarze byli jak szczury, potajemna rzesza, skradająca się i kłująca, zbierająca nazwiska oraz próbki tkanek, żeby uczynić je częścią... tego.

Tego. Świętości/Jedności/Nieśmiertelności. Te słowa otaczały go ze wszystkich stron, wyrzeźbione na posadzkach, wypisane na ścianach, wyryte na powierzchni klamek. Tam, gdzie się nie zmieściły, umieszczono same inicjały. Ś/J/N, Ś/J/N, Ś/J/N.

– Bluźniercza fikcja – mruknął Rigo pod nosem, cytując księdza Sandovala.

Próbował stawiać krótsze kroki, żeby nie deptać po piętach swojemu przewodnikowi, z każdym krokiem żałując, że przyjechał. Nie powinien tego robić dla wuja Carlosa. Carlosa zdrajcy. Nie dość, że był heretykiem, to jeszcze został Hierarchą, źródłem upokorzenia dla wszystkich starokatolików.

Zakapturzony przewodnik zatrzymał się i zerknął na Riga, jakby chciał sprawdzić, czy jest właściwie ubrany, a następnie zapukał do drzwi głęboko wpuszczonych w ścianę, po czym je otworzył i gestem nakazał Rigowi wejść. To był niewielki, skromnie urządzonej pokój, w którym stały trzy krzesła. Zakapturzony akolita usiadł na jednym z nich, anonimowy jak nowy gwóźdź, z palcami zawieszonymi nad urzędowisem. Na innym krześle, ustawionym niedaleko uchylonych drzwi, garbił się starszy mężczyzna, żywy trup o ospałych, zapadniętych oczach. Jego obandażowane dłonie się trzęsły, a głos drżał.

– Rigo?

– Wujku? – spytał niepewnie Rigo. Nie widział starego od dziesięcioleci.

– Wujku Carlosie? – W pomieszczeniu cuchnęło jak na zamkniętym strychu, gdzie coś zdechło.

Drżenie przeniosło się z rąk na głowę, a Rigo odczytał to jako przytaknięcie. Dłoń lekko wskazała puste krzesło i Rigo usiadł. Widział przed sobą śmierć, zbyt długo odroczonej.

Wbrew sobie czuł litość. Akolita na drugim krześle przygotowywał się do robienia notatek, nastawiając swój urzędopis na tryb zapisu i transkrypcji.

– Mój chłopcze – rozległ się szept. – Mamy do was prośbę. Chcemy, żebyście wybrali się w podróż. Na jakiś czas. To ważne. To sprawa rodzinna, Rigo. – Odchylił się na krześle, słabo pokaszując.

– Wujku! – Za nic na świecie nie nazwie go Hierarchą. – Wiesz, że nie należymy do Uświęconych...

– Nie proszę, żebyście to zrobili dla Świętości, Rigo, ale dla rodziny. Dla swojej rodziny. Wszystkich rodzin. Ja umieram. Nie jestem ważny. Wszyscy umieramy... – Wstrząsnął nim paroksyzm.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wparowali dwaj akolici z kubkiem dla Hierarchy. Prawie na siebie powarkiwali, prześcigając się w próbach niesienia pomocy.

Rigo wyciągnął rękę.

– Wujku!

Fanatycy obrzucili go nieprzychylnymi spojrzeniami i odtrącili jego dłoń.

Staruszek słabo się od nich opędział.

– Zostawcie mnie, zostawcie mnie, głupcy. Zostawcie. – W końcu odsunęli się i niechętnie wyszli. – Nie mam siły wyjaśniać – wyszeptał z niemal zamkniętymi oczami. – O’Neil wyjaśni. Osioł. Nie ty, O’Neil. Osioł. Nie zapisuj tego – polecił akolicie. – Zabierz go do O’Neila. – Ponownie zwrócił się do swojego siostrzeńca: – Proszę, Rigo.

– Wujku!

Mężczyzna zebrał się w sobie i posłał Rigowi trupie spojrzenie.

– Wiem, że nie wierzycie w Świętość. Ale wierzycie w Boga, Rigo. Błagam was. Musicie pojechać. Ty, twoja żona i dzieci. Wszyscy, Rigo. Dla ludzkości. Ze względu na konie. – Ponownie zaczął kaszleć.

Tym razem cichy kaszel nie ustał, a słudzy wrócili i stanowczo odprowadzili staruszkę. Rigo został na miejscu, wpatrując się w upudrowaną, anonimową postać siedzącą naprzeciwko. Po chwili akolita zarzucił sobie pasek urzędopisu na ramię i gestem polecił Rigowi,

żeby za nim podążył. Poprowadził go krętym korytarzem do szerszego przejścia.

– Jak masz na imię? – spytał Rigo.

Głos akolity był głuchy i lekceważący.

– My nie mamy...

– Nie obchodzi mnie to. Jak masz na imię?

– Rilibee Chime. – Słowa łagodnie wpadły w ciszę, jak krople deszczu padające do stawu.

– Czy on umiera?

Chwila milczenia. Potem odpowiedź, tak cicha, jakby była trudna lub zakazana.

– Szepty twierdzą, że tak.

– Co się stało?

– Wszyscy mówią, że... zaraza. – Ostatnim słowem akolita zakrztusił się jak żółcią. Anonimowe oblicze się odwróciło. Anonimowa postać ciężko oddychała. Trudno było wypowiedzieć to słowo. Oznaczało kres czasu. Oznaczało, że dwa lata mogą mu nie wystarczyć na wydostanie się z tego miejsca.

Równie trudno było go słuchać.

– Zaraza! – To słowo wydostało się z trzewi Riga jak stęknienie.

Obecnie miało tylko jedno znaczenie. Powolny wirus najbardziej zdradliwego rodzaju i ohydnej odmiany. Powolny wirus, który w końcu wydostawał się na powierzchnię, zmuszając ciało, żeby pożarło samo siebie w spazmach biologicznej nienawiści. Ksiądz Sandoval koniecznie chciał pokazać Rigowi zakazany film dokumentalny nakręcony przez znajomego księdza, obecnie martwego, w stacji pomocy, gdzie opiekowano się ofiarami zarazy, świadcząc im każdą usługę mogącą ich jakoś pocieszyć. Na wszystkich posłaniach leżały ciała, niektóre wciąż żywe. Wzrok Riga ślizgał się po obrazie, nie chcąc go oglądać, ale kostka go do tego zmusiła. Dodała dźwięki i zapachy, tak że krztusił się smrodem, próbując zasłonić uszy przed gardłowym, bolesnym kaszlem oraz nie patrzeć na okaleczone ciała i oczy zapadnięte głęboko jak w czaszkach.

– Zaraza – szepnęła ponownie.

Powiadano, że przenosi się z planety na planetę, przez dziesięciolecia pozostając w uśpieniu, by wreszcie się ujawnić, nie dając żadnych wskazówek co do swojego pochodzenia, broniąc się przed wszystkimi próbami jej powstrzymania. Powiadano, że nauka okazała się bezsilna; zdołano wyizolować potwora, ale nikt nie potrafił go powstrzymać, gdy już zainfekował ludzkiego nosiciela. Takie plotki krążyły od ponad dwudziestu lat. Gdyby rzeczywiście istniała jakaś zaraza, to ofiary liczono by w miliardach. Były to tylko plotki, ponieważ Świątość nie uznawała istnienia zarazy, a temu, czemu zaprzeczała Świątość, zaprzeczały wszystkie ludzkie światy, bez wyjątku.

– Masz na myśli mojego wuja? – spytał ostro Rigo.

– Do dzisiaj nie wiedziałem, że jest pańskim wujem. Hierarcha. – Akolita odwrócił się i posłał mu zaskakująco ludzkie spojrzenie. – Nie powinienem niczego panu mówić. Proszę, niech pan im o tym nie wspomina. Oto pomieszczenia szefa wydziału misyjnego. Jeżeli ma pan jakieś pytania, powinien pan je zadać właśnie jemu. Senderowi O’Neilowi.

Akolita odwrócił się, po czym zniknął w strumieniu anonimowych akolitów. Dopiero przy zakręcie korytarza obejrzał się na Roderiga Yrariera, który wciąż stał przed drzwiami ze spuszczonego wzrokiem i nienawistnym wyrazem twarzy.

* * *

– Ten akolita powinien zostać ukarany – stwierdził jeden z obserwatorów. – Spójrz na niego, tylko stoi i patrzy. – Obserwator również patrzył krótkowzrocznymi oczami przez szparę w lekko uchylonych drzwiach, a jego dłoń pokryta starczymi plamami drżała oparta o ścianę.

– Po prostu jest ciekawy – odparł jego towarzysz, który stał mu za plecami. – Jak często spotyka kogoś poza Uświęconymi? Zamknij drzwi. Zrozumiałeś, co powiedział stary, Mailers?

– Hierarcha? Powiedział, że jego siostrzeniec ma szansę znaleźć to, czego potrzebujemy, ze względu na konie.

– I sądzisz, że Yrarierowi się uda?

– Cóż, Cory, przynajmniej efektownie wygląda, nie sądzisz? Te czarne włosy, biała skóra i czerwone usta. Myślę, że ma równie dobre szanse jak ktokolwiek inny.

Mężczyzna nazwany Corym tylko się skrzywił. On nigdy nie prezentował się efektownie i często tego żałował. Teraz wyglądał po prostu staro, z cienkimi włosami wiszącymi przy uszach i siateczką zmarszczek wokół oczu.

– Może i efektownie, ale nie sprawia wrażenia bystrego. Ale mam nadzieję, że mu się uda. Potrzebujemy jego sukcesu, Hallers. Potrzebujemy go.

– Nie musisz mi tego mówić, Cory. Jeżeli wkrótce nie dostaniemy lekarstwa, umrzemy. Wszyscy.

Zapadła cisza. Hallers odwrócił się i zobaczył, że jego odwieczny kompan wbija wzrok w podłogę z zamyśloną miną.

– Nawet jeśli dostaniemy je bardzo szybko, myślę, że powinniśmy pozwolić, żeby w niektórych miejscach ludzie dalej umierali.

Hallers niepewnie zbliżył się do swojego towarzysza. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Cóż, Hallers, założmy, że dostaniemy lekarstwo jutro. Dlaczego mielibyśmy wszystkich ocalić? Oczywiście uratowalibyśmy naszych najlepszych ludzi, ale po co kłopotać się resztą? Na przykład, po co przejmować się niektórymi ze światów?

Hallers w milczeniu wpatrywał się w Cory'ego Strange'a, który czekał na jego reakcję. Początkowo był nią szok. No cóż, kiedy Cory wpadł na ten pomysł, też początkowo był zaszokowany, ale potem uzmysłowił sobie, jak to może pomóc Świątości...

– Pozwoliłbyś im umrzeć? Całym światom?

Drugi z mężczyzn wzruszył ramionami i skrzywił się, gdyż ten ruch wywołał nagle ukłucie artretycznego bólu.

– Sądzę, że w dalszej perspektywie byłoby to najlepsze rozwiązanie dla Świątości, a ty tak nie uważasz? Ludzkość i tak nadmiernie się rozproszyła.

Świętość robi, co może, by powstrzymać eksplorację, ale bezskutecznie. Tutaj wymyka się jedna grupka, tam druga. Powstają niewielkie światy graniczne. I co się dzieje? Weź na przykład taki Wstyd, gdzie nawet nie możemy w znaczący sposób zaznaczyć swojej obecności! Nie, ludzie zbyt szybko się rozproszyli i już nie możemy ich skutecznie kontrolować.

– Zgadza się, że takiego zdania jest obecnie Rada Starszych, ale...

– Tak czy inaczej – przerwał mu towarzysz – musimy mieć Yrariera na oku, żeby wiedzieć, co zamierza. Czy to nie ty mówiłeś, że Nods został przydzielony na Trawę? Przewodniczący Akceptowalnej Doktryny razem z pokutnikami, czy tak? A może ktoś inny mi o tym wspominał?

– Zapewne ktoś inny. Chodzi ci o naszego starego przyjaciela Noddingale'a?

– Nie inaczej. Tylko że przyjął jedno z tych dziwacznych imion Zielonych Braci. Jhamlees. Jhamlees Zoe.

– Jhamlees Zoe? – Drugi z mężczyzn roześmiał się, tracąc dech.

– Nie śmieć się. Bracia bardzo poważnie podchodzą do swoich religijnych imion. Zaczekaj chwilę, muszę napisać notatkę. Niech któryś z twoich młodzików zapakuje ją w coś, co mało rzuca się w oczy, pokryje kodem, owinie folią samoniszczącą i wyśle na pokładzie statku, który zabierze Yrariera. – Usiadł przy swoim biurku i zaczął pisać. – Mój drogi przyjacielu Nodsie... – Dłoń z trudem składała litery.

Jego równie dobry przyjaciel, który spoglądał mu przez ramię, odezwał się z zaciekawieniem w głosie.

– Wszyscy mówią, że stary Hierarcha umrze w ciągu kilku godzin. Czy nowy Hierarcha będzie miał takie samo zdanie, Cory? W kwestii konsolidacji i... pozbycia się niektórych światów?

– Nowy Hierarcha? – Cory ponownie się roześmiał, tym razem ze szczerym rozbawieniem, zwracając ku swemu kompanowi szeroko rozwarte, fanatyczne oczy. – Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiesz? No właśnie. Przez jakiś czas cię tutaj nie było. Rada Starszych zebrała się tydzień temu. Nowym Hierarchą będę ja.

– Można by pomyśleć, że zima trwa od zawsze – powiedziała Marjorie Westriding Yrarier, uważając, by jej głos był spokojny i wolny od pretensji.

Narzekanie byłoby mało dyplomatyczne, ale jej gospodarz i zarazem osoba towarzysząca, Obermun Jerril bon Haunser, nie obruszyłby się za zwykłą opinią. Żywienie urazy jest jeszcze mniej dyplomatyczne niż obrażanie innych – zwłaszcza ze strony kogoś, kto jej nie zna, ale kogo zadanie niewątpliwie polega na jak najszybszym jej poznaniu. Przyglądając się kanciastym płaszczynom jego pociągłej, silnej twarzy, Marjorie zastanawiała się, czy w ogóle jest do tego zdolny. Nie wyglądał na człowieka, który przejmuje się tym, kim są inni i jakie mają zdanie.

Mimo wszystko usiłował zachowywać się czarująco, wbrew nawykowi przywołując uśmiech.

– Kiedy przyjdzie lato – odezwał się w silnie akcentowanym terrańskim, którego używał jako mowy dyplomatycznej – także wyda się pani, że trwa od zawsze. Wszystkie pory roku na Trawie są wieczne. Lato nigdy się nie kończy, podobnie jak jesień. A chociaż teraz pani tego nie dostrzega, zbliża się wiosna.

– Skąd miałabym to wiedzieć? – spytała, szczerze zaciekawiona.

Z okna głównego domu, który stał na lekkim wzniesieniu, krajobraz w dole wyglądał jak bezkresny ocean popielatych pasteli i najbledszego złota. Wyschnięte trawy poruszały się jak fale na morzu pozbawionym brzegów, a ich powierzchnię przerywały tylko rozproszone wysepki szerokich powyginanych drzew, o koronach tak gęstych, że na tle mętnego

nieba wyglądały jak lita czarna masa. Nie przypominało to wiosny w domu. Nie przypominało żadnej tamtejszej pory roku. Nagle rozpaczliwie zapagnęła się tam znaleźć, pomimo entuzjazmu dla ich zadania, jaki początkowo w sobie wzbudziła.

– Skąd wiadomo, że nadchodzi wiosna? – spytała, odwracając się od okna.

Stali pośród wysokich ścian odbijających dźwięki w przenikliwie zimnej i pustej komnacie niegdysiejszej ambasady. Daleki zakrzywiony sufit pokrywały maswerki gipsowych żebrowań w kolorze kości słoniowej; wysokie szklane drzwi pod lodowatymi łukami prowadziły na taras otoczony balustradą; blade lśniąca posadzki, jak wypolerowane tafle lodu pokryte cienką, zimną powłoką kurzu, odbijały ich ruchy. Chociaż była to jedna z głównych recepcji w posiadłości, nie były w niej potrzebne meble ani zasłony na zmrożonych szybach. Wydawało się, że idealnie pasuje tutaj odrętwiająca pustka, tak samo jak w tuzinie innych pomieszczeń, które odwiedzili, równie wysokich, zimnych i odrębnych.

Posiadłość była bardzo zadbana, ale od jakiegoś czasu nikt w niej nie mieszkał, a Marjorje, Lady Westriding, miała poczucie, że domowi to odpowiada. Meble zakłóciłyby spokój tych pomieszczeń, które nauczyły się bez nich obywać, z zadowoleniem odrzucając dywany i zasłony na rzecz chłodnej prostoty.

– Niech pani popatrzy na trawę wzdłuż schodów na taras – odezwał się Obermun, nie zdając sobie sprawy z błędzących myśli Marjorie. – Co pani widzi?

Wyteńczyła wzrok i w końcu zdołała się przekonać, że widoczny ametystowy cień to nie tylko podstępna gra światła.

– Fiolet? – spytała. – Fioletowa trawa?

– Nazywamy tę odmianę Peleryną Królów – odrzekł. – Na tym świecie rosną setki rodzajów traw, różnych kształtów i rozmiarów, w niewiarygodnie szerokiej gamie barw. Nie mamy tutaj kwiatów w rozumieniu ludzi ze Świętości, ale nie narzekamy na brak kolorów. – Użył słowa „Świętość” tak samo jak większość mieszkańców Trawy, jako synonimu Terry. Ponownie miała ochotę go poprawić, ale tego nie zrobiła.

Czasy, kiedy działanie Świętości ograniczało się do Terry, minęły wiele pokoleń temu, ale nie dało się zaprzeczyć jej wszechobecności i wszechwładzy w kolebce ludzkości.

– Czytałam opis Trawiastych Ogrodów Klive autorstwa Snipopeana – wyszeptała, nie wspominając, że była to praktycznie jedyna pozycja dotycząca Trawy, z którą zdołała się zapoznać. Świętość o niczym nie wiedziała. Terra o niczym nie wiedziała. Nie utrzymywano kontaktów dyplomatycznych z Trawą i żadne informacje nie mogły tam dotrzeć i wrócić przed przybyciem Yrarierów na miejsce – wiele miesięcy po tym, jak Świętość pokornie poprosiła o pozwolenie, wiele miesięcy po tym, jak zezwolono na wysłanie ambasadora, wiele miesięcy po tym, jak stary wuj Roderiga – już dawno zmarły – błagał ich o przybycie. Wszystko potoczyło się najszybciej, jak się dało, a jednak minęły niemal dwa terrańskie lata od chwili, gdy arystokraci wyrazili zgodę na powstanie ambasady. Teraz Yrarierowie musieli nadrobić stracony czas. Marjorie spokojnie podjęła wątek. – O ile się nie mylę, Trawiaste Ogrody Klive znajdują się na terenie posiadłości Damfelsów?

Odpowiedział skinieniem głowy.

– Bon Damfelsów – rzekł, podkreślając tytuł grzecznościowy. – Stavenger i Rowena bon Damfelsowie z przyjemnością by się z panią spotkali, ale obecnie są w żałobie.

– Ach? – odparła pytającym tonem.

– Ostatnio stracili córkę – wyjaśnił z niesmakiem i zażenowaniem. – Podczas pierwszego wiosennego Polowania. Wypadek podczas łowów.

– Łączę się z nimi w bólu. – Na chwilę zamilkła, przywołując na twarz starannie oszacowaną dozę współczucia. Co mogła powiedzieć? Czy silniejsze współczucie byłoby zbyt wylewne? Czy ciekawość byłaby nie na miejscu? Wypadek podczas łowów? Wyraz twarzy jej rozmówcy wskazywał, że bezpieczniej będzie zaczekać na kolejne informacje, niż o nie dopytywać. Długo czekała, aż Obermun podejmie temat, a gdy tego nie zrobił, wróciła do poprzedniego, bezpiecznego wątku. – Co to oznacza, gdy Peleryna Królów jest fioletowa przy nasadzie?

– W ciągu kilku dni kolor dotrze do połowy długości ździebeł, i zobaczy pani, jak ogrody rozkwitają – różem i bursztynem, turkusem i szmaragdem. Tę posiadłość nazwano Opalowym Wzgórzem ze względu na grę barw, jaka pojawia się każdej wiosny. Te ogrody są młode, ale dobrze rozplanowane. Płaski teren u podnóża schodów nazywamy pierwszą powierzchnią. We wszystkich trawiastych ogrodach znajduje się taki zamknięty płaski obszar niskiej darni. Stamtąd zaczynają się wszystkie spacerunki po ogrodzie. Stamtąd prowadzą szlaki do kolejnych złóż. Za tydzień wiatry osłabną. Zbliżamy się do wiosennej kolekty. Do końca tego okresu...

– Ile trwa jeden okres?

– Sześćdziesiąt dni. To uznaniowa decyzja pierwszych osadników. Kiedy rok trwa ponad dwa tysiące dni, krótsze miary czasu tracą na znaczeniu. Okres trwa sześćdziesiąt dni, dziesięć okresów to kolekta, cztery kolekty – z których każda odpowiada jednej porze roku – składają się na rok. Odzwierciedlamy swoje terrańskie dziedzictwo, dzieląc każdy okres na cztery piętnastodniowe tygodnie, ale nie przypisujemy im żadnego religijnego znaczenia.

Marjorie ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Nie obchodźcie Dnia Pańskiego – zaryzykowała.

– Nie obchodzimy żadnych planetarnych religijnych świąt. To nie znaczy, że nie mamy religii, po prostu sprawy wiary zostały nieodwracalnie usunięte ze sfery publicznej. Nasi przodkowie, chociaż bez wyjątku wywodzili się z arystokracji, pochodzili z różnych kultur. Pragnęli uniknąć konfliktów na tym gruncie.

– Musimy się wiele nauczyć – powiedziała, wodząc palcami po luźnej skórzanej okładce małego testamentu, który nosiła w kieszeni. Zanim opuścili Terre, ksiądz Sandoval wysłał go do Kościoła na Wygnaniu, gdzie miał go poświęcić papież. Ksiądz Sandoval, który utrzymywał, że zna ją lepiej od niej samej, stwierdził, że dzięki temu Marjorie łatwiej pogodzi się ze swoją sytuacją, gdy minie pierwszy entuzjazm. Jak dotąd niczego takiego nie zauważyła. – Władze Świątobliwości niemal nic nie powiedziały nam o Trawie.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pani szczerść, ale Terranie prawie nic nie wiedzą o Trawie. W przeszłości nieszczęśliwie się nią interesowali.

Ponownie pomylił Terrę, planetę, ze Świętością, religijnym imperium. Pokiwała głową, przyjmując jego delikatne pouczenie. Zapewne miał rację. Trawa niewiele obchodziła Terran. Podobnie jak Semling, Bramy Raju, Wstyd czy Pokuta, a także pozostała setka zasiedlonych przez ludzi planet dryfujących w morzu kosmosu. Pozostałości ludzkiej społeczności na Terrze skupiały się na ograniczaniu populacji oraz przywracaniu ekosystemu, który został praktycznie zniszczony za sprawą żądań nienasyconej ludzkości, a więc nie miały czasu zajmować się emigrantami, którzy sami postarali się o ocalenie. Świętość przysiadła na progu północy, skąd w miarę możliwości kontrolowała zachowanie swoich wyznawców, podczas gdy reszta mieszkańców Terry starała się przetrwać. Raz w terrańskim roku Świętość urządzała uroczystości z flagami, przemowami i gośćmi spoza planety. Przez resztę czasu mogłaby równie dobrze znajdować się gdzie indziej.

Świętość nie była Terrą. Terra stanowiła dom, a to miejsce nim nie było. Marjorie miała ochotę powiedzieć to głośno i z naciskiem, ale się powstrzymała.

– Pokaże mi pan stajnię? – spytała. – Rozumiem, że nasze konie zostały obudzone i dostarczone na miejsce?

Do tej chwili nie dostrzegła na obliczu arystokraty ani cienia zakłopotania. Czekał na nich w recepcji hali wybudzeń w porcie, dopilnował odbioru bagaży, dostarczył im dwa autoloty, które zabrały ich do posiadłości, gdzie mieli się zatrzymać, i z których mogli swobodnie korzystać podczas swojej „wizyty”. Oprowadził Marjorie po letnich kwaterach mieszkalnych, podczas gdy jej mąż, Roderigo Yrarier, zwiedzał zimowe kwatery oraz biura nowej ambasady razem z Erikiem bon Hauserem, młodszym, ale równie obowiązkowym członkiem arystokracji na Trawie. Podczas tej dosyć długiej wędrówki Obermun bon Hauser zachowywał się do przesady grzecznie i właściwie, ale pytanie o konie wyraźnie zbiło go z tropu. Chociaż nie stracił nad sobą panowania,

w kącikach jego ust można było dostrzec, że na chwilę opuściła go zimna krew.

Marjorie, która zdobyła złote medale olimpijskie w ujeżdżaniu, skokach przez przeszkody oraz dyscyplinach wytrzymałościowych, była przyzwyczajona do odczytywania takich drgnień skóry. Konie się w ten sposób porozumiewają.

– Coś nie tak? – spytała delikatnie, nie tracąc nad sobą kontroli.

– Nie zostaliśmy... – Przerwał, szukając właściwych słów. – Nie zostaliśmy uprzedzeni o zwierzętach.

Zwierzętach? Od kiedy konie są „zwierzętami”?

– Czy to jakiś problem? Ktoś z Semlinga powiedział nam, że w posiadłości są stajnie.

– To nie są stajnie – odparł. – Niedaleko znajdują się schronienia, z których korzystały Hippae. Oczywiście jeszcze przed wybudowaniem tego miejsca.

Dlaczego oczywiście? A co z Hippae? To pewnie podobne do koni zwierzęta rdzennie występujące na tej planecie.

– Tak bardzo się różnią, że nasze wierzchowce nie mogą skorzystać z ich boksów?

– Hippae nigdy nie zamieszkałyby w boksach. – Gdy mówił te słowa, wydawał się mniej szczery. Do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, że zaczął gryźć paznokiec kciuka. – Hippae już nie korzystają ze schronienia niedaleko Opalowego Wzgórza, więc podejrzewam, że wasze konie można tam ulokować. Jednakże w chwili waszego przybycia nie dysponowaliśmy żadnymi pomieszczeniami odpowiednimi dla dużych zwierząt. – Ponownie spróbował się uśmiechnąć. – Proszę nam wybaczyć, Lady Marjorie. Doszło do małego nieporozumienia, ale powinniśmy się uporać z tym problemem w ciągu kilku dni.

– Zatem koni jeszcze nie obudzono. – Jej głos zabrzmiał ostrzej niż zamierzała; wyczuwało się w nim oburzenie. Biedactwa! Pozostawione w tej lodowatej, koszmarnej nicości.

– Jeszcze nie. Zrobimy to w ciągu najbliższych kilku dni.

Ponownie odzyskała nad sobą kontrolę. Nie powinna dać się wyprowadzić z równowagi i okazać słabości.

– Czy chcecie, żebym udała się do portu? Albo posłała któreś z dzieci? Jeżeli nie macie nikogo, kto potrafi się obchodzić z końmi, Stella chętnie wam pomoże, podobnie jak Anthony.

Albo ja, pomyślała. Albo Rigo. Ktokolwiek. Na miłość boską...

– Pani syn?

Powiedział to z taką ulgą, że od razu domyśliła się, że stanowiło to część problemu. Niewątpliwie chodziło o jakiś dyplomatyczny kruczek. Możliwe, że ambasadorowi i jego żonie nie wypadało zajmować się takimi sprawami, a z drugiej strony, kto mógłby to zrobić? Lepiej nie zwracać na to uwagi. Nie okazywać niepokoju. Nie narażać z powodu kilkudniowego opóźnienia tego, w jaki sposób zostanie przyjęta ambasada, która stanowiła odpowiedź na jej modlitwy i szansę na dokonanie czegoś istotnego. Don Kichot i El Dia Octavo mogą jeszcze trochę pospać, razem z Jej Wysokością, Irlandzkim Dziewczęciem, Millefiori i Błękitną Gwiazdą.

– Nie możemy się doczekać naszego pierwszego Polowania – rzekła, a gdy zobaczyła jego konsternację, szybko dodała: – Oczywiście tylko jako obserwatorzy.

Najwyraźniej nawet to było nie do przyjęcia. Na twarzy mężczyzny pojawiła się panika. Dobry Boże, co ona takiego powiedziała?

– Już poczyniliśmy przygotowania – odparł. – Polecą państwo balonem. Przynajmniej za pierwszym razem, dopóki lepiej się państwo ze wszystkim nie zaznajomią.

– Jak pan uważa – odpowiedziała stanowczo, by wyzbył się wszelkich obaw, że będzie sprawiała problemy. – Zdajemy się całkowicie na pana.

Rozchmurzył się.

– Doceniamy pani chęć współpracy, Lady Marjorie.

Zmusiła się do uśmiechu, zagłuszając szalejące zniecierpliwienie. Była niespokojna od chwili przybycia. Niespokojna i głodna. Niezależnie od tego, jak dużo jadła, nie była w stanie wypełnić chorej pustki w swoim wnętrzu. – Przejdźmy do kwestii tytułów, Obermunie bon Haunserów.

Zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem.

Postanowiła wreszcie poruszyć temat różnicy pomiędzy Świętością a Terrą.

– W domu, na planecie Terrze, pośród tych, którzy kiedyś nazywali się Świętymi, a obecnie przedstawiają się jako Uświęceni, zwracano by się do mnie Matko Yrarier. Mężczyzn tytułuje się Chłopcami albo Mężami, a kobiety Dziewczętami, Pannami Młodymi (przez chwilę) bądź Matkami. Obie płcie starają się wcześniej wziąć ślub i stracić dziecięce tytuły. Nasza rodzina nie należy do grona Uświęconych, więc żadne żeńskie tytuły stosowane w Świętości mnie nie dotyczą. Jestem jednak Terranką. W moim rodzinnym domu, na obszarze zwanym Mniejszą Brytanią, jestem Marjorie, Lady Westriding, najstarszym dzieckiem mojego owdowiałego ojca. „Lady Marjorie” byłoby poprawną formą, gdybym była którąś z młodszych córek. Poza tym mam honor pełnić funkcję Łowczyni rodu Westridingów. Sądzę, że zaproponowano mi ją ze względu na moje powodzenie na igrzyskach olimpijskich.

Sprawił wrażenie zainteresowanego, ale najwyraźniej niczego nie rozumiał.

– Igrzyskach?

– To terrańskie zawody w licznych dyscyplinach sportowych, w tym także jeździectwie – wyjaśniła grzecznie. Tak jak Yrarierowie niewiele wiedzą o Trawie, tak samo mieszkańcy Trawy niewiele wiedzą o Yrarierach. – Startowałam w tak zwanych skokach przez przeszkody, podczas których koń nie widzi tego, co się znajduje za barierą, a ta sięga wyraźnie powyżej jego łba. – Nie okazywał żadnych oznak zrozumienia. – Widzę, że tutaj nie znacie tej dyscypliny. Poza tym startowałam w ujeżdżaniu, które jest bardzo spokojnym sportem, oraz jeździe wytrzymałościowej, o której nie da się tego powiedzieć. Zostałam tak zwaną złotą medalistką. Roderigo również zdobył medal. Właśnie tak się poznaliśmy. – Uśmiechnęła się, wykonując przeproszający gest. Biedak wyraźnie nie miał pojęcia, o czym mówiła. – Dlatego można mnie nazywać Lady Westriding, Madam Yrarier albo Łowczynią, chociaż to ostatnie tylko podczas Polowania. Może na Trawie nadaje się jakiś tytuł ambasadorom

lub ich żonom? Chętnie dowiedziałabym się, jaki tytuł byłby uznany za właściwy.

Pomimo początkowej ignorancji, uważnie jej wysłuchał.

– Raczej nie, Madam Yrarier – odrzekł z zadumą. – Tytułów małżeńskich zwyczajowo się nie używa, chyba że wobec przywódców rodów, czyli w rodzinach „bonów”. Każdy ród ma jednego Obermuna i jedną Obermum, którzy niemal zawsze są mężem i żoną, rzadziej matką i synem. Obecnie jest siedem dużych arystokratycznych rodzin: Haunserowie, Damfelsowie, Maukerdenowie, Laupmonowie, Smaerlokowie, Bindersenowie i Tanligowie. Używają one przedrostka „bon” przed nazwiskami. Kiedy rodzi się dziecko członków dwóch rodów, otrzymuje nazwisko ojca albo matki, w zależności od tego, do której rodziny będzie należało, a następnie pozostaje przy tym nazwisku, nawet po ślubie.

– Ach. – Marjorie się zamyśliła. – Czyli, gdy spotkam kobietę albo dziecko, nie będę wiedziała...

– Nie domyśli się pani ich relacji. Przynajmniej nie po nazwisku, Lady Westriding. Jesteśmy wiejskim ludem, rzadko rozsianym po niewielkiej części naszego świata. Dawno temu uciekliśmy przed uciskiem Świętości i przeludnieniem Terry – jego uniesione brwi przekonały ją, że zrozumiał jej uwagi – i nie chcemy zmagać się z tymi problemami na Trawie. Chociaż straciliśmy niektóre posiadłości, nigdy nie założyliśmy nowych, oczywiście poza Opalowym Wzgórzem, ale to nie my je zbudowaliśmy. Znamy się nawzajem i znamy swoich przodków, aż od czasu osiedlenia. Wiemy, kto się z kim wiązał i czyje są wszystkie dzieci. Wydaje mi się, że w pani przypadku właściwe będą formy Marjorie Westriding oraz Lady Westriding. One nadadzą pani odpowiedni status. A co do odkrycia, kim są inni... będzie pani potrzebowała pomocy kogoś, kto wszystkich zna. Mogę pani polecić kogoś do roli sekretarza, na przykład jakiegoś pobocznego krewnego...

– Pobocznego? – Pytająco uniosła brew i lekko zadrżała pod wpływem chłodu panującego w pomieszczeniu.

Mężczyzna natychmiast się o nią zatroskał.

– Zmarzła pani. Może wrócimy do zimowych kwater? Chociaż zbliża się wiosna, jeszcze przez kilka tygodni wygodniej będzie na dole.

Opuścili wysoką, zimną salę i długie, chłodne korytarze, po czym zeszli długimi schodami do domu zimowego, wykorzystywanego podczas lodowatej pogody, do sal o ścianach ocieplonych tkaniną z trawy, przytulnie rozświetlonych blaskiem płomieni i wyposażonych w miękkie, jaskrawe kanapy. Marjorie opadła na jedną z nich z westchnieniem ulgi.

– Mówił pan, że mogę zatrudnić jako swojego sekretarza jednego z „pobocznych krewnych”?

– Potomka któregoś z bonów, ale tylko po jednej stronie. Być może z nazwiskiem, ale bez przedrostka.

– Ach. Czy to duże utrudnienie? Ten brak przedrostka? – Uśmiechnęła się, żeby pokazać, że tylko się z nim drażni. On jednak odpowiedział niezwykle sztywno, żeby nie miała wątpliwości, że to nie jest temat do żartów.

– To oznacza, że ktoś ma rodzica należącego do pospólstwa. Taka osoba nie może mieszkać w posiadłości, chyba że jako służący, a także nie uczestniczy w letnich balach. Osobie niebędącej bonem nie wolno polować.

– Aha – mruknęła pod nosem, zastanawiając się, czy Czcigodny Lord Roderigo Yrarier i jego żona zostaną uznani za wystarczająco „bon”, żeby polować i uczestniczyć w letnich balach. Może właśnie taki był powód zamieszania z Polowaniem i opóźnień dotyczących koni. Może kwestionowano status całej misji.

Biedne konie, leżą zimne i martwe, pozbawione ciepłej stajni i owsa, śniące, jeżeli konie śnią, o ogrodzeniu, którego nie są w stanie przeskoczyć, oraz zielonej trawie, która wciąż pozostaje poza ich zasięgiem, podczas gdy nie mogą nawet drgnąć.

– Obermunie bon Haunserów, jestem niezmiernie wdzięczna za pańską życzliwość. Jutro pošlę Anthony’ego do portu jednym z pojazdów, które rozsądnie nam pan zapewnił. Może zadba pan o to, żeby ktoś go odebrał i pomógł mu z końmi. Może uda się zorganizować jakąś przyczepę albo ciężarówkę z zapasami?

– Na tym polegał nasz dylemat, Lady Westriding. Nasza kultura nie zezwalała na zostawianie śladów pojazdów na trawie. Państwa zwierzęta trzeba przewieźć drogą powietrzną. Na Trawie się nie jeździ, tylko lata. Najciszej, jak to możliwe. Oczywiście, nie licząc okolic portu oraz Miasta Ludu. Jako że otaczają je lasy, można tam korzystać z dróg.

– Bardzo ciekawe – szepnęła Marjorie. – Niezależnie od tego, w jaki sposób to się stanie, jestem pewna, że bezbłędnie pan tego dopilnuje. A potem, jeśli będzie pan tak uprzejmy i poleci mi kilka osób, które znają zwyczaje panujące na Trawie, być może zacznę urządzać rezydencję i zapoznawać się z sąsiadami.

Obermun się uklonił.

– Ależ oczywiście, Lady Westriding, oczywiście. Zamówimy pojazd transportowy z miasta. Za tydzień wezmą państwo udział jako obserwatorzy w Polowaniu w posiadłości bon Damfelsów. Dzięki temu będą państwo mieli okazję poznać wielu z państwa gospodarzy. – Ponownie się uklonił, a potem wyszedł, wspiął się po schodach i opuścił pusty dom. Słyszała echo jego głosu, gdy witał się z innym bonem, z którym następnie się oddalił. Powiedział „gospodarzy”, a nie sąsiadów. Od razu zwróciła na to uwagę i zastanawiała się, co oznacza to rozróżnienie.

– O co chodziło? – Głos dobiegł z tyłu, z korytarza prowadzącego do biur. Rigo.

– To był Obermun bon Haunserów, który wyjaśnił, że konie jeszcze nie zostały obudzone – odrzekła, odwracając się w stronę męża.

Był szczupły i sprawiał nie mniej arystokratyczne wrażenie niż mężczyzna, który właśnie wyszedł. Był ubrany na czarno, nie licząc wysokiego kołnierza w czerwono-fioletowe paski, po którym można było w nim rozpoznać ambasadora, osobę nietykalną, której ciało i dobytek nie podlegają zatrzymaniu ani ściganiu, pod karą odwetu ze strony Świątości – organizacji zarówno zbyt odległej, jak i zbyt rozproszonej przez niedawne wewnętrzne zawirowania oraz obecną grozę, żeby na kimkolwiek brać odwet. Jego twarz przybrała wyraz, który Marjorie nazywała – chociaż tylko w myślach – trybem brzydoty: nadąsane usta, szerokie wargi wyzute

z wesołości, czarne oczy ocienione ciężkimi brwiami i zmęczone z powodu niewyspania. Miało się wrażenie, że w ślad za nim podąża ciemność, która niemal skrywa go przed jej oczami. On także przyznał się do rozdrażnienia, a teraz wyglądał na poirytowanego. Zastanawiała się, czym go zainteresować, żeby rozwiać cienie...

– Wiesz, Rigo, chętnie bym się dowiedziała, czy na tej planecie dzieciom i mnie przysługuje immunitet dyplomatyczny.

– Dlaczego miałyby nie przysługiwać? – Jego oczy zapłonęły gniewem, gdy o tym pomyślał. Łatwo wpadał we wściekłość.

– Kobiety nie przyjmują tutaj nazwisk mężów, a z tego, co mówił Obermun, wnioskuję, że nie dzielą też z nimi statusu społecznego. – Tak czy tak, Roderigo nie mógł się poszczycić wyższym statusem. Jeśli chodzi o pochodzenie, ona wywodziła się z nieco lepszego rodu, chociaż oczywiście nigdy o tym nie wspominała. – Obawiam się, że żona dyplomaty nie jest nikim szczególnym. – Co prawda, nigdy nie planowała ani nie pragnęła być żoną dyplomaty. Rigo zaś nigdy wcześniej nie był dyplomatą! Zdała sobie sprawę, jak wiele spraw wygląda inaczej, niż by sobie tego życzyła, gdyby mogła dokonać wyboru, ale wciąż miała szansę na to, że cała ta sprawa okaże się istotna i warta zachodu.

Rigo uśmiechnął się niewesoło.

– Dodaj to do listy spraw, o których nas nie poinformowano.

– Nie jestem pewna, czy mam rację.

– Twoje odczucia często są warte równie wiele co pewność u innych, Marjorie – oznajmił szarmanckim głosem, którego najczęściej używał w rozmowach z kobietami, nie wyłączając jej. – Poproszę Asmira Tanliga, żeby to sprawdził.

– Asmira?

– To jeden z moich miejscowych ludzi. Dzisiaj rano zatrudniłem dwóch i zdołałem pozbyć się Haunsera. – Przesunął wyprostowanym palcem po dłoni i pstryknął, udając, że pozbywa się czegoś lepkiego.

– Czy Tanlig jest bonem?

– Ależ skąd. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Raczej bękartem bona sprzed dwóch pokoleń.

– Pobocznym krewnym – stwierdziła, zadowolona ze swojej wiedzy. – To pewnie jeden z tych, których nazywają pobocznymi krewnymi.

– Zatrudniłem też Mechanica.

To ją zaskoczyło.

– Zatrudniłeś mechanika?

– On się nazywa Mechanic... To filologiczny potomek dawnych Smithów i Wrightów. Ma na imię Sebastian i nie jest spokrewniony z arystokratami, o czym koniecznie chciał mnie przekonać. – Rigo opadł na krzesło i potarł dłonią kark. – Zimnosen sprawia, że czuję się, jakbym był chory przez kilka tygodni.

– Ja robię się od niego rozmarzona i nieobecna.

– Moja droga... – zaczął szarmancko, zaledwie z lekką nutą wrogości.

– Wiem. Myślisz, że zawsze jestem nieobecna. – Próbowała się roześmiać i nie okazać, jak ją to zabolalo. Gdyby Roderigo nie uważał swojej żony za nieobecna, nie potrzebowałby Eugenie Le Fevre. Gdyby nie miał Eugenie, Marjorie być może nie byłaby nieobecna. Zakłęty krąg, w którym bez końca krążyła, jak w jeździeckim kadrylu – zmiana wodzy, piruet i kolejna figura.

Rigo postawił na swoim, więc zmienił temat.

– Zapamiętaj, moja droga. Asmir Tanlig. Sebastian Mechanic.

– Kim oni mają być dla ciebie? – spytała. – Przedstawicielami średnich klas?

– Nic z tych rzeczy, może za wyjątkiem Miasta Ludu. Raczej przedstawicielami chłopstwa, którzy będą krążyć pośród mieszkańców wiosek i zdobywać najnowsze informacje. Możliwe, że będę potrzebował innych ludzi, którzy zajmą się tym samym w Mieście Ludu, chociaż Tanlig także tam mógłby się wmieszać w tłum, gdyby się postarał. Ale Mechanic to chłop z krwi i kości. Jest z tego dumny i drażliwy na tym punkcie.

– Taki sługa raczej nie poprawi naszej reputacji pośród bonów.

– Bonowie o niczym się nie dowiedzą. Jeżeli mamy wypełnić nasze zadanie, będziemy potrzebowali dostępu do wszystkich warstw społeczeństwa. Sebastian to moje łącze z rolnikami. Jest wystarczająco sprytny, żeby nie zwracać na siebie uwagi arystokratów. A jeśli chcesz

wiedzieć, w jaki sposób dotarłem do tych ludzi bez wiedzy bon Haunsera, to powiedział mi o nich członek Świątoci z Semlinga. Już ich zapytałem.

– Ach. – Czekala, wstrzymując oddech.

– Zaprzeczyli.

– Ach – powtórzyła, wypuszczając powietrze. Zatem istnieje nadzieja. – Nie ma tutaj zarazy.

– Nie słyszeli o żadnej niewyjaśnionej chorobie. Tak jak uzgodniliśmy, powiedziałem im, że przeprowadzamy inspekcję.

– Mogli nie słyszeć...

– Obaj mają krewnych w Mieście Ludu. Raczej dowiedzieliby się o dziwnych zachorowaniach. Ale to dopiero początek. Arystokraci kontrolują pięćdziesiąt pięć procent powierzchni planety. Możliwe, że są rzeczy, o których prości ludzie po prostu nie wiedzą.

– Wygląda na to, że nad wszystkim panujesz. – Westchnęła, a zmęczenie i głód nagle wydały jej się niemożliwe do zniesienia. – Wiesz może, gdzie się podziewa Anthony?

– Jeżeli mnie posłuchał, to jest razem ze Stellą w letnich kwaterach i sporządza dla mnie ich schematyczny plan. Obawiam się, że będziemy musieli dosyć szybko urządzić to miejsce. Asmir twierdzi, że w Mieście Ludu jest dzielnica rzemieślnicza. Nazywają ją, niezbyt oryginalnie, Nową Drogą. Bóg raczy wiedzieć, gdzie była stara droga.

– Może na Terrze.

– Albo na dowolnej z pięćdziesięciu innych planet. Ale najważniejsze, żebyśmy znaleźli tę, o której mi powiedział. Według Asmira, w ciągu dwóch albo trzech tygodni – długich tygodni, zgodnie z miarą czasu na Trawie – mogą tam dla nas zdobyć dobre jakościowo sprzęty. Już zasięgnął języka i wkrótce ma się z nami skontaktować delegacja rzemieślników.

– Czy mówiąc „dobre jakościowo”, ma na myśli standardy bonów? Mam wrażenie, że wszystko, co robimy, będzie przez nich oceniane. Sądzę, że nie obudzono naszych biednych koni, ponieważ bonowie nie byli pewni, czy są w stanie je zaakceptować na Trawie. Mają własne zwierzęta.

– Hippae.

– Właśnie. Obermun powiedział mi, że nigdy nie trzymają ich w boksach.

– Więc gdzie, do diabła?

– Wątpię, czy w ogóle je „trzymają”, Rigo. Nie nazywają mieszkań Hippae stajniami. Może zabierzemy Anthony’ego i Stellę i razem im się przyjrzymy?

* * *

Nie-stajniami okazały się rozległe sale wydrążone w zboczu wzgórza, wyłożone kamieniem i podparte kolumnami. Zasilany strumieniem zbiornik o kamiennych ścianach znajdujący się w głębi rzucał falujący blask na nisko sklepiony sufit. Jedyne wejście stanowiło pół tuzina wysokich szczelin w zboczu.

– Moglibyśmy trzymać tutaj nasze ogiery, klacze i źrebaki przez następne sto lat – zauważyła Stella z ponurym rozdrażnieniem, odgryzając duży kęs jabłka, które ze sobą przyniosła. – A i tak byłoby to cholernie niewygodne. – Stella, ze swoimi czarnymi włosami i oczami oraz porywczą naturą, przypominała ojca. Również jej ruchy przypominały strzały z bicza. Zawsze docierała do celu z hałasem i na skróty. Teraz pokrzykiwała, nasłuchując echa swojego głosu, które zabrzmiało w ciemności pośród masywnych kolumn. – Halooooo! – zawołała, jak myśliwy, który zauważył lisa. – Trawa cuchnie! – wrzasnęła, a echo odpowiedziało: „uchnie, uchnie, uchnie, uchnie”.

Anthony tego nie skomentował, tylko rozejrzał się z trwogą, starając się ją zamaskować spokojnym zachowaniem, które uznał za godne syna ambasadora. Starannie obmyślił swoją rolę i co godzina modlił się o hart ducha, by dobrze ją wypełniać. Z dwójki rodzeństwa on bardziej przypominał Marjorie. Miał jej włosy w kolorze pszenicy i orzechowe oczy, jej chłodną, białą skórę, młodzieńczo smukłe ciało, łagodny wygląd oraz spokojne usposobienie. Tak samo jak ona, zmagał się z tysiącem wątpliwości i lęków, których nigdy nie ujawniał. Tak samo jak ona, był uznawany za pięknego i żarliwie podziwiany, nawet przez ludzi, których

trudno było o to podejrzewać. W wieku dziewiętnastu lat niemal zrównał się wzrostem ze swoim ojcem, chociaż jeszcze nie miał sylwetki dorosłego mężczyzny.

Prawdziwy młodzieniec, myślała matka z podziwem. Chłopiec, myślał ojciec, żałując, że Tony nie jest starszy, gdyż wtedy mogliby mu powiedzieć, po co tutaj przybyli, a także mógłby im bardziej pomóc.

– To poważny problem natury społecznej. – Obermun bon Hauser właśnie mówił do innego z bonów. – Podobnie z ich córką, Stellą. Będziemy musieli ostrzec naszą młodzież. – Wcześniej czy później Yrarierowie dowiedzą się o tej opinii. Ciekawe, co wtedy im powie. Wolałby uniknąć gniewnego spojrzenia Lady Westriding. Miała w oczach sztylety. Ostrza, które wbijały się głęboko.

Jednakże w tej chwili Marjorie wbijała wzrok tylko w konstrukcję stajni, w myślach oddzielając jej jeden fragment od całości.

– Możemy odgrodzić tę część jaskini – zaproponowała. – Po tej stronie wydzielić pół tuzina wygodnych boksów z otworami prowadzącymi z zewnątrz, a tutaj zbudować niewielki padok. Później, kiedy nastanie zima... – Zamilkła skonsternowana, przypominając sobie, co jej opowiadano o tutejszych zimach, i zastanawiając się, co wtedy zrobią z końmi.

– Na pewno już nas tutaj nie będzie, prawda? – odezwał się Anthony, zdradzając niepewność. Usłyszał ją w swoim głosie i postarał się uspokoić. – Czy nasze zadanie tak długo potrwa?

Ojciec pokręcił głową.

– Nie wiemy, Tony.

– Jakim rodzajem koni mogą być Hippae? – zadumała się Marjorie, rozglądając się po skrytych w cieniu kątach rozległego, niskiego wnętrza. – To mi przypomina jakąś wielką jamę. Jakby salę zgromadzeń w borsuczej norze.

– Salę zgromadzeń w borsuczej norze? – zakpiła jej córka. – Matko, zadziwiasz mnie. – Zarzuciła włosami, które spłynęły po jej plecach bezdennym czarnym jedwabiem jak pozbawiona światła woda. Jej siedemnastoletnie ciało wciąż było drobne, a olśniewające piękno dopiero

zaczynało się ujawniać. Uśmiechała się jak syrena i pochmurnie spoglądała na rodziców głęboko osadzonymi oczami. – Kiedy ostatnio byłaś w borsuczej norze? – Nie powiedziała tego z miłością. Stella nie chciała przybyć na Trawę. Nalegali, żeby to zrobiła, ale nie mogli jej podać powodu. Dla Stelli ta podróż stanowiła pogwałcenie jej osobistej wolności. W dramatycznych słowach porównywała to do gwałtu i przypominała im o tym przy każdej okazji. – W innym życiu? – zakpiła. – W innym czasie?

– Kiedy byłam podrzutkiem – odpowiedziała stanowczo matka. – Dawno, dawno temu, gdy nie byłam świadoma swojej godności. Wkrótce to się powtórzy. Przebiorę się w jakąś ładną starą szatę i zacznę prowadzić osiadły tryb życia. Potrzebuję jedzenia, mnóstwa jedzenia, a potem jakiejś znajomej książki oraz snu. Tutaj jest zbyt wiele dziwacznych rzeczy. Nawet kolory są niewłaściwe.

Rzeczywiście. Jej słowa zwróciły na to ich uwagę, gdy wyszli z jaskini, żeby przejść do posiadłości wybieloną alejką wysadzaną importowanymi drzewami. Kolory były niewłaściwe. Niebo powinno być niebieskie, ale nie było. Preria powinna mieć kolor suszonej trawy, ale w ich oczach uparcie jawiła się jako jasnofioletowa i bladoszafirowa, jakby oświetlał ją sztuczny księżyc na teatralnej scenie.

– Po prostu są dla nas obce – odrzekł Tony, próbując pocieszyć matkę i pragnąc, żeby jego także ktoś pocieszył. On również wiele za sobą zostawił. Chciał, żeby jego ofiara nie poszła na marne, żeby nie skutkowałą jedynie tymczasowym pobytem pośród chłodnych niewygód i dziwacznych barw. Tony również nie znał powodów, ale uwierzył Marjorie, gdy go zapewniła, że to ważne. Był ufny z natury, podobnie jak Marjorie w jego wieku, gdy wychodziła za mąż.

– Pojedziemy na Polowanie – rzekł Rigo stanowczo. – Do tego czasu odzyskamy konie.

– Nie – odparła Marjorie, kręcąc głową. – Wygląda na to, że nam nie wolno.

– Nie bądź śmieszna – powiedział bez zastanowienia, jak często miał w zwyczaju, i od razu się zirytował, widząc cierpienie na jej twarzy.

– Rigo, mój drogi, z pewnością nie sądzisz, że to mój pomysł, żebyśmy nie wzięli udziału w łowach. – Roześmiała się dyskretnie, tylko tak mogąc dać mu do zrozumienia, że zachował się jak tępy gbur. – Obermun bon Haunserów niemal się rozlaźł w szwach, gdy zasugerowałam, że dołączymy do myśliwych konno. Najwyraźniej przygotowano coś innego.

– Psiakrew, Marjorie. Po co mnie tutaj wysłano? A ciebie? Nie ze względu na konie?

Nie próbowała mu odpowiedzieć. Na to pytanie nie było odpowiedzi. Spoglądał na nią nieprzychylnie. Stella cicho chichotała, rozkoszując się ich sprzeczką. Tony nerwowo pochrząkiwał, jak zawsze, gdy znalazł się w centrum kłótni.

– Jasne – rzekł cicho. – Jasne...

– Myślałam, że jesteśmy tutaj w jakimś ważnym celu – zakpiła Stella, nieświadomie skupiając na sobie wrogość ojca.

– W przeciwnym razie byśmy nie przylecieli – odburknął gniewnie. – Nasze życie też zostało zakłócone i wcale nie podoba nam się na Trawie bardziej niż wam. Również wolelibyśmy zostać w domu i dalej wieść nasze życie. – Uderzył batem w kłos, który stanął mu na drodze. – O co chodzi z tym zakazem udziału w łowach?

Marjorie odpowiedziała cicho, starając się wszystkich uspokoić.

– Nie wiem dlaczego nie wolno nam pojechać na Polowanie, ale nie podlega to dyskusji. Jeżeli interesuje cię moja rada, panie ambasadorze, to proponuję robić to, co dla nas przygotował ten niezdarny sztywniak Haunser, dopóki nie dowiemy się, co się tutaj dzieje. W końcu nie jesteśmy bonami, a Obermun bon Haunserów wyraźnie zaznaczył, że ani Świętość, ani Terra niczego nie wiedzą o Trawie.

Rigo mógłby powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał mu jakiś dźwięk. Tak mogłaby zawyć udręczona dusza, gdyby przemawiała głosem gromu i potopu. Był to całkowicie naturalny odgłos, jaki mógłby wydać niewielki świat, który ktoś rozrywa na strzępy, a jednak nie mieli wątpliwości, że wydobył się z krtani i płuc jakiejś nieopisanej żywej istoty, którą mogliby nazwać, gdyby tylko wiedzieli, z czym mają do czynienia. Był to krzyk rozpaczliwej samotności.

– Co? – Rigo westchnął, czujnie nieruchomiejąc. – Co to było?

Czekali, w razie czego gotowi do ucieczki. Nic się nie wydarzyło. W przyszłości mieli słyszeć ten okrzyk jeszcze nie raz. Chociaż o to pytali, nikt nie znał jego pochodzenia.

* * *

El Dia Octavo obudził się ze złego snu do niewygodnej jawy. Gdy poczuł, że jego nogi nie dotykają ziemi, zaczął się miotać, ale bez przekonania. Przez całą bolesną suchość przedarł się niezrozumiały głos.

– Opuść nosidło, głupcze, i postaw go.

Kopyta dotknęły twardego gruntu i rumak stanął, drżąc z opuszczonym łbem. Wyczuwał pozostałych. Byli gdzieś w pobliżu, ale nie był w stanie podnieść głowy i się rozejrzeć. Zamiast tego wydał nozdrza, badając otaczające go złożone zapachy, szukając ich woni. Czyjaś dłoń przesunęła się po jego boku i szyi. To nie ona. Dobra dłoń, ale nie należy do niej. Także nie do niego. To ten samiec, który najbardziej ją przypomina, a nie samica, która najbardziej przypomina jego.

– Ciii, ciii – odezwał się Tony. – Grzeczny konik. Postój tutaj chwilę. Wrócę do ciebie. Ciii, ciii.

Potem nastąpił sen. Galopował, a coś go ścigało. Coś olbrzymiego. Olbrzymiego i szybkiego. Zagrożenie z tyłu. Ucieczka. Cicho zarżał, błagając o pociechę, a wtedy powróciła dłoń.

– Ciii, ciii.

Spał na stojąco, a sen się rozwiewał.

Zbudził się na chwilę, żeby wejść po rampie do czegoś, co się poruszało, a potem znów zasnął. Kiedy ta rzecz przestała się poruszać, ponownie się obudził, żeby zejść po rampie, i znalazł się na miejscu.

– Ona – zarżała Millefiori. – W porządku. Ona.

Pokiwał łbem, a z jego krtani wydobył się odgłos. Powlekł nogami, usiłując za nią podążyć. Nic nie pachniało odpowiednio. Słyszał znajome dźwięki, ale zapachy były niewłaściwe. Również w boksie, gdy leżał na trawie.

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Drugi rumak niepokoił się i głośno rżał.

El Dia Octavo odezwał się do niego, tak samo klacze. Po chwili Don Kichot ucichł i wydał z siebie odgłos smutku.

Potem pojawiła się ona. Poklepywała je, głaskała, mówiła do nich, tak jak Tony powtarzała „Ciii, ciii”, poczęstowała go wodą.

Napił się, a woda wpłynęła do miejsca suchego przerażenia. Po jakimś czasie ponownie zasnął, tym razem bez snów, które stopniowo zniknęły pośród woni dziwaczного siana.

– Dziwne – szepnęła Marjorie, spoglądając na niego z góry.

– Wyglądały na wystraszone – stwierdził Tony. – Przez cały czas sprawiały wrażenie śmiertelnie przerażonych, a zarazem tak letargicznych, że nie mogły nic zrobić.

– Kiedy tutaj przylecieliśmy, miewałam złe sny. Ciągle budziłam się wystraszona.

– Ja też. – Tony zadrżał. – Nie chciałem o tym wspominać, ale męczyły mnie prawdziwe koszmary.

– Może to skutek zimnosnu? – zastanawiała się Marjorie.

– Pytałem ludzi w porcie. Wygląda na to, że nikt nie uważa tego za typowy efekt uboczny.

– Dziwne – powtórzyła Marjorie. – Cóż, przynajmniej boksy ukończono w terminie.

– Dobrze się spisali. To ludzie z wioski?

– Ludzie z wioski. Zdaje się, że to obopólna pomoc. Zapewniamy im zatrudnienie i kupujemy ich produkty, a oni pomagają nam, gdy tego potrzebujemy. Od lat opiekują się tym miejscem. Wybrałam kilkoro do pracy przy koniach. Może uda się znaleźć wśród nich dwóch albo trzech stajennych.

Wyszli ze stajni i wrócili do domu, oglądając się kilkakrotnie, jakby chcieli się upewnić, że z końmi wszystko w porządku. Oboje zdziwili się, że zwierzęta najwyraźniej również doświadczały sennych koszmarów. Marjorie obiecała sobie, że w ciągu kilku kolejnych dni spędzi z nimi trochę czasu, dopóki nie uporają się z traumą.

Jednakże zajęły ją inne sprawy. Wśród nich przybycie członków komisji rzemieślniczej z Nowej Drogi, którzy oglądali letnie komnaty w Opalowym Wzgórzu i sporządzali listy.

– Chce pani urządzić wnętrza w miejscowym stylu, prawda? – spytał rzecznik delegacji w handlowym żargonie. Był krępym, łysym mężczyzną o podkrążonych oczach i czarującym uśmiechu. Nazywał się Roald Few. – Nie chce pani niczego, na co bonowie mogliby kręcić nosem, zgadza się?

– Zgadza się – przytaknęła, zaskoczona, a jednocześnie rozbawiona swoim zdziwieniem. Czego się spodziewała? Głupich ignorantów, takich jak w Hodowli? – Bardzo pan szybki, panie Few. Myślałam, że zakładamy pierwszą ambasadę na Trawie.

– Obecnie jedyną, ale było kilka w przeszłości – odpowiedział. – Nie wytrzymują zimy i nie zostają. Czują się zbyt samotni. Przez jakiś czas przebywał tutaj człowiek z Semlinga. Mówiąc „tutaj”, mam na myśli Opalowe Wzgórze. To Semling wybudował tę posiadłość. „Dlaczego letnie kwatery nie zostały wyposażone?”. Ponieważ, kiedy je zbudowano, zbliżała się jesień, a w połowie jesieni mężczyzny z Semlinga już nie było. Nawet nie zobaczył najlepszej części roku. Co mi pani powie na temat kolorów i całej reszty?

– Czy mogę na panu polegać, że kwatery będą wyglądały odpowiednio? – spytała. – Jeśli tak będzie, dostanie pan premię. Mój mąż lubi ciepłe barwy, czerwienie i bursztyny. Ja wolę zimniejsze kolory. Błękitny. Jasnoszary. Morski. – Na chwilę zamilkła. – Na Trawie nie ma morza, ale rozumie pan o co chodzi. – Pokiwał głową. – Może, jeśli to zgodne z lokalnymi zwyczajami, mógłby się pan postarać o nieco zróżnicowania?

– Zależy pani na zróżnicowaniu i dobrym wizerunku – rzekł, zaciskając usta i notując. – Zrobię co w mojej mocy, proszę pani. Śmiem twierdzić, że to bardzo rozsądne, iż zostawia to pani w naszych rękach. Tutaj, na Nowej Drodze, sprawnie ze sobą współpracujemy i będzie pani zadowolona, jeśli nam pani zaufa. – Posłał jej ostre spojrzenie, patrząc prosto w oczy i szczerze kiwając głową. – Coś pani powiem w zaufaniu. Pani rodzina może co jakiś czas odwiedzać nasze ziemie po drugiej stronie lasu. Arystokraci nazywają je Miastem Ludu, ale my używamy nazwy

Wspólnota, co oznacza, że należą do każdego. Mamy tam jedzenie, jakiego tutaj pani nie kupi; sami je sprowadzamy. Tutaj można się poczuć cholernie samotnym, chyba że czyjeś życie jest postawione na głowie jak u bonów. Może nawet postanowicie spędzić zimę we Wspólnocie, jeżeli zostanieie tak długo. Wy także macie zwierzęta, a na pewno u nas będzie im lepiej niż tutaj. Jesteśmy gotowi na prezimowanie zwierząt. Każdego lata napełniamy sianem stodoły obok naszych kwater. Wszystkie wioski się zamykają i ludzie przenoszą się do miasta. Arystokraci o niczym by się nie dowiedzieli. Jeśli ktoś będzie chciał się z wami skontaktować przez wiadofon, przekierujemy połączenie do Wspólnoty i nikt się nie domyśli, że nie spędzacie tutaj zimy. Posługujecie się trawiańskim?

– Myślałam, że mieszkańcy Trawy mówią po terrańsku albo w żargonie handlowym – odparła, skonsternowana. – Obermun bon Haunserów w rozmowie ze mną używał dyplomatycznego terrańskiego.

– Och, robią tak, jeśli mają ochotę – odrzekł Few z paskudnym uśmiechem. – Mówią w języku diplo, a niektórzy nawet zniżają się do używania handlowego żargonu, a następnym razem odwracają się do nas plecami i udają, że nas nie rozumieją. Lepiej sobie z nimi poradzić, jeśli poznacie trawiański. Według mnie to mieszkanka języków, którymi się posługiwali, gdy tutaj przybyli, ale od tamtego czasu uległa zmianom. Każda rodzina używa własnej odmiany, jakby rodowego dialektu. To jedna z ich zabaw, ale głównie chodzi o słowa charakterystyczne dla danej rodziny i można ich zrozumieć, jeśli się zna język. Lepiej będzie nie zdradzać się ze znajomością trawiańskiego, dopóki nie będziecie się nim dobrze posługiwać. Mogę wam podesłać nauczyciela.

– Poproszę – zgodziła się, czując, że mu ufa i go lubi. – Niech pan przyśle nauczyciela, a ja zachowam dyskrecję, jeśli i pan to zrobi, panie Few.

– Ależ oczywiście – parsknął. – Podesłę kogoś za dwa dni. Może pani do mnie mówić Roald, jak wszyscy we Wspólnocie. Cholerni bonowie. – Wydawało się, że to niechęć z nawyku, a nie żarliwa wrogość, ale Marjorie nie drążyła tematu, jedynie pomyślała, że powinna o tym powiedzieć Rigowi, chyba że sam się już dowiedział.

Poza przestronnymi kwaterami dla gości i służących w głównym domu, w Opalowym Wzgórzu znajdowały się trzy niewielkie odrębne rezydencje przeznaczone dla pracowników ambasady. Lojalna asystentka Riga, Andrea Chapelside, jako pierwsza otrzymała możliwość wyboru i zdecydowała się na najbliższy budynek, żeby w razie potrzeby móc szybko zjawić się na miejscu. Razem z nią zamieszkała jej siostra Charlotte. Ksiądz Sandoval i towarzyszący mu ksiądz James zajęli największą z rezydencji, gdyż zamierzali wykorzystać część budynku jako bibliotekę oraz szkołę dla Stelli i Tony'ego, a w największym pomieszczeniu urządzić kaplicę dla siebie i ambasady. Najmniejszy dom został dla Eugenie Le Fevre. Znajdowały się w nim letnia kuchnia, salon i sypialnia na powierzchni, a także kilka przytulnych pokoi pod ziemią. Wszystkie domy łączył tunel prowadzący do głównego budynku. Z każdego rozpościerał się inny widok na ogrody.

Kiedy Roald Few skończył rozmawiać z Marjorie, wezwał pozostałych mieszkańców Opalowego Wzgórza i zanotował ich wytyczne dotyczące urządzenia letnich sypialni i salonów. Kobiety w średnim wieku, które zajmowały pierwszy dom, przygotowały zdjęcia elementów wystroju, które miały im przypominać dom. Mężczyznom w większym budynku zależało na jak największej prostocie, a jednego z pomieszczeń polecili nie zmieniać. Poprosili jedynie o kilka krzesełek z klęcznikami oraz coś w rodzaju ołtarza. Delikatny młodzieniec sporządził rysunek, a krępy starszy mężczyzna zaakceptował go skinieniem głowy. Roald uznał, że obaj są religijni, chociaż nie byli ubrani jak Uświęceni. Nosili dziwne kołnierzyki. Zawsze to jakaś odmiana.

– Mam nadzieję, że nie sprawi to panu zbytniego kłopotu – rzekł starszy z nich stanowczym głosem, który tylko pozornie wydawał się pełen skruchy.

– Nic z tych rzeczy, ale mam jedno pytanie – odrzekł Roald z serdecznym uśmiechem. – Nie wiem jak mam panów tytułować. Domyślałam się, że są panowie wyznawcami jakiejś religii, i nie chciałbym popełnić językowej gafy.

Delikatny mężczyzna pokiwał głową.

– Jesteśmy starokatolikami. Jestem ksiądz Sandoval, a mój towarzysz to ksiądz James. Matka księdza Jamesa jest siostrą Jego Ekscelencji, Roderiga Yrariera. Zazwyczaj tytułuje się nas „proszę księdza”, jeśli to pana nie obraża.

„A jeśli nawet”, dawał do zrozumienia ton jego głosu, „to i tak proszę stosować tę formę”.

– W tej branży nie można się obrażać – zapewnił ich Roald. – Gdyby ksiądz kazał się nazywać wujkiem, też bym to robił. Mógłbym się wzbraniać przed ciotką, ale wujka bym zniósł.

Młody ksiądz zachichotał, a Roald skinął głową i wyszedł.

Najmniejszy dom był najbardziej oddalony, więc zostawił go sobie na koniec. W pustej letniej kwaterze spotkał Eugenie. Już po chwili wszystkiego się o niej dowiedział. Wszystkiego, co było mu potrzebne.

– Róż – oznajmiła. – Jasny róż. A także inne odcienie, koniecznie ciepłe, jak wewnątrz kwiatu. Tęsknię za kwiatami. Zasłony, żeby nie widziała nocy i tej okropnej trawy. Miękkie zasłony, które się marszczą i powiewają na wietrze. Szerokie kanapy z poduszkami. – Poruszała dłońmi i ustami, szkicując swoje pragnienia w uległym powietrzu, a Few dostrzegł jej wizję, przytulne gniazdko zdobione kością słoniową i różem, pachnące słodko jak – zgodnie ze słowami baśni – terrański poranek. Miała na sobie jedwabny szlafrok, który powiewał za nią, łopocząc w powietrzu, jakby jej ruchom towarzyszyły delikatne podmuchy wiatru. Włosy miała jasnobrązowe i bujne, spięte wysoko na głowie, z małutkimi kosmykami uciekającymi na czoło i kark. Jej wiecznie młode niebieskie oczy nie znały niczego poza rozkoszą i nie dręczyła ich głębsza myśl.

Roald Few westchnął cicho, gdyż dobrze to znał. Ta kobieta przypominała małą porcelanową figurkę, którą jego żona trzymała na stole w domu. Biedna Lady Westriding. Niezwykle go zaciekawiła, a teraz dodatkowo było mu jej żal. Co tutaj poszło nie tak? Mogło się wydarzyć tak wiele rzeczy. Powie Kinny, swojej żonie, jak oni wyglądają i co mówią, a ona już będzie wiedziała. Opowie mu przy kolacji o tym, że Roderigo i Lady Westriding prawie byli kochankami i idealnie dobraną parą, ale coś się wydarzyło i teraz łoże Lorda zajmuje ta różowa dama, a zimna

blondynka została odstawiona. A może wcale jej nie odstawił. To także było możliwe.

– Róż – odrzekł, notując słowa Eugenie. – I mnóstwo miękkich poduszek.

Kiedy Roald wrócił do domu, jego żona Kinny czekała z gotową kolacją na stole. Odkąd Marthamay wyszła za mąż za Alverda Bee i przeprowadziła na drugi koniec miasta, Roald i Kinny rzadko bywali sami – gdy żadne z dzieci akurat nie potrzebowało niańki albo miejsca do zamieszkania po kłótni ze współmałżonkiem. Roald przekazał każdemu ze swoich dzieci, że kłótnie ze współmałżonkami są nieuniknione jak zima, ale nie muszą być śmiertelne, jeżeli się do nich odpowiednio przygotować. Warto na przykład w razie potrzeby odpocząć od siebie przez dzień albo dwa, nie obrażając się na siebie nawzajem. Tak jak po zimie przychodzi wiosna, tak po krótkim ochłodzeniu następuje lepsze zrozumienie.

Obecnie żadne z dzieci nie kłóciło się ze swoją żoną ani mężem, a w domu nie przebywało żadne z wnucząt, mieli więc go z Kinny tylko dla siebie, co zawsze Roalda bardzo cieszyło.

– Przyrządziłam gęś z kapustą – powiedziała Kinny. – Jandra Jellico zabiła kilka gęsi i poinformowała mnie o tym przez wiadofon. Od razu do niej popędziłam, żeby zdobyć tłustą sztukę.

Roald oblizał usta. Wiosenna gąska z kapustą była jedną z jego ulubionych potraw, a Kinny potrafiła ją przyrządzać jak nikt inny. To właśnie gęś z kapustą sprawiła, że po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę, kobietę o pulchnych krótkich rękach i okrągłej twarzą, i to gęś z kapustą stanowiła radosne podsumowanie ich kolejnych wspólnych lat. Gęś z kapustą zazwyczaj oznaczała, że chcą coś uczcić.

– Co dobrego się wydarzyło? – spytał.

– Marthamay jest w ciąży.

– To cudownie! Przez pewien czas się obawiała.

– Niezupełnie. To tylko jej siostry się z nią drażniły, gdy upływało coraz więcej czasu od ślubu z Alverdem i nic się nie działo.

– Alverd przygotowuje się, żeby trochę pokopać?

– Powiedziała, że tak. – Kinny uśmiechnęła się, wkładając widelcem porcję kapusty do różanych ust, myśląc o wysokim, pracowitym Alverdzie Bee harującym w zimowych kwaterach, kapiącym nowy pokój, jak każdy młody tata. Za tydzień albo dwa Alverd zapewne zostanie wybrany burmistrzem Wspólnoty, a burmistrzowie mają niewiele czasu na takie zajęcia. Na szczęście, bracia mu pomogą, tak jak on im pomagał. – Opowiedz mi o tych nowych.

Opowiedział jej o ambasadorze, Marjorie oraz drugiej kobiecie, której gniazdko ma urządzić na różowo.

– Ach – westchnęła Kinny, marszcząc nos. – To smutne.

– Też tak pomyślałem – zgodził się. – Jego żona to cudowna dama, ale bardzo zimna. Wymaga odrobiny zalotów.

– A on zapewne jest na to zbyt porywczy i niecierpliwy.

Roald namyślał się, żując kolację. Tak. Kinny jak zwykle trafiła w sedno. Roderigo Yrarier jest zdecydowanie zbyt porywczy i niecierpliwy. Na tyle porywczy i niecierpliwy, żeby wpakować się w kłopoty, zanim skończy.

Roaldowi nie podobała się ta perspektywa, zatem zmienił temat.

– Marthamay powiedziała ci, jak nazwą dziecko?

* * *

Nauczyciel języka pojawił się u Marjorie dwa dni później. Przedstawił się jako Persun Pollut. Usiadł obok niej w jej przyszłym studiu, obok dużego okna ogrzewanego pomarańczowym słońcem, podczas gdy rzemieślnicy chodzili tam i z powrotem korytarzem za drzwiami, nosząc skrzynie i kartony, narzędzia i drabiny. Obserwując robotników, Marjorie opowiadała, jak bardzo dziwi ją potrzeba posiadania oddzielnych zimowych i letnich kwater.

– Zima jest długa – przyznał Persun, opuszczając końce brwi. – Tak długa, że nie możemy już na siebie patrzeć. – Miał wyjątkowo długie, wężykowate brwi. Był młody, ale dojrzały, gibki, ale wytrzymały, zdeterminowany, ale elastyczny. Marjorie czuła, że Roald Few dokonał właściwego wyboru, zwłaszcza że Persun rozsądnie nie obnosił się z celem

swojej obecności. Wynajął pokój w pobliskiej wiosce i ogłosił, że przybył, aby wyrzeźbić kilka paneli do „osobistego gabinetu Jaśnie Pani”. Teraz swobodnie siedział w tym gabinecie i kontynuował wyjaśnienia.

– Zima jest tak długa, że męczy nawet myślenie o niej – ciągnął. – Męczy nas oddychanie powietrzem, które jest nie tylko lodowate, ale wrogie. Schodzimy pod ziemię, jak Hippae, i czekamy na wiosnę. Czasami żałujemy, że nie możemy zasnąć tak jak one.

– Co wtedy ze sobą robicie? – Marjorie spytała, ponownie myśląc, co zrobią z końmi podczas zimy. Jeżeli wtedy wciąż będą na Trawie. Anthony powtarzał, że do tego czasu Yrarierowie wyruszą do domu, ale przecież nie wiedział, po co przybyli.

– We Wspólnocie odwiedzamy się wzajemnie, gramy w gry i wykonujemy swoją pracę, organizujemy zimowe festiwale teatru i poezji oraz inne podobne uroczystości. Odwiedzamy zwierzęta w stodołach. Mamy orkiestrę. Ludzie śpiewają, tańczą i uczą zwierzęta sztuczek. Mamy zimowy uniwersytet, gdzie większość z nas uczy się tego, czego nigdy byśmy się nie nauczyli, gdyby nie zima. Czasami sprowadzamy na ten okres wykładowców z Semlinga. Przekona się pani, że jesteśmy lepiej wykształceni od bonów, chociaż nie dajemy im tego poznać. Pod Wspólnotą jest tak wiele tuneli, magazynów i sal spotkań, że czujemy się, jakbyśmy mieszkali nad gąbką. Przychodzimy i odchodzimy, zmieniamy miejsce pobytu, nawet nie wyglądając na zewnątrz, gdzie wiatr przeszywa do szpiku kości, a nad wszystkim wisi zimna mgła skrywająca lodowe duchy.

– Ale bonowie pozostają w swoich posiadłościach?

– Nie dysponują tam takimi zasobami jak my, więc spędzają czas mniej korzystnie. W mieście mieszkają tysiące ludzi, najwięcej w czasie zimy, gdyż wtedy wioski się wyludniają. Port pozostaje otwarty przez cały rok, zatem nawet podczas zimnej pory mamy gości. W hotelu również znajdują się zimowe kwatery, połączone tunelami z portem. W typowej posiadłości może przebywać sto do stu pięćdziesięciu osób. Tam wszyscy bardzo szybko się sobą męczą.

Przez chwilę milczeli, w końcu Marjorie odezwała się niepewnie.

- Macie na Trawie jakieś organizacje charytatywne?
- Charytatywne, proszę pani?
- Dobroczyenne. Zajmujące się pomocą ludziom. – Wzruszyła ramionami, używając zwrotu, który często słyszała z ust Riga. – Wdowom i sierotom?

Persun pokręcił głową.

– Oczywiście mamy wdowy, a czasami zapewne trafia się też jakaś sierota, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby potrzebować pomocy charytatywnej. Mieszkańcy Wspólnoty dbają o siebie nawzajem, ale to nie wynika z dobroczynności, tylko z rozsądku. Czy tam, skąd pochodzicie, często się pani tym zajmowała?

Przytaknęła z powagą. O tak, często się tym zajmowała. Ale nikt nie uznał tego za wystarczająco ważne, żeby zająć jej miejsce.

– Mam wrażenie, że będziemy mieli mnóstwo wolnego czasu – wyjaśniła. – Zimy wydają się bardzo długie.

– Owszem, są długie. Arystosi mają takie powiedzenie w trawiańskim: Prin g'los aujnet haudermach. To oznacza: „Wiosna rozdziela zimową bliskość”. Wy powiedzielibyście raczej: „Wiosna zrywa zimowe więzi”. – Przemyślał to, poruszając brwiami. – Nie, Terrańczyk użyłby słowa „małżeństwa”. „Wiosna rozwiązuje zimowe małżeństwa”.

– Tak, zapewne powiedzielibyśmy małżeństwa – zgodziła się ponuro. – Gdzie pan się nauczył dyplomatycznej mowy?

– Wszyscy się nią posługujemy. Każdy we Wspólnocie. W porcie panuje duży ruch. Przylatują i odlatują transporty. Mamy więcej pośredników, niż mogłaby się pani spodziewać. Zamawiamy towary spoza planety. Sprzedajemy. Wysyłamy wiadomości. Znamy mowę dyplomatyczną, żargon handlowy, semblański oraz sześć innych języków. Trawiański jest bardzo niezgrabny i niepewny. To język wymyślony przez arystokratów. Przypomina szyfr. Nauczę go panią, ale niech pani nie oczekuje, że dostrzeże w nim sens.

– Nie będę tego czynić, obiecuję. Utrzymuje się pan z nauczania trawiańskiego?

– Och, na cudowne migerery Hippae, nic z tych rzeczy, pani. Kogo miałbym nauczać? Wszyscy tutaj znają tę mowę, a innych ona nie obchodzi. Snycerz Hime Pollut jest przyjacielem mistrza rzemieślniczego Roalda Few, a ja jestem synem snycerza i pomagam ojcu podczas mniej pracowitych sezonów, to wszystko.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

– Więc jest pan snycerzem?

Popatrzył na nią rozmarzonym wzrokiem.

– Przede wszystkim, gdyż sam jeszcze nie rozwinąłem skrzydeł. – Na chwilę zamilkł, a potem czujnie się wyprostował. – Ale to zrobię. Można nieźle zarobić na jedwabiach z Semlinga, niech mi pani wierzy. Na razie jednak wykonam panele do pani gabinetu, gdyż potrzebujemy jakiegoś powodu mojego pobytu, jeśli mieszkańcy Trawy nie mają się dowiedzieć, że uczy się pani ich języka. – Poza tym, od chwili gdy ją zobaczył, chciał coś dla niej zrobić. Coś niesłychanego.

– Co zrobię, kiedy Obermun bon Hunserów poleci mi sekretarza?

Persun pokiwał głową z namysłem.

– Niech mu pani powie, że się nad tym zastanowi. Poza Wspólnotą nikt nie podróżuje szybko po Trawie. Tak słyszałem od kilku osób spoza planety, które muszą współpracować z aristosami. Tracą do nich cierpliwość. Niech więc Obermun zaczeka. Nie będzie rozdrażniony.

Przekazała to wszystko Rigowi, a gdy Obermun w końcu nadesłał rekomendację dla niejakiego Admita Maukerdena, odpowiedziała mu zgodnie z planem.

* * *

Minęło kilka dni, zanim Marjorie znalazła czas na jazdę konną. Anthony i Rigo już kilkakrotnie wybrali się na przejażdżki, a nawet Stella niechętnie dała się zmusić do ćwiczeń. Następnego dnia po odejściu rzemieślników Marjorie wyszła razem ze swoimi mężczyznami. Był jasny, pogodny i ciepły poranek, żalowała więc, że nie ma z nimi Stelli, ale dziewczyna z wyniosłością odrzuciła ich zaproszenie. Świetnie jeździła, wyraźnie

jednak dała im do zrozumienia, że na Trawie nie będzie jej to sprawiało przyjemności, podobnie jak wszystko inne. Musiała zostawić znajomych, a zwłaszcza jedną konkretną przyjaciółkę. Marjorie nie żałowała swojej decyzji. Możliwe, że ostentacyjne niezadowolenie Stelli miało stanowić karę za nieczułość matki, ale Marjorie wiedziała coś, z czego Stella nie zdawała sobie sprawy. Mogła tylko żałować, że córka im nie towarzyszy, gdy szli krętą ścieżką do nowo wybudowanych stajni.

Stajenni zrobili, co im nakazano: ścieli trawę wskazanych rodzajów i napełnili nią żłoby, wysprzątaali nowe boksy i przygotowali niewielkie próbki trzech albo czterech miejscowych zbóż, żeby sprawdzić, które zasmakują koniom. Patrzyli, jak Terranie siodłają trzy wierzchowce, i bez zażenowania ani wstydu zadawali pytania w handlowym żargonie. „Do czego to służy?”, „Po co pani to robi?”.

– Czy bonowie nie jeżdżą konno? – spytał Tony. – Nigdy nie widzieliście siodła?

Zapadła cisza, a dwaj mężczyźni i kobieta wymienili spojrzenia. Najwyraźniej nie czuli się komfortowo, rozmawiając na ten temat. W końcu kobieta odpowiedziała, niemal szeptem:

– Hippae nie pozwoliłyby... użyć siodła. Jeźdźcy noszą ubrania z wyściółką.

No, no, pomyślała Marjorie. Coś podobnego. Zerknęła na Tony'ego i lekko pokręciła głową, widząc, że jej syn ma zamiar coś powiedzieć, na przykład spytać, od kiedy to koń decyduje, co jest dopuszczalne.

– Dla naszych koni siodło jest wygodniejsze od naszych kościstych tyłków – odrzekła spokojnie. – Możliwe, że Hippae mają inną budowę.

To uspokoiło sytuację i stajenni wrócili do swoich pytań. Marjorie zwracała uwagę na to, które pytania są najinteligentniejsze i którzy z pytających najwięcej rozumieją.

– Trudno jest ścinać niebieską trawę – rzekł jeden z nich – ale konie najbardziej ją lubią.

– Czego używacie do jej ścinania? – spytała. Pokazali jej kosę z ostatniej jakości stali. – Dam wam lepsze narzędzia. – Otworzyła skrzynkę i wręczyła im laserowe noże. – Ostrożnie – ostrzegła, pokazując

im, jak z nich korzystać. – Można sobie uciąć rękę albo nogę. Zawsze sprawdzajcie, czy nikt nie stoi na drodze ostrza.

Patrzyła, jak eksperymentują z nożami. Ścinali całe kępy trawy pojedynczymi pociągnięciami, wydając okrzyki zaskoczenia i zadowolenia, spoglądając na nią z wdzięcznością. Potrzebowała masztalerza i z konieczności musiała zdecydować się na kogoś z wioski. Ci ludzie już poklepywali i głaskali konie bardziej niż to było konieczne.

Świętość zezwoliła im na zabranie zaledwie sześciu zwierząt. Zważywszy na to, jak długo zamierzali tutaj przebywać, postanowili przywieźć zaczątek hodowli. Marjorie zostawiła swojego ulubionego wierzchowca, gniadego wałacha Podległego. Zamiast niego dosiadała El Dia Octavo, berberyjskiego rumaka, którego wytresował jeździec w przeszłości ujeżdżający konie lipicańskie. Rigo jechał na Don Kichocie, koniu arabskim. Tony dosiadał Millefiori, jednej z klaczy czystej krwi. Przywieźli trzy klacze czystej krwi, a Irlandzką Dziewczę była zwierzęciem pociągowym, które zabrali ze względu na jej rozmiary. Skoro mają utknąć na tej planecie na cały miejscowy rok albo dłużej, to przynajmniej zabawią się w stworzenie własnego ogiera.

Tony poprowadził ich wzdłuż niskiego wzniesienia do oddalonej o około pół mili naturalnej areny, którą wykorzystywał do ćwiczenia koni, płaskiego, niemal okrągłego terenu porośniętego niską bursztynową trawą. Gdy dotarli na miejsce, zajęli się rutynowymi ćwiczeniami – chód, kłus, zebrany galop, kłus, ponownie chód, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, dłuższy kłus, galop, a następnie postój, zejście na ziemię i obejrzenie koni.

– Nawet się nie zdyszały – zauważył Rigo. – Każdego dnia są coraz sprawniejsze. – W jego głosie wyczuwało się entuzjazm, a Marjorie wiedziała, że coś knuje. Rigo był najszczęśliwszy, gdy mógł coś robić potajemnie. Co to będzie? Czyżby chciał oszołomić miejscowych? Nie przestawał paplać o koniach. – Niezwykłe, jak szybko wróciły do formy.

– Tak jak my – odrzekła Marjorie. – Dzień albo dwa złego samopoczucia, a potem znów byliśmy sobą. Ich mięśnie nie zwiotczały. Poćwiczmy jeszcze kilka minut i wracajmy. Jutro też przyjedziemy.

Dosiadła konia i ponownie złapała znajomy rytm. W poprzek areny, ciasny krąg, ponownie w poprzek.

Rzuciło jej się w oczy coś na grzbiecie wzniesienia, ciemniejszy cień w blasku wiosennego słońca. Podniosła wzrok, zaskoczona, dostrzegając jakieś sylwetki na tle światła, ale oślepiało ją słońce i nie potrafiła ich rozpoznać. Konie? Miała wrażenie, że widzi wygięte szyje i zaokrąglone uda, tylko tyle. Nie wiedziała, jakich są rozmiarów i jak daleko się znajdują.

El Dia Octavo się zatrzymał i popatrzył w tę samą stronę, wydając niespokojny dźwięk, a skóra na jego łopatkach zadrżała, jakby zaatakowały ją gryzące muchy.

– Ciii – odezwała się, klepiąc go po szyi, zmartwiona jego reakcją. Coś go zaniepokoiło. Ponownie popatrzyła pod słońce, próbując dokładniej się przyjrzeć. Chmura przesłoniła słońce, ale zanim blask osłabł, mroczne sylwetki zniknęły z grzbietu wzniesienia.

Obserwatorzy woleli pozostać w ukryciu. Popędziła Octavo, zamierzając wjechać na zbocze i sprawdzić, gdzie się podzieli, kimkolwiek byli.

Rumak zadrżał, jakby odczuwał ból, jakby coś było bardzo nie w porządku. Z jego krtani wydobył się odgłos zapowiadający wrzask. Tylko jej zaciśnięte nogi i dłoń dotykająca szyi utrzymywały go w ryzach. Wydawało się, że ledwie stoi i nie jest w stanie iść naprzód.

Ciekawe, pomyślała przelotnie, zauważając, że zad Octavo dygocze. Już nie starała się go popędzać, tylko uspokoić.

– Ciii – powtórzyła. – Wszystko w porządku, wszystko w porządku.

Nagle zdała sobie sprawę z głębokiego, nieuzasadnionego przerażenia w swoim umyśle i zrozumiała, co czuje koń, oraz że nic nie jest w porządku.

Rankiem w dniu Polowania wszystkich Yrarierów dręczył niepokój, którego nie chcieli okazywać, a tym bardziej nie chcieli się nim dzielić. Marjorie, która nie spała przez większość nocy i wstała o świcie, żeby udać się tunelem do kaplicy na poranną mszę, przyznała się do swojego zdenerwowania Rigowi, gdy po powrocie zastała go w jadalni. On udawał spokój, ale wewnątrz trząsał się jak dżokej przed wyścigiem, a w jego brzuchu klębiły się drwiące jaszczurki. Tony czuł się samotny, na co wskazywał entuzjazm, z jakim przywitał się z nimi, gdy wszedł do pomieszczenia, pochylając się nad matką i kurczowo ją przytulając. Stella, niekompletnie ubrana i pełna pogardy, nie okazywała nikomu bliskości, tylko miotała wściekłe obelgi i groźby pod adresem spokoju panującego na Trawie.

– Będzie koszmarnie – stwierdziła. – Nie móc z nimi pojechać. Mam ochotę zostać. Dlaczego nie mogą...

– Ciii – przerwała jej matka. – Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy pytać. Jeszcze za mało wiemy. Jedz śniadanie. Chcemy być gotowi, kiedy to coś się pojawi.

To coś. Pojazd. Nie-koń, wewnątrz którego mieli podróżować. Wydawało się, że wszystkie pojazdy na Trawie to urządzenia mechaniczne, które starają się wyglądać jak coś innego: ornamenty z salonu, ogrodowe posągi albo barokowe rzeźby. Ten, który przywiózł konie, przypominał powietrzną wersję starożytną amfory na wino, wliczając stylizowane wizerunki tancerzy otaczające go w środkowej części. Tony przyznał się

matce, że z trudem powstrzymał śmiech, gdy go zobaczył, a Marjorie, która z niedowierzaniem obserwowała jego żmudne lądowanie, musiała się odwrócić, żeby ukryć rozbawienie.

– Jedz śniadanie – powtórzyła, zastanawiając się, czy powinna ostrzec Stellę, by ta się nie roześmiała. Jeśli ją uprzedzi, córka na pewno to zrobi. Jeżeli się nie odezwie, Stella być może się powstrzyma. Marjorie westchnęła, dotknęła palcami modlitewnika w kieszeni i pozostawiła to Bogu.

Wszyscy łączywie zjedli śniadanie, zostawiając niewiele z porcji, które wyglądały, jakby przeznaczono je dla dwukrotnie większej liczby osób. Marjorie przesunęła dłonią wzdłuż paska i stwierdziła, że ten jest luźno zapięty. Mimo że dużo jadła, wciąż traciła na wadze.

Autolot okazał się nadmiernie ozdobny, ale nie wzbudzał wesołości. Był to luksusowy pojazd zaprojektowany do pionowego startu. Weszli na pokład razem z Obermunem bon Haunserów, który pełnił funkcję ich przewodnika, rozsiedli się na wyściełanych fotelach i otrzymali kubki z lokalnym gorącym napojem – który nazywano kawą, chociaż zupełnie jej nie przypominał – a milczący pilot (który najwyraźniej nie był bonem) ruszył w kierunku niewidzialnego celu. Lecieli na północny wschód, Obermun zaś wskazywał najważniejsze elementy krajobrazu.

– Karmazynowa Grań – rzekł, zwracając ich uwagę na długie wzniesienie oblane różem. – Za tydzień albo dwa stanie się krwistoczerwona. Po prawej wznoszą się Sobolowe Wzgórza. Mam nadzieję, że czują się państwo uprzywilejowani. Tylko nieliczne osoby spoza Trawy widziały inne części naszej planety poza Miastem Ludu w okolicach portu.

– Ostatnio zastanawiałem się nad Miastem Ludu – odezwał się Rigo. – Na mapie wygląda na bardzo rozległe, około pięćdziesięciu mil długości i dwie albo trzy mile szerokości, całkowicie otoczone lasem. Rozumiem, że są to wyłącznie tereny handlowe i rolnicze. Kiedy przybyliśmy, widziałem drogi przecinające i otaczające miasto, chociaż nie ma ich na pozostałych obszarach planety.

– Jak już tłumaczyłem pańskiej żonie, ambasadorze, wokół Miasta Ludu nie rośnie trawa. Mówiąc o mieście, mamy na myśli cały teren, aż do skraju bagna. Na Trawie bagna oznaczają obecność drzew, co mogą państwo zobaczyć po lewej. To las portowy. Zupełnie inna powierzchnia niż na reszcie planety, czyż nie? Nieważne, czy w Mieście Ludu mają drogi, ponieważ nie niszczą tam żadnej trawy, a przez bagno się nie przedostaną.

– Obermun bon Haunserów wskazał kłębiącą się zieleń w dole i wyrastający pośród niej miejski bałagan, a jego nozdrza lekko się rozděły w wyrazie pogardy. Mówił o drogach, jakby były czymś wrogim, co szuka sposobu na ucieczkę, jak węże wbrew ich woli uwięzione w klatce.

Stella zaczęła coś mówić, ale umilkła, gdy ojciec spiorunował ją wzrokiem.

– Woli pan, żeby się nie wydostawali na zewnątrz? – spytał Anthony idealnie wyważonym tonem nieszczerzego zainteresowania. – Chodzi o drogi czy o mieszkańców? Dlaczego?

Obermun poczerwieniał. Najwyraźniej powiedział coś spontanicznego i nieplanowanego, czego teraz żałował.

– Mieszkańcy nie mają ochoty opuszczać miasta. Miałem na myśli drogi, mój chłopcze. Nie spodziewam się, że zrozumiesz, jak bardzo przeraża nas myśl o niszczeniu traw. Nie boimy się ich kosić ani wykorzystywać, ale ich trwałe uszkodzenie napęłnia nas obrzydzeniem. Na Trawie nie ma dróg, nie licząc wąskich szlaków łączących każdą posiadłość z jej wioską, a nawet one wzbudzają w nas żal.

– Zatem wszystkich wymian pomiędzy posiadłościami dokonuje się drogą powietrzną?

– Owszem, dotyczy to wszelkiego transportu ludzi i materiałów. Wieści przekazujemy za pomocą wiadofonu. Informacje wprowadzone w waszym węźle w Opalowym Wzgórzu mogą zostać skierowane od konkretnych odbiorców albo wykorzystane do korespondencji z innymi miejscami. Wiadofon łączy wszystkie posiadłości i Miasto Ludu. Jednakże wszystkie podróże, a także dostawy, zarówno importowanych, jak i eksportowanych towarów, odbywają się drogą powietrzną.

– Import i eksport? O jakich dokładnie towarach mówimy? – odezwała się Stella, która postanowiła na chwilę odegrać rolę dobrego dziecka.

Obermun się zawahał.

– Cóż, importujemy głównie produkty przemysłowe oraz luksusowe, na przykład wina i tkaniny. Eksportujemy przeważnie to, czego można się spodziewać: różne wyroby z trawy. Zboża i kolorowe włókna. Miastowi, którzy się tym zajmują, twierdzą, że większe trawy są pożądane w produkcji mebli. Kupcy porównują je do terrańskiego bambusa. Eksportujemy także nieco nasion, zarówno jako ziarno, jak i do zasiewów. Podobno niektóre gatunki traw znakomicie rosną na innych planetach. Niektóre z odmian występujących tylko tutaj służą do wyrobu cennych produktów farmaceutycznych. Inne mają duże walory zdobnicze, co z pewnością państwo zaobserwowali. Cała ta działalność odbywa się na zasadzie licencji udzielanych miastowym firmom. My, bonowie, nie mamy czasu ani ochoty bezpośrednio angażować się w te interesy. Nie podejrzewam, żeby były bardzo zyskowne, ale wystarczą, żeby utrzymać nas oraz miasto, co nam odpowiada.

Rigo, który pamiętał olbrzymie magazyny oraz intensywny transport w porcie, powstrzymał się od komentarzy.

– Czy dobrze rozumiem, że trawy nie są pod względem botanicznym spokrewnione z terrańskimi trawami? To rdzenna roślinność, a nie importowana?

– Zgadza się. Nie są nawet podobne na poziomie genetycznym. Niemal wszystkie odmiany rosły tutaj, gdy przybyliśmy. Zieloni Bracia wyhodowali kilka hybryd, żeby otrzymać konkretne kolory lub działanie. Słyszeli państwo o Zielonych Braciach? – Tak naprawdę to nie było pytanie, gdyż mężczyzna wyglądał przez okno pojazdu, a z ułożenia jego szczęki i ust dało się wyczytać zakłopotanie. Dotychczasowy temat ich rozmowy najwyraźniej wytrącił go z równowagi. – Zostali tutaj przysłani dawno temu, żeby odkopać ruiny miasta Arbaiów, i zajęli się ogrodnictwem w ramach swego hobby.

Marjorie ucieszyła zmiana tematu.

– Nie wiedziałam, że na Trawie znajdują się ruiny Arbaiów.

– O tak. Na północy. Bracia od bardzo dawna je odkopują. Podobno ruiny przypominają większość miast tego ludu – są płaskie i rozległe, co sprawia, że ich odsłonięcie jest czasochłonne. Sam ich nie widziałem. – Wyraźnie okazywał brak zainteresowania.

Marjorie ponownie zmieniła temat.

– Czy dzisiaj będziemy mieli okazję poznać członków pańskiej rodziny, Obermunie?

– Mojej? – odrzekł, zaskoczony. – Nie, nie. Polowania wciąż odbywają się w posiadłości bon Damfelsów. Będzie tak aż do końca tego okresu, a potem przeniosą się do bon Maukerdenów.

– Och – westchnęła Marjorie, tak zdziwiona, że odezwała się bez namysłu. – Mówił pan, że bon Damfelsowie są w żałobie.

– Oczywiście – odparł zniecierpliwiony. – Ale to nie powód, żeby przerwać Polowanie.

Rigo posłał jej strofujące spojrzenie, ale Marjorie udała, że go nie widzi, i ciągnęła słodkim głosem:

– Czy inni również wezmą udział w łowach u boku bon Damfelsów?

– W Polowaniu zazwyczaj uczestniczą dwa albo trzy rody. Dzisiaj bon Damfelsowie będą polowali wspólnie z bon Laupmonami i bon Haunserami.

– Ale nie z pańską rodziną.

– Nie, nie z moją żoną i dziećmi. Kobiety i młodsze dzieci zazwyczaj uczestniczą tylko w Polowaniach organizowanych przez swoją posiadłość.

– Mięśnie jego szczęki się napięły. Marjorie ponownie poruszyła drażliwy temat.

Westchnęła. Jakie tematy nie są drażliwe w tym miejscu?

– Zaraz ładujemy! – wykrzyknął Obermun.

– Czyżbyśmy tak szybko dotarli do Klive?

– Och, tym pojazdem nie moglibyśmy polecieć do Klive, Lady Marjorie. Jest zbyt głośny. Zaniepokoiłby ogary. Nie, z tego miejsca polecimy balonem. Są praktycznie bezgłośne i powolne, dzięki czemu będą państwo mogli widzieć, co się dzieje.

W luksusowej kabinie napędzanego śmigłem balonu, wyposażonej w okna po bokach i na spodzie, tak przesadnie ozdobnej, jakby przeznaczono ją do innych celów, cicho wylądowali na bocznym trawniku Klive. Powitali ich Stavenger oraz Rowena, Obermun i Obermum bon Damfelsów, oboje ubrani w czarne szaty z niewielkimi fioletowymi pelerynami i woalami. Najwyraźniej były to ich poranne stroje.

Gości poczęstowano winem. Rowena powoli sączyła swój trunek. Stavenger nie pił. Yrarierowie skomentowali dobrą pogodę. Marjorie wyszeptała kilka słów współczucia w związku ze stratą, której doświadczyli gospodarze. Wydawało się, że Stavenger jej nie usłyszał. Rowena, której zapadnięte oczy były otoczone ciemnymi kręgami, sprawiała wrażenie nieobecnej, zagubionej w osobistym smutku, zbyt głębokim i odizolowanym, by mogła się porozumiewać ze światem. A może ustne wyrażanie żalu nie było tutaj przyjęte. Widząc zachowanie otaczających ją ludzi, Marjorie stopniowo doszła do wniosku, że to właściwa interpretacja. Chociaż bon Damfelsowie byli w żałobie, nikt nie zwracał na to uwagi.

Yrarierów przedstawiono pozostałym członkom rodziny – dwóm córkom i dwóm synom, których imiona niewyraźnie wymamrotano, tak że Marjorie nie była pewna ich brzmienia. Jeden z synów obdarzył ją przeciągłym spojrzeniem, jakby szacował jej wymiary przed uszyciem szaty. Albo całunu, pomyślała Marjorie, i dreszcz przebiegł jej po plecach. Był bardzo blady i poważny w swoim ciemnym ubraniu, ale wcale nie czyniło go to mniej przystojnym. To była dobrze wyglądająca rodzina. Pozostałe dzieci bon Damfelsów sprawiały wrażenie nieobecnych i rozproszonych, reagowały tylko na bezpośrednie pytania, i to nie zawsze.

Stella otwarcie flirtowała w wesoły i poniżający sposób. Zawsze uważała, że warto zdobywać nowych przyjaciół, i ta taktyka jak dotąd nigdy jej nie zawiodła. Jednakże tylko jeden z bon Damfelsów odpowiedział na jej zaczepki, obdarzając ją kilkoma słowami i półuśmiechem. Reszta pozostała obojętna. Dziewczyna stopniowo milkła, skonsternowana i nieco rozzłoszczona.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Wszyscy bon Damfelsowie poza Roweną przeprosili i nagle wyszli. W jednej chwili dotrzymywali im towarzystwa,

a w następnej zniknęli.

– Poszli się przebrać przed Polowaniem – wyjaśniła szeptem Rowena.– Zapraszam ze mną, popatrzymy z balkonów na odjazd myśliwych.

Tony i Marjorie poszli za nią, wymieniając pytające spojrzenia. Nic tutaj nie było przewidywalne ani znajome. Słowa i postawy nie przekazywały zrozumiałych emocji. Rigo i Stella powędrowali za nimi, a ich mroczne, poważne oczy pożerały i wypluwały krajobraz. Niech będzie. Nic nas nie obchodzą wasze ogrody. Nic nas nie obchodzi wasza gościnność. Nic nas nie obchodzą wasza żałoba ani Polowanie, którymi nie chcecie się z nami dzielić. Marjorie czuła za sobą ich buzujący gniew i skóra cierpła jej na plecach. To wbrew zasadom dyplomacji. Taka wrogość jest niewłaściwa.

Ale nie przestawali się gniewać, gdy usadowiono ich na balkonie i poczęstowano jedzeniem oraz napojami. Nic nie było znajome, nic nie przypominało tego rodzaju spotkań organizowanych w domu. Przez chwilę w milczeniu spoglądali na pustą pierwszą powierzchnię, sącząc i pogryzając, starając się nie sprawiać wrażenia wygłodniałych, chociaż tacy byli, zerkając z ukosa na strapioną twarz Roweny.

Po jakimś czasie służąca w długiej białej spódnicy wyszła na pierwszą powierzchnię, niosąc tace z parującymi szklaneczkami. Powoli zaczęli się pojawiać myśliwi. Na pierwszy rzut oka byli ubrani zwyczajnie, jednak po chwili zwracały uwagę ich obszerne, wyściełane spodnie, podobne do nadmuchanych bryczesów, które nadawały sylwetkom krzywonogi, gruszkowaty kształt, w pierwszej chwili zabawny, do czasu, gdy popatrzyło się na twarze myśliwych. Każdy z nich wziął bladą parującą szklaneczkę i upił jeden albo dwa łyki, nie więcej. Rozmawiało tylko kilka najmłodszych osób. Rozległ się dźwięk rogu, a chociaż zabrzmiał cicho, Marjorie niemal wyskoczyła z fotela. Myśliwi odwrócili się w stronę wschodniej bramy, która powoli się otworzyła. Weszły ogary, a Marjorie głośno wstrzymała oddech. Zwróciła się ku Rowenie i z zaskoczeniem ujrzała na jej obliczu wyraz nienawiści, speszzonej wściekłości. Pośpiesznie odwróciła wzrok. Ich gospodyni z pewnością nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył jej reakcję.

– Mój Boże. – Rigo westchnął z podziwem, pod wpływem szoku wyzbywając się wszelkiej wrogości.

Ogary miały wielkość terrańskich koni, muskulaturę lwów, szerokie trójkątne łby i odchylone wargi, spod których wystawały nierówne krawędzie kości albo zębów. Roślinożercy, pomyślał w pierwszej chwili Rigo. A jednak w przedniej części szczęk znajdowały się kły. Wszystkożercy? Stworzenia miały siatkowatą skórę pokrytą siecią jaśniejszych plam, które otaczały bezkształtne ciemniejsze łaty. Albo w ogóle nie miały futra, albo było ono bardzo krótkie. Nie wydawały żadnych odgłosów. Ślina skapywała na ścieżkę z ich języków, gdy szły dwójkami, rozdzielały się, żeby okrążyć czekających jeźdźców, a następnie ponownie łączyły się w pary i kierowały w stronę kolejnej bramy po zachodniej stronie dziedzińca.

– Chodźmy – odezwała się Rowena głosem pozbawionym wyrazu. – Musimy przejść korytarzem, żeby zobaczyć, jak myśliwi odjeżdżają.

Podążyli za nią bez słowa długim korytarzem na drugi balkon, z którego roztaczał się widok na ogród poza murem, gdzie czekało coś, co sprawiło, że zaszokowani szeroko otworzyli usta i poczuli lęk ogarniający ich jak gwałtowny płomień. Chwiali się, kurczowo zaciskając dłonie na balustradzie, nie wierząc w to, co widzą. Hippae. Marjorie rozpoznała je w myślach i zadrżała. Dlaczego zakładała, że będą wyglądały jak konie? Jakaż była naiwna! Jak głupia była Świętość. Czy nikt w Świętości nawet nie spróbował...? Nie. Oczywiście, że nie. Nawet gdyby spróbowali, nie mieliby wystarczająco dużo czasu. Jej umysł pogrążył się w drżących otchłaniach z trudem powstrzymywanej grozy.

Hippae, pomyślał Rigo, spływając potem, kryjąc się za barierą gniewu. Kolejna wpadka Sendera O'Neila. Przeklęty głupiec. No i Hierarcha. Biedny wujek. Biedny konający starzec, po prostu nie wiedział. Rigo obiema rękami przytrzymał się balustrady, z całej siły usiłując wziąć się w garść. Wiedział, że obok niego Stella pochyla się, ciężko dyszy i dygocze. Kątem oka zobaczył, że Marjorie ścisnęła dłoń Tony'ego.

Pod nimi w ciszy paradowały potwory. Dwukrotnie większe od ogarów, z długimi szyjami wygiętymi niemal jak u koni, najeżonymi zakrzywionymi spiczastymi ostrzami kości, długimi jak ludzka ręka i ostrymi jak nóż, najdłuższymi na łbie i w górnej połowie szyi, a krótszymi

przy grzbiecie. Ślepią wierzchowców przypominały płonące czerwone kule. Grzbiet chroniły potężne płyty stwardniałej, lśniącej skóry.

Stavenger bon Damfels przygotowywał się, żeby dosiąść wierzchowca, a Marjorie powstrzymała okrzyk. Wierzchowiec na wpół przysiadł, wyciągając lewą przednią nogę. Stavenger stanął na niej lewą stopą, jednocześnie unosząc lewą rękę, żeby zarzucić obręcz na najniższy z wystających kręgów. Przytrzymując się lewą dłonią obręczy, niedaleko kręgu, równocześnie podciągnął się i skoczył, wysoko podnosząc prawą nogę, żeby wślizgnąć się na potężny grzbiet. Usadowił się tuż za potwornymi barkami i szeroko rozpostarł dłonie, ukazując cienkie paski, którymi mocno zacisnął obręcz na kostnym ostrzu. Obrócił dłońmi, chwytając paski i owijając nimi palce. Wodze, pomyślała Marjorie, ale po chwili zmieniła zdanie. Paski służyły wyłącznie do przytrzymywania się. Niemożliwe, żeby za ich pomocą dało się kierować potężnym wierzchowcem czy nawet dawać mu jakieś sygnały. Złapanie ostrych jak brzytwa kolców skończyłoby się utratą palców. Pochylenie się groziło przebicciem. Trzeba było nieustannie odchyłać się do tyłu, boleśnie wykrzywiając kręgosłup. W przeciwnym razie... w przeciwnym razie jeździec nadziałby się na kręgi wierzchowca.

Wzdłuż imponujących zeber zwierzęcia biegł rząd głębokich otworów, w które Stavenger wbił długie spiczaste czuby butów, odsuwając się od zagrożenia. Jego brzuch znajdował się zaledwie kilka cali od ostrych krawędzi. Na ramię zarzucił futerał, który przypominał wydłużony kołczan. Kiedy wierzchowiec skręcił i się cofnął, spojrzenie Stavengera prześlizgnęło się po twarzy Marjorie, śliskie jak lód. Twarz miał nie tylko pustą, ale całkowicie beznamietną. Niczego nie wyrażała. Nie próbował odzywać się do wierzchowca ani w jakikolwiek sposób nim kierować. Zwierzę wiozło go tam, dokąd zechciało. Kolejny z Hippae podszedł do innego z jeźdźców i pozwolił się dosiąść.

Marjorie, która wciąż trzymała Tony'ego za rękę, obróciła syna ku sobie i popatrzyła mu ostrzegawczo w oczy. Był blady jak mleko. Stella pociała się z gorączkowym podnieceniem w oczach. Marjorie czuła na całym ciele

chłód, ale otrząsnęła się, zmuszając się do mówienia. Nie mogła pozwolić, żeby odebrały jej głos te... te istoty, czymkolwiek były.

– Przepraszam – odezwała się, na tyle głośno, żeby przerwać ciszę i wyrwać Rowenę z zamyślenia i fascynacji – ale czy wasze... wierzchowce mają kopyta? Z tego miejsca nie widzę.

– Trzy – szepnęła Rowena, tak cicho, że ledwie ją dosłyszeli. Po chwili dodała głośniejszym głosem: – Tak, trzy. Po trzy ostre kopyta na każdej nodze. A raczej po trzy palce, każdy z trójkątnym kopytem. Do tego dwa szczątkowe kciuki w wyższej części nogi.

– A ogary?

– Tak samo. Tylko że ich kopyta są miększe. Bardziej przypominają poduszeczki. Dzięki temu niezwykle pewnie stąpają.

Niemal wszyscy jeźdźcy dosiedli swoich wierzchowców.

– Chodźmy – odezwała się takim samym beznamiętnym głosem Rowena. – Transport będzie na państwa czekał.

Sunęła przed nimi, jakby poruszała się na kółkach, a jej szeroka spódnica powiewała nad wypolerowaną posadzką jak niepocieszony balon, napęczniały i gotowy, żeby pęknąć ze smutku. Nie patrzyła na nich ani nie wypowiadała ich imion. Zupełnie jakby ich nie dostrzegała, ani wcześniej, ani teraz. Skupiała wzrok na jakiejś przerażającej intymnej wizji, którą wyobrażała sobie tak wyraźnie, że Marjorie niemal widziała ją w jej oczach. Kiedy dotarli do pojazdu, Rowena odwróciła się i odpłynęła w kierunku, z którego przybyli.

Obok pojazdu czekał Eric bon Haunser.

– Mój brat dołączył do Polowania – wyjaśnił. – Skoro sam już nie uczestniczę w łowach, zgłosiłem się, żeby państwu towarzyszyć. Może będę mógł odpowiedzieć na jakieś pytania. – Poruszył się nieco niezdarnie na sztucznych nogach i zatrzymał przy wejściu do balonu, skinieniem głowy zachęcając Marjorie, żeby wsiadła jako pierwsza.

W ciszy unieśli się ponad terenem Polowania, napędzani bezgłośnymi śmigłami, patrząc, jak kolejne mile umykają spod kopyt wierzchowców oraz łap ogarów, które kluczyły i przez to pokonywały większy dystans. Z powietrza zwierzęta były tylko krótkimi, szerokimi plamkami

nałożonymi na fakturę trawy, pulsującymi, gdy ich nogi wyciągały się lub przygotowywały do kolejnego susa. Wierzchowce można było odróżnić od ogarów tylko po obecności jeźdźców, którzy przypominali drobne narośle, brodawki na pulsujących liniach. Myśliwi wjechali do zagajnika, który osłonił ich przed wzrokiem pasażerów balonu. Po pewnym czasie wyjechali na otwarty teren i pomknęli w stronę kolejnego lasu. Yrarierowie wkrótce zapomnieli, na co patrzą. Równie dobrze mogliby obserwować mrówki. Albo ryby w strumieniu. Albo płynącą wodę i wiejący wiatr. W ruchu zwierząt nie było niczego indywidualnego. Tylko czerwone kropki świadczyły o zaangażowaniu ludzi. Gdyby nie one, można by uznać, że bestie same prowadzą pościg. Chociaż trawa czasami poruszała się przed ogarami, nie dało się dostrzec, jaki jest cel Polowania.

Marjorie próbowała ocenić, jak szybko biegną zwierzęta. Sądziła, że wolniej od koni, chociaż te zapewne nie byłyby w stanie równie sprawnie przedzierać się przez tak wysoką i gęstą trawę. Przez jakiś czas szacowała, czy konie zdołałyby wyprzedzić Hippae – dochodząc do wniosku, że mogłyby to zrobić na płaskim terenie, ale nie podczas podbiegów – a potem zdziwiła się, dlaczego w ogóle myśli o koniach.

W końcu balon zawisł nad ostatnim zagajnikiem. Gałęzie się zatrzęsły. Wysoko w koronach drzew lis wpelzł na platformę z gałązek, wyzywająco nawołując ku niebu. Słyszeli jego wrzask ponad cichym szumem śmigieł. Zobaczyli tylko eksplozję czegoś, co mogło być futrem albo łuskami, kłami albo pazurami, potężne drżenie pośród liści, wrażenie dzikości, czegoś olbrzymiego i nieposkromionego.

– Lis – szepnął Anthony łamiącym się głosem. – Lis. To coś jest wielkie jak pół tuzina tygrysów.

Matka uciszyła go gestem dłoni, ale nie powstrzymała gonitwy myśli w jego głowie. Wszędzie zęby i kości. Mój Boże. Lis. Miłosierny Ojczy, czy będą chcieli, żebym na to coś zapolował? Nie zrobię tego. Czegokolwiek ode mnie oczekują, nic z tego!

Jazda, pomyślała Stella. Mogłabym jechać tak jak oni. Koń nie może się z tym równać. W żadnym razie. Ciekawe, czy mi pozwolą...

Jazda, pomyślała Marjorie z gorączkową odrazą. To nie jest jazda. To, co oni robią. Coś w jej wnętrzu wiło się z obrzydzenia i grozy; nie wiedziała, co robią ludzie w dole, ale to nie miało nic wspólnego z jeździectwem. A jeśli zechcą, żebyśmy dołączyli do ich Polowania? Przynajmniej jedno z nas. Podejrzewam, że są wśród nich nauczyciele. Czy będziemy musieli to zrobić, żeby zyskać ich szacunek?

Jazda, pomyślał Rigo. Pojechać na czymś takim! Nie uznają mnie za mężczyznę, dopóki tego nie zrobię, a ich plemienny egotyzm sprawi, że będą próbowali mnie wykluczyć. Jak? Traktują nas jak zwykłych turystów, a nie mieszkańców. Nie pozwolę na to! Przeklęta Świętość. Przeklęty wuj Carlos. Przeklęty Sender O'Neil. Niech ich obu trafi szlag!

* * *

– Wszyscy na Trawie szaleją na punkcie koni – tłumaczył Sender O'Neil.
– Na punkcie koni i świadomości klasowej. Hierarcha, pański wuj, zaproponował pana do tego zadania. Pan i pańska rodzina jesteście naszymi najlepszymi kandydatami.

– Najlepszymi kandydatami do czego? – spytał Rigo. – I dlaczego miałyby nas to obchodzić, do diabła? – Odwołanie do wuja Carlosa wcale nie sprawiło, że stał się grzeczniejszy, ale nieco go zaciekawiło.

– Najlepszymi kandydatami do wejścia w szeregi arystokratów na Trawie. A co do powodów... – Mężczyzna ponownie oblizał usta, tym razem nerwowo. Miał zamiar wypowiedzieć słowo, którego nie używał nikt w Świętości. Według Świętości nie dało się go wypowiedzieć. – Zaraza – szepnął.

Roderigo milczał. Akolita go na to przygotował, był więc wściekły, ale nie zaskoczony.

Sender pokręcił głową i zamachał rękami, zwracając otwarte dłonie ku Roderigowi, powstrzymując zawczasu jego gniew.

– Zgadza się. Świętość nie przyznaje, że zaraza istnieje, ale mamy powody, żeby milczeć. Nawet Hierarcha, pański wuj, się na to zgodził.

Wszystkie społeczności, które zbudował człowiek, rozpadną się, gdy tylko zaczniemy o tym mówić.

– Nie możecie być tego pewni!

– Tak twierdzą maszyny. Każdy model komputera daje tę samą odpowiedź. Ponieważ nie ma żadnej nadziei. Żadnego lekarstwa. Żadnej nadziei na lekarstwo. Żadnego sposobu zapobiegania. Mamy wirusa, ale nie wiemy, jak sprawić, żeby nasz układ odpornościowy wytwarzał przeciwciała. Nawet nie wiemy, skąd on pochodzi. Nie mamy niczego. Maszyny uważają, że jeśli powiemy ludziom... nastąpi koniec.

– Koniec Świętości? Dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

– Nie Świętości, człowieku! Koniec cywilizacji. Koniec ludzkości. Wskaźnik śmiertelności wynosi sto procent! Umrze pańska rodzina. Moja też. Wszyscy. Nie chodzi tylko o Świętość. To będzie koniec ludzkiej rasy. Dotyczy to pana tak samo jak mnie!

Rigo otrząsnął się, zaszokowany gwałtownością swojego rozmówcy.

– Skąd pomysł, że odpowiedź znajduje się na Trawie?

– Może to tylko plotki albo bajki. Może to tylko pobożne życzenia. Jak legendarne miasta ze złota, jednorożce albo kamień filozoficzny.

– A może...?

– A może coś prawdziwego. Według naszej świątyni na Semlingu, Trawa jest całkowicie wolna od zarazy.

– Tak samo jak Terra!

– Boże, gdyby to była prawda! Nikomu nie dajemy jej zobaczyć, ale widziałem jej skutki na własne oczy. – Mężczyzna ponownie otarł twarz, do jego oczu nagle napłynęły łzy, a szczęki zacisnęły się, jakby powstrzymywał napływ złości, która mogła mu zalać gardło. – Widziałem ludzi. Zwierzęta. Ona jest wszędzie. Pokażę panu, jeśli pan chce.

Roderigo już wcześniej widział działanie zarazy. Nie wiedział, że jest ona obecna na Terrze ani że dotyka zwierząt, ale znał jej skutki. Odrzucił propozycję i skupił się na dalszej rozmowie.

– Ale nie ma jej na Trawie? Może pozostaje w ukryciu, tak jak tutaj?

– Nasi ludzie nie sądzą, żeby oni mogli ją ukrywać. Wydaje się, że Trawiańczycy nie są wystarczająco zorganizowani. To dziwne miejsce. Ale

jeżeli nie ma tam zarazy...

– Sugeruje pan, że to jedyne miejsce, które jest od niej wolne? Czy zaraza jest obecna wszędzie indziej?

Sender, blade i spocony, pokiwał głową, a następnie wyszeptał:

– Mamy co najmniej jedną świątynię na praktycznie każdym zamieszkanym świecie. W nielicznych miejscach, w których nie ma świątyni, mamy przynajmniej misję. To my odpowiadamy za ukrywanie zarazy, więc owszem, wiemy, gdzie jest obecna. Wszędzie.

Rigo zaczerwienił się z wściekłości.

– Więc, na litość boską, dlaczego nie wysłano tam naukowców i badaczy?! Dlaczego przychodzicie do mnie?

– Arystokraci, którzy rządzą planetą, nie zgadzają się na przybycie naukowców ani badaczy. Oczywiście moglibyśmy wysłać swoich ludzi do miasta portowego. Nazywa się Miastem Ludu. Jest otwarte dla gości. Ale na Trawie nie istnieje imigracja. Można otrzymać przepustkę, która zachowuje ważność do chwili przybycia kolejnego statku zmierzającego we właściwym kierunku. Robiliśmy tak już kilkakrotnie. Nasi ludzie niczego się nie dowiedzieli. Nie w porcie. A myśli pan, że udało im się dostać gdziekolwiek indziej? Nic z tego. Świątość nie ma żadnej władzy na Trawie.

Rigo wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę nie macie tam żadnej misji?

– Kontaktujemy się z planetą poprzez obóz pokutny przy arbaiskich ruinach. Nie wszyscy nasi akolici się sprawdzają. Nie byłoby mądrze odsyłać ich do domu, żeby uczyli innych niechętnych młodzieńców, jak unikać służby. Dlatego wysyłamy ich na Trawę. Nasz obóz znajdował się tam jeszcze przed przybyciem Trawiańczyków. To Zieloni Bracia. Nazywają się tak ze względu na noszone szaty. Jest ich ponad tysiąc, ale praktycznie nie kontaktują się z arystokratami. Ponad sto lat temu Hierarcha polecił im zająć się jakąś działalnością, która mogłaby ich zbliżyć do mieszkańców Trawy, ale okazuje się, że obu grup nic nie łączy.

– Próbujecie zmienić swoich pokutników w kolejnych misjonarzy – warknął Rigo.

O'Neil otarł brew.

– Nie przeczę, że to by się spodobało Przewodniczącemu Akceptowalnej Doktryny. Nazywa się Jhamlees Zoe, i dostaje szału na samą myśl o tym, że nie nawracamy Trawy na Świątość, chociażby siłą. Hierarcha polecił mu, żeby się uspokoił albo wrócił do domu, a to jeszcze bardziej go rozdrażniło.

– O'Neil otarł lśniący pot z czoła.

– Co zrobili bracia, żeby nawiązać kontakt z arystokratami?

– Zajęli się ogrodnictwem. – O'Neil roześmiał się chrapliwie. – Ognodnictwem! Zostali prawdziwymi specjalistami. Wręcz słyną ze swoich umiejętności, tak że Jhamlees nie odważył się położyć kresu ich działalności. Ale mimo to nie zdołali nawiązać bliskich relacji z pozostałymi mieszkańcami planety i niczego się nie dowiedzieli. A ci przekłęci arystosi nas nie wpuszczą!

– Nawet gdy im powiedzieliście...

– Trawiańczykom nic nie dolega. Próbowaliśmy im opisać, co się dzieje, ale najwyraźniej ich to nie obchodzi. Od początku byli separatystami, którzy przywiązywali większą wagę do utrzymania własnych przywilejów niż do ogólnoludzkich problemów. Niższa szlachta. A może tylko pretendenci do szlachectwa. Głównie Europejczycy, absurdalnie dumni ze swoich arystokratycznych korzeni i pretensjonalni. To dlatego stale nie zgadzali się na powstanie naszej świątyni ani misji. Dziesięć pokoleń na Trawie uczyniło ich jeszcze większymi izolacjonistami i... dziwakami. Zupełnie jakby wznieśli żelazne mury w swoich głowach! Nie pozwalają się badać. Nie pozwalają się nawracać. Nie pozwalają się odwiedzać! Ale mogą zrobić wyjątek dla kogoś takiego jak wy...

– Świątość dysponuje flotą wojenną.

Rigo stwierdził fakt. Nie podobało mu się to, ale taka była prawda. Planetarne rządy chętnie się izolowały w swoich zaściankach. Po pierwszym gwałtownym przeludnieniu Świątość zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby powstrzymać dalsze badanie kosmosu. Nie chcieli, żeby ludzkość rozprzestrzeniła się na tyle, by nie dało się jej ewangelizować ani kontrolować. Odkrycia ustały, podobnie jak rozwój nauki, sztuki

i wynalazczości. Chociaż Świątość miała do dyspozycji wojskową technikę sprzed kilkuset lat, pozostała jedyną międzyplanetarną potęgą.

Sender O'Neil ciężko westchnął.

– Rozważano taką możliwość. Jeżeli wprowadzimy tam wojsko, nie uda nam się długo utrzymać w tajemnicy przyczyny takiego kroku. Rozpęta się piekło. Nie możemy nawet brać tego pod uwagę, dopóki nie zyskamy pewności, że coś tam jest. Proszę. Cokolwiek pan o nas myśli, proszę nam nie odmawiać inteligencji! Stworzyliśmy komputerowe modele sytuacji, w której się znaleźliśmy. Nasi najlepsi ludzie wielokrotnie wszystko analizowali. Ujawnienie zarazy i użycie siły miałyby równie katastrofalne skutki! Słyszał pan o Pleśni?

– To jakaś sekta głosząca koniec świata, prawda?

– Raczej koniec wszechświata. Ale tak, żarliwie pragną, żeby ludzki świat się skończył. Nazywają się Męczennikami Dni Ostatnich. Wierzą, że nadszedł czas, by położyć kres istnieniu ludzkości. Wierzą w życie pośmiertne, które ziści się tylko wówczas, gdy to życie zakończy się dla wszystkich. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że Pleśń „wspomaga” zarazę.

– Na Boga!

– Tak. Na wszystkich bogów!

– Jak to robią?

– Przenoszą zakażone materiały z miejsca na miejsce. Jak dawni anarchiści, niszczą, żeby mogło nadejść coś lepszego.

– Co to ma wspólnego z...

– Wszystko. Świątość angażuje całe swoje siły w tropienie i zwalczanie członków Pleśni. Wydaje się, że są wszędzie, rodzą się z niczego. Gdyby usłyszeli... gdyby dowiedzieli się, że Trawa być może...

– Poleciliby tam?

– Zniszczyliby nawet najmniejszą szansę. Cokolwiek zrobimy, musimy działać potajemnie, dyskretnie, nie zwracając na siebie uwagi. Według komputerów pozostało nam pięć do siedmiu lat na działanie. Potem zaraza może się rozprzestrzenić na tyle, że... No cóż. Trawiańczycy stwierdzili, że przyjmą ambasadora.

– Rozumiem. – Rzeczywiście rozumiał. Trawiańczycy zgodzą się na akcję opóźniającą. To wystarczy, żeby Świętość zrezygnowała z planów użycia siły, a zarazem nikomu nie utrudni życia na Trawie.

– Mówi pan, że oni polują? – spytał Rigo O’Neila, próbując odpędzić ze swojego umysłu rojące się obrazy zagłady i zniszczenia. – Mówi pan, że oni polują? Przywieźli ze sobą konie, psy i lisy?

– Nie. Znaleźli rdzenne odpowiedniki. – O’Neil oblizwał wąskie usta. Najwyraźniej spodobał mu się ten zwrot, więc go powtórzył. – Rdzenne odpowiedniki.

* * *

Rdzenne odpowiedniki, pomyślał Rigo, siedząc w balonie wiszącym nad zagajnikiem potężnych drzew na Trawie i obserwując, jak istota zwana lisem wylania się spośród gałęzi. Nie spoglądał na swoją rodzinę, chociaż wyczuwał napięcie. Patrzył w dół, chwilowo zapominając o potrzebie ukrywania uczuć. Powtórzył słowa O’Neila:

– Rdzenne odpowiedniki. – Wypowiedział je na głos, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy Eric bon Haunser zerknął na niego pytająco, Rigo wbrew sobie pośpiesznie dodał:

– Obawiam się, że on zupełnie nie przypomina naszych lisów.

Olbrzymie, bezkształtne stworzenie z trudem ściągnięto ze szczytu drzewa, bon Haunser zaś opisywał, co się zapewne dzieje na ziemi. Mówił otwarcie, niemal bezceremonialnie, rozmyślnie ignorując ich reakcję na widok istoty.

W drodze powrotnej do Klive Rigo otrząsnął się na tyle, żeby powiedzieć:

– Mam wrażenie, że podchodzi pan do tego bardzo obiektywnie. Proszę wybaczyć, ale pański brat wyglądał na... jak to ująć? Zażenowanego? Niepewnego?

– Już nie poluję – odrzekł Eric, czerwieniejąc na twarzy. – Przez moje nogi. To był wypadek na łowach. Ci spośród nas, którzy nie polują –

przynajmniej niektórzy – podchodzą do tego z mniejszym entuzjazmem. – Powiedział to nieśmiało, jakby nie był pewien swoich słów, i nie wyjaśnił, dlaczego obecni myśliwi nie chcą rozmawiać o Polowaniu. Każde z Yrarierów miało na ten temat własne przemyślenia, które jednak zachowywali dla siebie podczas cichego lotu nad preriami, z czasem osiągając niepewny spokój.

Wrócili do Klive przed myśliwymi i zostali przywitani przez Rowenę, która jednak nie była zachwycona ich widokiem. Odprowadziła wszystkich do dużej sali wypoczynkowej z widokiem na pierwszą powierzchnię, gdzie przedstawiła ich hałaśliwej grupie ciężarnych kobiet, dzieci i starców, którzy jedli, pili oraz grali w gry przy stolikach porozstawianych po całym pomieszczeniu. Zachęciła Yrarierów, żeby powiedzieli służącym, czego mają ochotę się napić, i poczęstowali się zawartością obficie zaopatrzonego bufetu, a następnie się oddaliła. Eric bon Haunser do nich dołączył. Wkrótce potem przed zachodnią bramą rozległ się dźwięk rogu i jeźdźcy zaczęli wjeżdżać na teren posiadłości. Większość od razu udała się do swoich kwater, żeby się wykapać i przebrać, niektórzy jednak weszli do sali, najwyraźniej wygłodniali.

– Przez dwanaście godzin poprzedzających Polowanie nie pili niczego poza środkiem przeciwbólowym, który im podano przed wprowadzeniem ogarów – wyszeptał Eric. – Po rozpoczęciu Polowania nie ma okazji, żeby sobie ulżyć.

– To bardzo niewygodne – zdziwiła się Marjorie, wspominając ostre kręgi na szyjach wierzchowców. – Czy naprawdę warto?

Pokręcił głową.

– Nie jestem filozofem, Lady Westriding. Gdyby pani spytała mojego brata, odpowiedziałby, że tak. Jeśli o mnie chodzi, mógłbym odpowiedzieć tak albo nie. Ale to on poluje, nie ja.

– Ja poluję – odezwał się ktoś za nimi. – Ale mówię, że nie.

Marjorie odwróciła się i zobaczyła właściciela głosu, wysokiego i barczystego, niewiele młodszego od niej, ubranego w poplamione spodnie i czerwoną kurtkę, z myśliwską czapką pod pachą i pełną szklanką

przy ustach. Zobaczyła, że te usta drżą, ale tak delikatnie, że zapewne nikt poza nią tego nie zauważył.

– Proszę mi wybaczyć, jestem bardzo spragniony. – Zacisnął usta na krawędzi szklanki, która zadrżała. Był pod silnym wpływem emocji, które zniekształcały jego mowę.

– Nie dziwię się, że jest pan spragniony – odparła. – Poznaliśmy się dzisiaj rano, prawda? Wygląda pan zupełnie inaczej w swoim... stroju myśliwskim.

– Nazywam się Sylvan bon Damfels – odpowiedział, lekko się kłaniając.
– Rzeczywiście się poznaliśmy. Jestem młodszym synem Stavengera i Roweny bon Damfelsów.

Stella stała po drugiej stronie sali razem z Rigiem. Kiedy zobaczyła, że Sylvan rozmawia z jej matką, wyraz jej twarzy uległ zmianie i ruszyła w ich stronę, nie spuszczając Sylvana z oczu. Nastąpiły kolejne ukłony i ciche powitania. Eric bon Haunser się oddalił, pozostawiając Marjorie i dzieci z Sylvanem.

– Twierdzi pan, że nie – zachęciła Marjorie. – Polowanie nie jest tego warte, chociaż sam bierze pan w nim udział?

– Owszem – odrzekł, rumieniąc się i nerwowo rozglądając, żeby sprawdzić, kto go słucha. Jego krtani napięła się, jakby mówił z trudem. – Mówię o tym pani, a także wam, panienko i młodzieńcze. Zakładam, że nie powtórzą państwo moich słów innym członkom mojej rodziny ani innym bonom. – Ciężko dyszał.

– Oczywiście. – Anthony wciąż był bardzo blady, od chwili gdy ujrzał lisa, ale panował nad sobą. – Jeżeli tego pan chce. Ma pan nasze słowo.

– Mówię to, ponieważ niewykluczone, że zostaną państwo poproszeni o wzięcie udziału w Polowaniu. Zaproszeni. Uważałem, że to niemożliwe, dopóki nie poznałem pani męża. Teraz nadal uważam, że to mało prawdopodobne, ale może się wydarzyć. Jeśli tak się stanie, ostrzegam, żeby państwo odmówili. – Popatrzył im kolejno w oczy, jakby chciał przemówić do ich najgłębszej istoty, a następnie ponownie się uklonił i odszedł, masując gardło, jakby go bolało.

– Doprawdy! – obruszyła się Stella i zarzuciła głowę.

– Właśnie, doprawdy – dodała Marjorie. – Sądzę, że byłoby roztropnie i uprzejmie nie powtarzać nikomu jego słów, Stel.

– Co za tupet!

– Chyba nie miał złych zamiarów.

– Może te ich wierzchowce cię przerażają i może przerażają jego, ale na pewno nie mnie! Mogłabym ich dosiadać. Wiem, że tak.

W duszy Marjorie zawrzało i z trudem zachowała spokój.

– Wiem, że byś mogła, Stello. Ja także. Po wystarczającym przeszkoleniu każde z nas dałoby radę. Ale pytanie brzmi, czy powinniśmy? Którekolwiek z nas? Uważam, że w tej sali mamy tylko jednego przyjaciela, a on właśnie powiedział nam, że nie.

Ruiny miasta Arbaiów na Trawie pod wieloma względami przypominają wszystkie arbaiskie ruiny: zagadkowe, niedawno opuszczone – według archeologicznej skali czasu – i opowiadające o jakiejś tajemnicy, którą człowiek wyczuwa, ale której nie pojmuje. Pozostałe miasta Arbaiów, odnalezione w innych miejscach, zamieszkują wiatr, pył i rozproszone arbaiskie kości. Znaleziono tam tak niewiele szczątków, że ludzie zastanawiają się, po co, przy tak niewielkiej populacji, miasta miały aż takie rozmiary. Są duże pod względem obwodu, a nie wysokości czy zagęszczenia. Ciągną się bez końca. Ich starannie wytyczone ulice wiją się tam i z powrotem; rzeźbione fasady domów wznoszą się łagodnymi łukami jedna obok drugiej. W żadnym z miast nigdy nie znaleziono pojazdów. Mieszkańcy załatwiali swoje tajemnicze sprawy, spacerując lub biegając.

W każdym mieście znajduje się biblioteka. Na każdym miejskim rynku stoi tajemnicza budowla, którą uważa się za rzeźbę albo religijnego idola. Poza granicami każdego miasta znajdują się zagadkowe mechanizmy, które uważa się za spalarnie śmieci albo krematoria. Kilka osób zasugerowało, że może to być jakiś środek transportu, skoro nie znaleziono żadnych statków. Niektórzy uważają, że wszystkie trzy możliwości są prawdziwe. Jeżeli to piece, ciała mieszkańców miast mogły zostać spalone, co by tłumaczyło niewielką liczbę pozostałych szczątków. Jednakże mieszkańcy równie dobrze mogli się gdzieś przenieść.

Archeologowie i teoretycy nie mogą się zgodzić na żadną z wersji, chociaż spierają się uczenie od pokoleń.

W bardziej typowych miastach Arbaiów znaleziono tylko kilka kompletnych szkieletów, zawsze pojedynczo albo w parach, za zamkniętymi drzwiami, jakby ci Arbaiowie, którzy pozostali po odejściu swoich towarzyszy, byli zbyt nieliczni, by dopełnić obrzędów pogrzebowych. Co innego na Trawie.

Na Trawie setki ciał leżą w domach, na ulicach, w bibliotece i na placu. Zieloni Bracia wszędzie odnajdują zmumifikowane szczątki.

Od lat większość prac wykopaliskowych wykonują silni młodzieńcy, których nieszczęśliwie interesuje to, co znajdują. Jednakże, co nieuniknione, znalazło się kilku, których zafascynowały i oczarowały stare mury, artefakty i ciała. Nieliczni świadomie poświęcili tej pracy swoje życie i wszystkie siły umysłowe. Zdarzało się, że jednocześnie pojawiała się kilku takich fanatyków.

Obecnie jednak tylko jeden człowiek z takim zapalem skupia się na Arbaiach. Tak jak wielu jego poprzedników, nauczył się ukrywać swoje szczere zainteresowanie przed przełożonymi. Brat Mainoa, niegdyś żaloszny młody akolita Świątości, dawno temu wygnany, a dziś już starzec z potarganymi siwymi włosami i zmarszczkami wokół oczu, chociaż pozbawiony honorów, jakie przysługują niektórym w tym wieku, podobnie jak jego poprzednicy, amator zakochany w swojej pracy, złożył swoje serce pośród tych starych kamieni. Uznał za swoje te okopy ulic, domy i place, sklepy i biblioteki, chociaż nie ma w nich niczego, z czego mógłby skorzystać, ani niczego, co mógłby kiedykolwiek prawdziwie zrozumieć. Mainoa samodzielnie odkopał niemal połowę ciał Arbaiów. Nadał im wszystkim imiona. Spędza pośród nich większość swojego życia. Stali się jego przyjaciółmi, chociaż nie jedynymi.

* * *

Gdy zapada wieczór, brat Mainoa czasami opuszcza wykopaliska i idzie do pobliskiego zagajnika, gdzie siada na poskręcany korzeniu i pali fajkę,

opierając się o pień drzewa i rozmawiając z powietrzem. Dzisiaj z westchnieniem spoczął na znajomym korzeniu. Bolały go kości. To było typowe. Ból towarzyszył mu przez większość nocy, a także w niektóre poranki. Sypianie w słabo ogrzewanej kwaterze na worku wypchanym trawą na pewno mu nie służyło, chociaż i tak był mniej obolały, odkąd naprawił dach. Mocno zaciągnął się wonnym dymem, powoli go wypuścił, a następnie się odezwał, jakby sam do siebie:

– Fioletowa trawa, ale nie Peleryna Królów, tylko ta jaśniejsza z niebieskimi kwiatami, która dobrze pasuje do różowej. Testy wykazują, że to pełnowartościowe białko w proporcjach mniej więcej dwa do jednego, bardzo odżywcze. Smaku nie ma co wychwalać podczas porannych modłów, ale ujdzie.

Na drzewie wysoko ponad głową starca rozległo się donośne, zaciekawione mruczenie.

– Oczywiście, żółta trawa od dawna stanowi środek zastępczy. Zanim odszedłem z klasztoru, żeby przybyć na miejsce wykopalisk, starszy brat Laeroa powiedział mi, że ją udoskonalił. Nie wiem, czy w to wierzyć; trudno byłoby to osiągnąć. Żółta trawa jest niemal idealna, tylko że jest jej tak niewiele. Potrzebuje wysokich pomarańczowych łądyg po nasłonecznionej stronie i czegoś niższego, na przykład małej zielonej albo średniej błękitnej po zacienionej stronie, aniołowie wiedzą po co, ale właśnie tak to wygląda. Starszy brat Laeroa mówi, że ma ochotę zasadzić ją w pasach i sprawdzić, jak sobie poradzi, ale to by pasowało jak pięść do nosa...

Znów rozległo się mruczenie, tym razem z pytającą nutą.

– Oczywiście, że nas obserwują. – Brat Mainoa westchnął. – Posłuchaj młodych braci, zawieszonych pośród chmur na siatce pomiędzy wieżami. Posłuchaj, co mówią. Widzą oczy pośród traw, wpatrujące się w klasztor. Oczywiście, że nas obserwują. Właśnie dlatego tak trudno czegokolwiek się dowiedzieć.

Żadnej odpowiedzi. Brat Mainoa zaryzykował zerknięcie w górę, ale zobaczył tylko blade niebo prześwitujące przez strzechę z gałązek i liści, pojedynczą gwiazdę lśniącą w zenicie, jak cekin opadły z sukni

niefrasobliwego anioła. Nad horyzontem, nieco po lewej stronie, wisiały jedwabiste pasma sieci zawieszanej pomiędzy wieżami klasztoru, tak wysoko, że wciąż padały na nie promienie słońca.

– Znów mówisz do siebie, bracie? – odezwał się karcący głos.

Brat Mainoa się wzdrygnął. Postać stojąca pod sąsiednim drzewem była na wpół skryta w cieniu. Głos należał do starszego brata Noazee’ego Fuasoi, zastępcy przewodniczącego klasztornej sprawy Bezpieczeństwa i Akceptowalnej Doktryny. Co on u diabła robi na terenie wykopalisk?!

– Tylko mruczę sobie pod nosem, starszy bracie – wyszeptał Mainoa, wstając z szacunkiem i zastanawiając się, czy Fuasoi go śledził, a jeśli tak, to od jak dawna tutaj stoi. – Próbuję zrozumieć wykopaliska.

– Odniosłem wrażenie, że mówiłeś o ogrodnictwie, bracie.

– No cóż, to też. Analizowałem w myślach działanie traw.

– To szkodliwy nawyk, bracie Mainoa. Zakłóca spokój zakonu. Zapewne właśnie przez takie nawyki wciąż zajmujesz się odkopywaniem ruin, zamiast pełnić bardziej zaszczytne funkcje, jakie gwarantowałyby ci twój wiek. Gdybyś zachowywał się odpowiednio, już dawno przydzielono by cię do pracy biurowej w klasztorze.

– Tak, starszy bracie – odrzekł brat Mainoa posłusznie, jednocześnie myśląc coś niezbyt pochlebnego o tych, którym przydzielono do pracy biurowej w klasztorze. – Spróbuję nad tym zapanować.

– Postaraj się. Nie chciałbym cię wysłać przed oblicze najstarszego brata Jhamleesa Zoe. On bardzo poważnie traktuje Doktrynę.

To była prawda. Jhamlees Zoe przybył na tyle niedawno, że jeszcze się nie uspokoił. Wciąż szukał na Trawie kogoś, kogo mógłby nawrócić. Mainoa westchnął.

– Tak, starszy bracie.

– Przyszedłem tutaj, żeby cię poinformować, że zostałeś wyznaczony do roli osoby towarzyszącej. Przybędzie do nas krnąbrny akolita ze Świątoci. Razem z bratem Shoethaiem sprowadziliśmy autolot z klasztoru, żebyś jutro rano mógł odebrać naszego gościa.

Brat Mainoa uklonił się posłusznie i nic nie odpowiedział.

Starszy brat Fuasoi beknął i z namysłem pomasaował sobie brzuch.

– Chłopakowi został niecały rok, kiedy się znarowił. Złamał zasady postępowania i podobno dostał ataku szału w refektarzu. Przyleciał pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Rillibee Chime. Wymyśl dla niego jakieś imię, pod którym będzie znany w Zielonym Bractwie.

– Tak, starszy bracie.

– Statek przyleci wcześniej, więc bądź gotowy. I koniec z mówieniem do siebie. – Brat Fuasoi ponownie pomasaował się po brzuchu i odszedł.

Brat Mainoa pokornie się uklonił, mając nadzieję, że Fuasoi wkrótce umrze od swojego brzucha. Gnojek, pomyślał. Wszyscy ludzie z urzędu Akceptowalnej Doktryny to gnojki. Także najstarszy brat Jhamlees Zoe, szalony agitator, zesłany na Trawę, gdzie nie ma kogo nawracać, przez co powoli pogrążał się w szaleństwie. W ich głowach nie ma niczego poza gównem, w przeciwnym razie wiedzieliby, co się naprawdę dzieje na Trawie. Każdy, kto ma chociaż odrobinę rozsądku, zobaczyłby...

W górze ponownie rozległo się mruczenie, tym razem pełne cichego rozbawienia.

– Przez ciebie wpadnę w poważne tarapaty – szepnął brat Mainoa. – O czym wtedy będziesz mruczał?

* * *

Obszar o powierzchni stu mil kwadratowych, który arystokraci ochrzcili Miastem Ludu, dzieliło na dwie części urwiste i poskręcane kamienne wybrzuszenie, które nazywano, na wpół żartobliwie, Jedyńą Górą, w skrócie Jegórą. Ciągnęła się ona nieprzerwanie na wschód i zachód, strome wypiętrzenie, które ginęło w otchłaniach bagiennego lasu, tworząc skuteczną barykadę oddzielającą to, co trwałe, od tego, co przemijające. Rzemieślnicy, rolnicy, kupcy oraz ich rodziny mieszkali i pracowali na północ od bariery na terenie, który zwali Wspólnotą. Obszar na południe od skalnej ściany składał się głównie z pochyłych pastwisk, ale mieścił się tam także port ze wszystkimi przyległościami.

Od wschodu do portu przylegała dzielnica z magazynami do składowania transportowanych towarów, stodołami do przechowywania siana do karmienia zimą zwierząt hodowlanych, liczne porządne sklepy i przybytki rozrywki prowadzone przez lokalną ludność, Hotel Portowy oraz szpital. Ten obszar, wliczając sam port, nazywano Dzielnicą Handlową.

Był także teren na zachód od portu, gdzie przy Ulicy Portowej stały budynki zdobione tandetnymi błyskotkami, stały domy zmysłów otwarte przez całą dobę, a goście stale omijali leżące ciała, niezbyt się tym przejmując. Tylko nieliczne z leżących osób były martwe bądź poważnie ranne, część była bardzo zajęta. W zatłoczonych budynkach unosił się nieokreślony smród narkotyków, brudu i rozmaitych biologicznych wydzielin. Ta niesławna okolica zawdzięczała swoje miano ulicy, przy której się znajdowała, i była nazywana po prostu Portową.

Oprócz Dzielnicy Handlowej i Portowej obszar na południu mieścił około czterdziestu mil kwadratowych łąki siennej i pastwiska, opadających na wschód, południe i zachód z wysokiego płaskowyżu, na którym znajdował się port, ku bagiennemu lasowi.

Okolice portu ze Wspólnotą łączyła Droga Trawiastej Góry biegnąca przez szczelinę wyciętą w skalnej ścianie, uczęszczana arteria komunikacyjna biegnąca wzdłuż wschodniej strony szczytu obok stacji porządkowej oraz wysokiej, solidnej bramy, której czasami używano do zatrzymywania ruchu. Nierzadko zdarzało się, że wczesnym rankiem załogi transportowców wychodziły z przybytków w Portowej, czerpiąc rozkosz z zakłócania snu zwykłym obywatelom. W takich okolicznościach zamykano bramę. Zazwyczaj jednak nic nie blokowało ruchu pomiędzy portem a Wspólnotą.

W porcie panował tłok, znacznie większy, niż wynikałoby to z populacji planety. Trawa znajdowała się na topologicznych rozstajach dróg, stanowiła łatwo dostępny cel podróży w nibyprzestrzeni, który pokrywał się z położeniem planety w prawdziwej przestrzeni, a to czyniło ją wartościową. Arystokraci, odizolowani w swoich posiadłościach i skupieni na innych sprawach, nigdy nie zastanawiali się nad dogodną lokalizacją

Trawy. Zdziwiliby się, gdyby wiedzieli, że prawdziwe bogactwo nie skupia się w ich posiadłościach, jak wierzyli, tylko w pozaplanetarnych bankach, gdzie lokuje swoje środki znaczna część mieszkańców miasta. Niewielu bonów odwiedzało Miasto Ludu, a jeśli nawet się tam wybierali, ograniczali się do biur kupieckich. Mieszkańcy Wspólnoty, którzy pojawiali się w posiadłościach, milczeli na temat miejskich spraw. Przekonania, które bonowie żywili odnośnie do swojej społecznej i gospodarczej wyższości, we Wspólnocie już dawno porzucono na rzecz bardziej pragmatycznej wizji. Arystokraci nie zdawali sobie sprawy, że Dzielnica Handlowa stopniowo zmieniała się w ważny punkt przeładunkowy, który oferował tymczasowe zamieszkanie znacznej liczbie podróżnych.

Czekając na połączenie, tymczasowi goście zatrzymujący się w Hotelu Portowym często odwiedzali Wspólnotę w poszukiwaniu miejscowych atrakcji. Sprzedawcy trawiastych tkanin i obrazków oraz zręcznie wyplatanych wielobarwnych koszy w kształcie fantastycznych ptaków czy ryb prosperowali znakomicie. Dla wielu gości kontakt z rzeczywistością Trawy ograniczał się do zakupu takiej tandety. Arystokraci nie pozwalali na wycieczki autolotowe nad preriami. Dawniej Hotel Portowy organizował wyprawy na skraj bagiennego lasu, ale po zaginięciu łodzi pełnej ważnych osobistości zrezygnowano z tej atrakcji. Zwiedzać można było tylko Wspólnotę, co oznaczało nieprzerwany ruch Drogą Trawiastej Góry. Mieszkańców miasta nie dziwiły nowe twarze.

Dlatego, kiedy pewnego ranka Ducky Jones pojawiła się w stacji porządkowej w towarzystwie pięknej dziewczyny, oficer pomyślał po prostu, że jakaś przybyszka spoza planety uciekła z hotelu i wpadła w podejrzanе towarzystwo. Nie uważał Ducky Jones za złą kobietę. Ona i Święty Teresa prowadzili dwa największe domy zmysłów w Portowej i często podróżowali do Wspólnoty ze swoimi gosposiami i kucharkami. Ducky zazwyczaj znajdowała się na szczycie listy osób wspierających akcje dobroczynne, chyba że zdołał ją wyprzedzić Święty Teresa. Maszyny u Ducky były zadbane i rzadko powodowały u kogoś poważniejsze

obrażenia, a jej dziewczyny, chłopcy i genetycznie zmodyfikowane niewiadomoco nigdy nie próbowali zabić klienta.

– Co jest, Ducky? – spytał oficer, James Jellico. Był dobrze zbudowanym, muskularnym mężczyzną w średnim wieku, pokrytym zwodniczą warstwą miękkiego ciała, której zawdzięczał swoje przezwisko. – Powiedz staremu Galarecie, co tam masz.

– Żebym to ja wiedziała – odpowiedziała Ducky, podkreślając swoją niewiedzę ruchem ramion, a falbany jej luźnej sukni zatrzęsły się pod wpływem drżącej góry ciała. – Znalazłam to na swojej tylnej werandzie, pod sznurem do prania. – Jej głos brzmiał jak flet grający w tonacji molowej. Połyskujące brwi się uniosły, a krawędzie wytatuowanych powiek opadły na policzki.

– Trzeba to było odstawić do hotelu – odparł Galareta, posyłając dziewczynie ostre spojrzenie, które odwzajemniła szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

– Próbowałam – odrzekła, wzdychając i zaciskając dziecinne usta oraz machając dziecinną dłonią, na której nosiła bransoletkę zdobioną kamieniami, chowającą się między fałdkami tłuszczu. – Nie jestem głupia. Pomyślałam to samo, co ty. Wysiadło ze statku pasażerskiego i czeka na przesiadkę. Wyszło z Dzielnicy Handlowej i się zgubiło. Chciałam się dowiedzieć, jak ma na imię, ale nic nie powiedziało.

– Psychiczne? Naćpane?

– Nie wygląda.

– Może to jedno z tych, jak one się nazywają, odpersonifikowanych rzeczy, które sprzedają na Występku?

– Sprawdziałam, ale nie. Było używane, ale nikt przy nim nie majstrował, jak tam mają w zwyczaju.

– Co powiedzieli w hotelu?

– Postukali w te swoje klawiaturki, pomrugali do swoich ekraników i kazali mi to zabrać. Powiedzieli, że to nie ich. Nie mieli niczego podobnego, a nawet gdyby mieli, to nic im nie zginęło.

– A niech mnie.

– Właśnie tak powiedziałam. To raczej nie kogoś ze Wspólnoty, co?

– Znasz ich wszystkich równie dobrze jak ja, Ducky. Znasz każdą twarz, każdą figurę i wiedziałabyś, gdyby któryś z nich przybrał pięć funtów albo obraził swoją szwagierkę, zresztą tak samo jak ja.

– Zatem oboje wiemy, co pozostaje. Pozostają posiadłości. Tam jest mnóstwo nieznanomych twarzy. Ale to bardzo zastanawiające, czyż nie, mój drogi? Gdyby pochodziło stamtąd, już byśmy się na to natknęli.

Autolotom podróżującym pomiędzy Miastem Ludu a posiadłościami zezwalano na lądowanie wyłącznie w terminalu dla pojazdów w centrum miasta albo w porcie. Każdy autolot lądujący w porcie bądź mieście poddawano obserwacji. Gdyby ta cudowna istota o dziwnych oczach pojawiła się w którymś z tych miejsc, z pewnością ktoś by ją zauważył.

– Więc zeszło ze statku? – zasugerował Jellico.

– Znasz te głupie przepisy równie dobrze jak ja, drogi Galareto. Pasażerowie i załoga wynocha, odymianie w każdym porcie. Jak to coś mogło przeżyć na pokładzie podczas odrobaczania? Nie, nie zeszło z pustego statku. A także nie przyszło z hotelu. No i nie należy do mnie, do Świętego Teresy ani do żadnego z pomniejszych graczy w naszej okolicy, nic z tego. Obawiam się, że to twój problem, Galareto. Wyłącznie twój. – Ducky Johns zachichotała, fałdy jej luźnej sukni zadrżały pod wpływem nagłego trzęsienia ciała.

Jellico pokręcił głową.

– Wcale nie mój, Ducky, staruszko! Zrobię jej zdjęcie, a potem ją zabierzesz. Masz tam u siebie mnóstwo miejsca. Umieść to w pustym pokoju i czymś nakarm. Zbiornik zastojowy to nie miejsce na coś takiego. Tego nie trzeba zamrażać, tylko doglądać. Będzie mu lepiej u ciebie.

– Jak ty mi ufasz – odparła z głupawym uśmiechem.

– Och, wiem, że jej nie sprzedasz, Ducky. Jeśli nie potrafi mówić, to nie może oficjalnie wyrazić zgody, a ty wiesz, że wpadnę, żeby ją zobaczyć następnym razem, kiedy będę w Portowej, żeby sprawdzić tymczasowe zezwolenia. Wcześniej trochę popytam. Co za dziwna historia...

Patrzył na dziewczynę, ustawiając obrazownik, a ona odwzajemniała jego spojrzenie z odwróconą głową, tak że widział tylko jedno oko, pozbawione inteligencji. Ale kiedy skończył rejestrować obraz istoty,

a Ducky wyciągnęła rękę, dziewczyna przyjęła zdjęcie z uśmiechem, unosząc głowę i ponownie ją przekrzywiając, tak że zerknęła na niego z ukosa.

Galareta zadrżał. W tym spojrzeniu było coś dziwnie znajomego. Niemal tak dziwnego jak miejsce, z którego mogła pochodzić dziewczyna. Nie przyszła z drugiej strony bagna, to pewne. Nie przyleciała autolotem. Ani statkiem. Nie przyszła z hotelu. Co pozostało?

– Niech to wszystko szlag – wyszeptał, patrząc, jak stara Ducky ładuje dziewczynę z powrotem na trzykołowy jeźdźnik i zawraca w stronę Portowej. – Niech to wszystko szlag.

* * *

Następnego dnia po Polowaniu u bon Damfelsów Marjorie wstała przed świtem. Spała krótko i niespokojnie. Śniła o Hippae i były to groźne sny. Wstała w środku nocy i spacerowała po zimowych kwaterach, weszła do pokoiów dzieci, nasłuchiwała ich oddechów. Anthony cicho postękiwał i drżał przez sen, niemal tak samo jak El Dia Octavo tamtego dnia, gdy zobaczyła istoty na górskim grzbiecie. Marjorie usiadła na krawędzi łóżka chłopca i wodziła dłońmi po ramionach i piersi, głaszcząc syna, jakby był jednym z jej koni, wyciągając z niego lęk, dopóki nie znieruchomiał pod jej palcami. Drogi Tony, mały Tony, pierworodny i ukochany. Tak podobny do niej, że potrafiła odczytać każde mgnienie jego twarzy, każdą linię ciała. Współczuła mu, siłą woli odpędzając rozczarowania. Wiedziała, że i tak kiedyś się pojawią. Tak bardzo ją przypomina, że muszą nadejść, tak jak dzień przychodzi po nocy.

W sąsiednim pokoju smacznie spała Stella, rumiana w słabym świetle, z lekko rozchylonymi ustami. Każdego dnia stawała się coraz bardziej podobna do Riga – miała jego pasję, dumę i oszałamiająco kobiecą wersję jego przystojnej twarzy. Marjorie stanęła nad córką, ale jej nie dotknęła. Dotyk zbudziłby Stellę, która miałaby mnóstwo pytań i żądań – pytań, na które Marjorie nie potrafiła odpowiedzieć, i żądań, których nie mogła spełnić. Tak jak Rigo, pomyślała Marjorie. Zupełnie jak Rigo. Tak samo jak

on, Stella wymagała, żeby świat ją rozumiał, nawet gdy sama wymykała się wszelkiemu rozumieniu.

– Próbowałam poznać Riga. – Marjorie wyszeptała do siebie tę starą litanię, którą stale powtarzała, jak przeprosiny albo wymówkę.

Dawniej mówiła o tym księdzu Sandovalowi, a on wyznaczał jej pokutę, próbując naprawić to, czego nie sposób naprawić, nakazując posłuszeństwo i oddanie, aż w końcu poczuła się tak uwięziona, że już nie potrafiła prosić o przebaczenie. To, co mówiła księdzu Sandovalowi, było prawdą. Kiedy byli młodymi małżonkami, Marjorie miała w zwyczaju czekać, aż Rigo będzie bardzo zmęczony albo nawet zaśnie, i wtedy przytulała się do niego, przywierała całym ciałem, pragnąc poczuć go poprzez skórę, wyczuć wszystkie gładkie mięśnie, poznać jego ciało tak samo, jak poznała jego twarz. Zawsze gwałtownie reagował, namiętnie się na nią rzucając, aż zupełnie traciła grunt pod nogami. Nie miała sposobu na to, by poczuć, jaki jest naprawdę. Kiedy się od niego oddalała, skarżył się, że jest nieprzystępna. Gdy się zbliżała, całkowicie ją pochłaniał.

– Próbowałam mu powiedzieć – wyszeptała, wciąż patrząc na śpiącą Stellę. – Próbowałam mu powiedzieć tak samo, jak próbowałam powiedzieć tobie. – To także była prawda. Usiłowała powiedzieć: „Rigo, po prostu mnie przytul, delikatnie. Daj mi poznać rytm twojej krwi i oddechu”. Albo: „Stello, nie ruszaj się przez chwilę. Po prostu ze mną porozmawiaj. Pozwól, żebyśmy się nawzajem poznali”.

Marjorie przypominała sobie, jak leżała w stajni z brzuchem przyciśniętym do jednego ze źrebaków, który cicho spoczywał na sianie. Klacz rżała nad nimi, dotykając ich obojga miękkimi nozdrzami, aż cała trójka przesiąkła tą samą wonią siana i słomy. Marjorie czuła krew krążącą w żyłach źrebaka i gładkie mięśnie pokrywające kości. Później, kiedy źrebak dorósł i zaczęła go dosiadać, wiedziała, co się w nim porusza, i zrozumiała ducha, który wprawia go w ruch. Chciała w ten sam sposób poznać Riga, ale jej nie pozwalał.

Stella była taka sama. Zawsze pełna pasji. Zawsze w otchłani albo na wyżynach. Wciąż pragnęła brać, brać, brać, ale nie dawała w zamian ani odrobiny ciepła czy delikatności, nawet najprostszej czułości. Żadnego

przyciulania. Żadnych żarcików, którymi mogłyby się dzielić. Żadnego spokoju. Ale Stella nie dopuszczała do siebie także swojego ojca. Jeżeli w ogóle była zdolna do wyrażania uczuć, to zachowywała je dla swojej przyjaciółki w domu, świętej Elaine.

Marjorie czuła, jak serce jej głośno bije pod dotykiem dłoni, i uśmiechnęła się ze smutkiem. Była za stara na taką zazdrość. To nie jej serce tęskniło za Stellą, ale żołądek, zaciskający się od beznadziejnej miłości, której nie mogła okazywać. Okazywanie miłości Stelli było jak pokazywanie mięsa na wpół dzikiemu psu. Stella rzucała się na nią, połykała i miażdżyła kości. Okazywanie miłości Stelli było jak wystawianie się na atak.

– Tak naprawdę wcale mnie nie kochacie. Kiedy byłam mała, obiecaliście mi wycieczkę do Westriding, ale nigdy tam nie pojechaliśmy! – W ten sposób szesnastoletnia Stella wyrażała co najmniej ośmioletnie pretensje.

– Tysiąc razy ci tłumaczyliśmy, że dziadek był chory, Stello. Nie mógł przyjmować gości. Wkrótce potem zmarł.

– Obiecaliście, a potem sami postanowiliście, że nie powinniśmy jechać. Zawsze mówicie, że coś zrobimy, a potem nic z tego nie wychodzi. Teraz ciągniecie mnie do tego okropnego miejsca, zmuszacie do porzucenia przyjaciół, nawet nie pytając, czy chcę wyjechać! Dlaczego nie zachowujemy się jak prawdziwa rodzina? Chciałabym być siostrą Elaine. Brouerowie nie zachowują się tak jak wy.

– Jeśli jeszcze raz wspomni o Brouerach – powiedziała Marjorie do Riga – to ją uduszę.

– Są jej przyjaciółmi – odparł Rigo, zerkając na nią z zaciekawieniem. – Najlepszymi przyjaciółmi. Dlaczego ci się to nie podoba?

– Nie mówię, że mam coś przeciwko temu. Nie podoba mi się, że stanowią ideał, do którego jestem porównywana.

– Wszystkim dzieciakom wydaje się, że inne rodziny są idealne.

– Ja nigdy tak nie myślałam.

– Owszem, ale ty jesteś dziwna – stwierdził.

– Jestem dziwna – powiedziała teraz do siebie, spoglądając na śpiącą dziewczynkę, zastanawiając się, co takiego w Brouerach wzbudzało podziw Stelli. Jaka ich cecha ją pociągała? Prawdziwa rodzina? Co Stella przez to rozumiała?

– Żałuję, że Brouerowie nie są moją rodziną. – Stella powtarzała to dziesiątki razy, uparcie, bez dalszych wyjaśnień, wiedząc, że sprawia im ból, i właśnie tego pragnąc. – Oni robią wszystko razem. Chciałabym mieć taką rodzinę.

– Cóż, na Trawie będziemy mieli szansę zostać prawdziwą rodziną, Stello. Nie będzie tam nikogo innego. – Jednakże Stella nie chciała robić tego samego co inni. Izolacja nie mogła jej zmienić.

Stella zacisnęła zęby i wściekle zagroziła, że w ogóle nie poleci na Trawę. Przez kilka tygodni poprzedzających wylot Marjorie była pewna, że córka zaproponuje, by zostawili ją z Brouerami.

– Matko, pragnę zostać w Świątości z Brouerami. Chcieliby, żebym została.

Co by odpowiedziała?

– Dobrze, Stello. Ja również nie chcę jechać. Podobnie jak twój ojciec. Nie podoba mi się, że muszę zostawić swoich biedaków w Świętej Magdalenie. Rigo nie chce zostawiać swoich klubów, komitetów i wieczornych wypadów do miasta z Eugenie u boku. Jedziemy, ponieważ wydaje nam się, że musimy, by ocalić całą ludzkość. Ale tak naprawdę nie ma ku temu żadnego powodu. Zostań tutaj i umrzyj na zarazę, Stello. Ty, Elaine i cała idealna rodzina. Już mnie to nie obchodzi.

Żałowała swojego gniewu i spowiadała się z niego – zarazem nie wspominając o kilku innych grzechach, które jeszcze bardziej jej ciążyły – po czym otrzymała rozgrzeszenie, tylko po to, żeby znów go poczuć. A teraz byli na Trawie i Marjorie wciąż odczuwała gniew, żałowała, spowiadała się i zastanawiała, co robi ze Stellą, która była równie naburmuszona, zbuntowana i bezduszna jak w domu.

– Dlaczego, proszę księdza? – pytała Marjorie. – Dlaczego ona taka jest? Dlaczego Rigo taki jest?

– Przecież wiesz, dlaczego każdy... Kościół naucza... – Łagodnym starym głosem rozpoczął jedną ze swych uczonych i nieugiętych przemów.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Grzech. A nawet grzech pierworodny. Wiem, czego naucza Kościół. Naucza, że spada na mnie grzech popełniony przez ludzi tysiące lat temu. Jest w moich komórkach. W moim DNA. W jakiś sposób zmieszany z moim sercem, płucami i mózgiem, zarażający moją córkę...

Przekrzywił głowę.

– Marjorie, nigdy nie sądziłem, że grzech pierworodny jest przekazywany w komórkach.

– A niby skąd się bierze? Dlaczego w nas jest? Dusza pojawia się razem z ciałem, prawda, proszę księdza? Grzech przychodzi wraz z seksem, czyz nie? Przecież w łóżku nie spotykają się tylko nasze dusze.

Świętość odpowiedziała, że owszem, dusze spotykają się w łóżku. Świętość twierdziła, że małżeństwo trwa wiecznie. Zwłaszcza w niebie. Starokatolicy wierzyli w coś innego. Dzięki Bogu. Kiedy Marjorie umrze, przynajmniej to jedno dobiegnie końca.

Wtedy zapłakała, czując, że to wszystko jej wina. Ksiądz Sandoval pogłaskał ją po ramieniu, nie wiedząc, jak ją pocieszyć, nie potrafiąc bądź nie chcąc złagodzić jej poczucia winy. Nic nie było w stanie tego zrobić, nawet praca w Świętej Magdalenie, która miała stanowić pokutę.

Marjorie wyszła z pokoju Stelli, cicho zamykając za sobą drzwi, a jej umysł pracował według dawnych znajomych wzorów. Może kiedy Stella będzie starsza, w średnim wieku, będą mogły zostać przyjaciółkami. Stella za kogoś wyjdzie. Oddali się od nich, za sprawą odległości i czasu. Urodzi dzieci. W końcu może się zaprzyjaźnią.

Ta myśl sprawiła, że Marjorie pobladła, gwałtownie westchnęła i zgięła się wpół pod wpływem nagłego ataku ohydneho bólu. Może nie być na to czasu. To całe nadąsanie i brak radości – możliwe, że nie zdążą się z tym uporać. Stelli może zabraknąć czasu. Nie mają dowodu, że na Trawie nic im nie grozi. To tylko domysły i nadzieja. A dzieci nawet tego nie wiedzą. Nie mogli zdradzić im prawdziwego powodu przybycia. Zbytńio by ryzykowali. Tak stwierdziła Świętość, a Marjorie się zgodziła. Tony mógłby

się zapomnieć. Stella mogłaby się zbuntować. Oboje mogliby powiedzieć coś niedyplomatycznego do któregoś z bonów i los ludzkości zawisłby na włosku. Zakładając, że w plotkach jest chociaż odrobina prawdy. Zakładając, że na Trawie rzeczywiście nie ma zarazy.

Usiadła nieruchomo, czekając na nadejście poranka, uspokajając się za pomocą modlitwy.

Kiedy tylko światło wyraźnie rozbłysło ponad trawami, Marjorie zeszła do jaskini, w której trzymali konie. Chciała poczuć ich obecność, wciągnąć w nozdrza ich woń, dać się wyciszyć ich znajomą obecnością, nieskomplikowaną lojalnością i oddaniem. One nie odrzucały jej miłości, tylko tysiącrotnie odpłacały za choćby odrobinę uwagi. Chodziła od boksu do boks, głaszcząc i poklepując wierzchowce, rozdając kawałki słodkiego ciastka, które dla nich zachowała, aż w końcu przystanęła przy boksie Don Kichota i patrzyła, jak raz za razem grzebie kopytami w ziemi, nerwowo ją o coś prosząc. Otoczyła go ramionami.

– Mój Kichot – odezwała się. – Dobry konik. Cudowny konik. – Oparła twarz o jego hebanowy pysk, czując w uchu ciepły oddech i na chwilę zapominając o nadąsaniu Stelli, niewierności Riga, Hippae, ogarach i potworach, których wspomnienie nie dawało jej spokoju, stworzeniu nazywanym lisem oraz tym, co gdzie indziej nazywano zarazą. – Wyjdźmy na łąki.

Nie kłopotowała się jego osiodłaniem. To nie był czas na naukę. Ten poranek będzie należał tylko do niej i Don Kichota. Połączy ich więź intymniejsza od każdej, jaką знаła. Nie chciała, żeby cokolwiek oddzielało ją od jego skóry. Chciała dodawać mu otuchy każdym swoim mięśniem i czerpać od niego siłę.

Położyła się na jego szyi, gdy ruszyli od jaskini krętą dróżką prowadzącą na arenę. Ścieżka wiła się wzdłuż wąwozu, a następnie wspinała na szczyt wzniesienia.

Kiedy zbliżyli się do wzniesienia, skóra konia zadrżała. Zadygotał w ciszy, nie protestując nawet najcichszym rżeniem, jakby coś, co kryło się głęboko w jego sprzyjającym ludziom sercu, podpowiedziało mu, że jedyną szansą na zachowanie życia jest powstrzymanie się od wydawania

jakichkolwiek dźwięków. Z jego pyska wydobywał się tylko oddech, jak opuszczające go życie. Marjorie go czuła, tak samo jak każdy, nawet najbliższy ruch wierzchowca. Ześlizgnęła się z jego grzbietu jednym płynnym ruchem. Nie musiała wjeżdżać na szczyt wzniesienia, żeby się domyślić, co tam zobaczy. Żołądek podszedł jej do gardła, dławiąc ją gorącą żółcią. Zadrżała, jakby na wpół zamrożona. A jednak musiała zobaczyć. Musiała się dowiedzieć.

Dotknęła łopatki rumaka i pchnęła. Był nauczony, żeby w takim wypadku się położyć, i właśnie tak zrobił, niemal z zadowoleniem, jakby ledwie mógł się utrzymać na nogach. Przesunęła dłoń po jego boku, żeby go uspokoić – albo siebie – a następnie odpełzła na drżących rękach i nogach, wspinając się na wzniesienie nieco obok ścieżki, żeby móc z ukrycia spojrzeć w dół przez trawy rosnące na jej skraju.

Wtedy je zobaczyła. Były trzy. Tak jak trzy konie, które widziała, gdy jechali tutaj z Tonym i Rigiem. Trzy Hippae wykonujące ćwiczenia towarzyszące ujeżdżaniu, chodzące, kłusujące, galopujące, przebierające nogami, przecinające arenę po skosie. Robiły wszystko to, co ona robiła z Octavo, swobodnie, spontanicznie, z wyćwiczoną łatwością. W końcu ustawiły się obok siebie, odwrócone do niej tyłem, celując w nią ostrymi czubkami kręgów szyjnych, które przypominały połyskujące zasięki, groźne jak obnażone ostrza. Potem obejrzały się i podniosły wzrok ku miejscu, w którym się ukrywała, a ich ciemne ślepia zalśniły czerwono w blasku świtu.

Początkowo uznała to za rozrywkę. Rodzaj naśladownictwa. Te Hippae widziały ludzi oraz ich konie i rozbawiło je, co te zwierzęta z innego świata robiły ze swoimi ludzkimi jeźdźcami. Trzymała się tej myśli tylko przez chwilę, bezskutecznie próbując w nią uwierzyć. Wiedziały, że ona tutaj jest. Wiedziały, że na nie patrzy. Być może specjalnie zaplanowały te ćwiczenia tak, żeby zbiegły się w czasie z jej przybyciem...

To nie była rozrywka. W czerwonych ślepiach nie było ani odrobiny rozbawienia.

Nie została, żeby stawić czoło prawdzie. Uciekła ze wzniesienia, jakby się bała o swoje życie, do miejsca, w którym jej rumak leżał jak powalony,

zachęciła go, żeby wstał na drżących nogach, a następnie na wpół położyła się na jego grzbiecie, gdy, potykając się, pędził z powrotem w stronę Opalowego Wzgórza, do krainy ludzi, dokąd wiozła nową grozę, jakby знаła ich zbyt mało.

W tych czerwonych ślepiach dostrzegła kpinę – kpinę i coś jeszcze. Coś niezłomnego i bezlitosnego.

Złą wolę.

* * *

James Jellico wrócił do domu na obiad, jak często czynił, wiedząc, że jego żonę, Jandrę, zaciekawiały poranne wydarzenia. Żona Jellica nie miała nóg, a chociaż sprawnie chodziła na eleganckich protezach, które dla niej zdobył (drobna łapówka w porcie za odwrócenie wzroku, kiedy pełnił służbę celną), twierdziła, że sprawia jej to ból. Istniały wszczepki przeciwbólowe, ale Jandra, która często powtarzała, że nie chce, by ktoś grzebał jej w głowie, zazwyczaj wołała jeździć po domu w kołonożu, z którego korzystała od dzieciństwa. W domu, a także na podwórku dla drobiu. Jedną trzecią dochodu zapewniały im terrańskie gęsi i kaczki oraz ptaki szizz z Semlinga i tłuste, pyszne bezskrzydłe zwierzęta z planety Shafne, które Jandra nazywała mopsikami.

Jellico zastał żonę przy zagrodzie gęsi, gdzie karmiła je zieleniną, a one gęgały i wyrywały sobie nawzajem źdźbła trawy. Nuciała pod nosem, jak zawsze, gdy była zadowolona.

– Cześć, Jamesie – powitała go. – Właśnie postanowiłam, że zabiję tamtą na kolację. Jest taka zadowolona z siebie, że jej się należy.

Wskazana gęś zdołała wyrwać innej sporne źdźbło z dzioba i je połknąć, jednocześnie przekrzywiając głowę, żeby zerknąć jednym okiem na Galaretę. W jej lodowatym spojrzeniu oraz linii dzioba i szyi było coś, co wywołało w nim najpierw uczucie *déjà vu*, a następnie pełne przerażenia zrozumienie.

– Tamta dziewczyna – mruknął. – Właśnie tak na mnie patrzyła. – Teraz musiał jej opowiedzieć o dziewczynie, o Ducky Johns i o tym, jakie to

wszystko było dziwaczne. – Ono patrzyło na mnie w ten sam sposób, tak samo przekrzywiało głowę, jakby widziało mnie lepiej jednym okiem niż oboma. Jak jakieś zwierzę.

– Ptak – poprawiła Jandra.

– Ptak albo zwierzę – odrzekł Galareta cierpliwie. – Takie, u którego nie ma... jak to się nazywa... widzenia obuocznego. One tak robią. Przekrzywiają głowę, żeby cię lepiej widzieć.

– Dlaczego mówisz „ono”, skoro to była dziewczyna? Dlaczego nie „ona”?

– Chyba z przyzwyczajenia. W wypadku tych z Portowej łatwo się pomylić. Oni wyglądają jak one, a one jak oni. Dlatego mówię o nich wszystkich „ono”. – Wyjął wizerunek z kieszeni i włożył go do obrazownika, żeby jej pokazać.

Jandra pokręciła głową, zaskiwiona tym, co się dzieje na świecie. Nigdy nie nudziły jej nowe opowieści. Zaskakiwały ją nawet proste rzeczy, ale te okropne nigdy jej nie szokowały.

– Będę musiała odwiedzić Ducky i się tym zająć – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Popatrzyła na wizerunek, na oczy tego stworzenia. – To nie w porządku, żeby coś ludzkiego i bezradnego tam pozostało. Było coś nie tak z oczami tej dziewczyny?

– Niczego nie zauważyłem. Wydawało się, że wszystko z nią dobrze. Ładna, dobrze zbudowana, gładkie włosy i tak dalej. Tylko ta twarz. Popatrz.

– Co z jej twarzą?

– Jest pusta – odparł, po tym, jak przez chwilę z namysłem się jej przypatrywał. – Po prostu wygląda na pustą, to wszystko.

Nieco na wschód od Opalowego Wzgórza znajdowała się ukryta jaskinia Hippae, jedna z wielu, które można by znaleźć na Trawie, gdyby ktoś odważył się ich szukać. Jaskinię, osadzoną głęboko w zboczu wzgórza, z wąskimi otworami wejściowymi osłoniętymi przez potężne kępy cynobrowych traw, które opadały delikatnie falującą zasłoną, właśnie poddawano okresowym naprawom. Przy szparze położonej najdalej na północ krążyły odpowiedzialne za to istoty, przypominające krety migerery, wybitni kopacze, którzy dreptali pośród cynobrów i fuksji, wychodząc na niższe połacie fioletowych traw i wynosząc we włochatych workach udowych ziemię zdrapaną z posadzki sali Hippae.

Wewnątrz sali zacienioną pustkę podpierały filary z kamienia łamanego. Kamienie odkryto podczas kopania jaskiń, a następnie połączono za pomocą spoidła wykonanego z mieszanki ziemi oraz gówna kopaczy. Cóż to za cudowne stworzenia – budowniczy, niemal inżynierowie, twórcy jaskiń o niemałym talencie, którzy kopali dla siebie podobne, chociaż mniejsze jaskinie, połączone milami krętych tuneli.

W tej ogromnej sali migerery mrugały przymrużonymi oczami skrytymi głęboko pośród futra w kolorze indygo i świergotały do siebie nawzajem, jakby grały na flecie, brnąc poprzez jaskinię, pośpiesznie drapiąc wysoko położone miejsca pazurami o płaskich krawędziach, a następnie ubijając piach twardymi poduszkami na spodzie pracowitych tylnych łap.

Jeden z Hippae wszedł do jaskini, krocząc na potężnych trójdzielnych kopytach po wygładzonej posadzce, raz za razem przemierzając wnętrze,

z uznaniem kiwając potwornym łbem i lekko odsłaniając zęby, jakby powarkiwiał. Ostre jak brzytwa kolce na karku uderzały o siebie z dysonansowym brzęczeniem, gdy stwór zarzucał głową i ryczał w stronę stropu.

Migerery udawały, że tego nie widzą, a może rzeczywiście tak było. Nic się nie zmieniło w ich zachowaniu. Nadal przemykały pod samymi kopytami parującego potwora, zdrapując ziemię, napełniając nią futrzaste kieszenie, a następnie wybiegając na trawę, żeby pozbyć się dowodów swojej pracy. Dopiero kiedy skończyły, uczyniwszy posadzkę tak gładką, na ile pozwalały im instynktowne zdolności, zajęły się iskaniem krągłych brzuchów i małych twardych stóp oraz przeczesywaniem wąsików zakrzywionymi pazurami w kolorze kości słoniowej, mrugając ślepiami w półświecie wypełniającym szpary wlotowe. Potem rozległ się gwizd, skarga niesiona wiatrem, jakby nawoływanie zaniepokojonego ptaka, i stworzenia odeszły, zniknęły w trawie, jakby nigdy ich nie było. W jaskini za ich plecami Hippae kontynuował swą powolną paradę, co jakiś czas wydając ryki odbijające się echem, samotnie i dostojnie sprawdzając solidnie wykonaną pracę.

Odpowiedział mu drugi potwór, który wszedł do jaskini i również zaczął ją przemierzać. Potem pojawiły się trzeci i czwarty, a po nich wiele kolejnych. Krążyły po posadźce, wytyczając na niej złożone układy przecinających się i równoległych linii, dzieląc ją na dwójki, czwórki i szóstki, a następnie dwunastki i szesnastki. Całe rzędy potworów obracały się i tkwały skomplikowane wzory, a ich kopyta opadały z precyzją rzemieślniczych młotków na samodzielnie wytyczone szlaki.

Niedaleko stamtąd, w wiosce opodal Opalowego Wzgórza, Dulia Mechanic przewracała się niespokojnie na swoim łóżku, na wpeł obudzona przez podziemny grzmot.

– Co... co to jest? – wyszeptała zaspana.

– Hippae tańczą – odrzekł jej młody mąż Sebastian Mechanic, całkowicie rozbudzony, gdyż słuchał rytmicznego falowania od co najmniej godziny, podczas gdy ona cicho oddychała u jego boku. – Tańczą

– powtórzył, niepewny, czy sam w to wierzy. Poza tym coś innego zaprzętało mu myśli.

– Skąd wiesz? Wszyscy tak mówią, ale skąd możecie to wiedzieć? – zajęczała, wciąż nie do końca obudzona.

– Pewnie ktoś je widział – odparł, po raz pierwszy zastanawiając się, w jaki sposób ten ktoś zobaczył to, co rzekomo widział. Sebastian wolałby umrzeć niż skradać się w wysokiej trawie, szpiegując Hippae. – Ktoś, dawno temu – dodał szeptem, nie precyzując źródła, po czym wrócił do rozmyślenia o tym, o czym rozmyślał już od dawna, czyli o mieszkańcach Opalowego Wzgórza.

Pośród nocy, w jaskini, z której dobiegały grzmoty, Hippae prowadziły swojego zawilego kadryla do kulminacji.

Nagle, bez żadnego punktu szczytowego, wszystko dobiegło końca. Hippae wyszły z jaskini, pojedynczo i dwójkami, pozostawiając złożony i szczegółowy wzór wdeptany głęboko w posadzkę. Dla tych, którzy go wykonali, miał on znaczenie, które poza tym można było wyrazić jedynie za pomocą długiego ciągu drgnień zadu i charakterystycznych mrugnięć. Wiekowy język gestów, drzeń i niemal niedostrzegalnych ruchów, którym porozumiewają się Hippae, jest nieprzydatny do tego konkretnego celu, ale stwory znają też drugi język, którego nauczyły się dawno temu od innej rasy. Wzór wtłoczony kopytami w posadzkę jaskini to jeden ze sposobów zapisania – w formie obwieszczenia – pewnego nieuchronnego słowa.

* * *

W stajniach Opalowego Wzgórza konie nie spały, uważnie nasłuchując, jak czyniły to podczas wielu, a nawet większości nocy od czasu przybycia na Trawę. Millefiori zarząła do ogiera Don Kichota, a on z kolej do stojącej obok niego Irlandzkiego Dziewczęcia. Cichy grzechot przetoczył się wzdłuż boksów i z powrotem, jakby sprawdzano listę obecności.

„Tutaj” – odzywały się konie. – „Wciąż tutaj. Nadal nic”.

Ale coś się pojawiło. Zaczynały coraz wyraźniej to wyczuwać. Jak cień, który wzbudza lęk, albo most, po którym się nie przechodzi. Zagrożenie,

którego jeźdźcy zazwyczaj nie rozumieją. Przynajmniej większość. Tamta kobieta rozumiała. Zawsze. Jeżeli działo się coś takiego, nigdy nie naciskała. Nigdy. A one w zamian obdarzały ją pełnym zaufaniem. Kiedy naprowadzała je na wysoką przeszkodę, za którą nie mogły zajrzeć, to, chociaż nie wiedziały, co może się znajdować po drugiej stronie, wszystkie bez wyjątku ufały, że pozwoli im bezpiecznie wylądować. Nazywały to zaufaniem. Wiedziały, że ona ich nie zdradzi, żadnego z nich.

Oczywiście nie myślały za pomocą słów. Nie znały ich. Chodziło raczej o zrozumienie stanu rzeczy. Nagród i zagrożeń. Tamta rzecz na górskim grzbiecie. Ten odgłos pośród nocy, dźwięk, który próbował wpełznąć im do uszu, głów, zapanować nad wszystkim. To były zagrożenia.

Jednakże w ciemności było coś jeszcze, czego... nie potrafiły zidentyfikować jako zagrożenia ani nagrody. Walczyło ze straszliwym hałasem, oddalało sugestywne myśli. A zarazem nie podchodziło bliżej, nie częstowało sianem, nie głaskało po szyi. Po prostu tam było, jak oddychająca ściana, coś, czego w ogóle nie rozumiały.

Rzenie przetoczyło się z lewej do prawej, a następnie z powrotem. „Tutaj. Wciąż tutaj. Wszystko dobrze. Wciąż żyję. Nic...”.

„Nadal nic”.

* * *

Jandra Jellico spełniła groźbę i udała się w swoim kołonożu do Portowej, żeby odwiedzić Ducky Johns. Już wcześniej poznała Ducky i ją polubiła, pomimo branży, w której ta działała, nie w pełni akceptowanej przez Jandrę. Rozkosz to rozkosz i ludzie od wieków jej poszukują. Jednakże niektóre ze sposobów dążenia do niej Jandra uznawała za niesmaczne.

Ale nie poruszała tego tematu, gdy siedziała w prywatnej kwaterze Ducky Johns, sącząc herbatę i wpatrując się w dziewczynę, która siedziała na dywanie i mruzczała coś pod nosem. Kiedy coś ją swędziało, podciągała spódniczkę i się drapała, nieważne gdzie. Żadnych zahamowań, jak kotka, która liże się tam, gdzie to konieczne.

– Ojej – odezwała się Jandra. – Nie możesz jej tutaj trzymać, Ducky.

– A kto tego chce? – odparła naburmuszona Ducky, kręcąc malutkimi dłońmi, żeby wyrazić niewinne rozdrażnienie. – To twój Galareta zmusił mnie, żebym ją tutaj przywiozła. Ona nie jest mi do niczego potrzebna, moja droga. Nie mogę jej sprzedać. Kto by ją zechciał? Trzeba ją wyszkolić, zanim do czegokolwiek nam się przyda.

– Korzysta z nocnika? – dopytywała się Jandra.

– Poza jedzeniem tylko to potrafi. Tak samo jak mój szczeniak, piszczy, kiedy ma potrzebę.

– Próbowowałaś...?

– Niczego nie próbowałam. Nie zdążyłam. Praca zajmuje mi całe dni. Nie mam czasu na głupoty! – Drobne dłonie znów zawirowały, a następnie złożyły się w nieugiętą bryłę, która spoczęła na kolanach Ducky. – Powiedz mi, że ją zabierzesz, Jandro. Obiecuj. Twój mąż by się nie zgodził, gdyby chodziło o kogokolwiek innego.

– Ależ tak, zabiorę ją – zgodziła się Jandra. – A raczej kogoś po nią przyślę. Ale to bardzo dziwne. Wręcz przedziwne. Skąd ona się wzięła?

– Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, moja droga, czyż nie?

Jandra posłała po dziewczynę po południu. Następnie przez kilka dni uczyła ją niezadzierania spódnicy, jedzenia palcami zamiast zanurzania twarzy w talerzu, a także samodzielnego korzystania z nocnika, bez piszczenia. Kiedy to osiągnęła, skontaktowała się z Kinny Few za pomocą wiadofonu i zaprosiła ją do siebie. Razem popijały herbatę, skubały ciastka z nasion przyniesione przez Kinny i patrzyły, jak dziewczyna bawi się piłką na podłodze.

– Myślałam, że może wiesz, kim ona jest – zagadnęła Jandra. – Albo kim była. Z pewnością nie zawsze tak wyglądała.

Kinny długo się zastanawiała. Dziewczyna przekrzywiła głowę w sposób, który wyglądał znajomo, ale Kinny nie potrafiła stwierdzić, kogo jej to przypomina. Na pewno nikogo ze Wspólnoty.

– Pewnie przyleciała na pokładzie któregoś ze statków – zasugerowała, chociaż już słyszała, że to niemożliwe. – Na pewno.

– Też tak uważam – zgodziła się Jandra. – Ale James zaprzecza. Po prostu pojawiła się na tylnej werandzie domu Ducky Johns. Zupełnie, jakby

się tam wyklula. Zresztą pamięta tyle samo co jajo.

– Co z nią zrobisz? – chciała wiedzieć Kinny.

Jandra wzruszyła ramionami.

– Chyba poszukam jej domu. I to szybko, bo James zaczyna się niecierpliwić.

Prawdę mówiąc, Galareta wcale nie tracił cierpliwości. Chociaż był bezgranicznie oddany Jandrze (a oboje mieli podobne spojrzenie na wierność), bliskość ciała tej dziewczyny, uroczej i pozbawionej hamulców, jak na wpół wytresowane zwierzątko, wywoływała w nim niepokojące pragnienia.

– Tydzień – powiedział Jandrze. – Dam ci tydzień. – Uznał, że tak długo zapewne zdoła nad sobą panować.

* * *

Rigo koniecznie chciał wyprawić dyplomatyczne przyjęcie. Wtórowała mu w tym Eugenie, gdyż znużeni się jej mieszkańcy Opalowego Wzgórza, a nie miała prawa wybrać się gdziekolwiek indziej. Nawet nie mogła uczestniczyć w Polowaniach. Po łowach zorganizowanych przez bon Damfelsów odbyły się kolejne trzy Polowania, w których Yrarierowie brali udział jako obserwatorzy; dwukrotnie jako rodzina, a raz wspólnie z gośćmi – księdzem Sandovaliem oraz księdzem Jamesem. Tony stwierdził, że to wystarczyło, by się przekonać, że wszystkie Polowania są takie same. Dlatego odmówili udziału w kolejnych łowach, tym samym utwierdzając bonów w ich uprzedzeniach. Rigo jednak miał już na głowie inne sprawy. Roald Few przywiózł niektóre elementy wystroju letnich kwater i obiecał, że prace dobiegną końca w ciągu dwóch tygodni.

– Zasłony, dywany, meble, projektory ściennie. Wszystko eleganckie i najwyższej jakości.

– Rigo chce wyprawić przyjęcie dla bonów – poinformowała go Marjorie.

– Hmmf – parsknął Person Pollut.

– Ależ Pert – skarcił go Roald. – Ambasador nie wie. Podczas sezonu Polowań, Lady Westriding, nie uda mu się zaprosić nikogo poza

drugorzędnymi przywódcami albo gorzej. Ludźmi, którzy nie uczestniczą w łowach. Myśliwym nawet przez myśl nie przejdzie, żeby się zjawić, nie rozumiecie tego?

– Przyjedzie Eric bon Haunser, ale nie Obermun?

– Właśnie. Z bon Damfelsów pofatygowalby się wyłącznie Figor. Obermun nie chodzi w miejsca, które omija Obermun. Tak się nie robi. Cała reszta rodziny – to, co z niej pozostało – poluje.

Marjorie wpatrywała się badawczo w jego szczerą twarz. Roald nie sprawiał wrażenia przebiegłego i jak dotąd traktował ją uczciwie.

– Potrzebuję informacji – powiedziała w końcu bardzo cicho.

Roald również ściszył głos.

– Pozostaję do pani dyspozycji, Lady Westriding.

– Bon Damfelsowie byli w żałobie, kiedy ich odwiedziliśmy.

– Tak.

– Stracili córkę w wypadku podczas Polowania. Eric bon Haunser stracił obie nogi, również na łowach, jak twierdzi. Kiedy rozejrzałam się dokładnie podczas tamtego pierwszego Polowania, zobaczyłam więcej biotycznych protez niż przez cały ostatni rok w ojczyźnie. Chciałabym zrozumieć te wypadki.

– Ach. No cóż. – Roald przestąpił z nogi na nogę.

– Są różne rodzaje wypadków – odezwał się Persun cichym i rzeczowym głosem wykładowcy. – Niektórzy spadają. Inni zostają przebici. Można obrazić ogara. Zdarzają się także zniknięcia. – To ostatnie powiedział niemal szeptem, a Roald przytaknął.

– Przynajmniej tak uważamy, proszę pani. Służący z posiadłości to nasi krewni. Widzą i słyszą różne rzeczy, a później nas informują. Kiedy trzeba, składamy elementy układanki, nawet jeśli te do siebie nie pasują.

– Spadają? – zdziwiła się Marjorie. Jeźdźcom często się to przydarza, ale rzadko kończy się śmiercią.

– I zostają stratowani. Kiedy jeździec spada, wierzchowce wdeptują go w trawę, aż nic z niego nie zostaje.

Marjorie pokiwała głową, czując mdłości.

– Jeżeli pani widziała Polowanie, to z pewnością rozumie pani, w jaki sposób jeździec może zostać przebity. Co zaskakujące, nieczęsto się to zdarza. Młodzi całymi dniami ćwiczą na symulatorach, ucząc się unikania tych zakrzywionych ostrzy. Ale od czasu do czasu ktoś mdleje albo wierzchowiec zatrzymuje się zbyt gwałtownie i jeździec upada do przodu.

Marjorie otarła usta, czując smak zółci.

– Obrażenie ogara zazwyczaj skutkuje odgryzieniem jednej albo obu rąk, nóg, dłoni czy stóp, gdy jeździec zsiada po zakończeniu Polowania.

– Obrażenie...?

– Niech nas pani nie pyta – odparł Persun. – We Wspólnocie nie ma ogarów. Nie mogą wchodzić do miasta, a nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszcza się daleko na trawy, gdzie one mieszkają. Blisko wiosek ich nie ma, ale dalej... Ci, którzy tam chodzą, nie wracają. Naprawdę nie wiemy, jak można obrazić ogara. Z tego, co wiemy, bonowie również tego nie wiedzą.

– A zniknięcia?

– Po prostu, ktoś wyrusza na Polowanie i nie wraca. Wierzchowiec również znika. Zazwyczaj przytrafia się to młodym myśliwym. Znacznie częściej dziewczętom, rzadko chłopcom.

– Komuś, kto jedzie na końcu, tak że reszta nie zauważa? – spytała Marjorie pod wpływem nagłego olśnienia.

– Tak.

– Co się stało z córką Damfelsów?

– To samo, co zeszłej jesieni z Janettą bon Maukerden, na której tak zależało Shevloкови bon Damfelsowi. Zniknęła. Żona mojego brata Canona ma kuzynkę, Sallę, która pracuje jako pokojówka w posiadłości bon Damfelsów. Wychowała Dimity praktycznie od niemowlęcia. Zeszłej jesieni Dimity miała wrażenie, że jeden z ogarów ją obserwuje, i powiedziała o tym Rowenie. Podczas kolejnego Polowania sytuacja się powtórzyła. Rowena i Stavenger pokłócili się i Rowena zakazała dziewczynie udziału w łowach do końca sezonu. Jednakże wiosną Stavenger zdecydował, że Dimity wróci do Polowań. Podczas pierwszych wiosennych łowów: Puf! Rozpłynęła się w powietrzu.

- Mówisz, że miała na imię Dimity? Ile miała lat?
- Diamante bon Damfels. Najmłodsza córka Stavengera i Roweny. Miała około siedemnastu lat według terrańskiej rachuby czasu.
- Bon Damfelsowie mieli pięcioro dzieci?
- Siedmioro, pani. Dwójka innych zginęła jako młodzi myśliwi. Chyba zostały stratowane. Przykro mi, ale nie pamiętam ich imion. Teraz pozostali tylko Amethyste, Emeraude, Shevlok i Sylvan.
- Sylvan – powtórzyła, przypominając go sobie z pierwszego Polowania. Nie uczestniczył w innych łowach, które obserwowali. – Nie przyjdzie na przyjęcie, ponieważ poluje.
- Roald pokiwał głową.
- Zawsze pozostaje wygaśnięcie – mruknął Persun.
- Zupełnie o nim zapomniałem – przyznał Roald z rozdrażnieniem. – Mam prawie dziesięć trawiańskich lat, a zapomniałem o wygaśnięciu.
- Co to takiego?
- Każdej wiosny następuje czas, gdy wierzchowce i ogary znikają. Z tego, co wiem, nikt nie ma pojęcia, dokąd się udają. Może to ich okres godowy? Albo wydają wtedy na świat młode? Bądź coś w tym rodzaju. Czasami ludzie słyszą ujadanie i wycie, które trwa przez tydzień albo nieco dłużej.
- Kiedy? – spytała Marjorie.
- Kiedy przychodzi czas. Nie ma dokładnie wyznaczonej daty. Czasami to następuje wcześniej, czasami później. Ale zawsze wiosną.
- Ale czy wszyscy na planecie wiedzą, kiedy to się dzieje?
- Każdy, kto żyje pośród traw, pani. We Wspólnocie nie zwrócilibyśmy na to większej uwagi. Jednak tutaj owszem, wszyscy wiedzą. Chociażby dzięki temu, że gdy pewnego dnia stawiają się na Polowanie, wierzchowce ani ogary nie przychodzą. Zatem wiedzą.
- Więc gdybyśmy wysłali wiadomość o treści: „Trzeciego wieczoru wygaśnięcia zapraszamy...”.
- Nikt nigdy tego nie robił – wyszeptał Persun.
- Więc dlaczego ktoś nie miałby być pierwszy? – odparł Roald. – Jeśli pani mąż jest tak zdeterminowany, to warto spróbować. Albo zaczekać do

lata, kiedy ustają Polowania. Wtedy można urządzić przyjęcie pomiędzy letnimi balami.

Rigo nie chciał tak długo czekać.

– To ponad półtora roku według terrańskiej miary czasu – odparł. – Musimy zacząć otrzymywać jakieś informacje od bonów, Marjorie. Nie ma czasu do stracenia. Wszystko przygotowujemy i wyślemy zaproszenie, gdy tylko doprowadzimy to miejsce do porządku. Bon Haunser z pewnością się do mnie odezwie, jeśli naruszymy granice miejscowych zwyczajów.

Zaproszenia przekazano za pomocą wiadofonu do wszystkich posiadłości. Ku zaskoczeniu Marjorie, szybko zaczęły nadchodzić liczne potwierdzenia przybycia. Marjorie poczuła silną treść i przeszła do letnich komnat, żeby dodać sobie otuchy.

Pokoje chłodu uległy przemianie. Wciąż było w nich zimno, lecz teraz lśniły kolorami. Ze szklarni w wiosce – która była na wpół zrujnowana, dopóki Rigo nie nakazał jej odbudować – przywieziono olbrzymie bukiety kwiatów spoza planety. Terrańskie lilie i semele z Semlinga połączono z pióropuszcami srebrnej trawy, tworząc ogromne wonne kopce, które odbijały się bez końca w przeciwległych lustrach. Marjorie postarała się o holo-zapisy cennych dzieł sztuki, które Yrarierowie pozostawili na swojej planecie, i teraz kopie lśniły na ścianach oraz piedestałach rozstawionych pośród kosztownych mebli.

– To piękny stół – stwierdziła, przesuwając palcami po satynowym drewnie cieniowanym błękitem.

– Dziękuję, pani – odrzekł Persun. – Mój ojciec go zbudował.

– Skąd bierze drewno tutaj, na Trawie?

– Większość importuje. Chociaż bonowie wiele mówią o tradycji, od czasu do czasu chcą dostać coś importowanego i nowego. Ale sprzęty dla nas wyrabia z drewna z bagiennego lasu. Rosną tam wspaniałe drzewa. Jeden z lasów nazywamy błękitnym skarbem, a w innym drzewa w zależności od światła przyjmują bladozieloną albo ciemnofioletową barwę. Nazywamy to drewno kępiórem.

– Nie wiedziałam, że ktokolwiek może wchodzić do bagiennego lasu.

– Ależ wcale tam nie wchodzimy. Skraj lasu ma długość stu mil, a my wykorzystujemy tylko drzewa rosnące na obrzeżach. Poza tym ścinamy ich niewiele. Z rdzennych gatunków drewna robię boazerię w pani pokoju. – Długimi godzinami projektował boazerię do jej gabinetu. Pragnął, żeby Marjorie go pochwaliła.

– Naprawdę? – odezwała się z zadumą. Na zewnątrz, na tarasie otoczonym balustradą, krążyła niespokojnie smukła postać: Eugenie. Żałosna. Dziecinna. Z głową opuszczoną jak zwiędły kwiat. Marjorie dotknęła palcami modlitewnika i przypomniała sobie o pewnych cnotach. – Przepraszam na chwilę, Persunie.

Uklonił się bez słowa, a gdy odeszła, udawał, że jej nie obserwuje.

– Eugenie. – Marjorie powitała ją z niezręczną życzliwością. – Prawie się nie widywałyśmy od przybycia. – Nie widywała jej także w domu, ale to był inny świat i wszystkie porównania były odpychające.

Kobieta się zaczerwieniła. Rigo mówił jej, żeby trzymała się z daleka od dużego domu.

– Nie powinno mnie tutaj być. Pomyślałam, że uda mi się zabrać do miasta z kupcem, to wszystko.

– Potrzebujesz czegoś?

Eugenie ponownie splonęła rumieńcem.

– Nie. Niczego nie potrzebuję. Po prostu postanowiłam pochodzić po sklepach. Może przenocuję w Hotelu Portowym i obejrzę widowisko...

– Pewnie się tutaj nudzisz.

– Rzeczywiście jest cholernie nudno – wypaliła bez namysłu, po czym zaczerwieniła się z zażenowania i łzy napłynęły jej do oczu.

Tym razem to Marjorie się zawstydziała.

– Zachowałam się nietaktownie, Eugenie. Posłuchaj. Wiem, że nie jesteś wielką miłośniczką koni, ale może sprawdź, czy we Wspólnocie nie sprzedają jakichś innych zwierzaków?

– Zwierzaków?

– Nie wiem co mogą tam mieć. Może psy albo kociaki. Jakieś ptaki lub coś egzotycznego. Małe zwierzęta są bardzo zabawne. Zajmują dużo czasu.

– Och, jego mi nie brakuje! – wykrzyknęła Eugenie, niemal gniewnie.

– Rigo... cóż, Rigo jest bardzo zajęty. – Marjorie popatrzyła ponad balustradą tarasu w stronę zwielokrotnionych horyzontów w części trawiastego ogrodu, którą nazywano Blaknącą Panoramą. Każdy grzbiet częściowo przesłaniał kolejny, który był nieco bledszy od poprzedniego, aż w końcu wzgórze niemal niedostrzegalnie łączyło się z niebem. Z rozbawieniem uświadomiła sobie, że w taki sam sposób zblakła jej pierwotna wrogość wobec Eugenie, zmieniając się w mglistą tolerancję, której niemal nie dało się odróżnić od niepewnej akceptacji. – Wkrótce urządzimy nasze pierwsze oficjalne przyjęcie. Może tam kogoś poznasz... – Jej głos zblakł tak samo jak linia horyzontu przed jej oczami. Kogo może poznać Eugenie? Dzieci jej nie znoszą. Służący uważają ją za śmieszna. Nikt spośród bonów nie chciałby mieć z nią nic wspólnego. A może jednak? – Chcę ci przedstawić pewnych ludzi – rzekła z namysłem Marjorie. – Mężczyznę nazwiskiem Eric bon Haunser. A także Shevloka, najstarszego syna bon Damfelsów.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – zapytała Eugenie z dziecinną złością. – Przedstawiając mnie mężczyznom?

– Próbuję zadbać o to, żebyś miała towarzystwo – odrzekła Marjorie łagodnie. – Zależy mi na tym, żebyśmy wszyscy je mieli. Jeśli niektórzy z mężczyzn zainteresują się tobą, Stellą, a może także mną – chociaż do tego nie przyznają się oficjalnie – być może będą nas częściej odwiedzać. W końcu przybyliśmy tutaj w jakimś celu.

– Nie zachowuj się tak, jakbym o czymkolwiek wiedziała, bo tak nie jest. Rigo niczego mi nie powiedział!

– Ależ moja droga – odparła Marjorie, bardziej zaszokowana niż była się skłonna przyznać, nawet przed sobą. – Na pewno coś powiedział! W przeciwnym razie, po co byś z nami przyjeżdżała?

Eugenie tylko wpatrywała się w nią szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami. Ta kobieta wyszła za Roderiga Yrariera, jest jego żoną i matką jego dzieci... Czy to możliwe, że naprawdę nie wie?

– Ponieważ go kocham – odpowiedziała w końcu, niemal szepcząc. – Myślałam, że wiesz.

– Cóż, ja także – odrzekła Marjorie krótko, wierząc, że to prawda. – Ale mimo to nie przyleciałabym na Trawę, gdybym nie znała powodów.

* * *

Chociaż Eugenie niezbyt spodobała się rada Marjorie dotycząca zwierzaków, postanowiła z niej skorzystać. W normalnych okolicznościach zignorowałyby ją dla zasady, ponieważ pochodziła z ust żony Riga, a jemu raczej nie spodobałoby się, że jego kochanka słucha rad jego żony. Jednakże Eugenie nie mogła sobie pozwolić na zignorowanie czegokolwiek, co uwolniłoby ją od przytłaczającej nudy. W ojczyźnie bywała na przyjęciach, w restauracjach i ciekawych miejscach. Robiła zakupy, przymierzała ubrania i rozmawiała z fryzjerkami. Śmiała się i plotkowała. A to wszystko przenikał, niczym złota nić wpleciona w zwiewny szyfon jej życia, Rigo. Co prawda, często nie miała go przy sobie, ale był obecny w tle, zapewniając jej wszystko, czego potrzebowała, sprawiając, że czuła się doceniana i ważna. Rigo wyjaśnił jej, że mężczyźni tacy jak on, zaangażowani w istotne zadania w różnych komisjach i klubach, potrzebują kobiet takich jak ona, jako niezbędnego oddechu od męczących, ale pilnych obowiązków, do których są powołani. Dlatego kobiety takie jak ona są tak ważne. Eugenie często o tym rozmyślała. Mężczyźni mówili jej wiele miłych rzeczy, ale nigdy wcześniej nie twierdzili, że jest ważna. To najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszała.

A zatem znalazła się tutaj, razem z Rigiem, ale widywali się tak rzadko, że równie dobrze mogłaby zostać na Terrze z jakimś innym opiekunem – co, prawdę mówiąc, rozważała. Gdyby miała na oku innego mężczyznę, zapewne zdecydowałyby się zostać. Jednakże, gdy porównała szukanie nowego kochanka z niedogodnościami związanymi z pakowaniem i zimnosnem, uznała, że to pierwsze byłoby znacznie bardziej kłopotliwe. Nie chodziło nawet o znalezienie mężczyzny, ale o jego poznanie. Nauczenie się jego zwyczajów. Poznanie jego ulubionych potraw,

zapachów, kolorów i łóżkowych sztuczek. Wszyscy mężczyźni wierzą, że znają takie wyjątkowe sztuczki.

Poza tym kochała Riga. Kiedy powiedziała o tym Marjorie, wcale nie kłamała. Kochała go zapewne najbardziej ze wszystkich mężczyzn, z którymi była związana. Dawał jej najwięcej radości.

Ale tutaj Rigo nie był radosny. A kiedy w miłości brakuje dobrej zabawy, zastępują ją nuda, monotonia i ból. Ludzie potrzebują tego, co daje im radość. Słowa Marjorie dotyczące zwierzaków zapewne były najlepszą radą, jakiej ktokolwiek jej udzielił, mimo że pochodziły z ust żony Riga.

Eugenie poprosiła Roalda Few o podwiezienie do Miasta Ludu i dobrze się bawiła podczas podróży, ponieważ Roald i pozostali mężczyźni mówili jej wiele miłych rzeczy. To Roald zaproponował, żeby skontaktowała się z Jandrą Jellico.

– Jeśli szuka pani czegoś małego, oswojonego i miłego, Jandra na pewno coś takiego ma, albo wie, gdzie to znaleźć. Dostanie u niej pani niemal wszystko, co ma futro, pióra i ładną skórę. – Ostrzegł ją także, że Jandra korzysta z kołonoğu, jakby Eugenie była osobą skłoną do nieuprzejmych uwag lub spojrzeń.

Jandra już po półgodzinie wiedziała o niej wszystko, tak samo jak Roald. Doceniała wagę problemu i nieco współczuła Eugenie, a zarazem błogosławiła jej opiekuńcze duchy za to, że Eugenie właśnie teraz pojawiła się ze swoim dylematem.

– Mam dla pani coś idealnego – stwierdziła. – Dostałam to od Ducky Johns z Portowej. Ducky nie mogła tego zatrzymać w domu zmysłów pośród rozwiązyjących klientów, więc musiałam to sprowadzić tutaj i umieścić w drugiej sypialni.

Potem to przyprowadziła, pełne ślicznej smukłości i długowłosej słodczy, zerkające ukradkowo głupiutkimi oczami, odziane w dziewczęcą skórę i zapach, ubrane w ładną spódniczkę, którą nauczyło się trzymać opuszczoną.

– Nazywam ją Gąską – powiedziała Jandra, ale nie wytłumaczyła dlaczego. Eugenie nie dysponowała tak przeszywającym spojrzeniem jak Galareta, który jako jedyny zwrócił uwagę na to bezmyślne, ptasie

spojrzenie, które spoczywało na każdym po kolei, jakby Gąska pytała świat, czego należy się obawiać, a zarazem wiedziała w swoim malutkim ptasim mózdzku, że jest coś takiego.

– To dziewczyna – stwierdziła Eugenie, nie robiąc z tego wyrzutu, ale nie pozostawiając żadnych wątpliwości. – Nie zwierzę.

– Cóż, są co do tego różne opinie – odparła Jandra, ściskając czubek nosa palcami, co czasami robiła, gdy rozpatrywała jakąś sytuację z etycznego punktu widzenia. – Nie zna swojego imienia. Nie potrafi się samo ubrać. Umie korzystać z toalety, za co jestem bardzo wdzięczna losowi, więc przynajmniej w jednej kwestii przewyższa szczeniaka, a zresztą nie mam psów ani nie znam nikogo, kto je ma, więc nie ma o czym mówić. Przez większość dnia siedzi i szczotkuje sobie włosy, lubi jeść niemal wszystko to, co my, i prawie nauczyło się używać łyżki. Czasami wydaje jakiś dźwięk, jakby chciało coś powiedzieć. Ale robi to rzadko i samo jest wtedy zaskoczone.

– Powinna pani mówić o niej „ona” – poprawiła ją Eugenie. Ślicznotka bez wątpienia była kobietą, i to wyrośniętą.

– Cóż, co do tego także są różne opinie. Ale zgadzam się i również myślę o niej „ona”. Poza tym lubi zabawę. Turla piłkę i bawi się pomponem na sznurku.

– Jak kociak – zamruczała Eugenie. – Myśli pani, że pozwolą mi ją zatrzymać?

Jeżeli nie, wtedy Gąska będzie na ich głowie, pomyślała Jandra, a nie na mojej. Na razie to ona musi się przejmować tymi ślicznymi włoskami, cudownym ciałkiem oraz słodką buźką pozbawioną cienia rozumu. Poprzedniego wieczoru widziała, jak Galareta patrzy na dziewczynę w ten szczególny sposób, dlatego wiedziała, że musi się jej jak najszybciej pozbyć, nie zważając na etykę. Z drugiej strony, gdyby nie chodziło o Eugenie, tylko o kogoś innego – powiedzmy Marjorie Westriding – Jandra nie czułaby się pewnie, oddając Gąskę jako domowe zwierzątko. Ktoś taki jak Lady Westriding – Jandra słyszała o niej wszystko z ust Roalda Few, podobnie jak każdy, kto nie jest głuchy – zaczęłby drążyć i kombinować, zmieniając życie tego biedactwa w koszmar. Jandra nie

mogła też przekazać Gąski jakiemuś mężczyźnie, chociaż wolałaby to zrobić niż pozwolić, by użył jej James.

Tymczasem Eugenie, cóż, nie była rozwiązła i nie wyglądała na kogoś, kto zacznie szukać przyczyn albo winnych. Nie skrzywdzi tego stworzenia ani nie zacznie się zastanawiać, skąd przybyło do Portowej i jak znalazło się pod sznurem na bieliznę za domem Ducky Johns. Zobaczy tylko chodzącą lalkę naturalnych rozmiarów, którą można czesać, ubierać i z którą można się bawić. Jandra miała wrażenie, że to najlepsze rozwiązanie dla Gąski, której groził znacznie gorszy los.

Jeden z robotników Roalda Few odwiózł Eugenie oraz jej nowe zwierzątko do Opalowego Wzgórza i wysadził je za Blaknącą Panoramą, skąd Eugenie mogła niezauważona dotrzeć do swojego domku. Eugenie już miała tuzin planów wobec Gąski. Między innymi zamierzała ją nauczyć tańczyć, ale kolejne pomysły dotyczyły uszycia dla niej oszałamiających sukien oraz nadania jej nowego, niezwykle eleganckiego imienia.

* * *

Marjorie zapukała do drzwi gabinetu Riga, a następnie weszła, usłyszawszy jego głos.

– Przyszłam za wcześnie?

– Wejdz – powiedział głosem niewyraźnym ze zmęczenia. – Asmira jeszcze nie ma, ale lada chwila powinien się pojawić. – Ułożył kilka kartek na kupkę, wrzucił je do skrzynki, zamknął ją na klucz i wyłączył swój węzeł. Barwne pasy falowały na milczącym wiadofonie w kącie pokoju. – Wyglądasz na równie znużoną jak ja.

Roześmiała się bez przekonania.

– Nic mi nie jest. Stella jak zwykle marudzi. Jakiś czas temu poprosiłam Persuna, żeby zabrał ją do wioski. Myślałam, że znajdzie tam kogoś, z kim będzie mogła spędzać czas. Pojechała raz czy dwa razy i nie chce tam wracać. Twierdzi, że mieszkają tam sami prowincjusze, głupi jak buty.

– Cóż, zapewne ma rację.

– Nawet jeśli... – zaczęła Marjorie, zamierzając powiedzieć coś o pysze, ale w porę zdała sobie sprawę, że tylko rozdrażni Riga. – Tony tak nie uważa. Znalazł tam towarzystwo.

– Być może Stella pozna jakąś pokrewną duszę podczas przyjęcia.

Marjorie pokręciła głową.

– Nie będzie tam nikogo w jej wieku.

– Zaprosiliśmy całe rodziny.

– Nie będzie tam nikogo w jej wieku – powtórzyła Marjorie. – Zupełnie jakby nie chcieli pozwolić na żadne... zacieśnianie więzów.

Rigo poczerwieniał z wściekłości.

– Ci przekłeci, ograniczeni... – Jego głos zmienił się w nieartykułowane warczenie, dlatego z radością powitał pukanie do drzwi.

Służący ogłosił przybycie Asmira Tanliga, który od czasu, gdy go zatrudniono, zajmował się zdobywaniem informacji na temat chorób na Trawie. Kto umarł i na co? Kto jest zarażony i czym? Kto był u lekarzy we Wspólnocie i z jakiego powodu? Posadził swoje niewielkie kanciaste ciało naprzeciwko Roderiga i Marjorie, zaciskając usta, i przerzucał papiery drobnymi precyzyjnymi dłońmi, przygotowując się do przekazania tego, co odkrył.

– Prawdę mówiąc, proszę państwa, nie dowiedziałem się zbyt wiele. U bonów zazwyczaj chodzi o ciężę, wypadki na Polowaniach oraz odnawianie wątroby, ze względu na to, ile piją. – Wytarł usta czystą chusteczką i jeszcze bardziej ściszył głos, nachylając się nad biurkiem Riga, zalanym płamą światła lampki rozpraszającego zmierzch. – Poprosiłem swoją rodzinę we Wspólnocie, żeby popytała, czy ktoś zniknął...

– Wiemy, że tak – szepnęła Marjorie.

– Tak, tylko jeśli mówi pani o łowach, to zaginione osoby są przeważnie młode. Ambasador powiedział mi...

– Wiem – przerwała. – Po prostu chciałam, żebyśmy o tym pamiętali.

– Będziemy – odrzekł Rigo. – A co z nie-bonami, Asmirze?

– Och, pełen przekrój. Wypadki i alergie, a w Portowej jak zwykle kilka zabójstw. Jednak nikogo nie brakuje. Żadnych zniknięć poza tymi, którzy zapuścili się na trawę albo do bagiennego lasu.

– Jak to? – zdziwił się Rigo.

– Tak się dzieje od zawsze – odparł Asmir i nagle się zawahał. – Odkąd pamiętam. Ludzie chodzą do bagiennego lasu i nie wracają albo gubią się pośród traw.

– Kto? – spytała Marjorie. – Kto ostatnio?

– Ostatni był jakiś wielki samochwała spoza planety. – Asmir zajrzał do swoich notatek, zapisanych eleganckim i starannym drobnym pismem na kilku skrawkach papieru, które układał i przekładał podczas mówienia. – Bontigor. Hundry Bontigor. Ludzie mówią, że to krzykacz. Pyszałek. Lubił się odgrażać i przechwalać. Ktoś zaproponował mu wyprawę do bagiennego lasu, a on się zgodził. Nie wrócił. Miał tylko tygodniowe zezwolenie na pobyt, czekał na przesiadkę. Nikt specjalnie za nim nie tęskni.

– Czy kiedyś zdarzyło się, że ktoś zniknął i.... tylko podejrzewano, że poszedł do lasu? – Marjorie przesunęła palcami wzdłuż nosa i w poprzek czoła, skubiąc skórę, próbując pozbyć się bólu, który się tam zagnieżdził.

Asmir ponownie zaszeleścił notatkami.

– Ostatnimi zaginionymi osobami, przed Bontigorem, były dzieci. Nikt nie widział, jak tam wchodzi, jeśli o to pani chodzi. A wcześniej... cóż. Wcześniej była pewna staruszka. Nieco oderwana od rzeczywistości, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi. Ludzie nie mogli jej znaleźć, więc uznali...

– Aha – odrzekła Marjorie.

– Była też tamta para w wiosce Maukerdenów. A także stolarz od Smaerloków. No i ktoś od Laupmonów...

– Zaginął pośród traw?

Asmir pokiwał głową.

– Ale tak się dzieje od zawsze.

– Ilu? – spytał Rigo. – Ile osób odnotowałeś w ciągu ostatniej koletki? Nie, to by oznaczało zimę. Raczej ostatniej jesieni. Ilu ludzi uznano za zaginionych w bagiennym lesie albo pośród traw w ciągu ostatniej jesieni?

– Pięćdziesięcioro – oszacował Asmir. – Mniej więcej.

– Niewiele – mruknęła Marjorie. – Możliwe, że właśnie to ich spotkało. Albo może... zachorowali.

Rigo westchnął.

– Pracuj dalej, Asmirze. Zbieraj informacje. Dowiedz się wszystkiego co możliwe o zniknięciach – kto zniknął, ile mieli lat, czy cieszyli się dobrym zdrowiem i tak dalej. Sebastian ci pomaga?

– Tak, proszę pana. Zdobył część informacji, które państwu przekazałem.

– Zatem obaj kontynuujcie swoją pracę.

– Gdyby mógł mi pan powiedzieć...

– Powiedziałem ci wszystko, co mogłem, kiedy cię zatrudniłem, Asmirze.

– Myślałem... myślałem, że może wtedy mi pan nie ufał.

– Ufałem ci wtedy i ufam teraz. – Rigo posłał mu jeden ze swoich rzadkich uroczych uśmiechów. – Wspominałem, że prowadzę specjalny spis dla Świętości. Chodzi o śmiertelność. Opowiadałem ci o Świętości i o tym, w jaki sposób stara się śledzić losy ludzkiej rasy, więc rozumiesz, dlaczego Świętość interesuje się tym, na co umierają ludzie. Ale arystosi nie pozwalają, żeby Świętość założyła misję na Trawie, dlatego Marjorie i ja zgodziliśmy się dowiedzieć wszystkiego, co się da. Chcemy odkryć, czy na Trawie dochodzi do niewyjaśnionych zgonów.

– Jeżeli ktoś umiera w bagiennym lesie, nie da się tego wyjaśnić – stwierdził stanowczo Asmir. – Jeśli umiera nocą pośród traw, zapewne odpowiadają za to lisy. Widzieli je państwo?

Marjorie pokiwała głową. Widziała lisy. Nie na tyle dokładnie, żeby móc je opisać, ale wolałyby nie podchodzić bliżej.

– Zatem widzieli państwo więcej ode mnie – odrzekł Asmir pompatycznym tonem. – Ale pokazywano mi zdjęcia.

– Rozumiem, że nie zapuszczasz się na trawy?

– Ależ skąd! Za kogo mnie pan uważa? Za dnia, owszem, krótki romantyczny spacer albo piknik. Albo żeby na chwilę pobyć samemu. Ale po to są mury w wiosce i posiadłościach. Żeby nie wpuścić ich do środka.

– Ich? – grzecznie spytała Marjorie.

Zaczął je wymieniać, a jego wystraszony głos rozbrzmiewał jak bicie dzwonu, z każdym słowem zapowiadając kolejne pogrzeby:

– Rzekotek. Istot, które nawołują w środku nocy. Wielkich trawożerców. Ogarów. Hippae. Lisów. Wszystkich.

– Nikt nie wychodzi daleko na prerię?

– Ludzie mówią, że robią to Zieloni Bracia. Przynajmniej niektórzy. Jeśli to prawda, to oni jako jedyni się na to odważają. Ale nie mam pojęcia, skąd czerpią odwagę.

– Zieloni Bracia. – Rigo się zadumał. – A tak, mnisi pokutnicy ze Świątości. To oni odkopują miasto Arbaiów. Sender O’Neil o nich wspominał. W jaki sposób możemy do nich dotrzeć?

* * *

Rillibee Chime, odziany w nieznaną zielenią, z nieupudrowaną twarzą poprzecinaną śladami łez, kulił się za plecami brata Mainoi w małym autolocie, który chwiejnie mknął na północ.

– Może mi brat powiedzieć, dokąd lecimy? – spytał, nie wiedząc, czy naprawdę go to obchodzi. Czuł się udręczony, walczył z mdłościami, nawet nie był pewien swojej tożsamości, chociaż zawsze walczył z całych sił, żeby ją zachować.

– Do miasta Arbaiów, w którym prowadzę wykopaliska – odrzekł brat Mainoa zadowolonym głosem. – Nieco na północ. Zatrzymamy się tam na dzień albo dwa, poczekamy, aż poczujesz się lepiej, a potem zabiorę cię do klasztoru. Miałem cię od razu tam doprowadzić, ale powiem im, że się źle czujesz. Kiedy tylko dotrzesz na miejsce, Jhamlees Zoe albo wspinacze będą próbowali cię dopaść, a ja nie mogę nic na to poradzić. Dlatego najlepiej, żebyś był w pełni sił.

– Wspinacze? – spytał Rillibee, zastanawiając się, na co można się wspiąć na tej ogromnej, płaskiej prerii.

– Wkrótce ich poznasz. Nie mogę ci zbyt wiele powiedzieć na ich temat. Zaczęli się zajmować tymi bzdurami, kiedy już byłem zdecydowanie za stary, żeby móc się przyłączyć. Szybciej dojdiesz do siebie, jeśli się położysz. Poleż chwilę, a kiedy przestanie tak wiać, wiadofon poprowadzi pojazd, a ja przygotuję ci trochę bulionu.

Rilibee opadł na podłogę, a następnie rozłożył się bezwładnie, żałośnie przetykając ślinę i bezgłośnie płacząc. Od chwili wybudzenia z zimnosnu dręczyły go koszmary, straszliwe uczucia, niezaspokojony głód.

– Co zrobiłeś, że cię do nas zesłano? – spytał brat Mainoa. – Zerwałeś jednego z aniołów ze Świątliwości i sprzedałeś go papieżowi?

Rilibee pociągnął nosem, myśląc, że to nawet zabawne na swój ponury sposób.

– Nie – wykrztusił. – Nic tak poważnego.

– Więc co?

– Głośno zadawałem pytania. – Zastanawiał się przez chwilę. – Cóż, prawdę mówiąc, to je wywrzaskiwałem. W refektarzu.

– Jakie pytania?

– Co dobrego przyjdzie z umieszczenia naszych imion w maszynach po naszej śmierci. W jaki sposób odczytywanie imion w pustych salach ma nam zapewnić nieśmiertelność. Czy zaraza nie zabije nas wszystkich. Takiego rodzaju pytania. – Ponownie zaszlochał, przypominając sobie grozę, zagubienie i niezdolność panowania nad własnymi poczynaniami.

– Ach. – Brat Mainoa, stękając, zmagając się ze sterami, wciskał guziki, które najwyraźniej nie chciały pozostać wciśnięte. – Wstrętne ogarskie badziewie – mruknął pod nosem. – Przeklęta gówniana mechanika. – W końcu przyciski zareagowały na uderzenia dłonią i pojazd ustabilizował kurs. – Bulion – rzekł spokojnie i pocieszająco Mainoa, uśmiechając się do Rilibee'ego. – Więc pytałeś o zarazę, czy tak?

Rilibee nie odpowiedział.

Po chwili starszy mężczyzna dodał:

– Będziemy musieli wymyślić dla ciebie imię.

– Już mam imię. – Nawet w otchłani przygnębienia zdenerwował się na samą myśl, że nie będzie mógł zachować swojego miana.

– Ale nie klasztorne. Klasztorne imiona składają się z konkretnych cech. – Brat Mainoa skrzywił się i zdzielił kuchenkę dłonią. – Dwanaście spółgłosek i pięć samogłosek, każda obdarzona własnym świętym atrybutem.

– Co za bzdura – wybełkotał Rilibee, zlizując łzy z kącika ust. – Dobrze brat wie, że to nie ma sensu. Właśnie o takie sprawy... Właśnie o to pytałem w refektarzu. Po co tyle bzdur?

– Już nie mogłeś ich wytrzymać?

Rilibee pokiwał głową.

– Ja też – przyznał brat Mainoa. – Tylko że nie zadawałem pytań. Próbowałem uciec. Zapewne byłeś zaprzysiężonym akolitą, prawda? Na jak długo cię zaprzysiężono?

– Tak naprawdę nie byłem zaprzysiężony. Po prostu mnie przyjęli, kiedy... cóż, nie miałem dokąd pójść. Powiedzieli, że po dwunastu latach będę mógł robić, co mi się podoba.

– Mnie zaprzysiężono na pięć lat, ale nie wytrzymałem tak długo. Po prostu nie dałem rady. Moi rodzice zaprzysięgli mnie od piętnastych urodzin. Kiedy skończyłem siedemnaście lat, już byłem na Trawie i wykopywałem kości Arbaiów. Pokutnik pełną gębą. Ale co tam. Może gdybym był nieco starszy. – Wyjął parujący kubek z kuchenki. – Masz, wypij. To ci naprawdę pomoże. Starszy brat Laeroa poczęstował mnie tym kilka lat temu, kiedy odebrał mnie z portu, tylko że wtedy był jeszcze młodym bratem Laeroą, a ja od tamtej pory częstowałem już tuzin innych braci. Zawsze z dobrym skutkiem. Głód będzie cię jeszcze długo męczył, ale w końcu osłabnie. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. To typowe na Trawie. Ty też możesz mi coś o sobie opowiedzieć. Im więcej będę wiedział, tym łatwiej zdołam ci pomóc.

Rilibee sączył bulion, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Chce brat poznać historię mojego życia?

Mainoa przez jakiś czas się nad tym zastanawiał, a na jego twarzy na zmianę pojawiały się akceptacja i odrzucenie, aż w końcu się rozpogodził.

– Tak, chyba tak. W przypadku niektórych ludzi bym tego nie chciał, ale twoja historia mnie ciekawi.

– Dlaczego ja?

– Och, z różnych powodów. Twój wygląd. Twoje imię. Nietypowe jak na Uświęconego.

– Nigdy nie byłem jednym z nich. Po prostu mnie przygarnęli, już bratu mówiłem.

– Opowiedz coś więcej, chłopcze. Wszystko bez wyjątków.

Rillibee westchnął, zastanawiając się, co może opowiedzieć, wspominając, nie mogąc zapomnieć.

* * *

Dom w Czerwonym Kanionie miał grube ściany z suszonego błota, które zapewniały ciepło w nocy i chłód w ciągu dnia. Ściany lekko pękały pod wpływem zimowego śniegu, a także podczas deszczu, dlatego każdego lata Miriam, Joshua, Song i Rillibee musieli spędzać większą część tygodnia na nakładaniu nowych warstw błota, wygładzaniu go i czekaniu, aż wyschnie. Podłogi w domu wyłożono płytkami. W jednym pokoju podłoga była czerwona, w sąsiednim zielona, w kolejnym niebieska, a w jeszcze innym wzorzysta. Song nauczyła Rillibee’ego grać w klasy na płytkach w jego sypialni, a przed kominkiem znajdowała się szachownica złożona z ciemnych i jasnych dwucalowych płytek, na której Joshua i Miriam grali w warcaby. Piony wykonali z gliny, a na wierzchu przytwierdzili liście, które spłonęły podczas wypalania, pozostawiając wzory. Miriam wypaliła pionki, podobnie jak płytki, w dziwnym starym ceglany piecu na tyłach, który sięgał aż do frontowej części domu.

Mieli trzy sypialnie, małe dla Rillibee’ego i Songbird oraz dużą dla Joshuy i Miriam. Czasami Rillibee nazywał ich mamą i tatą, a czasami używał ich imion. Miriam twierdziła, że to nic złego, ponieważ czasem miał ochotę porozmawiać z rodzicami, a czasem z ludźmi zwanymi Miriam i Joshua.

Kuchnia miała okazałe rozmiary, a w jeszcze większym salonie znajdowały się dwie duże pogniecione kanapy oraz obraz autorstwa Miriam. Na podłogach leżały bardzo stare indyjskie dywany. Kolacje jadano przy stole w salonie, a śniadania przeważnie w kuchni.

Z boku mieścił się warsztat Joshuy, pod którym znajdowała się część piwnicy – druga część rozciągała się pod pokojem Rillibee’ego. Joshua

wykorzystywał piwnicę do składowania drewna, któremu pozwalał dojrzeć, by następnie zmienić je w stoły, krzesła i szafki. W warsztacie trzymali narzędzia oraz koło garncarskie Miriam. Duże drzwi wychodzące na strumyk pozostawały otwarte przez całe lato.

Niski, ziemny dom wraz z warsztatem stał nad Czerwonym Strumieniem obok potwornego starego bawełnianego lasu, który wyciągał w ich stronę liściaste gałęzie, zielone latem i rozpaczliwie złociste jesienią. To Miriam tak nazwała ich kolor. Rozpaczliwie złociste. Gdy świeciło na nie słońce, były tak piękne, że zapierało dech w piersi, niczym dotyk dłoni Boga. Miriam mówiła wiele takich staroświeckich słów. Nawet jej imię było staroświeckie. Wiekowe imię z bardzo dawnych czasów.

Podobnie jak w przypadku jego ojca. Joshuy. To także dawne imię. Nawet to, czym zajmowali się Joshua i Miriam, było staroświeckie i nikt inny się tym nie parał – ciesiołka, garncarstwo, ogrodnictwo, rękodzielnictwo, uprawa roślin.

Kiedy akurat niczego nie budowali ani nie sadzili, wychodzili z domu, żeby pokazywać Rillibee’emu i Songbird różne ciekawe rzeczy, na przykład kwiaty, skorupiaki czy ryby. W strumieniu było mnóstwo ryb. W kanionie żyły jelenie. Wysoko na skałach mieszkwały kurczaki i dzikie indyki. „To jedno z niewielu miejsc na świecie, których człowiek nie zamienił w śmietnik” – mawiał czasami Joshua, wskazując kanion. – „Mieszkajcie tam. Opiekujcie się nim. Dbajcie o nie. Każdej wiosny idźcie na jego skraj i sadźcie tam coś, co was przeżyje”.

Joshua i Miriam robili tak przez dwadzieścia lat, odkąd Joshua wrócił z Pokuty. Nad Czerwonym Strumieniem w górze kanionu rosły stare i duże drzewa. Zasadził je dziadek Joshuy. Poniżej domu znajdowały się sady z jabłoniąmi, wiśniami i śliwami, czterokrotnie przewyższającymi Joshuę, które wiosną pokrywały się obłokami kwiatów. Drzewa owocowe zasadził ojciec Joshuy. Były też gaje, które zasadził Joshua, pełne młodych drzewek iglastych, coraz niższych w miarę zbliżania się do skraju zielonego pasa, stworzonego przez Joshuę i Miriam. Dalej znajdował się szary, płaski teren: sucha ziemia upstrzona chabrami, ostami i kolczastymi krzewami, przecięta zapyłonym ostrzem drogi. Przy tej drodze leżały

miasteczko oraz szkoła należące do Świątoci. Rodzice Rillibee'ego nie byli Uświęceni, ale i tak posłali go do tej szkoły. Znajdowała się najbliżej, a Joshua musiał się nauczyć czegoś więcej, niż byli mu w stanie przekazać. Szkoła była oddalona zaledwie o milę, i przez większość roku łatwo było się do niej dostać. Od czasu do czasu na mniej więcej tydzień zasypywał ich śnieg, ale to była rzadkość. Rillibee czasami przyprawiał do domu kolegów ze szkoły, ale to również zdarzało się rzadko. Większość uważała go za dziwaka.

Inni rodzice pracowali w komórkach komnetu w swoich mieszkaniach albo w centrach technicznych położonych wzdłuż linii naziemnej. Chodzili tam i z powrotem krytymi chodnikami. Jeśli musieli dostać się dalej, korzystali ze ślizgaczy. Joshua i Miriam jeździli na osiołkach, na litość boską. Na osiołkach. To wystarczyło, żeby koledzy Rillibee'ego pokładali się ze śmiechu, opowiadając o glebomaniakach, którzy żywią się samodzielnie uprawianym jedzeniem, nie przeklinają i noszą zabawne stroje. Rillibee nie słyszał słowa glebomaniak, dopóki nie znalazł się w czwartej klasie. Potem miał wrażenie, że już nigdy nie przestanie mu ono towarzyszyć.

Przejmował się tym bardziej niż Song. Siostra miała chłopaka, który pochodził z innej glebomaniackiej rodziny w Grzechotniku. Świetnie się dogadywali. Miał na imię Jason. Kolejne staroświeckie imię. Jason czasami przeklinał, ale nigdy w obecności Joshuy, który był uczulony na brzydkie słowa, więc Rillibee również uważał, żeby ich przy nim nie używać.

– Dlaczego nazwaliście mnie Rillibee? – zapytał matkę z wyrzutem po wyjątkowo złym dniu w szkole, gdzie wszyscy kpili z jego imienia, ubrań i rodziców. – Dlaczego Rillibee?

– To dźwięk, który wydaje woda przepływająca po kamieniach – wyjaśniła. – Usłyszałam go w nocy przed twoimi narodzinami.

Jak można mieć do kogoś o to pretensje? Uśmiechała się do niego, wyjmując gorące ciasteczka z piekarnika, układając je na jego talerzu, nalewając mu mleko, które wcześniej schłodziła w strumyku.

– Rillibee – powiedziała w taki sposób, że usłyszał odgłos wody. – Rillibee.

– Dzieciaki w szkole uważają, że jest dziwne – mruknął z pełnymi ustami.

– Możliwe – zgodziła się. – Myślą też, że Miriam to dziwne imię. Jakie imiona teraz noszą dzieci? Brom. Bolt. Rym. No i Jolt.

– Jolt nie.

– Och, przepraszam, Jolt nie – odrzekła ze śmiechem. – Brzmią jak odgłosy z pralni.

Musiał jej przyznać rację. Imię Bolt brzmiało jak odgłos, który mógłby wytrząsnąć oślą sierść z czyichś skarpet. Jolt tym bardziej.

Pewnego dnia Joshua przyniósł do domu papugę. Była to mała szara papużka z kępkami zielonych piór.

– Co to ma znaczyć? – spytała Miriam. – Joshuo?

– Pamiętasz tamte szafki, które zbudowałem dla Brantów?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Bardzo im się spodobały. Brant dał mi tego ptaka jako specjalny dodatek.

Miriam pokręciła głową z rozdrażnieniem. Rillibee wiedział, że już sobie wyobrażała bałagan, jaki spowoduje papuga.

– Zapewne chciał się jej pozbyć.

Joshua wetknął ręce do kieszeni i stał, przyglądając się ptakowi siedzącemu na swojej żerdzi obok paleniska.

– Powiedział, że jest bezcenna.

Miriam patrzyła na papugę z zaciśniętymi ustami, jakby miała ochotę powiedzieć coś paskudnego.

– Gówno – odezwał się ptak wyraźnym głosem. – Ekskrementy. – Następnie nasrał na podłogę.

Miriam się roześmiała. Nie potrafiła się powstrzymać. Zgięła się wół, chichocząc.

Joshua poczerwieniał z wściekłości, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– Cóż, niewątpliwie umie mówić – stwierdziła Miriam.

– Odniosę ją! Zaraz po kolacji.

– Och, na litość boską, Joshua, zostaw ją. Nauczymy ją ładniejszych słów. Przecież ptak nie rozumie, co mówi. Nie ma świadomego umysłu,

każącego mu przeklinać. Po prostu naśladuje dźwięki, które słyszy.

- Tego nie usłyszał
- Dźwięki, które pamięta.

Tak więc zatrzymali papugę. Nigdy nie nauczyła się ładniejszych słów, ale rzadko się odzywała. Jednakże za każdym razem, gdy Miriam się wściekała i wyraźnie miała ochotę coś powiedzieć, ale nie mogła się na to zdobyć, ptak ją wyręczał. Kiedy Miriam wpadała w gniew, papuga wołała rozmarzonym głosem „gówno” albo „cholera”, a raz nawet „kurwa”. Joshua tego nie słyszał, w przeciwnym razie papuga zapewne straciłaby życie.

Rillibee zdał do piątej klasy, kiedy miał jedenaście lat, w młodszym wieku niż większość jego kolegów. To nie ułatwiło mu życia. Jego mentorami byli stara Balman i stary Snithers. Balman nauczała programowania i informacji. Snithers nauczał wyszukiwania danych. Starsze dzieci w piątej klasie twierdziły, że Balman ma więcej jaj od swojego kolegi. Rillebee nie miał pojęcia, o co im chodzi, dopóki nie spytał Joshuy, a wtedy musiał wysłuchać godzinnego wykładu na temat seksualności jako metafory w dominacji. Tak naprawdę Snithers był jak stara baba, marudny i czepialski, a Balman wszystko olewała, co podobało się uczniom. Joshua powiedział to samo, tylko innymi słowami.

Pewnego typowego, nudnego dnia w szkole Wurn March pożegnał się z klasą, ponieważ wybierał się do Świątości, gdzie został zaprzysiężony na pięć lat jako akolita. Wurn sprawiał wrażenie zagubionego. Kiedy spytali go, czy chce tam pojechać, wyglądał, jakby miał ochotę się rozplakać.

Na korytarzu Balman powiedziała Snithersowi, że Świątosc może sobie zabrać Wurna i nikt nie będzie za nim tęsknił. Oboje się roześmiali, po czym nagle poczerwienieli, widząc, że Rillibee ich usłyszał. Właśnie wracał z toalety, więc czym prędzej odesłali go na ćwiczenia z odzyskiwania danych. Rillibee musiał przyznać, że rzeczywiście nikt się nie zmartwił odejściem Wurna Marcha, który spędził w piątej klasie więcej czasu niż powinien. Był potężniejszy od większości chłopców, robił więcej hałasu, lubił bić młodszych i ciągle coś pożyczał, a potem nie oddawał.

Poza tym to był zwyczajny dzień, nie licząc faktu, że Rillibee po raz pierwszy usłyszał o zaprzysiężonych akolitach.

Kiedy wrócił do domu, Miriam była w kuchni, jak zwykle o tej porze popołudnia. Towarzyszyło jej mnóstwo przyjemnych zapachów, a Rillibee ją objął, przez chwilę nie dbając o to, co myślą inni. Była jego mamą i mógł ją przytulać, jeśli miał na to ochotę.

Miriam westchnęła i gwałtownie się odsunęła.

– Auć – zawołała, uśmiechając się, żeby wiedział, że to nie jego wina. – Boli mnie ręka, Rilli. Podrażniłeś ją, kiedy mnie złapałeś.

Przeprosił i zaczął oglądać obolałe miejsce, które wyglądało strasznie; było szare i opuchnięte. Joshua stanął za jego plecami i także przyjrzał się ręce żony.

– Miriam, lepiej idź z tym do ośrodka zdrowia. To wygląda na zakażenie.

– Myślałam, że już wygląda lepiej.

– Raczej gorzej. Pewnie masz tam jakąś drzazgę. Pokaż to komuś. – Potem Joshua ją pocałował, a papuga powiedziała „O psiakrew”, co wszystkich rozdrażniło, i rozmowa się skończyła.

Następnego popołudnia, kiedy Rillibee wrócił do domu, zastał tam Songbird, ale Miriam nie było. Song szukała ciasta, które Miriam upiekła poprzedniego wieczoru i przed nimi schowała.

– Gdzie mama? – spytał.

– Pojechała do ośrodka zdrowia – wyjaśniła siostra, myszkując w starych kredensach.

Pokiwał głową, przypominając sobie, że miała to zrobić.

– Kiedy wróci? – Chciał jej opowiedzieć o Wurnie Marchu i o tym, co powiedzieli nauczyciele, a także zapytać o zaprzysiężonych akolitów.

– Kiedy skończy, głuptasie – odparła Song. – Zadajesz durne pytania. – Otworzyła boczne drzwi i wyszła na zewnątrz, żeby popatrzeć na drogę.

Rillibee podążył za nią.

– Chcesz usłyszeć naprawdę durne pytanie? Kiedy wreszcie dorosniesz? To jest durne pytanie, ponieważ odpowiedź brzmi „nigdy”.

– Ty bachorze – odburknęła. – Głupi mały bachorze. Ciągłe jeszcze ssiesz kciuk.

– Przestańcie! – zganiał ich Joshua, idąc przez podwórze ze swojego warsztatu. – Song, nie można tak mówić. Ani słowa więcej, oboje. Song, idź nakryć do stołu. Rillibee, pozbieraj śmieci, które wczoraj porzuciłeś po całym salonie. Rozłóż dywan. Zaczę przygotowywać kolację, żeby wasza matka nie musiała tego robić, kiedy wróci.

Przez kilka godzin panowała cisza. Rillibee zapamiętał ją jako preludium do tego, co się wydarzyło potem. Dużo później ta cisza stała się równoznaczna z tragedią, dlatego nie czuł się dobrze, gdy otaczały go spokój i milczenie. Ukośne promienie wieczornego słońca wpadające do salonu przez wysokie okna tworzyły kałuże światła na podłodze wyłożonej szerokimi klepkami i na zamku, który Rillibee zbudował poprzedniego wieczoru. Zniszczył go razem ze wszystkimi blankami, pozbierał kawałki, spakował wojowników i ponownie rozłożył dywan, starannie rozczesując frędzle palcami, żeby leżały równo, jak żołnierze. Nad jego głową papuga poruszyła się na swojej żerdzi. Rillibee podniósł na nią wzrok, a wtedy wyszeptała: „O cholera. O Boże. O nie”. Brzmiało to niemal jak głos Miriam.

Czas mijał, aż w końcu słońce zaszło i żołądek chłopca zaczął wysyłać jasne sygnały. Rillibee poszedł do kuchni i zastał tam ojca oraz Song. Mama jeszcze nie wróciła do domu.

– Czas na kolację – poskarżył się.

– Więc coś zjemy – odpowiedział ojciec zmartwionym głosem. – Wasza mama nie chciałaby, żebyśmy na nią czekali. Coś musiało ją zatrzymać.

Siedzieli przy stole, gdy rozległ się sygnał przy drzwiach. Ktoś wszedł przez bramę. Tata wstał i podszedł do drzwi z uśmiechem na twarzy. Rillibee się rozluźnił. Pewnie wstąpiła po zakupy. Albo poszła pokazać próbkę swoich garnków komuś, kto mógł być zainteresowany kupnem. Prawdopodobnie dlatego tak się spóźniła.

Ale głos, który rozległ się przy drzwiach wejściowych, nie należał do mamy. Jakiś mężczyzna głośno dopytywał, gdzie ona jest.

– Miriam jeszcze nie wróciła do domu – stanowczo odrzekł Joshua. – Nie wiemy. – Potem wydał z siebie gniewny okrzyk, gdy mężczyzna przepchnął się obok niego i wtargnął do domu. – Co pan wyprawia?

– Rozglądam się – odrzekł mężczyzna. Był potężny, większy od taty. Miał na sobie biały uniform, maskę zawieszoną na szyi i jakieś zielone insygnia na ramionach. – Nie przerywajcie sobie kolacji, dzieci – polecił. – To mi zajmie tylko chwilę.

Potem przeszedł do kuchni, a następnie do sypialni. Rilibee usłyszał odgłos otwieranej i zamykanej szafy. Następnie mężczyzna wyszedł z domu i udał się do warsztatu. Rilibee bardzo ostrożnie odłożył widelec, patrząc na tatę, który nagle pobladł.

Kiedy mężczyzna wyszedł z warsztatu, jeszcze przez chwilę postął na podwórzu, po czym wrócił do drzwi wejściowych i wywołał tatę na zewnątrz. Rozmawiali cicho, ale Rilibee słyszał pojedyncze słowa: „władza”, „kara” i „zatrzymanie”.

* * *

Rilibee zamilkł.

Brat Mainoa chwilę odczekał.

– Oni tak mówią, prawda? – odezwał się w końcu. – Ludzie, którzy rozkazują innym. Znają mnóstwo potężnych słów. Czasami mam wrażenie, że one krążą w ich żyłach zamiast krwi.

Rilibee nic nie odpowiedział.

– Trudno ci o tym mówić?

Rilibee pokiwał głową; nie potrafił wykrztusić ani słowa.

– W porządku. Zaczekaj, aż poczujesz się lepiej, wtedy dokończysz.

Lecieli dalej, autolot podskakiwał na rozgrzanym powietrzu. Po pewnym czasie Rilibee znów podjął opowieść.

* * *

Potężny mężczyzna wyszedł, a tata ponownie usiadł przy stole w salonie. Jego twarz była nieruchoma i twarda jak skała.

– Tato?

– Nie, Rillibee. O nic mnie teraz nie pytaj. Ten mężczyzna szukał twojej matki, a jej tutaj nie ma. W tej chwili nie wiem nic więcej.

– Ale kim on był?

– Przedstawicielem ośrodka zdrowia.

– O cholera. O Boże – odezwała się papuga.

Joshua rzucił w nią łyżką, która zostawiła czerwony rozbryzg na ścianie, po czym upadła na podłogę. Papuga tylko na nich patrzyła, obracając czarnymi oczami i szepcząc do siebie.

Mężczyzna nie wrócił. Mama nie przychodziła. Tata krążył po pokoju, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby odezwać się do kogoś przez komnet. Do znajomych mamy. Do jej siostry w Grzechotniku. Do jej przyjaciół. I tak dalej.

Kiedy przyszła pora snu, Rillibee wyjrzał przez okno swojego pokoju i zobaczył ślizgacz zaparkowany na równinie. Mężczyzna obserwował dom. Dużo później Rillibee położył się do łóżka, otoczony ciemnością, próbując dostrzec sufit i ściany, mając do pomocy tylko drzazgę światła wpadającą pod drzwiami. Łzy. Usiłował być cicho, żeby Song nie usłyszała go przez ścianę. W końcu zasnął.

Na pewno spał, ponieważ obudził go dziwny odgłos. Drapanie niedaleko jego głowy. Dobiegało spod niego, spod łóżka. Spod podłogi.

W pierwszej chwili pomyślał, że to potwory, i bał się poruszyć. Dopiero po jakimś czasie przypomniał sobie o piwniczce, w której tata kiedyś składował drewno. Dawno temu była zwykłym dołem w ziemi służącym do przechowywania roślin okopowych, ale Joshua go powiększył i doprowadził aż do warsztatu. Tam, za stosem drewna, mieściło się główne wejście do piwniczki, ale pod łóżkiem Rillibee’ego wciąż znajdowała się kłapa, z której kiedyś korzystano. Ktoś w nią drapał.

Chłopiec wymknął się z łóżka i poszedł powiadomić Joshuę. Potem nieruchomo patrzył, jak Joshua powoli, niemal bezgłośnie przesuwa łóżko, a następnie podnosi klapę. Na dole zobaczył mamę, bladą, z poznaczoną smugami twarzą, splątanymi i potarganymi włosami oraz brudnym ubraniem, zupełnie, jakby czołgała się po ziemi.

– Josh, o Boże, Josh! – zawołała. – Chcieli mnie odesłać, chcieli mnie odesłać, ale wyszłam przez okno. Pobiegłam przed siebie. Popełzłam w dół strumienia i wślizgnęłam się przez drzwiczki za warsztatem. Ukryj mnie, nie pozwól, żeby mnie dopadli, Josh.

– Nigdy na to nie pozwolę, kochanie – odparł. – Nigdy.

* * *

Znów zapadła cisza.

– Twój ojciec musiał ją bardzo kochać – rzekł Mainoa.

– Nigdy tego nie zapomniałem – odparł Rillibee, a jego głos był jak płyn bulgoczący mu w gardle. – Czasami rozmyślam o tym nocami, kiedy próbuję zasnąć. Słyszę ich głosy. Przypominam sobie, jaki byłem zagubiony. Dlaczego ktoś chciał ją dopaść? Dlaczego ludzie chcieli ją odesłać? Co takiego zrobiła? Rodzice mi nie powiedzieli. Nie powiedzieli również Song. Kazali nam tylko udawać, że nigdy nie wróciła do domu. Udawać, że jej nie widzieliśmy...

* * *

Mama położyła się spać do własnego łóżka, u boku taty. Następnego ranka, bardzo wczesnie, Rillibee'ego obudziły jakieś nieznanym odgłosy dobiegające od strony drogi. Wyjrzał z za zasłony i zobaczył znajomego mężczyznę, który wysiadł z białego ślizgacza za linią najmłodszych drzewek. Chłopiec w ostatniej chwili zdążył obudzić rodziców. Mama ledwie zdołała wrócić do piwniczki na drewno, której włącz ponownie zastawili łóżkiem Rillibee'ego.

– Połóż się i udawaj zaspanego – polecił tata, idąc w stronę drzwi, do których przybysz hałaśliwie się dobijał.

Rillibee schował głowę pod poduszkę i powtarzał sobie, że to tylko sen. Kiedy mężczyzna z ośrodka zdrowia wparował do pokoju i zabrał

poduszkę, chłopiec posłał mu zaskoczone i rozgniewane spojrzenie, zupełnie jakby ten właśnie go obudził.

Od tamtej pory mama sypiała w piwnicy. Tata zniósł tam posłanie oraz zmontowaną w warsztacie specjalną toaletę, która nie potrzebowała wody. W ciągu dnia mama dołączała do nas zawsze wtedy, gdy ktoś mógł wypatrywać mężczyzny w białym ślizgaczu, ale kiedy nikogo nie było w domu, musiała pozostawać w ukryciu.

Joshua zabandażował chore miejsce na jej ręku. Miało rozmiary zaledwie pestki brzoskwini. Do końca tygodnia zmiana nieco się powiększyła i pokryła cały łokieć. Sprawiała Miriam ból. Potem zaczęła się rozprzestrzeniać w obie strony, aż w końcu cała ręka zmieniła się w brzydką ranę przypominającą surowe mięso. Zmiana bandaża bardzo bolała, ale jeśli się tego nie robiło, rana zaczynała cuchnąć. Zmieniali opatrunek każdego wieczoru. Song przytrzymywała miskę z ciepłą wodą, którą obmywali rękę. Rillibee podawał tacie bandaże. Papuga siedziała na swojej żerdzi i powtarzała „O cholera, cholera. O Boże”, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Mężczyzna od czasu do czasu wracał. Raz przyprowadził ze sobą dwóch towarzyszy i przeszukali dom, ale nie znaleźli kryjówki pod łóżkiem Rillibee’ego. Joshua zamaskował właz, dopasowując deski w taki sposób, że nie dało się zobaczyć ich łączenia.

Co jakiś czas, gdy Song i Rillibee byli w szkole, matka wychodziła na górę. Wieczorami opowiadała im, co robiła i dokąd spacerowała.

– Liście zmieniają kolor – mówiła. – Zauważyłeś, Rillibee? Robią się rozpaczliwie złociste. Boże, są takie piękne. – Potem rozmawiali o tym, co zjedzą na kolację następnego dnia. Miriam informowała Joshuę, co ma kupić i w jakiej ilości. Instruowała Songbird, jak przyrządzić posiłek, a Rillibee’ego, w jaki sposób ma pomóc siostrze. Następnie przez chwilę rozmawiali, czasami grali w jakąś grę, zmieniali opatrunek i matka wracała do piwnicy.

Sytuacja pogorszyła się, gdy pewnego wieczoru podczas zmiany bandaża, od ręki Miriam odpadło kilka kawałków ciała. Mama wydała

z siebie odgłos, jakby miała zwymiotować i jakby chciała zacząć wrzeszczeć, ale zabrakło jej powietrza.

– Wyjdźcie – polecił Joshua dzieciom, wskazując drzwi, a jego usta rozciągnęły się w straszliwym szerokim uśmiechu, jak w lampionie z dyni, ukazując zęby.

Pobiegli do kuchni. Song płakała i zgrzytała zębami, usiłując powstrzymać łzy, a Rillibee powtarzał sobie, że to tylko sen, koszmar, który nie dzieje się naprawdę. Widział kości w dłoni mamy w miejscu, w którym odpadły dwa palce – były okrągłe, białe i gładkie. Rana nie krwawiła, tylko sączyły się z niej krople jakiegoś szarawego płynu, który utworzył niewielką plamę na czystym bandażu i niewyobrażalnie cuchnął. Chłopiec wciąż czuł tę woń w gardle i miał wrażenie, że nigdy się jej nie pozbędzie.

Od tamtej pory tata nie pozwalał im uczestniczyć w zmianach opatrunku. Po pewnym czasie w ogóle przestał ich dopuszczać do matki. Wciąż słyszeli jej głos. Początkowo brzmiała jak zawsze. Raz nawet usłyszeli jej wysoki, okropny śmiech. Jednak wkrótce zamiast głosu rozlegał się tylko cienki jęk, jak skowyt potrąconego psa albo pisk królika, którego pochwycił jastrząb.

Był też zapach. Każdego wieczoru unosił się z piwnicy. Straszliwy smród. Gorszy niż z cuchnącej toalety.

– O nie, nie – powtarzała papuga. – O Boże. Nie.

Tata zamienił się pokojami z synem. Mijały dni i Rillibee już nigdy nie miał zobaczyć mamy. Nocami leżał w łóżku ojca, próbując sobie przypomnieć, jak wygląda. Nie potrafił. Chciał zobaczyć jej portret, który wisiał nad kominkiem.

Zapalił lampę w salonie i podniósł wzrok na obraz. Mama uśmiechała się do niego z płótna, jej lśniące włosy opadały na czoło, usta wyginały się w łuk.

– Pozwól mi umrzeć – wyszeptała papuga. – Błagam, błagam, pozwól mi umrzeć.

„Zamknij się” – wrzasnął bezgłośnie Rillibee, wyrzucając z siebie słowa jak potężne, palące porcje wymiotów. – „Zamknij się, zamknij się”.

Postanowił nigdy więcej tam nie wchodzić. Nie zamierzał słuchać tego ptaka. Jadał w kuchni. Odrabiał lekcje. Nie zadawał żadnych pytań. Nie rozmawiał o mamie.

* * *

– To musiało być trudne – rzekł brat Mainoa. – To musiało być bardzo trudne.

– Nie mogłem przestać o niej myśleć. Nie mogłem. Widziałem w myślach jej twarz, ale potem zaczęła szarzeć na brzegach, zwijać się jak płonące zdjęcie i już nie pamiętałem, jak wyglądała. Wytrzymałem najdłużej jak zdołałem, po czym znów poszedłem do salonu, żeby obejrzeć portret. Papuga powtarzała: „Zabij mnie. Błagam, błagam, zabij mnie”.

* * *

Następnego dnia, w swoje dwunaste urodziny, Rillibee obudził się, wiedząc, że to wszystko było snem. Przez okno wlewał się słoneczny blask, rozpaczliwie złocisty. Chłopiec wstał, ubrał się i wpadł do salonu. Papuga spacerowała po swojej żerdzi, powtarzając:

– Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Song już siedziała przy stole. Na miejscu Rillibee’ego czekała paczka. Chłopiec usiadł i z uśmiechem zaczął obracać ją w dłoniach i potrząsać, próbując odgadnąć, co jest w środku.

– Wszystkiego najlepszego, Rillibee – powiedział tata, stając w drzwiach kuchni. – Smażę naleśniki. – Miał dziwny głos, ale wszystkie słowa były na swoim miejscu.

– Wszystkiego najlepszego, Rillibee – powiedziała Song. Brzmiała jak nagranie.

Tata podszedł z dzbankiem soku i nachylił się nad stołem, żeby napęłnić szklanki.

Z boku szyi taty znajdowała się ranka sięgająca karku. Mała. Rozmiaru orzeszka ziemnego. Przypominała ranę na rękę mamy. Kiedy tata wrócił do kuchni, Rillibee próbował powiedzieć o tym Song, ale ona tylko siedziała nieruchomo i nic nie mówiła. Wtedy zauważył bandaż na jej dłoni i zaczął się zastanawiać, od jak dawna go nosi.

Wstał, nie otwierając paczki, i wyszedł z domu, przeciął sad, a następnie ruszył przez kolejne gaje, mijając coraz mniejsze drzewka, aż w końcu dotarł do miejsca, w którym nic nie rośło...

* * *

– Widziałeś ich jeszcze kiedyś? – spytał brat Mainoa.

Zapadła długa cisza. Rillibee wyglądał przez okno z rozchylonymi ustami i twarzą zalaną łzami.

– W szkole wpadłem w szal i zacząłem coś wykrzykiwać. Kiedy wieczorem wróciłem do domu, nikogo tam nie zastałem. Tylko mężczyznę ze Świątoci, który kazał mi pójść ze sobą. Stwierdził, że zostanę akolitą. Nigdy mi nie powiedzieli, co się stało z Miriam, Joshua ani Song. Kiedy o to pytałem, odpowiadali, że moi bliscy zmarli dawno temu, tylko o tym zapomniałem. Nigdy nawet nie pytali, czy moja rodzina należała do Świątoci. Nie należeliśmy. Ja nadal do niej nie należę.

Brat Mainoa sączył swój bulion, od czasu do czasu klepiąc dłonią jakiś przycisk, który wyglądał, jakby chciał się wyłączyć.

– Brat Lourai... Jak to brzmi?

– A jak powinno brzmieć?

– Cóż, dźwięk *l* oznacza cierpliwość, a *r* wytrwałość. Uznałem, że bardzo by ci się przydały.

– Co oznacza dźwięk *m* w Mainoa? – spytał Rillibee znużonym głosem. – A dźwięk *n*?

– Rezygnację – mruknął Mainoa. – Oraz niezawodność.

– Chyba niezależność?

– Ciszej, młodziku. Lourai to dobre imię. Powinieneś usłyszeć te łamańce, które od czasu do czasu wymyśla Akceptowalna Doktryna.

Fouyaisoa Sheefua. Jak by ci się to podobało? Fo-u-ja-i-so-a Szi-fu-a. Albo Thoirae Yoanee. Nie chciałbyś się tak nazywać. Lourai. Może być.

– Co to jest akceptowalna doktryna?

– Akceptowalna Doktryna? – powtórzył brat Mainoa. Zabrał puste kubki i włożył je do odświeżacza. – Gdybyś był nieco starszy, kiedy cię ściągnęli do Świątości, nauczyłbyś się, czym jest Urząd do spraw Bezpieczeństwa i Akceptowalnej Doktryny. To grupa oświeconych, którzy mówią nam, w co możemy, a w co nie możemy wierzyć, i dba o to, żebyśmy byli posłuszni. Na Trawie dowodzi nimi starszy brat Jhamlees Zoe, a jego zastępcą jest starszy brat Noazee Fuaso.

– Zupełnie jak Hierofanci! – wykrzyknął Rillibee. – Boże, gdybym tylko mógł od tego uciec.

– Możesz. Jeśli tylko masz ochotę, wyruszaj między trawy. Odłóż łopatę albo stabilizator gleby i idź. Nikt za tobą nie podąży. Mogłem tak zrobić wiele razy, ale zawsze wiedziałem, że kolejny ruch łopatą przyniesie coś ciekawego, a za następną ścianą kryje się coś intrygującego. Ogólnie rzecz biorąc, cieszę się, że jestem tutaj, a nie tam. Może ty też dojdiesz do takiego wniosku. Tylko kłaniaj się nisko i mów „Tak, starszy bracie”, posłusznym, nieco smutnym tonem, a dadzą ci spokój.

– Jak brat może to robić? – zapytał Rillibee z pogardą. – To nieszczerze.

Mainoa ponownie zasiadł przy desce rozdzielczej, sceptycznie przyglądając się wskaźnikom i przyciskom.

– Zaraz ci wytłumaczę, młody bracie Lourai. Jeżeli będziesz chciał przytoczyć moje słowa, wszystkiego się wyprę, więc nawet nie próbuj. Najpierw musisz powiedzieć sobie, że te gnojki nie mają racji. Zwłaszcza Jhamlees i Fuaso. Nie chodzi o to, że odrobinę się mylą, ale nie mają racji całkowicie, beznadziejnie i chronicznie. Nie zmieni tego nic, co powiesz albo zrobisz. Są skazani na tkwienie w błędzie, taka jest wola Boga. Nadążasz?

Rillibee z wahaniem pokiwał głową. Tego z pewnością się nie spodziewał.

– Następnie uznajesz, że ci pomyleni pierdziele za sprawą jakiejś kosmicznej pomyłki otrzymali władzę nad tobą, i dochodzisz do jednego

właściwego wniosku.

– To znaczy?

– To znaczy, że pochylasz głowę i pokornie mówisz „Tak, starszy bracie”, wierząc w to, w co musisz wierzyć. Jeśli zrobisz coś innego, równie dobrze możesz wpakować się pod nogi trawożercom. Będziesz miał rację, ale nic z ciebie nie zostanie.

– I właśnie tak brat postępuje?

– Uhm. Tobie też radzę. Nie mów starszemu bratu Jhamleesowi Zoe, że twoja rodzina nie została Uświęcona. Jeżeli to zrobisz, zaczną cię urabiać, będzie próbował cię nawrócić, zbawić, zwerbować. Po prostu grzecznie kiwaj głową i mów „Tak, starszy bracie”. Wtedy powinien dać ci spokój.

Długo milczeli. W końcu Rilibee – brat Lourai – wstał z wyściełanej podłogi i zajął miejsce na drugim siedzeniu. Kiedy brat Mainoa nadal nie przerywał ciszy, Rilibee spytał:

– Kim są Arbaiowie?

– Arbaiowie, bracie, zamieszkiwali dawno wymarłe miasta, które odkopujemy. To jedyne ruiny, jakie ludzkość znalazła na skolonizowanych światach. Jedyna inteligentna rasa, na której ślady się natknęliśmy.

– Jacy oni byli?

– Wyżsi od nas. Mierzyli mniej więcej siedem stóp. Mieli po dwie nogi i dwie ręce, tak jak my, ale ich całą skórę pokrywały małe płytki albo łuski. Znaleźliśmy dobrze zachowane zmumifikowane ciała, więc wiemy, jak wyglądali. To był fascynujący lud. Pod niektórymi względami nas przypominali. Rozprzestrzenili się po wielu światach, tak jak my. Również używali pisma, ale na razie nie potrafimy go odczytać. Pod innymi względami byli od nas różni. Wygląda na to, że wyróżniano pośród nich osobników męskich i żeńskich, ale nie znaleźliśmy ku temu żadnych wskazówek.

– Wszyscy zniknęli?

– Wszyscy. Umarli, wszędzie, jednocześnie, jakby po prostu skończył się ich czas. Jedynym wyjątkiem pozostaje Trawa. Tutaj coś ich rozerwało na strzępy.

– Skąd to wiadomo?

– W takim stanie ich znajdujemy, bracie. Tutaj ręka, tam noga. Kość poznaczona śladami zębów.

– Czego szukacie?

– Chcemy odkryć przyczynę ich śmierci. – Brat Mainoa popatrzył na niego z zaciekawieniem. – Z tego, co mówisz, wynika, że widziałeś skutki zarazy. Wiesz o jej istnieniu.

Rilibee pokiwał głową.

– Nigdy mi tego nie powiedzieli, ale to zaraza zabiła moją rodzinę. Umarł na nią Hierarcha. Zaraziło się wielu ludzi w Świątyni. Możliwe, że ja także, tylko o tym nie wiem.

– Cóż, niektórzy z nas uważają, że właśnie to zabiło Arbaiów. Od razu cię uprzedzę, że to nie należy do Akceptowalnej Doktryny, więc lepiej tego nie rozpowiadaj.

– Zabiło ich, a teraz zabije nas. – Rilibee westchnął.

– No cóż, na to wygląda. Ale może niekoniecznie. Gdyby udało nam się dowiedzieć czegoś...

– Myśli brat, że możemy się dowiedzieć czegoś o zarazie?

Brat Mainoa odwrócił się, a zmarszczki wokół jego zmrużonych oczu pogłębiły się, gdy mierzył wzrokiem swojego nowego członka rodziny.

– Myślę, że możemy o tym porozmawiać, kiedy już wrócisz spośród traw – zamruczał, po czym wskazał w dół, gdzie wśród krótkiej trawy na północy znajdowały się odkopane mury miasta Arbaiów oraz złożona sieć rowów wykopanych przez Zielonych Braci, częściowo zadaszonych zakrzywionymi pękami traw. Ponownie wskazał w kierunku, w którym lecieli. Niemal na horyzoncie, na tle bladego nieba, wznosiła się ciemna rozgałęziona bryła klasztoru. Kiedy się zbliżyli, Rilibee/Lourai westchnął oszołomiony. Ponad klasztorem unosiło się całe miasto pajęczyn, siatkowatych łuków, szkieletowych wież, które poruszały się na słabym wietrze, niczym żywe organizmy zakorzenione w glebie daleko w dole. Na kilku wysokich wieżyczkach powiewały sztandary Świątyni, ozdobione wizerunkami złotych aniołów. Widząc je, Rilibee Chime wydał z siebie ostatnie, słabnące warknięcie.

– Dom – odezwał się brat Mainoa. – Tutaj wcale nie jest źle. Choć wędrowcy po niebie zapewne będą cię męczyli przez kilka tygodni. Boisz się wysokości, chłopcze?

– Boję się upadku, a nie wysokości.

– Więc powinieneś przetrwać.

– Kim są wędrujący po niebie? – Rillibee poczuł ucisk w żołądku, gdy spróbował to sobie wyobrazić.

– To przeważnie chłopcy niewiele starsi od ciebie. Zapewne nie zrobią ci krzywdy. Dasz sobie radę, oczywiście jeśli będziesz rozsądnie panował nad swoim zachowaniem.

– Tak, bracie – odrzekł brat Lourai, pokornie spuszczać wzrok. – Spróbuję nad sobą panować.

Zanim Rigo miał okazję spotkać Zielonych Braci, pewnego poranka wiadofon nadał poruszającą wiadomość o wygaśnięciu. Bon Damfelsowie zgromadzili się na Polowanie, ale nie pojawiły się ani ogary, ani wierzchowce. Salla, jedna z grona informatorów Roalda Fewa, powiadomiła Wspólnotę, a Roald przekazał wieści do Opalowego Wzgórza.

Wprowadzono w życie dawno ustalone plany. W ambasadzie zaroilo się od sprzątaczy i kucharzy, którzy zaczęli przygotowywać budynek do wieczornego przyjęcia, mającego się odbyć za trzy dni.

W małym domku Eugenie z namysłem poleciła swojemu udomowionemu zwierzątku wykonać ćwierć obrotu w lewo. Nikt inny w Opalowym Wzgórzu jeszcze nie widział Zwierzątka. I nikt nigdzie nie miał jej zobaczyć w takim stanie.

U bon Damfelsów Stavenger odznaczał na liście osoby, które pójdą na przyjęcie. Shevlok, tak. Sylvan, tak. Nikt młodszy od Sylvana. Żadne z młodszego kuzynostwa. Shevlok dostanie nakaz udawania zalotów wobec tej fragierskiej dziewczyny, Stelli, co powinno rozwiązać problem.

We Wspólnocie muzycy ćwiczyli i sprawdzali instrumenty, handlarz winem robił przegląd magazynów, dodatkowi kucharze w fartuchach obracali nożami. Autoloty mknęły w stronę Opalowego Wzgórza.

W posiadłości bon Smaerloków, podobnie jak u bon Tanligów i we wszystkich posiadłościach, dorosłe kobiety przeglądały balowe suknie, decydując, co na sienie włożą, a córki siedziały naburmuszone. Postanowiono, że żadna z młodych kobiet nie wybierze się na przyjęcie.

Uznano, że to zbyt niebezpieczne. Szły tylko starsze kobiety, rozsądne i mające za sobą liczne związki. Kilka z nich, atrakcyjnych i doświadczonych, wybrano do flirtowania z synem Yrarierów. Jakikolwiek skutek mogło przynieść przyjęcie w ambasadzie Świętości na Trawie, niewłaściwa relacja z młodym Yrarierem nie wchodziła w grę. Tak postanowili starsi bonowie.

A w Opalowym Wzgórzu Roderigo Yrarier przeglądał listę potwierdzonych gości i, zauważając brak młodych ludzi, kipiał ze złości z powodu obrazy, jaką zaserwowano jego rodzinie i nazwisku.

* * *

Obermun bon Haunserów pamiętał o obietnicy złożonej Marjorie, gdy rekomendował Admita Maukerdena na stanowisko jej „sekretarza”. Kiedy po raz pierwszy miała okazję porozmawiać z tym wysokim zarozumiałcem, powiedział jej, że zna wszystkich bonów we wszystkich rodzinach, wie, jakich każdy ma rodziców, z kim był związany, kogo lubi, a z kim jest poróżniony. Oznajmił, że oczekuje prywatnego apartamentu oraz wynagrodzenia, którego wysokość sprawiła, że Rigo zamrugął z niedowierzaniem.

– Nie ufam mu – stwierdziła Marjorie.

– Ani ja – przyznał Rigo. – Ale i tak go zatrudnij. Daj mu coś do roboty i sprawdzmy, jak sobie poradzi.

Po namyśle Marjorie poprosiła Admita, żeby założył kartotekę gości, którzy mieli przybyć na przyjęcie, gromadząc wiedzę o ich rodzinnych powiązaniach oraz osobiste informacje, które mogły się okazać pomocne podczas prowadzenia rozmów z nowo poznanymi. Zajęło mu to zaskakująco dużo czasu jak na kogoś, kto podobno wszystkich znał, ale efekt końcowy przedstawił z wielkim rozmachem.

Marjorie podziękowała z uśmiechem, który zdradzał wyłącznie ignorancję i wdzięczność. Następnie wspólnie z Rigiem przekazali otrzymane dane Persunowi Pollutowi.

– Och, na moją chromą lewą nogę – mruknął Persun. – Ten głupiec nie odróżnia kuzynki od ciotki ani bon Maukerdenów od bon Bindersenów.

– Informacje są nieprecyzyjne? – zapytała słodkim głosem Marjorie.

– Nie zgadza się praktycznie nic poza tożsamością Obermum i Obermunów. Poradziłby sobie lepiej, gdyby po prostu zgadywał. Gdybyście oparli się na tych informacjach podczas rozmów, bonowie zjedliby wasze kości na kolację.

– Co wskazuje na niewyobrażalną głupotę albo celową dezinformację – stwierdził Rigo, szczerząc zęby.

– We własnych sprawach wykazuje się inteligencją – odrzekła Marjorie.

– Ktoś go więc poinstruował, żeby nam nie pomagał – uznał Rigo. – A nawet przeszkadzał. Teraz już wiemy wszystko o nim i nieco więcej o nich.

Marjorie jeszcze kilkakrotnie udawała, że konsultuje się z Admitem w różnych sprawach, a Rigo dla zabawy udzielał mu nieprawdziwych informacji dotyczących celu funkcjonowania ambasady, a następnie czekał, które z nich wrócą do niego, zakamuflowane, za pośrednictwem bonów.

Persun tymczasem poprawił kartotekę gości i omówił ją z zaufaną asystentką Riga, Andrea Chapelside. To właśnie Persun dostarczył prawdziwe szczegóły dotyczące bonów.

– Ten jest ważniejszy niż się wydaje – ostrzegął. – A ten jest złośliwy i będzie rozmyślnie przekreślał wasze słowa.

Postanowiono, że Persun, ubrany w liberię służącego, będzie krążył pośród gości i słuchał ich rozmów, natomiast Admit Maukerden, odziany w olśniewający strój, który podsyca jego przekonanie o własnej ważnej pozycji, zostanie umieszczony na posterunku niedaleko pierwszej powierzchni, skąd, pławiąc się w fałszywym poczuciu władzy, będzie ogłaszać przybycie kolejnych gości, tak naprawdę oddalony od wydarzeń w górnych pomieszczeniach. Chociaż Marjorie uważała, że nie wydarzy się nic istotnego, Rigo wierzył, że czas i wysiłek, które poświęcił na przygotowania, przyniosą owoce.

Nadszedł wieczór przyjęcia. Autoloty zwinnie opuszczały się na zwirowy dziedziniec i wypluwały zdobionych klejnotami pasażerów, a następnie równie szybko odlatywały, żeby zrobić miejsce kolejnym przybyszom. Marjorie i Stella, ubrane równie ekstrawagancko jak bonowie – ich suknie uszyła cała rodzina szwaczek ze Wspólnoty, wskazana przez Roalda Few – czekały na szczycie schodów, po których mieli się wspiąć goście. Marjorie trzymała pod rękę Riga, a Stella Tony'ego.

Rigo przewidywał kilka problemów, o których poinformował dzieci.

– Nie przyjedzie nikt w waszym wieku. Jednakże nie będą aż tak niedyplomatyczni ani niewdzięczni, by nie zwracać na was uwagi. Możecie się spodziewać pochlebstw oraz prób oczarowania. Stella ze strony jednego albo kilku mężczyzn, a Tony ze strony jednej albo kilku kobiet. Wy również zachowujcie się czarująco. Udawajcie, że wam to pochlebia. Ale nie dajcie się zwieść! Nie traćcie głowy.

Widząc, jak Tony blednie, a Stella czerwienieje ze złości, Marjorie pokiwała głową i wypowiedziała kilka uspokajających słów. Sama również została ostrzeżona przez Persuna Polluta, który czerpał wiedzę od pewnego mieszkańca wioski, który z kolei miał kuzyna w posiadłości bon Maukerdenów.

– Nie zależy im na prawdziwych kontaktach, pani. Nie chcą się angażować. Nakazali wybranym członkom swojej rodziny, żeby wam nadskakiwali, ale będą to robili tylko po to, żebyście czuli się zadowoleni z siebie.

– Ale po co? – spytała. – Dlaczego odrzucają szczerłość?

– Niektórzy z nich niczego nie odrzucają. Możliwe, że niektórzy chętnie by was powitali. Na przykład Eric bon Haunser. Może Figor bon Damfels. Tego typu ludzie. Ale Obermunowie, myśliwi, są przeciwni. Twierdzą, że przybyli na Trawę, żeby uciec przed cudzoziemcami. Nazywają was fragami. Ale sądzę, że tak naprawdę się was boją. Jeśli szukacie strachu, znajdziecie go pośród myśliwych.

Persun nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego bonowie mieliby się bać. Po prostu miał takie przeczucie, ale nie znał powodów.

– Dlaczego oni się nas boją? – spytała Riga Marjorie.

– Boją się? Nonsens – odparł gniewnie. – Kieruje nimi czysta duma z ich wspaniałego dziedzictwa, które jednak w większości należy włożyć między bajki. Sender O’Neil opowiedział mi o ich pochodzeniu. Może ten głupiec niewiele wie o Trawie, ale doskonale zdaje sobie sprawę, skąd pochodzą bonowie. Ich przodkowie należeli najwyżej do drobnej szlachty. Nie mogą wiecznie udawać, że są ważni, jeśli nie da im się ku temu okazji. Kiedy tutaj przybyli, przywieźli ze sobą mnóstwo prostych ludzi, którymi mogli rządzić, ale kolejne pokolenia tylko karmiły się złudzeniami dotyczącymi ich historii.

Marjorie, która dostrzegała wśród arystokratów charakterystyczne nieświadome drgnięcia skóry, zmarszczki wokół oczu, zaciśnięte usta, uważała, że Persun ma rację. Bonowie odczuwali strach, chociaż być może nie rozumieli, czego się boją.

Jednakże niezależnie od tego, czy motywowała ich duma, czy lęk, ich zachowanie pozostawało niezmiennie. Przybyli tak, jak zapowiedział Persun, zgodnie z hierarchią ważności, najpierw dużo płotek: przywódcy czwartej i piątej kategorii ze swoimi damami, kuzyni i ciotki drobiący nogami na schodach, jakby stopnie były gorące, starzy samotni mężczyźni, którzy przypominali podstarzałe byki, machające na boki głowami, żeby wypróbować siłę swoich rogów. Kiedy Admit Maukerden wykrzykiwał kolejne nazwiska, Andrea, ukryta w altance, sprawdzała je i odczytywała komentarze do szeptofonu:

– To kuzynka Laupmonów, trzydzieści cztery terrańskie lata. Bezdzienna i wciąż uczestniczy w Polowaniach. Następna to jedna z ciotek Obermum. Pięćdziesiąt dwa terrańskie lata. Już nie poluje.

Instruowani przez Andree, której głos brzęczał im w uszach jak owad, Yrarierowie traktowali poszczególnych gości odpowiednio z wdziękiem, sztywną oficjalnością, a nawet chłodem, w przypadku tych, którzy nie zaakceptowałyby żadnej innej reakcji.

– Bardzo się cieszymy, że państwo mogli nas odwiedzić – szeptali, zwracając uwagę na każdy detal stroju i wszystkie charakterystyczne cechy, łącząc je z imionami, które rozbrzmiewały im w uszach, żeby nie zapomnieć, na kogo należy uważać w dalszej części wieczoru.

– Dobry wieczór. Bardzo się cieszymy, że państwo mogli nas odwiedzić.

Na balkonie nad największą salą grali muzycy. Tuzin mieszkańców wioski, pośpiesznie wyszkolonych i wystrojonych w liberie, krążył z kieliszkami, tworząc atmosferę przepychu i pogardy, zgodnie z wytycznymi Stelli.

– Musicie wysłać sygnały – wyjaśniła im, chichocząc – że lepiej jest być służącym w Opalowym Wzgórzu niż Obermunem gdziekolwiek indziej.

– Stello! – zaprotestował Rigo.

– Wszystko w porządku, proszę pana – odparł Asmir Tanlig. – Doskonale rozumiemy młodą damę. Mamy być tak dumni, żeby zawstydzić bonów.

Tak właśnie się zachowywali, wszyscy bez wyjątku, kłaniając się jak arystokraci, gdy podawali tace z kieliszkami i kawałkami pysznego jedzenia oraz szeptem wskazywali drogę do toalet, wzdłuż balkonu, niedaleko muzyków. Goście stali, siedzieli albo spacerowali po domu, przyglądając się każdemu meblowi i każdej zasłonie, niektórzy z niezadowolonymi minami. Nie mogli niczego skrytykować, gdyż wtedy krytykowałiby sami siebie. Taki wystrój wnętrza charakteryzował wszystkie posiadłości. Podobne obrazy na ścianach. Podobne kompozycje z kwiatów. Może nie tak sprawnie ułożone, ale zbyt zbliżone, żeby je potępić, chociaż kilka osób próbowało. „Jakie zwyczajne” – komentowały. – „Jakie pospolite. Można by się spodziewać, że przybysze ze Świątoci...”. Ale oni usiłowałiby pomniejszyć wartość wszystkiego, co pochodziło ze Świątoci.

– Dobry wieczór. Bardzo się cieszymy, że państwo mogli nas odwiedzić.

Zaczęli przybywać przywódcy drugiej i trzeciej kategorii. Eric bon Haunser pod rękę z Semeles bon Haunser.

– Kuzynka – poinformowała Andrea. – Kiedyś podobno była kochanką Erica. Będzie próbowała uwieść Tony’ego, a jeśli jej się nie uda, zabierze się za ambasadora.

Czyżby głos Andrei zadrżał na samą myśl o tym, że ktoś może usiłować uwieść ambasadora? A może to było rozbawienie? Siwowłosa Andrea, która знаła Riga jak młodszego brata. Która wiedziała wszystko o Eugenie. Rozbawiona? Tony poczerwieniał, pochylając się nad dłonią Semeles bon

Haunser. Stella parsknęła, a Marjorie stłumiła chichot, kłaniając się z uśmiechem, gdy Figor ujął jej dłoń.

– Figor bon Damfels, młodszy brat Obermuna. Otrzymał polecenie flirtowania z Lady Westriding. Shevlok bon Damfels. Będzie adorował Stellę, ale niechętnie, ponieważ wciąż jest w żałobie po śmierci Janetty bon Maukerden. Sylvan bon Damfels. jak zwykle nikt nie zna jego zamiarów.

Marjorie spokojnym głosem zwróciła się do synów bon Damfelsów.

– Dobry wieczór. Bardzo miło ponownie panów widzieć.

– Dobry wieczór, Lady Westriding – odrzekł Sylvan z ukłonem. – Cieszymy się, że państwo zaplanowali dla nas tę uroczystość. Od kilku dni nie rozmawiamy o niczym innym. – Uśmiechnął się do Marjorie i Stelli, po męsku poklepał Tony’ego po ramieniu i lekko skinął głową Rigowi. Cóż za wdzięk. W porównaniu z Sylvanem Shevlok był kiepskim aktorem, który tylko wymamrotał niewyraźny komplement i zerknął na nich z ukosa, bardziej wystraszony niż uwodzicielski. Marjorie uznała go za nieprzekonującego, a Stella za prostackiego. Nieszczęśliwy Shevlok.

– Obermun Stavenger bon Damfels. Obermun Rowena bon Damfels.

Pojawili się przywódcy pierwszej kategorii i Andrea zamilkła. Yrarierowie już wiedzieli, co się mówi o Obermunach i Obermumach.

– Obermun Kahrl bon Bindersen. Obermun Lisian bon Bindersen. Obermun Dimoth bon Maukerden. Obermun Geraldria bon Maukerden.

– Dobry wieczór. Jesteśmy zaszczycony państwa przybyciem.

– Obermun Gustave bon Smaerlok. Obermun Berta bon Smaerlok. Obermun Jerril bon Haunser. Obermun Felitia bon Haunser.

– Dobry wieczór. Dobry wieczór.

– Obermun Lancel bon Laupmon.

– Samotny – szepnęła Andrea. – Niedawno owdowiał.

W końcu pojawili się ostatni z mężczyzn oraz bardzo stara kobieta na mechanicznym fotelu.

– Obermun Zoric bon Tanlig. Obermun Alideanne bon Tanlig.

– To matka Obermuna i najstarsza spośród pierwszych przywódców – wyszeptała Andrea. – Zawsze przybywa jako ostatnia.

Teraz Yrarierowie mogli podążyć za muzyką i zapachem jedzenia, pokonując pół ciągu schodów prowadzących w dół z długiego, chłodnego korytarza. Marjorie weszła do sali balowej, gdzie Rigo zaraz porwał ją do tańca. Stella i Tony poszli w ich ślady. Ćwiczyli te starodawne kroki pod czujnym okiem mistrza tanecznego przysłanego ze Wspólnoty i teraz przemierzali parkiet z taką swobodą, jakby znali ten niezwykle intymny taniec od urodzenia. Nazywano go walcem. Kolejne pary bonów dołączały do nich na parkiecie, nie aż tak licznie, żeby okazać entuzjazm, ale zarazem wystarczająco, żeby nie posądzono ich o złe maniery.

– Wskazują nam nasze miejsce – rzekła Marjorie, uśmiechając się do Riga.

– Uda im się tylko wtedy, gdy pokażemy, że to zauważyliśmy. – Odpowiedział uśmiechem, ale w głębi jego oczu kryły się płomienie furii.

Wymienili się partnerami. Rigo nie zamierzał ryzykować nawet drobnego afrontu. Chociaż był dostępny dla wszystkich bonów, prosił do tańca tylko te kobiety, którym polecono się do niego zbliżyć. Dzięki Persunowi znał ich tożsamość. Podobnie jak Tony.

– Udawaj, że to zawody olimpijskie – poradziła swojemu wylęknionemu synowi Marjorie. – Jeśli dobrze się spiszesz, zdobędziesz medal. Traktuj swoją partnerkę jak posłusznego konia, grzecznie, ale stanowczo. W końcu to tylko sport.

Zatem Tony tańczył, uśmiechał się i próbował flirtować, chociaż miał w tym żałośnie małe doświadczenie. Stella była od niego dużo lepsza, a złość tylko dodawała jej witalności.

Marjorie piła sok owocowy, który dyskretnie dostarczył jej Asmir Tanlig, i nuciła pod nosem, co czasami robiła, gdy obowiązki zmuszały ją do czegoś, na co nie miała ochoty. – Ukłon, uśmiech, daj się porwać do tańca. Uśmiech, flirt, rozmowa o niczym. Flirt, wdzięk, daj się odprowadzić na miejsce. Wdzięk, ukłon i od nowa. – Kolejni partnerzy przychodzili i odchodzili. Marjorie zatęskniła za prawdziwym drinkiem i prawdziwą rozmową.

– Czy pani ze mną zatańczy, Lady Westriding? – odezwał się Sylvan, pojawiając się za jej plecami.

Niemal odetchnęła z ulgą. Sylvan nie należał do grona osób, na które miała uważać. Potraktowała jego ramiona jako schronienie. Nie pokazała, że ucieka, tylko zrzuciła maskę wyniosłości. Prowadził ją delikatnie, jakby była zakapturzonym ptakiem, przyzwyczajając ją do swoich ruchów, aż w końcu zaczęli tańczyć niemal jak jedno ciało. Marjorie przez chwilę z rozbawieniem myślała o radzie, jakiej udzieliła Tony'emu. Wokół nich krążyły inne pary, a bonowie szeptali do siebie. Sylvan zawsze był interesujący, ze względu na swoją nieprzewidywalność. Patrzcie: Sylvan! Sylvan bon Damfels...

Być może to właśnie ta cisza zwróciła uwagę Riga. Stał na balkonie obok wejścia do salonu dla panów, a gdy zobaczył, jak Marjorie wiruje w objęciach Sylvana, poczuł, że jego górna warga unosi się w znajomym wściekłym grymasie. Tańczyła z młodym bon Damfelsem jakby był jej dobrym przyjacielem. Albo kochankiem.

Z trudem panował nad swoim obliczem. Nie mógł warczeć ani przeklinać, jak czasami robił, gdy widział ją tak zadowoloną, na przykład podczas jazdy konnej, tańca albo zwykłej przechadzki po ogrodzie. Niekiedy na twarzy Marjorie pojawiał się wyraz nieświadomej radości, związany z tą częścią jej natury, której zawsze pożądał, a która nigdy nie ujawniała się, kiedy byli razem. Widywał to samo na arenie i podczas łowów, gdy Marjorie mknęła przez zielone pastwiska ku wysokim ogrodzeniom, pomiędzy słupkami i ponad wodą, pędziła ku niebezpieczeństwu i rozkoszy, jak ptak szybujący z rozśpiewanym obliczem. Chciał powstrzymać tego ptaka.

Zabiegał o względy Marjorie i ją zdobył, ale nigdy nie posiadał tego, czego najbardziej pożądał. Poszukując jej duszy, zapanował tylko nad jej ciałem, odkrywając pustkę, której się nie spodziewał, opuszczoną cytadelę, którą bezskutecznie oblegał. W jego łóżu stawała się kimś innym, ubranym w dziecinne stroje, przejrzyście blade i pokryte kwiatami, kimś delikatnym i pozbawionym kości, kto skupiał wzrok na czymś odległym, czego Rigo nie dostrzegał. Używał wobec niej wszystkich swoich sztuczek, a nawet wymyślił nowe, specjalnie dla niej, ale, wychodząc z jego łóżka, nigdy nie wyglądała tak jak teraz, gdy tańczyła z Sylvanem bon Damfelsem,

zatracona w ruchu i rozkoszy, z przymkniętymi oczami i ustami wygiętymi w łagodnym uśmiechu, który miał należeć tylko do niego.

Głos Andrei zabrzmiał w jego uchu, potajemny jak szpieg.

– Persun mówi, że zauważono pańską nieobecność.

Rigo uśmiechnął się zszedł z balkonu, wypatrując kobiecych twarzy, na które mógłby zwrócić szczególną uwagę, kobiecych ciał, które mógłby podziwiać znaczącymi spojrzeniami, sugerując coś, ale niczego nie obiecując. To wszystko była tylko gra.

Tymczasem na dole Sylvan zostawił Marjorie i ze świadomą kurtuazją zwrócił się w stronę Stelli. Marjorie wzięła kolejny kieliszek soku owocowego z tacy, którą podsunął jej Asmir Tanlig, i stanęła obok Geraldrii bon Maukerden, przyłączając się do dowcipnego podziwiania sukien, zdobionych haftami i koralikami, które układały się w fantastyczne wzory. To również była jedna z trawiańskich gier, oparta na własnym języku i etykietce. Persun zbadał jej zasady i przekazał je Marjorie.

Rigo minął ją w tańcu, uśmiechając się jak manekin ponad ramieniem swojej partnerki.

Za nimi, przez otwarte drzwi prowadzące na taras, Marjorie zobaczyła Eugenie. Czy kogokolwiek wyznaczono, żeby z nią zatańczył? Któregoś z bonów? A może żadnego? Być może Marjorie będzie musiała poprosić Sylvana, żeby zatańczył z kochanką jej męża. Ale niewykluczone, że Shevlok zrobi to bez zachęty. Stał niedaleko drzwi i patrzył na Eugenie, której ktoś towarzyszył.

Jakaś dziewczyna? Ale przecież na przyjęciu nie było żadnych dziewcząt ani młodych kobiet. Nie licząc Stelli, a ona właśnie tańczyła z Sylvanem. Marjorie, ogarnięta złym przeczuciem, odstawiła kieliszek.

Eugenie i jej przyjaciółka weszły przez tarasowe drzwi. Eugenie miała na sobie suknię w kolorze róży, powiewającą jak obłok rozświetlony zachodzącym słońcem; jej towarzyszka była ubrana w podobny strój, fioletowy jak cień, miała wysoko upięte włosy i szła za Eugenie takim samym posuwistym krokiem z głową odwróconą w jedną stronę, tak że obrzucała salę dziwacznym jednookim spojrzeniem z ukosa...

Zapadła dziwna cisza. Ktoś przestał mówić i wbił wzrok w nieznajomą. Ktoś inny podążył za jego wzrokiem. Jedna z par zatrzymała się w tańcu. Muzyka grała dalej, ale ludzie zwolnili, a w końcu się zatrzymali, jak ruchome zabawki, którym zabrakło mocy.

Eugenie była już w połowie sali i kierowała się ku Marjorie. Zdawała sobie sprawę, że nie może podejść do Riga, przynajmniej oficjalnie. Wiedziała, że jej publiczna rola polega na byciu jedną z grupy, gościem ambasady zaproszonym do udziału w tej wystawnej zabawie. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń, gdy jej towarzyszka minęła mężczyznę stojącego obok drzwi...

Nagle Shevlok wrzasnął, jakby ktoś wyrwał mu serce.

– Janetto!

Eugenie obejrzała się niepewnie. Widząc, że jej towarzyszka nadal za nią podąża, ruszyła dalej, ale na jej twarzy zagościło wahanie.

– Janetto! – Tym razem to kobieta stojąca obok Marjorie, Geraldria bon Maukerden, wykrzyknęła to samo imię.

Podniosła się wrzawa. Geraldria upuściła kieliszek, który roztrzaskał się na dzwoniące odłamki. Muzyka ucichła. Shevlok i Geraldria szli jak lunatycy w stronę dziwnej dziewczyny.

Dimoth bon Maukerden zaczął krzyczeć, potem dołączył do niego Vince, jego brat, a następnie inni. Otoczyli i pochwycili dziwną dziewczynę, chociaż ta nie reagowała, po czym zaczęli ją sobie przekazywać z rąk do rąk. Znosiła to biernie jak szmaciana lalka, spoglądając w stronę Eugenie, jakby jej umysł spoczywał w ciele jej towarzyszki, aż w końcu trafiła w ręce Shevloka.

– Co z nią zrobiliście? – ostro spytał Sylvan, stając obok Marjorie. – Co z nią zrobiliście?

– Z Eugenie?

– Z Janettą. Z tą dziewczyną.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałam!

– A ta kobieta, która z nią jest. Co ona z nią zrobiła? – Kiedy Marjorie bezradnie pokręciła głową, Sylvan dodał: – Lepiej szybko się dowiedzcie, zanim wszyscy zaczniemy w siebie rzucać martwymi nietoperzami.

Marjorie nie miała czasu spytać, co miał na myśli. Nagle pojawił się Rigo i zażądał wyjaśnień od Eugenie, która płakała i wypierała się wszelkiej winy, bełkocząc niezrozumiale, tak że goście nie dowiedzieli się niczego, co mogłoby złagodzić ich wzbierający gniew.

– Ty plugawa *fragras!* – ryknął Gustave bon Smarlok. – Co zrobiłaś Janecie?

– Milczeć! – wrzasnął Rigo, a jego głos zmiotł wszystkie pozostałe. – Milczeć!

Pojawiło się malutkie naczynie ciszy, do którego głos Eugenie wlał się jak cienki strumień gorzkiego owocowego soku.

– Dostałam ją w Mieście Ludu – jęknęła Eugenie. – Od Jandry Jellico. Uszyłam jej sukienkę i poprawiłam włosy, to wszystko. Wyglądała tak, kiedy ją dostałam...

Część zgromadzonych arystokratów dostrzegła, że Eugenie mówi prawdę, na miarę swojej ograniczonej wiedzy. Eugenie była szczerą jak dziecko, zapłakana, niepewna, co właściwie zrobiła, że zapanowało takie poruszenie. Chciała sprawić niespodziankę, przyprowadzając zwierzątko na przyjęcie. Myślała, że będzie się dobrze bawiła.

– Mówiłem wam, że powinniśmy się trzymać z daleka od tego plugastwa! – ponownie ryknął Gustave z czerwoną twarzą i kropelkami śliny w kącikach ust.

Rigo przed nim stanął. Nie mógł na to pozwolić.

– Plugastwa? – warknął. – A jak plugawymi trzeba być, żeby pozwolić własnym córkom tak się upodlić, zdać na łaskę obcych, którzy muszą je odnaleźć, ocalić, ubrać i nakarmić?

– Rigo! – zawołała Marjorie, wchodząc pomiędzy obu rozwścieczonych mężczyzn. – Obermunie bon Smaerloków, nic dobrego nie wyniknie z obelg. Wszyscy jesteście bardzo zdenerwowani. Tak samo jak my.

– Zdenerwowani?! – wykrzyknął Dimoth. – Moja córka!

– Wysłuchajcie mnie! – zagrzemiał Rigo. – Kiedy ostatnio ją widzieliście?

Zapadła cisza, w której każdy zastanawiał się nad odpowiedzią na to pytanie. To było... to było poprzedniej jesieni. Wczesną jesienią. Jesienią zniknęła. Nikt nie chciał przyznać, że minęło tak dużo czasu.

– Słyszeliśmy o jej zniknięciu – odezwała się Marjorie. – Wydarzyło się na długo przed naszym przybyciem. Jeszcze zanim uzyskaliście od was zgodę na przylot.

Jej słowa zawisły w powietrzu, niezaprzeczalnie prawdziwe. Janetta zniknęła na długo przed przybyciem tych ludzi. Janetta, która teraz stała w środku niewielkiego okręgu, samotnie tańczyła i nuciła, cudowna jak porcelanowa figurka i równie bezosobowa. Nic w jej twarzy ani spojrzeniu nie wskazywało, że jest żywą osobą. Wśród otaczających ją ludzi był Shevlok bon Damfels, ale już jej nie trzymał.

– To nie jest Janetta – załkał.

– Oczywiście, że to ona.

– Nie bądź śmieszny.

– To moja córka!

– To nie Janetta – powtórzył. – Nie. Nie. Ta osoba jest starsza.

– To zrozumiałe! – wykrzyknęła Geraldria. – Powinna być starsza, Shevloku.

– Poza tym jest inna. Jest inna.

Kto mógłby się z nim spierać? To stworzenie różniło się od wszystkich. Obracało się, obserwując ich dziwnymi, gęsimi oczami, jakby chciało sprawdzić, czy ktoś ma coś, czym może je zainteresować – może trochę ziarna albo chleba. Otworzyło wilgotne różowe usta.

– Hnnnga! – zawołało jak kociak. – Hnnnga!

Goście zaczęli nieco spokojniej pytać Eugenie, gdzie znalazła dziewczynę i od jak dawna ją ma. Po chwili zapanowało poruszenie pośród bon Maukerdenów, Obermuna i Obermum, sióstr i kuzynów, braci i siostrzeńców.

Porywczy Vince bon Maukerden stanął przed Rigiem.

– Nieważne, kiedy zniknęła. Ważne, że pojawiła się właśnie tutaj, ot tak! Skąd mamy wiedzieć, że to nie wy jej to zrobiliście?

– Wy – syknął Gustave, który stał w pobliżu – którzy nawet nie macie odwagi, żeby z nami polować. Coś takiego mogliby zrobić tylko *fragras*.

– Z jakiego powodu? – spytała Marjorie donośnym, łagodnym głosem. – Wystarczy dowiedzieć się prawdy. Spytajcie mieszkańców Miasta Ludu.

– Pospólstwo! – zakpił Gustave. – Oni nie mają honoru. Okłamaliby nas!
Po chwili tłum zafalował i porwał ze sobą dziwną dziewczynę.

Niektórzy goście wyszli. Shevlok. Bon Maukerdenowie. Gustave i jego Obermum. Inni zostali. Spośród nich bon Damfelsowie zabawili najdłużej, wielokrotnie wysłuchując opowieści Eugenie. Zwłaszcza Sylvan nie przestawał pytać:

– Czy ona coś mówiła, Madame Le Fevre? Chociaż raz? Chociaż słowo? Jest pani pewna?

Eugenie zaś mogła tylko kręcić głową. Zwierzątko nigdy się nie odzywało.

Dopiero później Marjorie zrozumiała, dlaczego Sylvan był tak zdesperowany. Dimity bon Damfels zniknęła podczas Polowania, tak samo jak Janetta bon Maukerden. Skoro Janetta pojawiła się w taki sposób, może Dimity również się odnajdzie, cała i zdrowa.

* * *

Chociaż wśród bonów nie było lekarzy, można ich było znaleźć we Wspólnocie. Żaden z arystosów nigdy nie zniżył się do nauki tego zawodu, ale pospólstwo nie miało oporów, żeby polecieć na kilka lat na Semlinga i wrócić z solidnym wykształceniem. Bonowie nie mieli także w swoich szeregach architektów ani inżynierów, ale eksperci z większości branż technicznych również przebywali we Wspólnocie. Dlatego właśnie stamtąd przybyła Lees Bergrem, która miała zbadać Janettę bon Maukerden – doktor Lees Bergrem, kierowniczka szpitala.

Jedna ze służących, która zawsze wszystko widziała i słyszała, powiedziała o tym swojemu bratu, który poinformował kogoś innego, kto z kolei powiadomił Roalda Few.

A Roald powiedział Marjorie.

– Doktor Bergrem założyła jej na głowę urządzenie, które zmierzyło aktywność mózgu. Nic się w nim nie dzieje, jak u kurczaka.

– Będzie w stanie ponownie się uczyć?

– Doktor Bergrem tego nie wie, pani. Wydaje się, że tak, w końcu panna Eugenie nauczyła ją tańczyć, czyż nie? A także nucić jakąś piosenkę. Wygląda więc na to, że można ją uczyć. Doktor Bergrem chciała ją zawieźć do szpitala, ale Gereldria bon Maukerden nie chciała o tym słyszeć. Głupia kobieta. Doktor Bergrem studiowała na Semlingu, a także na Pokucie. Napisała kilka książek o swoich odkryciach tutaj na Trawie. Niektórzy twierdzą, że przewyższa wiedzą nawet licznych lekarzy na Terrze.

Marjorie, która nigdy nie traciła okazji, żeby dowiedzieć się czegoś o Trawie, zamówiła książki doktor Bergrem, których faksymile miała otrzymać z Semlinga Prime.

Wiadofony huczały od plotek. Odnaleziono żywą Janette bon Maukerden. Ze wszystkich, którzy zaginęli na przestrzeni lat, ona odnalazła się jako pierwsza. Pierwsza i jedyna, a mimo to jej pojawienie się rozbudziło nadzieję wśród części arystokratycznych rodziców i kochanków.

Do Opalowego Wzgórza przybyła Rowena bon Damfels.

– Niech państwo nie mówią Stavengerowi, że tutaj byłam – wyszeptwała, opuchnięta na twarzy od strachu i smutku. – On i Gustave godzinami ryczeli na siebie przez wiadofon. Zabronił mi państwa odwiedzać.

– Przyszłabym do pani! – wykrzyknęła Marjorie. – Wystarczyło poprosić.

– Zobaczyłby panią i wypędził. Wciąż trwa wygaśnięcie i nie ma Polowań. Zobaczyłby panią.

Jednakże Rowena tak naprawdę chciała się zobaczyć z Eugenie i zadać jej kilka pytań, ponieważ nie mogła się udać do Miasta Ludu bez wiedzy Stavengera. Marjorie z nimi została, i to ona zaproponowała Rowenie:

– Poproszę tamto małżeństwo, żeby tutaj przyjechali. Ludzi, do których ona należała we Wspólnocie. Zaproszę ich, skoro pani twierdzi, że nie mogą przybyć do państwa posiadłości. Będziecie mogli porozmawiać u nas.

Krucha więź. Odrobina zaufania. Po wyjściu Roweny Marjorie westchnęła, pokręciła głową i posłała po Persuna Polluta.

– Sprawdź, czy uda ci się wezwać na jutro tamtego oficera porządkowego i jego żonę. Państwa Jellico. Powiedz im, że Obermum chce

z nimi porozmawiać. Tylko dyskretnie, Persunie.

Położył palce na swoich ustach i oczach, pokazując, że niczego nie powiedział ani nie widział, a następnie wyszedł. Wrócił, aby przekazać, że państwo Jellico się zgodzili i przyjadą następnego dnia, a Marjorie posłała wiadofonem zagadkowy komunikat, który mogła zrozumieć tylko Rowena. Potem skorzystała z okazji i poprosiła Persuna, żeby wyjaśnił jej jeszcze jedną sprawę.

– Podczas przyjęcia Sylvan powiedział, że będziemy rzucać w siebie martwymi nietoperzami. Co miał na myśli?

– Hippae to robią – odrzekł Persun. – A przynajmniej tak słyszałem. Czasami to się zdarza podczas Polowania. Kopia w siebie martwymi nietoperzami.

– Martwymi nietoperzami?

– One są wszędzie, pani. Mnóstwo martwych nietoperzy.

To bez sensu, pomyślała Marjorie. Odnotowała sobie, żeby później sprawdzić tę kwestię. Teraz nie miała na to czasu.

– Rowena ze mną rozmawia – poinformowała Riga. – Możliwe, że to wydarzenie otworzyło nam drzwi.

– Dopóki jest w takim stanie. Kiedy się uspokoi, znów nas od siebie odsunie.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Jestem o tym przekonany – odparł sztywno.

Traktował ją z dystansem od czasu przyjęcia, podczas którego widział wyraz jej twarzy, gdy tańczyła z Sylvanem. Marjorie rozpoznawała, że to oznaka powstrzymanego gniewu, ale sądziła, że jego przyczyną jest zachowanie Eugenie. Dawno temu postanowiła nie zwracać uwagi na relacje między Rigiem a Eugenie, i teraz również udawała, że niczego nie widzi. Jako że nie zareagowała na jego wyraźne rozdrażnienie, Rigo doszedł do wniosku, że jest jej obojętny, a myśli zaprzęta jej ktoś inny. Dlatego jeszcze bardziej się rozżłościł, a ona stała się jeszcze bardziej milcząca. Tak trwał ich taniec, menuet z opaskami na oczach.

Jednakże z zachowania Riga dało się wyczytać, że coś zdecydował.

– Rigo, chyba nie...

- Owszem – odparł stanowczo. – Zatrudniłem mistrza jeździeckiego.
- Przecież Gustave tylko...
- Powiedział to, co oni wszyscy myślą. Uważają, że nie jesteśmy godni ich uwagi, ponieważ nie polujemy.
- To nie jest zwykłe polowanie – odrzekła z odrazą. – Cokolwiek oni robią, to nie jest polowanie, tylko coś ohydneho.
- Cokolwiek oni robią, zamierzam im dorównać! – ryknął.
- Chyba nie oczekujesz, że ja... albo dzieci...
- Nie – wykrztusił, zaszokowany. – Oczywiście, że nie! Za kogo mnie uważasz?

No właśnie, za kogo ona mnie uważa, pomyślał. Wpakowali się w kłopoty przez Eugenie, ale Marjorie ani razu nie miała do niego pretensji o to, że sprowadził swoją kochankę tam, gdzie z pewnością nie pasowała. Z tego powodu dusiło go poczucie winy. Miał wrażenie, że źle traktował Marjorie, mimo że ona nigdy mu tego nie okazywała. Nie reagowała wrogością, gdy spędzał czas z Eugenie, ani się nie złościła, że zaangażował się w drugi związek. Nigdy nie była zgorzkniała, nigdy mu nie groziła. Zawsze była obok niego, nieomylna, zatroskana, układna, postępująca właściwie w każdych okolicznościach, nawet gdy specjalnie wystawiał ją na próbę. Czasami myślał, że oddałby duszę za to, żeby się rozplakała, zaczęła krzyczeć, rzuciła się na niego albo uciekła, ale ona nie robiła niczego takiego.

Zastanawiał się, czy spowiadała się z gniewu albo zazdrości księdzu Sandovalowi. Czy opowiadała mu o swoich uczuciach? Czy płakała?

Dawno temu uznał, że Marjorie nigdy nie będzie go kochała tak, jak to sobie wymarzył, ponieważ całe serce oddała koniom. Znienawidził jeździecką pasję żony, ponieważ oddawała koniom to, czego on sam nigdy od niej nie otrzymał – prawdziwą namiętność. Konie były dla niej ważniejsze nawet od macierzyństwa i działań dobroczynnych.

Ale teraz zastanawiał się, czy to prawda. Czy konie rzeczywiście zawładnęły jej sercem? A może po prostu czekała na coś innego? Może na kogoś takiego jak Sylvan bon Damfels?

Za kogo go uważała?

Musiał ją spytać.

– Marjorie, czy Sylvan bon Damfels coś ci powiedział, kiedy tańczyliście?

– Czy coś powiedział? – Posłała mu zaniepokojone spojrzenie, wciąż przestraszona jego zamiarem polowania razem z bonami, obojętna na inne sprawy. – Sylvan? O co dokładnie ci chodzi, Rigo? Z tego, co pamiętam, to była typowa rozmowa. Pochwalił mnie i Stellę za wybór sukni. Jest dobrym tancerzem. Skoro Pollut nas przed nim nie przestrzegął, mogłam się rozluźnić i cieszyć tańcem. Dlaczego pytasz? Co masz na myśli?

– Po prostu się zastanawiam. – Zastanawiał się, co Marjorie ukrywa.

– Co Sylvan ma wspólnego...?

No właśnie, co Sylvan ma z tym wszystkim wspólnego? Z tym, jak Rigo się poczuł, gdy ją zobaczył. Z tym, że on poluje, a Rigo nie. Nie zamierzał rozważać, co łączy te dwie sprawy. Nie zamierzał o tym myśleć.

– Nic. Nic. Nie oczekuję od ciebie ani dzieci uczestnictwa w Polowaniu arystosów.

– Ale dlaczego ty musisz to zrobić?

– Ponieważ oni niczego mi nie powiedzą, dopóki nie zdobędę ich zaufania, a nie zaufają mi, dopóki nie wezmę udziału w ich... rytuałach!

Zamilkła, pogrążona w smutku, chociaż tego nie okazywała. Na Trawie wyczuwało się wrogość do cudzoziemców. Jeżeli Rigo wyruszy na Polowanie, zanurzy się w tę wrogość jak w ruchome piaski.

– Nie zmienisz zdania. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie, a Rigo nie wiedział, jak rozpaczliwie to powiedziała, stawiając na szali całą miłość, którą, jak sądziła, była mu winna. – Nie zmienisz zdania, Rigo.

– Nie – odparł tonem, który nie dopuszczał dalszej dyskusji. – Nie.

* * *

Chociaż maszyna jeździecka jest niezgrabna i ciężka, tylko nieznacznie przewyższa pod tym względem mistrza jeździeckiego Hectora Paine'a, mężczyznę o srogim obliczu i złowrogiej minie, odzianego w czarny strój,

jakby pogrążonego w żałobie po tych wszystkich, których nauczył, jak umierać.

Rigo przeznaczył jedną z nieużywanych sal w zimowej kwaterze na salon jeździecki i pojawił się tam ze Stellą, która pilnie odgrywała rolę kochanej córeczki. Tam z niedowierzaniem usłyszał, że ma ćwiczyć po cztery godziny dziennie. Stella najwyraźniej tego nie dosłyszała, gdyż była zajęta głaskaniem maszyny jeździeckiej. Nucila coś pod nosem i nie zwracała na nic uwagi.

Ubrany na czarno instruktor był stanowczy.

– Rano godzina ćwiczeń, potem godzina przejażdżki. Tak samo w dalszej części dnia. Pod koniec tygodnia być może dojdziemy do trzech, a następnie czterech godzin. Docelowo dążymy do dwunastu godzin bez przerwy, co drugi dzień.

– Mój Boże!

Stella dotknęła stepionych kolców na szyi lśniącej maszyny i przesunęła palcem wzdłuż pętli wodzy zawieszonych na najniższym kolcu.

– Czy pan myślał, że to będzie łatwe? Polowania często trwają po dziesięć albo jedenaście godzin. Czasami dłużej.

– Nie będę miał czasu na nic innego!

– Dla tych, którzy polują, Wasza Ekscelencjo, nic innego się nie liczy. Myślałem, że pan już to zauważył. – W jego głosie nie było kpiny, ale Rigo i tak posłał mu ostre spojrzenie. Stella oddaliła się w kierunku kąta sali, gdzie usiadła za stertą mebli, niepozorna i niewidoczna, ale z gorliwością w oczach.

– A jednak mógł pan natychmiast się ze mną spotkać – warknął Rigo.

– Tylko dlatego, że Gustave bon Smaerlok kazał mi znaleźć czas.

– Ma nadzieję, że się nie nadaję, tak?

– Myślę, że byłby usatysfakcjonowany, gdyby tak się okazało. Oczywiście niczego takiego nie mówił, odniosłem jedynie takie wrażenie.

– I zgodził się pan informować go na bieżąco?

– Mam go jedynie powiadomić, kiedy będzie pan gotowy uczestniczyć w Polowaniu. Powiem tak, Wasza Ekscelencjo. W wypadku młodych zaczynamy, nim skończą dwa lata – ile to będzie według waszej rachuby?

Dziesięć albo jedenaście lat? Gdy są jeszcze dziećmi, zaczynamy pracować co drugi dzień, każdego tygodnia, każdego okresu, przez wszystkie pory roku. Mniej więcej przez jeden trawiański rok. To ponad sześć waszych lat.

Rigo nie odpowiedział. Po raz pierwszy zaczął sobie zdawać sprawę, że być może nie zdąży pojechać za ogarami. Nie, jeśli nauka zajmie mu tyle czasu, co dzieciom...

W takim razie nie może pozwolić, żeby to trwało tak długo. Skupiając całą uwagę, słuchał tego, co ma do powiedzenia mistrz jeździecki.

W kącie, ukryta za przestawionymi krzesłami i sofami, Stella nasłuchiwała równie uważnie.

Tańczyła z Sylvanem bon Damfelsem.

Tylko przez chwilę, ale wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że wszystko, czego pragnęła, było w jego skórze i oczach, kryło się w głosie i dotyku dłoni.

Kiedy tutaj przybyła, sądziła, że nigdy nie zapomni Elaine, nie zapomni przyjaciółki, którą zostawiła. Teraz nie miała miejsca, nawet w pamięci, dla nikogo poza Sylvanem. Kiedy uśmiechnął się do niej na parkiecie, zrozumiała, że myślała o nim od chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, na Polowaniu u bon Damfelsów. Widziała go wtedy w stroju jeździeckim, widziała, jak dosiada wierzchowca i jedzie. Na parkiecie, gdy jej ciało poruszało się razem z jego ciałem, przypomniawszy sobie wszystkie chwile, gdy go widywała i gdy się do niej odzywał, a jej namiętne serce jak zwykle domagało się czegoś więcej. Więcej. Więcej Sylvana bon Damfelsa. Pojedzie u jego boku, tak samo jak z nim tańczyła, już to sobie wyobrażała – och, wyobrażała sobie też robienie innych rzeczy z Sylvanem bon Damfelsem.

Popatrzył jej w oczy.

Powiedział, że jest cudowna.

Ukryta za meblami, triumfowała, po raz pierwszy ciesząc się, że jest na Trawie. Nadstawiała uszu, żeby usłyszeć każde słowo, które mistrz jeździecki kierował do jej ojca, pochłaniając wiedzę i ją zapamiętując. Koniecznie pragnęła się nauczyć. Szybko. Szybciej niż ktokolwiek przed nią.

* * *

Ten sam autolot, którym mistrz jeździecki przyleciał do Opalowego Wzgórza, przywiózł także Jamesa i Jandrę Jellico, którzy już czekali w gabinecie Marjorie na przybycie Roweny.

Rowena, gdy się wreszcie pojawiła, przyprowadziła Sylvana.

– Powiedzcie nam wszystko, co możecie – poprosił Sylvan państwa Jellico łagodnym głosem. – Wiem, że nie dopuściliście się niczego nagannego, więc po prostu powiedzcie wszystko.

Marjorie i Tony usiedli z boku i słuchali. Nikt nie zasugerował, że powinni wyjść. Gdyby tak się stało, Marjorie i tak zamierzała podsłuchiwać pod drzwiami.

James i Jandra mieli niewiele do powiedzenia, a jednak snuli swoją opowieść przez godzinę, powtarzając każdy szczegół dziesięciokrotnie.

– O jednym trzeba pamiętać – wyjaśnił Galareta Sylvanowi. – To, że Ducky Jones pracuje w takiej, a nie innej branży, nie oznacza, że nie jest uczciwa. Jest najuczciwsza na świecie. Wierzę, że naprawdę znalazła tę Janettę na własnej tylnej werandzie pod sznurem na bieliznę.

– Ale jak to możliwe?! – wykrzyknęła Rowena, chyba po raz dziesiąty.

James wziął głęboki oddech. Był zmęczony unikami i eufemizmami, zmęczony uleganiem słynnej ekscentryczności bonów. Postanowił powiedzieć brutalną prawdę i sprawdzić, ile ta kobieta potrafi wytrzymać.

– Proszę pani, kiedy ostatnio ją widziano, jechała na grzbiecie jednej z tych bestii. Każdy, kto ma odrobinę rozsądku, uzna, że to właśnie bestia ją tam zawiozła albo posłała. Ja również tak uważam.

A więc stało się. Jasno i bez niedomówień, kolczaste, agresywne potwory, Hippae, zostały w to wciągnięte, nazwane po imieniu, co nadało całej sprawie aspekt, o którym bonowie nie mówili i nie pozwalali innym choćby wspominać. Hippae. Wszyscy wiedzieli, że zabrały dziewczynę, a przynajmniej zrobił to jeden z nich. To one coś jej zrobiły, czy ktoś w to wątpił? To one ją ukryły. One ją przetrzymywały. Aż w końcu znów się pojawiła. Któż może wiedzieć dlaczego? Któż może wiedzieć, w jaki sposób? Marjorie czuła wzbierające wątpliwości, ale milczała, trzymając

Tony'ego za rękę, czując, że on również drży pod wpływem pytań, na które nikt nie odpowiedział ani których nikt nie zadał. Bonowie woleli obwiniać Yrarierów niż Hippae. Nawet teraz Rowena nic nie mówiła. Dlaczego?

Państwo Jellico pożegnali się i wyszli. Rowena płakała, kurczowo obejmując Sylvana, który posłał Marjorie surowe spojrzenie, zabraniając jej się odzywać. Spuściła wzrok, czując wpływ jego woli niczym dotknięcie dłoni.

– Mamo, chciałabyś się na chwilę położyć? – spytał Rowenę.

Pokiwała głową, zalana łzami.

– Tony, odprowadź panią, dobrze? – poprosiła Marjorie, czekając, aż zabierze kobietę, chcąc zostać z Sylvanem, żeby spytać...

– Chwileczkę – odezwała się Rowena.

Marjorie pokiwała głową.

– Lady Westriding... Marjorie. Możliwe, że nadejdzie chwila, gdy będę mogła ci zaproponować pomoc, tak jak ty mi teraz pomagasz. Zrobię to, choćbym musiała zaryzykować życie. – Położyła dłoń mokrą od łez na dłoni Marjorie, a następnie wyszła z Tonym, zostawiając swojego syna.

– Nie rób tego – powiedział, kiedy zostali sami, widząc pytanie, które odmalowało się na jej twarzy. – Nie wiem.

Ale nie potrafiła się powstrzymać.

– Przecież tutaj żyjecie. Znacie te bestie.

– Ciii – syknął, oglądając się przez ramię i przesuwając palcami pod kołnierzykiem, który nagle stał się za ciasny. – Nie nazywaj ich bestiami. Nie nazywaj ich zwierzętami. Nie mów tak. Nawet do siebie. Nie myśl tak.

– Chwycił się za gardło, jakby coś go dusiło.

– Co mówisz?

– Hippae. Wierzchowce – zabulgotał. – Ale nie używaj nawet tych słów tam, gdzie mogą cię usłyszeć. Przy nich nie mów niczego. – Zakrztusił się, walcząc o powietrze.

Wpatrywała się w jego twarz, widząc krople potu na czole, widząc, jak się stara zachować spokój.

– Co się stało?

Walka stała się jeszcze gwałtowniejsza. Nie był w stanie odpowiedzieć.

– Ciii – odezwała się, ujmując go za rękę. – Nic nie mów. Tylko myśl. Czy to... one ci to robią?

Najłżejsze skinienie głową.

– Robią coś z... twoim mózgiem? Z twoim umysłem?

Delikatne drgnięcie powieki. Gdyby nie nauczyła się odczytywać prawie niedostrzegalnych gestów, niczego by nie zauważyła.

– Czy... – Pomyślała na chłodno o tym, co widziała w posiadłości bon Damfelsów. – Czy to coś w rodzaju czyszczenia umysłu?

Zamrugął, głęboko oddychając.

– Przymus?

Westchnął, przerywając walkę. Głowa opadła mu na pierś.

– Przymus uczestniczenia w łowach, a zarazem niezdolność myślenia i rozmawiania o Polowaniu. – Powiedziała to do siebie, nie do niego, wiedząc, że to prawda, a on popatrzył na nią lśnącymi oczami. Łzy?

– To pewnie się nasila, im częściej ktoś poluje – ciągnęła, uważnie go obserwując. Wiedziała, że ma rację. – Kiedyś udało ci się z nami porozmawiać zaraz po Polowaniu...

– Wtedy one odeszły – zabulgotał, ciężko dysząc. – Po długim Polowaniu zawsze odchodzą. Dzisiaj są tutaj, wszędzie wokół Opalowego Wzgórza, niedaleko!

– Zimą ten przymus niemal znika? – spytała. – A także latem? Ale wiosną i jesienią całkowicie was ogarnia? Tych spośród was, którzy biorą udział w Polowaniu?

Tylko na nią popatrzył, wiedząc, że Marjorie nie potrzebuje potwierdzenia.

– Co robią, kiedy kończy się zima? Żeby was przywołać do porządku? Zbierają się wokół waszych posiadłości? Całymi tuzinami? Setkami? – Nie zaprzeczył. – Gromadzą się i na was naciskają, nalegając na Polowanie. Oprócz tego muszą wywierać presję, żebyście zabrali dzieci. To również rodzaj przymusu?

– Dimity – odrzekł z westchnieniem.

– Twoja młodsza siostra.

– Moja młodsza siostra.

– Twój ojciec...

– Jeździł przez lata, był łowczym, tak jak Gustave...

– No tak – odrzekła, myśląc, że musi o tym powiedzieć Rigo. Musi sprawić, żeby zrozumiał.

– Zabiorę mamę do domu – wyszeptał, a jego twarz się uspokoiła.

– Jak udało ci się im przeciwstawić? – Mówiła równie niskim głosem jak on. – Dlaczego nie odgryzły ci ręki ani nogi? Czy nie tak robią, gdy ktoś z was próbuje się sprzeciwić?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Domyśliła się sama. Nie przeciwstawiał się im podczas łowów. Gdyby to zrobił, zniknąłby albo został ukarany. Nie, kiedy polował, był jednym z nich, takim samym jak reszta. Tajemnica polegała na tym, że szybko wracał do siebie po zakończeniu Polowania. Na tyle szybko, żeby zdążyć coś powiedzieć i zasugerować.

– Wtedy nas ostrzegłeś – powiedziała, wyciągając do niego rękę. – Wiem, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

Ujął jej dłoń i położył ją sobie na policzku. Tylko tyle. Ale właśnie wtedy zobaczył ich Rigo.

Sylvan przeprosił, uklonił się i poszedł poszukać Roweny.

– Przyjemna schadzka – rzekł Rigo z wściekłym uśmiechem.

Marjorie była zbyt zaaferowana, żeby zauważyć wyraz jego twarzy.

– Rigo, nie wolno ci wziąć udziału w Polowaniu. Sylvan mówi...

– Och, myślę, że to, co mówi Sylvan, ma bardzo małe znaczenie.

Popatrzyła na niego niepewnie.

– To ma ogromne znaczenie. Rigo, Hippae to nie są zwykłe zwierzęta. One... one robią coś swoim jeźdźcom. Wpływają na ich mózgi.

– Spryciarz Sylvan wymyślił niezłą historię.

– Myślisz, że to jego wymysł? Nie bądź śmieszny. To oczywiste. Zrozumiałam to już podczas pierwszego Polowania.

– Czyżby?

– A także po wczorajszym wieczorze. Na miłość boską, Rigo. Czy nie zdziwiło cię, że nikt nie obwinia Hippae? Dziewczyna zniknęła podczas Polowania, a nikt nie obwinia wierzchowca, na którym jechała?

– Gdybyś zniknęła podczas Polowania, moja droga, a potem pojawiła się jako kurtyzana w jakimś mało ważnym księstwie, czy powinienem winić twojego konia? – Zmroził ją spojrzeniem, a następnie wyszedł.

Patrzyła w ślad za nim, rozpaczliwie usiłując zrozumieć, co się wydarzyło.

W klasztorze Zielonych Braci noc spokojnie spoczywała na parapetach. Tutaj rzadko słyszano potężny, paraliżujący okrzyk, który nawiedzał południowe krainy, chociaż chóry przypominających robaki rzekotek wypełniały mrok kojącymi dźwiękami. Dni spędzano na pracy, a noce na śnie. Bracia podobno kiedyś oddawali się nauce, ale tutaj nie była ona potrzebna. Wszystkie pytania zredukowano do doktryny, doktrynę uproszczono do katechizmu, a katechizm już dawno przyswojono. Poza tym, po co pokutnikom wiedza? Nie mieliby z niej pożytku.

Klasztor stał na prerii porośniętej krótką trawą, chociaż niedaleko rosły wyższe gatunki. Każdego roku w drugiej połowie lata część braci zajmowała się ścinaniem silnych i grubych ździebeł, które dorównywały wysokością siedmiu albo ośmiu roslom mężczyznom. Inni pozostawali w klasztorze, gdzie kopali głębokie, wąskie rowy – równoległymi parami – tworząc zarys nowych sal, które miały być potrzebne w ciągu trawiańskiego roku. Chociaż pokutnicy starzeli się i umierali, liczba braci stale rosła. Jednocześnie akolici Świętości coraz częściej się rozsyrywali, niczym nadmiernie rozpędzone kółka.

Potężne trawy przecinano, wiązano i wleczono do klasztoru, gdzie stawiano je obok siebie w przygotowanych rowach. Szczyt każdej wiązki rozdzielano w połowie i wiązano z wiązką stojącą w równoległym wykopie, tworząc zakrzywione sklepienie, które następnie pokrywano słomą. Otwory łątano panelami uplecionymi z trawy. Wewnątrz tej wysokiej

przestrzeni budowano potrzebne pomieszczenia: nową kaplicę, kuchnię czy kolejny zbiór cel.

Historycy zakonu twierdzili, że w ten sam sposób zadaszano pomieszczenia dawno temu na innym świecie, gdzie ludzie żyli wśród wysokich traw. Historycy nie powiedzieli, co ci ludzie robili podczas zimy. Na Trawie zimą bracia schodzili do ciasnego podziemnego klasztoru, gdzie przeczekiwali tę długą porę roku w atmosferze odosobnienia i tłoczego rozdrażnienia. Zimy doprowadzały niejednego z nich do szaleństwa. Chora dzikość ogarniała bractwo – przyczajona, endemiczna, częściej wybuchająca wśród młodych. Starzy już pożegnali się z nadzieją, ale młodzi stale odczuwali frustrację i zmagali się z nią na dziwne, niebezpieczne sposoby.

W letniej części klasztoru było wystarczająco dużo miejsca, żeby frustracja znalazła ujście. Wąskie korytarze rozciągały się na wszystkie strony wśród niskich traw. Niektóre tworzyły sklepienie krużganki wokół zamkniętych ogrodów, w innych znajdowały się drzwi, które otwierały się na szerokie rabaty warzywne, jeszcze inne prowadziły do gospodarstw, gdzie kurczaki grzebały w ziemi, a świnie z zadowoleniem postękiwały w swoich zagrodach. Gdyby nie wieże, klasztor mógłby uchodzić za kopiec pozostawiony przez olbrzymiego kreta, gdyż korytarze o zaokrąglonych sklepieniach po wyschnięciu upodobiły się barwą do miejscowego gruntu.

Jednakże były też wszechobecne wieże. Oszalali z nudy młodzi bracia wznosili te iglice z łądyg przez dziesięciolecia. Początkowo miały postać zwężających się masztów o wysokości najwyżej piętnastu czy dwudziestu męczczyzn, i były zwieńczone pierzastymi kłosami. Z czasem powstały bardziej złożone, trój- i pięcionożne szkaradzieństwa wspinające się ku niebu poprzecinanemu smugami chmur, niemal wykraczające poza wzrok i wiarę ludzi na ziemi – wciąż powstawało ich więcej.

Nad szerokimi dziedzińcami wznosiły się koronkowe igły mocno spojone linami z wytrzymałej trawy drucianej. Z każdego skrzyżowania krytych strzechą korytarzy wystrzeliwały pająkowate wieżyczki przeszywające obłoki. Filigranowe maszty wznosiły się ponad kuchniami

i ogrodami. Poza granicami klasztoru lasy kolców niczym u jeżowca wbijały się w trawiańskie niebo miriadą gotyckich wieżyczek. Nie było miejsca w klasztorze ani jego okolicy, z którego nie byłoby ich widać, fantastycznie wysokich i absurdalnie kruchych iglic wspinaczy.

Na tych konstrukcjach młodzi bracia, z tej odległości rozmiarem podobni do pajaków, pełzali i huścili się pośród chmur, ciągnąc za sobą smukłe liny, łącząc wszystkie wieże mostami, które zdawały się cienkie jak palec i słabe jak włos. Po drabinach wątych i chwiejnych jak pajęczce sieci wspinali się na platformy, gdzie pełnili straż. Początkowo wypatrywali ogarów i trawożerców. Później złocistych aniołów, takich jak na wieżach Świętości. Przynajmniej tak zapewniali niektórzy z nich, rozczarowani tym, że nigdy nie widzą niczego ciekawego. Ostatnio z nudów donosili o obserwacjach niestworzonych rzeczy, a starszy brat Laeroa z trudem bronił ich przed wpadnięciem w ręce przedstawicieli Doktryny. Jhamlees Zoe chętnie przeprowadziłby solidną sesję dyscyplinarną albo nawet proces o herezję. W końcu pracownicy urzędu do spraw Akceptowalnej Doktryny nudzili się tak jak każdy.

Przez dziesięciolecia na wieże wspinali się amatorzy, następnie entuzjaści, a w końcu specjaliści, którzy stworzyli kult z hierarchiami i akolitami, własnymi rytuałami chrztu i pochówku oraz własnymi tajemnicami, które dzielili tylko wyznawcy. Każdego nowego akolitę w ciągu kilku dni od przybycia poddawano próbie, żeby dowiedzieć się, czy zostanie jednym ze wspinaczy. Kiedy brat Mainoa ostrzegł brata Louraia, że wspinacze nie dadzą mu spokoju, powiedział szczerą prawdę.

Nie zwlekali długo.

* * *

Brat Lourai, dawniej znany jako Rillibee Chime, tak samo jak poprzednie pokolenia akolitów siedział w refektarzu i przodem szaty polerował krawędź stołu, czekając na dźwięk gongu, po którym miał wstać, zanieść swój talerz do klapy na naczynia, a następnie wyjść do myjni, gdzie czekały na niego wieczorne obowiązki. Szept, który usłyszał, zaskoczył go, gdyż

rozległ się za jego plecami, gdzie nie było niczego poza gołą ścianą kończącą korytarz.

– Louraiu. Posłuchaj uważnie.

Popatrzył w górę, po czym się rozejrzał, powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Od najbliższych sąsiadów dzieliła go spora odległość. Byli to niscy rangą funkcjonariusze, których, jak twierdził Mainoa, przysłał urząd do spraw Akceptowalnej Doktryny. Wolał nie rzucać się im w oczy.

Zobaczył tylko plecione maty, z których była zbudowana ściana.

– Louraiu – ponownie zabrzmiał głos. – Dzisiaj po służbie. Czas na twoją inicjację.

Następnie rozległ się dźwięk, który podejrzenie przypominał złośliwy chichot. Rillibee zamknął oczy i pomodlił się o pomoc. W odpowiedzi usłyszał tylko pokrzykiwania starców na dalekim podeście. Po chwili otworzył oczy i powiódł wkoło wzrokiem, zastanawiając się, czy znajdzie w Wielkim Refektarzu cokolwiek, co może mu pomóc.

Od środkowej kopuły refektarza odchodziły cztery sklepione korytarze, rozczapierzone jak palce. Pod kopułą znajdował się podest, na którym zasiadali najstarsi bracia: Jhamlees, Fuaso i Laeroa oraz pół tuzina innych. W korytarzach stały długie pojedyncze rzędy plecionych stołów, przy których w kolejności starszeństwa siedzieli pokutnicy. Stoły wyglądały cudownie, przynajmniej tak uważał Rillibee.

Paski wycięte z łądyg skręcono i upleciono z nich kształty przedstawiające gałązki, liście i kwiaty. Blaty zakrzywiały się ku dołowi, a pod ząbkowatymi krawędziami płynnie przechodziły w nogi wybrzuszone się z rokokowym przepychem. Matka Rillibee'ego nazwałaby takie meble wiklinowymi, wskazując na ich podobieństwo do starego brązowego fotela bujanego, który stał przy palenisku. Tutaj nazywano je po prostu plecionkami z trawy, ale trawa występowała w dziesiątkach kolorów i setkach odcieni.

Kolejne pokolenia braci pieściły dłońmi plecione poręcze krzesel, wygładzały tyłkami ich koszowe siedziska oraz polerowały brzuchami i rękawami zawinięte krawędzie stołów. Brat Rillibee/Lourai zajmował miejsce na samym krańcu rzędu stołów, tak długiego, że jego drugi koniec

niknął w oddali, gdy patrzyło się ponad blatami w stronę kopuły. Z tego powodu podczas posiłków najmłodszym braciom dokuczała samotność, chociaż zarazem mieli doskonałe warunki do refleksji.

Także codzienne życie upływało im w samotności. Krzesła po obu stronach Rillibee'ego stały puste. Nie miał kogo poprosić o pomoc. Ale nawet gdyby poprosił, zapewne nikt by mu jej nie udzielił. Zresztą nie miał na to czasu, ponieważ ostry dzwonek kończący posiłek właśnie przebił się przez pozostałe dźwięki i je uciszył. Rillibee wstał i podążył za setkami innych powłóczących nogami postaci, które ustawiały swoje talerze za klapą i wychodziły na wieczorne powietrze.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, skręcił z dziedzińca w alejkę, która prowadziła obok refektarza do myjni na tyłach. Tam ustawił się przy jednej rączce pompy i czekał na swojego współpracownika. Po chwili anonimowy brat w średnim wieku usiadł przy swojej rączce i razem zaczęli wykonywać monotonne ruchy, które miały dostarczyć wodę z gorącego źródła daleko w dole. Z pompy woda trafiała do kotłów, a następnie przepływała do koryta płuczącego. Zanim koryto się napełniło, kotły znów były puste.

– Cholerna głupota – mruknął brat Lourai, myśląc o bateriach słonecznych i pompach napędzanych wiatrem, których używano w innych częściach klasztoru do pompowania wody do kąpeli oraz napełniania stawów rybnych i dużego pojemnika z wodą pitną.

– Cicho – zganił go jego starszy towarzysz. Pompowanie stanowiło pokutę. Nie miało być łatwe ani sensowne.

Rillibee się uciszył. Nie zależało mu, żeby wcześniej skończyć. Dzisiaj chciałby, żeby praca trwała jak najdłużej. Cały czas myślał o rozmowie, którą poprzedniego dnia odbył z nim starszy brat Jhamlees.

– Tutaj jest napisane, chłopcze... – oznajmił starszy brat – ...że straciłeś nad sobą panowanie w refektarzu i zacząłeś wykrzykiwać absurdalne oskarżenia.

Rillibee już miał na końcu języka śmiałą i gniewną ripostę, ale wtedy przypomniał sobie radę, której udzielił mu Mainoa.

– Tak, starszy bracie – odpowiedział.

– Zostały ci tylko dwa lata – ciągnął starszy brat. Jego twarz była jednobarwna i gładka jak korek, zupełnie jakby nosił maskę. Miał pospolite rysy, nie licząc nosa, malutkiego jak plasterek odkrojony od korka z butelki z winem, z cienkimi szparkami nozdrzy. W porównaniu z tym nosem pozostałe części twarzy wydawały się niepokojąco olbrzymie. – Tylko dwa lata i musiałeś zwątpić. Cóż, zdajesz sobie sprawę, że tutaj na to nie pozwolimy.

– Tak, starszy bracie.

– Sprawdźmy, co pamiętasz ze swojego katechizmu. A więc jaki jest cel ludzkości?

– Zaludnić galaktykę w Bożym czasie.

– A na czym polega obowiązek kobiety?

– Na rodzeniu dzieci, które zaludnią galaktykę.

– A jak ten cel zostanie osiągnięty?

– Poprzez wskrzeszenie wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli, poczynając od naszych pierwszych rodziców.

– A co nas poprowadzi?

– Zmartwychwstanie Syna Bożego oraz wszystkich świętych, którzy ponownie staną się świętymi, w dniach ostatecznych, i poprowadzą nas do idealnej Świętości, Jedności i Nieśmiertelności.

– Hmm. – Starszy brat Jhamlees zadumał się. – Dobrze znasz doktrynę. Co się z tobą stało, do diabła?

Zapominając o otrzymanych radach, Rilibee spytał:

– Starszy bracie, czy kiedy wszyscy zostaniemy wskrzeszeni, dokonają tego maszyny?

– Co masz na myśli, chłopcze?!

– Nie będzie już wtedy ludzi. Zaraza wszystkich nas zabije. Czy to maszyny dokonają wszystkich wskrzeszeń?

– Dziesięć pasów za impertynencję – stwierdził starszy brat Jhamlees. – I kolejne dziesięć za głoszenie nieprawdy. Nie ma żadnej zarazy, bracie Lourai. Żadnej.

– Widziałem, jak umiera na nią moja matka – odparł Rilibee Chimes. – Zachorowali także mój ojciec i siostra. Możliwe, że ja też jestem zarażony.

Podobno czasami choroba ujawnia się dopiero po latach...

– Wyjdź! – ryknął starszy brat. – Wyjdź. Wyjdź. – Pobladł tak bardzo, że brat Lourai zaczął się zastanawiać, czy starszy brat kiedykolwiek spotkał kogoś, kto widział zarazę na własne oczy.

Brat Lourai wyszedł. Od tamtej pory spodziewał się, że ktoś go wezwie, by wymierzyć mu karę dwudziestu pasów, na którą skazał go starszy brat Jhamlees. Tak się nie stało. Jedyne wezwanie otrzymał w refektarzu i wcale nie miał ochoty na nie odpowiedzieć. Teraz też grał na zwłokę, pompując wodę do mycia naczyń.

Jednakże jego praca wreszcie musiała dobiec końca. Zawartość kotłów wylano do rowu, wiodącego do szamba, woda z koryt płuczących spłynęła do rowu, który prowadził do ogrodu, mydliny zaś wyparowały przez otwarte drzwi, którymi bracia wyszli bez słowa. Towarzysz Rillibee'ego po przeciwnej stronie pompy podkasał szatę i opuścił pomieszczenie. Po długiej chwili milczenia Rillibee poszedł w jego ślady.

Rozwagał ukrycie się w myjni. Przez chwilę poważnie się nad tym zastanawiał, wiedząc, że to bzdura, ale nie chcąc całkowicie zrezygnować z tego pomysłu. Gdzie będą na niego czekać? Gdzieś poza dziedzińcem, może w alejce prowadzącej do jego sypialnej.

– Chodź – odezwał się zniecierpliwiony głos. – Miejmy to już za sobą.

Odpowiedzenie głosowi przekraczało jego możliwości. Jeszcze trudniej byłoby uniknąć wezwania. Niechętnie powlókł się w stronę wołającej osoby, wyszedł bramą z dziedzińca i wszedł do alejki, w której trzej bracia wepchnęli go w drzwi, a następnie doprowadzili korytarzem do nieznanego pokoju. Byli ubrani tylko w trykoty i podkoszulki. Światło latarni malowało ich twarze lśniącem i ponurym blaskiem. Nie mogło być wątpliwości, że to wspinacze, o których opowiadał Mainoa. Opowiadał, a nie przestrzegał. Jaki byłby sens ostrzegać przed czymś nieuniknionym? Można jednak kogoś poinformować i dać mu czas do zastanowienia. Chociaż Rillibee'emu nie na wiele się to zdało.

Pchnęli go w stronę ławki, a on na niej usiadł, żeby ukryć drżenie nóg. Nie czuł strachu. To było coś innego, co niektórzy z napastników mogliby zrozumieć, gdyby miał czas z nimi porozmawiać. Ale nie miał.

Główny z braci – grupa rozrosła się do kilkunastu osób – stanął dumnie i oznajmił:

– Możesz mnie nazywać Długokostnym! – Był smukły, miał długie ręce i napiętą chłopcęcą twarz, chociaż zmarszczki wokół oczu świadczyły o tym, że już nie jest chłopcem. Kosmyk burych włosów opadał mu na czoło, skąd mężczyzna odgarniał go wyuczonym gestem. Kolor jego włosów nie zdradzał wieku. Brwi zrastały się nad nosem. Niebieskie oczy miał tak jasne, że prawie białe. Wszystko w nim było wyuczone, od postawy, przez gesty, maniery i głos. Wymyślone i stworzone, ale z czego?

Rilibee dostrzegł to wszystko, kiwając głową, żeby potwierdzić, że usłyszał. Nie było sensu niczego mówić. Im mniej się mówi, tym łatwiej się wszystkiego wyprzeć, jak lubił mu powtarzać mistrz akolitów w Świątyni.

– Jeśli o ciebie chodzi, to po kilkudniowej obserwacji możemy stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że jesteś korzenną rzekotką. – Znow rozległ się taki sam chichot, jakby ta obelga coś znaczyła.

Rilibee pokiwał głową.

– Musisz sam to przyznać, rzekotko. Powiedz, że jesteś rzekotką. – Głos przypominał śpiew wyzuty z wszelkich uczuć. Jak komarze brzęczenie w Świątyni.

– Jestem rzekotką – odrzekł Rilibee bez wstydu ani emocji.

– To wszystko dlatego – ciągnął Długokostny, przyjmując kolejną efektowną pozę – że my, wspinacze, uznajemy rzekotki za najniższą formę życia. Brat Shoethai jest rzekotką, czyż nie, chłopcy?

Przytaknęli chórem. Zgadza się. Polne rzekotki nie zasługiwały nawet na pogardę.

Rilibee widział brata Shoethaia, zniekształcone stworzenie nie wiadomo w jakim wieku, obiekt żartów – ale dyskretnych, gdyż pracował dla urzędu do spraw Akceptowalnej Doktryny. Długokostny nie dał Rilibee’emu zbyt wiele czasu do namysłu.

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że niektórzy, tak jak stary Shoethai, są z natury niezdolni do wspinania, więc nie unikną losu rzekotki. Ale tobie damy szansę. Każdy ją otrzymuje. To uczciwe, nie sądzisz?

Rilibee pozwolił sobie na pochopny komentarz.

– Ale ja chcę być rzekotką.

Rozległy się okrzyki zgromadzonych mężczyzn, którzy mogli być braćmi albo kuzynami Długokostnego, gdyż wszyscy mieli równie lśniąca skórę, smukłą sylwetkę i długie ręce, niczym jakieś pradawne małpy.

Długokostny pokręcił głową.

– Och nie, na pewno tego nie chcesz, rzekotko. Przemawia przez ciebie ignorancja. Może nawet urocza głupota. Rzekotki wiesz się za stopy na wieżach. Nad rzekotkami wszyscy się znęcają. Ich życie to nieustające cierpienie, którego nikt świadomie by nie wybrał. Znacznie lepiej jest przystąpić do testu i sprawdzić, co z tego wyjdzie, nie sądzisz? A jeżeli po prostu nie potrafisz się wspinać, to zastanowimy się, czy nie potraktować cię miłosiernie. Ale musisz spróbować. Takie są zasady. – Długokostny się uśmiechnął. To był serdeczny uśmiech, wyuczony; tylko oczy zdradzały jego okrucieństwo.

Rillibee, widząc te oczy, poczuł ucisk w żołądku. Przypominały oczy Wurna, wielkiego i wściekłego Wurna, który dawno temu miał w zwyczaju pożyczać przybory szkolne Rillibee’ego, licząc na to, że mu odmówi, dzięki czemu miałby pretekst, żeby go uderzyć. Było tylko kwestią czasu, gdy Wurn kogoś zabije. Podobnie jak Długokostny, jeśli już tego nie zrobił. Biorąc pod uwagę jego wiek, zapewne tak się stało. I zapewne znów to robi. Może nawet dzisiaj wieczorem. Niezbyt by się tym przejął. Możliwe, że nie pragnie, by jego ofiary traciły życie, ale mu to nie przeszkadza, dopóki cały proces zapewnia rozrywkę. A może nie rozrywkę, tylko coś innego?

Wciąż nie przestawał mówić:

– Rzekotki mają straszne życie, człowieczku. Towarzyszy im groza, jakiej nawet sobie nie wyobrażasz. Spytaj starego Shoethaia, jeśli nam nie wierzysz!

– Widziałeś kiedyś, jak ktoś umiera na zarazę? – spytał Rillibee bez namysłu. Natychmiast zapragnął cofnąć te słowa, ale grupa najwyraźniej nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Zarazę? – Długokostny się roześmiał. – Nie próbuj zmieniać tematu, rzekotko. Możesz opowiadać swoje historie komuś innemu, ale nie nam.

Najwyższy czas, żebyś zaczął się wspinać.

– Gdzie? – spytał Rilibee. Z trudem panował nad głosem.

Tych kilkunastu, a także kolejni, którzy gdzieś na nich czekali, stanowili stado. Rilibee widywał stada jako dziecko. Stada kojotów. Stada dzikich psów. Joshua wyjaśnił mu rządzące nimi zasady. Jeśli jeden z członków rzuca się na ofiarę, reszta się przyłącza. Właśnie tak się stało w Świątości. Kiedy jeden zaczyna dyszeć i wrzeszczeć, reszta mu wtóruje. Zachowali się tak, gdy Rilibee zaczął krzyczeć. Kiedy strącili go ze stołu i wynieśli, wrzeszczało już dwudziestu albo trzydziestu innych. Stado. Jeśli nie chcesz się z nim mierzyć, musisz zapobiec atakowi przywódcy.

– Tylko ty masz jakieś imię? – spytał Długokostnego, usiłując odwrócić jego uwagę.

Na chwilę to podziałało. Przedstawiono mu Ostrolota i Szczytołapa. Masztomistrza i Wieżochwyta. Linoskoczka oraz Długi Most i Mały Most. Rilibee zajął się zapamiętywaniem ich imion i twarzy. Wszyscy mieli pociągłe oblicza i szczupłe ciała, w większości z długimi rękami i dużymi dłońmi. Oczywiście zaletą była niska waga. Rilibee chował dłonie w rękawach szaty, zaciskając palce na przedramionach, wyczuwając węzły mięśni. Tyle lat ćwiczeń w Świątości. Tyle lat wspinania się i schodzenia po wieżach.

Szczytołap wpatrywał się w Długokostnego, starając się, żeby jego twarz i oczy niczego nie zdradzały. On nie podążał ślepo za swoim przywódcą i nie przyłączał się do bezmyślnej wrzawy. Może do niego można się odwoływać?

Ale Rilibee nie miał czasu na odwołania.

– Czas ucieka! – wykrzyknął Długokostny. – Robi się ciemno. Pora na wspinaczkę!

Rilibee'ego otoczył szepczący tłum, który przepchnął go korytarzem do jednego z magazynów, a następnie w górę schodów i przez klapę na kryty strzechą dach korytarza. Obok wznosiła się podpora wieży, a przy niej cienka drabina prowadząca do pierwszego zastrzału. Powyżej znajdowały się kolejne podpory i drabiny. Mgły skrywały szczyty wież. Przestrzeń

pomiędzy chmurami a ziemią przesywały ostatnie promienie zachodzącego słońca, zwiastujące początek długiego zmierzchu na Trawie.

– Ten potrafi się wspinać, zobaczycie – szepnął Szczytołap, ściskając ramię Rillibee’ego twardą dłonią.

– Och, założę się, że tak – warknął Długokostny.

Rillibee rozumiał ich mamrotanie. Przez tyle lat nasłuchiwał komarzego brzęczenia w Świętości i wychwytywał słowa pośród bełkotu, że teraz wiedział, o czym rozmawiają, chociaż chcieli to przed nim ukryć.

– O co się założysz? – odparł Szczytołap. – Może o całą kolejkę pracy w kuchni?

– Zgoda. – Długokostny zachichotał. – Według mnie to truposz.

Rillibee poczuł, jak ten chichot przesywa go lodowatym dreszczem.

„O Boże” – powiedziała papuga w jego myślach.

– Zamknij się – szepnął do siebie.

– Mówiłeś coś, rzekotko?

Pokręcił głową. Długokostny nie należał do ludzi, którzy ryzykują przegranie zakładu. Kiedy znajdą się na górze, będzie próbował dopomóc szczęściu.

Ale jakie to ma znaczenie? Może mu na to pozwolić?

„Pozwól mi umrzeć” – błagała papuga.

Kilkunastu braci otoczyło Rillibee’ego, przyjmując identyczną postawę, jakby byli jedną istotą, wskazując w górę ku ostatnim promieniom słońca.

Pytali, czy będzie się wspinał, napierając na niego i wyjaśniając zasady. Dadzą mu trzy minuty przewagi, a potem ruszą w pościg. Jeżeli dotrze do następnej drabiny i zejdzie, zanim go złapią, zostanie wspinaczem. Jeśli go dopadną, pozostanie rzekotką, ale nie będą się nad nim zbytnio znęcać, pod warunkiem, że zmusi ich do wysiłku. Jeśli spadnie, zostanie truposzem, chociaż tak naprawdę może nie odnieść żadnych obrażeń. Ale jeśli odmówi wspinaczki, umrze tutaj na dachu. Wysmarują mu twarz gównem i będą go bili po brzuchu tak długo, aż pożałuje, że nie zginął na wieży. Jeśli odmówi wspinaczki, stwierdził Długokostny, zanim go zabiją, mogą znaleźć jakiś przyjemny sposób na wykorzystanie jego ciała.

Pozostali przytaknęli, szczerząc zęby i spoglądając na niego rozgorączkowanymi oczami.

– Na górę! – zakrzyknęli. – Na górę, Louraiu. Musisz przejść inicjację. Musisz się wspinać! – Ostatnie słowo wydobyło się z co najmniej pięćdziesięciu gardeł, gdyż zamieszanie zwabiło kolejnych gapiów, którzy wspinali się po linach i gromadzili na dachu. – Wspinaj się, Louraiu! Wspinaj się! – wrzeszczeli Bracia Świętości, Zieloni Bracia o imionach takich jak Nuazoi czy Flumzee i obliczach żądnych krwi.

Są znudzeni, stwierdził brat Mainoa. Znudzeni aż do szaleństwa. A brat Lourai będzie musiał nauczyć się z nimi żyć.

To nie ich groźby poruszyły Rillibee'ego. W ostatnich latach wielokrotnie myślał o śmierci. Nie widział powodu, by dalej żyć, skoro Joshua, Songbird i Miriam umarli. Śmierć nie wydawała się zła, chociaż samo umieranie nie było tak proste, jak by tego pragnął. To ono stanowiło największy problem. Gdyby oddał się w ręce tego stada, doświadczyłby bólu i upokorzenia, których nie chciał. Jeśli ma umrzeć, niech to się stanie w spokoju, a nie z rąk długorękich barbarzyńców.

Ale tak naprawdę, do pierwszej drabiny pognały go ich chaotyczne wrzaski, szydercza kakofonia skupiona na jego osobie, świadomość, że nie dadzą mu spokoju, dopóki nie zacznie działać.

Drabina go nie przerażała. Przez tyle lat wspinał się po dziesięciokrotnie wyższych wieżach w Świętości. Wiedział, że nie może patrzeć w dół. Wiedział, że musi dobrze się chwycić, zanim przeniesie ciężar ciała. Ruszył po drabinie, najpierw powoli, potem szybciej, patrząc w górę, dostrzegając tam coś, czego zebrani na dachu nie widzieli albo nie zauważali.

Mgła się obniżała i opadała na klasztor. Przesłaniała szczyty wież i okrywała całunem pajęczne sieci mostków. Może ci na dole nie zauważą tego na czas, jeśli wystarczająco ich wyprzedzi.

Dotarł do pierwszego zastrzału wieży. Żeby przedostać się do kolejnej drabiny, musiał przejść po zakrzywionym trawiastym pręcie grubości jego nogi. Chociaż pręt był zaokrąglony, w odróżnieniu od czworobocznych dźwigarów, po których chodził wewnątrz szybów w Świętości, był także

szerszy. Nie tracąc czasu, Rillibee przebiegł po zastrzale i zaczął się wspinać po drugiej drabinie, badając wzrokiem czekającą go trasę. Położenie drabin. Położenie mostków. A także położenie najbliższej chmury.

Jego wyczyn wywołał wycie ludzi na dachu. Nowi przybysze nie biegali po zastrzałach! Chociaż jeszcze nie minął wyznaczony czas, Długokostny nie czekał dłużej. Ruszył po drabinie, chociaż kilka osób w dole odważyło się zawołać:

– Czas. Czas. To niesprawiedliwe!

Rillibee Chimes poczuł przyływ gniewu. Długokostny złamał własne zasady. Kto dał mu do tego prawo?

Długokostny nie zwrócił uwagi na okrzyki. Po chwili ruszyli za nim jego towarzysze. Prowadzili Ostrolot i Wiezochwyt, a tuż za nimi wspinał się Długi Most. Szczytołap został na dachu. Odsunął się od wieży i zawołał:

– Nie dałeś mu obiecane go czasu, Kostny. Nie dałeś mu czasu. – Rillibee usłyszał jego słowa, a także kilkanaście okrzyków uznania, które po nich nastąpiły. Szczytołap miał swoich zwolenników.

Rillibee słyszał także Długokostnego w dole, groźby i chichoty, które miały wytrącić go z równowagi i przyprawić o drżenie. Ale te odgłosy tylko karmiły jego gniew oraz sprawiały, że poruszał się pewniej i szybciej. Od obniżającej się chmury dzieliły go trzy poziomy. Zdążył zapamiętać ułożenie drabin i mostków. Dostrzegł jedną rzecz, która mogła mu pomóc, gdyby wybrał życie, oraz kilka rzeczy, które mogły się okazać użyteczne, gdyby wybrał śmierć. Popędzany złością, opętany przez demona przeciwności, gnany lękiem i nienawiścią, mknął w górę, szarpiąc i odpychając się dłońmi oraz stopami, słysząc wycie wspinaczy, którzy rzucili się ku wieżom, gdy wreszcie minął wyznaczony czas.

– Dopadnę cię, rzekotko! – wołał Długokostny triumfalnie. – Dopadnę cię.

Rillibee zaryzykował zerknięcie w dół. Znajdował się już bardzo wysoko nad ziemią. Na dole niższej drabiny roilo się od wspinaczy, podobnie na sąsiednich drabinach. Czekał go jeszcze bieg po dwóch zastrzałach, które

wyżej stawały się coraz węższe, a wreszcie drabina prowadząca w głąb mgły.

Gniew wywoływał napięcie, od którego z trudem łapał oddech i czuł ból w rękach. Nie było to na tyle dokuczliwe, żeby miał przez to spaść. Jeszcze nie. Ale wiedział, że w końcu tak się stanie. Za jakiś czas. Kiedy? Wilgotna mgła chłodziła mu policzki. Wspinał się.

Nagle mgła otuliła go jak materiał i owinęła niczym gaza. Ludzie w dole stracili go z oczu; on również już ich nie widział. Był sam wewnątrz obłoku, gdzie tylko drzenie wieży mówiło jego prześladowcom, dokąd zmierza, a jego informowało o ich położeniu. Wspinał się wolniej, spoglądając w bok, przenikając wzrokiem gęstniejącą ciemność. W końcu to, czego szukał, pojawiło się jako cień, wystający element zagubiony w szarej mgle, oddalony o zaledwie kilka stóp.

Rillibee odwiązał węzeł na swojej szarfie i odwinął ją z pasa, a następnie zrolował i zawiązał na końcu. Miał teraz na sobie tylko wąskie spodnie oraz koszulę bez rękawów, a mocno zwinięta szata wisiała mu na piersi. Wystający element pozostał z czasów, gdy budowano wieżę. Stanowił ramię dźwigu z wyciągiem, którym wciągano na górę materiały. Podtrzymywało go kilka ukośnych podpórek. Za plecami Rillibee'ego pajęczne nogi wieży znikwały w wilgotnej szarości obłoku. Rillibee usiadł tuż za ostatnią podpórką i czekał w mglistym bąblu wypełnionym przytłumionymi dźwiękami.

Dziesięć albo dwanaście stóp ponad wystającym ramieniem znajdował się mostek, trzy liny przeciągnięte do pobliskiej wieży, jedna do chodzenia, a dwie do przytrzymywania się, poprzeplatane cienkimi linkami. Rillibee jeszcze go nie widział, ale wiedział, że tam jest. Zobaczył go z dołu i zapamiętał jego położenie. Miał nadzieję, że szarfa ma wystarczającą długość, żeby do niego dosięgnąć.

Balansując na ramieniu dźwigu, zapierając się nogami o podpórkę, zamachał zwiniętą szatą jak wahadłem, z każdym ruchem zwiększając zasięg, aż w końcu rzucił ją w górę, tak że zaczepiła o mostek. Zamierzał związać oba końce pasa, żeby stworzyć pętlę, na której mógłby zawisnąć pod mostkiem, kryjąc się we mgle w miejscu, w którym nikt by go nie

szukał. Teraz zniechęcony szarpał za koniec szaty. Utknęła. Pociągając ją raz za razem, zrozumiał, że jego plan i tak by nie zadziałał. Linowy mostek ugiąłby się pod jego ciężarem. Ludzie, którzy każdego wieczoru wspinają się na te wysokości, od razu by zauważyli, że ktoś tam zawisł. Gdyby nie znaleźli nikogo na mostku, poszukaliby pod spodem.

No dobrze. Wziął głęboki oddech i pozostał na miejscu, przykucnięty na ramieniu, ściskając w dłoni koniec szarfy. W dole ktoś stękał i mamrotał, oddalony o zaledwie kilka długości ramienia.

– Tutaj! – zawołał Długokostny z histeryczną radością. – Jest tutaj.

Odpowiedzieli mu inni wspinacze, którzy znajdowali się niewiele niżej.

Rillibee czekał. Jeżeli postanowią wejść na ramię, zeskoczy. Upadek z tej wysokości niemal na pewno skończy się śmiercią. Miał nadzieję, że znajduje się nad gołą ziemią, a nie nad gęstą strzechą dachu, która złagodziłaby uderzenie. Skupiał na tym myśli, prawie nie oddychając, nieruchomy jak skała.

Ktoś go ominął, a po chwili kolejna osoba powędrowała w górę wieży. Rillibee nagle doznał olśnienia i szarpnął za szarfę, czując, jak porusza się linowy mostek w górze.

– Jest na mostku! – wrzasnął Długokostny. – Czuję go. Na mostku!

Z głębi mgły skrywającej wieżę, do której prowadził mostek, dobiegła donośna odpowiedź.

Lina w rękach Rillibee’ego kołysała się i tańczyła, przenosząc ruch mostku, po którym poruszali się wspinacze. Zostawił wiszącą linę i powoli doczołgał się z powrotem do wieży, nasłuchując odgłosów mijających go braci, pod osłoną mgły schodząc tą samą drogą, którą wszedł, czasami przepuszczając wspinające się cienie i nawołujące widma, a czasami ześlizgując się po mokrych drabinach, niewidoczny we mgle, ukryty przez chmurę, zjednoczony z niebem. Nad sobą słyszał chaotyczne głosy, prawdziwe i błędne wskazówki, okrzyki „Jest tutaj” mieszające się z zapytaniami „Gdzie on jest?”.

Nikt nie pilnował dolnej części drabiny, po której Rillibee się wspiał. Dach był pusty. Mgła opadła niemal do jego poziomu, a drzwi prowadzące na opustoszałe schody stały otworem. Z wysoka wciąż dobiegały okrzyki

„Tutaj, tutaj”, a drabina nadal drżała pod wpływem przemykających ciał. Rillibee cicho zszedł po schodach i pustym korytarzem przedostał się do alejki, a następnie wrócił do swojej celi w nowej sali noclegowej, która wciąż była nieukończona i niemal niezamieszkana. Kiedy wszedł do sali, usłyszał cichnący wrzask, jakby ktoś bez końca spadał z dużej wysokości.

Po wejściu do swojej celi wczołgał się pod łóżko i leżał tam, wstrzymując oddech, przyciśnięty do ściany. Dwukrotnie w ciągu nocy ktoś otwierał drzwi, wpuszczając do środka światło.

Przed świtem wstał i ponownie wspiął się na wieżę, w szarym półmroku docierając do mostku, o który zaczepiła się jego szata z wciąż dyndającą szarfą. Jeden z rękawów szaty odpadł i owinał się wokół liny służącej do przechodzenia po mostku, dzięki czemu zwitek materiału nie spadł i nikt go nie zauważył. Rillibee zabrał swoją szatę i włożył na siebie, a potem długo siedział na zastrzale, spoglądając na klasztor i otaczającą go prerię.

W jego głowie papuga mówiła: „Pozwól mi umrzeć”.

– Miałem taki zamiar – odpowiedział. – Dzisiaj rano.

Postanowił trochę to odłożyć. Zamierzał umrzeć tego ranka, ale ciekawie było siedzieć tak wysoko. Trawa w dole falowała jak bezkresne morze, ciągnąc się we wszystkich kierunkach ku niekończącemu się horyzontowi. W trawie poruszały się różne kształty. Olbrzymie stwory o kolczastych szyjach paradowały na górskiej grani: Hippae. Białe zwierzęta wielkości ludzkiego korpusu z trudem pełzały w trawie: rzekotki. Daleko na południu rząd potężnych trawożerców powoli wędrował na wschód. Rillibee patrzył na nie wszystkie, na chmury ptaków przemykające nad trawami, na pojedyncze fale świadczące o tajemniczych ruchach stworzeń, których nie mógł dostrzec. Żałował, że nigdzie nie ma drzew. Gdyby tylko rosły tam drzewa... Jednak ciepłe światło spływało na niego jak błogosławieństwo i obietnica czegoś dobrego, co miało się wydarzyć.

Kiedy wzeszło słońce, był już na tyle głodny, że postanowił zejść i udać się na śniadanie.

Dwukrotnie przerwano mu posiłek.

Za pierwszym razem zrobił to Długokostny, który przeszedł wzdłuż długiego rzędu stołów i syknął:

– Nikt bezkarnie nie robi ze mnie głupca, Lourai. Miej się na baczności, bo cię dopadnę.

Za drugim razem podszedł do niego mężczyzna nazywany Linowiązem wraz z dwoma towarzyszami, którzy baczniej obserwowali jego niż Rillibee'ego. Linowiąz wyglądał na wściekłego i sfrustrowanego.

– Szczytołap wczoraj zginął, rzekotko. Byliśmy jego przyjaciółmi i uważamy, że strąciłeś go z wieży, kiedy próbowałeś zejść.

– Wszedłem na górę – wyjaśnił Rillibee, nie patrząc na Linowiąza, który był zaślepiony gniewem i najwyraźniej niezdolny do słuchania, ale na pozostałą dwójkę. – Schowałem się we mgle, a kiedy wszyscy mnie ominęli, zszedłem po tej samej drabinie. Nikogo nie strąciłem, a zgodnie z waszymi zasadami, już nie jestem rzekotką.

Dwaj spokojniejsi członkowie delegacji wymienili spojrzenia.

– Pilnowałem drzwi – warknął Linowiąz. – Nie ominąłeś mnie. Zabiłeś Szczytołapa, a potem zszedłeś inną drogą.

– Wszedłem tymi samymi drzwiami. Nikt ich nie pilnował – odparł Rillibee, zmęczony tą całą sytuacją. – Nikogo przy nich nie było.

– Ja tam byłem – stwierdził jego rozmówca, brzydko czerwieniejąc na twarzy i zerkając z ukosa na swoich towarzyszy. – Długokostny kazał mi tam czekać i pilnować drzwi, więc tak zrobiłem.

Odwrócił się i odszedł, a Rillibee odprowadził go wzrokiem. Po chwili pozostali dwaj mężczyźni podążyli za Linowiązem. Rillibee zastanawiał się, czy równie wyraźnie jak on dostrzegli kłamstwo towarzysza, który miał stać na straży, ale opuścił swój posterunek, a teraz próbował się tego wyprzeć. W ten sposób pomagał Długokostnemu, gdyż rzucał podejrzenie o śmierć Szczytołapa na Rillibee'ego. Tymczasem, jeśli ktoś zamordował Szczytołapa, to z pewnością zrobił to sam Długokostny.

Wiarołomny strażnik i zdradziecki przywódca stada. Ciekawi wrogowie. Rillibee westchnął, żałując, że poprzedniego wieczoru nie rzucił się z ramienia dźwigu, gdy miał ku temu okazję. Albo nie skoczył o świecie, tak jak zamierzał.

Właśnie zastanawiał się, czy ponownie wspiąć się na wieżę w tym celu, gdy ktoś po raz kolejny mu przerwał. Tym razem to było pół tuzina młodych braci, którzy ze śmiechem targali mu włosy, chwając go za to, że ich zgubił, i na poczekaniu nadali mu imię Willy Wspinacz, ponieważ wspinał się lepiej od wszystkich rzekotek w ich pokoleniu. Byli zachwyceni tym, że zbił z tropu Długokostnego, którego nie lubili, oraz ich rozbawił. W jednej chwili stał się jednym z nich, a wręcz ich przywódcą. Kilku braci obiecało, że będą go pilnować i chronić przed Linowiązem, którego wszyscy uważali za gnojka, a także przed Długokostnym, który wrzeszczał na innych, gdy łamali zasady, ale sam zawsze je lekceważył.

Ich wyrazy sympatii wystarczyły, żeby Rillibee na chwilę przestał myśleć o śmierci. W towarzystwie nowych kompanów każdego wieczoru wspinał się na wieżę, gdzie siadał na zastrzale i wyśpiewywał swoje imię, podczas gdy pozostali grali w berka na mostkach. Nie zwracał uwagi na nic poza wielkimi ćmami, które wpadały na niego swoimi miękkimi ciałami, oraz rzekotkami, które wznosiły hymny spod korzeni traw. Codziennie o zachodzie słońca przestawał być bratem Louraiem i ponownie zmieniał się w Rillibee'ego Chime'a. Kiedy zapadała noc, siedział w zamglonej ciszy, wspominając swoich bliskich i rodzinny dom, raz za razem wyśpiewując: Rillibee Chime, Songbird Chime, Joshua Chime, Miriam Chime. Kiedy przyjaciele ze stada nazywali go Willym Wspinaczem, również reagował na to imię. Miał teraz kilka tożsamości. Rillibee, Lourai, Willy. Jak papierowe laleczki wycięte ze złożonej kartki, rozciągające się od planety, na której przyszedł na świat, do tych spowitych obłokami iglic, gdzie wkrótce umrze, kiedy ponownie dopadną go nuda i przygnębienie.

* * *

W gabinecie Jhamleesa Zoe'ego, szefa urzędu do spraw Bezpieczeństwa i Akceptowalnej Doktryny, mężczyzna odpowiedzialny za sprawy klasztoru otwierał, po raz trzeci albo czwarty, pakunek, który otrzymał dużo wcześniej. W środku znajdował się plik wydruków, które zaczynały się – jak wszystkie wiadomości od Hierarchy, nawet te domniemane – od słów

„Drogi Bracie w Świątości”. I tak dalej, i tak dalej, bla bla bla. Całe strony wyplute z urzędopisu, nudne jak flaki z olejem i pozbawione sensu jak pieśń rzekotki. Prawdziwa treść kryła się w połowie pliku, na dwóch kartkach wypełnionych znajomym odręcznym pismem.

„Mój drogi przyjacielu Nodsie. Kiedy przeczytasz te słowa, będę już nowym Hierarchą Świątości”. Ciekawa sprawa. Cory zawsze powtarzał, że pewnego dnia zostanie Hierarchą. Już wtedy, gdy jako chłopcy razem wstąpili do seminarium. Jhamlees Zoe pokiwał głową. Oto dowód na to, jak bezwzględny jest Cory.

Czytał dalej:

Poprzedni Hierarcha, niejaki Carlos Yrarier, z jakiegoś niezrozumiałego powodu wysłał swojego bratanka Roderiga na Trawę, aby ten dowiedział się, czy na Waszym świecie jest obecna zaraza bądź lekarstwo na zarazę. Uważaj, drogi przyjacielu. Chociaż wciąż oficjalnie się temu zaprzecza, zaraza działa tutaj tak samo jak wszędzie indziej. Jeżeli Yrarier nie znajdzie pomocy na Trawie, być może będziemy musieli polegać na maszynach, które wskrzeszą nas, gdy minie zagrożenie. A przynajmniej niektórych z nas. Ciebie i mnie, stary druhu. Jak wiesz, Świątosc nigdy nie zamierzała wskrzesić zbyt wielu ludzi! Po co przywracać do życia tę całą tłuszcę, skoro nie na wiele się zdała za pierwszym razem?

Jhamlees ponownie pokiwał głową. Taka była doktryna, chociaż nie ujawniano jej masom. Jeżeli maszyny kiedyś obudzą ich w jakimś nowym świecie, będzie to bardzo wybiórcze przebudzenie. Próbką komórek Jhamleesa znajdowała się w maszynie „A”, razem z kilkuset tysiącami innych. Pozostałe miliardy można było wskrzesić w razie potrzeby, chociaż taka potrzeba wydawała się wątpliwa.

List na tym się nie kończył.

Jednakże, skoro istnieje szansa, że na Twoim świecie nie ma zarazy, zamierzam przybyć na Trawę z ludźmi i sprzętem, dzięki którym będę mógł

jak najszybciej znaleźć lekarstwo. Lecz zrobimy to dyskretnie. Nie zależy nam na tym, żeby informacje o zarazie lub lekarstwie, jeśli takowe znajdziemy, trafiły do powszechnej wiadomości. Niektórzy spośród Starszych widzą w zarazie rękę Boga Wszechmogącego, który usuwa niewiernych, pozostawiając czyste światy, które może zasiedlić Świątość. Pośpiesz się. Chociaż nie zależy mi na ujrzeniu działania Boskiej ręki, nie zamierzam stracić takiej okazji.

Według pierwszych informacji, które dotarły do Świątości, jakaś osoba bądź osoby przybyły na Trawę zarazone, a odleciały zdrowe. Żywiąc szczerą nadzieję, że to prawda, wkrótce zamierzam zjawić się na planecie. Zbyt gwałtowne ruchy zdradziłyby nasze zamiary, dlatego jestem zmuszony działać wolniej niżbym chciał. Mimo wszystko powinienem przybyć wkrótce po Yrarierze, uprzednio zatrzymując się w kilku miejscach w celach rytualnych – które stanowią pozorną przyczynę mojej podróży. Jeśli to będzie konieczne, kilka z tych ceremonialnych wizyt ulegnie skróceniu. Kiedy tylko dowiesz się, że Yrarier coś znalazł, choćby to była tylko plotka, powiadom mnie zgodnie z załączonym harmonogramem wizyty.

Jhamlees rozłożył harmonogram, a następnie skończył czytać list.

Nie muszę dodawać, że nie chcemy przedwcześnie wzbudzać niepokoju. Wszystko opiera się na czubku igły i wiruje wściekle jak kompas pozbawiony bieguna. Kiedy piszę te słowa, stary Hierarcha umiera na zarazę. Twój stary przyjaciel i kuzyn jeszcze nie jest zarazony i zamierza przybyć na Trawę, aby nigdy nie dotknęło go nic poza ręką przyjaźni. Daj mi znać, co się dzieje!

List podpisał Cory Strange. Najstarszy przyjaciel Nodsa, przyjaciel z czasów, gdy Jhamlees Zoe był znany jako Nods Noddingale, wiele dziesięcioleci temu.

Cóż, ambasador Yrarier dopiero od niedawna przebywa na Trawie. Jhamlees Zoe jeszcze nic nie słyszał o zarazie i wątpił, by miał się o niej dowiedzieć. Jednakże zamierzał polecić swojemu podwładnemu,

Noazee'emu Fuasoiovi, by informował go o wszystkich nietypowych plotkach. Uznał, że to wystarczająco nieprecyzyjne polecenie.

Pogrążony w myślach, Jhamlees Zoe ponownie zapakował paczkę, list oraz harmonogram, a następnie schował zawiniątko wśród swoich akt.

* * *

Rillibee spędzał dni na wymaganych modlitwach, porannych i wieczornych pieśniach oraz okazjonalnych szczególnych nabożeństwach, a cały pozostały czas zajmowały mu rutynowe obowiązki. Pracował w ogrodzie rozświetloną słońcem wiosną, latem oraz jesienią, gdy plony następowały po sobie bez końca pod wpływem delikatnego błogosławieństwa deszczu. Chociaż w środku lata za sprawą długiej eliptycznej orbity planeta znajdowała się niemal pod powiekami słońca, to tak daleko na północy upał łagodniał do niemal akceptowalnego poziomu. Świnie wymagały opieki i zarzynania, a kurczaki karmienia i zabijania. Trzeba było zgromadzić zapasy pożywienia na zimę. Zapowiedzieli, że nie zabraknie mu zajęć. Wkrótce miał zostać przydzielony do stałej pracy.

Kiedy ten dzień nadszedł, Rillibee w swoim przebraniu brata Louraia wymknął się i ukrył pośród traw razem z bratem Mainoa, żeby porozmawiać o swojej przyszłości. Tego ranka ponownie doszedł do wniosku, że jeszcze nie umrze, ale ta decyzja nie wystarczyła mieszkańcom klasztoru.

– Chcą wiedzieć, co zamierzam – stwierdził Rillibee z poczuciem krzywdy. – Muszę im powiedzieć dzisiaj po południu.

– Zgadza się – odpowiedział brat Mainoa pocieszająco. – Skoro już się zadomowiłeś i wiadomo, że te wspinające się małpy cię nie zabiją – a brat Flumzee, który nazywa się Długokostnym, zabił już kilka osób, chociaż on i jego przyjaciele za każdym razem twierdzili, że to był wypadek – osoby, które sprawują nad nami władzę, muszą postanowić, co z tobą począć.

– Nie wiem dlaczego uważasz, że wspinacze już nie chcą mnie zabić – zaprotestował Rillibee. – Kilku z nich wciąż chce mojej śmierci. Długokostny pragnie mnie wykończyć, ponieważ twierdzi, że zrobiłem

z niego głupca. Założył się że skończę rozkwaszony na ziemi. Podobno ze Szczytołapem, a skoro ten nie żyje, zakład przestał obowiązywać, ale inni wciąż nie dają mu spokoju, przez co jeszcze bardziej mnie nienawidzi. Linowiaż chce mnie usunąć z drogi, ponieważ przeze mnie wyszedł na kłamcę. Im dłużej ich unikam, tym bardziej im zależy, żebym zniknął.

– Cóż, zatem powinieneś im dać to, czego pragną, bracie. Ja zawsze próbuję to robić. Kiedy ktoś bardzo czegoś pragnie, staram się go zadowolić. Skoro chcą, żebyś zniknął, odejdz. Myślę, że powinieneś wrócić ze mną do wykopalisk, najlepiej zanim Starszy Brat Jhamlees przypomni sobie o dwudziestu pasach, które ci obiecał. Słyszałem o tym, już nie pamiętam od kogo. Jeśli jednak powiesz, że chcesz ze mną wrócić, Jhamlees nigdy cię tam nie wyśle. – Brat Mainoa zastanawiał się, ssąc łodygę trawy. – Moim zdaniem, Louraiu, powinieneś udawać przygnębionego i spytać ich, czym masz się zająć. Wymienią pół tuzina rzeczy, między innymi wykopaliska. Wspomną o ogrodach, kurnikach, hodowli świń, warsztacie stolarskim, tkalni oraz wykopaliskach. Jeśli o nich zapomną, sam powiedz: „Kiedy przyleciałem z bratem Mainoa, widziałem też wykopaliska”. Nawiaż rozmowę. A kiedy już zaproponują wykopaliska, odpowiedz: „Wykopaliska, starszy bracie? Byłem tam i chyba niezbyt by mi się podobało”.

– Po co miałbym tak pogrywać ze starszym bratem? Przecież mówiłeś, że Laeroa to życzliwy człowiek.

– Och, starszy brat Laeroa jest w porządku. Ciekawią go różne rzeczy. Wykopaliska. Ogrody. Jest także dobrym botanikiem. Ale to nie on skieruje cię do pracy. Zajmie się tym asystent w urzędzie do spraw Nudy i Niegodziwej Doktryny, starszy dupek Noazee Fuaso. On nienawidzi ludzi. Największą radość sprawia mu przydzielanie im zadań, których nie chcą, dlatego dupek Fuaso ma wyłączność na kierowanie ludźmi do pracy. On i jego asystent Shoethai, chociaż ten drugi jest tak niekonsekwentny, że łatwo o nim zapomnieć.

– Jak można zapomnieć o kimś, kto tak wygląda?

– Ma tylko lekko koślawą twarz.

– Jego twarz to koszmar. Podobnie jak cała reszta. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, nie wiedziałem, czy mam wymiotować, czy go zabić. Wygląda jak potwór, z którego ktoś próbował zrobić miazgę.

– Myślę, że ktoś to zrobił. Jego własny ojciec, jeśli wierzyć plotkom. Kiedy zobaczył, jak Shoethai wygląda, usiłował go zabić, ale mu się nie udało. Jego komórki usunięto z bazy i skazano go na całkowitą śmierć. Następnie sprowadzono Shoethaia do Świętości. Tam się wychował. Fuaso chyba przyzwyczaił się do jego wyglądu. Przynajmniej na tyle, żeby go tu przywieźć. Co do pozostałych dwóch asystentów z Doktryny, Yaviego i Fuma, to zawsze uważałem, że wyglądają jak rzekotki. Przysadziści, miękcy i niemal pozbawieni twarzy. Jhamlees Zoe i Noazee Fuaso, Yavi, Fumo i Shooethai – zaśpiewał, rozciągając ostatnie imię. W Fuasoiu i Shoethaiu jest coś dziwnego! Coś niesamowitego!

– A ty chcesz, żebym mu powiedział..

– Pamiętaj, co ci powiedziałem – zamruczał brat Mainoa. – Po prostu wyglądaj na przygnębionego i daj mu do zrozumienia, że nie spodobał ci się wykopaliska.

– A tak naprawdę?

– Co naprawdę?

– Spodoba mi się tam?

– Bardziej niż pozostanie w klasztorze na kolejne cztery albo pięć terrańskich lat, mimo że w ostatnim tygodniu albo dwóch zostałeś świetnym wspinaczem. Być może teraz wydaje ci się to podniecające, ale z czasem się znudzisz, jeśli tego dożyjesz. Ile razy można oglądać niebo? Mgła to mgła, obłok to obłok, a wszystkie ćmy są takie same. W końcu ochroniarze zapomną, że mają nad tobą czuwać, a wtedy Długokostny albo któryś z jego kompanów strąci cię z wieży. Tymczasem na terenie wykopalisk nikt nie będzie próbował cię zabić i stale odkrywamy tam nowe rzeczy. To ciekawa praca. Tutaj musisz pięć razy dziennie uczestniczyć w modlitwach i odbywać pokutne spacer. Musisz trzymać się Doktryny, ponieważ nawet jeśli Fuaso akurat na ciebie nie patrzy, robi to jeden z jego przyjaciół. Yavi, Fumo albo Shoethai, możesz sobie wybrać.

Brat Lourai chrząknął potakująco, niechętnie wstał, po czym oddalił się w stronę klasztoru. Nie musiał specjalnie się starać, żeby wyglądać na przygnębitego. Podczas swoich nocnych uniesień zaczął sobie zdawać sprawę, że chociaż najwyraźniej odnalazł siebie, stało się to w obcym miejscu, które miało być jego domem do końca życia. Od chwili, gdy zabrali go z kanionu w wieku dwunastu lat, miał nadzieję, że pewnego dnia tam wróci i zobaczy drzewa. Czasami o nich śnił. Teraz nadzieja na ich ujrzanie umierała.

Brat Mainoa westchnął, spoglądając na oddalającą się postać.

– Tęskni za domem – powiedział do siebie. – Tak jak kiedyś ja.

Spomiędzy traw dobiegł pytający pomruk, niczym bardzo ciche warczenie.

Brat Mainoa przywykł do tego dźwięku, więc się nie wystraszył. Zamknął oczy i postarał się skupić. Jak można wytłumaczyć komuś tęsknotę za domem? To pragnienie powrotu do miejsca, które bardzo dobrze się zna. Miejsca, w którym zawsze jest się szczęśliwym. Pomyślał te słowa, a następnie spróbował przywołać konkretne obrazy. Wieczorny powrót do domu w blasku latarni. Otwieranie znajomych drzwi. Uścisk czyichś ramion...

Łzy popłynęły mu po policzkach i odepchnął od siebie te myśli, nieco rozgniewany. Jak się często zdarzało, uczucia, które próbował przekazać, zostały odebrane i odesłane ze wzmożoną siłą.

– Wy przekłete stworzenia – rzucił.

W warczeniu pobrzmiwał smutek.

– Ostatnio widzieliśmy się niedaleko wykopalisk. Co tutaj robisz?

W jego umyśle pojawił się obraz zagajnika w pobliżu wykopalisk. W jego środku ziała pustka. Wokół niej krążyły wyjące bezkształtne plamy w odcieniach ametystu i różu.

– Tęskniłeś za mną?

Mruczenie.

– Wrócę jutro albo pojutrze. Chciałbym, żeby dołączył do mnie brat Lourai. Może mu pozwolią. Nowy człowiek, którego jeszcze nie pozbawili rozsądku, jest dla mnie lepszy niż starzy, którzy są miękkcy i papkowaci jak

gąbka. „Tak, bracie. Nie, bracie”. Zgadniają się ze wszystkim, co mówię, a kiedy tylko mają okazję, biegną donieść na mnie do Doktryny. Pamiętaj, żeby nie pokazywać się bratu Louraiowi, dopóki ci nie pozwolę. Wystraszyłbyś go na śmierć. On jeszcze nawet nie jest dorosły. Biedny chłopak. Zupełnie się pogubił. W tym roku miał wrócić do domu, ale za szybko się załamał.

Obraz otwieranych drzwi, dotyk rąk. Brat Mainoa pokiwał głową, nabijając fajkę zrogowaciałym palcem.

– Zgadza się. – Potrząsnął woreczkiem, w którym trzymał tytoń, a raczej suszoną trawę, którą po tylu latach wciąż tak nazywał. Westchnął.

– Prawie mi się skończyła tamta szkarłatna trawa, którą tak dobrze się pali. Jest jeszcze inna, o której ktoś mi wspomniał...

Cisza, żadnego mrużenia, tylko cichy oddech. Powoli, ostrożnie, w umyśle brata Mainoa zaczął się formować obraz. Przedstawiał budynki w Opalowym Wzgórzu. Brat Mainoa dobrze je znał. Pomagał zaprojektować tamtejsze ogrody.

– Opalowe Wzgórze – powiedział, pokazując, że zrozumiał.

Obraz się rozszerzył i nabrał szczegółów. Pojawili się kobieta, mężczyzna i dwoje młodszych ludzi. Po ubiorze było widać, że nie pochodzą z Trawy. Do tego konie! Boże w Niebiosach, po co im konie?

– To konie – westchnął. – Z Terry. Mój Boże, ostatnio je widziałem, kiedy miałem pięć albo sześć lat. – Zamilkł, wyczuwając nacisk na swój mózg, żądanie.

„Opowiedz” – prosiły obrazy w jego umyśle. – „Opowiedz mi o ludziach w Opalowym Wzgórzu”.

Brat Mainoa pokręcił głową.

– Nie mogę. Niczego o nich nie wiem. Niczego nie słyszałem.

Obraz konia, dziwacznie skarłatego w porównaniu z ludzkim jeźdźcem, poczucie przesłuchania.

– Konie to terrańskie zwierzęta. Ludzie na nich jeżdżą. Są jednym z kilkunastu gatunków udomowionych zwierząt, równie zadowolonych z obcowania z człowiekiem, jak z życia na wolności.

Wątpliwość.

– Naprawdę. – Zastanowił się, czy rzeczywiście.

Brat Mainoa odebrał silne uczucie niezadowolenia. Jego rozmówca chciał otrzymać więcej informacji.

– Postaram się czegoś dowiedzieć. Na pewno jest ktoś, kogo mogę zapytać...

Istota gwałtownie się ulotniła. Brat Mainoa wiedział, że gdyby zajrzał między trawy, niczego by tam nie zobaczył. Wiele razy sprawdzał i zawsze znajdował pustkę. Cokolwiek do niego przemawiało (a Mainoa miał swoje podejrzania co do tożsamości swojego rozmówcy), nie miało ochoty się pokazywać.

Od strony ścieżki dobiegło wołanie brata Louraia.

– Main-o-a. – Brat Mainoa wstał i ruszył w kierunku głosu, wlekąc się szlakiem ku klasztorowi, nie zdradzając pośpiechu ani zainteresowania. Brat Lourai pędził ku niemu, ciężko dysząc.

– Starszy brat Laeroa chce się z tobą widzieć.

– Co znów przeszkrobałem?

– Nic. To znaczy nic nowego. Starszy brat Laeroa złapał mnie, kiedy wchodziłem do gabinetu starszego brata Fuasoia. Chodzi o ludzi z Opalowego Wzgórza. Poprosili o spacer z przewodnikiem po ruinach Arbaiów. Starszy brat Laeroa twierdzi, że skoro będziesz musiał wrócić, żeby ich oprowadzić, możesz zabrać mnie ze sobą i tam pozostawić.

Ciekawe. Zwłaszcza że rozmówca Mainoa właśnie pytał o Opalowe Wzgórze.

– Hmm. Mówiłeś starszemu dupkowi, że nie jesteś zachwycony perspektywą wykopalisk?

Brat Lourau pokiwał głową, częściowo ukrywając uśmiech.

– Uznałem, że to dobry pomysł, skoro byłem w jego gabinecie. Zmierzył Laeroę wzrokiem i powiedział mi, że muszę tam pojechać i zostać twoim asystentem. Stwierdził, że to mnie nauczy pokory.

– Cóż – westchnął brat Mainoa. – Czegoś na pewno cię to nauczy – podobnie jak i mnie – ale wątpię, żeby to miała być pokora.

Po przybyciu na miejsce wykopalisk, Rilibee i brat Mainoa udali się na spacer odkrytymi tunelami, które kiedyś stanowiły ulice, a Mainoa opowiadał swojemu towarzyszowi wszystko, co wiedział na temat Arbaiów. Po obu stronach wznosiły się fasady domów, pokryte uroczymi stylizowanymi rzeźbami winorośli, owoców oraz wesołych Arbaiów dokazujących pośród pnączy.

– Te obrazy nie przedstawiają ich na Trawie – zauważył Rilibee. – Tutaj nie ma takich roślin.

Mainoa pokręcił głową.

– Rzeczywiście, takie pnącza nie rosną na prerii. Ale w bagiennym lesie można znaleźć winorośl z takimi liśćmi i owocami. Oplata drzewa, tworząc hamaki i mosty dla ptaków. Niemal wszystko, co wyrzeźbiono na tych murach i drzwiach, znajduje się gdzieś na Trawie. Są tutaj Hippae, ogary, rzekotki i lisy. Są ptaki i różne gatunki drzew, oddane tak szczegółowo, że można rozpoznać konkretne gatunki.

– Gdzie rosną drzewa? – wypytywał brat Lourai.

– W bagiennym lesie, chłopcze. Oraz miejscami w zagajnikach. Pokażę ci jeden taki zagajnik oddalony o niecałe pół mili.

– Drzewa. – Brat Lourai westchnął.

– Na tych murach znajdują się tysiące obrazów, które przedstawiają Arbaiów oddających się różnym czynnościom – ciągnął brat Mainoa. – Radosne scenki na fasadach i rytualne czynności na drzwiach. Tak

uważamy. Przynajmniej na fasadach są uśmiechnięci, a na drzwiach poważni.

– To jest uśmiech? – spytał brat Lourai z powątpiewaniem, przypatrując się wizerunkowi wyszczerzonej twarzy.

– Cóż, biorąc pod uwagę, jakie mają kły, tak właśnie uważamy. Badacze przetrząsnęli archiwa w poszukiwaniu zdjęć różnych zwierząt w sytuacjach zadowolenia lub radości. Następnie porównali wygląd ich pysków z twarzami Arbaiów. Jajogłowi twierdzą, że to uśmiechy. Co innego u postaci wyrzeźbionych na drzwiach. Tam widzimy poważne stworzenia pochłonięte poważnymi zajęciami.

Brat Lourai przyjrzał się nieuszkodzonej części drzwi. Twarze rzeczywiście sprawiały uroczyste wrażenie. Nawet on był w stanie to zauważyć. Rzeźba przedstawiała procesję Arbaiów, jak zwykle otoczoną stylizowanymi winoroślami.

– Nie ma żadnych podpisów. Żadnych słów.

– Jest ich dużo w książkach, ale nie znaleźliśmy żadnych odniesień do tych rzeźb.

Brat Lourai westchnął. Byłoby przyjemnie zbadać język Arbaiów, dowiedzieć się, co myśleli o różnych sprawach, porównać ich opinie z ludzkimi. Na południowo-zachodnim niebie rozległ się jakiś hałas i Lourai podniósł głowę, przeszywając wzrokiem chmury. Zaczął węszyć, jakby chciał poczuć dźwięk, podobnie jak czynił Joshua, gdy słyszał coś w lesie, na przykład niedźwiedzia albo jelenia.

– Słyszę autolot.

– To pewnie ludzie z Opalowego Wzgórza – odrzekł brat Mainoa. – Ciekawe, po co chcą zobaczyć to miejsce.

Marjorie, wysoko na niebie, zastanawiała się nad tym samym. To Rigo chciał się spotkać z Zielonymi Braćmi, gdyż sądził, że dysponują użytecznymi informacjami. Teraz jednak nie miał czasu, żeby to zrobić. Ostatnio zajmowało go wyłącznie jeździectwo.

Marjorie postanowiła sama dowiedzieć się, czy bracia wiedzą coś istotnego, ale nieoceniony Persun Pollut zasugerował, że jeśli chce zdobyć jakieś informacje, to powinna się trzymać z daleka od klasztoru.

– Mają tam coś w rodzaju komisji – wyjaśnił. – To urząd, który nazywają Akceptowalną Doktryną. Jego członkowie zajmują się głównie tym, w co wierzą inni. Poza tym sprawują władzę, chociaż będą się tego wypierać. Prawda nie ma tam wstępu. Jeżeli uznali, że coś stanowi część doktryny, będą ignorować wszystkie fakty, które temu przeczą, i kłamać w żywe oczy. Nie warto narażać się takim ludziom, prawda? Zwłaszcza, jeśli chce pani o coś zapytać. Nie. Zdecydowanie lepiej spotkać się z kimś rozsądniejszym. Poznałem brata Mainoa, kiedy wpadł po coś do portu. To równie praktyczny człowiek jak mieszkańcy Wspólnoty. Jeżeli bracia mają jakieś problemy ze zdrowiem, na pewno pani o tym powie.

– Jak mogę się z nim spotkać bez udziału... komisji? – spytała Marjorie.

– Wystarczy poprosić o zwiedzanie ruin miasta Arbaiów – zaproponował Persun. – Brat Mainoa zazwyczaj tam przebywa i w dziewięciu przypadkach na dziesięć właśnie jego wyznaczają na przewodnika. Głównie dlatego, że nikomu innemu nie chce się tego robić.

– Rzeczywiście, mogę poprosić o zwiedzanie ruin – zgodziła się Marjorie, dochodząc do wniosku, że to nie tylko dobry pomysł, ale także okazja do odrobiny rozrywki. Jak dotąd na Trawie dotkliwie im jej brakowało.

Głodna zabawy i bliskości z rodziną, spakowała olbrzymią porcję prowiantu i spytała dzieci, czy chciałyby obejrzeć ruiny. Tony się zgodził. Stella odmówiła, twierdząc, że jest zmęczona, chociaż Marjorie nie miała pojęcia, czym jej córka mogła się zmęczyć. Sądziła, że wie o jej wszystkich uczuciach, ale nie miała pojęcia, że Stella spędza noce na bezustannym przemierzaniu symulowanych prerii Trawy. Kiedy wszyscy zasypiali, dziewczyna dyskretnie schodziła do mechanicznego wierzchowca i wracała do swojego pokoju dopiero o świcie. Stella nie kłamała, mówiąc, że jest zmęczona. Tylko młodzieńcza wytrzymałość pozwalała jej zachowywać pozory normalności.

Zatem Tony i Marjorie postanowili za wszelką cenę dobrze się bawić. Jednakże ksiądz Sandoval w ostatniej chwili zapytał, czy może się do nich przyłączyć razem z księdzem Jamesem, dlatego teraz siedzieli w czwórce w przesadnie zdobionym autolocie, za którego sterami zasiadł Tony,

radząc sobie całkiem sprawnie, zważywszy na to, że pilotował go dopiero kilkanaście razy. Kiedy zbliżali się do ruin, zaczął padać mglisty deszcz, który rozmył wszystkie kolory krajobrazu do mdłych szarości. Po wylądowaniu spotkali dwóch ubranych na zielono braci, grubego starca o zaciekawionych oczach oraz chudego młodzieńca z mocno przylegającymi do głowy brązowymi kędziorami i smutną, pociągłą twarzą. Kiedy starzec zobaczył księdza Sandovala, zamrugał, jakby ujrzał w nim... kogo? Kolegę? Równolatka? Kogoś, po kim można się spodziewać sympatii? A może wrogości?

– Religijni? – spytał brat Mainoa. – Czy jest pan osobą religijną? – Wyciągnął zwróconą ku górze dłoń w kierunku koloratki księdza, wykonując błagalny gest. – Pan i pański towarzysz?

Ksiądz pochylił chude ramiona i przekrzywił głowę, kiwając nią, jakby chciał spytać, może nieco obruszony, co to obchodzi tego sługę Świętości.

– Jesteśmy starokatolikami – przyznał. – To ksiądz James, a ja jestem ksiądz Sandoval.

– Popatrz na nich, bracie Louraiu! – odezwał się brat Mainoa. – Starokatolicy. Oto ludzie, którzy sami decydują o swoim życiu, nie to co my. – Mrugnął do starszego z kapłanów, przekrzywiając głowę pod podobnym kątem. – Brat Lourai i ja zostaliśmy ofiarowani, proszę księdza. Ofiarowani celibatowi. Ofiarowani milczeniu. Ofiarowani nudzie. Nie mieliśmy w tej sprawie nic do powiedzenia. A kiedy nie mogliśmy znieść tego, czemu nas ofiarowano, zostaliśmy zesłani tutaj, za karę.

– Coś o tym słyszałem – przyznał nie bez współczucia ksiądz Sandoval. – Jego Ekscelencja ambasador mi o tym opowiadał.

– Proszę, żeby ksiądz o tym pamiętał. W trakcie naszej wycieczki... – Skinął głową, zachichotał, po czym odwrócił się i ich poprowadził. Deszcz ustał. Wszędzie wokół aksamitną darń zdobiły klejnoty kropel. Mainoa znaczył wysadzaną szlachetnymi kamieniami powierzchnię ciemnymi śladami stóp.

Ksiądz Sandoval posłał Marjorie pytające spojrzenie. Wzruszyła ramionami. Któż może wiedzieć, co stary miał na myśli? Wydawało się, że bawi go pomysł odkopywania miasta Arbaiów za karę, chociaż możliwe, że

Marjorie źle go zrozumiała. Tylko księźa zostali przedstawieni z imienia, ale moźe to nie miało większego znaczenia. Moźe przewodnicy juź wiedźa, kim sű ona i Tony. Co zaś dotyczy braci, to starym niewűtpliwiem był Mainoa, natomiast młodszeo nazwał bratem Louraiem. To wystarczy na poczűtek. Gestem przepuściła księźa i ruszyła jego śladem. Tony szedł za nią, gorűczkowiem się rozglűdajűc, próbujűc zobaczyć wszystko naraz.

Ruiny znajdowały się w otoczeniu fioletowej trawy, która przypominała miękkie futro porastajűce glebű. W niej wykopano rozłozystű sieć rowów, do których schodziło się po schodach wykonanych z hebanowych łodyg, których sztywne pęczki ustawiono pionowo i rozplűszczono na szczycie. Łodygi ocierały się o siebie pod cięźarem stóp, wydajűc karcűcy dźwięk.

Wydawało się, że mówią: „Zdejmijcie buty. To ziemia śmierci. Okazcie szacunek”.

Miało się wraźenie, że goście sűszyć te sűowa. Tony nagle zapragnűł uklęknűc, żeby zdjűc buty, i poczuł, jak zginają mu się kolana, ale otrűsniűł się ze wstydem. Księźdz Sandoval przeźegnał się z zaskoczeniem i złoścűą. Księźdz James wyciűgnűł rűce, jakby chciűł powstrzymać upadek. Marjorie wyglűdała na zakłopotanű i zamyślonű. Usłyszala gűlosy!

Brat Mainoa popatrzył na nich i zachichotał.

– Sűszeliście? Ja takźe je sűszyć, podobnie jak brat Lourai. Starszy brat Fuasoim niczego nie sűszyć, a przynajmniej tak twierdzi. Gniewa się księźdz? Myśli księźdz, że ktoś bawi się w jakieś sztuczki? Sam ściűłem te łodygi, księźe Sandovalu. Bez Źadnych sztuczek. Po prostu wyszedłem na prerię i poszukałem wystarczajűco grubej trawy, następnie ją ściűłem, powiűzałem w pęczki i poustawiałem tam na dole, rozplűszczajűc ich czubki. Sűszyć gűlosy, kiedy ludzie po nich stűpają, i wy coś sűszycie, kiedy po nich stűpacie, ale inni niczego nie sűszyć. Proszę o tym pamieűtać, proszę księźy, proszę pani, młodzięncze.

Krűtki bieg schodów doprowadził ich do ulicy wyłozonej kamieniem. Gdzie budowniczoie go znaleźli na tej bezkresnej prerii? A jednak bez wűtpienia był to kamień, lśniűcy w lekkim deszczu, wciűź wypolerowany po wiekach pogrzebania. Co jakiś czas jego powierzchnię przerywały krawęźniki i frontony otaczajűce otwarte przestrzenie.

– Tutaj rosły drzewa. – Brat Mainoa wskazał ku górze.

Podnieśli wzrok, czując cień poruszających się gałęzi, słysząc szelest liści. Marjorie szerzej otworzyła oczy. Drzew nie było, pozostały tylko puste działki, a jednak widziała ruch liści i słyszała ich odgłosy...

– Jakiego rodzaju? – spytała. – Jakiego rodzaju drzewa?

Młody chudzielec odpowiedział, chętnie powtarzając jej to, co mu powiedział Mainoa.

– Drzewa, które można znaleźć tylko w bagiennym lesie, proszę pani. Część drewna wciąż tutaj była, kiedy odkryto miasto. Zachowało się. Zbadali szczątki i odkryli, że to nie jest gatunek, który rośnie w okolicy. O ile się nie mylę, było to jakieś drzewo owocowe.

Wzdłuż wąskiej ulicy ciągnęły się rzeźbione fasady domów oraz drewniane drzwi, na których wyrzeźbiono, jak wyjaśnił brat Mainoa, sceny z religijnego życia Arbaiów.

– Religijnego? – spytał ksiądz Sandoval. Był zbyt wykształcony, żeby okazywać kpinę, ale nie potrafił ukryć wątpliwości.

Brat Mainoa wzruszył ramionami. Z pewnością były to tajemnicze, może mistyczne sceny. Co robią postacie na rzeźbach? Skąd można mieć pewność? Co oznacza wręczanie sobie nawzajem tych malutkich pudełek albo kostek? Co to za procesja? Co robią klęczące stworzenia, które najwyraźniej obserwują polną rzekotkę z wyrazem nabożnej czci na twarzach? Nieznany artysta wyrzeźbił niemal kulistą rzekotkę, a po jej obu stronach umieścił dwa ogary z podniesionymi nosami. Całość otoczył winoroślami i liśćmi, tak jak w przypadku wszystkich rzeźb. Brat Mainoa uważał, że to religijne rzeźby. Uśmiechnął się do księdza Sandovala, zachęcając go do sprzeciwu.

Ksiądz Sandoval odpowiedział uśmiechem, zachowując swoją opinię dla siebie. Ksiądz James lekko wodził wzrokiem po wszystkich twarzach.

Na kolejnych drzwiach dwa Hippae stały zwrócone do siebie tyłem i kopały w siebie nawzajem bryłami ziemi. A może raczej w dziwną konstrukcję, która stała między nimi. Czy to jakaś rzeźba? A może maszyna? Obok stali Arbaiowie i patrzyli z powagą. Cóż to oznacza? I skąd można wiedzieć, jakie detale utracono, kiedy drzwi pękły?

Ponieważ były pęknięte. Rozłupane. Połamane i wyrwane z zawiasów. Wewnątrz odkopanych pomieszczeń – prostych pokojów o posadzkach wyłożonych takim samym kamieniem jak ulice i ścianach zbudowanych, jak to określił brat Mainoa, ze spolimeryzowanej ziemi, z szerokimi oknami, które kiedyś wychodziły na prerie – leżały kości, skóry, łuski, zmumifikowane postacie istot, które kiedyś tutaj mieszkały. Arbaiów. Wystarczająco podobnych do ludzi, żeby ci reagowali współczuciem na ich cierpienie.

Usta otwierały się jak do krzyku. Puste oczodoły spoglądały ku górze z przerażeniem. Tutaj ręka, a tam ciało, trójpalczasta dłoń o dwóch kciukach sięgała w stronę oderwanej kończyny, jakby chciała ją odzyskać, osiąść, przynajmniej umrzeć w całości – wypierając straszliwe wydarzenia, które się tutaj rozgrywały.

Młodzi, a przynajmniej mali, osobnicy rozerwani na pół, ich szczątki przytulane przez dorosłych. W innych miejscach czas rozłożył ciała, z których pozostały tylko sterty kości i połyskujących łusek, które pokrywały ich skórę. Wszędzie tak samo, przy każdej ulicy, w każdym domu.

Marjorie zamknęła oczy, słysząc głosy dobiegające z kolejnej ulicy. Śliski język, pełen syczących spółgłosek, ale naznaczony wybuchami bardzo ludzko brzmiącego śmiechu.

– Czy są tutaj jakieś inne klasztory? – spytała. – Prowadzą wykopaliska?

– Obecnie nie. – Brat Mainoa się uśmiechnął, spoglądając na nią z zaciekawieniem. – Czy naprawdę słyszymy to, co słyszymy? Może to odgłosy miasta? A może tylko wiatr? Ileż razy zadawałem sobie to pytanie. „Mainoa, czy to tylko wiatr?”. Czy też odgłosy tego ludu, Lady Westriding?

A więc zna jej nazwisko.

– Odnoszę wrażenie, że to miejsce... miało być dziwne – stwierdził Tony.
– Oczywiście jak na ten świat.

Brat Mainoa popatrzył na niego z uznaniem.

– Również tak uważam, młodzieńcze. Może zostało zbudowane przez te biedne stworzenia w taki sposób, żeby przypominało ich ojczystą planetę.

– Na Trawie jest wiele dziwnych rzeczy – zgodziła się Marjorie, odwracając wzrok od wrzeszczącego oblicza. – Doktor Begrem w miasteczku napisała o kilku wyjątkowych cechach tej planety. Pewna substancja o długiej nazwie, której nie pamiętam, wykorzystywana przez nasze komórki, istnieje tutaj w unikalnej formie. Doktor Begrem zajmuje się jej badaniem.

– Na każdej innej planecie byłaby sławna – zauważył brat Mainoa. – Tutejsi ludzie nie zdają sobie sprawy z jej reputacji.

– Zapewne potrafiłaby wyjaśnić te dźwięki – stwierdziła Marjorie, walcząc z przytłaczającymi ją grozą i rozpaczą, usiłując wmówić sobie, że nie słyszy szeptanych rozmów prowadzonych nieludzkimi głosami, melodyjnymi i bulgoczącymi. – Pytał ją pan?

– Zgłosiłem nasze obserwacje – odrzekł brat Mainoa. – Władze najwyraźniej uznały, że wszystko mi się przywidziało. Jak dotąd nikt nie przybył, żeby to sprawdzić.

Ksiądz Sandoval, widząc cierpienie Marjorie, postanowił ją przestrzec.

– Takie miejsca wzbudzają przesądny lęk u nieświadomych ludzi. Musimy być czujni, by temu nie ulec, Marjorie. To były zwykłe istoty, które już wymarły. Z pewnością gdzieś znajdowało się ich centrum biznesowe i zaopatrzeniowe. To wiejskie domy. Nie wyglądają jak miasto.

– Podobnie jest w przypadku wszystkich miast i miasteczek Arbaiów – odparł brat Mainoa. – Chociaż wiemy, że odbywali podróże kosmiczne – zapewne za pomocą statków, tak jak my, chociaż żadnych nie znaleźliśmy, a może w inny sposób – wiemy również, że świadomie rezygnowali z życia w dużych skupiskach, co często robią ludzie. Nie natrafiliśmy na żadne miasto, które mogłoby pomieścić więcej niż kilka tysięcy mieszkańców. Na większości światów istnieje kilka miast tej wielkości, ale nigdy nie jest ich wiele.

– A tutaj? – spytała Marjorie.

– To jedyne miasto, jakie znaleźliśmy na Trawie.

Ksiądz Sandoval zmarszczył czoło.

– Nie wiem zbyt dużo na ten temat. Czy wiadomo, z jakiej planety pochodzili?

Brat Mainoa pokręcił głową.

– Niektórzy uważają, że z Pokuty, ponieważ tam znajduje się kilka takich miast. Ale nikt nie wie na pewno.

– Zatem niewykluczone, że Arbaiowie wciąż gdzieś żyją? – Ksiądz James zadumał się, kopiąc wystający kamień.

Brat wzruszył ramionami.

– Niektórzy wierzą, że te wymarłe miasteczka to tylko placówki, a prawdziwe miasta znajdują się gdzie indziej. Nie wiem. Pytaliście o centrum biznesowe albo handlowe. Tamta ulica po lewej prowadzi do miejsca, które uważamy za dzielnicę handlową. Przynajmniej tamtejsze budowle nie wyglądają na domy mieszkalne.

– Sklepy? – spytał ksiądz Sandoval. – Magazyny?

Mainoa wzruszył ramionami.

– Znajduje się tam otwarty teren, rodzaj placu, a na nim trzyścienne budowle, które mogły być budkami targowymi. W jednym z budynków znaleźliśmy mnóstwo słoików różnych kształtów i rozmiarów. W innym było pełno koszy. Na środku placu wznosi się podest zwieńczony czymś, co równie dobrze może być maszyną, rzeźbą albo słupem ogłoszeniowym. Niewykluczone, że to ołtarz albo stanowisko herolda, a może miejsce, z którego obserwowano gwiazdy. Bądź scena dla akrobatów. Któż może to wiedzieć? Kto to odgadnie? W jednym z budynków jest pełno ich książek, które wyglądają bardzo podobnie do naszych sprzed około wieku, nim zaczęliśmy korzystać ze skanerów, nagrań i ekranów.

– Oprawione tomy? – spytała Marjorie.

– Tak. Dysponuję zespołem pokutników, którzy fotografują wszystkie strony. A raczej powinienem powiedzieć, że dysponuję nimi od czasu do czasu. Kiedy akurat nie mają niczego lepszego do roboty. Chociaż przebywam tutaj przez większość czasu, moja ekipa zjawia się tylko okazjonalnie. Kopiowanie książek to nudna i samotna praca, ale konieczna. W końcu pełen zestaw kopii będzie dostępny w Świątości oraz w niektórych większych szkołach, na przykład na uniwersytecie na Semlingu Prime.

– Ale żadnego przekładu. – Marjorie patrzyła przez otwarte okno na dewastację wewnątrz domu, żałując, że nie stało się inaczej.

– Żadnego. Linijka po linijce, strona po stronie, znaki złożone z zakręcanych i posplatanych kresek. Gdybyśmy znaleźli coś, co można by nazwać kościołem, moglibyśmy poszukać powtarzającej się sekwencji i liczyć na to, że oznacza ona „Boga”. Gdybyśmy znaleźli tron, moglibyśmy poszukać słowa „król”. Gdyby na rzeźbionych drzwiach pojawiały się jakieś słowa, to, dysponując kontekstem, moglibyśmy wprowadzić je do komputerów, które by je uporządkowały. Gdyby chociaż w książkach znajdowały się ilustracje... Pokażę wam niektóre książki, zanim wyjedziecie.

– Jakież artefakty? – spytał ksiądz James.

– Kosze. Talerze. Miski. Raczej nie nosili materiałowych ubrań, ale znaleźliśmy pasy, a raczej szarfy. Uplecione z pasków trawy, szerokie na około sześciu cali i długie na dwa jardy. Ładnie ubarwione, z pięknymi wzorami. Specjaliści twierdzą, że efekt końcowy przypomina lniane płótno. Arbaiowie używali niewielu przedmiotów. Zupełnie jakby bardzo starannie je wybierali, zwracając uwagę na ich kształt i kolor, kierując się poczuciem estetyki, chociaż wiele z tych rzeczy – zwłaszcza garnki – nam nie wydaje się szczególnie piękne. Ale może powinienem mówić za siebie. Niewykluczone, że wy się nimi zachwycicie. Każdy z przedmiotów jest ręcznie wykonany, ale nie ma na nich żadnych podpisów, niczego, co moglibyśmy przetłumaczyć jako „Zrobione przez Johna Browna”. Artefakty obejrzymy później, Lady Westriding. Nie znaleźliśmy niczego wyprodukowanego przez maszyny ani niczego, co ponad wszelką wątpliwość byłoby maszyną. Odkryliśmy budynki, które nazwaliśmy krematoriami, a także obiekt w centrum miasteczka. Może to maszyny, a może nie. W każdym razie Arbaiowie podróżowali. Musieli mieć jakieś urządzenia. Musieli dysponować statkami, a jednak żadnych nie odnaleźliśmy.

– Czy wszystkie miasta tak wyglądają? – Tony przesunął dłońmi wzdłuż rzeźby, dotykając zatartych przez czas rysów obcej twarzy.

– Tam, gdzie napotykali glebę, budowali ze spolimeryzowanej ziemi, kopali krypty i pokrywali dachy strzechą. Tam, gdzie rosną lasy, budowali z drewna. Tam, gdzie znajdowali wystarczająco dużo kamieni, wznosili kamienne budowle. Tutaj, na Trawie, kamień pochodzi z pobliskiego kamieniołomu. Trawy go zarosły, ale wciąż można tam znaleźć ślady pracy Arbaiów. Każde miasto jest inne, zależnie od materiałów. Na jednej z planet budowali domy wysoko na drzewach.

– Gdzie?

Popatrzył na nią, jakby zapomniał, z kim rozmawia, próbując coś sobie przypomnieć, skupiony na wewnętrznych poszukiwaniach.

– Nie... nie pamiętam. Ale wiem, że tak było...

– Ile takich miast brat widział? – spytała Marjorie.

Mainoa zachichotał; znów był sobą.

– Tylko to jedno, pani. Ale widziałem zdjęcia pozostałych. Kopie raportów udostępnia się wszystkim skazańcom, którzy dzielą nasz los. Na wypadek gdyby znaleziono coś, co rzuci nowe światło na znaleziska z innej planety. Próżna nadzieja. Ale mimo wszystko nie tracimy wiary.

– Wszędzie tak to wygląda? Wszyscy mieszkańcy umarli? – spytał Tony.

– Prawdopodobnie. Albo gdzieś się przenieśli.

Weszli na plac, który mógł pełnić rolę rynku, miejsca zgromadzeń albo nawet placu zabaw. Na środku znajdował się podest, który opisał brat Mainoa. Na nim wił się zagadkowy pasek materiału tworzący poskręcaną pętlę, przez którą mógłby przejść wysoki człowiek. Tony trącił ją knykiem i usłyszał brzęk. Metal. A jednak wcale nie wyglądała na metalową. Wzdłuż ząbkowanej krawędzi ciągnęły się karbowane wzory, zupełnie jakby stopioną materię naznaczyły ślady tajemniczych palców. Te same wzory zdobiły krawędzie podestu. Na otwartej przestrzeni niewielkie flagi wbito w miejscach, w których znaleziono ciała Arbaiów zabitych na zewnątrz, obecnie złożone pod dachem i przeznaczone do dalszych badań. Jedna z flag leżała wewnątrz zapętłonej konstrukcji, a kilka kolejnych obok podestu, zupełnie jakby przerwano tam jakieś zgromadzenie.

– Co zabiło tych ludzi? – spytał Tony.

– Niektórzy twierdzą, że lisy. Ale ja tak nie uważam.

– Dlaczego nie? – spytał z zaciekawieniem ksiądz James, którego dziwaczność tego miejsca wyrwała ze zwyczajowej małomówności.

Brat Mainoa się rozejrzał, ignorując obecność brata Louraia, ale wypatrując innych osób, które mogłyby się znajdować w zasięgu słuchu. Tego dnia na terenie wykopalisk nie pracowali żadni robotnicy, ale bracia wpadali od czasu do czasu w różnych sprawach, na przykład z dostawą jedzenia albo po odbiór najnowszych egzemplarzy ksiązek Arbaiów. Niektórzy z nich niewątpliwie szpiegowali dla Doktryny.

Kiedy brat Mainoa upewnił się, że nikt ich nie słyszy, odpowiedział:

– My, Zieloni Bracia, jesteśmy tutaj od wielu lat. Wielu trawiańskich lat. Zimujemy tu, stłoczeni w zimowych kwaterach jak ogórki w słoiku. Spędzamy każdą wiosnę, lato i jesień pośród traw. Przez cały ten czas nigdy nie zostaliśmy zaatakowani przez lisy. – W jego głosie było coś więcej niż przekonanie. Brzmiała w nim pewność.

– Aha – odrzekła Marjorie. – No tak.

Brat pokiwał głową, patrząc jej przeciągle w oczy.

– Właśnie, Lady Westriding. No tak.

– Czyli zrobiły to Hippae? – spytał Tony ze zgrozą. – Z pewnością nie!

– Tony! – skarciła go Marjorie. – Pozwól bratu dokończyć.

– Nie mam nic do dodania. – Brat Mainoa pokręcił głową. – Zupełnie nic. Nie zamierzam urazić opornych uszu, młodzieńcze.

– Więc proszę urazić moje, które nie stawiają oporu! – wykrzyknęła Marjorie.

Mainoa posłał Tony'emu niezwykle wymowne spojrzenie, a następnie zwrócił się w stronę jego matki. Chłopiec się zaczerwienił.

– Zatem powiem pani. Popatrzcie na te biedne istoty, martwe od stuleci. Przyjrzyjcie się ich ranom. Następnie popatrzcie na tych spośród arystokratów, którzy już nie polują. Zwróćcie uwagę na ich sztuczne dłonie, ręce i nogi. A potem powiedzcie, czy stworzenia, które dokonały jednego z tych czynów, nie mogły dokonać także drugiego.

– Przecież Hippae są roślinożercami – wciąż protestował Tony, myśląc o swoim ojcu. – Są olbrzymie. Po co miałyby...

– Któż może wiedzieć, co robią i czym są Hippae? – odrzekł brat Mainoa.
– Trzymają się daleko od nas, ale czasami nas obserwują. A kiedy nas obserwują...

– Dostrzegamy u nich pogardę – szepnęła Marjorie, tak cicho, że Tony nie był pewien, czy dobrze ją usłyszał. – Dostrzegamy złą wolę.

– Złą wolę – zgodził się brat Mainoa. – W najlepszym wypadku.

– Och, dajże spokój, Marjorie – rzucił ksiądz Sandoval z powątpiewaniem, niemal ze złością. – Złą wolę?

– Widziałam to – odpowiedziała, otaczając ręką wątłe ramiona Tony'ego. – Widziałam to na własne oczy, proszę księdza. Nie mogło być żadnych wątpliwości. – Odpowiedziała gwałtownym spojrzeniem na jego wzrok pełen nagany. Ksiądz Sandoval zawsze głosił duchową dominację człowieka. Nie lubił rozmawiać o innych inteligentnych istotach.

– Zła wola? U zwierzęcia? – spytał ksiądz James.

– Dlaczego nazywa je ksiądz „zwierzętami”? – spytał brat Mainoa. – Skąd taki wniosek?

– Jak to... ponieważ tym właśnie są.

– Skąd ksiądz to wie?

Ksiądz James nie odpowiedział. Zamiast tego wyciągnął pomocną dłoń w stronę księdza Sandovala, który ze złością ocierał czoło i rozglądał się za jakimś miejscem, w którym mógłby usiąść.

– Zapraszam tutaj! – zawołał brat Lourai. – Rozgościliśmy się w tym domu Arbaiów. Przygotowałem tam dla nas coś do picia.

Usiedli, wdzięczni za napoje i krzesła, chociaż nieco zbici z tropu ich proporcjami. Arbaiowie byli rasą o długich udach, więc krzesła nie pasowały do ludzkiej anatomii, a przynajmniej do ich anatomii. Przycupnęli na nich jak na stołkach.

Ksiądz James wrócił do przerwanej rozmowy.

– Pytał brat, dlaczego uważam, że Hippae są zwierzętami? Cóż, ponieważ je widziałem. W żaden sposób nie okazują, że są czymkolwiek więcej niż zwierzętami, czyż nie?

– Jakiego znaku ksiądz oczekuje? – spytał brat Mainoa. – Wyrobu narzędzi? Pochówku zmarłych? Werbalnej komunikacji?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Odkąd tutaj przebywamy, nie słyszałem, żeby ktokolwiek sugerował, jakoby Hippae, ogary albo... którekolwiek inne zwierzęta na Trawie były czymś więcej.

Brat Mainoa wzruszył ramionami.

– Więc niech się ksiądz nad tym zastanowi. Ja to robię, proszę pani. To ciekawe ćwiczenie, które prowadzi do wielu fascynujących domysłów.

Zjedli razem obiad, na który złożyły się racje braci oraz obfity zapas prowiantu, który spakowała Marjorie. Następnie ponownie ruszyli ulicami, wchodząc do kolejnych pomieszczeń. Oglądali artefakty. Widzieli książki, mnóstwo książek, których strony pokrywały zakrzywione linie. Ponownie minęli obiekt na podeście, który mógł być maszyną i został przedstawiony na przynajmniej jednej rzeźbie, a następnie poszli obejrzyć inne przedmioty, które mogły, ale nie musiały być maszynami.

Ukośnie padające promienie słońca nie sięgały w głąb rowów, które już zaczęły się pograżać w ciemności. Marjorie zadrżała.

– Czy zechciałby brat przylecieć do Opalowego Wzgórza, żeby spotkać się z moim mężem? To Roderigo Yrarier, tutejszy ambasador Świątości.

Brat Lourai z zaciekawieniem podniósł głowę.

– Ależ ja go poznałem! – wykrzyknął. – Kiedyś pojawił się w Świątości. Hierarcha był jego wujkiem. Rozmawialiśmy o zarazie, a Hierarcha polecił mu tutaj przybyć ze względu na konie!

Tony obejrzał się z otwartymi ustami, niepewny, co właśnie usłyszał.

Brat Mainoa stanął naprzeciwko Marjorie i wyciągnął do niej rękę.

– Mój młody kolega wykazał się brakiem dyskrecji. Akceptowalna Doktryna zaprzecza istnieniu zarazy.

– Matko?

– Zaczekaj, Tony. – Odzyskała panowanie nad sobą. A więc się dowiedział. Lepiej on niż Stella. Zwróciła się do Rillibee'ego, który stał najbliżej.

– Co brat wie o zarazie?

Rillibee zadrżał, nie mogąc wykrztusić ani słowa. „Pozwól mi umrzeć” – zawołała papuga ze szczytu zniszczonego muru, łopocząc szarymi skrzydłami.

– Chłopak widział, jak jego rodzina na to umiera – pośpiesznie wyjaśnił Mainoa. – Niech go pani nie pyta. Lepiej zastanowić się nad czymś takim. W innych miejscach coś zabiło Arbaiów powoli, natomiast tutaj zginęli szybko. Wiem, że ludzie umierają wszędzie i nie ma lekarstwa. Tyle mi wiadomo. Oprócz tego, że Świętość wszystkiemu zaprzecza.

Marjorie szeroko otworzyła usta. Czyżby on twierdził, że zaraza już kiedyś się wydarzyła?

– Co brat wie o jej występowaniu tutaj, na Trawie?

– Jak dotąd wszyscy w klasztorze jej uniknęliśmy. Co jeszcze miałbym wiedzieć?

– Ile osób zmarło z jej powodu na Trawie?

Wzruszył ramionami.

– Jak policzyć zgony, które ktoś inny może ukrywać? Świętość twierdzi, że zaraza nie istnieje. Jako że zaprzeczają jej istnieniu, nie mówią nam także, czy ktokolwiek na nią umiera. A skoro obecnie nie ma zarazy, to postanowili zaprzeczać jej występowaniu również w przeszłości. Według Akceptowalnej Doktryny Arbaiowie zmarli z nudy. Albo za sprawą jakichś czynników środowiskowych. Ale nie na zarazę. „Diabły nie tylko nie istnieją obecnie, ale nigdy nie istniały”, głosi Doktryna. Jednakże ci z nas, którzy pochodzą z zewnątrz, wiedzą, że zaraza kiedyś była realna. Tak samo jak diabły.

– Myśli brat, że diabły istnieją? – spytała, zerkając z ukosa na księdza Sandovala, który z niesmakiem zacisnął usta. – Może istniały od zawsze i czekały, aż inteligentne istoty sięgną gwiazd, żeby je strącić, być może karząc je w ten sposób za pychę?

– Być może.

– Nie odpowiedział brat, czy odwiedzi mojego męża.

Ponownie przekrzywił głowę, spoglądając ponad jej ramieniem na coś, co tylko on mógł dostrzec.

– Jeśli wyśle pani po mnie pojazd, to oczywiście przybędę, gdyż odmowa byłaby niegrzeczna. Może pani wyrazić chęć skonsultowania się ze mną w sprawie ogrodów w Opalowym Wzgórzu. W końcu pomagałem je sadzić,

więc byłaby to zrozumiała prośba. Ale jeśli poprosi pani moich przełożonych, żeby mnie posłali, to zapewne odmówią.

Marjorie przez chwilę namyślała się w milczeniu.

– Czy brat jest bardzo lojalny wobec swoich przełożonych?

Rillibee/Lourai krótko parsknął. Brat Mainoa zganiał go spojrzeniem.

– Zostałem ofiarowany Świętości, proszę pani. Nie miałem nic do powiedzenia. Brat Lourai również został ofiarowany. A kiedy coś się nam nie spodobało, zesłano nas tutaj. Również w tej sprawie nie mieliśmy prawa głosu. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek pytał mnie, czy jestem lojalny.

Ksiądz Sandoval odchrząknął i odezwał się stanowczym głosem:

– Dziękujemy braciom za poświęcony czas.

– I wzajemnie, proszę księdza.

– Poślę pojazd – obiecała Marjorie. – W ciągu najbliższych kilku dni. Będzie brat na miejscu?

– Skoro już tutaj trafiliśmy, to zostaniemy, dopóki ktoś nie zmusi nas do powrotu, Lady Westriding.

– Jak to możliwe, że brat wiedział, kim jestem, chociaż nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy?

– Ach, jeden z moich przyjaciół interesuje się Opalowym Wzgórzem. Pani nazwisko się pojawiło. – Uśmiechnął się niejasno. – Podczas naszych rozmów.

Bracia odprowadzili wzrokiem odlatujący autolot, a następnie wrócili do swoich kwater, gdzie Mainoa wyjął dziennik ze skrytki i zapisał komentarze dotyczące wydarzeń tego dnia.

– Zawsze to robisz? – spytał Rillibee/Lourai.

– Zawsze. – Staruszek westchnął. – Jeżeli umrę, Louraiu, na tych stronach znajdziesz całą moją wiedzę i wszystkie podejrzenia.

– Jeśli umrzesz. – Chłopak się uśmiechnął.

Mainoa nie odwzajemnił uśmiechu.

– Jeśli umrę. A jeżeli tak się stanie, Louraiu, ukryj tę książkę. Jeśli znajdą ją w twoim posiadaniu, ciebie również zabiją.

* * *

Dla Tony'ego słowo „zaraza” było jak huk gromu, który zaczął odbijać się echem w jego umyśle, poruszając inne idee. Zaraza. Oczywiście, że o niej słyszał. Mówiło się o niej szeptem. Świętość zaprzeczała jej istnieniu. Tony po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, dlaczego Świętość musi stale zaprzeczać czemuś, co nie istnieje. Po co jego ojciec poleciał do Świętości i spotkał się z Hierarchą w sprawie zarazy?

Zaraza. Tutaj nie widział żadnych jej śladów. Nikt nawet o niej nie rozmawiał. Tony spędził dużo czasu w wiosce z Sebastianem Mechanikiem, ucząc się miejscowych zwyczajów i poznając ludzi, ale nikt nie wspominał o zarazie. O chorobach, owszem. Ludzie chorowali. Dokuczaly im stare kości i stawy. Słabły im serca. Jednak niewiele osób miało dolegliwości płucne. Tutejsze powietrze było czyste i nie powodowało żadnych problemów. Rzadko zdarzały się choroby zakaźne. Poradzono sobie z nimi w tej niewielkiej społeczności, a portowi urzędnicy do spraw kwarantanny utrzymywali Wspólnotę w czystości.

Ale zaraza?

– Matko – odezwał się cicho, rozmyślając o ludziach, których pozostawił, zwłaszcza o jednej osobie – czy w naszej ojczyźnie jest zaraza?

Popatrzyła na niego z przerażeniem, gotowa skłamać, przekonana, że to konieczność.

– Tak – wyznała, patrząc w jego ufne oczy, czując, jak słowa mimowolnie opuszczają jej usta. – Tak, w naszej ojczyźnie jest zaraza. Podobnie jak na wszystkich innych zamieszkałych światach.

– Tutaj także?

– Trawa jest wyjątkiem. Być może. Tak uważamy. Tak nam powiedziano.

– Przylecieliście, żeby to sprawdzić?

Pokiwała głową.

– Nie powiedzieliście nam?

– Stella... – szepnęła Marjorie. – Przecież znasz Stellę.

– A ja, matko? Co ze mną?

- Uznano, że jesteś za młody. Że możesz się zapomnieć.
- To tajemnica? Dlaczego?
- Ze względu... – odezwał się ksiądz Sandoval, nachylając się i chwytając chłopca za rękę – ...ze względu na członków Pleśni, nihilistów. Gdyby się o tym dowiedzieli, spróbowaliby sprowadzić tutaj zarazę. A także dlatego, że Trawiańczycy nie dbają o to, czy inne światy wymrą. Nic chcą, żeby im przeszkadzano.
- Przecież... przecież to nieludzkie!
- To niesprawiedliwe twierdzić, że o to nie dbają – wyszeptała Marjorie.
- Powiedzmy raczej, że tego nie dostrzegają. Liczne próby sprawienia, żeby to zauważyli, skutkowały jedynie ich rozdrażnieniem. Ksiądz Sandoval ma rację, że nie chcą, by im przeszkadzano, ale to nie wszystko. W grę wchodzi także pewien czynnik psychologiczny. A raczej patologiczny. Coś nie pozwala im tego dostrzec i o tym myśleć. Dlatego przylecieliśmy tutaj pod pozorem założenia ambasady, podczas gdy tak naprawdę mamy się dowiedzieć, czy na Trawie występuje zaraza. Jeżeli nie, będziemy musieli uzyskać zgodę mieszkańców na to, żeby ludzie z zewnątrz przybyli na planetę i zbadali przyczyny.
- Co już odkryliście?
- Niewiele. Wygląda na to, że zarazy tutaj nie ma, ale nie jesteśmy pewni. Asmir Tanlig próbuje się dowiedzieć od wieśniaków i służących w posiadłościach, czy występowały jakieś niewyjaśnione zgony lub zachorowania. Sebastian Mechanic zna wielu robotników w porcie i stara się wydobyć od nich te same informacje. Obaj nie wiedzą, po co to robią. Powiedziano im, że prowadzą sondę dotyczącą zdrowia na polecenie Świętości. Potrzebujemy informacji także od bonów, ale nie udaje nam się nawiązać z nimi żadnych kontaktów poza czysto oficjalnymi. Próbujemy się z nimi zaprzyjaźnić.
- Po to zorganizowaliście przyjęcie.
- Tak.
- Pojawienie się Eugenie z tamtą dziewczyną wam nie pomogło, prawda?
- Nie, Tony, nie pomogło.

– Eugenie jest bezmyślna jak polna rzekotka – powiedział z rezygnacją, machając ręką, jakby chciał ją odpędzić. Ani on, ani Stella nie rozumieli sympatii, jaką ich ojciec darzył Eugenie. – Całkowicie bezmyślna.

– Niestety, to zapewne prawda. – Poczwała na sobie wzrok księdza Jamesa i zaczerwieniła się. Siostrzeniec Riga zapewne jest mu winny lojalność. Nie powinna krytykować Riga w jego obecności. Nie powinna tego robić także w obecności Tony’ego, tylko że Tony już wiedział... tak wiele.

– Zastanawiałem się, co może być takie ważne, żeby skłonić cię do przylotu – rzekł Tony, kręcąc głową. – Tak po prostu porzuciłaś swoją pracę w Hodowli. Ale to niemożliwe, żeby oni polegali tylko na nas. Co robi Świątość?

– Według Riga wszystko co w ich mocy. Nie potrafią uzyskać przeciwciał od żadnego zwierzęcia ani człowieka, żeby zwalczyć wirusa. Umieją go zabić, ale nie w żywej istocie. Jeżeli przekonamy się, że tutaj nie ma zarazy, wyślemy próbki tutejszych tkanek do Świątości.

– Próbkę tkanek? Bonowie pozwolą wam to zrobić?

– Nie mają swoich lekarzy, Tony. Jeśli coś im się stanie, muszą wzywać doktora ze Wspólnoty. Myślę, że będziemy mogli kupić próbki, które będą nam potrzebne.

– Ale jak dotąd Świątość niczego nie odkryła.

– Niczego. Żadna przebadana tkanka nie wytwarza przeciwciał zwalczających wirusa.

Stłoczyli się całą czwórką jak spiskowcy.

– Tony, nie wolno ci...

– Powiedzieć Stelli. Wiem. Od razu by się wygadała, tylko po to, żeby udowodnić, że nie możemy jej mówić, co ma robić.

Ksiądz Sandoval przytaknął.

– To zapewne prawda.

Znał Stellę od dziecka. Spowiadała mu się z wielu grzechów, zazwyczaj w bardzo dramatyczny sposób i pomijając te, których była najbardziej winna. Przeważnie przyznawała się do gniewu. Gniewu na Marjorie za to, że nie zapewniła jej czegoś niezdefiniowanego, czego Stella zawsze

pragnęła. Po długim namyśle i medytacji ksiądz Sandoval uznał, że mogło to być to samo, czego pragnął Rigo – intymność. Jednakże żadne z nich nie potrafiło poświęcić wystarczająco dużo czasu na to, żeby na nią zapracować. Chcieli mieć rodzinę, ale miała ona spełniać ich zachcianki, być na zawołanie, jak woda z kranu, a zarazem znikać, gdy nie była potrzebna. „Teraz mi pomóż, daj, pociesz mnie. A kiedy już to zrobisz, zejź mi z drogi!”.

Ksiądz Sandoval ponownie westchnął, żałując, że pomimo swojego wieku nie zdołał lepiej zrozumieć Stelli i jej ojca. Stella oczywiście w końcu weźmie ślub, a wtedy mąż zmusi ją do posłuszeństwa, tak jak teraz czynią to rodzice. Ale co można zrobić z Rigiem? Zarówno on, jak i Stella byli zbyt niecierpliwi, żeby powoli zabiegać o czyjeś względy. Reagowali burzliwie albo wcale. Lubili przytłaczać innych. Nie zamierzali błagać. Brali wszystko siłą. Nawet to, czego nie powinni.

* * *

Tymczasem Stella, nie zdając sobie sprawy z rozterek księdza Sandovala, spędzała już szóstą godzinę na symulatorze: ze szklistym wzrokiem, przypięta pasami, obojętna na głód i pragnienie, w transie, w który sama się wprowadziła. Jej ojciec skończył trening kilka godzin wcześniej. Hector Paine już wyszedł. Wiedziała, że nikt inny nie pojawi się w zimowych kwaterach. Ustawiała zegar na siedem godzin, czyli o dwie godziny więcej niż kiedykolwiek wcześniej, po czym wskoczyła na maszynę. Kiedy ta już ruszyła, nie można było jej zatrzymać, ani nie dało się z niej zejść inaczej niż spadając.

Na otaczających ją ekranach przemykały kępy traw. Urządzenia po jej bokach naśladowały uderzenia żdziebeł, chłuszcząc ją po czapce i płaszczu. Maszyna kołysała się i skręcała, cały czas zaburzając rytm, żeby Stella nie mogła się odprężyć. Jej ciało zachowywało czujność, ale mózg w końcu przestał myśleć i uciekł do nieistniejącej krainy kryjącej się poza zmęczeniem. Stella teraz tam przebywała, marząc o Sylvanie bon Damfelsie.

Podczas przyjęcia w Opalowym Wzgórzu patrzyła, jak Sylvan tańczy z Marjorie; patrzyła, pożerała go i połykała w całości. Kiedy sama z nim tańczyła, chłonęła go przez skórę. Przyswoiła sobie jego wizerunek, dzięki czemu w niej zamieszkał, paradygmat prawdziwego, autentycznego mężczyzny. Od tamtej pory rozbierała go i brała w posiadanie, robiąc z nim wszystkie te rzeczy, których jeszcze nie robiła z innymi, nie ze względu na poczucie moralności, ale dlatego, że jeszcze nie znalazła nikogo, kto byłby jej godzien. Teraz tak się stało. Sylvan był godzien. Sylvan był szlachetny. Sylvan był tym, z którym mogłaby się połączyć. Nie! Raczej tym, z którym na pewno się połączy. Już niedługo. Kiedy nauczy się jeździć tak jak on i będzie mogła polować u jego boku.

Zignorowała to, co powiedział Marjorie o łowach, zignorowała rady, których udzielił Yrarierom. Nie pasowały do wizerunku, jaki sobie stworzyła, więc pozbyła się tych elementów i stworzyła go na nowo, zgodnie z własnymi potrzebami – Ewangelię św. Sylvana, według Stelli, jego stwórczyni.

Maszyna galopowała przy wtórze trzasków i szumu sprężyn oraz dźwigni, miękki tętent kopyt dobiegał z głośników, obrazy łodyg nieustannie przemykały po obu stronach, a źdźbła smagały ją z cichym szelestem.

W jakimś odległym zakątku umysłu opowiadała Elaine Brouer wszystko o Sylvanie, o ich spotkaniu, o tym, jak spotkały się ich spojrzenia. „W tamtej chwili mnie pokochał. Właśnie wtedy pokochał mnie tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochał”.

Sylvan mówił do siebie bardzo podobne słowa, gdy szedł krętą ścieżką w głębi słynnych ogrodów Klive.

– Właśnie w tamtej chwili ją pokochałem. Kiedy tylko ją ujrzałem i chwyciłem w objęcia. Pokochałem, jak nigdy dotąd.

Nie mówił o Stelli, tylko o Marjorie.

– Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam. – Marjorie klęczała w konfesjonale z boku kaplicy, wieczorne światło padało jej na twarz. W kaplicy panował półmrok, a światło obok ołtarza przypominało czujne oko skryte w cieniu. – Miałam pretensje do swojej córki. A także do swojego męża...

Była sama w kaplicy, nie licząc księdza Jamesa. Rigo zaszył się w zimowej kwaterze razem z Hectorem Paine'em. Stella i Tony oraz ksiądz Sandoval pojechali na kłaczach do wioski, żeby odwiedzić Sebastiana Mechanica i jego żonę, Dulię, która według Sebastiana była najlepszą kucharką na wszystkich sześciu planetach. Od czasu przyjęcia Eugenie prawie nie wychylała nosa ze swojego domu i teraz również tam przebywała. Kiedy Marjorie szła przez ogrody do kaplicy, słyszała jej śpiew, nieco pijane zawrodożenie nieobciążone żadną konkretną zgryzotą. Marjorie przypomniła sobie niegdyś przeczytane słowa, że blues nie wymaga bezpośredniej motywacji. Wystarczy dowolny pospolity smutek. Dawna pieśń, chociaż niezbyt melodyjna, wpadła Marjorie w ucho i teraz bezustannie tam rozbrzmiewała, rozpaczając nad zachodzącym słońcem.

– Nie miałam cierpliwości do Stelli – wyznała Marjorie. Ksiądz James nie potrzebował dokładniejszych wyjaśnień. Znał ich wszystkich wystarczająco dobrze. – Kierowałam gniewne słowa do Riga... – Słowa dotyczące Polowania, nadstawiania karku i nie tylko karku. – Wątpiłam w Boga...

Ksiądz James się ocknął.

– W jaki sposób wątpiłaś?

Gdyby Bóg był dobry, Rigo i ja byśmy się kochali, a Rigo by mnie tak nie traktował, pomyślała. Gdyby Bóg był dobry, ksiądz Sandoval nie traktowałby mnie jak dodatku do męża i nie skazywałby na posłuszeństwo za każdym razem, gdy czułam się niezadowolona. Nie zrobiłam niczego złego, ale to mnie spotyka kara. To niesprawiedliwe. Łaknęła sprawiedliwości. Zagryzła wargi i nie wypowiedziała tych słów, pozostawiając fałszywy trop.

– Gdyby Bóg był naprawdę potężny, nie pozwoliłby zarazie trwać.

W konfesjonale zapadła cisza, która trwała tak długo, że Marjorie zaczęła się zastanawiać, czy ksiądz James przypadkiem nie zasnął. Nie mogłaby go za to winić. Ich grzechy były nudne i powtarzalne. Wszyscy popełnili wystarczająco dużo grzechów ciężkich, żeby zasłużyć na potępienie. Pycha to specjalność Riga. Lenistwo, znak rozpoznawczy Eugenie. Zazdrość to Stella. Z kolei Marjorie żywiła wobec nich wszystkich niesprawiedliwy gniew. Ona, która zawsze tak się starała być bez winy!

– Marjorie. – Ksiądz James przypomniał sobie o niej. – Kilka dni temu paskudnie skaleczyłem się o źdźbło trawy. Bardzo bolało. Skaleczenia źdźbłami trawy źle się goją.

– To prawda – szepnęła, wiedząc, o czym mówi, ale zastanawiając się, do czego dąży.

– Nagle, kiedy tak stałem i krwawiłem na ziemię, uświadomiłem sobie, że widzę skaleczenie pomiędzy swoimi palcami, ale nie potrafię się uzdrowić. Mogę na nie patrzeć, ale nie umiem niczego z nim zrobić, chociaż bardzo tego pragnę. Nie mogę rozkazać komórkom na krawędziach rany, żeby się połączyły. Nie mam wpływu na ich funkcjonowanie. Jestem zbyt toporny, żeby wejść w głąb własnych komórek i obserwować ich działanie. Podobnie jak ty i każdy z nas. Ale założmy, tylko założmy, że mogłabyś stworzyć... wirusa, który widzi, rozmnaża się i myśli! Że posłałabyś go w głąb swojego ciała, nakazując mu się rozmnażać oraz wyszukiwać wszelkie choroby i zło, a następnie je niszczyć. Założmy, że mogłabyś posłać te istoty w okolice rany i rozkazać im ją zaszyć i naprawić. Nie mogłabyś ich zobaczyć gołym okiem. Nie

wiedziałybyś, ile z nich uczestniczyło w walce. Nie potrafiłabyś stwierdzić, gdzie jest każda z nich, co robi, jakiego cierpienia i trudów doznaje, czy któraś poddała się ze zmęczenia bądź rozpacz. Miałybyś tylko świadomość, że stworzyłaś plemię wojowników i posłałaś ich do walki. Dopóki byś nie wyzdrowiała albo nie umarła, nie wiedziałybyś, czy bitwa zakończyła się zwycięstwem.

– Nie rozumiem, proszę księdza.

– Czasami się zastanawiam, czy właśnie tak Bóg z nami postąpił.

Marjorie starała się pojąć, co ksiądz James ma na myśli.

– Czy to nie ograniczałoby wszechmocy Boga?

– Niekoniecznie, mogłoby stanowić jej wyraz. Możliwe, że w mikrokosmosie On musi – albo chce – stwarzać sobie pomocników. Może właśnie to zrobił. Może stwarza w nas biologiczny odpowiednik mikroskopów i antybiotyków.

– Twierdzi ksiądz, że Bóg nie może sam interweniować w sprawie zarazy?

Niewidoczna postać za kratką westchnęła.

– Twierdzą, że być może Bóg już zainterweniował, stwarzając nas. Może chce, żebyśmy dokonali tego, co staramy się u Niego wymodlić. Zaprojektował nas do wykonania konkretnego zadania i posłał do walki. Nie jesteśmy nią zachwyceni, więc wciąż go prosimy, żeby pozwolił nam odetchnąć. On nie zwraca na to uwagi, ponieważ nie śledzi naszych indywidualnych poczynań. Nie wie, gdzie się znajdujemy, ani jak jesteśmy liczni. Nie sprawdza, czy pogrążamy się w rozpacz, czy dzielnie trwamy na posterunku. Dopiero kiedy ciało wszechświata zostanie uleczone, dowie się, czy dokonaliśmy tego, po co nas posłał! – Młody kapłan zakaszłał. Marjorie po chwili zrozumiała, że ksiądz James się śmieje. Z niej czy z siebie samego? – Słyszałaś o zasadzie nieoznaczoności, Marjorie?

– Jestem wykształcona – parsknęła, coraz bardziej rozdrażniona jego osobą.

– Zatem wiesz, że w przypadku bardzo małych obiektów nie możemy jednocześnie wiedzieć, gdzie się znajdują i co robią. Akt obserwacji zawsze

zmienia ich działanie. Być może Bóg nie spogląda na nas indywidualnie, ponieważ to by przeszkadzało nam w pracy, zakłócało naszą wolną wolę...

– Czy to część doktryny, proszę księdza? – spytała z powątpiewaniem i irytacją, dziwiąc się, co go opętało.

Kolejne westchnienie.

– Nie, Marjorie, to brednie księdza tęskniącego za domem. Oczywiście, że to nie jest część doktryny. Wystarczająco dobrze znasz katechizm, żeby to wiedzieć. – Pomasował się po głowie, wdzięczny za tajemnicę spowiedzi. Chociaż Marjorie nie powinna brać wszystkiego tak poważnie, ksiądz Sandoval nie byłby zachwycony jego słowami...

– Jeżeli zaraza zabije nas wszystkich, stanie się tak ze względu na nasze grzechy – stwierdziła z uporem. – Nie dlatego, że zbyt słabo walczyliśmy. A nasze dusze są nieśmiertelne.

– Tak głosi Świętość. Tak głosi Pleśń – mruknął. – Twierdzą, że musimy wszyscy zginąć, żeby nasze dusze mogły żyć w Nowym Stworzeniu.

– Nie chodzi mi o to, że jesteśmy zwolnieni z walki z zarazą – zaprotestowała. – Ale to nasze grzechy ją na nas sprowadziły.

– Nasze grzechy? Twoje i moje, Marjorie?

– Grzech pierworodny – wyszeptała. – Grzech naszych pierwszych rodziców. – Pierwsi rodzice bardzo przypominali Riga i Stellę, gdyż bezmyślnie poddawali się wszelkim impulsom. Zapewne śmiali się, rozdzierając świat na strzępy. Nie byli trzeźwi ani pełni czci, tak jak powinni. Nie znali spokoju. – Marjorie westchnęła.

– Grzech pierworodny? – spytał młody ksiądz z zaciekawieniem. Kiedyś wierzył w niego bez zastrzeżeń, ale już nie był pewien. Jego wątpliwości wzbudzały także inne elementy katechizmu. Takie kwestionowanie doktryny powinno sygnalizować kryzys wiary, ale jego wiara była silna jak zawsze, chociaż miał coraz większe trudności z akceptowaniem szczegółów. – Zatem wierzysz w grzech pierworodny?

– Ależ proszę księdza! To część doktryny!

– A co z odpowiedzialnością zbiorową? W nią także wierzysz?

– Co ksiądz ma na myśli?

– Czy wszyscy bonowie są winni temu, co spotkało Janettę bon Maukerden?

– To pytanie doktrynalne? – spytała niepewnie.

– A co z Uświęconymi? – spytał. – Czy ponoszą zbiorową odpowiedzialność za skazywanie swoich synów na więzienie? Na przykład młodego Rillibee’ego. Czy trafił do służby ze względu na odpowiedzialność zbiorową, czy na skutek grzechu pierworodnego?

– Jestem starokatoliczką. Nie muszę decydować, w którym miejscu Świętość się pomyliła, dopóki wiem, że tak się stało!

Ksiądz James powstrzymał śmiech. Och, gdyby tylko Marjorie miała większe poczucie humoru. Gdyby Rigo był bardziej cierpliwy. Gdyby Stella była bardziej spostrzegawcza. Gdyby Tony był bardziej pewny siebie. A Eugenie inteligentniejsza. Mniejsza o ich grzechy, po prostu daj im więcej tego, czego potrzebują.

Westchnął, masując skronie, żeby pozbyć się tępego bólu, a następnie udzielił Marjorie rozgrzeszenia i zadał jej rozsądną pokutę. Miała zaakceptować, że Rigo poluje, i nie osądzać go zbyt surowo. Ksiądz Sandoval przez lata skazywał Marjorie na udzielanie mężowi czulego wsparcia. Ksiądz James uważał, że to lekka przesada. Marjorie, pokorna, ale znużona, gotowa zacisnąć zęby i zmusić się do kolejnej dawki czulego wsparcia, z zaskoczeniem przyjęła taką pokutę. Nie powinna osądzać Riga, ale nie musiała mu pomagać. Dopiero później, gdy nadszedł wieczór, przypomniała sobie to, co ksiądz James mówił o myślących wirusach, winie i grzechu. Gdy zaczęła rozważać pytania, które zadawał, nie mogła wyrzucić ich z głowy.

Tymczasem w kaplicy ksiądz James uklęknął, żeby samemu błagać o przebaczenie. Postąpił podle, wystawiając wiarę Marjorie na próbę, podczas gdy tak naprawdę chciał dodać otuchy samemu sobie. Wcale nie był pewien, czy nieosądzanie Riga będzie dla niej dobre. Jeżeli czyny bonów są grzechem, Rigo nie powinien brać w nich udziału. Przekonał sam siebie, że przyłącza się do obsesji bonów z poczucia obowiązku, jednak ksiądz James podejrzewał, że stał za tym raczej egoizm, a ksiądz Sandoval był zbyt konserwatywny, żeby zaoferować Marjorie cokolwiek

poza schematami. Ksiądz James żałował, że nie może porozmawiać z bratem Mainoa. Albo z tym młodszym, Louraiem. Miał poczucie, że poza wiekiem wiele ich łączy.

* * *

W nocy rozlegały się rytmiczne grzmoty.

Marjorie obudziła się i wybrała na przechadzkę po korytarzach rezydencji, gdzie spotkała Persuna Polluta, który także nerwowo wędrował z miejsca na miejsce, ciągnąc się za długie uszy i splatając brodę w warkoczyki.

– Co to jest? – spytała szeptem. – Już kiedyś to słyszałam, ale nigdy tak blisko.

– Podobno Hippae – mruknął. – Tak powiadają w wiosce. Często słyszą te odgłosy wiosną, wielokrotnie podczas wygaśnięcia. Obudziły mnie, więc przyszedłem do głównego domu, żeby sprawdzić, czy nic państwu nie jest.

Położyła dłoń na jego rękę, czując, że drży pod ubraniem.

– Wszystko w porządku. Co one robią? Mam na myśli Hippae.

Pokręcił głową.

– Chyba nikt tego nie wie. Podobno tańczą. Sebastian twierdzi, że wie, gdzie to robią. Ktoś mu powiedział, ale nie lubi o tym mówić.

– Aha. – Stali razem, wyglądając przez wysokie okna na taras, czując rytm grzmotów w podeszwach stóp. Tajemnica. Tak jak wszystko na Trawie. A ona, Marjorie, nie robiła niczego, żeby to zmienić.

Wciąż myślała o wirusach, zastanawiając się, co mógłby zrobić myślący wirus, którego Bóg nie obserwuje i któremu nie rozkazuje, a jedynie pozwala czynić to, po co został stworzony.

– Poproś Sebastiana, żeby do mnie przyszedł, dobrze, Persunie?

– Jutro – obiecał. – Kiedy się rozjaśni.

* * *

Daleko pośród traw, za portem i Wspólnotą, za bagiennym lasem, ten sam dźwięk dudnił w uszach wszystkich ludzi w Klive. Rodzina bon Damfelsów nie spała, tylko nasłuchiwała. Kilkoro z nich zmagало się z czymś więcej niż bezsenność.

Stavenger bon Damfels ciągnął swoją opierającą się Obermum długim, rozsypującym się, zakurzonym korytarzem na krańcu rozległej budowli. Jedną dłoń wplótł we włosy Roweny, a drugą trzymał ją za kołnierz sukni, niemal ją dusząc. Krew z jej czoła skapywała na posadzkę.

– Stavengerze. – Zakrztusiła się, przywierając do jego nóg. – Posłuchaj mnie, Stavengerze.

Wydawało się, że jej nie słyszy ani nie zwraca uwagi na jej słowa. Miał zaczerwienione oczy, a jego usta upodobniły się do cienkiej kreski. Poruszał się jak automat, wyrzucając jedną nogę do przodu, a następnie dosuwając do niej drugą, szarpiąc kobietę obiema rękami jak ciężki worek.

– Stavengerze! Na wszystko co święte, Stavengerze! Zrobiłam to dla Dimity!

Za walczącą parą podążały Amethyste i Emeraude, kuląc się ze strachu, wyglądając zza rogów i kryjąc się za uchylonymi drzwiami. Kiedy zobaczyły, że Stavenger uderzył Rowenę w ogrodzie – nie zauważył swoich córek stojących za parawanem z trawy albo nie dbał o to, że go widzą – poszły za swoimi rodzicami. Korytarz, do którego dotarły, był stary, zaśmiecony, niezadbany i niezamieszkaany. Pięciokondygnacyjne skrzydło, w którym się znajdował, pozostawało nieużywane od co najmniej jednego pokolenia. Sufit nad ich głowami znaczyły rozległe, płytkie bąble zaplamione wodą, która przeciekła przez przegniłą strzechę i przeniknęła przez wyższe trzy piętra. Portrety na ścianach pokryła pleśń, a schody, po których się wspięli, przeżarła zgnilizna

– On nie wie, co robi – wyszeptała Amy, po czym zlizwała łzy, które spłynęły jej po twarzy do kącików ust. – Oszalał. Nie wie, co robi!

– Ależ wie – zaprzeczyła Emmy, wskazując latarenkę, którą niosła. – W tej ruderze zawsze było ciemno, odkąd jestem na świecie, ale teraz wzdłuż całego korytarza znajdują się wiecznoświatła. Przyniósł je z garażu, tak samo jak ja, i wcześniej je tutaj rozmieścił. Zaplanował to wszystko.

Amy, spoglądając na słaby blask latarenek poustawianych na chwiejących się stolikach i porozwieszanych na gąłkach, niechętnie pokiwała głową.

– Dlaczego? Dlaczego on jej to robi?

– Ciii – ostrzegła siostra, wciągając ją w cień.

Stavenger zatrzymał się na końcu korytarza i pchnął Rowenę przez otwarte drzwi, a następnie zatrzasnął je za nią i zamknął na klucz. Zamek zachrzącił z zardzewiałą nieodwołalnością. Stavenger wrzucił klucz do kieszeni i znieruchomiał, jakby nasłuchiwał.

– Roweno. – Głos jak metal, szorstki, domagający się odpowiedzi.

Zza drzwi nie dobiegł żaden dźwięk.

– Nigdy więcej tam nie polecisz! Nigdy więcej do Opalowego Wzgórza! Nigdy więcej nie będziesz się zadawała z *fragras*! Nigdy więcej mnie nie zdradzisz!

Cisza.

Odwrócił się i podniósł najbliższą latarenkę, po czym ruszył korytarzem w ich stronę, po drodze zbierając wiecznoświatła. Szedł powoli z obliczem wyzutym z emocji. Minął drzwi, za którymi drżały jego córki, pozostawiając korytarz w ciemności, odchodząc jakby na zawsze.

Czekały, nasłuchując odgłosu, który w końcu się pojawił – ciężkiego huku zatrzaskiwanych drzwi dwa piętra niżej.

Za zamkniętymi drzwiami na końcu korytarza rozległo się wycie kobiety, niekończący się rozpaczliwy jęk bólu i zdrady.

Emeraude drżącymi palcami zapaliła wiecznoświatło i siostry podbiegły do drzwi, potykając się na zwichrowanych klepkach, wzbijając w powietrze niewielkie obłoki duszącego pyłu.

Drzwi były ciężkie i grube, zbudowane z drewna jednego z drzew rosnących w bagiennym lesie, zawieszane na potężnych metalowych zawiasach i solidnej futrynie. Tylko kilkoro drzwi w posiadłości było tak ciężkich i wytrzymałych. Główne drzwi domu. Drzwi do prywatnego gabinetu Stavengera. Drzwi skarbcza. Co kiedyś znajdowało się w tym pomieszczeniu, skoro trzeba to było ukrywać za taką masą drewna?

Pukały, wołały, znów pukały. Jęki nie ustawały.

– Znajdź Sylvana! – Emeraude ponagliła swoją siostrę rozpaczliwym szeptem. – Tylko on może nam pomóc, Amy.

Amethyste zwróciła na nią udręczone spojrzenie.

– Myślałam, że poproszę Shevloka... – wybełkotała.

Emmy potrząsnęła nią, domagając się pełnej uwagi.

– Shevlok jest bezużyteczny. Odkąd Janetta pojawiła się na przyjęciu, nic nie robi, tylko pije. Przez większość czasu nawet nie jest przytomny.

– Gdyby skończyło się wygaśnięcie...

– Gdyby skończyło się wygaśnięcie, całymi dniami jeździłby na łowy, a nocami pił na umór. Znajdź Sylvana!

– Emmy...

– Wiem! Śmiertelnie boisz się taty. Ja także. On jest jak... jak jeden z Hippae. Ma lśniące oczy i ostre kolce, tak że nie można się do niego zbliżyć. Mam wrażenie, że jeśli się odezwę, przewróci mnie i strati na śmierć. Ale nie zostawię mamy zakrwawionej i uwięzionej bez jedzenia ani wody. Nie pozwolę, żeby tam umarła, a dobrze wiesz, że tak się stanie, jeśli nie powstrzymamy taty.

– Ale dlaczego tata...

– Doskonale wiesz dlaczego. Mama pojechała do Opalowego Wzgórza i rozmawiała z ludźmi, którzy znaleźli Janettę. Doszła do wniosku, że... że... – Emeraude z trudem dobierała słowa, krztusząc się i wytrzeszczając oczy, próbując powiedzieć to, czego nie wolno jej było mówić.

– Nieważne – odparła Amethyste, potrząsając siostrą. – Wiem. Znajdę Sylvana. Zostań tutaj i opowiedz mu, co się stało, na wypadek gdybym nie miała czasu na wyjaśnienia.

– Weź światło. Ja tutaj zaczekam.

Amy zbiegła po schodach, ze strachem zerkając na poręcz, która trzeszczała i ugiwała się pod jej ręką. Ruinę łączyły z głównym domem dawne kwatery służących oraz garaż dla autolotów. Ich ojciec zamknął na klucz oddzielające je drzwi, gdy z szaleństwem w oczach włókł Rowenę jak worek ziarna. Zamknął je ponownie, gdy wychodził, ale w pobliżu znajdowało się wybite okno, które wychodziło na długie podwórze suszarni oraz letnie kuchnie. Dziewczęta właśnie tamtędy się przedostały.

Była niemal północ. Służący już dawno poszli spać. Nawet jeśli ktoś pozostał w kuchni, zapewne większą sympatią darzył Rowenę niż Stavengera.

Stavenger w tej chwili znajdował się w głównym korytarzu i niezrozumiale wrzeszczał na Figora, narzekając i odgrażając się tak głośno, że pobudził wszystkich domowników. Figor był na tyle mądry, że się nie odzywał, czekając, aż burza przeminie. Inni członkowie rodziny trzymali się z daleka. W olbrzymim budynku huczało od szeptów, stukały otwierane i zamykane drzwi, a jednak było cicho, jeśli nie liczyć donośnych krzyków.

Amy ignorowała hałas. O tej godzinie Sylvan zapewne był w swoim pokoju, w bibliotece albo w sali gimnastycznej położonej dwa piętra niżej. Biblioteka znajdowała się najbliżej i właśnie tam go znalazła. Siedział samotnie w kącie ze wzrokiem wbitym w książkę i palcami w uszach. Uklękła obok niego i odsunęła jego ręce od głowy.

– Sylvanie, tata pobił mamę i zamknął ją w starym skrzydle. Emmy tam czeka. Mama nie ma jedzenia ani wody, Sylvanie. Emmy i ja podejrzewamy, że chce ją tam zostawić...

Mówiła już do pustego krzesła. Sylvan zerwał się z miejsca i odszedł.

* * *

Z samego rana Sebastian Mechanic przybył do posiadłości, gdzie zastał Marjorie przy bardzo wczesnym śniadaniu. W odpowiedzi na jej prośbę wskazał kierunek, ale uczynił to niechętnie, nie kryjąc, że samotne zapuszczanie się między trawy to zły pomysł. Nie podobał mu się jej wygląd. Miała udręczone spojrzenie i była za chuda. Wydawało się, że dręczy ją głęboko zakorzenione zmęczenie. Pomimo objawów znużenia, a może choroby, była na tyle rozsądna, by zgodzić się z nim, że taka wyprawa to głupota. Wytłumaczyła, że po prostu była ciekawa, a następnie spytała o jego żonę i rodzinę, prowadząc rozmowę z rozbijającą cierpliwością i urokiem.

Kiedy Sebastian wrócił do swoich zajęć, upewniwszy się, że kierowała nią tylko ciekawość, Marjorie wyszła do stajni i osiodłała Don Kichota. Nie planowała mówić nikomu, dokąd jedzie, zostawiła jednak wiadomość u jednego ze stajennych.

– Jeśli nie wrócę przed zmierzchem, ale nie wcześniej, powiedz mojemu mężowi albo synowi, żeby poszukali mnie autolotem. Mam przy sobie sygnalizator, więc nie powinno być trudno mnie znaleźć.

Osobisty sygnalizator przypasała do nogi pod spodniami. Uruchamiało go każde gwałtowne uderzenie. Na przykład upadek z konia. Albo mocny cios pięścią. Miała przy sobie rejestrator trasy, taki sam, jakich używają kartografowie, który mógł posłużyć do odnalezienia drogi. Zabrała także laserowy nóż, żeby w razie potrzeby torować sobie drogę w wysokiej trawie. Pokazała oba te przedmioty stajennemu, tłumacząc, do czego służą. Chciała, żeby każdy element jej wyprawy świadczył o celowości. Nie chciała, by ktokolwiek podejrzewał, że nie zamierza wracać. Po prostu podejmowała ryzyko. Z drugiej strony, gdyby coś się jej stało, rozwiązałoby to problem Riga. Oraz Stelli. A także jej własny. Przezornie nie pomyślała o Tonym.

Kichot bił kopytem ziemię, a jego ciało przeszywały drgawki, od pęciny aż do kłębu i z powrotem. To nie była oznaka zdenerwowania, niezupełnie. W grę wchodziło coś więcej. Marjorie nie spotkała się wcześniej z takim rodzajem pobudzenia i długo stała, głaszcząc wierzchowca po nogach, przemawiając do niego, próbując sobie wyobrazić, co mogło go doprowadzić do takiego stanu. Pochylił się w jej stronę, jakby szukał oparcia, ale kiedy go dosiadła, pokłusował po trawie, jakby to była zwyczajna przejażdżka. W ten sposób okazywał jej zaufanie. Chociaż mógł przyplącić to życiem, ufał jej. Nie potrafił jednak powstrzymać nerwowego drżenia skóry i ten komunikat w końcu do niej dotarł, gdy pokonali już spory odcinek. Poczerwieniała, zawstydzona, że wykorzystuje go w ten sposób, chociaż było to sprzeczne z jego naturą. Poglaskała go, również okazując, że mu ufa.

– Książd James twierdzi, że Bóg stworzył nas jako wirusy, Don Kichocie, ale myślę, że jeden wirus może kochać drugiego albo się z nim przyjaźnić.

Nie wprowadzę cię w pułapkę, przyjacielu. Nie pozwolę, żebyś aż tak się zbliżył.

A co ze mną, pomyślała. Czy ja mam się narażać?

Samobójstwo było zabronione, ale męczenników otaczano chwałą. Gdyby się zabiła, czy Bóg w ogóle by to zauważył? Zgodnie z tym, co powiedział ksiądz James, Bóg zapewne nie wie, które z Jego wirusów angażują się w wykonywanie Jego pracy. Dla Boga pozostawała bezimienna. Nie miała indywidualności. Czy dowiedziałby się o tym, że się zabiła? Czy to ma jakieś znaczenie? Kiedy ją stworzył, stworzył także mechanizm pozwalający na zbawienie jej duszy? Czy wirusy w ogóle mają dusze?

Jednakże przez tyle lat uczono ją, że odebranie sobie życia jest złem. Nie czułaby się w porządku, gdyby świadomie wystawiła się na pewną śmierć. Ale mogła podjąć zamierzone ryzyko. Gdyby zginęła, byłby to wypadek, a Kichot by przeżył. Był szybki jak wicher. Bez niej na grzbiecie mógł prześcignąć samego diabła. Przynajmniej na początku tak sobie powtarzała, potem skupiła wszystkie siły na odpychaniu od siebie podobnych myśli. Nie mogła się jednak nie zastanawiać nad reakcją Riga na jej zniknięcie. „Głupia idiotka”, pewnie by skwitował. „Głupia kobieta, która nigdy nie kochała mnie tak, jak powinna”.

Kochała go. A raczej chciała go kochać. Chciała kochać jego i Stellę, z taką zapalczywością, że wypływające z niej uczucia doprowadzały ją do wyczerpania. W domu wiedziała o Eugenie, ale nie mieszkali blisko siebie. W domu Stella miała rozrywki i przyjaciół. Tutaj zarówno Stella, jak i Eugenie miały się niczym potężne uwięzione ptaki, rzucając się na nią z dziobami. Czuła uderzenia ich frustracji. Nie spodziewała się, że będzie walczyła ze słabością, bezsennością i nieustannym zagrożeniem życia. Każdy kolejny dzień na Trawie odbierał jej nieco sił i motywacji. Ostatnio brakowało jej nadziei, mimo że do tej pory zawsze żyła od jednego rozczarowania do drugiego, kierując się dzieciennym optymizmem, który teraz ledwie pamiętała.

Przejechała obok niewielkiej areny przeznaczonej do ćwiczenia koni, która znajdowała się tuż obok trawiastych ogrodów Opalowego Wzgórza,

ale ze względu na topografię sprawiała wrażenie odległej. Marjorie po raz pierwszy przekraczała ściśle wyznaczone granice posiadłości. Pozostawiała za sobą ogrody oraz roztaczającą się z nich panoramę. Wyjeżdżała na dzikie trawy, powierzchnię planety, na którą ludziom, ich dziełom i zwierzętom nie wolno było wkraczać. Jechała, wpatrując się przed siebie, nie myśląc o niczym poza tym, że jeśli odnajdzie Hippae, to nauczy się o nich czegoś użytecznego albo zginie, i że w tej chwili jest jej obojętne, jaki los ją spotka.

Kiedy rozległo się wycie, Kichot zadrżał, postawił uszy i stanął jak wryty. Marjorie niemal przestała oddychać, świadoma, że odgłos dobiegł z za jej pleców. Przypomniała sobie Janettę bon Maukerden i zrozumiała, że Hippae, jeśli ją znajdą, mogą zrobić coś mniej – albo więcej – niż po prostu pozbawić ją życia. Brała pod uwagę, że ją zabiją, i się z tym pogodziła. Nie rozpatrywała wielu innych potencjalnych skutków swojego zachowania i teraz poczuła wstyd pomieszany z przerażeniem.

Podążali czymś w rodzaju szlaku, krętym pasem niskiej trawy rosnącej pośród wyższych ździebeł. Marjorie zachęciła Kichota do opuszczenia łatwej drogi i wejścia między wyższe trawy, po czym zeskoczyła z siodła i poprawiła łodygi, żeby zatrzeć ślady.

– Wyczują cię – powiedziała do siebie, próbując stłumić niepokój dzięki powolnym i celowym ruchom.

Wiatr wiał w jej stronę z kierunku, z którego dobiegło wycie. Tamten jej nie wyczuje. Ale inne mogą. Byłoby mądrze zawrócić. Oszołomiona głupotą swojego postępowania, powiedziała sobie, że powrót byłby najlepszym rozwiązaniem.

Otworzyła rejestrator trasy i, patrząc na jego wskazania, poprowadziła rumaka po łagodnym łuku, który prowadził do ambasady, a jednocześnie pozwalał im pozostawać pod osłoną wysokiej trawy, gdy szli w stronę źródła dźwięku. Koń przeszedł niewielki kawałek, po czym się zatrzymał. Coś ponownie zawyło, całkiem blisko, pomiędzy nimi a ambasadą.

Wierzchowiec skręcił i cicho powędrował własnym szlakiem. Kiedy Marjorie usiłowała nim pokierować, całkowicie ją zignorował. Po krótkim ataku paniki uspokoiła się i pozwoliła Kichotowi prowadzić. Niech będzie.

Najwyraźniej rozumie coś, o czym ona nie wie. Wywęszył coś, co jej umyka. Poczul coś, czego ona nie była w stanie. Siedziała spokojnie, nie przeszkadzając mu, próbując odmawiać akt skruchy, ale zapomniała słów, które znała od dzieciństwa. Zresztą ta modlitwa była nie na miejscu. Jak może szczerze żałować, że obraziła Boga, skoro możliwe, że właśnie wypełnia Jego wolę!

Rumak wspinał się na wzgórze i schodził wzdłuż grzbietów, nieśpiesznie, z postawionymi uszami, jakby ktoś szeptał jego imię. Kiedy wreszcie zwolnił, miała wrażenie, że gdzieś z przodu usłyszał jakieś inne dźwięki. Potem się zatrzymał i bez ostrzeżenia położył na boku. Wyciągnęła nogę spod jego wygiętego ciała i wstała, uważnie mu się przypatrując. Rozpłaszczył się na ziemi z postawionymi uszami, obserwując Marjorie.

– No dobrze – szepnęła. – Co teraz?

Nie wydał żadnego dźwięku, ale jego skóra drżała i podskakiwała, jakby kąsały ją muchy. Zagrożenie. Wszędzie wokół.

Marjorie je wyczuwała, widziała dygoczącą skórę konia, czuła zapach niebezpieczeństwa. Według rejestratora trasy zmierzali w kierunku wskazanym przez Sebastiana. Zabrział powtarzający się dźwięk, niezbyt głośny, ale uporczywy, a Kichot poruszył głowę, szukając jego źródła. Nie był to donośny grzmot, jak poprzedniej nocy, ale raczej uporządkowana seria jęków i okrzyków, rytmicznych zarówno pod względem częstotliwości, jak i głośności. Nozdrza Kichota się rozszerzały, a jego skóra drgała, jakby pod wpływem straszliwego świądu. Wiatr dmuchał w ich stronę, przynosząc wyraźny dźwięk oraz zapach... zapach czegoś całkowicie nieznanego. Nie był to smród. Nie był to aromat. Nie wydawał się ani atrakcyjny, ani odpychający. Marjorie wyjęła laserowy nóż i ucięła kilka pęków trawy, a następnie przykryła nimi wierzchowca, ukrywając go, a może także maskując jego woń. Potem padła na brzuch i zaczęła się czołgać przez wyższą trawę w stronę odgłosów niesionych wiatrem od niskiego wzgórza na południu. Kiedy dotarła na jego szczyt, znieruchomiała, spoglądając między źdźbłami.

W kierunku źródła zapachu. Wciągnęła go do płuc, czerpiąc pełną pierśią.

Nagle niebo rozszerzyło się i Marjorie jednocześnie runęła w górę oraz w dół, uderzając o ziemię.

Ręka pod jej podbródkiem spłaszczyła się i stała cienka jak kartka.

Coś boleśnie stanęło jej na głowie i ją roztrzaskało.

Jej ciało zniknęło. Próbowwała poruszyć choćby palcem, ale nie mogła.

Ogary. Płytkie, porośnięte trawą zagłębienie pełne ogarów, siedzących, przyczajonych, szarych, zielonych jak algi i brudnofioletowych, z odchylonymi do tyłu łbami i odsłoniętymi długimi kłami oraz podwójnymi rzędami zębów po obu stronach masywnych szczęk, spomiędzy których wydobywało się chóralne, rytmiczne postękiwanie. Ich skóra podskakiwała i tańczyła, chaotycznie dżgana od środka, jakby ogary połknęły jakieś żywe istoty, które teraz walczyły, żeby się uwolnić. Puste, białe kule ślepi wpatrywały się w niebo. Otwarte, spadające niebo.

Zapach. Płytką ziemna misa była go pełna. Marjorie leżała na skraju zagłębienia z wywieszonym językiem ociekającym śliną.

Po przeciwległej stronie misy gwałtownie wznosiła się pionowa ściana, poznaczona wysokimi, równomiernie rozmieszczonymi otworami, przez które wpadało światło poranka, ukazując jaskinię leżącą po drugiej stronie. Tam jeden albo dwa Hippae poruszały się według wzoru, chodząc zygzakiem, paradując, wysoko unosząc nogi, odchylając łby do tyłu, trzaskając kolcami.

Pośród przyczajonych ogarów leżały sterty perlistych kul wielkości ludzkiej głowy. Migerery przemieszczały kule, tak żeby do wszystkich docierało słońce, obracając je, podnosząc zrogowaciałymi przednimi łapami, przykładając do nich ucho. Co to jest? Jaja?

Również w ziemnej misie przed jaskinią leżało kilkadziesiąt larwokszałtnych rzekotek. Tylko falowanie ich skór świadczyło o tym, że są żywymi istotami.

Woń przygniatała Marjorie do ziemi, upodabniając ją do dwuwymiarowej bezwładnej szmatki rozłożonej pośród traw, szmatki z oczami.

Ogary były duże, ogromne. Wielkością dorównywały pociągowym koniom, chociaż miały krótsze nogi. Rzekotki były dwukrotnie większe od zazwyczaj spotykanych okazów. Wewnątrz jaskini chmura postrzępionych kształtów tańczyła w powietrzu, mroczne nietoperzopodobne stworzenia z rzędami kłów. Jedno z nich usiadło na karku ogara i tam się zaczepiło. Po jakimś czasie ponownie poderwało się do nierównego, chaotycznego lotu.

Jeden z ogarów zaczął dyszeć, a potem wyć. Wycie przeszło w skowyt, a następnie znów w dyszenie. Na skąpanej w słońcu ziemi rzekotki zwinęły się w kule, pozbywając się wszystkich zmarszczek. Znajomy widok. Marjorie już kiedyś to widziała. Gdzieś. Kiedyś.

Stopniowo wszystkie dźwięki ucichły. Stworzenia znieruchomiały. Gwałtowne ruchy pod skórą ogarów ustały. Zapadła długa cisza.

Jeden z Hippae wyszedł z jaskini, powoli krocząc, wysoko unosząc nogi, rozszerzając nozdrza i otwierając pysk, z którego wydobywały się chrapliwe ostrzegawcze szczeknięcia. Po chwili drugi Hippae dołączył do niego i stanął mu na drodze. Miał spuchniętą szyję, której dotykał szeroko rozwartą szczęką, i dziko przewracał ślepiami, wydając takie same szorstkie, wrogie dźwięki.

Hippae odsunęły się od siebie, obracając łbami, pochylając je, tak że groźne kolce sterczały z szyi niczym wachlarz z szabel. Stwory coraz bardziej się cofały, zwiększając dystans. Nagle zaszarżowały, przebijając się nawzajem kolcami, zadając długie rany na żebrach i bokach. Długie smugi krwi pojawiły się na ich skórze, gdy biły w ziemię kopytami ostrymi jak brzytwy, nim zawróciły, by ponownie zaatakować. Znów błysnęły kolce i trysnęła krew. Marjorie kulila się w myślach, gdy zadawały sobie ciosy, stając dęba, błyskając kopytami.

Aż w końcu jeden z Hippae padł na kolana i długo nie wstawał.

Drugie zwierzę wycofało się do wlotu jaskini i zaczęło grzebać w ziemi. Odwróciło się tyłem do swojego wroga i wierzgało w jego kierunku, posyłając czarne pociski. Czym ciskało w pokonanego przeciwnika? Czymś czarnym. Kruchymi czarnymi obiektami, które pękały przy uderzeniu. Jak purchawki wybuchające chmurami czarnego pyłu. Hippae miotały w siebie martwymi nietoperzami. Tak jak mówił Sylvan...

Bezgłośnie. Toczyły jakąś grę. Jedyną grę. W ciszy.

Zwycięski Hippae zarzucał łbem, szukając zębami nowych pocisków wokół wejścia do jaskini. Następnie ułożył je na ziemi i odwrócił się, żeby ponownie kopnąć nimi w przeciwnika. Jeden z pocisków trafił klęczącą bestię w głowę, okrywając ją czarnym pyłem. Przegrany nisko się pochylił, a potem z trudem wstał i odszedł, wspinając się na zbocze zagłębienia.

Ich zachowanie miało ustalony rytm i zakończenie, jak rytuał. Rytualna walka. Która właśnie dobiegła kresu.

A potem rozległ się dźwięk. Wiatr wiał z tyłu. Jedna z nadętych rzekotek pękła. Spod jej rozdartej skóry wychylił się trójkątny, najeżony zębami łeb ogara. Skóra rzekotki pękała dalej. Wyłoniły się przednie łapy, a w końcu, bardzo powoli, całe zwierzę.

Sprawiało wrażenie małego i absurdalnie kruchego, gdy chwiejnie wstało i weszło do jaskini przez jeden z pionowych otworów, ostrożnie omijając sterty jaj. Ze środka dobiegł odgłos chleptania. Po dłuższej chwili stworzenie ponownie się pojawiło, z ociekającym pyskiem, pewniej trzymając się na nogach, lśniące, wzdęte od płynu. Hippae stał na skraju zagłębienia i gwizdał. Młody ogar wspiął się do niego, po drodze skubiąc niską niebieską trawę. Na oczach Marjorie bestia stawała się coraz większa i masywniejsza. Po jakimś czasie odeszła, powoli, ale stanowczo. Wiatr przybrał na sile.

Kolejny odgłos darcia przyciągnął wzrok Marjorie w drugą stronę zagłębienia. Tak jak ogar wyłonił się spod rozdartej skóry rzekotki, tak teraz Hippae wyłaniał się spod rozdartej skóry ogara. Przepoczwarczenie. Skórę jednego z potężnych ogarów przebił rząd kolców, malutkich ostrzy, które rozcięły ją, torując drogę głowie Hippae. Proces ustał, gdy głowa – o zamkniętych ślepiach, niewidząca – wydostała się na zewnątrz. Zapadła cisza.

Co ona wyprawia? Wiatr się wzmógł i rozwiął woń. Co ona wyprawia? Dlaczego tutaj leży? Rozpłaszczona? Tylko jej oczy miały jakiś wymiar. Tylko oczy.

Bolały ją. Zamrugła, zauważając, że są wyschnięte i podrażnione. Bardzo długo nie mrugała. Swędziała ją skóra na karku, jakby coś ją

obserwowało. Obróciła się, próbując przeniknąć wzrokiem zasłonę traw. Coś tam się kryło. Nie widziała tego ani nie słyszała, ale wiedziała, że tam jest. Poczłgała się z powrotem w dół zbocza, chwiejnie przedostała przez trawy i znalazła Kichota tam, gdzie go zostawiła, ale z podniesionym łbem, postawionymi, kołyszącymi się uszami i drgającymi nozdrzami. Słońce opadało ku horyzontowi. Wysokie pierzaste trawy rzucały długie złowrogie cienie w głąb dolin. Marjorie kazała wierzchowcowi wstać, a następnie go dosiadła i pozwalała mu prowadzić, ufając, że potrafi doprowadzić ich do domu, jeśli było im dane tam wrócić.

Rumak obrał bardziej bezpośrednią trasę niż rano, ale wciąż szedł tak, jakby ktoś wołał go po imieniu. Rozumiał równie dobrze jak ona, że nadciąga zmrok, i lepiej od niej zdawał sobie sprawę z zagrożeń, które czaiły się pośród traw. Wyczuwał to, czego ona nie potrafiła – liczne Hippae, niedaleko, ale od nawietrznej. Przez ostatnią godzinę coraz bardziej się zbliżały, klucząc, jakby czegoś szukały. Kichot pochylił się i przyspieszył, pożerając prerię kopytami, powracając do Opalowego Wzgórza po długim łuku, jak najbardziej oddalając się od zbliżających się Hippae, stopniowo zwiększając dzielący ich dystans. Gdzieś w oddali coś go chwaliło. Coś powtarzało mu, że jest grzecznym konikiem.

Dotarli do stajni o zmierzchu. Stajenny, któremu Marjorie powierzyła swoją wiadomość, czekał na nich ze wzrokiem wbitym w horyzont, jakby chciał oszacować, czy udało jej się wrócić przed zachodem słońca.

– Wiadomość, pani – powiedział. – Syn pani szuka. Przyszła do pani prywatna wiadomość. Prawdopodobnie z posiadłości bon Damfelsów.

Stanęła obok konia, roztrzęsiona, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

– Pani? Wszystko w porządku?

– Po prostu... jestem zmęczona – wybełkotała.

Kręciło się jej w głowie, nie potrafiła się skupić, nie była pewna, co ją spotkało. To przypominało sen. Czy naprawdę samotnie opuściła posiadłość? Zapuściła się między trawy? Popatrzyła w oczy swojemu wierzchowcowi i znalazła w nich nietypową dla konia świadomość, która z jakiegoś niewyjaśnionego powodu jej nie zaskoczyła.

– Dobry Kichot – powiedziała, przesuwając dłońmi po jego szyi. – Grzeczny konik.

Poklepała go po raz ostatni i jak najszybciej ruszyła w górę ścieżką, wciąż się potykając. Tony obserwował ją z tarasu.

– Gdzie byłaś? Zabraniasz mi samotnie wychodzić, a potem znikasz na cały dzień. Doprawdy, matko! Wyglądasz strasznie!

Przezornie postanowiła nie odpowiadać. Niezależnie od tego, jak wyglądała, czuła się... lepiej. Bardziej stanowcza. Po raz pierwszy, odkąd przybyła na tę planetę.

– Stajenny wspominał o jakiejś wiadomości.

– Chyba od Sylvana. Tylko on nazywa cię „czcigodną panią, Marjorie Westriding”. Jest zaszyfrowana, nie mogłem jej odczytać.

– Co, u licha? Gdzie twój ojciec?

– Wciąż na tej przeklętej maszynie. – Zadrżał mu głos, jakby tuż pod powierzchnią krył się smutek albo gniew.

– Tony. Nic na to nie poradzisz.

– Czuję, że powinienem...

– Bzdura. To on powinien przerwać tę głupotę. Gdybyś też się w to zaangażował, wszystko tylko by się pogorszyło.

– Cóż, nie ma sposobu na to, żeby mu przerwać, a pozostała mu jeszcze godzina albo dwie.

Marjorie usiadła przy wiadofonie, pozwalając, żeby wiązka identyfikacyjna przesunęła się jej po oczach. Na ekranie zaczęła się pojawiać wiadomość: OSOBISTE. TYLKO DLA WSKAZANEGO ADRESATA.

– Tony, odwróć się.

– Matko!

– Odwróć się. Jeśli napisał coś żenująco osobistego, nie chcę, żebyś to przeczytał – odrzekła, zastanawiając się, dlaczego przyszło jej do głowy, że Sylvan mógłby napisać coś aż tak osobistego.

Zwolniła blokadę i zobaczyła wiadomość w całości. PROSZĘ O POMOC. POTRZEBUJĘ TRANSPORTU DLA SIEBIE, MATKI I DWÓCH KOBIET DO MIASTA LUDU. CZY MOŻESZ DYSKRETNIE SPROWADZIĆ AUTOLOT

DO WIOSKI BON DAMFELSÓW? PROSZĘ O ODPOWIEDŹ PRYWATNYM KANAŁEM.

– Możesz popatrzeć, Tony. Wszystko w porządku.

Chłopiec przeczytał, zapatrzył się na ekran, przeczytał ponownie.

– Co się dzieje?

– Najwyraźniej Sylvan musi zabrać Rowenę z Klive, ale nie może tego zrobić sam. Musi działać potajemnie. To wskazuje, że musi się przed kimś ukrywać, zapewne przed Stavengerem.

– Myślisz, że Stavenger bon Damfels dowiedział się, że Rowena przyjechała tutaj, żeby zapytać o Janette?

– Możliwe. A może pokłóciła się ze Stavengerem i się go obawia. Każdy domysł będzie tyle samo wart. Twoja wersja może być prawdziwa tak samo jak moja.

– Umiem już całkiem dobrze pilotować autolot.

– Podobnie jak Persun Pollut. Chcę, żebyś został i wyjaśnił swojemu ojcu, gdzie jestem, chociaż wątpię, czy o to zapyta.

Tony wyraźnie wyczuwał gorycz w jej głosie. Zaczerwienił się. Pragnął jej pomóc, ale nie wiedział jak.

– Pozwól mi ich zawieźć. Albo wyślij Persuna samego.

– Muszę porozmawiać z Sylvanem. Coś dzisiaj zobaczyłam... – Opisała jaskinię i jej mieszkańców pośpieszonym, podnieconym szeptem, a chłopiec tylko na nią patrzył i o nic nie pytał. – Metamorfoza, Tony! Jak motyl z gąsienicy. Tamte jaja z pewnością złożyły Hippae. Wykluwają się z nich rzekotki. Nie widziałam tego, ale to jedyne sensowne wytłumaczenie. Rzekotki przekształcają się w ogary, a ogary w Hippae. Trzystopniowa metamorfoza. Podejrzewam, że Trawiańczycy o tym nie wiedzą – zakończyła. – Nikt nigdy nie wspominał, że rzekotki zmieniają się w ogary, a ogary w wierzchowce. Nawet Persun.

– Jak to możliwe, że mieszkają tutaj od kilku pokoleń i o tym nie wiedzą? Postanowiła powiedzieć mu prawdę.

– Ponieważ Hippae zabijają każdego, kto ich szpieguje. – Wiedziała, że tak jest, a ona uciekła tylko przypadkiem. Albo z jakiegoś innego powodu, biorąc pod uwagę, że Don Kichot szedł tak, jakby ktoś go prowadził. Nie

chciała się przyznać do swojej lekkomyślności. – Zakazy uniemożliwiają im poznanie prawdy, Tony. Nie mogą naruszać trawy kołami pojazdów. Nie mają własnych wierzchowców, takich jak konie, więc jeśli chcą zwiedzać, muszą chodzić piechotą, choć niewykluczone, że także tego im nie wolno. To głęboko zakorzenione tabu o psychologicznym podłożu. Możliwe, że traktują je jedynie jako zwyczaj, ale to coś więcej. Możliwe, że uważają się za wolnych, ale tacy nie są.

– Chcesz powiedzieć, że postanowili nie naruszać traw, ale tak naprawdę...

– Nie mieli wyboru. Właśnie to mam na myśli. Sądzę, że Hippae kierują nimi od... Bóg jeden wie jak dawno. Podejrzewam, że każdy, kto wychodzi na pieszą wędrowkę między trawy, traci życie. Kiedy dzisiaj tam byłam, miałam przeczucie... a raczej miał je Don Kichot. Był straszliwie przerażony i poruszał się tak, jakby szedł po skorupkach jajek. Poza tym Asmir przekazał nam długą listę zaginionych osób.

– A ty poszłaś tam sama! – Pokręcił głową. – Niech to szlag, matko. Co ci przyszło do głowy? – Popatrzył na jej zawstydzoną twarz. – Na litość boską!

– Tony, popełniłam błąd. Nie wolno ci powiedzieć ojcu, że wiesz cokolwiek o zarazie, ani że wybrałam się na przejażdżkę. Jest teraz w takim stanie, że mógłby wybuchnąć i zacząć wrzeszczeć, a ja mam tego serdecznie dosyć. Potem z pewnością o wszystkim dowiedziałyby się Stella.

– Wiem.

– Jeśli interesuje go, gdzie jestem, powiedz mu, że pomogłam odwiedzić Rowenę do Wspólnoty. Nie wspominaj o Sylvanie, chyba że o niego spyta. Rigo bardzo dziwnie się do niego odnosi. Nie wiem dlaczego.

Tony zauważył, że jego matka rzeczywiście tego nie wie, chociaż on sam doskonale rozumiał, co niepokoi Riga Yrariera. Kiedy Marjorie tańczyła z Sylvanem podczas przyjęcia, Tony stał na balkonie obok ojca i widział wyraz jego twarzy.

* * *

Było już ciemno, kiedy pilotowany przez Persuna Polluta autolot z Opalowego Wzgórza wylądował na skraju wioski bon Damfelsów, cicho jak opadający liść. Sylvan czekał z Roweną i dwiema kobietami z ludu. Rowena miała obandażowaną twarz i rękę na temblaku. Kobiety prawie wniosły ją na pokład. Marjorie nie traciła czasu na pytania ani komentarze, tylko kazała Persunowi natychmiast wystartować i jak najszybciej odstawić ich do miasta. Rowena bon Damfels wyraźnie potrzebowała opieki lekarskiej.

– Nie wiem jak pani dziękować, Lady Westriding – odezwał się Sylvan, dziwnie oficjalnym tonem, który nie pasował do jego zaniedbanej powierzchowności. – Nie udałoby mi się zabrać autolotu z naszej posiadłości bez wzbudzania ogromnego zamieszania. Przepraszam za swój wygląd. Dziś wieczorem musiałem rozbić kilkoro drzwi i nie miałem okazji się przebrać.

– Twój ojciec ją uwięził?

– Owszem, to jedno z barbarzyńskich zachowań, których się dopuścił. Wątpię, czy w ogóle o tym pamięta. Polowanie głęboko zapuściło korzenie w moim ojcu, ze wszystkimi skutkami.

– Dokąd ją zabierasz, Sylvanie?

– Sądzę, że ojciec nie będzie podejrzewał, że opuściła posiadłość. Jeżeli za nią zatęskni i przypomni sobie, co zrobił, zapewne uzna, że uciekła i zniknęła pośród traw. Możliwe, że będzie jej szukał, ale wątpię. Te kobiety mają krewnych w Mieście Ludu, którzy mogą ją bezpiecznie ukryć.

– Czy twoim siostrom nic nie grozi?

– Chwilowo nie. Jako że obie mają kochanków, namawiam je, żeby jak najszybciej zaszły w ciążę. Ciężarne kobiety nie uczestniczą w łowach. – Jego głos nie zdradzał emocji. – Gdyby tylko istniał na to jakiś sposób, również zabrałbym je do Miasta Ludu. Ale nie byłyby zadowolone, pozostając w ukryciu, a obawiam się, że tylko tak mogłyby uniknąć sprowadzenia z powrotem.

– Są mile widziane w Opalowym Wzgórzu, Sylvanie.

– To by oznaczało koniec Opalowego Wzgórza. – Dotknął ręki Marjorie, z powodu jej troski na chwilę zapominając o swoich kłopotach. –

Pozwolono wam tam zamieszkać tylko dla pozoru, żeby powstrzymać Świątość przed poważniejszą interwencją. Nasi... nasi panowie nie chcą was na Trawie. Nie chcą żadnych przybyszów z zewnątrz.

– Przecież dopuszczają istnienie Wspólnoty! Pozwalają na obecność portu!

– Nie mogą się dostać do Wspólnoty ani portu. Możliwe, że to jedyne, co chroni miasto. Sam nie wiem. Nie wiem co robić. Wszyscy bonowie są jak... zahipnotyzowani. Kilku młodszych, którzy nie polowali od paru lat, tak jak ja, może swobodniej rozmawiać, ale nawet my, kiedy zaczynamy się zbliżać do... – Zakrztusił się. Kiedy odzyskał głos, stwierdził: – W Mieście Ludu jest lepiej. Zawsze kiedy tam jeździłem, szokowało mnie, jakie wszystko jest wyraźne. Mogę tam myśleć cokolwiek zechcę i nic mnie nie krępuje. Mogę o wszystkim rozmawiać.

– Zostaniesz w mieście?

– Nie mogę. Ojciec mógłby zacząć podejrzewać, co się stało z matką, i ruszyć jej śladem. Mógłby coś rozpętać pomiędzy posiadłościami a miastem. To by oznaczało... cóż, utratę życia. Tragedię. – Zamilkł, z ponurą miną spoglądając na zabandażowane oblicze matki. – Po co wasza rodzina tutaj przyleciała?

– Świątość chyba powiedziała wam o... chorobie.

– O waszej zarazie, owszem – odrzekł zniecierpliwiony. – Wiemy o niej. – Jego mina zdradzała, że nie uważał jej za bardzo ważną. Marjorie wbijała w niego wzrok, zastanawiając się, co mu powiedziano, w co pozwolono mu wierzyć.

– To jest tak samo wasza zaraza jak nasza, Sylvanie. To choroba ludzkości. Jeśli będzie się panoszyła jeszcze przez kilka dziesięcioleci, ludzkość nie przetrwa.

Patrzył na nią, niezdolny uwierzyć w jej słowa.

– Przesadzasz.

Pokręciła głową.

– Wcale nie. Jeszcze za życia naszych dzieci Trawa może się stać jedynym pozostałym siedliskiem ludzi. Będziemy jak Arbaiowie. Odejdziemy.

– Ale tutaj... nie słyszeliśmy...

– Wygląda na to, że tutaj nie ma zarazy. Albo coś ją powstrzymuje. Nie pozwolilibyście nam przysłać naukowców ani badaczy, ale zgodziliście się na ustanowienie ambasady. Ci idioci w Świątości uznali, że zaakceptujecie nas ze względu na konie, dlatego przybyliśmy, Rigo i ja, żeby dowiedzieć się jak najwięcej i przemówić wam do rozsądku, jeśli na to pozwolicie.

– Nie pozwolimy. Powinienem był się domyślić. To dlatego mistrzowie Polowania tak starannie wybrali gości, którzy mieli się pojawić na waszym przyjęciu. Nie puścili nikogo, kto mógłby się dać przekabacić. Pojechali sami wytrawni myśliwi. Nie licząc mnie, a o mnie nic nie wiedzą.

– Pod nami bagienny las! – zawołał Persun. – Gdzie wylądować?

Marjorie popatrzyła na Sylvana, a on zerknął na dwie kobiety. Przez chwilę cicho się naradzały, po czym poprosiły, żeby wylądować w porcie.

Sylvan się zgodził.

– Szpital znajduje się w Hotelu Portowym. Poza tym o tak późnej porze nikt nie zwróci tam na nas uwagi.

Cicho posadzili pojazd, wypuścili Rowenę i kobiety, a następnie ponownie ruszyli w kierunku Klive.

Kiedy zbliżyli się do posiadłości, Marjorie nachyliła się i położyła dłoń na rękę Sylvana.

– Sylvanie. Zanim odejdziesz, muszę ci coś powiedzieć. Właśnie po to do was dołączyłam.

Opowiedziała mu o wszystkich swoich odkryciach, patrząc, jak kręci się niespokojnie i poluzowuje kołnierzyk. Zastanawiała się, czy to coś, w co wolno mu uwierzyć, czy też przekazano mu przeciwne informacje.

– Rzekotki w ogary – wykrztusił w końcu. – Ogary w wierzchowce. Ciekawe. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego tak bardzo nienawidzą lisów. Lisy pożerają rzekotki.

– Skąd wiesz?

– Kiedy byłem zbuntowanym dzieckiem, dowiedziałem się, że mogę stronić od Hippae, oczyszczając swój umysł ze wszystkich myśli. To talent, który najwyraźniej tylko ja posiadam albo wtedy posiadałem. Czasami zapuszczałem się między trawy na całe godziny. Oczywiście nie chodziłem

zbyt daleko, ale dalej niż ktokolwiek inny miał odwagę się wybrać. Jeżeli byłem obok zagajnika, wspinałem się na drzewo, po czym leżałem na nim z lunetą i obserwowałem wszystko, co się działo. Widziałem, jak lisy zjadają rzekotki. Nietrudno je złapać. To tylko wnętrzności otoczone mięsem ze szczątkowymi łapami po bokach. Chciałbym zobaczyć, jak się przemieniają.

– Jeśli dotrzesz do Opalowego Wzgórza przed końcem wygaśnięcia, pokażę ci, gdzie jest jaskinia.

– Dotarcie do Opalowego Wzgórza to najmniejszy kłopot, Marjorie – odrzekł, dławiąc się wypowiedzianymi słowami. – Trudniej będzie wybrać się między trawy. Znacznie trudniej. Już nie jestem dzieckiem. Nie jestem tak dobry jak kiedyś. Nie wiem, czy Hippae pozwoliłyby mi wrócić, gdybym zbliżył się do nich choćby na odległość kilku mil.

Autolot ponownie się opuścił. Sylvan uściśnął dłoń Marjorie, podziękował Persunowi Pollutowi, a następnie wysiadł i zniknął w ciemności.

Pojazd wrócił do Opalowego Wzgórza i wylądował na żwirowym dziedzińcu, gdzie Marjorie życzyła Persunowi dobrej nocy, a potem ruszyła do bocznych drzwi, które znajdowały się najbliżej jej kwatery. Kiedy się do nich zbliżyła, ponownie usłyszała grzmot, gdzieś pośród traw, dźwięk tym bardziej złowieszczy, że pozbawiony źródła i przyczyny. Groził, nie pozostawiając szansy na odpowiedź.

Kiedy usłyszała za plecami ostry głos Riga, wydała z siebie cichy okrzyk zaskoczenia, który natychmiast stłumiła.

– Czy mogę spytać, gdzie byłaś?

– Razem z Persunem Pollutem zawieźliśmy Rowenę bon Damfels do Wspólnoty, żeby otrzymała pomoc lekarską. Towarzyszyli jej syn oraz dwie służące. Odwieźliśmy go do wioski bon Damfelsów i wróciliśmy do domu.

Patrząc w jej szeroko otwarte oczy, wolne od chęci oszustwa, szukał jakiejś kpiącej i ciętej riposty, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Rowenę?

– Stavenger ją pobił... obawiam się, że poważnie.

– Za co? – spytał oszołomiony. Pobicie kobiety zgodnie z filozofią Riga zawsze oznaczało porzucenie honoru.

– Za to, że przyjechała tutaj, aby spytać o Janettę. Rowena i Sylvan pojawili się u nas, żeby spytać o Janettę. Mieli... mają nadzieję, że Dimity także odnajdzie się żywa. Dimity. Najmłodsza córka Roweny. Siostra Sylvana. Dziewczynka, która zniknęła. Po to tutaj przyjechali.

– Nie widziałem tutaj Roweny – odparł, tym samym dając jej do zrozumienia, że widział Sylvana.

– Kiedy u nas byli, Rowena zaczęła płakać. Na kilka chwil wyszła z pomieszczenia. Tony zaprowadził ją do mojego pokoju.

– Zostawiając cię z jej synem. O czym rozmawialiście? – Czuł znajomy podskórny gniew. O czym rozmawiali Sylvan i Marjorie? Czym nie mogła się podzielić ze swoim mężem?

Westchnęła, ze znużeniem pocierając oczy, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

– Próbowałam ci powiedzieć, Rigo, ale nie chciałeś słuchać o Hippae. Nie byłeś zainteresowany.

Przypatrywał się jej przez długą, pełną chłodu chwilę, próbując nie powiedzieć tego, czego w końcu nie potrafił powstrzymać.

– Nie. Nie chcę słuchać bajek Sylvana dotyczących Hippae.

Boleśnie przełknęła ślinę, usiłując nie okazywać frustracji.

– A czy jesteś zainteresowany wysłuchaniem tego, co na ten sam temat ma ci do powiedzenia brat Mainoa, jeden z Zielonych Braci?

Bardziej niż czegokolwiek pragnął doprowadzić ją do płaczu. Rzadko widywał jej łzy.

– Brat Mainoa? – zakpił. – Z nim też masz romans?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, zauważając jego zaczerwienioną twarz i płonące oczy, jak u Stelli. Zachowywał się tak samo jak jego córka, starając się zadać rozmówcy ból, nie dbając o to, że mówi nieprawdę.

Zanim się odezwał, Marjorie była bliska łez, chociażby ze zmęczenia, ale jego słowa to zmieniły. Poczula, że otaczają ją płomienie, czerwone, gorące i trzaskające. To było nieznajome uczucie, wściekłość tak intensywna, że

nie wywoływała poczucia winy. Słowa wydobywały się z jej ust jak pociski, wystrzeliwane bez namysłu, bez potrzeby zastanowienia.

– Brat Mainoa jest w wieku mojego ojca – odpowiedziała wyraźnym, lodowatym głosem, który ledwie słyszała ponad hukiem płomieni w swojej głowie. – To starzec, który ledwie trzyma się na nogach. Mieszka tutaj od wielu, wielu lat. Możliwe, że wie coś, co mogłoby nam pomóc w wykonaniu naszego zadania. Ale nie kłopotz się bratem Mainoa... Może kiedy już weźmiesz udział w Polowaniu i udowodnisz swoją męskość, co stale musisz robić – i jeśli uda ci się wrócić – może wtedy porozmawiamy o tym, po co tutaj przybyliśmy.

Próbował jej przerwać, ale uciszyła go uniesioną dłonią. Jej oblicze przypominało ognisty lód.

– Tymczasem możesz być pewien, że nigdy nie miałam z nikim „romansu”. Jak dotąd tobie pozostawiałam łamanie naszych ślubów, Rigo.

Nigdy nie słyszał, żeby tak do niego mówiła. Nie wiedział, że jest do tego zdolna. Tego wieczoru pragnął jedynie zburzyć jej opanowanie, wierząc, że to ono ich rozdziela. Chciał, żeby coraz silniejszy chłód między nimi zniknął pod wpływem gniewu, a Marjorie jak zawsze przyszła do niego z przeprosinami, prosząc o przebaczenie...

Zamiast tego rozbudził wściekłość, której nie potrafił uspokoić ani ogarnąć. Odwróciła się i odeszła, zupełnie jakby zostawiała go na zawsze.

* * *

Tamtego wieczoru podczas wygaśnięcia, nie tylko w Opalowym Wzgórzu i Klive sprawy przybierały gorący i chorobliwy obrót. Daleko od obu tych miejsc, w Stane, posiadłości bon Maukerdenów, drzwi kuchni otworzyły się i wypuściły ukośne promienie światła na dziedziniec, tworząc ostry klin jasności, w który wkroczyła Obermum Geraldria, rzucając krótki cień. Była kręłą kobietą, a włosy opadały jej na drgające ramiona, gdy szlochała rozpaczliwie w ręcznik trzymany przy twarzy. Po chwili uniosła wzrok i zapatrzyła się w noc, niczego nie widząc, zarówno z powodu ciemności, jak i łez, które wypełniały jej oczy i swobodnie skapywały z twarzy. Po

przeciwległej stronie kuchennego dziedzińca znajdowała się brama, a za nią ścieżka prowadząca do wioski bon Maukerdenów. Geraldria ciężkim krokiem podeszła do bramy, otworzyła ją, a następnie przywołała kogoś do otwartego przejścia.

Pojawiły się dwie postacie, które szły tak powoli, jakby nie miały na to ochoty. Jedną była służąca Geraldrii, Clima, a drugą Gąska, czyli Janetta bon Maukerden, kołysząca się pod obszerną szatą, jakby w rytm muzyki, którą tylko ona słyszała, z idealnie spokojnym obliczem zalanyim żółtym światłem. Clima i Geraldria płakały, ale Gąska nie dawała po sobie poznać, że to dostrzega ani że ją to obchodzi.

Obermum przytrzymała otwartą bramę przed swoją służącą.

– Idźcie do wioski, Climo. Kiedy tylko zdołasz, zabierz ją do Miasta Ludu. Dowiedz się, czy doktor Bergrem... dowiedz się, czy Lees Bergrem może jej pomóc. Już wcześniej powinnam była ją odprawić. Myślałam, że z czasem zacznie nas rozpoznawać. – Geraldria ponownie przycisnęła przemoczony ręcznik do twarzy, tłumiąc odgłosy, nad którymi najwyraźniej nie panowała. Kiedy spazm minął, poszukała w kieszeni bonu kredytowego, który wcześniej tam schowała. – Za to kupisz wszystko, czego będziesz potrzebowała. Jeśli on ci nie wystarczy, daj mi znać. Powiedz doktor Bergrem... powiedz, żeby odesłała ją z Trawy, jeśli to w czymś pomoże.

Clima schowała kartę do kieszeni.

– A może lekarka mogłaby przyjechać tutaj, pani? Czy nie da się tego zrobić na miejscu? – Chwyciła Gąskę za ramię, żeby nie oddaliła się tanecznym krokiem, po czym wyciągnęła ją za bramę.

– Powiedziała, że potrzebuje swoich maszyn i sprzętu, który ma w szpitalu. Poza tym Obermun się nie zgodzi. Nie chce jej tutaj.

– To nie jej wina... – Słowa stłumione przez łzy.

– Dimoth twierdzi, że tak – zaszlochała Geraldria. – Mówi, że to wina Janetty. Że w przeciwnym razie to by się nie wydarzyło. Vince się z nim zgadza.

– To nieprawda! – odrzekła Clima z rozdrażnieniem. – Nie moja Janetta.

– Ciii. Zabierz ją. – Ścieżka pograżyła się w ciemności, gdy Geraldria zamknęła bramę, by po chwili wyjrzeć górą. – Zabierz ją, Climo. Dłużej tego nie zniosę. Nie, kiedy Obermun mówi to, co mówi. – Wycofała się do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Clima ujęła dziewczynę za rękę i popędziła ją ścieżką. Kałuża światła z latarki rozlewała się na szlaku, który Clima знаła równie dobrze jak pokoje we własnym domu. Kiedy oddaliła się od domu na tyle, że przesłoniły ją trawy, ktoś nagle wyłonił się spomiędzy łodyg za jej plecami i zarzucił jej worek na głowę i resztę ciała, przewracając ją na ziemię, gdzie przez chwilę wiła się bezradnie, rozpaczliwie szukając rękami liny, którą napastnik związał jej kostki. Była zbyt zaskoczona, żeby krzyczeć.

Zdołała się wyprostować i zaczęła pośpiesznie szarpać węzeł palcami. Obok ścieżki rozległ się odgłos startującego autolotu, chociaż nie powinno tam być żadnego pojazdu. Węzeł w końcu ustąpił i mogła zerwać worek z głowy. Zaczęła wokół wodzić latarką, przeszywając mrok snopami światła.

Wołała, brnęła przez trawy, nawet sprowadziła do pomocy kilku mężczyzn z wioski, ale dziewczyna zniknęła bez śladu.

* * *

Niespodziewanie wygaśnięcie dobiegło końca. Znow rozpoczęły się Polowania. Rigowi jazda na symulatorze zajmowała każdą wolną chwilę. Stella w tajemnicy oddawała się temu samemu zajęciu, gdy reszta rodziny spała. Świetnie przygotowani dzięki wcześniejszemu doświadczeniu jeździeckiemu, Rigo i Stella uczyli się szybciej niż bonowie mogli się spodziewać. Wkrótce nadeszła chwila, gdy Rigo ogłosił, że za dwa dni weźmie udział w Polowaniu w posiadłości bon Damfelsów.

– Oczekuję, że wszyscy się tam pojawicie – oznajmił ponuro swojej rodzinie. – Ty, Marjorie. Tony. Stella.

Marjorie nie odpowiedziała. Tony pokiwał głową. Tylko Stella zaszczębiotała z podnieceniem:

– Oczywiście, tatusiu. Za nic w świecie byśmy tego nie przegapili.

- Zamówiłem balon, żebyście mogli obserwować Polowanie.
- Bardzo przezornie – stwierdziła Marjorie. – Z pewnością wszyscy będziemy się świetnie bawili.

Stella spojrzała na nią z ukosa, zaniepokojona głosem matki. Choć w jej słowach i sposobie ich wypowiedzenia nie było niczego nietypowego, pobrzmiwały w nich dziwny chłód i obojętność. Zadrżała i odwróciła wzrok, uznając, że to nie jest dobry moment, żeby zapytać o swój udział w łowach. Poza tym czekało ją jeszcze dużo pracy. Koniecznie chciała polować razem z ojcem, ale zdobycie odpowiedniego stroju nie było łatwe. Sfałszowała zamówienia w imieniu Hectora Paine'a, wysłała je do Wspólnoty, i przechwyciła przywiezione towary. Miała już wszystko, czego potrzebowała – wyściełane spodnie, specjalne buty zwężane na czubkach, dzięki którym mogła się zaczepić między żebrami wierzchowca. Mogła skorzystać ze swojego płaszcza oraz uwiąz, jak również z rękawic i kapelusza. Cały strój był przygotowany, żeby go ukryć na pokładzie autolotu i przewieźć do posiadłości bon Damfelsów. To było jedno z ostatnich Polowań w Klive. Za kilka dni łowy miały się przenieść do posiadłości bon Laupmonów.

Skoro wygaśnięcie dobiegło końca, Marjorie podejrzewała, że jaskinia Hippae już nie jest strzeżona. Bardzo wcześnie następnego ranka, gdy cała rodzina jeszcze spała, zabrała rejestrator trasy ze swojej poprzedniej wyprawy i poprowadziła Kichota tą samą zapętloną drogą, którą pokonali poprzednio. Znalazła wzgórze, płytkie zagłębienie oraz jaskinię. Nie czuła niczego poza wonią traw. Nie słyszała żadnego dźwięku. Może grzmoty towarzyszyły ich gorączce godowej, jeśli Hippae w ogóle odbywały gody. A może to była tylko gorączka reprodukcyjna, niczym bezmyślne trzepotanie ryb.

W płytkim zagłębieniu nie pozostało nic poza kawałkami wysuszonych, kruchych skorup. Wszystkie jajka popękały. W jaskini nie było niczego poza stertami kruchych grudek leżących obok wejścia. Przyjrzała się im i w końcu rozpoznała w nich martwe nietoperze, które wcześniej fruwały po jaskini. To je zwycięski Hippae kopał w stronę pokonanego przeciwnika. Przeszła nad zapyłonymi ciałami i wkroczyła do jaskini,

zauważając jej podobieństwo do tej w Opalowym Wzgórzu. Obie opierały się na kamiennych filarach, miały takie same wysokie otwory wejściowe, a po ich jednej stronie płynął strumyk.

Dostrzegła jedną istotną różnicę. Gruntowe podłoże w tej jaskini pokrywał jakiś wzór wykonany kopytami wierzchowców, przeplatający się i tak złożony jak zdobienia, które widziała w dzieciństwie, wyrzeźbione na prehistorycznych celtyckich pomnikach. Wiedziona niewytłumaczalnym impulsem, wyjęła rejestrator trasy i pokonała pieszo cały wzór, od jednego końca do drugiego, nie pomijając żadnego łuku ani splotu, oglądając kompletny obraz, który pojawił się na malutkim ekranie. Nie było sensu pytać Riga, co myśli o jego znaczeniu. Ale może uda jej się zapytać o to brata Mainoa podczas ich kolejnego spotkania. Kiedy już wszystko obejrzała i zarejestrowała, bez żadnych przeszkód wróciła do Opalowego Wzgórza, przepelniona satysfakcją.

W końcu nadszedł dzień pierwszego Polowania Riga, zatem Marjorie przygotowała się psychicznie do śledzenia łowów. Włożyła jeden ze swoich trawiańskich strojów, powłóczystą szatę złożoną z kilku coraz krótszych jedwabistych warstw, oraz płaszcz ze sztywnego brokatu, sięgający tylko do kolan i łokci, dzięki czemu spod spodu wystawały ekstrawagancko pomarszczone rąbki i rękawy spodniej warstwy ubrań. Podobne stroje widywała u ciężarnych kobiet oraz matron, które już nie uczestniczyły w łowach. Pęk jedwabistych włosów spuściła na plecy, zamiast związywać je w zwyczajowy złocisty kok. Usiadła przy toaletce i zrobiła sobie wyjątkowo mocny makijaż, zwłaszcza wokół oczu. Nie próbowała zrozumieć, po co to robi, ale kiedy poszła korytarzem ku zwirowemu dziedzińcowi, na którym czekał Rigo, wyglądała jak kobieta udająca się na schadzki z kochankiem – albo na spotkanie z innymi kobietami, które mogły się zastanawiać, czy jej mąż ją kocha. Rigo zadrzał, kiedy ją zobaczył. Nie przypominała jego żony. Była kimś obcym. Zagryzał wargi i przestępował z nogi na nogę, rozdarty pomiędzy chęcią odezwania się do niej, a determinacją, by ją ignorować.

Persun sprowadził autolot. Zdyszany Tony wypadł z domu, poprawiając strój, a po chwili pojawiła się Stella, ubrana w podobną suknię jak matka,

choć złożoną z mniejszej liczby warstw. Dziewczyna widziała, co Marjorie zamierza przywdziać, i dostosowała się do jej wyboru. Poszczególne luźne warstwy w razie potrzeby można było łatwo zdjąć, co cieszyło Stellę, gdyż wiedziała, że nie będzie miała dużo czasu na przebranie.

Na szczęście, po drodze niewiele rozmawiali. Marjorie siedziała obok Persuna, który pilotował pojazd, i toczyła z nim sztywną rozmowę po trawiańsku.

– Gdzie jest mistrz Polowania?

– Mistrz Polowania jedzie ścieżką.

– Czy myśliwi zabili lisa?

– Tak, myśliwi dzisiaj zabili lisa.

– To brzmi, jakby ropucha coś łykała – odezwała się Stella, pociągając nosem. – Po co ktoś wymyślił taki brzydki język?

Marjorie nie odpowiedziała. Myślami była tak daleko, że nawet nie słyszała słów córki. Otaczała ją mgła, którą mogła przeniknąć wyłącznie aktem woli. Oddzieliła się od pozostałych.

– Co Obermum poda na obiad? – spytała dziewczęcym głosem.

– Obermum poda pieczoną gęś – zabrzmiała odpowiedź.

Ale nie wszystkim się upiecze, pomyślał Persun, widząc ich wyraz twarzy. O tak, nie wszystkim.

W Klive Amethyste i Emeraude pełniły rolę gospodyń, obie pozbawione emocji i ciche, ubrane podobnie do Marjorie.

– Obermum żałuje, że nie może państwa powitać. Prosi, żeby o niej wspomnieć. Zapraszamy do głównej sali.

Z jakiegoś powodu Marjorie i Tony poszli w jedną stronę, a Rigo i Stella w drugą. Marjorie nie od razu zauważyła nieobecność córki. Popijała coś gorącego i aromatycznego, uśmiechając się grzecznie do kolejnych bonów, którzy wiercili się niespokojnie, żeby jak najlepiej widzieć pierwszą powierzchnię. Tam gromadzili się jeźdźcy o beznamiętnych i ślepych obliczach, jakich Marjorie spodziewała się u myśliwych. Sylvan wszedł do pomieszczenia; nie miał na sobie stroju do polowania.

– Nie poluje pan dzisiaj? – spytał Tony niewinnie, próbując zrozumieć, co się dzieje, niepewny, jak mu się podobają wyciągane wnioski.

– Drobną niestrawność – odrzekł Sylvan. – Shevlok i ojciec będą dzisiaj musieli wziąć na siebie całe brzemię.

– Twoje siostry także nie polują – zauważyła Marjorie.

– Powiedziały ojcu, że są w ciąży – odpowiedział, niemal szepcząc. – Myślę, że w przypadku Emeraude to może być prawda. Nie należy się spodziewać, że kobiety w ich wieku będą polować równie często jak mężczyźni. Ojciec to rozumie.

– Czy...

– Nie. Wydaje się, że nie zauważył... nieobecności Obermum. Chyba nie wie, że odeszła.

– Kontaktowała się z tobą?

– Wraca do zdrowia. – Odwrócił się i popatrzył przez łukowaty otwór na aksamitną darń. Nagle szeroko otworzył usta i wytrzeszczył oczy.

– Na wszystkie ogary, Marjorie, czy to Rigo?

– Rigo. Tak. Czuje, że musi to zrobić – odrzekła.

– Ostrzegałem was wszystkich! – zacharczał. – Boże. Ostrzegałem go.

Marjorie pokiwała głową, starając się zachować pozory chłodnego wycofania.

– Rigo nie słucha ostrzeżeń. Sama nie wiem, czego on słucha. – Wzięła z tacy filiżankę parującej herbaty, podsuniętej jej przez jedną ze służących, i spróbowała zmienić temat. – Widziałeś Stellę?

Sylvan rozejrzał się po sali i pokręcił głową. W pomieszczeniu panował tłok, więc oddalił się od Marjorie i sprawdził wszystkie zakątki.

– Jeśli szukasz dziewczyny – mruknęła Emeraude – to wróciła do pojazdu.

Sylvan przekazał tę wiadomość Marjorie, która założyła, że Stella czegoś zapomniała. Zabrzmiał dzwon. Służące w okrągłych spódnicach wślizgnęły się do domu. Otworzyła się brama, przez którą dwójkami weszły ogary, spoglądając na jeźdźców czerwonymi ślepiami.

Marjorie wzięła głęboki wdech. Rigo stał na lewym krańcu grupy. Kiedy jeźdźcy skręcili, żeby podążyć za ogarami przez Bramę Sfory, szedł na samym końcu.

Nie licząc ostatniego myśliwego, który wypadł zza narożnika domu i, odwracając głowę od widzów, pobiegł w ślad za Rigiem na szarym końcu pochodu.

To dziewczyna, pomyślała Marjorie, zastanawiając się, dlaczego Stella nie wróciła.

Dziewczyna.

Coś w jej chodzie i postawie. Znajomy strój, krój płaszcza...

Ależ, z pewnością, nie.

– Czy to nie była pani córka? – spytała Emeraude, posyłając jej dziwne, dzikie spojrzenie. – Czy to nie była pani córka?

Zza bramy dobiegł donośny tętent oddalających się kopyt.

Kiedy Sylvan dopadł do bramy, nikogo już tam nie zastał. Wszyscy jeźdźcy dosiedli wierzchowców i odjechali.

* * *

Stella zakładała, że Sylvan będzie wśród myśliwych. Mimo tego, co jej opowiadano o Polowaniu, i tego, co sama widziała, zakładała również, że znajdzie sposób na skorzystanie z własnego wierzchowca. Wszystko to jednak poszło w niepamięć, gdy tylko wskoczyła na grzbiet stwora, który się do niej zbliżył. Zanim przybyła do bon Damfelsów, martwiła się, że zabraknie dla niej wierzchowca i żaden nie będzie jej oczekiwał. Jednakże opowieści, których wysłuchiwała podczas śledzenia łowów, wskazywały na to, że zawsze pojawia się liczba wierzchowców dostosowana do liczby zgromadzonych myśliwych. Gdyby ktoś zrezygnował w ostatniej chwili, jego wierzchowiec nie podszedłby do bramy. Postanowiła późno wyjść do ogrodu, już po pojawieniu się ogarów, dzięki czemu nikt nie mógł jej zatrzymać. Dotarła do bramy, gdy jej ojciec dosiadał Hippae, i poczuła, bardziej niż zobaczyła, wierzchowca, który pojawił się przed nią, wyciągając potężną nogę. Wykonała serię ruchów, które tak wiele razy ćwiczyła na maszynie, że przychodziły jej automatycznie.

Aż do tej chwili wszystko toczyło się zbyt szybko, by się zastanawiać, analizować, móc zmienić zdanie. Nagle pojawiły się kolce, zaledwie kilka

cali przed jej piersią, lśniące jak brzytwy. Kiedy na nie patrzyła, na wpół zahipnotyzowana i po raz pierwszy zalękniona, wierzchowiec odwrócił łeb i odsłonił zęby w czymś w rodzaju uśmiechu, wystarczająco podobnym do ludzkiego, by wyczytała w nim rozbawienie, pogardę, a także dziwną zachętę. Potem bestia pomknęła za pozostałymi, a Stella wstrzymała oddech, skupiając się wyłącznie na unikaniu kościanych ostrzy.

Przejechali spory kawałek, zanim postanowiła poszukać wzrokiem Sylvana. Od tyłu wszyscy myśliwi wyglądali podobnie. Nie potrafiła stwierdzić, czy jest wśród nich. Bezpośrednio przed nią jechał ojciec. Rozpoznawała jego płaszcz, skrojony inaczej niż stroje pozostałych myśliwych.

Po pewnym czasie postanowiła poszukać Sylvana. Wszyscy jeźdźcy wyglądali podobnie. Oprócz jej ojca. Jego płaszcz różnił się od innych...

Po pewnym czasie postanowiła poszukać Sylvana. Przed nią jechał ojciec...

Tuż przed nią jechał ojciec... przed nią...

To był dobry dzień na Polowanie. Chociaż skończyło się lato, pastwiska wciąż były zielone po niedawnych deszczach. Rolnicy usunęli część najgorszych drucianych ogrodzeń, a te, które pozostały, były dokładnie widoczne. Przed sobą, na srebrzystobezowym, krótko przyciętym polu owsa, widziała pędzące stado ogarów, dopóki nie schowały się za wzgórzem po lewej stronie. Lekki wiatr przyniósł ich skowyt i wrzawę oraz dźwięk rogu łowczego. Wzdłuż szczytu wzgórza stały mroczne postacie widzów, którzy osłaniali oczy przed słońcem. Jedna z osób pomachała kapeluszem i wskazała kierunek ucieczki lisa. Stella poprowadziła wierzchowca w lewo, wzdłuż zagajnika, a następnie na skróty przez grzbiet wzgórza. Ze szczytu widziała lisa, który uciekał w poprzek pastwiska, z opuszczonym nosem i wyprostowanym puszystym ogonem. Zanurkował pod ogrodzeniem, a potem przebiegł po długim zwalonym pniu ku Zagajnikowi Fullera. Popędziła wierzchowca w stronę ogrodzenia i pokonała je jednym susem, dołączając do kilku myśliwych, którzy ją wyprzedzili, i słysząc tętent kopyt pozostałych wierzchowców. Mistrz

Polowania gestem nakazał im okrążyć zagajnik i Stella skręciła, ustawiając się obok rowu, do którego mógł czmychnąć lis.

Słyszała ogary w zagajniku. Łowczy był tam z nimi; donośnie wołał poszczególne zwierzęta po imieniu i je zachęcał.

– Skok, wyjdź stamtąd. Cętka, wspinaj się...

Potem rozległ się okrzyk i znów ruszyli. Zabrzmiał róg i usłyszeli głosy ogarów...

Sylvan.

Ktoś miał dzisiaj z nimi jechać. Jakiś gość? Ktoś, kto nie był członkiem tego Polowania.

Sylvan. Oto on. Obok niej, odwraca się w siodle, żeby popatrzeć na nią z zachwytem. Poczula, jak jej twarz zalewa fala gorąca, i wyprostowała się dumnie.

Niektórzy z myśliwych zostali w tyle. Jechali przez cały ranek, a teraz było już południe i żar lał się z nieba na jej kapelusz. Lis skrył się w Lesie Brenta, a Łowczy i naganiacze wjechali w głąb lasu. O dziwo, Mistrz Polowania im towarzyszył. Stał na swoim koniu jak cyrkowy akrobata i czymś rzucał.

Nagle... przyływ uczucia. Przeszywający wstrząs rozkoszy wypływającej z jej krocza. Orgazm czystej radości bez końca.

Sylvan też to poczuł. Tak jak wszyscy. Widziała to na każdej twarzy. W skrętach ciał, szarpnięciach głową, rozluźnieniu szczęk.

Wreszcie Łowczy ogłosił zabicie ofiary. Pojawił się z maską lisa i konie zawróciły w stronę domu. Słońce znajdowało się za jej plecami. Czekala ich długa droga powrotna, nawet jeśli pojedą na skróty, wzdłuż Zagajnika Magny, a następnie żwirowym szlakiem obok Starego Gospodarstwa.

* * *

Kiedy wrócili, była rozpaczliwie zmęczona. Ojciec podszedł do niej i ujął ją pod rękę, mocno, za mocno, po czym przeszli przez bramę razem z pozostałymi.

– Coś ty tam robiła, na Boga? – spytał ostro, niemal przyciskając usta do jej ucha. – Stella, ty mała idiotko!

Popatrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami.

– Polowałam – odparła, zastanawiając się, po co pyta. – Ależ tatusiu, polowałam.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i na tarasie zobaczyła matkę, która stała ze szklanką w dłoni, bardzo blada i bardzo piękna. Sylvan był u jej boku. Obejmował Marjorie ramieniem i pokazywał ich palcem. Jak to możliwe, że tam jest, i to nie w stroju do Polowania, skoro kilka chwil wcześniej jechał obok niej?

Stella poczuła, że się czerwieni. Sylvana nie było na Polowaniu. Niemożliwe, żeby tam był. Ojciec oddalił się od niej i wspiął po niskich stopniach. Matka ścisnęła balustradę obiema rękami, tak mocno, że zbieleły jej knykcie. Sylvan ją podtrzymał i pstryknął palcami, przyzywając najbliższą służącą. Po chwili ojciec odepchnął go ramieniem.

– Marjorie!

Jego żona popatrzyła na niego niewidzącymi oczami, jakby nie wiedziała, kim jest.

– Stella – powiedziała, wskazując ją palcem. – Jej twarz...

Rigo obejrzał się na córkę stojącą na dole schodów, ale nie zdążył zauważyć tego, co dostrzegła Marjorie, tego samego lodowatego, beznamietnego wyrazu twarzy, który miała Gaska, kiedy pojawiła się wśród nich w Opalowym Wzgórzu.

Stella zatoczyła się i zadrżała z wściekłości oraz szoku, gdy uzmysłowiła sobie, że Sylvan nie patrzył, jak polowała, i że ona sama nie pamięta niemal niczego z przebiegu tego dnia. Pamiętała konie, ogary i lisa, ale to były prawdziwe konie i psy z dawnych czasów. Pamiętała przeszywające uczucie, które ją wypełniło, a to wspomnienie przyprawiało ją o rumieńce, ale nie wiedziała, dlaczego tak się poczuła. Patrząc na zatroskanego Sylvana, wściekłego ojca i niespokojną matkę, czuła, że przydarzyło się jej coś ohydneho i ważnego, a ona nie przywiązywała wagi do tego, co się z nią działo.

Shoethai, asystent w Urzędzie do spraw Akceptowalnej Doktryny, siedział w portowej jadalni i czekał, aż zakończy się rozładunek statku. Starszy brat Noazee Fuasoi wyjaśnił, że na pokładzie znajduje się bardzo ważny ładunek, i posłał Shoethaia, żeby go odebrał.

Shoethai od razu odpowiedział w myślach: „Dlaczego ja?”. Nawet teraz starannie unikał patrzenia na swoje odbicie w szybie, nałożone na wspomniany statek niczym unoszący się w powietrzu zniekształcony duch. Jego twarz była na tyle groteskowa, że niektórzy pracownicy portu udawali, że go nie widzą, wliczając w to dwóch kelnerów w jadalni. Shoethai był tak przyzwyczajony do swojego wyglądu oraz do reakcji, jakie on wzbudzał, że już nie okazywał urazy ani wściekłości, chociaż emocje te kłębiły się pod powierzchnią, z każdym dniem coraz bardziej agresywne i wrogie. Starszy Fuasoi mógł posłać kogoś innego. Yawiego albo Fuma. Ktoregokolwiek z nich. Nie byli zbyt przystojni, ale przynajmniej nie wyglądali jak potwory. Oto nieśmiertelne pytanie. „Dlaczego ja?”.

W Świątości od czasu do czasu jakiś idiota o dobrych zamiarach próbował pocieszać Shoethaia, mówiąc na przykład: „Ale i tak powinieneś się cieszyć, że żyjesz, prawda? Lepiej być żywym niż umarłym, czyż nie?”. Wypowiadając takie slogany, tylko dowodzili swojej głupoty i nieczułości. Nie, wcale się nie cieszył, że żyje. Wolałby być nieżywy, tylko że bał się śmierci. Byłoby najlepiej, gdyby nigdy nie żył, gdyby pozwolili jego ojcu go zabić, gdy próbował to zrobić. Ojciec przynajmniej się o niego troszczył i chciał dla niego tego co najlepsze. A najlepiej dla niego byłoby nigdy się

nie urodzić albo przynajmniej nie przetrwać pierwszych tygodni, gdy był jeszcze zbyt mały, by cokolwiek rozumieć. Najlepiej byłoby nigdy nie oglądać tej twarzy ze świadomością, że należy do niego.

Ale starszy brat nie wysłał Fumy ani Yaviego. Posłał Shoethaia, a to coś oznaczało. Najwyraźniej Fumo ani Yavi nie mieli się dowiedzieć o tym transporcie. A skoro nie mieli się dowiedzieć, to nie wiedział także starszy brat Jhamlees Zoe, i co za tym idzie, Świątość. To zaś oznaczało, że wiedzieli tylko Shoethai i Fuasoi.

– Wiesz czym jest Pleśń? – spytał pewnego dnia starszy brat, całkiem niespodziewanie, gdy Shoethai sprzątał u niego w gabinecie.

– To jacyś męczennicy – odpowiedział Shoethai.

– Męczennicy Dni Ostatnich – wyjaśnił starszy brat. – Grupa ludzi, którzy dążą do przyspieszenia końca świata. Czytałeś „Księgę Końców”?

Shoethai zatrzymał się z szeroko otwartymi ustami i pokręcił głową. Oczywiście, że nie czytał żadnych księzek Pleśni. Można było za to zostać usuniętym ze Świątości.

Starszy Brat jakby czytał mu w myślach.

– Wiem. To jeden z zakazanych tomów. Sądzę jednak, że mógłby cię zaintrygować, Shoethaiu. Udzielę ci dyspensy. Zabierz książkę, kiedy będziesz wychodził, ale nikomu jej nie pokazuj. Zwłaszcza Jhamleesowi Zoe.

To nawet nie był czytnik, tylko staroświecka książka z kartkami. Starszy Fuasoi zostawił ją na biurku, brązowy tom ze słowami „Księga Końców” wypisanymi złotą czcionką. Shoethai schował książkę w najgłębszej kieszeni szaty i czytał ją tylko wtedy, gdy był sam – czyli przez większość czasu. Zdażył już zapamiętać całe fragmenty tekstu i często cytował je w myślach.

– Obleczeni w światło, zamieszkamy w domu światła – recytował, wsysając herbatę przez luki w uzębieniu. – Kiedy skończy się ludzkość, nastanie Nowe Stworzenie. W Nowym Stworzeniu już nie będzie miał tej twarzy ani ciała. W Nowym Stworzeniu nie będzie zdeformowany. Będzie mknął jak włócznia, odziany tylko w blask, piękny jak anioł. Starszy Fuasoi zwrócił na to szczególną uwagę, odczytując odpowiedni fragment księgi

i wskazując ilustracje, jednak Shoethai uwierzył w to w chwili, gdy sam o tym przeczytał. Miał wrażenie, że te słowa napisano specjalnie dla niego. Oto prawdziwa sprawiedliwość. Jeżeli ludzie nie zaznali jej w tym życiu, to stanie się tak w kolejnym.

– Niech przyjdą zmiany – wyszeptał, pociągając kolejny łyk herbaty. – Niech się objawi Nowe Stworzenie. – Kierownik jadalni przyniósł mu herbatę po wścieklej szeptanej kłótni ze swoimi dwoma kelnerami. Shoethai modlił się w myślach, żeby kelnerów jako pierwszych dotknęło oczyszczenie i żeby odbyło się to jak najboleśniej. Oczywiście, że to będzie bolesne. Starszy Fuaso mu o tym powiedział. Starszy Fuaso widział zarazę. Starszy Fuaso nawet spędził niemal rok w obozie dla zarażonych. Starszy Fuaso należał do Pleśni. Stwierdził, że nikt, kto zobaczy działanie zarazy, nie może do niej nie należeć.

Kiedy starszy Fuaso przyznał się, że jest członkiem Pleśni, Shoethai również chętnie i żarliwie się nawrócił, mimo że byli jedynymi wyznawcami na Trawie, a Jhamlees Zoe kazałby ich stracić, gdyby się dowiedział. Ale do wcielenia w życie planów Pleśni nie potrzeba było więcej ludzi. Starszy Fuaso stwierdził, że dwie osoby to aż nadto.

– Pobłogosław mnie, o Stwórco – modlił się cicho Shoethai, spoglądając poprzez swoje odbicie na postacię pośpiesznie krzątającą się wokół statku – gdyż oczyszczę Twój dom z brzydoty.

Brzydota była grzechem przeciwko Stworzeniu. Starszy brat nawet zasugerował, że Stwórca dał Shoethaiowi taką twarz, by ten wyraźnie zrozumiał całkowite zepsucie i niegodziwość człowieka. Wypisał tę wiadomość na ciele Shoethaia, żeby każdy mógł ją zobaczyć. Starszy Fuaso twierdził, że powierzchowność Shoethaia odzwierciedla wnętrze wszystkich ludzi. Właśnie taka jest ludzkość. Zniekształcona. Zdeformowana. Wybryk natury. Inteligencja nie powinna istnieć w takim cuchnącym, zawodnym ciele. Ciało nadaje się dla zwierząt, ale nie dla inteligentnych istot, a ludzkość to nieudany eksperyment. Na nielicznych, którzy pomogą uprzątnąć ten bałagan, czeka Boża nagroda, na pozostałych zaś ostateczny kres, po którym wszechświat będzie oczyszczony i gotowy na nowy początek.

W dole widział pojazdy jadące od statku do budynku portu. W jednym z nich znajdował się transport. Brat Shoethai postanowił na razie nie ruszać się z miejsca. Zejdzie do biura towarowego dopiero wtedy, gdy tłum się rozproszy. Nie ma pośpiechu. Kiedy starszy Fuaso otrzyma transport i go rozprowadzi, wszyscy na planecie umrą, chociaż trochę to potrwa. Wirus czasami długo nie daje o sobie znać. Nie ma pośpiechu. Godzina zwłoki niewiele zmieni. Shoethai zachichotał, sącząc herbatę. Widząc jednak, jak pod wpływem tego chichotu zmieniło się jego odbicie w szybie, powstrzymał się i nieco odwrócił, żeby już na siebie nie patrzeć.

* * *

W swoim gabinecie w klasztorze starszy brat Noazee Fuaso oparł się o biurko, tłumiąc ból brzucha. Drugi przeszczep żołądka i jelita nie powiódł się lepiej niż pierwszy, mimo że urząd wyszukał pośród pokutników osobę o jak najbardziej podobnych tkankach. Lekarze na Trawie nie mogli zrobić nic więcej, a dodatkowo zgłaszali obiekcje, że dawca nie pozwolił swobodnie rozporządzać swoim ciałem, zanim zginął od śmiertelnej rany głowy po (jak ich poinformował starszy Fuaso) niefortunnym upadku z wieży. Na Trawie nie było obiektów do klonowania narządów, a chociaż starszy brat Noazee Fuaso dysponował wystarczającymi wpływami, by wrócić do Świątyni i poczekać, aż wyhodują dla niego jelito, Jorny Shales z Pleśni nie chciał tak długo zwlekać.

– Wydawałoby się... – warknął do siebie, wygłaszając litanie, którą powtarzał za każdym razem, gdy dokuczał mu brzuch – wydawałoby się, że Stwórca powinien odpuścić tym spośród nas, którzy wykonują Jego pracę.

– Słucham, Eminencjo? – odezwał się Yavi Foosh, który siedział przy swoim biurku obok okna. – Słucham?

– Nieważne – odburknął Starszy. – Boli mnie, to wszystko. Pewnie zaszkodziło mi coś, co zjadłem.

Ale to nie była wina jedzenia. Problem stanowiło ciało. Zawodne ciało. Pełne smrodu, bólu i zgnilizny. Pełne słabości, głupich i ohydnych

pragnień oraz brudnych wydzielin. W następnym stworzeniu nie będzie ciał, nie dla tych, którzy oczyszczą ten świat. Starszy Fuaso trzymał się kurczowo krawędzi biurka i spływał potem, myśląc o innych czasach i miejscach, czekając, aż skurcz ustanie.

Nigdy nie zdawał sobie sprawy z bólu, dopóki nie trafił do obozu. Miał wtedy na imię Jorny i w wieku piętnastu lat został przywleczony do obozu razem ze swoim wujkiem Shalesem. Jednego dnia mieszkał z nim w rybackim miasteczku, chodził do szkoły, łowił ryby na pomoście, pływał łódką, gdy pozwalała na to pogoda, i pisał miłosne liściki do Gerandry Andraws, ślicznej małej Gerry o zgrabnym tyłeczku, zastanawiając się, czy jest na tyle dorosły, żeby coś przedsięwziąć w jej sprawie, następnego zaś znalazł się w obozie, stłoczony w jednym pomieszczeniu z piętnastoma innymi mężczyznami i chłopcami, bez szkoły, dziewcząt, łowienia ryb i wujka Shalesa.

Ludzie w obozie zostali dotknięci zarazą albo byli bliskimi krewnymi zarażonych. Powiedziano mu, że wujek Shales umiera, a Jorny musi zostać w obozie, dopóki nie dowiedzą się, czy on też umrze.

Chciał się spotkać z wujkiem Shalesem, ale mu nie pozwolili. Kręcił się po okolicy, aż się dowiedział, w którym budynku przebywa wujek i w którym leży łóżku, a wtedy wieczorami zaczął podchodzić do ściany w odpowiednim miejscu. Wujek Shales uchylał okno i rozmawiali. Wujek mówił Jorny'emu, żeby ten się nie bał. Wszystko, co się dzieje, ma swój cel, przekonywał. Jorny przesiadywał skulony pod oknem, z twarzą zalaną łzami, starając się, żeby wujek nie usłyszał jego szlochu. Pewnej nocy wujek nie odpowiedział, a okno było zamknięte, więc Jorny zaczekał, aż wszyscy zasną, i wślizgnął się do budynku. W łóżku, w którym leżał wujek, teraz spoczywał jakiś potwór, częściowo złożony z bandaży, spod których wyzierało jedno oko oraz okrągła, otwarta rana w miejscu ust, rozlewający się po pościeli i cuchnący.

Później, gdy o to spytał, powiedzieli mu, że jego wujek zmarł. Myślał, że pozwolą mu odejść, ale tak się nie stało. Wciąż szukali na nim ran, takich, jakie miała większość ludzi w obozie.

Pewnego dnia w obozie nauczał przedstawiciel Pleśni. Opowiadał o zbliżającym się końcu czasów dla człowieka. O tym, że człowiek powinien odejść, ponieważ jest niczym więcej niż zgniłym mięsem i rozkładającymi się kośćmi. O tym, że nadszedł czas oczyścić wszechświat dla kolejnego pokolenia. O tym, że ci, którzy teraz umrą, powstaną z martwych w Nowym Stworzeniu, odziani w światło, piękni jak świt.

Wtedy Jorny zrozumiał, co się stało z wujkiem Shalesem. Zrzucił swoje ciało, żeby kiedyś powrócić, przyobleczony w światło, jak anioł. Jorny po raz pierwszy zapłakał na głos, na zapyłonej obozowej ulicy, na wpół ukryty za nierównymi drzewami. Zaczekał, aż członek Pleśni skończy, po czym podszedł do niego, przedstawił się i powiedział, że właśnie stracił wujka i chciałby się wydostać z obozu. Mężczyzna poklepał go po ramieniu i odrzekł, że go stamtąd wyciągnie, a Jorny może od razu przyłączyć się do Pleśni, chociaż nie ma nawet szczoteczki do zębów. Wsiedli razem do ciężarówki, gdzie chłopca dokładnie obejrzano, sprawdzając, czy nie ma żadnych ran, a gdy się okazało, że jest czysty, ukryto go pod stertą towarów i ukradkiem wywieziono do miejsca, w którym przebywało mnóstwo zdrowych dorosłych i dzieci. Chociaż tak naprawdę wcale nie musieli go ukrywać, gdyż kierownik obozu został przekupiony. Zapłacono mu za to, by przedstawiciel Pleśni mógł nauczać w obozie i przynosić pociechę umierającym.

Tamtą noc Jorny przespał. Za każdym razem, gdy zaczynał myśleć o wujku, starał się to powstrzymać. Początkowo chciał pojechać do domu, żeby pożegnać się z bliskimi, ale w końcu doszedł do wniosku, że większość z nich i tak nie żyje, więc to bez znaczenia. Wszyscy umarli i są gotowi do odrodzenia. Członkowie Pleśni wskazywali ludzi, którzy już zostali przekształceni. Tuż przed zachodem słońca czasami było widać, jak zstępują z chmur, złociste snopy ognistego światła. Później Jorny stwierdził, że to tylko opowieści i zwykłe słoneczne światło, ale było mu to obojętne. Później zrozumiał także, kim był potwór na narożnym łóżku, ale wtedy już wszystko było dla niego jasne.

Kiedy miał siedemnaście lat, Pleśń posłała go do Świątości jako akolitę, żeby się uczył, pracował i awansował w hierarchii. Został członkiem urzędu

do spraw Akceptowanej Doktryny. To Pleśń, dzięki łapówkom, skłoniła Świętość, żeby wysłała go na Trawę. Nadszedł czas, żeby Trawa dołączyła do innych ludzkich siedzib, stwierdzili członkowie Pleśni. Czas, żeby Trawa została oczyszczona.

Dlatego teraz był tutaj, gotowy rozprzestrzenić zarazę, która zabiła wszystko, co było dla niego ważne. Jeżeli wujek Shales zasłużył na zarazę, to nie było nikogo, kto by na nią nie zasługiwał. Skoro wujek Shales umarł, to wszyscy powinni umrzeć.

Otworzył oczy, zaskoczony tym, że są wilgotne, czując, jak skurcz w jego brzuchu ustępuje miejsca zwyczajowemu tępemu, kłębiącemu się bólowi. Po drugiej stronie jego biurka stał jego zwierzchnik w Świętości, starszy brat Jhamlees Zoe.

- Źle wyglądasz, Fuasoju.
- Nie, starszy bracie. To tylko lekki ból.
- Byłeś ostatnio u lekarzy w mieście?
- Kilka tygodni temu, starszy bracie.
- Co powiedzieli?
- Przeszczepy narządów nie idą tak sprawnie, jak by chcieli.
- Może czas cię odesłać do Świętości.
- Och nie, starszy bracie. Mam tutaj zbyt dużo pracy.

Starszy brat Jhamlees, wyraźnie strapiony, poruszał dłońmi, drapał się po swoim szczątkowym nosie, stawał na palcach i ponownie się opuszczał.

- Fuasoju...
- Tak, starszy bracie?
- Nie słyszałeś, żeby szerzyła się tutaj jakaś... choroba?

Fuasoju popatrzył na niego z niedowierzaniem. Choroba? Czy ten człowiek oszalał? Oczywiście, że szerzy się choroba.

- Do czego starszy brat się odnosi?
- Och, mam na myśli każdą poważną chorobę. Jakąś, no cóż.... Jakąś, eee... zarazę?
- Świętość naucza, że nie ma żadnej zarazy – odparł stanowczo brat Fuasoju. – Starszy brat z pewnością nie kwestionuje nauk Świętości?

– Ależ skąd. Chodziło mi raczej o... coś zaraźliwego, co mogłoby zagrozić klasztorowi. Ale dobrze wiedzieć, że niczego takiego nie ma. Niczego. Dbaj o siebie, Fuasoiu. Daj mi znać, gdybyś chciał wrócić... – zakończył, po czym wyszedł z pomieszczenia i oddalił się korytarzem.

No, no, zadumał się Fuasoi. Ciekawe, co go do tego skłoniło?

– Wrócił Shoethai – wyrwał go Yavi z zamyślenia. – Słyszę go na korytarzu. – Wstał i podszedł do drzwi, uchylił je i popatrzył pytająco na swojego przełożonego.

– Niech wejdzie – rzekł Fuasoi, kiwając głową. Ból brzucha minął. Drugi ból, który budzi go w nocy, zlanego potem i szlochającego, minie dopiero wtedy, gdy wszystko dobiegnie końca. Osuszył czoło jednorazową chusteczką i wbił wzrok w drzwi. – Chcę z nim porozmawiać na osobności.

Yavi wzruszył ramionami i wyszedł, mijając Shoethaia w progu.

– Wasza Eminencjo. – Shoethai padł na kolana.

– Wstań – rozkazał z rozdrażnieniem Fuasoi. – Odebrałeś to, o co prosiłem?

Shoethai pokiwał głową ze znużeniem, wstał i położył mały pakunek na biurku.

– Kiedy już mi się udało nakłonić kogoś, żeby tego poszukał. Zazwyczaj starają się udawać, że mnie nie widzą.

Starszy gestem dłoni poprosił, żeby podać mu pakunek. Otworzył go ostrożnie i wyjął paczuszkę rozmiarów pięści.

– To właśnie to? – pokornie spytał Shoethai, pragnąc, żeby znów rozwiano jego wątpliwości.

– Zgadza się. – Przełożony się uśmiechnął, zadowolony, że jego praca wreszcie może ruszyć z miejsca, a ból wkrótce ustanie. – Wirus zarazy. Zapakowany specjalnie z myślą o Trawie.

* * *

Bracia Mainoa i Lourai przybyli do Opalowego Wzgórza w samą porę, żeby przerwać kłótnię. Kiedy Persun Pollut ogłosił przybycie autolotu z Zielonymi Braćmi na pokładzie, zaszokowana Marjorie na chwilę

zamarła. Zupełnie zapomniała, że mają przybyć. Jednakże po chwili bezczynności wyszła im naprzeciw, licząc na to, że ich przyjazd chociaż tymczasowo przerwie konflikt pomiędzy Rigiem a Stellą.

Ignorując pojawienie się dwóch nieznajomych, Rigo nie przestawał krzyczeć na Stellę, wściekły, że nie uprzedziła go, że ma zamiar wziąć udział w łowach i że pojechała bez jego zgody. Chociaż Tony i Marjorie również byli rozgniewani – na oboje myśliwych, za to, że narażali życie – to czuli, że kłótnia trwa już zbyt długo. Marjorie uciszyła odgłosy bitwy, przedstawiając obu braci mężowi i córce.

Kiedy Rigo się odwrócił i podał rękę bratu Mainoa, z twarzą wciąż wykrzywioną gniewem, nagle przypomniał sobie, co mówił Marjorie o tym człowieku. Brat był krótkowzroczny i podstarzały, pulchny i na wpół łysy. Rigo od razu zrozumiał, że ośmieszył się swoimi oskarżeniami, a swoim obecnym zachowaniem wcale nie poprawia sytuacji. Potrafił się zdobyć jedynie na obcesowe przeprosiny, po których oddalił się razem ze Stellą, która podążyła za nim, tocząc pianę z ust jak małe, wściekłe zwierzątko, za wszelką cenę usiłujące kąsać. Marjorie i Tony pozostali, żeby odpokutować jego winę.

Mainoa machnął ręką, słysząc jej przeprosiny.

– We wszystkich rodzinach zdarzają się nieporozumienia, Lady Westriding. Rozumiem, że pani mąż i córka wczoraj wzięli udział w Polowaniu.

– Skąd brat o tym wie?

– Ta informacja rozprzestrzeniła się po planecie kilka chwil po tym, jak opuścili Klive – odpowiedział. – Jedna ze służących skontaktowała się ze swoją przyjaciółką za pomocą wiadofonu. Ta przyjaciółka zadzwoniła do kogoś innego, a ten ktoś do kolejnych trzech osób. Jeden z braci powiedział o tym bratu Louraiowi i mnie, przynosząc te wieści na arbaiską ulicę, którą obecnie odkopujemy. O tak, Lady Westriding, wszyscy już wiedzą.

– Właśnie o to się kłóć – wyznała niepotrzebnie. – Tony i ja martwimy się o nich.

– Nic dziwnego – zgodził się brat.

Odkąd Stella odeszła, Rillibee patrzył za nią z wyrazem zachwytu na twarzy. W końcu gwałtownie usiadł.

– Ona zamierza dalej to robić? – spytał.

– Rigo zamierza dalej to robić. Stella nie jest aż tak zdeterminowana, ale nie ze względu na argumenty ojca. Mój mąż uważa, że powinna zrezygnować. Przytacza te same powody, które ja podałam, chcąc go zniechęcić, ale twierdzi, że jego przypadek jest zupełnie inny. – Westchnęła, unosząc ręce.

– To wszystko wygląda paskudnie i jest nudne – wtrącił się Tony, pragnąc zażartować z wrogiej konfrontacji. – Wszyscy wciąż powtarzają to samo, ale nikt nie słucha.

– Słyszałem, że Rowena, Obermun bon Damfelsów, przebywa we Wspólnocie – zauważył brat Mainoa. – Podobno Obermun bon Damfelsów nie wie, że wyjechała.

– O wszystkim brat słyszał – odparła Marjorie żałośnie. – A czy wie brat, co to wszystko znaczy?

– Tak samo jak pani, Lady Westriding. Tak samo jak pani.

– Ależ proszę, niech brat mnie nazywa Marjorie. Ksiądz James pragnie się z bratem zobaczyć. Koniecznie chciał wziąć udział w naszym spotkaniu.

Brat Mainoa pokiwał głową z uśmiechem. Również bardzo mu zależało na rozmowie z którymś z księży.

Ostatecznie porozmawiał zarówno z młodym kapłanem, cichym księdzem Jamesem – bratankiem Riga, jak ich poinformowała Marjorie – jak i z księdzem Sandovalem oraz Tonym i Marjorie.

– Szczególnie chciałem pomówić z wami, proszę księży – wyznał brat Mainoa spokojnym głosem – ponieważ potrzebuję rady w pewnej filozoficznej kwestii.

– Ach tak? – odrzekł ksiądz Sandoval protekcyjnym tonem. – Zależy bratu na poznaniu religijnego punktu widzenia?

– Owszem. Chodzi o stworzenia, które nie są ludźmi. Pytanie można uznać za hipotetyczne, niemniej jest ono ważne.

Ksiądz Sandoval przekrzywił głowę.

– W sensie doktrynalnym?

– Otóż to. Nie ma żadnej wartości praktycznej, lecz jest istotne z perspektywy doktryny. Nim zadam swoje pytanie, proszę najpierw założyć, że lisy występujące na Trawie są rozumnymi istotami, które posiadają sumienie.

Tony parsknął śmiechem. Marjorie się uśmiechnęła. Ksiądz Sandoval sprawiał wrażenie tylko lekko rozbawionego.

– Mogę uznać taką podstawę dla etycznego argumentu.

Brat Mainoa pokiwał głową z satysfakcją.

– Pytanie dotyczy grzechu pierwородnego.

– Grzechu pierwородnego? – Ksiądz James wyglądał na szczerze rozbawionego. – Wśród lisów? – Popatrzył na Marjorie z uśmiechem, jakby przypomniiał sobie o ich niedawnej rozmowie na ten temat. Kobieta opuściła wzrok na talerz. Wciąż dręczyły ją jego słowa i nie była pewna, czy należy się z tego śmiać.

Brat Mainoa zauważył tę wymianę, ale udał, że niczego nie widzi.

– Niech księża pamiętają, że zgodzili się uznać te istoty za myślące. Zaakceptujcie to. Postrzegajcie je jako w pełni rozumne. Równie inteligentne jak wy sami. A teraz... proszę się nie śmiać – rzucił do Tony'ego – załóżmy, że idea grzechu pierwородnego gnębi lisy. Są mięsożercami. Ich ciała wymagają mięsa, dlatego je spożywają. Zjadają rzekotki, larwy Hippae.

– A więc brat wie! – wykrzyknęła Marjorie. – Wie brat, czym tak naprawdę są rzekotki.

– Owszem. Niewielu ludzi to wie, ale ja do nich należę. Załóżmy, że lisy również zdają sobie z tego sprawę. Zjadają je.

– I uznają to za grzech? – spytał Tony.

– Cóż, młodzieńcze, to ciekawa kwestia. Gdyby chodziło o ludzi, sam uznałbyś to za grzech. Jeśli mężczyzna albo kobieta zabijają nienarodzone dziecko, zgodnie z waszą wiarą, jak również doktryną Świętości, popełniają morderstwo, czyż nie? Larwy Hippae nie są rozumnymi istotami. Są prawie całkowicie bezmyślne. Ale kiedy stają się potężne

i tłuste, tak że nie mogą się poruszać, doznają pierwszej przemiany i zmieniają się w ogary.

– Ach. – Książd Sandoval już wiedział o tym od Marjorie i domyślał się, do czego dąży Mainoa.

– Niektórzy twierdzą, że ogary są myślącymi istotami. Z pewnością dysponują pewną inteligencją. Uważam, że są świadome. Tak czy inaczej, doświadczają przemiany i stają się czymś innym...

– Wierzchowcami. – Marjorie skinęła głową. – Widziałam je.

– Oczywiście. A jak Lady Westriding doskonale wie w swoim sercu i jak my wszyscy wiemy w naszych sercach, Hippae są istotami rozumnymi. Już wcześniej o tym dyskutowaliśmy, prawda? Zatem kiedy lisy zjadają rzekotki, zabijają młode myślącej rasy.

– Ale skoro zdają sobie z tego sprawę, to dlaczego...

– A co innego mają jeść? Wierzchowce? Hippae? Na planecie żyje jeszcze kilka innych istot, ale wszystkie są zbyt szybkie albo za małe. Trawożercy są zbyt potężni. Nie, lisy zjadają rzekotki, ponieważ jest ich wiele i są łatwo dostępne. Rzekotek jest zdecydowanie więcej niż może się zmieścić na planecie, gdyby pozwolić im wszystkim przejść przepoczwarczenie. Historia Terry uczy nas, jak koszarne są skutki religijnie narzuconej nieograniczonej reprodukcji. Ale nie w tym rzecz. Lisy ze smakiem zjadają rzekotki, ale założmy, że w ostatnich latach, odkąd mają kontakt z myślami ludzi, lisy nabrały pokory. Nauczyły się poczucia winy.

– Nie znały go, dopóki nie pojawili się ludzie?

– Założmy, że nie. Założmy, że dysponowały inteligencją, ale nie znały wstydu. Przejęły go od ludzi.

– Z pewnością od ludu, bo wśród bonów go nie zauważyłem – stwierdził Tony.

Brat Mainoa się roześmiał.

– Od ludu. Na pewno. Powiedzmy, że nauczyły się go od ludu.

– Wyznawcy naszej wiary – odezwała się Marjorie, marszcząc czoło – są zgodni, że grzech pierwotny ludzkości był... grzechem miłosnym.

– Natomiast lisy, które dowiedziały się, Bóg raczy wiedzieć, od kogo, o tej doktrynie, zastanawiają się, czy grzech pierwotny nie może mieć

podłoża pokarmowego. Załóżmy, że przyszły do mnie z tym dylematem. „Bracie Mainoa”, powiedziały, „chcemy wiedzieć, czy jesteśmy winni grzechu pierworodnego”. Cóż, odpowiedziałem im, że nie rozumiem doktryny grzechu pierworodnego, a Świątość nigdy nie przywiązywała do niej dużej wagi. „Jednakże znam kogoś, kto będzie znał odpowiedź”, odrzekłem. „Ksiądz Sandoval, jako starokatolik, powinien wiedzieć wszystko na ten temat”. Dlatego chciałyby omówić tę kwestię.

– Omówić tę kwestię?

– W pewnym sensie. Uznajmy, że znalazły jakiś sposób na komunikację z nami.

Ksiądz Sandoval zmarszczył czoło i rozparł się na swoim krześle, składając opuszki palców i wpatrując się w klatkę, którą utworzyły, jakby były w niej zamknięte jego myśli.

– Powiedziałbym im – odezwał się po dłuższej przerwie – że ich poczucie winy nie ma źródła w grzechu pierworodnym. To nie ich pierwsi rodzice popełnili ten grzech, jeśli to w ogóle jest grzech, tylko oni sami.

– Czy to istotne?

– Ależ tak. Grzech, który sami popełnili, jeżeli rzeczywiście można tu mówić o grzechu, można naprawić poprzez pokutę i uzyskać przebaczenie Boga. Jeśli są oni zdolni do pokuty. Jeśli wierzą w Boga.

Jeśli Bóg w nich wierzy, poprawiła go Marjorie w myślach. Jeżeli Bóg nie zna imion ludzkich wirusów, to czy troszczy się o lisy?

Brat Mainoa przestawił swoje naczynia, marszcząc czoło w skupieniu.

– Ale gdyby to był grzech ich... ich przodków.

– Nie chodzi tylko o to, kto popełnił grzech, same lisy, ich przodkowie czy też towarzysze, za ich zgodą czy może bez niej. Musielibyśmy spytać, jak Bóg to widzi. Żeby można było mówić o odpowiedniku grzechu pierworodnego, musielibyśmy ustalić, czy lisy kiedykolwiek żyły w stanie łaski Bożej. Czy kiedyś były pozbawione grzechu? Czy upadły, tak jak nasi pierwsi rodzice?

Brat Mainoa pokiwał głową.

– Załóżmy, że nie. Załóżmy, że ta sytuacja trwa od zawsze, odkąd ktokolwiek sięga pamięcią.

– Nie ma żadnych legend o wcześniejszych czasach? Żadnych świętych pism?

– Żadnych.

Ksiądz Sandoval się skrzywił, unosząc górną wargę i stukając paznokciem kciuka o zęby.

– Zatem możliwe, że nie ma żadnego grzechu.

– Nawet jeśli ostatnimi czasy te rozumne istoty zmagają się z wyrzutami sumienia z powodu czegoś, co zawsze robiły?

Ksiądz Sandoval wzruszył ramionami i uśmiechnął się, wznosząc ręce, jakby ku niebiosom.

– Bracie, załóżmy, że uznamy je za winne grzechu pierworodnego. Przede wszystkim, musimy ustalić, czy możliwe jest ich zbawienie, czyli czy istnieje jakikolwiek boski mechanizm, który może usunąć ich poczucie grzechu poprzez przebaczenie. Nie mogą pokutować za coś, czego nie uczyniły, więc pokuta jest dla nich bezużyteczna. Muszą polegać na jakiejś nadprzyrodzonej sile, która odkupi ich z grzechu popełnionego dawno temu przez kogoś innego. Pośród starokatolików to odkupienie dokonuje się za sprawą naszego Zbawiciela. Poprzez niego uzyskujemy nieśmiertelność. Wam, Uświęconym, odkupienie proponuje wasza organizacja. To ona gwarantuje wam nieśmiertelność.

– Uświęceni wierzą w tego samego Zbawiciela – zauważył brat Mainoa.
– Kiedyś nazywali się Jego świętymi.

– Cóż, możliwe. Jeśli nawet tak było, to ta wiara nie stanowi już istotnej części doktryny Świątości, ale nie zamierzam się o to z bratem spierać. To nie pora na dyskusję o różnych rodzajach nieśmiertelności ani naszych oczekiwaniach. Mój kościół naucza, że ci pobożni mężczyźni i kobiety, którzy chodzili po świecie przed ludzkim życiem i ofiarą Zbawiciela, zostali odkupieni przez tę ofiarę, mimo że żyli i umarli na długo przed tym, jak się dokonała. Dlatego możliwe, że lisy zostały zbawione za sprawą tej samej ofiary, chociaż żyły i umierały na innym świecie. Nie zamierzam orzekać, że to niemożliwe. Jednakże w tej sprawie ostateczny głos należy do autorytetu Kościoła. Żaden kapłan nie powinien samodzielnie odpowiadać na takie pytanie.

– Ach. – Brat Mainoa uśmiechnął się szeroko, kręcąc głową, żeby okazać zaskoczenie i rozbawienie. – To ciekawa kwestia, nieprawdaż? Właśnie na takich domysłach upływa mi czas podczas kopania i katalogowania.

Widząc nieco rozgniewane oblicze księdza Sandovala, Marjorie zwróciła się ku młodszemu z braci, usiłując zmienić bieg rozmowy.

– A czy ty, bracie Lourai, również rozważasz takie filozoficzne i etyczne kwestie?

Rillibee Chime podniósł wzrok znad sałatki i popatrzył głęboko w oczy księdzu Sandovalowi, najwyraźniej dostrzegając tam więcej, niż stary kapłan chciałby pokazać.

– Nie – odparł. – Moi ludzie przeciwko nikomu nie zgrzeszyli, a ja nigdy nie miałem okazji być winnym. Myślę o innych sprawach. Myślę o drzewach. Wspominam swoich rodziców i ich śmierć. Myślę o imieniu, które mi nadali. Zastanawiam się, dlaczego tutaj jestem.

– Czy to wszystko? – Uśmiechnęła się.

– Nie – odpowiedział, zaskakując zarówno ją, jak i siebie. – Zastanawiam się, co oznacza imię pani córki i czy jeszcze ją kiedyś zobaczę.

– Cóż – odezwał się Mainoa, unosząc brwi i poklepując młodszego kolegę po rękę. – Jest jeszcze młody. Ja również myślałem o takich sprawach, dawno temu.

Zapadła ponura cisza. Marjorie nadal starała się zmienić temat na mniej kłopotliwy.

– Bracie Mainoa, czy zna brat zwierzę żyjące na Trawie, które przypomina nietoperza? – Opisała stworzenie, które widziała w jaskini, zwracając szczególną uwagę na jego najbardziej charakterystyczną cechę, czyli rząd zębów.

– Nie tylko je znam, ale zostałem przez nie ugryziony – odpowiedział Mainoa. – Zresztą spotkało to większość ludzi, co najmniej raz. To prawdziwy krwiopijca. Wylatuje z ciemności i uderza tutaj... – przyłożył zrogowaciałą od pracy dłoń do karku, tuż przy podstawie czaszki – próbując zatopić zęby w ciele. Jako że przeszkadzają mu kości głowy, nie

robi ludziom dużej krzywdy. Najwyraźniej trawiańskie zwierzęta mają w tym miejscu lukę w czaszce. Żałosne istoty, czyż nie?

Marjorie pokiwała głową.

– Gdzie je pani widziała?

Wyjaśniła, ponownie opowiadając historię o jaskini. Rillibee i ksiądz James sprawiali wrażenie zaciekawionych, ale brat Mainoa nie wyglądał na zaskoczonego.

– Zatem niewątpliwie widziała pani także martwe osobniki. Ich ciała pokrywają posadzki jaskiń Hippae jak liście zalegające na ziemi podczas terrańskiej jesieni. Owszem, wiem o nich. Jestem jedną z niewielu osób, które zakradły się do ich jaskini i zdołały uciec. – Posłał jej spojrzenie, które świadczyło o tym, że wie więcej, niżby chciała, o motywach jej wędrówki pośród traw.

– Uciec? – powtórzyła słabo.

– Sądzę, że rzadko się to zdarza, Lady Westriding. Gdyby panią wywęszyły albo zauważyły, już by się im pani nie wymknęła. – Mówił z potoczną, ojcowską manierą.

– Jechałam konno.

– Mimo wszystko uważam, że to niezwykle. No tak, jeśli pani koń szybko panią stamtąd zabrał, to możliwe, że zostały w tyle. A może wiatr wiał we właściwym kierunku i po prostu pani nie wyczuły. A może woń konia zbiła je z tropu. Tak czy inaczej, położyła pani swoje życie na szali. – Popatrzył na nią uważnie, ze skupieniem. – Sugeruję, żeby więcej pani tego nie robiła. Z pewnością nie podczas wygaśnięcia.

– Już... już sama to postanowiłam. – Spuściła wzrok, zażenowana wykrzywioną miną Tony'ego, który popierał brata Mainoa. Czyżby brat potrafił czytać jej w myślach?

– One nie lubią, kiedy się je szpieguje? – spytał Tony.

– Nie tolerują tego. To dlatego tak mało o nich wiemy. Dlatego tak niewielu ludzi, którzy wędrują pośród traw, wraca do domu. Ale mogę wam powiedzieć, że Hippae składają jaja zimą albo wczesną wiosną. Widziałem je w głębi jaskiń późną wiosną i wiem, że już ich nie było, gdy nadeszła jesień. Kiedy słońce wystarczająco rozgrzeje jaja, migerery

wynoszą je w nasłonecznione miejsce i przekładają z boku na bok, dopóki pod wpływem ciepła skorupki nie popękają. Mniej więcej w tym samym czasie rzekotki i część ogarów, te wystarczająco wyrośnięte, wracają do jaskiń i przemieniają się w coś nowego. Hippae ich wtedy pilnują. Taki jest powód wygaśnięcia.

– Bonowie o tym nie wiedzą – odrzekła Marjorie, bardziej stwierdzając fakt, niż pytając.

– Zgadza się, nie wiedzą. Nie wiedzą, nie pozwalają sobie o tym powiedzieć, nie chcą o tym słyszeć. To dla nich temat tabu.

– Mam coś, o czym brat może nie wiedzieć – stwierdziła, po czym wstała, przyniosła rejestrator trasy i wywołała wzór, po którym przeszła w jaskini. – Podobno grzmot, który czasami słyszymy, to odgłos tańca Hippae. Oto skutek tego tańca.

Brat Mainoa popatrzył na obraz, początkowo z zaskoczeniem, potem z niedowierzaniem.

Marjorie się uśmiechnęła. Dobrze. Zatem, chociaż patrzy na nią, jakby pozjadał wszystkie rozумы, nie jest wszechwiedzący.

– To wygląda jak słowa w książkach Arbaiów, prawda, bracie? – rzucił Rillibee, niemal od niechcenia.

– Okrągłe rzekotki! – wykrzyknęła Marjorie, nagle przypominając sobie kuliste stworzenia oraz heraldyczne ogary wyrzeźbione na drzwiach w mieście Arbaiów. Wijący się wzór rzeczywiście przypominał słowa w arbaiskich książkach – albo pnącza wyrzeźbione na fasadach domów. Kiedy wspomniała o tym pozostałym, zapadła głęboka cisza pełna napięcia.

Chociaż rozmowa później zeszła na inne tematy, wliczając w to niewyjaśnione zgony na Trawie (w końcu Marjorie i Tony pamiętali o swoim zadaniu), wszyscy wracali myślą do wzoru w rejestratorze Marjorie. Brat Mainoa koniecznie chciał go pokazać jakiemuś przyjacielowi – tak powiedział, gdy się rozstawali – a Marjorie zgodziła się na pożyczenie rejestratora, wierząc, że chodzi mu o kogoś z Zielonych Braci.

Dopiero kiedy odleciał, zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że brat Mainoa widział jaskinie Hippae i zdołał uciec.

* * *

Kiedy Rigo następnego dnia wyruszył na Polowanie, ostatnie zaplanowane w Klive, Stella, która dużo myślała o Sylvanie, zażądała, żeby zabrał ją ze sobą.

– Obiecałeś, że nie będziesz narażał dzieci – przypomniała mu Marjorie.
– Rigo, obiecałeś. – Nie płakała. Nie krzyczała. Po prostu mu przypominała. Ale w jej oczach wzbierały łzy.

Rigo już zapomniał, że chciał ją doprowadzić do płaczu, zresztą płacz z powodu dzieci nie przyniósłby mu satysfakcji.

– Nie zrobiłbym tego – wyjaśnił rzeczowym głosem. – Nigdy nie rozkazałbym nikomu z was brać udziału w Polowaniu. Ale ona chce pojechać. To co innego.

– Może zginąć, Rigo.

– Każde z nas może zginąć – odrzekł spokojnie, ogarniając gestem wrogi wszechświat, który knuł, żeby ich zabić.– Ale Stelli to się nie przytrafi. Według Stavengera bon Damfelsa wypadła wprost genialnie. – Powiedział to takim tonem, jakby wyrażał uznanie. – Stavenger namawiał mnie, żebym znów ją zabrał.

– Stavenger – powtórzyła cicho Marjorie, a wypowiedziane imię kipiało jej w ustach. – Człowiek, który pobił Rowenę niemal na śmierć i próbował ją zagłodzić. Człowiek, który jeszcze się nie domyślił, że odeszła. Ten Stavenger. Dlaczego chcesz narażać Stellę ze względu na jego słowa?

– Och, matko – odezwała się Stella z nieugiętą racjonalnością, która bardzo przypominała sposób mówienia jej ojca. – Przestań! To już postanowione, jadę.

Marjorie stała na schodach prowadzących na taras i patrzyła, jak odlatują, wpatrując się w niebo, dopóki pojazd nie zmienił się w malutką kropkę i nie zniknął. Właśnie miała wrócić do środka, gdy stanął za nią Persun Pollut.

– Pani...

– Tak, Persunie.

– Przyszła wiadomość na wiadofonie. Sylvan bon Damfels pyta, czy weźmie pani udział w Polowaniu. Odpowiedziałem, że nie. Mówi, że chce panią tutaj odwiedzić dzisiaj po południu.

– Może coś wie o Rowenie – odrzekła Marjorie ze smutkiem, wciąż wpatrując się w puste niebo. – Kiedy się pojawi, przyprowadź go do mojego gabinetu.

Rzeczywiście przywiózł nowe wieści o Rowenie. Marjorie słuchała ze współczuciem, gdy opowiadał jej, że cielesne rany Roweny się goją. Więcej kłopotów sprawiały rany umysłu. Odnalezienie Dimity stało się jej obsesją. Nie potrafiła przyznać, że dziewczyna zniknęła na zawsze, a jeśli nawet nie, to jej odnalezienie może przynieść więcej cierpienia niż uznanie za umarłą.

Jednakże Sylvan nie przybył po to, żeby przekazać Marjorie te wiadomości. Wkrótce porzucił bolesny temat Roweny i Dimity i zaczął mówić o czymś innym. Minęło tak wiele czasu, odkąd Marjorie stanowiła obiekt czyichś romantycznych zamiarów, że Sylvan zdołał powiedzieć większość tego, co zaplanował, ubierając to w aluzje i poetycki język, zanim zdała sobie sprawę z wydźwięku jego słów.

– Sylvanie – odezwała się błagalnym tonem, nagle przerażona. – Przestań.

– Muszę – szepnął. – Kocham cię. Pokochałem cię w chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Kiedy tylko objąłem cię na parkiecie. Na pewno o tym wiesz. Na pewno czujesz...

Pokręciła głową, zabraniając mu dalej mówić.

– Jeśli powiesz cokolwiek więcej, Sylvanie, będę musiała zakazać ci wstępu do tego domu. Nie mogę swobodnie słuchać twoich słów. Mam rodzinę.

– Więc? Jaka to różnica?

– Może dla ciebie żadna. Ale dla mnie zasadnicza.

– Chodzi o twoją religię? O kapłanów, którzy ci towarzyszą? Pilnują cię ze względu na Riga?

– Ksiądz Sandoval? Ksiądz James? Oczywiście, że nie, Sylvanie. Pomagają mi pilnować siebie samej! – Odwróciła się od niego z irytacją. –

Jak mam ci to wytłumaczyć? Nie wyznajemy tych samych idei. Poza tym jesteś taki młody. To byłby grzech!

– Ponieważ jestem młody?

– Nie. Nie dlatego. Ponieważ jestem zamężna z kimś innym.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie na Trawie.

– Nie znacie tutaj sakramentu małżeństwa?

Wzruszył ramionami.

– Bonowie nie potrzebują małżeństw, tylko dzieci. Oczywiście właściwie poczętych dzieci, chociaż fikcja czasami z powodzeniem zastępuje fakty. W żyłach wielu bonów płynie krew pospółstwa, chociaż Obermunowie temu zaprzeczają. Sama się zastanów! Dlaczego Rowena miałaby spać po pustym łóżu przez całą wiosnę i jesień, gdy Stavenger poluje, odpoczywa po łowach albo poci się, myśląc o kolejnym Polowaniu? Nie wątpię, że Shevlok jest synem Stavengera, ale co do siebie mam pewne wątpliwości.

– Nie znacie grzechu? Nie ma niczego, czego według was nie należy robić?

Wpatrywał się w nią, jakby chciał zajrzeć pod powierzchnię tajemnicy, przed którą go postawiła.

– Myślę, że zabicie innego bona byłoby złe. Albo zmuszenie kobiety do uległości, gdyby nie była chętna. Albo skrzywdzenie dziecka. Albo zabranie czegoś z innej posiadłości. Ale nikt nie uznałby za niewłaściwe, gdybyśmy zostali kochankami.

Patrzyła na niego niemal z lękiem. W jego oczach płonęła gorliwość, wyciągał ku niej rękę. Ulotne pragnienie, żeby mu ulec, napełniło ją paniką. Kiedyś tak samo pragnęła ująć za rękę Riga. Jak może przekonać kogoś, kto ma z nią tak niewiele wspólnego, skoro sama nie może na sobie polegać?

– Twierdzisz, że mnie kochasz, Sylvanie.

– Owszem.

– Zakładam, że rozumiesz przez to coś więcej niż zwykłe pożądanie. Nie mówisz mi jedynie, że pragniesz mojego ciała. – Spłonęła rumieńcem, gdyż takich słów nie kierowała nawet do Riga. Potrafiła je wypowiedzieć

dopiero wtedy, gdy się od niego oddaliła i podeszła do okna, przez które teraz wyglądała.

– Oczywiście, że nie – wyrzucił z siebie, urażony.

– Zatem, jeśli mnie kochasz, nie będziesz więcej o tym wspominał – rzekła w stronę ogrodu. – Musisz zaakceptować to, co ci mówię. Jestem żoną Riga. Nie ma znaczenia, czy nasze małżeństwo jest udane, czy nieudane. Nie ma znaczenia, że ty i ja moglibyśmy być szczęśliwsi razem niż z kimkolwiek innym. To wszystko bez znaczenia, a tobie nie wolno o tym wspominać! W mojej religii małżeństwo jest faktem, którego nie można zmienić. Będę twoją przyjaciółką, ale nie mogę zostać twoją kochanką. Jeżeli interesuje cię religijne wytłumaczenie, poproś księdza Sandovala, żeby ci to wyjaśnił. Gdybym chociaż rozmawiała z tobą na ten temat, dawałabym sobie okazję do grzechu.

– Co mogę zrobić? – spytał błagalnie. – Co mogę zrobić?

– Nic. Wracaj do domu. Zapomnij, że tutaj przyjechałeś. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałeś; ja również spróbuję to zrobić.

Wstał, niechętnie i niepewnie; jej odmowa podziałała na niego znacznie bardziej podniecająco niż zgoda. Nie potrafił z niej zrezygnować.

– Będę twoim przyjacielem! – wykrzyknął. – A ty musisz być moją przyjaciółką. Nie wolno ci zapomnieć o zarazie. Potrzebujesz mojej pomocy!

Odwróciła się w jego stronę, krzyżując ręce na piersiach.

– Owszem, potrzebujemy cię, Sylvanie. Jeśli zgodzisz się nam pomóc. Ale pod warunkiem, że nie będziesz więcej wspominał o tej drugiej sprawie. – Zaszło jej w gardle. Pragnęła go pocieszyć, gdyż sprawiał wrażenie nieszczęśliwego, ale nie śmiała go dotknąć ani nawet się do niego uśmiechnąć.

– Niech będzie. Nie będę wspominał o tej drugiej sprawie. – Wykonał zamaszysty gest obiema rękami, jakby wszystko odrzucał, chociaż tak naprawdę z niczego nie zrezygnował. Skoro rozmowa o miłości nie była dobrym sposobem na zdobycie serca Marjorie, to spróbuje innej drogi. Nie przestanie jej adorować. Nie rozumiał religii Marjorie, ale postanowił lepiej ją poznać. Najwyraźniej tolerowano w niej wiele kwestii, które nie

były dozwolone. W przeciwnym razie ten dumny, surowy człowiek, jej mąż, nie mógłby trzymać swojej kochanki niemal na progu domu swojej żony!

Chwilowo trzymał się na dystans, omawiając kwestie, o które go pytała. Obiecał zrobić wszystko co w jego mocy, żeby dowiedzieć się, czy na Trawie panoszy się jakaś nietypowa choroba. Nie pozwolił, żeby cokolwiek więcej ją zaniepokoiło, kontrolując rozmowę z dworskim wdziękiem, widząc, jak Marjorie stopniowo się rozluźnia, opuszcza gardę, staje się tą samą kobietą, z którą tańczył. Kiedy ją zostawił, poczuł, że oczy mu wilgotnieją, i zaczął się zastanawiać, co o nim pomyślała, zaskoczony, że to dla niego takie ważne. Nie był młodzikiem, żeby przejmować się tym, co myśli kobieta! A jednak... a jednak się przejmował.

Spędzając z nim czas, Marjorie była bardziej pobudzona niż kiedykolwiek od lat, z całego serca żałując, że pojawił się w jej życiu, że się do niej odezwał albo że nie poznała go wcześniej niż Roderiga Yrariera.

To była zła myśl. Poszła do kaplicy i się pomodliła. Przez lata modlitwa przynosiła jej pociechę. Teraz tak się nie stało, chociaż spędziła na kolanach większą część godziny, poszukując pokoju. Światło nad ołtarzem lśniło czerwienią. Kiedyś uważała je za święte oko, które na nią patrzy, ale miała wrażenie, że teraz jej nie widzi. Kiedyś była dzieckiem Bożym. Teraz była tylko myślącym wirusem, stworzeniem dręczonym przez pragnienia, których nie wolno jej było zaspokoić. „Kiedy ostatnio z czegoś się śmiałam?” – zadała sobie pytanie. – „Kiedy ostatnio dobrze się bawiliśmy całą rodziną?”. Pamiętała te sytuacje; to było dawno, zbyt dawno temu, gdy Stella była jeszcze dzieckiem, zanim Rigo związał się z Eugenie.

Wyszła z budynku. Popołudniowe powietrze stało się chłodne. Z północnego wschodu dobiegał stłumiony ryk autolotu. Pośpieszyła w stronę zwirowego dziedzińca, gdzie pojazd miał wylądować, i stanęła tam, drżąc i spoglądając w górę. Potrzebowała Riga, Stelli, rodziny, chciała do kogoś należeć, znaleźć się w czyichś ramionach. Nakłoni ich, żeby coś jej dali, okazali jej uczucia. Będzie o to błagała, domagała się tego!

Pojazd powoli się zbliżał, zmieniał z kropki w piłkę, z piłki w ozdobę, jedną z tych, jakie jej rodzina wieszała na drzewach przed Bożym

Narodzeniem, kipiącą od rokokowej ekstrawagancji.

Autolot wylądował. Drzwi się otworzyły i służący, który siedział za sterami, oddalił się, nawet na nią nie spoglądając. Rigo wysiadł, zwrócony twarzą w stronę pojazdu, a następnie powoli się odwrócił i ją zauważył. Znieruchomiał z twarzą pozbawioną wyrazu. W tej niekończącej chwili, podczas której nic się nie poruszało, pierwsze straszliwe podejrzenie zmieniło się w pewność.

– Stella! – wykrzyknęła Marjorie, a jej piskliwy głos uleciał z wiatrem.

Rigo wykonał bezsilny gest, ale nic nie powiedział. Nie podszedł do niej. Wiedziała, że zbytnio się wstydzi i że nigdy nie będzie mógł powiedzieć nic, co im pomoże.

* * *

– Brat Mainoa – rzekła z naciskiem, uderzając pięścią w blat kuchennego stołu, przy którym ksiądz James i jej syn spożywali wieczorną przekąskę. – Brat Mainoa coś wie! Wędrował pośród traw. Widział różne rzeczy. Jeśli Hippae zabrały Stellę, tylko on może nam pomóc.

– Gdzie jest twój mąż? – spytał kapłan. – Marjorie, gdzie jest wujek Rigo?

– Nie wiem – odparła, zwracając na niego zrozpaczone spojrzenie. – Wszedł do domu.

– Co dokładnie powiedział?

– Że Stella odeszła. Zniknęła. Nie wróciła. Tak samo jak Janetta. Jak córka bon Damfelsów. Nie ma jej. – Z trudem łapała powietrze, jakby nie mogła napęlić płuc. – On nam w niczym nie pomoże. Jest taki sam jak oni. Jak Stavenger i Obermun bon Haunserów. Zastanawiałam się, kogo poprosić. Żadnego z bonów. Oni nie reagują nawet wtedy, gdy znikają ich własne dzieci, więc niczego nie zrobią dla Stelli. Nikogo ze Wspólnoty. Oni nic o tym nie wiedzą. Nikogo z wioski. Oni śmiertelnie boją się trawy. Żebyście widzieli twarz Sebastiana Mechanica, kiedy opowiadał mi o nocnych grzmotach. Ale ktoś mu powiedział! Jak myślicie, kto? Spytałam go. Twierdzi, że brat Mainoa. Wszystkie drogi prowadzą do brata Mainoa!

– Chcesz tam teraz polecieć, Marjorie?

– Tak. Teraz.

– Sprawdziłaś, czy jest na miejscu?

– Nie. – Załkała rozpaczliwie. – Musi tam być.

Kapłan skinął głową do Tony'ego, a następnie w stronę wiadofonu w kącie kuchni, po czym wstał, żeby objąć Marjorie. Chociaż dorównywała mu wzrostem i była od niego potężniejsza, zdołał ją podtrzymać i posadzić na krześle, gdzie nieco się uspokoiła. Tony drukrotnie wyszeptał coś w kącie pomieszczenia, aż wreszcie zerwał połączenie i wrócił do pozostałych.

– Jest na miejscu. Ten drugi też. Powiedziałem mu, co się stało. Twierdzi, że mógłby przylecieć do ciebie, ale nie ma pojazdu. Możesz go odwiedzić albo ja go przywiozę.

– Polecę. – Zerwała się na równe nogi i powiodła wkoło dzikim wzrokiem. – Byłam zła, księżu Jamesie. Nienawidziłam jej. Bóg mi ją odebrał, ponieważ...

– Marjorie! – wykrzyknął, potrząsając nią. – Przestań! Czy Bóg jest tak niesprawiedliwy, że ukarałby twoją córkę za twoje czyny? Nie pomożesz Stelli, jeśli będziesz się pogrążać w poczuciu winy. Przestań.

Ponownie z trudem wciągnęła powietrze, wyraźnie odzyskując panowanie nad sobą.

– Tak. Oczywiście. Przepraszam. Masz rację. Tony, zabierz coś do jedzenia, cokolwiek uda ci się przygotować w ciągu pięciu minut. Ty i ksiądz James będziecie głodni. Muszę przynieść swój płaszcz.

Wybiegła i usłyszeli stukot jej kroków w korytarzu. Początkowo się zataczała, ale po chwili zwolniła do stanowczego, szybkiego marszu. Wkrótce wróciła i zachowywała spokój przez cały czas podróży.

W mieście Arbaiów brat Lourai zaprowadził ich do domu, który zajmował razem z bratem Mainoa, jednego z odkopanych budynków uodpornionych na działanie pogody, wyposażonego w piecyk stojący w kącie oraz kilka mebli dopasowanych do ludzkiego ciała. Brat Lourai doprowadził ich tam w ulewie, a brat Mainoa nie dopuścił Marjorie do głosu, dopóki nie zdjęła mokrego płaszcza i nie usiadła z parującym

kubkiem. Wtedy, nie mogąc się dłużej powstrzymać, podzieliła się informacją o zniknięciu Stelli.

– Po co pani przyleciała do mnie? – spytał Mainoa.

– Przecież brat wie – odpowiedziała, jakby rzuciła mu wyzwanie. – Być może inni uwierzyli w teoretyczne dyskusje i rozważania o tym, co myślą lisy, ale ja uważam, że to była prawda, przynajmniej częściowo. Myślę, że brat wie o czymś, z czego my nie zdajemy sobie sprawy. Może o Hippae. Albo o lisach. O tym, co się dzieje pośród traw.

– Chce pani odnaleźć córkę.

– Oczywiście, że chcę odnaleźć córkę.

– Nawet jeśli będzie taka sama jak tamta poprzednia dziewczyna. Janetta bon Maukerden. Nawet jeśli będzie w takim stanie?

– Cholera – przerwał mu wściekły Tony. – Trzeba było o tym wspominać?

Brat Mainoa długo mierzył go wzrokiem.

– Oczywiście, że tak, młodzieńcze. Nie wiem, gdzie jest twoja siostra. Wiem, że zabrały ją Hippae. Nie byłem na waszym przyjęciu, ale słyszałem, że pojawiła się tam Janetta bon Maukerden. Rozmawiałem z Jandrą Jellico przez wiadofon. Słyszałem, co się dzieje, kiedy Hippae zabierają młode kobiety, a ty widziałeś to na własne oczy. Zanim wszyscy narazimy życie, robiąc coś koszmarnie niebezpiecznego, musimy ustalić, że naprawdę tego chcemy, czyż nie?

– Cicho, Tony – zganiał rozgniewanego chłopca ksiądz James. – On ma rację.

Rilibee/Lourai wstał ze swojego miejsca przy ścianie i ponownie napełnił filiżanki herbatą.

– Janetta długo u nich przebywała. Stellę zabrali dzisiaj. – W jego głosie słyhać było więcej troski, niż Marjorie się spodziewała, biorąc pod uwagę komentarze brata Mainoa.

Brat Mainoa pokiwał głową.

– Mój kolega ma rację. Istnieje nadzieja, że jeśli szybko odnajdziemy Stellę, to nie będzie... zbyt odmieniona.

– To bez znaczenia – odparł ksiądz James zmęczonym głosem. – Nawet gdybyśmy wiedzieli, że Stella będzie w takim samym stanie jak poprzednia dziewczyna, to jeśli tylko mamy najmniejszą szansę, by ją odnaleźć, musimy spróbować to zrobić. Jednakże nie za cenę pewnej śmierci. Na to nie pozwolę, Marjorie, więc zapomnij o takiej możliwości. Musimy mieć chociaż niewielką nadzieję na powodzenie.

– Brat tam był, prawda? – ponownie spytała ostro Marjorie. – Ale mimo że widział brat różne rzeczy, to Hippae brata nie zabiły.

– Miałem ochronę – odparł Mainoa. – Mogłem wyjść samotnie między trawy i swobodnie się rozejrzeć. Nie mam pojęcia, czy uda nam się uzyskać ochronę, żeby kogoś poszukać. Chyba będzie lepiej, jeśli spróbuję to zrobić samotnie.

Pokręciła głową. Nie. Nie samotnie. Ona też musi iść.

– Ruszamy natychmiast!

– Nic z tego – odrzekł. – Niedługo, ale nie natychmiast. Od czasu powrotu z Opalowego Wzgórza, razem z bratem Louraiem próbujemy rozszyfrować wzór, który nam pani pokazała. Wiele tomów arbaiskich ksiązek wprowadzono do komputerów we Wspólnocie, które są połączone z siecią na Semlingu. Brat Lourai i ja dodawaliśmy do tej bazy wzory wyrzeźbione na drzwiach i ścianach domów. Za kilka godzin powinniśmy otrzymać... informację o możliwych korelacjach.

– Czy to ważniejsze od życia Stelli? – Marjorie nie wierzyła własnym uszom.

– To może być klucz do jej ocalenia – odrzekł cierpliwie. – Jeżeli wzory w jaskini Hippae coś znaczą, może w ten sposób zdołamy do nich dotrzeć. Zaczekajcie tutaj. To potrwa najwyżej godzinę albo dwie.

Niecałą godzinę później rozległ się pisk wiadofonu i raport został przegrany na przenośny czytnik, który przygotował brat Lourai. Kiedy zapisano wszystkie informacje, brat Mainoa schował urządzenie do kieszeni i pośpiesznie wstał, wzywając pozostałych gestem.

– Przejrzałem raport. Teraz nie mamy czasu dokładnie się z nim zapoznać. Pamiętajcie, że nie zobaczymy niczego ważnego z powietrza. Musimy pójść pieszo. Wyruszymy z miejsca, z którego wyszła Stella.

Z posiadłości bon Damfelsów. – Odwrócił się w stronę drzwi, zostawiając na stole resztę dokumentów.

– Nie pieszo – sprzeciwiła się Marjorie, owijając się wilgotną peleryną. – Nie, bracie Mainoa. Stać nas na coś lepszego. Pojedziemy konno.

* * *

Rigo najpierw poszedł do domu, żeby się napić. Po kilku szklaneczkach znakomitej brandy, którą dostarczył Roald Few, zaczął szukać swojej rodziny, ale nie znalazł Marjorie, Tony'ego, ani nawet księdza Jamesa, gdy zajrzał do domu kapłanów. Ksiądz Sandoval poinformował go, że wyszli.

– Ksiądz James chyba wspominał, że lecą do wykopalisk Arbaiów. Marjorie uważa, że uzyska tam pomoc.

– Pomoc w czym? – warknął Rigo, rozgniewany, że nie poprosili, by im towarzyszył.

– W odnalezieniu Stelli – odparł stary kapłan. – A w czymże innym?

– Czy jej się wydaje, że mnie to nie interesuje? – spytał ostro Rigo. – Uważa, że mnie to nie obchodzi?

Ksiądz Sandoval nie wiedział, jak załagodzić gniew Riga.

– Nie rozmawiałem z Marjorie. Wiem tylko tyle, ile przekazał mi ksiądz James.

Rigo ponownie warknął coś niezrozumiale i zostawił starego kapłana, po czym zaczął się włóczyć bez celu po ogrodzie, klnąc pod nosem. Kiedy nogi zaniósły go do domu Eugenie, wszedł do środka, mówiąc sobie, że zostanie tylko na chwilę. Chciał być w swoim pokoju, kiedy Marjorie wróci. Ale jego żona wybrała się w daleką podróż, więc nie musiał się śpieszyć. Zaczął się zwierzać Eugenie i opowiadać jej o wielu sprawach, na co reagowała pełnymi współczucia pomrukami, tak naprawdę wcale go nie słuchając.

Nalała mu kolejnego drinka, a potem jeszcze kilka. Rigo początkowo tylko bardziej się rozzłościł, ale potem pogrążył w smutku i rozkleił. Płakał, a ona go pocieszała. W końcu trafili do letniej sypialni. Żadne z nich nie słyszało, jak autolot wrócił w środku nocy.

* * *

Ksiądz James, który w młodości uprawiał jazdę pokazową, osiodłał Millefiori, najbardziej żywiołową z klaczy, podczas gdy Marjorie, która już osiodłała Don Kichota dla siebie i El Dia Octavo dla Tony'ego, zachęciła braci Mainoa i Louraia, żeby pomogli jej przy Jej Wysokości oraz Błękitnej Gwieździe. To były pełne wdzięku i elegancji klacze, które cechowały spokój i rozsądek.

– Bracia pojedą na tych dwóch wierzchowcach. Wystarczy na nich usiąść i się odprężyć. Konie zajmą się resztą.

Bracia popatrzyli na siebie z zażenowaniem. Rilibee w dzieciństwie kilka razy siedział na grzbiecie konia albo osła, którego ktoś powoli prowadził. Brat Mainoa nie pamiętał, żeby kiedyś miał styczność z jakimkolwiek wierzchowcem. Marjorie nie miała czasu, żeby dodawać im otuchy. Stała na szczycie krótkiej drabinki i siodłała potężną pociągową klacz, Irlandzkie Dziewczę.

– Kto na niej pojedzie? – spytał Rilibee/Lourai.

– Irlandzkie Dziewczę zabierze większość naszych zapasów. A kiedy znajdziemy Stellę, ona będzie mogła na niej pojechać.

Kiedy ją znajdziemy, pomyślał ksiądz James. Raczej jeśli. Jeśli ją znajdziemy. Nie wrócił do domu, który dzielił z księdzem Sandovaliem. Nie powiedział starszemu kapłanowi, że wyrusza na tę szaloną wyprawę. Łatwiej będzie później poprosić o wybaczenie niż teraz o zgodę, której i tak by nie otrzymał.

– Muszę na chwilę udać się na prerię, zanim ruszymy – oznajmił brat Mainoa. – Muszę coś zrobić, jeśli chcemy dotrzeć do celu.

Marjorie popatrzyła na niego zniecierpliwiona. Chciała jak najszybciej wyjechać, ale zdawała sobie sprawę z czekających ich niebezpieczeństw.

– Czy to konieczne?

– Owszem, jeżeli chcemy dotrzeć do bon Damfelsów w jednym kawalku. Machnęła ręką i przygryzła wargę.

– Tylko niech brat się pośpieszy. – Potem wpatrywała się w ciemność, w której zniknął, zastanawiając się, co zamierzał.

Tony wszedł do stajni i położył na podłodze stertę przedmiotów.

– Trzeba je posegregować – oznajmił. – Mamy prowiant i trochę sprzętu. Muszę zrobić jeszcze jeden kurs.

– Księżu Jamesie? – Marjorie wskazała stertę. – Czy potrzebujemy jeszcze czegoś poza tym, co znalazł Tony? – Oparła się ze znużeniem o bok potężnej klaczy. – Tony, powiedziałeś ojcu, dokąd jedziemy?

– Nie znalazłem ojca – odrzekł. – Przeszukałem cały dom.

– Zostaw mu wiadomość na wiadofonie – poleciła Marjorie, zadowolona, że Rigo na nich nie krzyczy i nie mówi im, że nie mogą jechać. Zapewne jest z Eugenie, ale Tony'emu nie wypada go tam szukać. – Napisz, że pojechaliśmy szukać Stelli i zabraliśmy konie.

– Już to zrobiłem – odrzekł chłopak.

– Butelki z wodą – odezwał się ksiądz. – Apteczki.

– Przyniosę je.

Chłopiec odszedł, a kapłan ruszył za nim, wołając:

– Suche ubrania i coś wodoodpornego.

– A brat ma wszystko, czego potrzebuje? – spytała Louraia.

Wzruszył ramionami, z namaszczeniem, jakby chciał spytać: „któż to może wiedzieć, co będzie potrzebne”.

– Obaj zabraliśmy ubrania i buty na zmianę. Brat Mainoa przetrząsnął nasze spiżarnie i zabrał prowiant. Przydałoby nam się coś, w czym moglibyśmy gotować lub podgrzewać wodę.

– Proszę. – Wskazała miniaturową kuchenkę leżącą na stercie. – A tam leżą juki. Zanim przylecieliśmy na Trawę, Rigo i ja wierzyliśmy, że będziemy tutaj odbywać długie przejażdżki. Zabraliśmy sprzęt do obozowania, którego używaliśmy w domu podczas wyścigów wytrzymałościowych.

– W domu. Czyli gdzie?

– W Mniejszej Brytanii. A potem w Starej Hiszpanii, po naszym ślubie.

– Starej Hiszpanii? – spytał Rillibee.

– To południowo-zachodnia prowincja w Europie Zachodniej.

– Mieszka tam wielu starokatolików?

– Mnóstwo. Więcej niż gdziekolwiek indziej. W Hiszpanii Świątość nie miała szczęścia do nawróceń.

– Tam, gdzie mieszkałem, bardzo dawno temu, również żyli starokatolicy.

– Gdzie to było?

– W Nowej Hiszpanii, w Środkowoamerykańskich Prowincjach. Joshua, mój ojciec, mówił, że naszą prowincję kiedyś nazywano Meksykiem.

– Brata ojciec był starokatolikiem? Przecież brat jest jednym z Uświęconych.

Pokręcił głową.

– Jestem tym, kim był Joshua. Ale nie wiem, kim on był. Na pewno nie starokatolikiem. – Oparł się o konia, którego mu przydzieliła, naśladując jej postawę, głaszcząc zwierzę tak samo jak ona, czując, jak sztywne, lśniące włosy przesuwają mu się między palcami. – Uwielbiał drzewa. Miriam też je uwielbiała. – W jego oczach pojawiły się łzy, ale je powstrzymał. Tutaj nie widział żadnych drzew, nie licząc niewielkiego zagajnika nieopodal wykopalisk. W Świątości nie było ich wcale. Czasami miał wrażenie, że gdyby tylko mógł je zobaczyć, nie czułby się aż tak samotny.

Tony i ksiądz James wrócili z kolejnymi zapasami. Brat Mainoa, który wyglądał na zamyślonego, pomógł im posegregować przedmioty i zapakować je do juków oraz do dwóch przypominających kosze pojemników, które miała nieść Irlandzkie Dziewczę. Kiedy skończyli, przez chwilę stali i przypatrywali się sobie nawzajem, jakby się bali wykonać kolejny, nieunikniony krok. W końcu brat Mainoa przerwał ciszę.

– Pojadę przodem, jeśli nie ma pani nic przeciwko, Lady Westriding. Przynajmniej przez jakiś czas. Później to już nie będzie konieczne. Wytłumaczy mi pani, w jaki sposób się steruje?

Marjorie wyjaśniła, jak się używa wodzy i nóg, po czym przejechała kawałek u jego boku, żeby się upewnić, że zrozumiał. Wkrótce zjechali ze ścieżki w ogrodzie i zaczęli się przedzierać przez wysoką trawę, w której ledwie się nawzajem widzieli. Potem, zanim zdążyły ich poważnie rozdrażnić uderzenia grubych łodyg, wyjechali na niższą trawę i zdecydowanie skręcili na północny wschód. Jechali w milczeniu, jeśli nie

liczyć okazjonalnych pytań brata Mainoa: „Niech mi pani jeszcze raz powie, jak skrócić mocniej w prawo?”. Po dwóch albo trzech wyjaśnieniach, Mainoa przestał pytać. Przez jakiś czas towarzyszyła im cisza, którą zakłócały tylko ciche uderzenia kopyt oraz szelest traw.

Marjorie, która jechała obok brata Mainoa, miała wrażenie, że coś powiedział, więc nachyliła się bliżej.

– Co brat powiedział? – wyszeptała.

Ponownie usłyszała ten sam dźwięk. Chrapanie. Spał w siodle, a Błękitna Gwiazda spokojnie wędrowała wzdłuż zboczy wzgórz oświetlonych blaskiem gwiazd i w głąb krętych, ocienionych dolin, jakby zmierzała do domu, nadstawiając uszu, jakby słyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

* * *

Rigo obudził się ze szczypiącymi oczami i kwaśnym posmakiem w ustach. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie jest; potem, kiedy za wysokimi oknami mignął przelatujący ptak, a polna rzekotka zaczęła rytmicznie nawoływać w ogrodzie, przypomniał sobie Trawę. Miękkie, różane zasłony powiewające na porannym wietrze przekonały go, że jest w pokoju Eugenie, a nie we własnej sypialni przylegającej do sypialni Marjorie. Był sam w łóżku.

Eugenie wpadła do pokoju niczym głowa niewielkiej komety, niosąc tacę i ciągnąc za sobą wzburzony ogon powiewających włosów i jedwabnych szat.

– Dziewczyna przyjdzie dopiero później, Rigo, więc sama zaparzyłam ci kawę. – Poprawiła jego poduszkę, usiadła obok niego na łóżku i nachyliła się, żeby napełnić filiżanki. Były różowe i kształtem przypominały płatki kwiatu. Śmietanka parowała.

– Gdzie zdobyłaś śmietankę? – spytał. – Nie smakowałem jej, odkąd tutaj przylecieliśmy.

– Niech cię o to głowa nie boli. – Wydeła usta, rumieniąc się z dumy, gdy zobaczyła jego zadowolenie. – Mam swoje sposoby.

- Pytam poważnie, Eugenie. Gdzie ją zdobyłaś?
- Sebastian mi ją przynosi. Jego żona ma krowę.
- Nie wspominał ani słowem o...
- Po prostu go nie pytales. – Zamieszała kawę i podała mu filiżankę.
- Flirtowałaś z nim.

Nie zaprzeczyła, tylko uśmiechnęła się, sącząc napar.

Zaczął coś mówić o flirtowaniu, o flirtowaniu Stelli, i wtedy sobie przypomniał. Filiżanka wypadła mu z rąk i potoczyła się po grubym dywanie, a Rigo z trudem wstał z opinającej go pościeli.

- Rigo! – zaprotestowała Eugenie.
- Zapomniałem o Stelli! – wykrzyknął. – Zapomniałem!
- Nie zapomniales – odrzekła. – Powiedziałeś mi wczoraj wieczorem.
- Niech cię szlag, Eugenie. Nie o to mi chodzi. – Zostawił ją i poszedł do łazienki. Słuchała odgłosu lecącej wody i wpatrywała się w swoją filiżankę, ale już nie piła. Gdyby tylko zapomniał. Chociaż na chwilę.

Udał się do kuchni, a następnie do sypialni Marjorie i pokoju Tony'ego. Dopiero kiedy nikogo nie zastał we wszystkich trzech pomieszczeniach, postanowił sprawdzić wiadofon. Znalazł wiadomość, krótką, ale kompletną: Tony i jego matka wyjechali. Zabrali konie. Pojechali odnaleźć Stellę. Rigo zawył, na wpół z gniewu, a na wpół z bólu, aż kryształowe ozdoby poskarżyły się lodowatymi głosami. Dokąd mogła pojechać Marjorie? Tony tego nie napisał, ale istniało tylko jedno sensowne miejsce na rozpoczęcie poszukiwań. Posiadłość bon Damfelsów.

Poczerwieniał, przypominając sobie, jak poprzedniego dnia wyszedł z domu bon Damfelsów, błagając ich, żeby pomogli mu odnaleźć córkę, a Stavenger, początkowo lodowatym tonem, a następnie rozpalony gniewem, oskarżył go o niezdyscyplinowane zachowanie, niegodne Polowania. Wraz z Dimothem i Gustave'em kazali mu wracać do domu i oplakiwać córkę na osobności, zamiast o tym krzyczeć, ciotki zaś i kuzynki z rodów bon Haunserów i bon Damfelsów wytykały go palcami z pogardą. Mimo to ludzie z Klive nie brali udziału w dzisiejszym Polowaniu, a on miał tam wrócić.

W garażu zobaczył, że oba autoloty są częściowo rozebrane. Sebastian stał nad skrzynią z nowymi częściami.

– Co tu się dzieje, na Boga?

– Pański pilot powiedział, że wczoraj był jakiś problem ze stabilizatorem – wyjaśnił Sebastian, nieco wystraszony. – Oba pojazdy sprawiały nam kłopoty, a skoro dzisiaj nie ma Polowania...

Rigo powstrzymał ryk wściekłości.

– Czy mamy tutaj jakiś inny pojazd? Albo w wiosce?

– Nie, proszę pana. Ale mogę poskładać ten w ciągu godziny albo dwóch. Jeżeli musi pan wcześniej wyruszyć, to może ktoś ze Wspólnoty...

Persun Pollut zadzwonił do swojego ojca, ale Hime'a Polluta nie było w warsztacie. Nikt nie wiedział, kiedy wróci. Roald Few również był nieosiągalny. Trzy kolejne osoby, do których zadzwonił Persun, znajdowały się w porcie, dokąd przybył dawno oczekiwany transport. Persun w przesadny sposób poruszał brwiami, zdradzając rozdrażnienie.

Tymczasem Rigo wraz z upływem kolejnych godzin aż kipiał ze złości, nie potrafiąc ukryć frustracji wywołanej faktem, że Marjorie powoli, powoli zmierzała do jakiegoś miejsca, w którym mógł jej nigdy nie odnaleźć.

Kiedy ich grupa przybyła do Klive, Marjorie od razu pojechała do Bramy Sfory. To było miejsce położone najbliżej pierwszej powierzchni, jedno z dwóch znanych jej wejść do rezydencji. Ponad pierwszą powierzchnią znajdował się taras, połączony z pokojami dziennymi. Była właśnie w połowie tarasu, gdy ktoś ją zauważył i szybko do niej podszedł. Sylvan.

– Marjorie! – wydał z siebie stłumiony okrzyk rozpacz. – Co tutaj robisz?

– Przyjechałam dowiedzieć się wszystkiego co się da o Stelli. – Stała naprzeciwko niego z założonymi rękami, rozgniewana, a zarazem pokorna.

Ujął ją pod rękę i odciągnął od okien.

– Wy, Yrarierowie, naprawdę lubicie igrać z losem. Na wszystko co dla ciebie ważne, Marjorie, odsuń się od drzwi. Zejdźmy do ogrodu. – Odwrócił się, wciąż ją ciągnąc, a ona za nim podążyła, nieco niechętna i spóźniona. Tubalny okrzyk wystraszył ich oboje. Stavenger wyszedł z domu i stanął na szczycie schodów, purpurowy z wściekłości.

– Co tutaj robisz? *Fragras!* Mówię do ciebie!

Zacisnął pięści, jakby chciał ją uderzyć. Błyskawicznie przeciwstawiła mu własną frustrację i furję. Wyprostowała się i wskazała go palcem.

– Ty! – wrzasnęła. – Ty nieświęty potworze! – Jej głos zawisł w powietrzu jak zapach.

Zadrżał i się cofnął. Jej atak zaskoczył go bardziej niż jakakolwiek inna reakcja. Nie przywykł do sprzeciwu ani wyrzutów, a był tak zaślepiony, że

dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że zamierzał ją zaatakować.

– Ty grabieżco dzieci! – krzyczała. – Ty barbarzyńco! Gdzie po raz ostatni widziałeś moją córkę? – Ruszyła ku niemu po schodach, wymachując palcem, jakby to było ostrze miecza.

– Nigdy jej nie widziałem – warknął. – Nie przyglądałem się.

– Jak Mistrz Polowania może nie śledzić jego przebiegu?! – zawołała. – Jesteście tak zniewoleni przez swoje wierzchowce, że nie stać was na jakąkolwiek wrażliwość?

Jego twarz jeszcze bardziej pociemniała, a szyja się rozděła. Z wytrzeszczonymi oczami zawył coś niezrozumiale i ruszył ku niej jak olbrzym. Sylvan chwycił ją od tyłu i odciągnął.

– Uciekaj! – syknął przeciągle, z wyraźnym lękiem. – On cię zabije, jeśli będzie miał ku temu okazję!

Ściągnął ją po schodach i poprowadził Drogą Ogarów przez Bramę Sfory, po czym zatrzasnął za nią ciężkie wrota, przez które wciąż dobiegały pozbawione treści wściekłe wrzaski Stavengera.

Poblady Sylvan oparł się o bramę.

– Podejrzałem, że będziesz chciała się dowiedzieć. Dlatego dowiedziałem się dla ciebie. Spytałem Shevloka i kilku innych. Prawdę mówiąc, nie widzą zbyt wiele w trakcie Polowania, ale to się wydarzyło w Zagajniku Darenfeldów, tak samo jak w przypadku Dimity oraz Janetty. Tam widziano je po raz ostatni.

– Pokaż mi! – rozkazała, wskazując na siodło Don Kichota. – Natychmiast!

– Marjorie...

– Natychmiast! Możesz pojechać na Irlandzkim Dziewczęciu. Jest mniejsza od tych potworów, których zazwyczaj dosiadacie. – Po czym, widząc, jak wpatruje się pustym wzrokiem w wielką klacz, dodała: – Postaw lewą stopę w strzemieniu, to tamta metalowa rzecz. Złap za siodło i wciągnij się na grzbiet; ona nie wystawi dla ciebie nogi. Teraz chwyć wodze, tak jak ja. Nie musisz nic z nimi robić. Ona podąży za nami. A teraz pokaż mi, gdzie to jest!

Wskazał w lewo i wszyscy pojechali w tym kierunku. Nie zdołali się zbyt oddalić, gdy nagle usłyszeli, że brama otwiera się z hukiem, i zobaczyli Stavengera, który coś do nich wył. Przezornie zwrócili wzrok przed siebie i wkrótce wjechali w wyższą trawę, która ich ukryła.

Sylvan siedział bardzo cicho na grzbiecie konia, od czasu do czasu wyciągając do przodu stopy, jakby szukał miejsc na palce, do czego przywykł, jeżdżąc na Hippae.

– Wyprostuj się – pouczyła go oschle Marjorie. – Ona nie ma żadnych kolców, na które mógłbyś się nadziać. Pochyl się. Pogłaszcz ją, ona to lubi.

Usłuchał, powoli, niemal lękliwie, stopniowo się odprężając.

– To zupełnie inne zwierzę, prawda? – powiedział brat Mainoa. – Chociaż wszystko mnie boli od siedzenia w tej nietypowej pozycji, wcale się nie boję.

– Racja – zgodził się Sylvan z roztargnieniem. – Racja. Ale podczas Polowania tak naprawdę też się nie boimy. – Rozejrzał się, jakby szukał jakichś charakterystycznych miejsc. – Tam. – Wskazał do przodu i nieco w prawo. – To Ogród Oceaniczny. Zazwyczaj objeżdżamy go z drugiej strony, ale tędy też dotrzemy do naszego celu. – Pokazał Marjorie drogę, a ona pojechała przodem, pozwalając mu na bieżąco korygować trasę.

– Dlaczego pański ojciec był taki wściekły? – spytał Tony.

– Z powodu twojego ojca. Kiedy wczoraj wieczorem wrócili z Polowania, Roderigo domagał się, żeby pomogli mu szukać twojej siostry. Tak się nie robi. Kiedy ktoś znika, wszyscy udają, że niczego nie zauważyli. Nikt nie prowadzi poszukiwań. Nikt nie domaga się pomocy od innych. Ojciec – mój ojciec – nie potrafił się opanować. Jest rozszalały już od wczoraj. Zobaczyłem, jak go prowokujecie, a potem twoja matka oskarżyła go... – Sylvan szeroko otworzył oczy i pomasaował się po gardle. – Jak mogę...?

– W okolicy nie ma Hippae – szepnął brat Mainoa. – Przynajmniej na razie. Myślę, że nasi... przewodnicy je odstraszyli. A może udały się po wsparcie.

– Przewodnicy?

– Nie rozmawiajmy o tym. Może później, ale teraz nie pora. Lepiej nie myśleć o jedzeniu, gdy wokół nas panuje głód.

Sylvan znów zaczął masować się po gardle i rozglądać z niedowierzaniem. Dopiero kiedy pokonali kilka mil poprzez trawy, nieco się uspokoił, chociaż od czasu do czasu wprawiał Marjorie w zakłopotanie, stając na grzbiecie Irlandzkiego Dziewczęcia.

– Muszę wstać, żeby coś widzieć – tłumaczył, machając ręką w stronę dalekich miejsc, których pozostali nie potrafili dostrzec. – Gdzieś tam znajduje się grań prowadząca do zagajnika.

Skręcili we wskazanym kierunku, a gdy dotarli do niższej odnogi krętego grzbietu, podążyli nią, wspinając się coraz wyżej. Z góry ujrzeli dolinę usianą zagajnikami. Sylvan wskazał największy z nich.

– Zagajnik Darenfeldów – wyjaśnił.

– Skąd taka nazwa? – spytał Rillibee/Lourai. – Nie ma bonów o takim nazwisku.

– Ale byli – odrzekł Sylvan. – Pierwotnie było jednaście rodów. Posiadłość Darenfeldów przestała istnieć, a wszyscy członkowie tej rodziny zginęli w pożarze trawy kilka pokoleń temu. Inni spłonęli wcześniej.

– Pożarze trawy? – zdziwiła się Marjorie. – Nie widzieliśmy żadnych pożarów od chwili przybycia.

– Nie byliście tutaj w lecie. – Sylvan popatrzył w stronę horyzontu. – W lecie niemal nie pada deszcz, ale uderzają pioruny. Pożary nadchodzą jak potężne fale, pożerając trawę, posyłając kłęby dymu aż pod chmury. Czasami zdarzają się także wiosną, ale są mniej rozległe, ponieważ trawa jest wtedy świeża i pełna wilgoci...

– Taki letni pożar doprowadził do zagłady posiadłości Darenfeldów?

– To było, nim zaczęto zakładać trawiaste ogrody – zauważył brat Mainoa. – Mieszkańcy klasztoru zaprojektowali ogrody w taki sposób, by powstrzymywały płomienie. Wyznaczone strefy i rzędy niskich traw tłą się, ale nie płoną. Zatrzymują pożar, który okrąża posiadłość. Tak samo zrobiliśmy w klasztorze, żeby go ochronić, jak również w Opalowym Wzgórzu i innych posiadłościach. Wielkie ogrody w Klive nie powstały tylko dla ich piękna.

– To prawda – przytaknął Sylvan. – Żaden z bonów nie zadałby sobie tyle trudu tylko dla estetyki.

Marjorie popędziła Don Kichota w stronę zagajnika w dole. Wyglądał mrocznie i tajemniczo pośród miękkich traw, tym bardziej, im bliżej podjeżdżali. Niewielkie kałuże wciągały kopyta koni. Potężne pnie wznosiły się wśród ponurych cieni, a poskręcane korzenie podtrzymywały potworne kolosy, których najniższe gałęzie dorównywały wielkością zwyczajnym drzewom.

Rillibee nachylił się w stronę zagajnika, niczym w stronę kochanki.

– Co teraz? – spytał Tony.

– Myśliwi się tutaj pojawili i odjechali. Powinniśmy natrafić na szlak wydeptany pośród traw w miejscu, w którym przeszła duża grupa Hippae. Potem powinniśmy znaleźć kolejny ślad, pozostawiony przez pojedynczego Hippae.

– Jeśli tędy szedł – odrzekł brat Mainoa. – Chociaż nazywa się to zagajnikiem, tak naprawdę to mały las. Jak myślisz, Sylvanie? Pół mili czy więcej?

Sylvan pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie znamy się na szacowaniu odległości. Podczas Polowania to nie ma większego znaczenia. Mierzymy Polowania w godzinach, a nie milach, kilometrach czy stadionach, jak to robią na Pokucie.

– Z grani wyglądało na to, że ma około pół mili średnicy – zgodził się ksiądz James. – Wystarczy, żeby ukryć dowolną liczbę Hippae.

– Jeśli nie znajdziemy szlaku wychodzącego z zagajnika, to zaczniemy szukać w środku, między drzewami – odparła Marjorie rozpaczliwie. Zwracała się do nich kolejno, szukając poparcia. Brat Mainoa siedział nieruchomo na swoim koniu. Miał czujny wyraz twarzy, jakby usłyszał coś, czego nie powinien słyszeć. – Bracie Mainoa? Bracie?

Uniósł brwi, po czym się do niej uśmiechnął.

– Oczywiście. Oczywiście. Najpierw poszukajmy szlaku.

Bez trudu znaleźli szlak, którym nadjechali myśliwi, podobnie jak ten, którym opuścili zagajnik. Zgniecione trawy wskazywały na to, że ostatnio przejechało tędy kilka Polowań. Niektóre łodygi były całkowicie wyschnięte, inne zostały niedawno złamane i wciąż wyciekał z nich płyn.

Brat Mainoa przejechał tym szerokim szlakiem, a następnie wstrzymał Błękitną Gwiazdę i wskazał w lewo. Wszyscy zauważyli wąską ścieżkę wijącą się pośród traw. Ksiądz James podniósł złamane źdźbło i wręczył je Marjorie. Wciąż było wilgotne.

– No tak – stwierdziła. – No tak.

– Jeśli zabrał ją Hippae – odezwał się ostrożnie i bez emocji Tony – to jak mamy ją odzyskać?

– Ukryjemy się – odparła. – Zaczekamy, aż zostawi ją samą, a wtedy ją wykradniemy.

– Szkoda, że nie mamy broni – zauważył ksiądz James.

– Racja – przyznała. – Ale teraz nic na to nie poradzimy.

Pokręcił głową.

– Miejmy nadzieję, że będziemy musieli się zmierzyć tylko z jedną z tych bestii.

* * *

Rigo przez cały ranek kipiał ze złości, czekając, aż Sebastian poskłada autolot, co trwało dłużej, niż przypuszczał. Nowe części, chociaż właściwie ponumerowane, nie pasowały idealnie. Sebastian musiał je zabrać do swojego warsztatu w wiosce, żeby, jak to ujął, „trochę je przyciąć”.

Po południu pierwszy z pojazdów był gotowy i sprawdzony. Z Sebastianem za sterami i Persunem Pollutem jako pomocnikiem, Rigo wyruszył do Klive. Podróż trwała nieco ponad godzinę. Przelecieli nad południowym krańcem bagiennego lasu, pozostawiając po lewej stronie zatłoczoną Wspólnotę. Wylądowali na żwirowym dziedzińcu za pierwszą powierzchnią, a następnie przecięli ją pieszo, kierując się ku tarasowi Klive.

– Wasza Ekscelencjo – zawołał ktoś cicho zza balustrady. – Wasza Ekscelencjo!

Rigo się odwrócił, i zaskoczony zobaczył, że woła go jedna z córek bon Damfelsów. Ruszył w jej stronę ze zniecierpliwieniem, chcąc jak najszybciej udać się do posiadłości, żeby sprawdzić, czy jest tam Marjorie.

– Odjechali – powiedziała dziewczyna. – Roderigo Yrarier, pańska żona i syn oraz Zieloni Bracia odjechali.

– Dokąd? – odburknął. – Dokąd?

Pokręciła głową, a po jej policzkach nagle popłynęły łzy.

– Nie wolno panu tam wchodzić. Ojciec, Obermun, wpadł w szal. Zabije pana. Już prawie zabił Emmy. Pańska żona przyjechała, żeby zapytać, gdzie zaginęła państwa córka. Sylvan jej powiedział. Dowiedział się od Shevloka i przekazał tę informację pańskiej żonie. Pojechał razem z nimi. Od tamtej pory ojciec nie przestaje wrzeszczeć. Emmy usiłowała go uspokoić, ale ją pobił...

Z domu dobiegł wściekły ryk i dziewczyna uciekła wzdłuż budynku. Rigo się zatrzymał i postawił jedną stopę na schodku, ale wtedy poczuł, że ktoś stanowczo go odciąga. Sebastian chwycił go za jedną rękę, a Persun za drugą. Koniecznie chcieli go zabrać z Klive, choćby mieli to zrobić siłą.

– Niech pan tam nie wchodzi. On nie usłucha głosu rozsądku. Niech pan tylko posłucha. Ryczy jak byk!

– Pollut ma rację. On panu nie pomoże, nie teraz. Musi pan zaczekać. Zaczekać, aż się uspokoi. Aż będzie pan mógł porozmawiać z kimś innym.

– Podczas Polowania – zasugerował Sebastian. – Jutro. Podczas Polowania u bon Laupmonów. – Odciągnęli Riga, który opierał się, ale nie protestował, jakby w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że mówią z sensem, chociaż jego ciało nie miało ochoty tego przyznać.

* * *

Konie jechały szlakiem jeden za drugim; jeźdźcy początkowo zwracali baczność na każdy dźwięk, ale stopniowo, wraz z pokonywaniem kolejnych mil, stali się ospali i nieuważni. Mainoa i Lourai walczyli z niewygodami, obolałymi stawami i poślądkami. Marjorie myślała o Rigu, a Sylvan o Marjorie. Ksiądz James modlił się w nadziei, że nie postąpił niewłaściwie, a Tony rozmyślał o pewnej dziewczynie, której nie widział od bardzo dawna. Uderzenia ździebeł trawy ich hipnotyzowały. Nawet Marjorie, która zazwyczaj była wyczulona na wszystkie niuanse

w zachowaniu wierzchowców, nie zauważyła, że dzieje się z nimi to samo co z Don Kichotem, gdy oddalali się od jaskini Hippae. Konie postawiły uszy i szły pewnie, jakby wracały do domu. Jakby ktoś do nich przemawiał. Jeźdźcy tego nie komentowali. Jechali ze słońcem za plecami, w milczeniu – towarzyszył im jedynie odgłos kopyt.

Świat przesunął słońce na środek nieba, a potem znów ku horyzontowi. Blask padał im na twarze. Zatrzymali się raz albo dwa, żeby się napić i załatwić potrzeby, ale tajemniczy kręty szlak skłaniał ich do jak najkrótszych postojów. Pierwsze wycie rozległo się za nimi, daleko po prawej stronie.

Marjorie zeszywniała. Już wcześniej słyszała ten dźwięk i towarzyszyła mu groza.

– Hippae – stwierdził Sylvan bezsilnie. – Wiedzą, że tu jesteśmy?

– Jeszcze nie – odparł brat Mainoa.

– Skąd brat wie? – spytała ostro Marjorie.

– Prosiła mnie pani o pomoc, Lady Westriding, więc jej pani udzielam. Na razie nie będziemy rozmawiać o moich metodach. Mówię zgodnie z prawdą, że Hippae nie wiedzą o naszej obecności. Wkrótce to się zmieni, ale jeszcze nie teraz. Proponuję przyspieszyć.

Tony wyprostował się w siodle i kolanami popędził El Dia Octavo do galopu. Pomknął wąskim szlakiem, a pozostali podążyli za nim. Bracia Mainoa i Lourai z trudem trzymali się siodła, stękając z wysiłku.

– Napierajcie w dół stopami! – zawołała Marjorie. – Plecy prosto. To nie jest trudniejsze od siedzenia na fotelu bujanym.

Brat Mainoa zaczął napierać stopami i kurczowo trzymał się siodła. Po jakimś czasie kołysanie stało się przewidywalne i jego ciało przywykło. Rilibee/Lourai szybciej się przyzwyczaił. Ruch wprawiał go w euforię. Kłosa traw chłostały go po twarzy, a on szeroko się uśmiechał, pokazując nasiona tkwiące między zębami.

Znów wycie za ich plecami, zarówno po prawej, jak i lewej stronie.

– Wie brat, dokąd jedziemy? – rzuciła przez ramię Marjorie.

– Do bagienego lasu – odpowiedział Mainoa, stękając. – To tuż przed nami.

Kiedy tylko to powiedział, wyjechali spomiędzy wysokich traw i zobaczyli przed sobą las, znacznie oddalony i ciągnący się w obu kierunkach jak okiem sięgnąć. Szlak, którym jechali, prowadził do lasu, prosto jak wystrzelona strzała, wymierzona w skalisty pagórek wznoszący się ponad dalekimi drzewami. Trawy porastające zagłębienie sięgały tylko nieco powyżej brzuchów koni.

– Czy konie potrafią biec szybciej? – spytał błagalnie Mainoa. – Jeśli tak, to powinny to zrobić.

Don Kichot i El Dia Octavo jednocześnie doszły do tego samego wniosku – albo ktoś dał im to do zrozumienia. Nie czekały na żaden sygnał ze strony jeźdźców, tylko popędziły w dół zbocza z powiewającymi ogonami i uszami przyciśniętymi do łbów. Klacze pognały ich śladem. Irlandzkie Dziewczę z hukiem kopyt mknęła na końcu. Mainoa miał wrażenie, że znalazł się w środku jakiegoś koszmaru. Wiedział, że spadnie, a jednak tego nie zrobił. Wiedział, że nie pozostanie w siodle, a jednak pozostał. Jego koń najwyraźniej za wszelką cenę chciał go utrzymać na grzbiecie, a Mainoa to rozumiał, pomimo paniki wywołanej wyciem dobiegającym z miejsca, które przed chwilą opuścili. Nie mógł zaryzykować spojrzenia w tył, żeby sprawdzić, jak blisko znajdują się Hippae.

Ale Sylvan mógł to zrobić. Ponad bębnieniem kopyt usłyszał dziki wrzask rozlegający się na grani. Obrócił się na szerokim końskim grzbiecie, mocno przytrzymując się jednego z dużych juków, które dźwigała Irlandzkie Dziewczę. Tuzin olbrzymich bestii paradował na wzniesieniu. Wokół ich nóg skakało i jazgotało potężne stado ogarów. Jakby w odpowiedzi na jakiś sygnał, którego Sylvan nie zauważył, stwory rzuciły się w dół zbocza za uciekającymi końmi. Nie w ciszy, jak podczas polowania na lisa, ale przy wtórze przenikliwej wrzawy, od której pękały bębenki.

Sylvan się odwrócił. Pozostałe konie biegly daleko przed nim. Jego potężny wierzchowiec nie był tak rączy. Mężczyzna położył się na szyi klaczy i wyszeptał:

– Daj z siebie wszystko, moja pani. Obawiam się, że w przeciwnym razie oboje staniemy się ich posiłkiem.

Obejrzał się na ścigające ich stwory. Olbrzymi fioletowo nakrapiany Hippae prowadził szarżę z szeroko rozwartym pyskiem i rozszerzonymi nozdrzami. Nagle jakby się potknął w trawie, potem ponownie. W końcu upadł, migając białkami oczu. Jakaś fala przemknęła po powierzchni trawy i usunęła się w bok.

Kolejne potwory zwolniły i zaczęły niepewnie stawać dęba.

– Biegnij! – zawołał do swojej klaczy Sylvan. – Biegnij, pani. Najszybciej jak potrafisz.

Irlandzkie Dziewczę go usłuchała. Jednak odległość między nią a pozostałymi końmi się zwiększyła. Klacz robiła co mogła, żeby zmniejszyć stratę, ale zostawała coraz bardziej z tyłu.

Hippae ponownie zawyły i rzuciły się w pogoń. Po chwili pierwszy z nich potknął się i upadł. Powierzchnię trawy znów przeszła fala, która usunęła się potworom z drogi.

El Dia Octavo dotarł do lasu. Don Kichot biegł tuż za nim. Millefiori była następna. Potem Błękitna Gwiazda i Jej Wysokość. Jeźdźcy zeskoczyli z siodła i czekali na Sylvana.

Jeden z ogarów zrównał się z Irlandzkim Dziewczęciem; jego łeb przecinał trawę, a obnażone kły przygotowywały się do złapania nóg biegnącego konia. Nagle trawa za ogarem zadrżała i coś zbudowanego ze lśniących kolców pochwyliło zwierzątko. Sylvan nie dostrzegł, co to było, ale usłyszał wrzask ogara. Podobnie jak reszta stada. Odgłosy wycia rozlegały się coraz dalej z tyłu. Potężna klacz stękała. Miała wilgotną i śliską skórę. Toczyła pianę z pyska.

– Grzeczna dziewczynka – wyszeptał Sylvan. – Grzeczna dziewczynka.

W końcu dołączył do pozostałych. Jeszcze raz się obejrzał i zobaczył fale ożywiające trawę. Coś się tam poruszało. Coś, z czego stado Hippae zdawało sobie sprawę, gdyż trzymało się z dala, krążąc i agresywnie pokrzykując, ale nie podchodząc bliżej.

Irlandzkie Dziewczę stało ze spuszczoną głową.

– Ach, Dziewczę, Dziewczę – powtarzała Marjorie. – Biedny koniku. Nie jesteś do tego stworzona, ale masz w sobie tyle odwagi! Jesteś cudowna. – Mocno obejmowała klacz, która w końcu uniosła łeb.

– Dokąd teraz? – spytał Tony. – Chyba nie odważymy się tam wjechać. – Wskazał mroczne drzewa, między którymi migotała woda.

– Owszem, właśnie tam pojedziemy – odpowiedział brat Mainoa. – Za mną.

– Czy brat już kiedyś tam był?

– Nie.

– Zatem...

– Jak również nigdy wcześniej nie jechałem konno poprzez trawy. A jednak tutaj dotarliśmy. Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Ktoś nas prowadzi. Ochrania.

– Kto?

– Nie powiem, dopóki ta wiedza będzie wam zagrażać. Te istoty – machnął ręką w stronę Hippae – potrafią czytać wam w myślach. Musimy wjechać do lasu. Dzieląca nas bariera jest pozorna. Jeżeli zbyt długo tutaj pozostaniemy, Hippae mogą to zrozumieć.

Tony popatrzył na matkę, jakby pytał ją o zgodę. Ksiądz James już dosiadał konia. Brat Mainoa westchnął i także się podciągnął, z trudem zarzucając nogę na grzbiet wierzchowca. Brat Lourai mu pomógł. Sylvan wciąż siedział na Irlandzkim Dziewczęciu.

– Jedziemy – poleciła Marjorie.

Błękitna Gwiazda weszła w płytką wodę i powędrowała między wysokimi pniami, poprzez gęstwinę roślin przypominających sitowie. Pozostali ruszyli jej śladem. Klacz kluczyła i gwałtownie zmieniała kierunek.

– Idźcie po jej śladach – wychrypiał brat Mainoa. – Ona omija niebezpieczne miejsca.

Tak więc, rozchlapując wodę, powoli kroczyli za Błękitną Gwiazdą, która podążała za nieznanym przewodnikiem.

Kiedy zagłębili się w bagna na tyle daleko, że już nie widzieli prerii, Błękitna Gwiazda przestała kluczyć i poprowadziła ich prosto wzdłuż

płytkiego kanału ciągnącego się pomiędzy nieprzeniknionymi ścianami drzew. Wydawało się, że to wodniste przejście ma długość wielu mil. W końcu w bezkresnym tunelu pojawiła się luka i klacz z trudem wspięła się po niskim brzegu na twardy ląd.

– Wyspa? – spytała Marjorie.

– Bezpieczeństwo – odrzekł brat Mainoa z westchnieniem, a następnie na wpół ześlizgnął się, a na wpół spadł z konia i legł na ziemi.

– Jak to? Bezpieczeństwo?

– Hippae tutaj nie przyjdą. Podobnie jak ogary. – Mówił w pozycji leżącej, spoglądając między drzewami na dalekie błyski słonecznego światła, które przypominały cekiny albo klejnoty. Zamykały mu się oczy.

– Jeden przyszedł – zaprzeczyła Marjorie. – Widzieliśmy szlak.

– Tylko do bagna – przyznał. – A później być może powędrował wzdłuż skraju... – Otworzył usta, spomiędzy których wydobył się cichy odgłos. Chrapanie.

– Jest stary – stwierdził Rillibee buntowniczo, jakby oskarżyli staruszkę o niewłaściwe zachowanie. – Często tak zasypia.

Sylvan zsiadł z konia.

– Co mam dla niej zrobić? – spytał Marjorie, głaszcząc klacz.

– Wytrzym ją czymś – odrzekła Marjorie. – Na przykład kępą trawy, garścią liści albo czymkolwiek. Jeżeli okaże się, że zostaniemy tutaj dłużej, zdejmij siodło.

– Nie możemy pójść dalej, dopóki on się nie obudzi – zauważył Tony, wskazując leżącą sylwetkę brata Mainoa.

– I tak nie możemy pójść dalej, póki konie nieco nie odpoczną. – Marjorie westchnęła. – Miały nie lada przeprawę. Dzień i pół nocy nieprzerwanego marszu, a potem szaleńczy galop. Nie dawaj jej za dużo wody – ostrzegła Sylvana. – Pospaceruj z nią, dopóki nie ochłonie, a dopiero potem ją napój.

– Dlaczego? – spytał Sylvan. – Czy to by ją zabiło?

– Mogłaby się rozchorować – odpowiedział Tony, spoglądając w górę, tak samo jak Mainoa przed zaśnięciem. Słoneczne cekiny, bardzo wysoko.

I coś jeszcze. Coś, co przesłoniło słońce. Tony wskazał palcem. – Co tam jest?

Sylvan się obejrzał.

– Gdzie?

– Na szczycie tego drzewa, teraz przebiega na tamto...

– To dosyć rozległa wyspa – stwierdził ksiądz James, wyłaniając się spomiędzy drzew i dołączając do grupy. – Za tymi drzewami znajduje się trawiasta polana. Konie mogą się tam najeść do syta.

Rillibee/Lourai zdjął siodła z Błękitnej Gwiazdy i Jej Wysokości, po czym ułożył je na korzeniach jednego z drzew.

– Słońce się obniżyło. Niedługo zrobi się ciemno. Za ciemno, żeby dalej jechać.

– Jak długo będzie spał brat Mainoa?

Lourai wzruszył ramionami.

– Tak długo, jak będzie musiał. Wstał w środku nocy i od tamtej pory większość czasu spędził w siodle. Mówiłem, że to stary człowiek.

Marjorie pokiwała głową.

– No dobrze. Skoro on odpoczywa, to my też tak zrobimy. Tony?

Chłopiec wskazał palcem w górę.

– Właśnie próbowaliśmy ustalić...

– Lepiej ustalcie, czy jest tutaj jakieś drewno na opał. Póki jeszcze jest jasno. Sylvanie, pomóż mu, proszę. Potrzebujemy drewna na całą noc. Proszę księdza, niech ksiądz znajdzie jak najczystsza wodę i napełni to wiadro...

– A co ze mną? – spytał brat Lourai.

– My będziemy kucharzami – odrzekła Marjorie, grzebiąc w pojemnych koszach, które niosła Irlandzkie Dziewczę. – Kiedy się najemy, porozmawiamy o tym, co robić dalej.

Tony i Sylvan powędrowali w stronę najbliższych zarośli. Tony wyjął swój laserowy nóż i uciął całe naręcze suchych gałęzi.

– Co to jest?! – zawołał Sylvan.

Tony wręczył mu nóż i wyjaśnił.

– To coś nowego? – spytał Sylvan.

– Oczywiście, że nie. Używa się ich od zawsze.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – odparł zaskoczony Sylvan. – Ciekawe dlaczego.

– Pewnie panu nie pozwolili – odrzekł Tony. – Mógłby posłużyć jako poręczna broń.

– Rzeczywiście. – Sylvan obracał urządzenie w dłoniach. W końcu westchnął, oddał nóż Tony'emu i skupił się na noszeniu drewna, ale wciąż z zachwytem rozmyślał o nożu. Dlaczego nie wiedział o czymś takim?

Brat Mainoa obudził się, kiedy posiłek był gotowy, i chętnie przerwał odpoczynek, żeby dołączyć do pozostałych przy kolacji. Kiedy się najedli, umyli naczynia i schowali je do juków, po czym usiedli wokół ogniska.

– A więc, bracie Mainoa – odezwała się w końcu Marjorie – dotarliśmy aż tutaj.

Pokiwał głową.

– Czy jesteśmy bliżej Stelli niż wtedy, kiedy wyruszaliśmy?

– Szlak prowadził wzdłuż bagienego lasu – odpowiedział. – Niestety, poza jego granicami, więc nie mogliśmy tam zostać.

– Jutro?

– Być może. Jeśli Hippae odeszły. W nocy niczego byśmy nie zobaczyli.

Marjorie westchnęła.

– Matko, to bez różnicy – rzekł Tony. – Konie i tak nie uszłyby dużo dalej.

Wciąż patrzyła na brata Mainoa.

– Brat o czymś wie – stwierdziła. – Jestem pewna, że o wielu rzeczach nam brat nie mówi.

Wzruszył ramionami.

– Tym, co wiem, a przynajmniej wydaje mi się, że wiem, na razie nie mogę się z wami podzielić. Może jutro.

– To brat o tym zdecyduje? – spytała, przeszywając go wzrokiem.

– Nie – przyznał. – Nie, to nie będzie moja decyzja.

– Czego ten... ktoś... chce? Opiekować się nami?

Pokiwał głową.

– O czym wy rozmawiacie? – spytał Tony.

– No właśnie, Marjorie – dodał Sylvan. – O czym wy...?

Ksiądz James posłał Marjorie przenikliwe spojrzenie.

– Dajcie spokój, Sylvanie, Tony. Nie teraz. Niewykluczone, że brat Mainoa już wykorzystał swoją znajomość z... tymi na górze.

Mainoa się uśmiechnął.

– Dobrze powiedziane, proszę księdza. Jeśli pani to zniesie, Lady Westriding, to proponuję odpocząć. A najlepiej się przespać. Tutaj jesteśmy bezpieczni.

Marjorie nie pragnęła bezpieczeństwa. Gdyby jej życie było zagrożone, przynajmniej czułaby, że coś robi. Spanie w bezpiecznym miejscu oznaczało, że traci czas, podczas gdy Stella jest w opałach, jednak nie miała żadnych argumentów. Było już zbyt ciemno, żeby odnaleźć szlak. Wstała od ogniska i ruszyła między drzewami do trawiastej polany, na której pasły się konie. Wśród nich szukała pociechy, jakiej nie otrzymała od swoich towarzyszy. Dopiero kiedy oparła się o bok Don Kichota, zrozumiała, jak rozpaczliwie jest zmęczona.

Pozostali przygotowywali swoje postania obok ogniska. Tony ułożył łóżko matki na uboczu, gdzie osłaniały je niskie zarośla zapewniające nieco prywatności. Kiedy wróciła i zobaczyła, co zrobił, od razu się położyła, wdzięczna za jego pomoc. Zapadła cisza, przerywana przez niskie, mrukliwe chrapanie brata Mainoa, pokrzykiwania rzekotek daleko na prerii oraz odgłosy mniej znanych istot na okolicznych bagnach.

Marjorie obawiała się, że nie zaśnie, ale sen pochłonął ją nieubłaganie jak ciemny przyływ. Zapadła w niego cicho i bez sennych marzeń. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Początkowo nie poczuła dłoni, która spoczęła na jej rękę. Obudziła się dopiero, gdy dłoń lekko nią potrząsnęła.

– Proszę pani – odezwał się Rillibee Chimes. – Coś słyszę.

Usiadła.

– Która godzina?

– Mniej więcej północ. Niech pani posłucha. Te dźwięki mnie obudziły. Może to ludzie?

Wstrzymała oddech. Po chwili to – ich – usłyszała, głosy niesione słabym wiatrem, który pojawił się, gdy spała. Rozmowa. Nie rozumiała słów, ale

niewątpliwie były to ludzkie głosy.

– Gdzie? – zapytała.

Położył dłoń na jej policzku i pchnął, tak że obróciła głowę. Wtedy usłyszała wyraźniej.

– Światło – szepnęła.

Rilibee trzymał latarkę, która rzucała krąg słabego światła u ich stóp. Wręczył Marjorie taki sam sprzęt i wspólnie powędrowali pośród drzew, przez łąkę, nad którą unosiło się rytmiczne chrupanie pasących się koni, a potem znów między drzewami. Rilibee wskazał do góry. Rzeczywiście. Głosy dobiegały właśnie stamtąd.

Marjorie już nie była pewna, czy słyszy ludzi. Dźwięki wydawały się zbyt syczące. A jednak...

– Jak odgłosy w wiosce Arbaiów – zauważyła.

Rilibee przytaknął, unosząc wzrok.

– Wejdę tam – stwierdził.

Zatrzymała go.

– Niczego nie zobaczysz!

Pokręcił głową.

– Zatem będę się kierował dotykiem. Niech pani na mnie nie czeka, tylko wraca do pozostałych.

– Spadniesz!

Roześmiał się.

– Ja? Pani, w klasztorze mówią na mnie Willy Wspinacz. Mam palce jak drzewna żaba i kopyta jak górskie kozica. Nie spadnę, tak samo jak nie spada małpa pełzająca po pnączach. Niech pani wraca do pozostałych. – Po czym zaczął się wspinać po potężnym pniu z latarką zawieszoną na szyi. Światło zmniejszało się, gdy pędził w górę jak małpka.

Kiedy krąg światła całkowicie zniknął, Marjorie wróciła tą samą drogą, którą przysła, pewna, że już nie zaśnie. Ale gdy położyła się na posłaniu, okazało się, że sen na nią czekał. Zdążyła tylko zastanowić się, co brat Lourai znajdzie pośród gałęzi, nim ponownie zapadła w głęboki sen.

W klasztorze starszy brat Fuaso i zasiedział się do późna przy swoim biurku, wściekle przewracając kartki książki. Yavi Foosh siedział niepokieszony na pobliskim krześle, ziewając i broniąc się przed zaśnięciem.

– Ani śladu Manoi i Louraia? – Fuaso spytał zapewne po raz dziesiąty.

– Nie, starszy bracie.

– Nikomu nie powiedzieli, dokąd się wybierają?

– Nie mieli komu, starszy bracie. Mainoa i Lourai byli całkowicie sami w ruinach. Pracownicy biblioteki skończyli swoją zmianę trzy dni temu. Shoethai i ja przyjęliśmy ich następców dopiero dzisiaj wieczorem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, chcieliśmy o tym poinformować brata Mainoa, ale go nie zastaliśmy. Ani jego, ani Louraia. Przeszukaliśmy ruiny, starszy bracie. – Westchnął znużony. Opowiadał o tym już czterokrotnie.

– Gdzie znaleźliście tę książkę?

– Shoethai ją znalazł, starszy bracie, na stanowisku pracy brata Mainoa. Skoro braci nie było, Shoethai uznał, że może zostawili jakąś wiadomość. Jako że poza książką nie znalazł żadnego innego tekstu, przywiózł ją tutaj.

Fuaso krytycznie wpatrywał się w nową książkę, w której zapełniono zaledwie kilka stron. O tak, rzeczywiście coś w niej zapisano, a charakter pisma wskazywał na brata Mainoa. Spekulacje dotyczące zarazy. Rozważania, dlaczego nie dotknęła Trawy. Domysły dotyczące Pleśni i tego, czy jej przedstawiciele znajdują się na planecie. Informacje o mieszkańcach Opalowego Wzgórza i ich działalności, nastawionej na pokrzyżowanie planów Pleśni. Pracowali dla Świętości, żeby powstrzymać zarazę i dowiedzieć się, dlaczego Trawa jak dotąd jest na nią odporna.

Zaklął, zatraskując książkę. Tylko przypadek sprawił, że zaraza nie pojawiła się na Trawie! Czysty przypadek. Wirus tutaj nie przybył, ponieważ... ponieważ był daleko. Jeszcze nie zdążył. Niemożliwe, żeby na Trawie było coś, co go powstrzymuje.

Ale... ale jeśli tak jest, to nikt nie może się o tym dowiedzieć. Gdyby tak się stało, można by zwalczyć zarazę w innych miejscach. Brata Mainoa i ludzi z Opalowego Wzgórza należy powstrzymać.

– Starszy bracie? – mruknął Yavi.

- Tak – warknął Fuasoi.
- Czy mogę się oddalić? Jestem tutaj już bardzo długo.
- Idź! – ryknął. – Idź, na Boga, i przyślij tutaj Shoethaia.
- Shoethaia, starszy bracie? – Shoethai został odesłany przed godziną.
- Ogłuchłeś? Przecież mówię, że Shoethaia. – Co prawda, Shoethai nie może mu w niczym pomóc, ale przynajmniej go wysłucha.

Jednakże Shoethai zaskoczył swojego towarzysza z Pleśni, gdyż miał pomysł.

- Powinien za nimi wyruszyć Długokostny – zaproponował kaleka. – Długokostny, Linowiąz, Wieżochwyt oraz Mały i Długi Most.

– O kim ty mówisz, do diabła? – rzucił Fuasoi.

Shoethai się zaczerwienił.

- O wspinaczach. Takie nadają sobie imiona. Długokostny to brat Flumzee.

– Po co miałbym posyłać wspinaczy?

- Oni nienawidzą brata Louraia, ponieważ wspina się lepiej od nich. Niektórzy z młodszych braci nazywają go Willym Wspinaczem.

– Willym Wspinaczem?

- Takie nadali mu miano. Jest jeszcze lepszy niż Długokostny. Kiedy zmusili go, żeby wdrapał się na wieże, wyprzedził ich wszystkich. Wszedł na górę i zszedł z powrotem niezauważony. Długokostny założył się, że Lourai zginie na wieżach, dlatego teraz go nienawidzi.

– Ale to zależy, prawda?

– Od czego, starszy bracie?

– Od tego, gdzie jest Mainoa.

Shoethai wzruszył ramionami, a jego oblicze gargulca wykrzywił ohydny uśmiech.

- To bez znaczenia, dopóki jest z bratem Louraiem. Jeżeli jest we Wspólnocie, Długokostny go tam zabije. Jeśli jest w którejś z posiadłości, Długokostny go zabije. Jeśli jest pośród traw...

Długokostny był jednym z najbardziej nieustępliwych prześladowców Shoethaia, dlatego ten był zachwycony pomysłem wysłania go na prerie, gdzie grasują Hippae i ogary.

Starszy brat Fuasoi schował księgę do szuflady biurka.

– Jeśli Mainoa jest pośród traw, to nie musimy się nim przejmować – mruknął. – Nie, nie. Najpierw powinniśmy się dowiedzieć, dokąd się udał. Najbardziej prawdopodobnym celem wydaje się Opalowe Wzgórze. Tam sprawdzę najpierw.

Starszy brat Fuasoi skontaktował się z Persunem Pollutem, który, z wrodzoną ostrożnością, poinformował go, że bracia Mainoa i Lourai zapewne wyjechali razem z Lady Westriding i kilkoma innymi osobami, jednak nie znał celu ich wyprawy.

– Córka Lady Westriding zniknęła podczas wczorajszego Polowania – wymamrotał Shoethai. – Wszyscy o tym mówią. Zaginęła niedaleko posiadłości bon Damfelsów. Może właśnie tam się wybrali.

Starszy brat Fuasoi popatrzył na swojego asystenta z nietypowym zainteresowaniem, ponownie uruchamiając wiadofon. Kto by pomyślał, że Shoethaia ciekawią trawiańskie plotki? Fuasoi skontaktował się z jednym z podrzędnych członków rodziny w Klive, który potwierdził, że „jacyś ludzie z Opalowego Wzgórza przybyli do Klive, po czym wyruszyli w dalszą drogę”.

– Pojechali na prerię – stwierdził głos podszyty pełnym napięcia rozbawieniem, zwiastującym histerię, która czekała za kulisami na sygnał do wyjścia na scenę. – Na prerię, do Zagajnika Darenfeldów.

– Jeżeli pojechali między trawy – mruknął Shoethai – to zostawili ślady. – Westchnął z zadowoleniem. – Niech brat pośle za nimi Długokostnego oraz pozostałych.

– Pieszko?

– Nie, nie – zaprzeczył Shoethai. – Autolotem. Niech wypatrzą ślady z powietrza. – Pomyślał o autolotach. Byłoby łatwo przerobić jeden z nich tak, żeby pokonał długą trasę, a potem spadł. – Przygotuję dla nich pojazd.

– Kogo mam wysłać?

– Brata Flumzee’ego. Brata Niayopa. Brata Sushlee’ego. Braci Thissayima i Lillamoola. To Długokostny, Wieżochwyty, Linowiąz, Długi Most i Mały Most.

Kostny, Lino, Wieżo, Długi i Mały – dręczyli Shoethaia zbyt wiele razy, żeby mógł im przebaczyć. Nie muszą czekać na zarazę, ponieważ i tak nie zasłużyli na Nowe Stworzenie.

– Czy oni cię skrzywdzili? – spytał starszy brat, nagle zdając sobie sprawę z ognia płonącego w jedynym zdrowym oku Shoethaia.

Shoethai zmarszczył czoło i podrapał strup na policzku, a następnie z widoczną rozkoszą zlizął krew z palca.

– Ależ nie, starszy bracie. Po prostu zawsze się przechwalają, kogo następnego załatwią. – Nie wspominał więcej o autolocie. Może lepiej nie mówić starszemu bratu, że to on go przygotuje. Dzięki temu, gdy Długokostny i pozostali nie wrócą, nikt nie będzie podejrzewał, że Shoethai miał z tym coś wspólnego.

* * *

Yavi Foosh natychmiast po wyjściu od Fuasoia zgłosił się do gabinetu starszego brata Jhamleesa Zoe’ego, gdzie zaczekał pół godziny na swojego przełożonego.

– Co teraz knuje Fuaso? – zapytał Jhamlees.

– Shoethai znalazł księgę, którą pisał brat Mainoa, i przywiózł ją Fuasoowi, a ten aż się zagotował, gdy ją zobaczył.

– Co się znajduje w księdze?

– Nie wiem, starszy bracie. Shoethai ją znalazł i nie pozwolił mi do niej zajrzeć.

– Powinien był ją przynieść do mnie!

– Oczywiście, starszy bracie, ale tego nie zrobił. Mówiłem mu o tym, ale starszy brat Fuaso jest jego serdecznym przyjacielem, dlatego właśnie jemu pokazał księgę.

– Chyba się tam przejdę i sprawdzę, co się dzieje. – Starszy brat Jhamlees wstał z krzesła i ruszył korytarzem. Yavi Foosh szedł za nim w bezpiecznej odległości. Nie chciał, żeby uznawano go za człowieka Jhamleesa, tak jak Shoethaia uznawano za człowieka Fuasoia. Wtedy nie zaznałby spokoju.

Drzwi gabinetu stały otworem. W pomieszczeniu było pusto. Jhamlees przez chwilę wpatrywał się w tę pustkę, a następnie podszedł do biurka i otworzył szufladę.

– To ona? – spytał, pokazując księgę i przywołując Yaviego.

Yavi przytaknął.

– Na to wygląda.

– Nikomu o tym nie powiesz?

Yavi pokręcił głową. Oczywiście, że nikomu nie powie. Jhamlees Zoe może zabrać wszystkie księgi na świecie, a Yavi nie piśnie ani słowem.

* * *

Rillibee wspinał się po pniu olbrzymiego drzewa, wyszukując stopami drogę pośród płataniny pnączy, przesuwając się w górę rozwidlającego się konaru. Każda gałąź prowadziła do kolejnej, a pnącze do kolejnego pnącza, aż w końcu przed Rillibee'em otworzył się korowy szlak. Młodzieniec niezdarnie przekładał latarkę z ręki do ręki, a kilka razy przytrzymał ją ustami, gdy musiał użyć obu dłoni. Jednakże kiedy dotarł do poziomu korony, zaczął dostrzegać otaczający go las. Niektóre liście słabo lśniły bądź też lśniły jakieś stworzenia siedzące na liściach: zielone kałuże rozlewały się u podstawy konarów, żółte linie znaczyły cienkie gałązki, niebieskie kropki połyskiwały na roślinności w kolorze indygo. Ciemne gałęzie odznaczały się wyraźnie na tle tych błyszczących mgławic, tych lśniących galaktyk, a on wspinał się po konstrukcjach z twardych cieni pośród ruchomego blasku.

Słaby wiatr zerwał się pośród drzew, niosąc obłok uskrzydłych różowych kwiatów. Kiedy wiatr ustał, usiadły razem, upodabniając jedno z młodych drzewek do płomieni. Duże skrzydła o kolorze i woni melonów powoli były pomiędzy pniami, a odpoczywające stworzenia upodabniały się do kubków, w których pulsowało złociste światło, wabiąc inne błyskawicznie przelatujące istoty, fioletowe i błękitne, tak blade, że niemal białe.

– Joshuo – wyszeptał Rillibee. – Byłbyś zachwycony. Miriam... ty też byłabyś zachwycona.

– Niebo – odezwała się papuga ze szczytu drzewa. – Umarł i poszedł do nieba.

Liście ocierały mu się o twarz, wydzielając słodkie soki. Twarda kulka owocu uderzyła go w ramię. Zerwał ją, powąchał, ugryzł. Owoc był chrupki i słodko-kwaśny, sok rozpląwał się w ustach, wywołując mrowienie, jakby owoce były musujące.

Odgłosy, które słyszał z ziemi, tutaj otaczały go ze wszystkich stron. Głosy. Jeden się śmiał. Drugi mówił, jakby opowiadał długą historię zaciekawionej widowni, przerywając sobie krótkimi ciągami pobocznych dźwięków.

– Nie uwierzycie, ale... A zatem, co się wydarzyło? – Kiedy Rillibee zamykał oczy, widział mówcę, który wesoło snuł swoją opowieść, pochylony nad stołem w gospodzie.

Powoli przesuwiał się wśród gałęzi. Dźwięki za jego plecami ucichły. Zawrócił i ponownie ruszył w ich stronę, pieszcząc gałęzie palcami, kochając je stopami. Głosy dobiegały spośród lśniących drzew. W końcu je odnajdzie.

Musiał znaleźć coś jeszcze. Dziewczynę. Stellę. Oddzielił jej imię od innych w swojej litanii. Miała należeć do niego, do Rillibee'ego Chime'a. Chociaż jej rodzina była bogata i wpływowa, ona będzie należała do niego. Nawet jeśli sama nim wzgardzi, i tak...

– Niebo – szepnęła papuga w górze.

Wspinał się przez całą noc. O świcie odnalazł głosy, gdy ukośne promienie słońca wpadły do ich miasta przez rozpaczliwie złociste liście.

* * *

Marjorie po obudzeniu usłyszała śpiew ptaków i muzykę wody. Dopiero po kilku chwilach uzmysłowiła sobie, gdzie jest, a jeszcze dłużej trwało, zanim przypomniała sobie nocne zamieszanie. Poszukała wzrokiem brata Louraia, ale go nie znalazła, tylko napotkała spojrzenie brata Mainoa.

– Nie wrócił – oznajmił staruszek.
– Brat wiedział, że on się oddalił...
– Wiedziałem, że panią obudził i razem odeszliście. Ale pani wróciła.
– Poszedł tam. – Wskazała słońce mieniające się pośród konarów. – Powiedział, że nazywają go Willym Wspinaczem i nic mu nie będzie.

Mainoa pokiwał głową.

– Tak. Rzeczywiście nic mu nie będzie. Jest taki jak pani. Kiedy sytuacja staje się bardzo trudna, od czasu do czasu myśli o śmierci, ale jest zbyt ciekawy tego, co się wydarzy dalej.

Zaczerwieniła się, zastanawiając się, skąd Mainoa tyle o niej wie. To była prawda. Była ciekawa tego, co się wydarzy dalej. Jakby coś czekało specjalnie na nią. Jakaś okazja...

Ksiądz James wrócił od najbliższego stawu z wiadrem pełnym wody. Sprawiał wrażenie czujnego i wypoczętego.

– Nie spałem tak dobrze od tygodni – stwierdził. – Miałem dziwaczne sny.

– Tak – ponownie odezwał się brat Mainoa. – Myślę, że to dotyczy nas wszystkich. Coś tutaj wtargnęło do naszych snów.

Marjorie wstała i rozejrzała się, nagle zaniepokojona.

– Nie, nie. – Staruszek powoli wstał, przytrzymując się wystających narośli na pobliskim drzewie. – To nic wrogiego. Oni także są zaciekawieni.

– Oni?

– Ci, których zapewne dzisiaj spotkamy. Później, kiedy wróci brat Lourai.

– Czy on ma jakieś inne imię? – spytał Tony.

– Brat Lourai? O tak. Jako chłopiec nosił imię Rilibee. Rilibee Chime. Sądzisz, że nie wygląda jak jeden z braci?

– Tony sądzi, że on nie wygląda jak Uświęceni, których znamy – wyjaśniła Marjorie. – Ma za duże oczy. Zbyt szczupłą i inteligentną twarz. Zbyt delikatne usta. Zawsze uważałam Uświęconych za tępaków pełnych entuzjazmu, którzy mają proste myśli i wielką potrzebę poznania odpowiedzi. Starokatolicy powinni być szczupli i wyglądać jak ascetyczni

wielkoocy filozofowie. To stereotypy, których czasami się wstydzę, ale nie potrafię się ich pozbyć, nawet gdy patrzę w lustro. Brat także nie wygląda jak Uświęcony. Ale podejrzewam, że korzysta brat z imienia Mainoa zbyt długo, żeby z niego zrezygnować. – Odwróciła się, żeby nie widzieć rozbawionego i oceniającego wzroku księdza Jamesa.

– Zdecydowanie zbyt długo – zgodził się Mainoa ze śmiechem. – Ale niech pani używa prawdziwego imienia Rillibee’ego. To wiele dla niego znaczy. Na pewno to doceni.

– Dzisiaj postaramy się odnaleźć szlak – stwierdziła Marjorie.

Mainoa sprowadził ją na ziemię.

– To może się okazać niemożliwe przez kolejny dzień albo dwa.

Odwróciła się w jego stronę, zrozpaczona i sfrustrowana, gotowa zareagować krzykiem na to opóźnienie. Ksiądz James położył dłoń na jej ramieniu.

– Cierpliwości, Marjorie. Nie popadaj w obsesję. Odpuść trochę.

– Wiem, proszę księdza. Ale stale myślę, co się może z nią dzieć.

Ksiądz James także o tym myślał. Jego umysł zbyt często wracał do niektórych potworności, o których słyszał w konfesjonale, do pewnych perwersji i okropieństw, o których czytał, a które same nigdy nie przyszłyby mu do głowy. Nie wiedział, dlaczego te wspomnienia kojarzyły mu się z Hippae, ale tak było. Odepchnął od siebie złe myśli.

– Odnajdziemy ją, Marjorie. Zaufaj bratu Mainoa.

Ustąpiła, pragnąc mu zaufać, skoro nie mogła ufać nikomu innemu.

Posilili się suchym prowiantem. Umyli się w jednym ze spokojnych stawów, które otaczały wyspę. Marjorie i Tony sprawdzili konie, uważnie oglądając ich kopyta i nogi. Pomimo szaleńczego biegu poprzedniego dnia zwierzęta nie odniosły żadnych obrażeń. Chociaż Marjorie ze wszystkich sił starała się zachować spokój, omal nie wybuchła ze zniecierpliwienia, dopóki nie usłyszeli wołania z góry.

Rillibee zszedł po potężnym drzewie pokrytym pnączami z ręcznie jak małpa.

– Poblądziłem – wyjaśnił. – Przy dziennym świetle drzewa wyglądają inaczej, więc trochę to trwało, zanim znalazłem drogę powrotną.

– Znalazłeś je? – spytała. – Głosy?
– Znalazłem ich miasto – odpowiedział Rilibee. – Musicie je zobaczyć.
– Musimy pójść w przeciwną stronę – zaprotestowała – żeby odnaleźć szlak...
– Na górę – nalegał. – Naprawdę powinniśmy.
– Na górę – zgodził się brat Mainoa. – Jeśli tylko nam się uda.
– Nie było mnie tak długo między innymi dlatego, że szukałem drogi, którą mogłyby pójść konie – wyjaśnił Rilibee. – Tędy. – Wskazał w głąb bagna. – Potem będziemy się wspinać.
– Po co?! – wykrzyknęła Marjorie. – Stelli tam nie ma...
– Szlak prowadzi poprzez trawy – rzekł brat Mainoa. – A to niekoniecznie jest właściwa droga. Kiedy pani jeszcze spała, razem z Tonym poszliśmy na skraj lasu. Hippae wciąż tam są. Na razie nie zdołamy się tamtędy przedostać.
– Ale po co? – Wskazała w górę, powstrzymując łzy. – Nie mam ochoty na wycieczki krajoznawcze, na miłość boską.
– Może właśnie ze względu na miłość boską powinniśmy tam pójść – odparł ksiądz James. – Wie brat, co tam się znajduje?
– Podejrzewam – odparł. – Podejrzewam, co tam jest. Od chwili, gdy otrzymaliśmy raport z Semlinga.
– To znaczy?
– Sądzę, że to ostatnie miasto Arbaiów. Ostatnie we wszechświecie.
Nie chciał im powiedzieć nic więcej. Twierdził, że tylko tyle wie. Kiedy spytali Rilibee’ego, ten odparł, że sami zobaczą. Poprowadził ich przez płytkie kałuże, wzdłuż rzędów drzew. Czasami zatrzymywał się i spoglądał na drzewa, a oni czekali. Raz zsiadł z konia i położył dłonie na drzewie, opierając się o nie, jakby było jego przyjacielem. Sylvan zaczął coś mówić podczas jednego z tych postojów, ale brat Mainoa go uciszył, kładąc mu dłoń na ramieniu. Przeszli przez kilka wyseppek, aż w końcu dotarli do bardzo dużej wyspy, na której środku wznosiło się wzgórze.
Na płaskim kamiennym piedestale stał poskręcany pomnik, bardzo podobny do tego, który widzieli na placu w mieście Arbaiów.

– To dzieło Arbaiów? – wyszeptała Marjorie, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. Pomimo tego, co mówił brat Mainoa, nie dopuszczała do siebie myśli, że mógł mieć rację.

Rillibee wskazał na zbocze wzgórza, po którym szlak wił się w stronę stromego urwiska.

– Właśnie tamtędy zszedłem – oznajmił. – Zostawcie konie. Tutaj nic im nie grozi.

Zsiedli, starając się zrobić to cicho, żeby nie przeszkadzać głosom ponad ich głowami. Ludzie rozmawiali. Śpiewali. Opowiadali historie przy akompaniamencie stłumionego śmiechu. Rillibee prowadził pozostałych w górę szlaku. Słupy pokryte fantastycznymi rzeźbieniami znaczyły początek mostu rozpiętego nad otchłanią i niknącego między drzewami, zbudowanego z trawy, pnączy i kawałków drewna, uplecionego kunsztownie i ciasno jak zdobny kosz. Balustrady pokryto podobiznami liści i owoców. Pleciona kładka mieniła się kolorowymi zawijasami i była solidna jak chodnik. Prowadzeni przez Rillibee'ego, wędrowali dwieście stóp nad ziemią, zatapiając się w cieniu drzew.

Zobaczyli budowle – punkty obserwacyjne i kopuły, rozpinane dachy i stożkowate iglice, plecione ściany i kratkowane okna – wiszące jak owoce na gałęziach drzew, a między nimi wiklinowe alejki i podwieszane siatkowane uliczki. Wyżej znajdowały się pergole upstrzone plamkami słońca, ocienione budki i kunsztowne klatki, połączone z poniższymi budowlami za pomocą pajęczych schodów. Koronkowe domy wisiały na wysokich gałęziach jak gniazda wilg.

Mieszkańcy nawoływali z okien, toczyli rozmowy pomiędzy piętrami, konwersowali na ulicach. Ich głosy przybierały na sile, gdy się zbliżali, i cichły, gdy się oddalali. Mroczne postacie spotykały się przy balustradach. Grupka istot wyskoczyła przez otwarte drzwi i zanurzyła się w grze światel odbijających się od przyklaskujących liści. Byli pełni wdzięku, tylko nieco przypominali gady. Z oczami rozświetlonymi śmiechem wyciągali ręce, jakby mówili: „Witamy”.

Ale nikogo przed nimi nie było. Zupełnie nikogo.

Para przytulonych kochanków opierała się o balustradę mostu. Gdy Rillibee przez nich przeszedł, ich twarze rozprysły się na jego twarzy, a ich ciała na jego ciele. Za jego plecami ponownie się połączyli i dalej patrzyli sobie w lśniące oczy.

– Duchy. – Tony westchnął. – Matko...

– Nie – odparła, a na widok kochanków po jej policzkach popłynęły łzy. – Hologramy, Tony. Zostawili je tutaj. Gdzieś na drzewach są projektory.

– Przekazywali je sobie nawzajem – wyjaśnił Mainoa. – Kiedy zbliżał się koniec. Gdy byli coraz mniej liczni. Żeby ci, którzy ocaleli, mieli towarzystwo.

– Skąd brat to wie?

– Tak mi powiedziano – odrzekł. – Przed chwilą. Ale to się zgadza z wiedzą, którą zdobyłem od czasu naszego wspólnego obiadu w Opalowym Wzgórzu.

– Język... – Marjorie zwróciła się do niego z szeroko otwartymi oczami.

– Język, owszem.

– Tak mi się śpieszyło, żeby wyruszyć i odnaleźć Stellę, że nie przyszło mi do głowy, by spytać...

– Potężne maszyny na Semlingu przeżuły to zagadnienie, połknęły je i ponownie wypluły. Maszyny potrafią przetłumaczyć księgi Arbaiów, a przynajmniej ich część. Mniej więcej połowę mogą odczytać, a drugą połowę odgadują. Wskazówka kryła się w pnączach wyrzeźbionych na drzwiach. Tam gdzie nigdy jej nie szukaliśmy.

– A napisy na samych drzwiach?

– Je również potrafią odczytać.

– Co oznaczają?

Brat Mainoa pokręcił głową, próbując się roześmiać, ale śmiech zmienił się w kaszel, od którego zgiął się wpół.

– Napisano tam, że Arbaiowie umarli tak, jak żyli, wierni swojej filozofii.

– Tutaj?

– Na równinie zginęli szybko. Tutaj między drzewami umierali powoli. Ich filozofia zabraniała im zabijać inteligentne istoty. W mieście na równinie Hippae wymordowały ich krewnych. Mieszkańcy tego letniego

miasta pośród drzew nie mogli bezpiecznie tam wrócić. Nie chcieli zginąć. Dlatego spędzili tutaj jedno ostatnie lato, a wraz z nadejściem zimy powoli poumierali, wiedząc, że są ostatnimi przedstawicielami swojej rasy we wszechświecie.

– Kiedy to było?

– Wieki temu. Trawiańskie wieki.

Marjorie popatrzyła na otaczające ją budynki i pokręciła głową.

– Niemożliwe. Te budowle by tyle nie wytrzymały. Drzewa by urosły, a potem umarły i poupadały. Te plecione drogi z pewnością by zgniły.

– Nie, jeśli były odnawiane, godzina po godzinie, dzień po dniu. Nie, jeśli były naprawiane.

– Przez kogo?

– No właśnie, przez kogo? Wszyscy się nad tym zastanawiamy, czyż nie? Tak, myślę, że już niedługo ich spotkamy.

Rillibee poprowadził ich plecionymi ulicami. Droga przed nimi się rozszerzyła i utworzyła rozległą platformę z rokokowymi balustradami oraz spiralnymi filarami, które podpierały szeroki dach przypominający kapelusz wiedźmy.

Miejski rynek, pomyślała Marjorie. Wioskowy zieleniec. Otwarta sala zebrań, wystawiona na podmuchy wiatru i śpiew ptaków. Wszędzie wokół mroczne postacie spacerowały, tańczyły i pozdrowiały się gestami. Były tak wyraźne, że przez chwilę myśleli, że potężna postać stąpająca ku nim przez platformę jest kolejnym cieniem. Kiedy zobaczyli, że tak nie jest, zbili się w ciaśniejszą grupę, a Tony sięgnął po nóż.

– Nie – odezwał się brat Mainoa, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. – Nie.

– Wystąpił naprzód, żeby zobaczyć to, co od tak dawna pragnął ujrzeć na własne oczy, a nie tylko w myślach. – On nas nie skrzywdzi.

Zobaczyli drżącą skórę ponad oczami, których nie mogli wyraźnie dostrzec. Kły, albo coś w rodzaju kłów, lśniące jak zafarbowana na błękitno kość słoniowa. Rozszerzające się skrzydła z włosów, podwójne błyski fioletowych zórz, niczym strugi lodowatych błyskawic.

Brat Mainoa skłonił głowę, jakby zwracał się do jednego z hierarchów.

– Jesteśmy zaszczyceni – wyszeptał.

Istota przysiadła. Wydawało się, że kiwa głową. Oparła podkurczone łapy – nie, dłonie – na plecionym chodniku. Dłonie, które najwyraźniej miały po trzy palce oraz przeciwstawne, porośnięte futrem kciuki. Za osłoniętymi grzywą ramionami znajdował się opancerzony płat cętkowanej skóry i zrogowaciałych płytek, który widzieli jedynie przez chwilę, a może tylko im się zdawało. Wizerunek istoty mignął im zbyt szybko, żeby mogli go dokładnie zdefiniować bądź opisać. Wiedzieli jedynie, że stwór nie przypomina żadnego znanego im zwierzęcia, ani terrańskiego, ani trawiańskiego. Miał dziwaczne proporcje. Nogi nie wyglądały tak, jak zazwyczaj je sobie wyobrażamy.

Brat Mainoa stanął naprzeciw tego mirażu z pełnym czci zainteresowaniem, gwałtownie mrugając, podobnie jak pozostali, żeby zobaczyć go wyraźniej.

– Widząc cię po raz pierwszy, zastanawiam się, jakie poplątane ewolucyjne ścieżki doprowadziły do rozwinięcia się tej straszliwej cechy – wyszeptał ze spuszczonego wzrokiem.

Olbrzymie oczy jakby się powiększyły. Długi, zakrzywiony pazur być może wysunął się z pokrytego futrem i łuskami palca i wskazał gardło brata Mainoa.

Brat uśmiechnął się, jakby usłyszał żart.

– Nie wierzę, że mówisz naprawdę. Nie potrzebujesz tego przeciwko mnie. Nie potrzebujesz większości z tego przeciwko ludziom, chyba że postanowią użyć przeciwko tobie ciężkiej broni, a wtedy twój pancerz i tak ci nie pomoże. Jeśli ludzie są w czymś naprawdę dobrzy, to na pewno w zabijaniu.

Stwór zapewne zmrużył oczy, a brat Mainoa chwycił się obiema rękami za głowę. Pozostali padli na kolana, również trzymając się za głowy, poza Sylvanem, który ruszył naprzód, pełen gniewu i strachu, czyniących go lekkomyślnym.

– Ojej. – Mainoa wyprostował się, gwałtownie wstrzymując oddech. – Wolałbym, żeby tego nie robiły.

Teraz już wiedział, jakie poplątane ewolucyjne ścieżki doprowadziły do powstania pancerza. Kiedyś na planecie żyli wrogowie tej istoty, potężni

i nieustępliwi. Brat Mainoa wyraźnie ich ujrzał; szaleli, pożerając Hippae i ogary. Od tej brutalnej wizji rozboleła go głowa.

– Wyginęli? – spytał i otrzymał potwierdzenie. – Zabiliście ich?

Odebrali wrażenie zakłopotania, a następnie pewności. Nie. Arbaiowie ich zabili. Opancerzone istoty nie były inteligentne. Były tylko chodzącym apetytem. Arbaiowie się ich pozbyli, żeby chronić Hippae. Od tamtej pory żyło wiele, bardzo wiele Hippae.

Brat Mainoa usiadł na kładce, nagle przytłoczony znużeniem.

– Ta istota jest moim przyjacielem – oznajmił pozostałym ludziom. – Kontaktujemy się już od dłuższego czasu. – Teraz, skoro prawie zobaczył stwora, robiło mu się słabo, kiedy wspominał wszystkie chwile, gdy z nim rozmawiał, ale go nie widział. Gdyby go wtedy ujrzał, czy powiedziałby...? Nie. Gdyby go ujrzał, nie mógłby niczego powiedzieć. Można rozmawiać z bogami i aniołami, dopóki nie wyglądają jak bogowie i aniołowie. Żeby się do nich zbliżyć, musimy o nich myśleć jak o nas samych, a nie da się tak traktować lisów...

– Lisy – westchnął Tony. Wciąż klęczał wraz z innymi.

– Lisy – potwierdził Mainoa. – On albo one zdołały powstrzymać Hippae wystarczająco długo, żebyśmy mogli tutaj dotrzeć. On oraz kilku jego przyjaciół chcieli, żebyśmy tutaj przyszli, gdyż pragnęli się nam dobrze przyjrzeć.

– Czy on wie, gdzie jest Stella...? – odezwała się Marjorie błagalnym tonem.

Miała wrażenie, że wielki łeb zwrócił się w jej stronę.

– Rozumiem. Oczywiście. Tak – powiedziała, drżąc.

– Marjorie? – zdziwił się Sylvan.

– Słyszę go! – wykrzyknęła. – Sylvanie, słyszę go. A ty nie?

Pokręcił głową, podejrzliwie zerkając w miejsce, w którym, jak podejrzewał, znajdował się lis.

– Nie. Niczego nie słyszę.

– Zbyt długo jesteś myśliwym – stwierdził Mainoa. – Hippae cię ogłuszyły.

– Czy on coś mówi? – spytał Sylvan.

Rilibee pokiwał głową.

– To nieco przypomina mowę. Obrazy. Trochę słów. – Wstał, całkowicie uodporniony na kolejne cuda. Drzewa wystarczająco go zachwyciły. Nie potrzebował niczego więcej. Nie miał ochoty rozmawiać z lisem. Tak samo jak Marjorie, pragnął odnaleźć Stellę.

– Co on mówi o twojej córce? – spytał Sylvan.

– Że jego towarzysze jej szukają – odrzekła Marjorie. – Powiadomią nas, kiedy ją odnajdą.

– Jest wiele spraw, o których chcą nam powiedzieć i o które chcą nas zapytać – rzekł ze znużeniem brat Mainoa, pragnąc tej rozmowy, a zarazem się jej obawiając. – Wiele spraw.

– Wrócę na dół i rozsiodłam konie – stwierdził Rilibee.

Skoro nie zamierzali szukać Stelli, to chciał zostać sam, przywrzeć do pnia potężnego drzewa i nasiąkać jego dotykiem i wonią. W ciemności miał wrażenie, że otaczają go duchy drzew, lecz za dnia drzewa wyglądały normalnie. Joshua oddałby za nie duszę. Na całej Terrze nie było takich drzew. Otaczały go ze wszystkich stron jak błogosławieństwo. Odwrócił się w kierunku, z którego przyszli.

Sylvan ruszył jego śladem.

– Pomogę ci – rzekł. – Na nic się tutaj nie przydam.

Niezadowolony Rilibee pokiwał głową. Pozostali nawet nie zauważyli ich zniknięcia.

* * *

W swoim apartamencie w posiadłości bon Damfelsów Shevlok bon Damfels rozsiadł się przed oknem i sącył wino z na wpół napełnionego kieliszka. Świt stał na progu świata. Przez otwarte okno Shevlok widział stłoczone domki w wiosce, związane z niebem za sprawą dymu unoszącego się z kominów. Martwa cisza. Jak dotąd żaden dźwięk nie zburzył spokoju poranka. O tej godzinie nawet rzekotki milczały.

Obok niego stała skrzynka otwartych butelek; połowa z nich została opróżniona. W zmiętej pościeli spała Gąska. Nie opuszczała łóżka od kilku

dni. Czasami spała. Czasami leżała bez ruchu pod nim, podczas gdy on ją głaskał, szeptał do niej, kochał się z nią. Jej ciało reagowało na jego zabiegi. Jej skóra czerwieniała, sutki twardniały, krocze wilgotniało zapraszająco. Poza tym nie okazywała, że cokolwiek czuje. Miała otwarte oczy wpatrzone w dal, gdzie obserwowała coś, czego Shevlok nie widział.

Raz, tylko jeden raz, gdy się kochali, odniósł wrażenie, że dostrzegł błysk w jej oku, najdrobniejszą iskrę, jakby jakaś myśl przemknęła przez jej umysł zbyt szybko, by ją pochwycić. Teraz spała, a Shevlok pił. Pił od chwili, gdy po raz pierwszy ją tutaj sprowadził.

Miała być jego Obernum. Miała rządzić rodziną u jego boku po śmierci Stavengera. Pasowała do tej roli. Poza tym namiętnie ją kochał. Janetta była wszystkim, czego pragnął.

Jednakże istota na łóżku nie była Janettą, już nie.

Próbował zdecydować, czy powinien ją zatrzymać.

Ktoś zapukał do drzwi, a po chwili wszedł bez zaproszenia.

– A więc to zrobiłeś! – To była Amethyste, która wbiła wzrok w dziewczynę rozciągniętą na łóżku. – Shevloku, co ty sobie myślałeś?

– Myślałem, że mnie rozpozna – wymamrotał Shevlok, a słowa, które wydobyły się spomiędzy ust odrętwiałych od wina, sprawiały lepkie i niejasne wrażenie. – Tak się nie stało. Nie poznaje mnie.

– Od jak dawna...

Pokręcił głową.

– Od jakiegoś czasu.

– Co zamierzasz z nią zrobić?

– Nie wiem.

– Wszyscy mówią, że ktoś ją zabrał. Od służącej jej matki. Ty to zrobiłeś? Shevlok przekrzywił dłoń w jedną, a potem w drugą stronę, pokazując, że zapewne tak było.

– Więc lepiej ją oddaj. Odprowadź ją do wioski bon Maukerdenów. Powiadom ich, a zaczną jej szukać.

– Lepiej niech umrze. – Shevlok odparł zaskakująco wyraźnie. – Lepiej dla niej, żeby umarła.

– Nie! – wykrzyknęła Amy. – Nie, Shevloku! Wyobraź sobie, że to Dimity. Udaj, że to ona.

– Lepiej niech umrze – upierał się Shevlok. – Gdyby to była Dimity, wolałbym, żeby umarła.

– Jak możesz tak mówić?!

Wstał, mocno ujął siostrę za łokieć i przyciągnął ją do łóżka.

– Popatrz na nią, Amy! Popatrz na nią. – Zerwał koc, odsłaniając nagą dziewczynę leżącą z twarzą skierowaną ku górze. Kciukiem uniósł jej powiekę. – Oczy Janetty były jak woda przepływająca po kamieniach. Lśniły słonecznym blaskiem. Popatrz na nią! Jej oczy są jak kałuże, które zbierają się w piwnicach wiosną, gdy topnieją śniegi. Nie ma w nich słońca. Nie pływa w nich nic normalnego. Nie żyje w nich nic dobrego.

Amy wyrwała się z jego uścisku.

– Nie rozumiem, co mówisz.

– Kiedy patrzę w te oczy, widzę tylko mrok i opadam w głąb bezdennego bagna, w którym wije się coś okaleczonego i straszliwego. Doszło w niej do zwarcia. Ktoś zrobił coś z jej wnętrzem. Już niczego nie czuje. Nikogo nie poznaje.

– Oddaj ją, Shevloku. Wiem, że w niej już niczego nie ma...

– Och, ależ coś tam jest. Coś przerażającego i perwersyjnego. Coś, co mogliby wykorzystać... – Nagle westchnął boleśnie. – Niech ich szlag.

Jego siostra roześmiała się gorzko, rozcierając posiniaczoną rękę.

– Niech ich szlag, Shevloku? Ich? Jesteś jednym z nich. Zgodziłeś się. Wszyscy na to przystaliście. Ty, ojciec i wuj Figor wiedzieliście, co Hippae robią z dziewczętami, ale i tak zmusiliście mnie do udziału w łowach, podobnie jak Emmy i Dimity.

Pokręcił głową jak oszołomiony byk.

– Nie wiedziałem, co robią Hippae.

– Mój Boże, Shevloku, a sądziłeś, że co się z nimi dzieje, gdy znikają? Co sobie myślałeś!

– Nigdy nie myślałem, że robią coś takiego – zaproponował. – Nigdy nie myślałem, że robią coś takiego.

– Nigdy nie myślałeś! – wrzasnęła piskliwie. – Jasne! Nie myślałeś, bo nie chodziło o ciebie. Niech cię szlag, Shevloku. Nie obwiniaj Hippae za to, że ją zmienili. Ty to zrobiłeś. Ty, ojciec, Figor i wszyscy przekłeci myśliwi...

– Nie... to nie moja wina.

– Gdyby to się nie stało, ożeniłbyś się z Janettą, mielibyście dzieci, a ty zmuszałbyś je do brania udziału w łowach – odparła oskarżycielsko. – Patrzyłbyś, jak twoje córki znikają, a synom odgryza się ręce, ale nie powstrzymałbyś tego!

– Nie wiem. Może bym powstrzymał. Nie wiem.

– Jedziesz do bon Laupmonów na dzisiejsze Polowanie?

Wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie tak.

– Sam widzisz! Wiesz, co się dzieje, ale i tak jedziesz. A kiedy któraś z dziewczynek z rodu bon Laupmonów albo bon Haunserów zniknie, nie będzie cię to obchodziło, ponieważ nie jesteś w nich zakochany. – Otarła twarz palcami, po czym wskazała śpiącą dziewczynę. – Co się z nią stanie?

– Kobieta z wioski przychodzi, żeby ją karmić, myć i bawić się z nią jak z kociakiem.

– Skoro jedziesz na Polowanie, a ojciec jedzie...

Otrząsnął się, po raz pierwszy na nią spoglądając, i spróbował się uśmiechnąć. Lubił ją, tak samo jak Emeraude. Starał się o tym pamiętać. Lubił ją, Emeraude, Sylvana i swoją matkę.

– Słyszałem o Emmy. Chcesz autolot, prawda? Żeby zabrać Emmy do Wspólnoty. Źle z nią?

– Ojciec zdążył ją poważnie sponiewierać, zanim go odciągnęliśmy. Przeżyje, jeśli o to pytasz. Ale muszę ją stąd zabrać. A także wyjechać razem z nią.

– Więc ją zabierz.

– Ojciec kazał służącym, żeby mnie nie słuchali, ale o tobie nic nie wspominał.

– Dam znać staremu Murfonowi. Kiedy ojciec pojedzie do bon Laupmonów, Murfon cię zabierze. Powiem mu, żeby cię odebrał z wioski. Nie pozwól, żeby ktokolwiek cię zobaczył.

– Ją też mam zabrać? – Amy wskazała dziewczynę w pogniecionej pościeli.

Shevlok z trudem wstał i podszedł do posłania, żeby popatrzeć na śpiącą postać. Załkał, bardziej z gniewu niż smutku.

– Niech będzie. Jeśli ją tutaj zostawisz, to ją zabiję.

Rigo poprosił Sebastiana Mechanica, żeby wybrał się z nim do posiadłości bon Laupmonów. Zaprosił także Persuna Polluta i Asmira, na próżno żałując, że nie są potężniejsi, nie mają broni i nie są bonami, przez co nie będą traktowani poważnie. Ale po co się tym przejmować? Należą do ludu, a na Trawie nie ma żadnej broni, przynajmniej on żadnej nie widział. Nie licząc harpunów myśliwych, ale nieporęczna długość tych narzędzi sprawia, że nie nadają się do obrony. Czuł się bardzo samotny i bezsensownie wstydził się tego uczucia.

Ubrał się z drobiazgową starannością, niezadowolony ze swoich żabio szeroki spodni i niemęskich butów o długich, spiczastych czubkach. W końcu wziął kapelusz i rękawiczki od swojego pilota przybyłego z wioski i uważnie przejrzał się w lustrze. Przynajmniej od pasa w górę wyglądał jak prawdziwy dżentelmen. Jakby to robiło jakąkolwiek różnicę. Jakby cokolwiek mogło mu pomóc!

Nie będzie przeproszał za to, że zabrał ze sobą Persuna, Sebastiana i Asmira. Z pewnością zabieranie służących na Polowanie nie było niewłaściwe. Inni to robili. Kiedy któryś z bon Haunserów wracał z Polowania u bon Damfelsów i udawał się do ich kwater gościnnych, to jego służący przygotowywali dla niego pokój, podgrzewali wodę do kąpieli i wykładali czyste ubrania. Podczas swoich pierwszych łowów Rigo tego nie wiedział. Nikt go nie uprzedził. Ze Stellą musieli wrócić aż do Opalowego Wzgórza, żeby się wykąpać.

Kiedy polował po raz drugi, zabrał ze sobą służącego, ale nie było mowy o kąpeli – Stella zniknęła i tylko o tym potrafił myśleć. Teraz po raz pierwszy zastanawiał się, co by się wtedy stało, gdyby Stella nie zaginęła. Zabrał swojego służącego, ale zapomniał o pomocy dla córki. Odepchnął od siebie tę niewygodną myśl.

– Rigo? – Cichy głos dobiegający od drzwi.

Skupił na niej całą nienawiść, jaką odczuwał wobec siebie.

– Eugenie! Co ty tutaj robisz? – Przez chwilę absurdalnie myślał, że to Marjorie.

– Pomyślałam, że przyda ci się pomoc. Skoro Marjorie nie ma...

– Już mam pilota, Eugenie. – Służący roztropnie opuścił pokój. – A Marjorie mnie nie ubiera.

Zamachała rękami i zmieniła temat.

– Wiesz coś nowego o Stelli?

– Nie wiem niczego o żadnym z nich. A ty nie powinnaś być w mojej sypialni. Dobrze o tym wiesz.

– Wiem. – Łza spłynęła jej po policzku. – Czuję, że już nigdzie nie ma dla mnie miejsca.

– Jedź do Wspólnoty – odparł. – Wynajmij pokój w Hotelu Portowym. Zabaw się. Na litość boską, Eugenie, nie mam teraz dla ciebie czasu.

Wstrzymała oddech. Pobladała i odwróciła się do niego plecami. Coś w jej ruchu i łuku szyi przypominało mu Marjorie. A więc obraził je obie! Boże, co z niego za mężczyzna?

Wściekły na siebie, wyszedł na zwirowy dziedziniec, gdzie czekał autolot, a potem niecierpliwie czekał, aż Sebastian przygotuje drugi pojazd, który miał zabrać Eugenie do Wspólnoty, gdyby zapragnęła się tam udać. Kobiety. Przekłete kobiety. Nie mieli do dyspozycji innego pilota, więc Asmir musiał zostać, żeby zawieźć Eugenie do miasta.

– Na Trawie kobiety niekiedy bardzo się nudzą – zauważył Persun Pollut. – Moja matka często o tym wspomina. – Stał z dłońmi splecionymi za plecami, zwracając pociągłą, smętną twarz ku ogrodowi.

– Z tego, co mówiłeś, wynika, że twoja matka jest bardzo zapracowana – skomentował Rigo, a w jego głosie wciąż pobrzmiwała nerwowa wrogość.

– Życie we Wspólnocie wcale nie jest nudne, Wasza Ekscelencjo, ale tutaj kobiety umierają. Z nudy. Na Polowaniach. Z wielu powodów...

Rigo nie chciał myśleć o kobietach. W oczywisty sposób ich nie rozumiał. Nie potrafił sobie z nimi radzić. Na przykład z Marjorie. Kto by się spodziewał, że przejmie inicjatywę, zaangażuje Zielonych Braci oraz pociągnie za sobą Tony'ego i księdza Sandovala. Nigdy się tak nie zachowywała. Na Terrze zadowalała się rolami matki i jeźdźca. No i była jeszcze działalność dobroczynna, która zajmowała jej zbyt dużo czasu. Dobra pani wozila niepotrzebne ubrania nielegalnym. Ale co innego miała robić? Nie była jak Eugenie, która spędzała pół dnia w salonach piękności. Albo jak żona Espinozy, którą policja populacyjna zatrzymała za pomoc w nielegalnych aborcjach, dzięki którym kilka bezmyślnych cip mogło uniknąć egzekucji. Biedny 'Spino nie mógł spojrzeć w oczy swoim przyjaciołom. Nie, zajęcia Marjorie na Terrze nigdy nie kolidowały z obowiązkami Riga...

Zauważył mentalną pułapkę. Uniknął jej, wracając myślą do broni. Dlaczego nie ma jej na Trawie? Przecież funkcjonariusze ze stacji porządkowej muszą mieć płatonogi albo pałki unieruchamiające. Takie przedmioty są powszechnie spotykane w okolicach portów, tawern i innych miejsc, w których czasami trzeba obezwładnić niespokojnych obywateli. Dlaczego nie ma ich w posiadłościach? Jak zwykle wolał pozostać w niewiedzy, niż ją okazać, więc nie spytał Persuna, który mógłby mu udzielić odpowiedzi.

Na wezwanie Sebastiana wsiadł do pojazdu. Lecieli w milczeniu. Posiadłość bon Laupmonów była oddalona o około pół godziny i znajdowała się dalej na wschód niż tereny bon Damfelsów. Rigo zastanawiał się, w jaki sposób ma się odnosić do Obermuna Lancela bon Laupmona. Co może powiedzieć do Erica bon Haunsera albo Obermuna Jerrila bon Haunsera. Obaj byli pomocni i zachowywali się w dyplomatyczny sposób, gdy Yrarierowie przybyli na Trawę. A jednak byli myśliwymi, ci zaś najwyraźniej nie zachowują się logicznie.

Nie było sensu rozmawiać z Geroldem bon Laupmonem, bratem Lancela. Według Persuna był to człowiek o ograniczonych zdolnościach

pojmowania. Lancel był wdowcem. Jego syn, Taronce, był w jakiś sposób spokrewniony z bon Damfelsami, ale Rigo nigdy go nie spotkał. Może kiedyś były też inne dzieci. Może zniknęły, a bon Laupmon to zignorował, tak samo jak zrobił – i wciąż robił – Stavenger.

Rigo zazgrzytał zębami. W dawnych czasach na Terrze dzieci składano w ofierze. Molochowi. Posejdonowi. Nawet Bogu. Odprawiano niebezpieczne rytuały. Menady grasowały po górskich szczytach, rozrywając młodzieńców zębami. Tajemne organizacje domagały się krwi i milczenia. A jednak Rigo nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w historii Terry ludzie tracili swoje dzieci i udawali, że tego nie zauważyli. Nigdy i nigdzie indziej. Tylko tutaj, na Trawie.

Zadrzał, po czym głęboko zaczerpnął powietrza, zbity z tropu. Po co wybiera się na to Polowanie? Naprawdę zamierza wziąć w nim udział? Ponownie? Wiedząc to, co wie?

Po co tam leci?

Oczywiście, żeby domagać się pomocy w odnalezieniu Stelli.

Ale od kogo? Przywołał w myślach listę wszystkich bonów, których poznał, porządkując ich według rodu i odznaczając, a potem upewniając się, że o nikim nie zapomniał.

– Pollucie – odezwał się w końcu zawstydzonym głosem. – Czy ktokolwiek z nich pomoże mi odnaleźć córkę?

Persun Pollut posłał mu przeciągłe spojrzenie. Jego Ekscelencja przypominał rzeźbę, źle traktowaną, poobijaną i poobcieraną. Persun przez chwilę rozważał udzielenie wymijającej odpowiedzi, ale zrezygnował. Postanowił powiedzieć prawdę ze względu na Lady Westriding.

– Nie – odrzekł. – Żaden z nich panu nie pomoże.

– Marjorie mnie ostrzegła – wyszeptał Rigo.

Persun usłyszał jego szept.

– Wielu z nas próbowało pana ostrzec. Lady Westriding myśli w sposób bardzo klarowny. Hippae jej nie zabrały.

– Wierzysz, że one robią coś z umysłami ludzi...

Z niemalym wysiłkiem Persun powstrzymał się przed kpiącą odpowiedzią.

– Czy pan ambasador ma inne wyjaśnienie?

– Łąduję! – oznajmił Sebastian. – Na dziedzińcu zebrał się spory tłum. Zupełnie jakby na nas czekali.

Rigo miał złe przeczucia, gdy patrzył w dół. Unosiło się ku niemu mnóstwo bladych twarzy. Poza tym były tam Hippae! Rzeczywiście wyglądało na to, że na nich czekają. Przez chwilę rozważał, czy nie kazać Sebastianowi zawrócić do domu, ale byłoby to skrajne tchórzostwo! Lepsza śmierć niż ujma na honorze, pomyślał kpiąco. Oczywiście.

– Łąduj – polecił.

Kiedy otworzył drzwi, Obermun Jerril bon Haunser już na niego czekał, a jego oblicze było wyzute z wszelkich emocji.

– Wasza Ekscelencjo – rzekł. – Mam zaszczyt przekazać panu wyzwanie Obermuna Stavengera bon Damfelsa. Prosił, abym powiedział, że ta kurwa, pańska żona, zabrała jego syna Sylvana. A pan za to odpowie albo zostanie stratowany na śmierć. – Wskazał za siebie, ku murowi posiadłości, gdzie tuzin Hippae przestępował z nogi na nogę, stukając kolcami na szyjach, mimo że na ich grzbietach siedzieli mężczyźni i kobiety o pustych obliczach.

Rigo poczuł, że roztopione żelazo napływa mu do twarzy. Fakt, że Jerril bon Haunser powiedział to samo, co Rigo pomyślał o swojej żonie, tylko wzmógł jego furję.

– Jak pan śmie? – warknął. – Jak ktokolwiek z was śmie?! Matka wyrusza na poszukiwanie córki, a wy nazywacie ją kurwą? To wasze żony stały się kurwami. Wasze żony i córki! To one się z nimi kurwią! – Wskazał sztywnym palcem rząd Hippae pod ścianą. – Wasze żony i córki rozkładają nogi przed kochankami, którzy nawet nie są ludźmi!

Jeźdźcy nawet nie drgnęli. Wyraz twarzy Obermuna bon Haunsera nie uległ zmianie. Zachowywał się, jakby był głuchy i ślepy. Jakby nie słyszał pogardliwych obelg Riga. Ukłonił się, wykrzywił usta w pustym uśmiechu i wskazał zbliżającego się Hippae.

– Pański wierzchowiec – oznajmił.

Rigo poczuł, że Persun chwytła go za rękę.

– Odejdźmy stąd, Wasza Ekscelencjo. Możemy to zrobić!

Rigo strząsnął dłoń Persuna.

– Nie zamierzam uciekać – warknął zza czerwonej zasłony gniewu. – Na pewno nie przed nimi.

– Więc niech pan to przyjmie, na litość boską. – Persun wsunął mu coś do kieszeni kurtki. – To laserowy nóż, Wasza Ekscelencjo. Jedno z moich narzędzi do rzeźbienia. Lady Marjorie mi nie wybaczy, jeśli pozwolę panu umrzeć.

Jego słowa docierały do Riga, który jednak był zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć. Wyskoczył z pojazdu i zaczął na Hippae. Stwór wyszczerzył się do niego, ukazując zęby i błyskając ślepiami. Nie dało się nie zauważyć kryjących się w nich złych zamiarów, zuchwałości i arogancji. W nagłym przyplywie paniki Rigo zrozumiał, że to nie Stavenger bon Damfels rzucił mu wyzwanie. Ono pochodziło od Hippae! To one zorganizowały i wyreżyserowały tę konfrontację, zaplanowały pokaz w wykonaniu ludzi i bestii. Jerril bon Haunser tylko wykonywał ich wolę.

Rigo zerknął w górę, ku posiadłości. Na tarasach zgromadzili się ludzie, którzy patrzyli z otwartymi ustami, oszołomieni, zachwyceni albo wystraszeni. Zatem to nie był znajomy widok. Jak bestiom się to udało? W jaki sposób wywabiły jeźdźców z posiadłości? W jaki sposób zgromadziły myśliwych?

Nie było czasu zastanawiać się nad tym, jak i po co to zrobiły. Hippae, który podszedł do Riga, wysunął nakrapianą niebieską nogę, umięśnioną jak pomnik. Rigo zaczął szukać swojego pierścienia od wodzy, znalazł go w kieszeni, a następnie niezdarnie zarzucił na dolny kolec i poczuł, jak pierścień się zaciska, gdy skoczył w górę. Palcami u nóg znalazł otwory strzemion. Ledwie zdołał się usadowić, bestia stanęła dęba. Rigo zobaczył niebo, zawieszony jedynie na zaciągniętych wodzach oraz palcach stóp, i mocno napiął mięśnie nóg i pleców, żeby utrzymać się na grzbiecie wierzchowca. Hippae zaczął dumnie kroczyć na tylnych nogach, śmiejąc się niemal jak człowiek, najwyraźniej poruszając się w tej pozycji równie

swobodnie jak na czworakach. Rigo miał wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim wierzchowiec ponownie opadł przednimi nogami na ziemię.

Obok niego zamajaczyła kolejna bestia, potężny zielony Hippae, który zrównał się z niebieskim jak na parady. Na jego grzbiecie siedział Stavenger, wpatrzony przed siebie, z obliczem pustym jak skorupka jajka pozbawiona zawartości. Zielony Hippae zastukał kolcami, a Stavenger krzyknął. Żadnych słów, tylko bezsensowna wściekłość. Jego usta się otworzyły. Twarz poczerwieniała. Zawył, a potem zamknął usta i ponownie znieruchomiał.

Niebieski stwór zastukał kolcami i Rigo również poczuł, że krzyczy. Zdusił ten wrzask, odciął go i połknął. Wezbrał w nim gniew, który wypchnął Hippae z jego umysłu. Bestie płąsały obok siebie, jak para tańcząca kadryla. Galopowały, kłusowały, przestępowały z nogi na nogę, powtarzały cały układ. Rigo, jako jeździec, poczuł jeszcze większą wściekłość. Nauczyły ich tego Don Kichot i El Dia Octavo. To były kpiny. Upokorzenie. Mocno okręcił lewą dłoń wozami, żeby uwolnić prawą rękę, po czym wymacał w kieszeni laserowy nóż. Proste, zwyczajne narzędzie, którego Persun używał do cięcia kawałków drewna i łądy traw, a zapewne także paneli w gabinecie Marjorie. Proste narzędzie.

A jednak... mogło stanowić broń. Popatrzył na zderzające się kolce na szyi stwora. Przypominały rogi. Albo kły. Jeżeli rzeczywiście nimi są, to bestia może nie poczuć ich przecięcia. Nóż dysponował ostrzem o regulowanej mocy i długości. Przy większej mocy mógł odciąć kolce przy samym ciele. Podczas gdy Hippae tańczył, Rigo wyciągnął do przodu jedną rękę, uruchomił nóż kciukiem i dotknął czubka drugiego kolca. Laser zagłębił się w nim jak rozgrzane ostrze w wosku. Hippae nie zareagował. Rigo szybko się rozejrzał. Nikt nie zauważył tego, co zrobił. Nikt na niego nie patrzył. Taniec wierzchowców nie był przeznaczony dla żywych trupów stojących pod murem, dla Jerrila, Erica ani nawet Stavengera. Hippae robiły to dla siebie. Tylko one czerpały z tego przyjemność i popisywały się swoją siłą z taką arogancją, że nie zwracały uwagi na jeźdźców. Rigo najpierw odciął ostre krawędzie pierwszego kolca, zwężając go

i przygotowując uchwyt dla dłoni, a następnie wsunął nóż z powrotem do kieszeni i czekał, co się wydarzy.

Przyszedł czas na rzucenie wyzwania. Hippae ryczały na siebie nawzajem. Odwracały się do siebie tyłem i, używając wszystkich czterech nóg, kopały w siebie jakimiś bryłami. Bryłami? Czymś czarnym i kruchym, co z trudem wyszukiwały. Czarny pył sypał się na Riga. Następnie Hippae ponownie zwróciły się ku sobie i stanęły dęba. Postukując kolcami i sycząc przez zaciśnięte zęby, rozdzieliły się i zaczęły wycofywać tanecznym krokiem. Odległość między nimi rosła. Sto jardów. Dwieście. Rigo zaryzykował spojrzenie na ludzi zgromadzonych na murach oraz na jeźdźców. Nic. Żadnych okrzyków, żadnego podniecenia. Tylko śmiertelny spokój. Zaciśnął zęby i trzymał się na grzbiecie stwora. W końcu zielona bestia opuściła łeb i zaszarżowała. Wierzchowiec Riga zrobił to samo.

Jego przeciwnik nadbiegał z prawej strony, z szyją wygiętą do dołu i obróconą, tak że kolce groźnie sterczały na zewnątrz. Wierzchowiec Riga przyjął taką samą pozycję. Oba stwory przypominały bojowe rumaki, które pędziły ku sobie z hukiem. Biegły na ślepo, grożąc sobie nawzajem. Stavenger siedział jak manekin, niczego nieświadomy. W ostatniej chwili Rigo wyszarpnął prawy but ze strzemienia i stanął na palcach lewej stopy, podnosząc i odginając do tyłu prawą nogę, mocno przytrzymując się lewą dłonią stępiętego kolca.

Kolce wierzchowca Stavengera zazębiły się z kolcami bestii, której dosiadał Rigo, przeszywając miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się jego noga, omijając skórę niebieskiego Hippae o grubość palca. Wciąż stojąc w strzemieniu, Rigo zobaczył rozerwany prawy but Stavengera. Krew tryskała z nogi mężczyzny, malując długie poszarpane linie na ziemi. Zwierzęta nie zamierzały wyrządzić sobie krzywdy. Kolce były wymierzone w nogi jeźdźców.

Rigo oparł się o łopatki stwora, a gdy Hippae się rozdzieliły, wyjął nóż i odciął cztery kolce tuż przed sobą, tak że spadły na jedną stronę. Chociaż na szyi znajdowały się jeszcze dłuższe kolce, ta amputacja zabezpieczyła go przed przebicciem. Hippae zawróciły i przygotowywały się do kolejnej szarży. Musiały naprowadzić się na właściwy kurs jak pociski; kiedy już

opuściły głowy, nie widziały, dokąd biegną. Jednakże dzięki instynktowi lub długotrwałej praktyce dokładnie wiedziały, gdzie się znajduje ich przeciwnik. Tym razem minęły się z lewej strony, a ich kolce złączyły się jak koła zębate. Przemknęły obok siebie z rykiem, a Rigo ponownie podniósł nogę, balansując po przeciwległej stronie wierzchowca, gdzie utrzymywały go wściekłość i lęk.

Tym razem kolce rozszarpały lewy but Stavengera, a z jego nogi popłynęła krew. Twarz mężczyzny nadal nie zdradzała żadnych emocji. Hippae nie zamierzały przerwać, nawet gdyby Stavenger spadł albo zginął. Nie zamierzały przerwać, dopóki Rigo nie umrze. Nie było sensu próbować zabić Stavengera. To by było jak zabicie pchły na karku atakującego psa. Nie. Żeby przerwać bitwę, musiał powstrzymać Hippae.

Kolejna szarża znów nadciągnęła z prawej strony. Rigo owinął wodze wokół lewej ręki, chwycił wygładzony kolec lewą dłonią, wycofał prawą nogę, po czym rzucił się na przeciwną stronę wierzchowca, gdy obok przebiegał drugi Hippae, i uderzył go w tylne nogi nożem ustawionym na największą długość. Ostrze zabrzęczało i przecięło ciało tak samo jak robiło to z drewnem.

Zielony stwór wrzasnął, spróbował stanąć na niemal odciętej nodze i runął na ziemię. Wierzchowiec Riga stanął dęba i zawył, usiłując uderzyć jeźdźca kolcami, których już nie miał. Rigo sięgnął w dół i przeciął tylną nogę bestii, a następnie przetoczył się na bezpieczną odległość, gdy Hippae upadł.

Hałas. Dwie wrzeszczące bestie. Z trudem wstał, nie spuszczając ich z oczu. Próbowaly pełznąć w jego stronę i stanąć na trzech nogach. Ustawił nóż na największą długość ostrza i ruszył naprzód. Szybkimi cięciami rozplatał obie czaszki, przecinając zaciśnięte szczęki od góry, pozostawiając skrócone, przyżegniete szyje, które przez chwilę się miotaly, po czym znieruchomiały.

Skądś dobiegł donośny hałas. Rigo obrócił się i zdążył zauważyć Hippae, które wcześniej stały pod murem, a teraz pędziły na niego z wysoko uniesionymi kopytami i wysuniętymi szczękami. Nie mógł się im usunąć z drogi. Rzucił się między ciała konających wierzchowców, skąd uderzał

nożem w nogi i zęby, które chciały go dosięgnąć od góry. Krwawy deszcz zalewał mu oczy.

Coś uderzyło go w głowę. Upadł, oszołomiony. Rozległ się ryk, wrzask, wycie, a następnie pisk wycofujących się Hippae. Riga ogarnęła i wciągnęła ciemność.

– Niech pan wstanie – rozległ się głos Persuna Polluta. – Proszę wsiadać. Och, szybciej, nie powstrzymamy ich długo.

Potem Rigo poczuł wibracje, wszystkie dźwięki stopniowo ucichły i ciemność wreszcie całkowicie go pochłonęła.

* * *

To Figor bon Damfels jako pierwszy dotarł do Stavengera, odczekawszy dosyć długo, aż Hippae dopełnią rzezi i odejdą. Służący Yrariera odpędzili Hippae za pomocą autolotu, po czym wyskoczyli z pojazdu i uratowali Roderiga. Figor był tym szczerze zaskoczony. Żaden ze służących bon Damfelsów ani bon Laupmonów nie próbował chronić swoich panów. Dwunastu jeźdźców odczuło pełną siłę furii Hippae. Wszyscy zginęli. Większość z nich pochodziła z rodu bon Laupmonów, a ostateczna liczba ofiar wyniosła czternaście, wliczając w to Stavengera bon Damfela oraz Obermuna bon Haunserów. U Stavengera nie było widać żadnych ran, chociaż był blady i lodowaty. Buty miał postrzępione. Figor odpiął pasek, który je podtrzymywał, i ściągnął buty. Razem z nimi odłączyły się stopy Stavengera. Buty trzymały się tylko na wąskim skórzanym pasku. Były pełne krwi. Stavenger się wykrwawił, chociaż nie ruszył się w miejsca.

Zginęły cztery Hippae, dwa, które brały udział w pojedynku, oraz dwa kolejne, którym ktoś odrąbał nogi, jakby potężnym tasakiem. To właśnie ich śmierć pragnęły pomścić pozostałe stwory.

Chociaż niewykluczone, że do jeszcze większej wściekłości doprowadziła je ucieczka Yrariera. Tańczyły, wyły i podskakiwały, usiłując pochwycić zębami wznoszący się pojazd. Kiedy to wszystko się działo, Figor nie miał czasu ani możliwości, żeby się zastanawiać. Umysły wszystkich wypełniały tylko ślepa furia i zaskoczenie. Ale gdy Hippae

odeszły, ludzie odzyskali zdolność samodzielnego myślenia. Mogli zastanowić się nad tym, co widziały ich oczy, gdy umysły pozostawały oziębiały.

– Figorze – odezwał się jego kuzyn, Taronce bon Laupmon. – Znalazłem to w miejscu, w którym był tamten *fragras*.

Figor wziął przedmiot do ręki. Jakieś narzędzie. Wcisnął kciukiem przycisk. Ostrze zadrżało i zabrzączało ze śmiercionośną mocą, a Figor ponownie wyłączył urządzenie.

– Na naszych przodków! – wyszeptał zaszokowany. – Taronce!

– To pewnie tego użył przeciwko wierzchowcom – wyszeptał kuzyn Taronce, masując się po ramieniu, w miejscu, w którym proteza łączyła się z ciałem. – Poprzecinał im nogi. Rozpłatał im głowy. Tak jak one czynią z nami. Tak jak pocięły moje ciało. – Rozejrzał się z poczuciem winy. – Schowaj to, zanim ktoś zobaczy.

– Co mówi Obermun bon Laupmonów? Lancelu?

– Zginął. Żyje Gerold. On nie był jednym z jeźdźców.

– Jak to się... – Zatoczył krąg ręką. – Kiedy tutaj trafiłem, wszystko już się zaczęło.

– Rankiem Hippae czekały na zwirowym dziedzińcu. Zabrały ludzi, to wszystko. Zabrały Stavengera, gdy tylko się pojawił, a także bon Haunsera.

– Mnie nikt nie niepokoił.

– Nie niepokoiły nikogo poza dwunastoma jeźdźcami, Stavengerem oraz Jerrilem bon Haunserem. A teraz wszyscy nie żyją.

– Jak również cztery wierzchowce – wyszeptał Figor. – Już go schowałem. Nikt się nie dowie, że go mamy.

– Użyłbyś go, prawda?

– A ty?

– Raczej tak. Myślę, że bym go użył. Jest taki poręczny. Taki mały. Można go nosić w kieszeni. Nie dowiedziałyby się, że go mam. A kiedy któryś z nich by mnie zaatakował...

– Skoro Yrarier go miał, to zapewne łatwo je zdobyć. Może we Wspólnocie.

– Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy? Przedtem?

– Nie pozwalały nam. A może sami nie chcieliśmy wiedzieć.

* * *

Kiedy Persun i Sebastian Mechanic dotarli do Opalowego Wzgórza, zostawili Riga w autolocie i za pomocą wiadofonu poinformowali ojca Persuna, że chcą ewakuować posiadłość. Rigo był nieprzytomny. Nie mogli nic dla niego zrobić; musiał czym prędzej trafić do szpitala we Wspólnocie, ale najpierw należało się zająć inną niezwykle istotną sprawą.

– Ewakuować wioskę? – spytał Hime Pollut. – Chyba żartujesz, Pers.

– Ojcze, posłuchaj. Rigo Yrarier zabił co najmniej dwa Hippae. Nie wiem, ilu ludzi zginęło w zamieszaniu, które zostawiliśmy za sobą, ale ktoś na pewno stracił życie. Pamiętam opowieści o posiadłości Darenfeldów. O tym, że została spalona po tym, jak ktoś zranił Hippae. Wtedy wszyscy w wiosce zginęli. Mieszkańcy Opalowego Wzgórza, służący w wielkim domu, to nasi ludzie, ojcze. Ludzie Wspólnoty.

– Ilu ich mieszka w Opalowym Wzgórzu?

– Ponad setka. Gdyby Roald Few mógł podesłać kilka ciężarówek...

– Ludzie będą gotowi?

– Sebastian już zmierza do wioski. Jeśli uda ci się załatwić ciężarówki, których używamy podczas przeprowadzek do zimowych kwater, to ludzie będą mogli przewieźć żywy inwentarz. Zwierzęta będą im potrzebne...

Długa cisza.

– Możesz przywieźć cudzoziemców z posiadłości?

– Tak, Jego Ekscelencję. Jego sekretarkę i jej siostrę. Starego kapłana. To już wszyscy.

– A gdzie jest jego żona? Dzieci? Drugi z kapłanów? Luksusowa kobieta Yrariera?

– Asmir Tanlig dziś rano zabrał Eugenie do Wspólnoty. Pozostałych tutaj nie ma, ale teraz nie mam czasu tłumaczyć, co robią. – Odszedł od wiadofonu i przebiegł przez dom, zatrzymując napotkanych służących. Wszyscy pochodzili z wioski. Część posłał na poszukiwanie księdza Sandovala oraz Andrei Chapelside i jej siostry, przekazując, że może im

dać tylko godzinę na spakowanie się. Nawet taka zwłoka mogła zagrozić życiu Riga, ale nie mógł tak po prostu zabrać kobiet i odlecieć, pozostawiając ich cały dobytek. Potrzebowały swoich rzeczy. Kobiety zawsze czegoś potrzebują.

Marjorie. Jej także to dotyczy. Przywołał trzy pokojówki i polecił im spakować rzeczy Lady Westriding.

– Jej ubrania – wyjaśnił. – Rzeczy osobiste.

A co ze Stellą? Czy kiedykolwiek ją odnajdą? Co było dla niej ważne?

– Ile mamy czasu, Persunie? Co powinniśmy spakować?

– Nieważne – odparł z frustracją. – Zabierzcie kilka sensownych strojów dla Marjorie i Stelli, ich biżuterię i kosztowności, tyle wystarczy.

Może to tylko bezpodstawne przypuszczenia, czysta paranoja. Może Hippae nie zaatakują Opalowego Wzgórza. Może wioska ocaleje.

A może nie. Zdjęty paniką, wrócił do wiadofonu.

– Roald Few pożyczył cztery towarowe ciężarówki z portu – oznajmił jego ojciec. – Już są w drodze. Zgodził się, że uratowanie żywego inwentarza jest niezwykle ważne.

Zatem nie tylko on się obawia. A jeśli nawet, to skutecznie zaraził strachem innych. Pognał do gabinetu Marjorie, zamierzając ocalić wszystko, co mogło jej być potrzebne. Stanął przed panelami, które sam dla niej wyrzeźbił, przed wizerunkiem damy idącej między drzewami zagajnika, czasami wyraźnie widocznej, a czasami ukrytej, cały czas lekko odwracającej uroczą twarz. Była jak sen, poza zasięgiem. W koronach drzew siedziały ptaki. Dotknął i pogłaskał jednego z nich, zastanawiając się naiwnie, czy zdąży wyciąć i uratować panele. Otrząsnął się z okrzykiem. Szkoda czasu.

Kiedy już zabrał wszystko, co zdołał, razem z Sebastianem i wszystkimi, którzy byli gotowi, poleciał prosto do szpitala, niedaleko Hotelu Portowego. Lekarze zabrali Riga; Andrea, jej siostra oraz ksiądz Sandoval udali się do hotelu.

Asmir już był na miejscu.

– Gdzie Eugenie? – spytał Persun.

– Nie wiem. Nie było jej z tobą? – odparł Asmir.

– Dzisiaj rano chciała się wybrać do Wspólnoty.

– Powiedziała mi, że zmieniła zdanie. Przyleciałem tylko po to, żeby kupić trochę zapasów.

Persun policzył swoich pasażerów na palcach i pobiegł, żeby ich spytać, gdzie jest Eugenie. Nikt nie wiedział. Czym prędzej wrócił do Opalowego Wzgórza, chcąc jak najpełniej wykorzystać dzienne światło. W wiosce ładowano ciężarówki: ludzi, żywy inwentarz, niezbędny sprzęt. Kiedy tam stał, wylądowała kolejna ciężarówka. Sebastian siedział za sterami.

– Nie mogę znaleźć Eugenie! – zawołał do niego Persun.

– Kobiety Jego Ekscelencji? Czy nie ma jej we Wspólnocie? Nie poleciała z Asmirem?

– Nie, Sebastianie. Zmieniła zdanie.

– Spytaj Lineę. Ona zajmowała się Eugenie.

Persun odnalazł wskazaną kobietę i zapytał, ale Linea nie знаła odpowiedzi. Nie widziała Eugenie od wczesnego ranka. Podejrzewała, że może być w swoim domu albo ogrodzie.

Persun pobiegł szlakiem z powrotem do posiadłości, do domu Eugenie, klnąc pod nosem. Tam jej nie znalazł. Miękkie różowe zasłony powiewały na wiosennym wietrze. Dom pachniał kwiatami, jakich Persun Pollut nigdy nie widział. Kobiety w nim nie było. Wyszedł do trawiastego ogrodu i szukał jej pośród ścieżek. Łagodne wiosenne powietrze poruszało się wokół niego, a aromat wonnych traw był niczym narkotyk dla jego nozdrzy.

– Eugenie?! – wołał. Miał wrażenie, że nie wypada chodzić po ogrodzie i wołać ją po imieniu, ale nie wiedział, jak inaczej miałby się do niej odnosić. Tak ją wszyscy nazywali. – Eugenie!

Ciężarówki wystartowały z wioski z rykiem silników. Ponownie tam wrócił, powłócząc nogami. Zostało kilka osób. Kilka świń i kur oraz samotna krowa rycząca ku niebu. Słońce wiszące nisko na zachodnim niebie wypalało swoje gorące oko w jego oczach.

– Wróć? – zapytał. – Ciężarówki?

– Chyba nie sądziłeś, że zamierzamy tutaj zostać ze wszystkimi? – odburknęła jakaś staruszka. – Co się stało? Nikt nic nie wie, poza tym, że

Hippae przyjdą, żeby wymordować nas we śnie.

Persun nie odpowiedział. Już kierował się w stronę domu, żeby spróbować po raz ostatni. Kolejno sprawdził wszystkie pomieszczenia rozległej rezydencji. Nigdzie nie znalazł Eugenie. Potem wrócił do jej domu. Tam również jej nie było.

Nie wpadł na to, żeby zajrzeć do kaplicy. Niby po co? Mieszkańcy Wspólnoty nie potrzebowali kaplic. Niektórzy z nich byli religijni, ale nie utożsamiali się z żadnym oficjalnym wyznaniem.

Wyszedł do autolotu, zaprosił do środka staruszkę, załadował na pokład jej skrzynię z kurczakami i ponownie wystartował, przez chwilę krążąc nisko nad ogrodami, wypatrując Eugenie. Kiedy dotarł do Wspólnoty, dalej się za nią rozglądał, na wypadek gdyby się okazało, że znajdowała się na pokładzie którejś z ciężarówek.

Zapadł zmrok.

– Muszę wracać! – zawołał do Sebastiana, który właśnie zakończył ostatni kurs. – Ona wciąż musi tam być.

– Polecę z tobą – odparł Sebastian. – Już wszystkich wyładowałem. Właśnie rozlokowują się w zimowych kwaterach.

– Wiesz coś o Jego Ekscelencji?

Sebastian pokręcił głową.

– Nikt nie miał czasu zapytać. Jakże odniósł obrażenia?

– Miał stratowane nogi i otrzymał cios w głowę. Oddychał swobodnie, ale nie mógł poruszać nogami. Obawiam się, że jest sparaliżowany.

– Takie obrażenia można naprawić.

– Niektóre tak. – Ponownie poderwali pojazd i ruszyli ze Wspólnoty w stronę Opalowego Wzgórza. Nie ulecieli daleko, gdy nagle ujrzeni pożar, skrzydła i zasłony ognia rozprzestrzeniające się po trawie i górujące nad posiadłością.

– A więc jednak – szepnął Persun. – Nie byłem histerykiem. Ojciec mnie o to oskarżał.

– Cieszysz się z tego? – spytał z zaciekawieniem Sebastian, zawracając po obszernym łuku, żeby móc się dokładnie przyjrzeć pożarowi. – A może wolałbyś, żeby okrzyknięto cię histerykiem, a Opalowe Wzgórze ocalało?

Widziałem panele, które wyrzeźbiłeś do gabinetu pani. I dawno nie widziałem czegoś lepszego. A raczej nigdy.

– Wciąż mam swoje dłonie – rzekł Persun, obracając je i spoglądając na nie; zastanawiał się, co mogłoby się z nimi stać, gdyby nie był płochliwy jak stara kobieta. – Mogę jeszcze coś wyrzeźbić. – Pod warunkiem, że Marjorie nic się nie stało. Pod warunkiem, że to będzie dla niej.

– Myślałem, że ogrody mają powstrzymać pożar.

– Owszem, ale nie, jeśli ktoś przeniesie ogień aż do budynków, a tak się tutaj stało, Sebastianie. Właśnie tak się stało. – Popatrzył w dół na ruiny i powstrzymał okrzyk. – Popatrz! Sebastianie. Popatrz na szlak.

Od Opalowego Wzgórza ku bagiennemu lasowi prowadził prosty jak strzała szlak, który wyglądał, jakby wydeptało go dziesięć tysięcy Hippae maszerujących w rzędach. Obaj mężczyźni wymienili przerażone spojrzenia.

– Myślisz, że ona tam jest? – wyszeptał Sebastian.

Persun pokiwał głową.

– Tak. Jest. Była. Gdzieś.

– Czy powinniśmy...

– Nie. Popatrz tam, w płomieniach. Hippae. Muszą ich być całe setki. Niektóre tańczą obok ognia. Inne wędrują szerokim szlakiem. Jak wiele z nich musiało go wydeptać? Do tego ogary. Z pewnością wszystkie ogary z całej planety ciągną w stronę Wspólnoty. Nie. Nie możemy wylądować. Wrócimy jutro. Rozejrzemy się, kiedy pożary wygasną. Może dotarła do zimowych kwater. Mam nadzieję, że nie spłonęła.

Eugenie nie spłonęła. Ogary, które przeszukały posiadłość przed wybuchnięciem pożaru, skutecznie o to zadbały.

* * *

We Wspólnocie panowało duże poruszenie, królowały domysły i plotki. Bez problemu znaleziono dach nad głową dla mniej więcej setki przybyszów. Zimowe kwatery były wystarczająco obszerne, żeby pomieścić wszystkich mieszkańców Wspólnoty, jak również ludzi z wiosek, a tylko

najmłodsi czuli się nieswojo i obco w podziemnych korytarzach i komnatach. Jaskinie były w tym miejscu, gdy pojawili się pierwsi ludzie, ale później zostały powiększone i dopasowane do potrzeb mieszkańców. Każdy, kto skończył jeden trawiański rok, doskonale je znał. Ewakuowane zwierzęta trafiły do zimowych stodół. Chociaż w tym roku jeszcze nie rozpoczęło się koszenie, pozostało wystarczająco dużo słomy i ziarna z zeszłorocznych zapasów. Wykarmienie ludzi również nie stanowiło problemu. Uchodźcy zaczęli korzystać z zimowych kuchni ze swobodą wynikającą z długiej praktyki.

Pomimo tej swobody i przyzwyczajenia, pośród przybyszów i gospodarzy wyczuwało się niepokój i lęk. Nie każdego dnia płonęła posiadłość. Owszem, już kiedyś się to zdarzyło, ale bardzo dawno temu, w czasach ich pradziadków. Niełatwo było to zrozumieć lub zaakceptować. Kiedy Persun Pollut przekazał wieści o szerokim szlaku prowadzącym do bagiennego lasu, niepokój się pogłębił. Wszyscy wiedzieli, że Hippae nie mogą się przedostać przez las, a jednak... a jednak ludzie nie przestawali się zastanawiać. Byli niespokojni i obawiali się, że to wydarzenie zwiastuje tajemnicze zagrożenia.

Niepokój rozszerzył się nawet do Dzielnicy Portowej, przyprawiając o dreszcze ludzi zajmujących się usługiwaniem nieznanym i zapewnianiem im noclegów. Świętemu Teresie i Ducky Johns również udzieliła się nerwowość. Spotkali się na krańcu ulicy Rozkoszy i przeszli wzdłuż ulicy Portowej. Ciało Ducky podskakiwało i dygotało pod potężnym złotym namiotem sukni, a Święty Teresa kroczył obok niej jak żuraw, niemal karykaturalnie długonogi i długonosy. Jak zwykle miał na sobie fioletowe spodnie ciasno opinające kolana, ale luźne w innych miejscach oraz frak skrojony z łuskowatej skóry jermota importowanej na Semlinga z jakiejś pustynnej planety na końcu nicości. Jego łysa czaszka lśniła jak stal w błękitnym blasku portowych świateł, a potężne dłonie poruszały się, gdy mówił, ani na chwilę nie przestając gestykulować.

– Więc... co to znaczy? – spytał. – Takie spalenie Opalowego Wzgórza. Nikogo tam nie było... – Jego dłonie zatoczyły kilka kręgów, ilustrując

poszukiwania z powietrza, a następnie gwałtownie się odsunęły, dając wyraz frustracji.

– Jedna osoba – poprawiła go Ducky Jones. – Zaginęła tamta luksusowa kobieta ambasadora.

– No więc jedna osoba. Jednak Hippae przeciągnęły ogień przez ogrody i wszystko spaliły. – Jego palce migotały jak płomień, rysując tę scenę z powietrza.

Ducky Jones pokiwała głową. Ten ruch posłał falę, która zaczęła się od jej uszu i przetoczyła przez całe oczekujące ciało, drżenie zakończone dopiero przy kostkach, gdzie małe stopy zadziały jako zawór bezpieczeństwa.

– Właśnie dlatego chciałam z tobą porozmawiać, Tereso. Te stwory wyraźnie wpadły w szal. Są wściekłe. Straciły nad sobą panowanie. Wiesz, że ambasador zabił kilka z nich.

– Słyszałem. Z tego, co mi wiadomo, zdarzyło się to po raz pierwszy.

– Też mi się tak wydaje. Darenfeld zranił jednego wiele lat temu, zanim spłonęła posiadłość Darenfeldów.

– Myślałem, że to był zwykły letni pożar, wywołany przez błyskawicę.

– Tak twierdzą bonowie, ale inni zaprzeczają. Bonowie udawali, że to była błyskawica, i zaczęli otaczać swoje posiadłości ogrodami, ale Roald Few mówi, że na łamach „Kroniki” we Wspólnocie napisano prawdę. To Hippae wpadły w szal.

Zacisnął usta w wąską linię, bardziej zaniepokojony, niż to okazywał.

– No ale bonowie to nie nasz problem. Jeśli nawet jutro się wszyscy usmażą, nie zmieni to naszych zwyczajów, Ducky. Może uważają się za arcydzieła stworzenia, ale my wiemy, że jest inaczej.

– Och, nie chodzi tylko o nich. Także o zarazę. Coraz częściej o niej słyszymy.

– Tutaj jej nie ma.

– Rzeczywiście, a to musi dziwić. Dochodzą mnie różne słuchy. Asmir Tanlig zasięga języka wśród ludzi. Sebastian Mechanic też jest dociekliwy. Zadają pytania. Kto jest chory? Kto umarł? Obaj pracują dla ambasadora, a zatem ten chce się czegoś dowiedzieć. Rozmawiałam o tym z Roaldem.

On porozmawiał z innymi, łącznie z mieszkańcami Portowej, którzy mają kontakt z cudzoziemcami. Wygląda na to, że zaraza występuje wszędzie poza Trawą. Jednakże ta wiedza jest ukrywana. Świętość próbuje utrzymać to w tajemnicy, chociaż pojawiają się przecieki.

– A więc? Co chcesz powiedzieć, Ducky?

– Chcę powiedzieć, że jeśli tam wszyscy wymrą, tutaj nie będą potrzebni celnicy, mój stary żurawiu, mój bocianie. Właśnie to chcę powiedzieć. Jak wtedy będziemy żyli, ty i ja? Nie mówiąc o tym, że będziemy się czuli cholernie samotni, skoro reszta ludzkości zniknie, a Hippae będą szalały.

– Nie przedostaną się przez las.

– Podobno. Tak się mówi. Ale nawet jeśli to prawda, pomyśl o całej ludzkości zamkniętej na obszarze nie większym niż Wspólnota. Ogarnia mnie klaustrofobia, Tereso, właśnie tak.

Dotarli do końca ulicy Portowej, gdzie przechodziła w koleiny wiodące na południe poprzez pastwiska, po czym zgodnie zawrócili i ruszyli w drogę powrotną – tym razem wolniej, gdyż Ducky rzadko pozwalała sobie na takie długie wędrówki.

Błękitne latarnie rzucały strumienie światła na popielatoszklistą powierzchnię portu. Stały w nim tylko dwa statki: smukły jacht ukryty w mrocznym cieniu masywnego magazynu oraz *Gwiedzna Lilia*, pękaty frachtowiec z Semlinga przyczajony w kałuży szafirowego blasku, z ładownią otwartą jak chrapiące usta. W świetle coś się poruszyło, a Ducky położyła dłoń na rękę swojego towarzysza.

– Tam – wskazała. – Tereso, widziałeś?

Widział.

– Nikt nie pracuje o tak późnej porze.

– Sprawdź to, Tereso. Proszę. Ja nie potrafię się tak szybko poruszać.

Nie musiała tego mówić, ponieważ nogi Świętego Teresy, długie jak u czapli, już go niosły poprzez popielatą powierzchnię portu. Stawiał potężne kroki, niczym wysoki polujący ptak, pozerając dystans dzielący go od dostrzeżonego ruchu. Ducky z trudem podążała jego śladem, ciężko dysząc, a jej ciało podskakiwało i dygotało, jakby w jej wnętrzu zderzało się tysiąc malutkich sprężyn. Jej towarzysz zanurzył się w cień. Przez chwilę

go nie widziała, potem jego ręka uderzyła, głowa poruszyła się jak ostry dziób, a w dłoni zatrzepotało coś bladego i rybiego. Teresa odwrócił się i ruszył w jej stronę.

Kiedy się zbliżył, Ducky krzyknęła zaskoczona. A więc to była ona, taka sama jak poprzednia. Kolejna naga dziewczyna o obojętnej twarzy, wijąca się bez słowa jak ryba nabita na włócznię.

– No – odezwał się mężczyzna. – Co o tym myślisz?

– Co ona trzyma w dłoni? – spytała Ducky. – Co ona niesie i co tam robiła?

– Próbowała się dostać na pokład – wyjaśnił Święty Teresa, mocno trzymając dziewczynę pod pachą, po czym wyrwał jej przedmiot z ręki. Pokazał go Ducky, która nachyliła się, żeby lepiej widzieć.

– To martwy nietoperz – stwierdziła. – Całkowicie wyschnięty. Po co go niosła?

Popatrzyli na dziewczynę, potem na siebie nawzajem, pełni pytań i domysłów.

– Wiesz, kto to jest – zagadnęła Ducky. – To Diamante bon Damfels, ot co. Nazywali ją Dimity. Zniknęła na początku wiosny. To z całą pewnością ona.

Nie zaprzeczył.

– Co teraz? – spytał w końcu.

– Teraz zabierzemy ją do Roalda Few – odparła Ducky. – Tak samo powinnam była zrobić z jej poprzedniczką. Zabierz ją, razem z tym, co miała przy sobie, i zaproś Galaretę, Jandrę i każdego, kto ma dobrze poukładane w głowie. Nie wiem, co się tutaj dzieje, mój stary żurawiu, ale wcale mi się to nie podoba.

* * *

W Nadrzewnym Mieście Arbaiów noc przyszła jak grzeczny gość, zapowiadając się nieśmiało, powoli przemieszczając się pośród mostów i treliazy, miękko sunąc pośród widmowych mieszkańców, bezgłośnie wnikając do każdego pomieszczenia, okrywając cieniem wszystkie

posadzki. Noc nadeszła delikatnie; ciemność w ogóle się nie pojawiła. Rozpraszały ją lśniące kule rozmieszczone wzdłuż kładek i zwisające z sufitów. Rzuciły opalizujący blask, zbyt słaby, żeby przy nim pracować, ale wystarczający, by widzieć ściany, podłogi i rampy, wiedzieć, dokąd się idzie, dostrzegać twarze przyjaciół oraz wchodzące i wychodzące duchy.

Kilka spośród domów stojących przy wysokiej platformie, zjawy nawiedzały rzadziej. W jednym z nich Tony i Marjorie rozłożyli posłania i swój dobytek. Zieloni Bracia, księża oraz Sylvan wybrali inny dom. Następnie wszyscy zebrali się na otwartej platformie, żeby wspólnie zjeść posiłek, dzieląc się swoimi racjami oraz dziwnymi owocami, które Rillibee zerwał z okolicznych drzew. Na chwilę zbliżyło się do nich kilka lisów. Ludzie widzieli cienie, słyszeli głosy, które przypominały donośny krzyk, czuli pytania dobijające się do najgłębszych zakamarków ich umysłów, usiłowali na nie odpowiedzieć. W końcu istoty się oddaliły. Ludzie poczuli, że zostali sami.

– Wielu rzeczy nie rozumiem – odezwał się Tony, dając wyraz temu, co wszyscy czuli. Doszło do rozmowy, ale była ona bardziej tajemnicza i zwodnicza niż pouczająca.

– Ja wielu spraw nigdy nie zrozumiałem – odrzekł brat Mainoa. Sprawiał wrażenie bardzo znużonego i starego.

– Te lisy są dziećmi Hippae? – spytał ksiądz James. – Dużo o tym mówiły.

– Nie dziećmi – odparł brat Mainoa. – Nie. Tak jak motyl nie jest dzieckiem gąsienicy.

– Kolejna przemiana – wyjaśniła Marjorie. – Hippae zmieniają się w lisy.

– Niektóre – dodał Mainoa. – Nie wszystkie.

– Kiedyś to dotyczyło wszystkich – upierała się, pewna swoich słów. Było to dla niej jasne, chociaż nie potrafiła powiedzieć, w jaki sposób uzyskała tę wiedzę. Po prostu wiedziała. – Dawno temu wszystkie Hippae zmieniały się w lisy.

– Kiedyś tak – przyznał. – Wtedy to lisy składały jaja.

Marjorie masowała głowę, usiłując przypomnieć sobie to, czego kiedyś nauczyła się w szkole.

– To musiała być mutacja – stwierdziła. – Niektóre z Hippae zapewne zmutowały i zaczęły się przedwcześnie rozmnażać, gdy wciąż były w tej postaci. Są takie zwierzęta, nawet na Terrze. Rozmnażają się w fazie larwalnej. Ale żeby taka mutacja przetrwała, musiała ją cechować jakaś reprodukcyjna przewaga...

– W postaci Hippae korzystają z jaskiń. Może skuteczniej strzegły jaj – zaproponował ksiądz James. – Może przetrwało więcej jaj Hippae niż jaj lisów.

– Aż w końcu to Hippae zaczęły się częściej rozmnażać i już nie wszystkie przeistaczały się w lisy. Ile jest lisów?

– Na całej planecie? – Brat Mainoa zastanowił się. – Kto wie? Za każdym razem, gdy słyszemy donośny okrzyk, starsze lisy wiedzą, że jakiś Hippae przekształcił się w jednego z nich. Wyruszają całymi dziesiątkami i próbują go odnaleźć – odnaleźć, powitać i sprowadzić do lasu, gdzie będzie bezpieczny. Jeśli jednak Hippae ich uprzedzą, zabiją nowego lisa, póki jest słaby i niezorientowany, a jeśli ukryje się w zagajniku, zabierają ze sobą ludzi i urządzają polowanie.

– Czy Hippae nie wiedzą, że one same... – Ksiądz James pokręcił głową. Brat Mainoa roześmiał się gorzko.

– Nie wierzą w to. Nie wierzą, że zmieniają się w lisy. Nie przyjmują tego do wiadomości. Sądzą, że przez całe życie pozostają w tej postaci. Wiele z nich rzeczywiście tak umiera. Czy ksiądz nie pamięta czasów, gdy był chłopcem? Czy ksiądz wtedy myślał o tym, że kiedyś dorośnie?

Sylvan niespokojnie przesunął się wzdłuż plecionej balustrady, spoglądając na las otulony nocą.

– Z pewnością nas nienawidzą – stwierdził. – Kiedy do was przemawiały, cały czas myślałem o tym, że na pewno nienawidzą bonów.

– Ponieważ na nie polujecie? – spytał Tony.

– Tak. Ponieważ bonowie na nie polują. Ponieważ pomagamy w tym Hippae.

– Nie sędzę, żeby was obwiniały – odparł brat Mainoa. – Raczej obwiniają siebie. – Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym się

poprawił. – Przynajmniej tak czuje ten, z którym rozmawiałem. Inne mogą mieć na ten temat odmienne zdanie.

– Jak brat go nazywa? – spytała Marjorie. – Nie potrafię wymyślić dla niego, dla nich, żadnej nazwy.

– *Pierwszy* – odpowiedział brat Mainoa. – Nazywam Go *Pierwszym*. – Rzekł z namaszczeniem, jakby mówił o Bogu. Zaśmiał się słabo.

– To o nich brat mówił przy obiedzie w Opalowym Wzgórzu – zauważył ksiądz James. – O lisach! To one martwiły się grzechem pierworodnym.

Brat Mainoa westchnął.

– Tak. Chociaż nie podałem prawdziwego powodu ich troski. Nie dręczy ich sumienie, nawet z powodu pożerania rzekotek. Robią tak od zawsze. Doskonale wiedzą, że ten świat nie mógłby pomieścić wszystkich rzekotek. Dlatego je zjadają, tak jak wielkie ryby zjadają małe rybki, nie przejmując się pokrewieństwem. Nie, na ich sumieniu ciąży wymordowanie Arbaiów. Niektóre z nich przejęły z naszych umysłów pojęcia grzechu i winy, a teraz nie wiedzą, co z nimi począć. To je niepokoi. Oczywiście tylko te, które się nad tym zastanawiają. Nie dotyczy to wszystkich. Podobnie jak my, lisy różnią się między sobą. One również się spierają, czasami zaciekle.

Ksiądz James zwrócił się ku niemu z zaciekawieniem.

– Czują się winne z powodu rzezi w mieście Arbaiów?

– Nie. Nie tylko z powodu tamtej rzezi. Chodzi o zagładę całej rasy – odparł Mainoa. – Wszystkich Arbaiów. Wszędzie. Nie wiem, jak to się dokonało, ale Hippae zabiły ich wszystkich.

– Wszędzie? – spytała Marjorie z niedowierzaniem. – Na innych światach? Wszędzie?

– Tak jak zaraza, która nas teraz zabija – odezwał się ksiądz James w przeblysku zrozumienia. – Myślę, że to dlatego brat Mainoa nas tutaj przyprowadził.

– Właśnie dlatego. – Brat Mainoa ponownie westchnął. – Ponieważ lisy, przynajmniej niektóre, nie chciały, żeby to się powtórzyło. Uważały, że udało im się to powstrzymać. Nie pytajcie mnie, w jaki sposób, bo nie wiem. Ale okazało się, że nie były wystarczająco ostrożne i czujne,

a chociaż są sprawy, o których nie chcą mi powiedzieć, to przyznały, że może już być za późno.

– Nie – zaprotestowała Marjorie. – Nie. Nie może być za późno. Nie przyjmuję tego do wiadomości.

Brat Mainoa wzruszył ramionami, a jego zmęczona twarz się zmarszczyła. Ksiądz James wyciągnął do niego rękę.

– Nie – powtórzyła Marjorie z całkowitą pewnością, myśląc o zagubionej Stelli, o Tonym oraz wszystkich, których kiedykolwiek poznała i o których się troszczyła. Nawet jeśli jest malutką bezimienną istotą, nie zamierza tego zaakceptować. – Niezależnie od tego, w co wierzymy, nie wolno nam uwierzyć, że jest za późno.

W klasztorze przygotowywano autolot wraz z wyposażeniem, czyli zabójcami, jak pomyślał starszy brat Fuasoi z krzywym uśmiechem wywołanym tym prywatnym żartem, jednocześnie gotując się ze złości. Siedział w swym odosobnionym gabinecie, rozmyślając o tysiącu problemów, które już mogły pokrzyżować plany Pleśni. A jeśli jeszcze tego nie zrobiły, to mogą to zrobić w najbliższej przyszłości. Może Świętość się o nim dowiedziała i wysłała swoich ludzi. Może urząd ochrony zdrowia na Semlingu przejrzał spisek Pleśni. Może Mainoa się wygadał; może ambasador już wie.

Po raz dziesiąty otworzył szufladę biurka, szukając książki Mainoa, której tam nie było. Kto ją zabrał? Czyżby Jhamlees? Ten całkowicie Uświęcony idiota? Czy tak? Jeśli tak, to zapewne powiadomi o niej Świętość. Wyśle wiadomość i otrzyma odpowiedź. Na przykład polecenie od Hierarchy, żeby otworzyć sekretną zbrojownię i zająć planetę w imieniu Świętości. Tego rodzaju odpowiedź.

Oczywiście Fuasoi nie wiedział, czy w klasztorze znajduje się sekretna zbrojownia. Wszyscy tak twierdzili, ale przecież mogli się mylić. Załóżmy, że Zieloni Bracia zajmą planetę i pozbędą się bonów, wierzchowców oraz ogarów; co potem z nią zrobią?

Znajdą lekarstwo, ot co. Mainoa uważał, że ono gdzieś tutaj jest. Znajdą je. Tylko dajcie im trochę czasu...

Fuasoi zakładał, że ma mnóstwo czasu na rozprzestrzenienie wirusa, dlatego się nie śpieszył. A teraz niewykluczone, że Jhamlees depcze mu po

piętach. Nagle poczuł przytłaczającą presję. Tak, bracia Flumzee, Niayop, Sushlee, Thissayim i Lillamool powinni znaleźć tego przeklętego brata Mainoa i go zabić – zabić brata Mainoa, Louraia i każdego, kto im towarzyszy. Tak właśnie powinno się stać. Natychmiast. Jednakże pozostawało jeszcze jedno pilne zadanie: rozprzestrzenienie wirusa. We Wspólnocie. Tam wyrządzi najwięcej dobrego. Tam jest największe zaludnienie. Fuasoi skandalicznie zwlekał. Obijał się. Wujek Shales nie byłby z niego dumny.

Wziął małą torbę z kredensu, ułożył pakunek z wirusem na warstwie ubrań na zmianę, nakrył go dodatkową szatą – jedynym, czego potrzebował Shoethai – a następnie opuścił swój gabinet i powędrował korytarzami wypełnionymi wonią słomy na żwirowy dziedziniec, gdzie znalazł Shoethaia, który właśnie zamykał pokrywę silnika.

– Gotowe? – spytał starszy brat. Cofnął się i obrzucił autolot nieprzychylnym spojrzeniem. Był to jeden z większych modeli, z dwiema kabinami, dużą z przodu i prywatną z tyłu, z których obie miały drzwi prowadzące na zewnątrz. Mniejszy pojazd nadałby się równie dobrze, a byłby szybszy. Gdyby go naprawiono. – Gotowe? – powtórzył.

Shoethai się skrzywił, zachichotał i przytaknął. W jego zachowaniu było coś niemal radosnego, a starszy brat uznał, że to myśl o zniszczeniu brata Mainoa tak cieszy Shoethaia. Nic dziwnego. Członkowie Pleśni cieszyli się ze zniszczenia każdego człowieka. „Im więcej odejdzie, tym mniej zostanie”, powiadali.

– Gdzie Flumzee?

Shoethai wskazał alejkę, z której właśnie wyłaniał się Długokostny, za którym szli jego czterej poplecznicy. Kiedy zobaczyli starszego brata, zatrzymali się zaskoczeni, po czym ukłonili się z ociąganiem.

– Lecę z wami – oznajmił starszy brat.

Shoethai zawył – co prawda bardzo krótko, ale to wystarczyło, żeby skierowało się na niego sześć par oczu. Pokornie pochylił zniekształcone ramiona, tak że jego głos dobiegł spomiędzy kolan, jak bąble unoszące się z głębi gorącego błota.

– Starszy bracie, po co tak ryzykować? Czeka brata ważna praca...

– Którą zaraz wykonam – odparł Fuosai. – Kiedy Flumzee i pozostali odnajdą cel, ty i ja zajmiemy się innymi pilnymi sprawami.

– Ja! – pisnął Shoethai. – Ja!

– Ty. Nie będziesz niczego potrzebował. Przyniosłem ci zapasową szatę. Wsiadaj. – Odwrócił się w stronę brata Flumzee’ego. – Mam nadzieję, że potrafisz to pilotować.

Długokostnemu udało się powstrzymać zachwyt i utrzymać poważną minę.

– Oczywiście, starszy bracie. Jestem znakomitym pilotem.

– Wiesz, dokąd lecieć?

– Shoethai powiedział, że do Zagajnika Darenfeldów, na północny wschód od Klive. Mam mapę. Mamy tam szukać szlaku.

Fuosai mruknął potakująco.

– Shoethai i ja zajmiemy tylną kabinę. – Wyglądało na to, że Shoethai ma jeden ze swoich ataków, dlatego Fuosoi go chwycił i wepchnął do pojazdu, a następnie wsiadł za nim i zatrzasnął drzwi.

Pozostali wymienili szybkie, gorliwe spojrzenia i zajęli miejsca w przedniej kabinie, gdzie Długokostny zasiadł przy sterach ze swobodą wynikającą bardziej z bogatych wyobrażeń niż rzeczywistej praktyki. Od czasu przybycia na Trawę zdarzało mu się pilotować autoloty. Często latał nimi w młodości. W ciągu kilku chwil wznieśli się wysoko ponad klasztorne wieże i ruszyli na południe.

– Czy oni nas stamtąd słyszą? – spytał cicho brat Niayop, Wieżochwyt.

Długokostny się roześmiał.

– Odgłosy silnika wszystko zagłuszają, bracie.

– Nie mają głośnika?

Długokostny wskazał coś bez słowa. Przełącznik na desce rozdzielczej był ustawiony w pozycji WYŁĄCZONY. Długokostny starał się nie okazywać podekscytowania. Jego kamraci zaczęli wydawać z siebie entuzjastyczne odgłosy, ale on czuł, że przywódca powinien się zachowywać bardziej godnie, przynajmniej dopóki nie nadejdzie czas zabijania. Wtedy będzie pora na wiwaty, wrzaski i okrzyki zachęty, do jakich byli przyzwyczajeni. Nigdy wcześniej nie zabili nikogo starego.

Nigdy nie zabili nikogo bezpośrednio, własnoręcznie. Strącenie kogoś z wieży lub zrzuć kopniakiem nie sprawia wrażenia morderstwa, ale gry. Nie był pewien, jak sobie poradzą z zabiciem kobiet, ale wiedział, że nie zdoła tak od razu przekonać do tego pozostałych – ani siebie. Starszy brat Fuaso zapowiedział Shoethaiowi, że w skład grupy mogą wchodzić kobiety. Shoethai poinformował o tym Długokostnego, a ten rozmawiał o tym ze swoimi kolegami przez większość nocy.

Długokostny siedział nieruchomo, gdy myślał o kobietach, nie chcąc zakłócać gorącego pulsowania, które wypełniało jego krocze i rozlewało się na nogi oraz skórę brzucha. Był z kobietą, zanim został posłany do Świątyni. Miał wtedy piętnaście lat. Później już żadnej nie miał, ale dobrze to pamiętał.

Miała na imię Lisian. Lisian Fentrees. Jej ciało było białe. Włosy kręciły się wokół twarzy, jak skupiska złotych liści. Jej piersi były miękkie i zwieńczone różem, z małymi szczelinkami na czubkach, które zmieniały się w sutki, gdy je ssał.

Spędzali razem każdą wolną chwilę, kiedy nie musieli poświęcać czasu szkole, rodzicom ani religii.

Mówiła, że go kocha. Nie pamiętał, co jej odpowiadał, ale czasami miał wrażenie, że również zapewniał ją o swoich uczuciach. W przeciwnym razie, po co by stale to powtarzała?

Pewnego ranka obudziła go czyjaś dłoń na ramieniu. Zerknął spod przymkniętych powiek na sylwetkę rozmytą przez słoneczny blask i przez chwilę sądził, że to Lisian. Była równie biała i złocista, jej twarz miała podobny kształt. Ale zapach się nie zgadzał. To nie była Lisian, tylko jego matka.

– Wstawaj, chłopcze – powiedziała. – Dzisiaj wybierasz się w podróż. – W jej głosie nie było żadnych emocji, nie płakała. Jakby to nie miało żadnego znaczenia.

Powiedzieli: dziesięć lat. Kolejne dziesięć lat jego życia oddane Świątyni, a nikt go nie uprzedził nawet słowem. Aż do dnia wyjazdu. „Nie chciałam, żebyśmy się tym martwili. Nie chciałam, żebyśmy o tym myśleli. Nie chciałam denerwować taty”.

Nawet nie miał szansy pożegnania się z Lisian. Lisian o miękkiej, ciepłej... ach...

Wspomnienia były równie silne jak rzeczywistość. Pulsowanie zmieniło się w skurcz, nad którym nie potrafił zapanować; pojazd zanurkował i zachybotał się, a pozostali zawyli i zaczęli na niego krzyczeć.

– Ejże, Długokostny chyba sobie trzepie, tylko patrzcie. Trzepu, trzepu, Długokostny. Zrób to jeszcze raz, chcemy popatrzeć.

Warknął na nich i machnął ręką, tak że Mały Most spadł ze swojego siedzenia. Z trudem powstrzymywał łzy.

– Zamknijcie się. Wcale sobie nie trzepałem, tylko... myślałem o tym, co stary Fuaso powiedział o kobietach.

Cisza. Długokostny wspominał, że kiedyś miał dziewczynę, chociaż nie chciał o niej opowiadać. Wieżochwyty również był z kilkoma kobietami, a przynajmniej tak twierdził. Żaden z pozostałych nie miał takich doświadczeń. Mały Most i Długi Most byli za młodzi, gdy przybyli do Świątoci – mieli wtedy po dziesięć albo jedenaście lat. Z kolei Linowięz lubił chłopców. Tak naprawdę wszyscy ich lubili. Kiedy nie pozostaje nic innego, trzeba sobie jakoś radzić.

– Opowiedz nam o kobietach – odezwał się Długi Most. – No dalej, Kostny. Opowiedz o swojej dziewczynie.

– Niech Chwyty wam opowie – odburknął Długokostny, ukradkowo ocierając twarz. – Jestem zajęty.

Pod nimi znajdował się Zagajnik Darenfeldów, a on wypatrzył boczny szlak. Nie było łatwo za nim podążać. Długie cienie przecinały go i sprawiały, że był słabo widoczny, nawet z powietrza. Gdy ukazywał się oczom Długokostnego, wił się między trawiastymi wzgórkami i przez zagajniki, prowadząc na zachód. Na horyzoncie widniała ciemna linia – bagienny las, ciągnący się z północy na południe. Szlak wiódł w jego stronę.

Za plecami pilota Wieżochwyty pośpiesznie opisywał kobiety z lubieżnymi szczegółami, skupiając się na poszczególnych otworach, ich powierzchni i nawilżeniu. Długokostny starał się nie słuchać. To nie było

to. Chwył tracił z oczu najważniejsze. Coś innego dotyczącego kobiet. Coś, co Długokostny utracił i chciał sobie przypomnieć.

Bagienny las znajdował się już niedaleko. Długokostny ledwie go dostrzegł, gdyż pochłaniały go próby przypomnienia sobie tego, co utracił, dawnych obrazów i na wpół zatartych imion. Czegoś, co prawie do niego wracało, ale wciąż mu się wymykało!

Silnik zaczął się krztusić. Długokostny zmarszczył czoło i otrząsnął się wystraszony, omiatając wzrokiem wskaźniki na tablicy. Pojazd był serwisowany tuż przed wylotem. Zadbał o to ten potwór Shoethai. Zadbał o to Fuaso.

Silnik ponownie się zakrztusił, a następnie zajęczał.

– Złapcie się czegoś! – zawołał Długokostny. – Mamy problem.

Skierował maszynę w dół, szybciej niż to było bezpieczne, ale jeśli pojazd zamierzał odmówić posłuszeństwa, wołał być wtedy na ziemi, niedaleko szlaku. Silnik zakaszlał, zasyczał, zajęczał, po czym ponownie się zakrztusił. Opadli o sto stóp, a Długi Most zawył z bólu.

– Ugryzłem się w język...

– Czeka cię coś dużo gorszego, jeśli nie będziesz się trzymał.

Zakołysali się na boki, a następnie na chwilę wyrównali lot, dzięki czemu Kostny zdążył posadzić autolot, który wykonał długi ślizg po chłoszczącej trawie. Pasażerowie zatoczyli się na drzwi, a gdy te się otworzyły, wypadli na poobijane źdźbła.

– O Boże – zajęczał Chwył. – O Boże.

– Zamknij się – rozkazał Długokostny. – Jeśli Hippae nie wiedzą, że tutaj jesteście, to lepiej ich o tym nie powiadamiać. – Wstał i obejrzał się dokładnie, żeby sprawdzić, czy nie jest połamany ani nie krwawi. Poza otarciem na szczęce nic mu się nie stało. – Lino, nic ci nie jest? Długi? Mały?

– Chyba w porządku.

– Kurestwo trafiło mnie prosto w nos...

– Obawiam się, że coś sobie złamałem.

– Nic sobie nie złamałeś – warknął Długokostny. – Połóż się, a nos przestanie krwawić. – Kiedy już się upewnił, że wszyscy są cali, wrócił do

pojazdu i spróbował otworzyć tylne drzwi. Były zablokowane albo zamknięte od środka. Zastukał w nie, usiłując narobić tyle hałasu, żeby ludzie w środku się ocknęli, ale nie aż tyle, żeby zwrócić uwagę innych istot, które mogły mieszkać pośród traw. – Starszy bracie!

Nic. Żadnej odpowiedzi.

– Posłuchajcie – odezwał się Mały Most, ze strachem spoglądając na słońce wiszące nisko na zachodnim niebie. – Jeśli mamy tutaj zostać po zmroku, powinniśmy wejść do pojazdu. Jeżeli znajdzie nas jakiś Hippae, maszyna zapewni nam ochronę.

– Bagienny las już niedaleko – odparł Długokostny. – Idziemy tam.

– Bagienny las! Czyś ty zwariował?

– Powiedziałem, że tam idziemy. Jeśli ktoś chce zostać, to proszę bardzo. Jeśli ktoś ma ochotę spróbować naprawić autolot, to się nie krępujcie. Ja idę do lasu. Hippae tam nie wchodzą.

– Tak samo jak ludzie – mruknął Wieżochwył. – W przeciwnym razie wracają jako trupy. – Wolał nie mówić tego głośno.

Długokostny nie odpowiedział. Już był w połowie drogi do szlaku, za którym podążali, gdy pojazd odmówił posłuszeństwa. Kiedy do niego dotarł, skręcił w prawo i ruszył w dalszą drogę. Ci, którzy tędy wędrowali, połamali tyle wysokich i twardych ździebeł, że szlakiem nie było trudno iść. Chociaż się nie oglądał, po kilku chwilach usłyszał, że pozostali wloką się jego śladem. Miał nadzieję, że zabrali plecaki; nie zamierzał po nie wracać.

W tylnej kabinie Shoethai powoli odzyskiwał przytomność. On i starszy brat uderzyli o drzwi, a raczej o zasuwkę, która je blokowała. Shoethai popatrzył w górę przez okno. Niebo. Ciemniejące niebo.

– Starszy bracie!

Fuaso oparł się na dłoniach i podźwignął do wyprostowanej pozycji.

– Co się stało?

– Spadliśmy... to znaczy autolot... spadł.

– Przecież go serwisowałeś!

– Ale... nie... nie wiedziałem, że będziemy na pokładzie!

– Ty to zrobiłeś?

Shoethai milczał, skulony, ukrywając twarz. Ironia całej sytuacji nie umknęła Fuasoiovi.

– Nienawidziłeś ich, prawda? – spytał, nie oczekując odpowiedzi. – Myślałeś, że uda ci się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu? A może nie tylko? – Odpowiedziało mu tylko pochlipywanie. – Wyjdźmy stąd. Zdajesz sobie sprawę, że może właśnie straciłeś szansę na następny świat, Shoethaiu? Nie jestem pewien, czy Stwórca potraktuje cię dobrotliwie.

Shoethai wrzasnął z wściekłości i rzucił się na Fuasoia. Zasuwka na drzwiach się poluzowała i obaj wypadli na zewnątrz. Shoethai nie przestawał krzyczeć.

Fuasoio odrzucił napastnika kopnięciem i zerwał się na nogi. Shoethai skulił się pośród traw, na zmianę łkając i wrzeszcząc. Razem z nimi wypadła torba. Fuasoio ją rozwiązał i wyjął ze środka pakunek. Wirus. No cóż. Zamierzał go rozprzestrzenić we Wspólnocie, ale może wiatr będzie musiał dopełnić dzieła. Dobył noża i rozciął pakunek.

Nagle znieruchomiał. Poprzez trawy szedł ogar. Był olbrzymi. Szczyrzył się do niego.

Starszy brat zareagował instynktownie. Z całej siły cisnął pakunkiem, po czym spróbował wgramolić się z powrotem do pojazdu. Pakunek pękł, obsypując ciemnym proszkiem nadchodzącą bestię. Shoethai zdążył jeszcze raz zawyć.

Z grzbietu długiego zbocza dobiegło wycie, w tej samej chwili, w której Długokostny i pozostali zobaczyli rozciągającą się pod nimi zaporę z drzew. Odgłos za ich plecami zabrzmiał niemal radośnie. Przez jakiś czas jazgot dobiegał z tego samego miejsca. Nie zamierzali czekać, ale gdy puścili się biegiem, odgłos zaczął się zbliżać, jakby podążał ich tropem. Długokostny biegł szybciej niż kiedykolwiek, a tuż za nim z tupotem i sapaniem pędzili Wieżochwyty oraz Długi Most. Pozostała dwójka została w tyle. Mieli krótsze nogi. Mały Most był jeszcze dzieckiem.

– Zaczekajcie! – wrzasnął Linowiaż. – Zaczekajcie na nas.

– Zaczekać, też coś – sapnął Wieżochwyty, nieznacznie wysuwając się na czoło.

Ich stopy bębniły o ziemię, a wycie coraz bardziej się zbliżało. Za liderami rozległ się krzyk, a wkrótce potem drugi. Cokolwiek ich ścigało, na chwilę przystanąło. Długokostny i dwaj uciekinierzy za jego plecami nie zatrzymywali się, żeby sprawdzić, co to takiego.

Po chwili znów rozległo się wycie. Chociaż prędko ich doganiało, zdążyli z chlupotem pokonać płytkie grzęzawisko na skraju lasu. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy dotarli do pierwszych głębokich stawów lśniących tłustymi refleksami w ostatnich promieniach dziennego światła.

– Co teraz? – ostro spytał Długi Most. – Chcesz przejść przez wodę?

– Raczej nie – odparł Długokostny. Skupiał wzrok na ogromnych, porośniętych pnączami drzewach wyłaniających się z mokrych otchłani. – Raczej nie. – Położył dłoń na najbliższym pnączu. – Czy on umie się wspinać? – spytał, podciągając się, a następnie wspinając nogami po spirali pnączy na pierwszą gałąź ponad ich głowami. – Umie?

Zatrzymali się w połowie drogi i obejrzelili. Trawa poruszała się złowieszczo, ale nic więcej nie dostrzegli. Mały Most i Linowiąz zniknęli bez śladu.

– Są trupami, Kostny – odezwał się po chwili Wieżochwył. – Tak samo jak na wieżach. Żadna różnica.

Cała trójka wymieniła spojrzenia, a następnie, ze swobodą wynikającą z długiej praktyki, bez wysiłku ruszyła w górę.

* * *

W swoich prywatnych komnatach w klasztorze naczelnik Jhamlees Zoe szukał pośród rozmaitych dokumentów pakunku, który przysłał mu ze Świętości jego stary przyjaciel Cory Strange. Wtedy zapieczętował go i ukrył przed wścibskimi oczami, a teraz, po tym, gdy zobaczył księgę brata Mainoa, musiał ponownie przeczytać list.

Przesyłkę umieszczono w zabezpieczającym opakowaniu i Jhamlees musiał kilkakrotnie przerywać, żeby przypomnieć sobie właściwą kolejność ruchów, w przeciwnym razie wybuchłaby mu w dłoniach i rozerwała twarz. Co za głupota. Ale cóż innego urząd do spraw

Bezpieczeństwa i Akceptowalnej Doktryny ma do roboty na Terrze poza tymi bezsensownymi zabawami. Szyfrowanymi listami. Wybuchowymi opakowaniami.

Kiedy już dobrał się do zawartości pakunku, zaczął kartkować list, przypominając sobie, że miał informować swojego starego przyjaciela o wszelkich odkryciach na Trawie. Z grymasem frustracji zajrzał do załączonego przewodnika. Chociaż nie miałby nic przeciwko przypieczerowaniu przyjaźni z Hierarchą, nie widział sensu w informowaniu go o sprawie brata Mainoa. Hierarcha wkrótce miał przybyć na Trawę.

Jhamlees złożył list i wepchnął go do kieszeni. Nie musiał go już przechowywać. Postanowił, że później się go pozbędzie. Resztę zawartości pakunku – dwanaście stron świętoszkowatego bełkotu oraz oficjalny przewodnik wydany przez Hierarchę – mógł zostawić na widoku.

Mimo że Hierarcha miał złożyć niezapowiedzianą wizytę, z pewnością oczekiwał, że jego przyjaciel Nods będzie znał wszystkie odpowiedzi. Z tekstu brata Mainoa wynikało, że ludzie w Opalowym Wzgórzu coś wiedzą, albo że on sam coś wie. Pytanie: czy istnieje lekarstwo? Tego będzie się chciał dowiedzieć Hierarcha! Brat Mainoa dokądś wyruszył, więc będzie można go o to zapytać dopiero, kiedy się odnajdzie. Zatem pozostała tylko jedna osoba, która może znać odpowiedź. Roderigo Yrarier. Czyli nawet nie jeden z Uświęconych! Heretycki starokatolik, nie lepszy od poganina!

Starszy brat Jhamlees wezwał Yaviego Foosha.

– Dowiedz się, gdzie obecnie przebywa ambasador Roderigo Yrarier. Zapowiedz moją wizytę.

Yavi z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę, wbijając wzrok w podłogę.

– Co się stało?

– Cóż, starszy bracie, obawiam się, że mógł zginąć.

– Zginąć!

– W posiadłości bon Laupmonów doszło do poważnego starcia z udziałem Hippae i jeźdźców. Zginęło wiele osób, także Hippae.

Ambasador znajdował się w samym centrum tych wydarzeń. Z tego, co słyszałem, służący zabrali go do szpitalu w porcie, ale możliwe, że umarł.

– Umarł. – Starszy Brat Jhamlees usiadł i ze zmarszczonym czołem popatrzył na blat biurka, czując, że ogarnia go panika. Cory'emu to się nie spodoba.

– Cóż, jeśli jednak nie umarł, to muszę się z nim spotkać. Sprawdź to.

Yavi wyszedł z gabinetu, a zasepiony Jhamlees zaczął się zastanawiać, jak nowy Hierarcha zareaguje na wiadomość: „Drogi bracie w Świętości. Jedyne dwie osoby, które mogły coś o tym wiedzieć, zapewne nie żyją”. Pochłonięty tymi niewesołymi rozważaniami, Jhamlees zapomniał o swoim zamiarze spalenia listu od Hierarchy.

* * *

Rigo ocknął się otoczony szeptem maszyn. Spróbował się poruszyć, ale bezskutecznie. Jego ręce umieszczono wewnątrz pękatych mechanizmów, które znajdowały się po obu stronach wąskiego, twardego łóżka. Uzdrawiacze, zrozumiał, powstrzymując atak paniki. Kolejny uzdrawiacz połknął jego nogi. Rigo usiłował coś powiedzieć, ale to również mu się nie udało. Jego nos i usta zakrywała maska.

Ktoś się pojawił i popatrzył mu w oczy z satysfakcją. Po chwili ta sama osoba zdjęła mu maskę i spytała:

– Czy pan wie, gdzie się znajduje?

– Nie jestem pewien – odrzekł Rigo niewyraźnym, bełkotliwym głosem.

– Pewnie w szpitalu. W porcie. Chyba zostałem stratowany.

– Dobrze, dobrze. – Postać odwróciła się i triumfalnie popatrzyła na wskaźniki oraz migoczące światełka na maszynie. Kobieta. Nic specjalnego, ale zdecydowanie kobieta. – Dobrze – dodała.

– Kto? – spytał Rigo. – Kto mnie tutaj przywiózł?

– Pański człowiek – odpowiedziała kobieta. – Albo ludzie. Jeden albo kilku.

– Jest tutaj?

– Ależ nie, na Boga. Musiał wracać i ewakuować pański dom. Wydostać ludzi. Mówił coś o odwecie Hippae.

– Marjorie! – Rigo spróbował usiąść.

– Spokojnie. – Kobieta pchnęła go z powrotem na posłanie. – Nie musi się pan martwić. Wszystkich wydostaną.

Nie mogli wydostać Marjorie, bo jej tam nie było. Ani Marjorie, ani Tony'ego, ani księdza Sandovala. Ani dwóch braci z miasta Arbaiów, o czym przeczytał w wiadomości od Tony'ego. Wszyscy dokądś wyruszyli. Razem z Sylvanem, a przynajmniej tak wynikało z wyzwania Hippae, które przekazał bon Haunser.

Rigo stęknął, próbując sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Ostatnie, co wyraźnie pamiętał, to ten przeklęty bon Haunser mówiący coś o Marjorie i Sylvanie. Sylvanie, który towarzyszył jego żonie.

A także Tony'emu, księdzu i dwóm Zielonym Braciom. Trudno to traktować jak schadzke. Nie, Marjorie nigdy się nie umawiała na schadzki. Nigdy nie była niewierna. Nigdy nie była winna tych wszystkich spraw, o które ją oskarżał. Nigdy mu nie odmawiała. Zawsze pozwalała, żeby przychodził do jej pokoju i łóżka, kiedy tylko miał ochotę. A teraz była... no właśnie, gdzie?

– Czy wiadomo coś o mojej żonie? – spytał, gdy przebłysk świadomości ustąpił miejsca zatapiającemu wszystko potężnemu bólowi, który powstrzymywała tylko cieniutka tama, krucha i przeciekająca.

– Ciii – uspokoiła go kobieta. – Później będzie pan mógł mówić. – Przekręciła jeden ze wskaźników, zerkając spod przymrużonych powiek, a Rigo ponownie odpłynął w niepowstrzymany sen, żeby śnić o Marjorie, samej z Sylvanem.

* * *

Marjorie została sama z Sylvanem.

Brat Mainoa i Rillibee Chime zasnęli. Rillibee wspiął się na szczyt wysokiego drzewa, a po zejściu poinformował ich, że przez bagienny las nie da się przedostać do Wspólnoty. Przynajmniej nie po ziemi. Wędrówka

po drzewach byłaby powolna, ale gdyby pojawiła się taka konieczność, mógł to zrobić. Potem położył się obok brata Mainoa i pogrążył w powtarzających się sennych marzeniach. Marjorie od czasu do czasu słyszała jego podniesiony głos, gdy pokrzykiwał bez słów, zachwycony albo zawiedziony, a może jedno i drugie.

Nigdzie w pobliżu nie było lisów. Wcześniej wędrowcy przez jakiś czas siedzieli skuleni w jednym z domów, osłaniając głowy rękami, podczas gdy lisy rozprawiały o czymś między sobą. Ich dysputa zalewała ludzi jak fale ognia. W końcu poczuli, że lisy zwróciły na nich uwagę, a następnie odeszły. Zupełnie jakby jeden powiedział do drugiego: „Och, zabijamy te ludzkie istotki. Lepiej się oddalmy”. Kiedy zniknęły, brat Mainoa sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek, jakby przygniatało go potężne brzemień troski.

– Nie chcą mi powiedzieć! – wykrzyknął. – Wiedzą, ale nie chcą powiedzieć.

Marjorie domyślała się, o czym mówi. Lisy z pewnością wiedziały o zarazie, ale nie miały zamiaru dzielić się swoją wiedzą. A biedny stary Mainoa był tak zmęczony i zrozpaczony, że nie mogła go prosić, żeby spróbował ponownie z nimi porozmawiać.

Tony i ksiądz James poszli zwiedzać Nadrzewne Miasto. Marjorie myślała, że Sylvan do nich dołączył. Zorientowała się, że tego nie zrobił, dopiero kiedy pozostali oddalili się na tyle, że nie mogła ich dogonić.

Sylvan od początku zamierzał zostać. Teraz, gdy Marjorie oddaliła się od swojej rodziny i męża, który stanowił przeszkodę, chciał ponownie porozmawiać z nią o miłości. Marjorie zapewne każe mu odejść, a on odpowie, że nie ma dokąd pójść, i będzie przy tym czarujący. Przynajmniej tak sobie powtarzał, już od dłuższego czasu.

O dziwo, wcale nie kazała mu odejść. Zamiast tego popatrzyła na niego nieobecny wzrokiem, który niemal go zmroził.

– Uważam cię za bardzo atrakcyjnego mężczyznę, Sylvanie. Riga również za takiego uważałam, zanim za niego wyszłam. Dopiero później się przekonałam, że zupełnie do siebie nie pasujemy. Zastanawiam się, czy tak samo byłoby z tobą.

Co mógł na to odpowiedzieć?

– Nie wiem – odrzekł niepewnie. – Naprawdę nie wiem.

– Nigdy nie pozwalała mi się przedostać przez tę grubą, męską skórę – powiedziała ze smutnym uśmiechem. – Nie zauważa, kim jestem, a jedynie kim nie jestem, zgodnie z jego aktualnymi pragnieniami. Eugenie radzi sobie znacznie lepiej. On bardzo mało od niej oczekuje, co ułatwia jej sprawę. Poza tym jest przy nim miękka jak glina. Rigo wyciska na niej swoje piętno, a ona je przyjmuje, dopasowując się do niego jak lustrzane odbicie. – Zmarszczyła czoło, zamyślona. – Początkowo tego próbowałam, ale bezskutecznie. Nie potrafię go tak traktować. Mogłam być dla niego kimś innym, na przykład przyjaciółką, ale to nie spełniało jego oczekiwań dotyczących roli żony, więc się nie przyjaźnimy. – Zwróciła się ku Sylvanowi, przesywając go spojrzeniem. – Nigdy nie pokocham nikogo, kto najpierw nie będzie moim przyjacielem, Sylvanie. Zastanawiam się, czy ty mógłbyś nim być.

– Mógłbym!

– No cóż, przekonajmy się! – Uśmiechnęła się do niego, wyginając usta bez cienia radości. – Najpierw muszę odnaleźć swoje dziecko. Nie mam innego wyjścia, choćbym miała przy tym zginąć. Możesz mi pomóc. Jeżeli tego dokonamy, będzie nas czekało kolejne zadanie. Wszędzie umierają ludzie. Musimy spróbować znaleźć rozwiązanie tego problemu. Dlatego, jeśli mnie kochasz, porozmawiajmy o tym, co musimy zrobić, a nie o nas. Będziemy uważać, żeby się nie dotykać. Stopniowo, jeśli nam się uda i nie zginiemy, wyjdą na jaw nasze prawdziwe natury i być może zaczniemy się rozumieć. Może zostaniemy przyjaciółmi.

– Ale... ale...

Ostrzegawczo pokręciła głową.

– Jeżeli tego nie chcesz, to możesz mi okazać miłość, zostawiając mnie w spokoju. Wybacz, że cię z nami ciągnę, ale potrzebowałam przewodnika. Mogę ci zaproponować tylko przeprosiny. Dopóki nie odnajdziemy Stelli, szkoda mi będzie czasu na cokolwiek innego, nawet na kłótnię.

Oparła się o balustradę, a włosy opadły jej na twarz złotym całunem, zasłaniając ją przed jego wzrokiem. Czasami na kilka chwil zapomniała

o Stelli, ale wspomnienia szybko powracały z bolesnym skurczem. Niczym odwrócony poród. Jakby usiłowała odebrać swoje dziecko i ponownie je wchłonać. Ochronić. Wessać do łona. Było to nie tylko obsceniczne, ale także niemożliwe, pomimo odczuwanego cierpienia. Ale wrzask, płacz lub miotanie się z bólu byłyby bezcelowe, tak samo jak w chwili porodu. Żałoba w niczym by jej nie pomogła. Podobnie jak próba zajęcia myśli Sylvanem, chociaż przyszło jej to do głowy. Zastanawiała się, czy z nim byłoby tak samo jak z Rigiem. Czy byłoby tak samo ze wszystkimi mężczyznami. To okropne, przeżyć całe życie i nigdy się nie dowiedzieć! Ale nie. Postąpi tak, jak postanowiła. Przynajmniej później nie będzie musiała mieć do siebie pretensji!

– Stella – powiedziała na głos, przypominając sobie o córce.

Sylvan był wściekły na siebie. Gdyby Stella zginęła, nie oczekiwałby od Marjorie, żeby się z nim kochała. Dlaczego uznał, że ją tym zainteresuje, skoro jej córka jeszcze się nie odnalazła?

Zagubieni w swoich odrębnych światach, nie mieli okazji, żeby je połączyć. Głos Tony'ego rozległ się pośród lśniących alejek. Kiedy chłopiec się zbliżył, wyczuli, że jemu i księdzu Jamesowi towarzyszy Pierwszy. Jego imię pojawiło się w umyśle Marjorie.

– To przyjaciel brata Mainoa – powiedziała ze względu na Sylvana.

– Widzę – odparł rozdrażniony. Ledwie potrafił wyczuć te stworzenia. Nie słyszał ich. Nie mógł spędzić nawet godziny sam na sam z Marjorie. Najwyraźniej nie udawało mu się osiągnąć niczego, czego pragnął.

– On chyba próbuje mi powiedzieć, że znalazł Stellę! – wykrzyknął Tony.
– Nie jestem pewien. Gdzie brat Mainoa?

– Tutaj jestem. – Staruszek wychylił się z sąsiedniego domu. – Tutaj, Tony. Ach... – Zamilkł, wyciągając jedną dłoń w stronę lisa jak antenę, wyczuwając jego komunikat. – Zgadza się, to pani córka. Znalazły ją.

– O Boże! – zawołała. To była modlitwa. – Czy ona...?

– Żyje – potwierdził. – Żyje, ale śpi albo jest nieprzytomna. Nie budziły jej.

– Mamy iść po konie?

– Zaproponowały, że jeśli nie macie nic przeciw temu, to one was zawiozą.

Nawet w takiej sytuacji Marjorie martwiła się o konie.

– Czy jeszcze tutaj wrócimy?

Milczenie, a po chwili gestykulacja brata Mainoa.

– Tak. – Chwycił się za bok i pokręcił głową, czując nagłe ukłucie bólu. – Prawdę mówiąc, jeśli to nie problem, to tutaj zostanę. Chyba że będę wam potrzebny.

Ksiądz James popatrzył na niego z niepokojem i postanowił dotrzymać mu towarzystwa. Pozostali niepewnie wspięli się na grzbiety lisów, które poniosły ich między drzewami, wzdłuż kładek i konarów, oddalając się od nadrzewnego miasta i zanurzając w ciemności, ponad płynącą wodą, pod gwiazdami, aż w końcu dotarły do skraju lasu. Grzbiety lisów były szersze niż grzbiety koni – szersze i inaczej umięśnione. Wydawało się, że są pozbawione krawędzi. Wędrowcy mieli wrażenie, że nie tyle jada, ile są niesieni, jak dzieci siedzące na powoli bujającym się stole. Przesłanie było jednoznaczne. „Nie pozwolimy wam spaść”. Po jakimś czasie odprężyli się i pozwolili dostarczyć do celu.

Wyczuwali inne lisy, które czekały na nich na skraju lasu, a następnie eskortowały przez bagna, trzymając się blisko, ale zwalniając, żeby ominąć niektóre obszary mokradeł i odnogi lasu. W końcu dotarli do pochyłości, po której spływała woda. To był pierwszy strumień, jaki widzieli na Trawie. Nie docierał daleko, tylko do szerokiego stawu, z którego następnie dyskretnie wypływał. Nad brzegiem wody Stella leżała na posłaniu z trawy, zwinięta w kłębek, bosa, na wpół rozebrana, z kciukiem w ustach.

Kiedy Marjorie uklękła i jej dotknęła, dziewczyna obudziła się z wrzaskiem, miotając się i powtarzając swoje imię – „Stella, jestem Stella, Stella” – wijąc się tak gwałtownie, że aż odrzuciła od siebie Marjorie. Rillibee chwycił Stellę, przytulił ją i uspokoił. Po chwili przestała krzyczeć. Rillibee przemawiał do niej cicho i spokojnie. Kiedy Tony jej dotknął, drgnęła i ponownie otworzyła usta. Tony się wycofał, a ona zadygotała, ale nie krzyknęła. Nie tolerowała nawet dotyku Sylvana, a za każdym razem, gdy Marjorie się do niej zbliżała, Stella wrzeszczała i płakała, targana

rozpaczliwymi spazmami, z twarzą wykrzywioną przez poczucie winy, ból i wstyd.

Chociaż pozwalała, żeby obejmował ją Rillibee, który był jej całkowicie obcy, nie mogła znieść kontaktu z nikim znajomym. Marjorie się odwróciła, zraniona tym odrzuceniem, ale uszczęśliwiona, że zdołali ją odnaleźć. Przynajmniej Stella reagowała. Wiedziała, jak ma na imię. Potrafiła odróżnić znajomych od obcych. Przynajmniej nie była taka jak Janetta.

Sylvan z czułością położył dłoń na jej ramieniu.

– Marjorie.

Wyprostowała się, zmusiła do kiwnięcia głową, do myślenia i mówienia. Nie było czasu na żalobę ani bezcelowe wzburzenie.

– Jeśli lisy zechcą cię zabrać, zawieź ją przez las do Wspólnoty. Potrzebuje opieki lekarskiej, a najszybciej dotrze do celu, jeśli lisy zaniosą ją tam po drzewach. Jedź z nią, Rillibee, wygląda na to, że ci ufa. Tony, dołącz do nich i wszystko załatw. Ja wrócę do brata Mainoa i księdza Jamesa.

– Wrócę z tobą – stwierdził Sylvan z nadzieją w głosie.

– Nie – odparła z surową miną, patrząc mu w oczy. – Wolę, żebyś pojechał z nimi, Sylvanie. Już raz ci to mówiłam. Przybyłam na Trawę z konkretnego, ważnego powodu. Im więcej się dowiaduję, tym istotniejszy staje się ten powód, ale ktoś wciąż odwraca moją uwagę – ty, Rigo, Stella. Znikacie, podnosicie alarm, wszystko komplikujecie. Rozpraszacie mnie i zwracacie mi głowę.

– Matko – odezwał się Tony. – Pozostawienie cię tutaj...

– Jedź, Tony. Stella żyje. Cieszę się z tego, ale nie wolno nam zapominać o pozostałych. Ludzie umierają z powodu zarazy. Lisy coś wiedzą. Ktoś musi się dowiedzieć, co to jest. Brat Mainoa jest stary i zmęczony, a ksiądz James może potrzebować mojej pomocy. Zostanę i postaram się jak najwięcej dowiedzieć.

– Wrócę, kiedy zapewnię opiekę Stelli – odparł Tony.

– Tak, zrób to. Ty albo Rillibee. A jeśli zdołasz, daj znać ojcu, co się stało.

Odwróciła się i wyciągnęła rękę w kierunku lisów, myśląc o Wspólnocie po drugiej stronie lasu. Wyobraziła sobie, jak Tony tam dociera, razem ze Stellą, Sylvanem i Rillibee'em. Obraz okrzepł w jej umyśle, stał się prawdziwy, tak wyraźny, jakby na niego patrzyła, a ją nagle rozboleła głowa. Spomiędzy traw dobiegło mruczenie. Lisy się zbliżyły. Ponownie wciągnęły ludzi na szerokie grzbiety, wyławiając ich jak wraki z głębin. Rillibee włókł bezwładne ciało Stelli, która kwiliła jak zranione zwierzątko.

Trudna do oszacowania liczba lisów wkroczyła do lasu i zniknęła. Marjorie poczuła wezwanie i ponownie wspięła się na Jego grzbiet, targana dziwną płataniną uczuć: ulgą, smutkiem i złością, pomieszanymi w emocjonalnym chosie. W jej umyśle pojawił się obraz głaszczących dłoni, a także wrażenie ich dotyku. Pochyliła się nad bezkresnym grzbietem i zapłakała, wciąż czując głaskanie. Po jakimś czasie dotyk stał się bardziej stanowczy, jakby ktoś nakazywał jej się wyprostować i być grzeczną. Marjorie w myślach odpowiedziała: „Tak, matko”.

Śmiech. A przynajmniej rozbawienie.

– Tak, ojciec – poprawiła się, również lekko rozbawiona, wbrew sobie.

Potężne ramiona pod nią delikatnie się poruszyły. Samiec. Niewątpliwie samiec. Dumny i śmiały. Kroczy po męsku. Porusza głową, tu i tam. Samiec. Pazury ślizgają się w osłonkach, palce dotykają, delikatne jak igły. Samiec. Widziała mnogość kształtów, niezbyt wyraźnych, w większości męskich. Samce były fiołkowe i śliwkowe, jasnofioletowe i w kolorze ciemnego czerwonego wina. Samice były mniejsze i bardziej błękitne, chociaż również nie widziała ich dokładnie. Samiec, oznajmił. Ja. „Pierwszy”. Samiec.

Przytaknęła w myślach. Był samcem. Przekazał jej słowo „Pierwszy” w cudzysłowie. A więc nie było to jego imię. Po prostu tak go nazywał Mainoa. W umyśle lisa symbol oznaczający jego imię poruszał się i był barwny – fioletowa dzikość, pełna szkarłatnych błyskawic, otulona szaroniebieską chmurą. On.

Obrazy poruszały się w jej umyśle. Zobaczyła brata Mainoa, tęgiego i ubranego na zielono, kroczącego trzeźwo między kształtami lisów. Wokół niego wykwitowała aura, gromadził się cień, blade światło na ciemnej ziemi,

coraz słabsze. Szedł jednak dalej, nieugięty, a jego stopy stanowiły kontrapunkt dla ruchu, który czuła pod sobą.

Mainoa, pomyślała. Ja również go lubię.

Nowa wizja. Marjorie pośród licznych lisów. Nie konkretnie ona, ale wyidealizowana Marjorie, tańcząca na niskiej darni wśród zgromadzenia lisów, które, choć pozbawione kształtu i granic, niewątpliwie były sobą. Tańczyli ze swoimi cieniami, podczas gdy słońce wschodziło albo zachodziło, rzucając długie cienie, które ciągnęły się niemal do horyzontu. Faliste cienie. Zmysłowe cienie. Ona, Marjorie, pośród falistych, zmysłowych cieni, tańcząca z lisami.

Tańczyli w parach, samce z samicami, splatając swoje cienie, pozwalając im się dotykać. Cieniom i umysłom. Marjorie tańczyła z Pierwszym, rękawy jej koszuli rozszerzały się jak skrzydła, powiewały jak kita, włosy falowały niczym jedwabista grzywa. Samica. Tańcząca. Nadal nie dostrzegała Jego wizji siebie, ale wiedziała, jak On ją postrzega.

Ty. Marjorie. Samica. Krok. Ruch. Kolor. Zapach.

„Niebezpieczny” – szepnęła w duchu. – „Groźny”.

Mięśnie jego ramion poruszyły się jak palce, dotykając jej. Niebezpieczny. Tak. Groźny. Tak. Tajemniczy. Cudowny. Straszliwy. Potężny. Jego skóra przemawiała do niej tak samo jak skóra koni, z której zawsze potrafiła odczytywać emocje i zamiary. Leżała na jego grzbiecie, tak jak leżała na grzbiecie Kichota, pełna ufności. Przez jedną oślepiającą chwilę widziała go wyraźnie, a wspaniałość tego widoku oszołomiła ją i odepchnęła. Poczwała, że wycofuje się z drzeniem, odrzucając go i zaprzeczając.

Wyczuł jej odmowę. Podczas tańca stał na tylnych nogach i przemieniał się, upodabniając do mężczyzny, z powiewającymi grzywą i ogonem, które mieszały się z jej włosami, gdy przyciągał ją bliżej. Pozostałe lisy poruszały się parami, stanowiły część tego wszystkiego, lecz się nie narzucały.

Radość. Ruch pełen radości. Jedna para dotyka drugiej. Jak wisiorki poruszane wiatrem, zderzające się i dzwoniące, ale delikatnie, ledwie się muskając. Zderzenia umysłów, miękkie ciosy niczym olbrzymich łap,

delikatnych jak liście, odgłosy jak dźwięk dzwonów, jak ciche granie rogów.

Bez słów. Mruczenie, ryk, warczenie dobywające się z szerokich gardzieli, gdzie wiszą kły w kolorze kości słoniowej, jak stalaktyty wrażeń, które głęboko się w niej zatapiają. Szerokie szczęki zamykają się i ją przytrzymują, łagodnie, jakby pieściły. Nie dołączyłaby do tańca z własnej woli. Dołączy z Jego inicjatywy. Nie zobaczy Go, ale On ją tak.

Żadnej myśli. Tylko doznania. Unosi się na nich, gdy nadymają się pod nią jak potężny żagiel. Żadnych zobowiązań. Jedynie doznania. Teraz. Tylko teraz.

Groźny, przypomniał jej ze śmiechem. Niebezpieczny.

Czyjaś obecność, która unosi się nad nią, gotowa i zdolna do zadania ciosu. Ona jest ofiarą. Płynie po powierzchni, jakby we krwi, ciepłej, płynnej, przesiąkającej, zmieniającej się w powietrze, którym oddycha. Zauważa Go. Zmysłowe wysunięcie pazurów. Falowanie mięśni w nodze. Bryła ramienia, falowanie trzewi, grzmot serca. Błyskawice ciekące wzdłuż nerwów jak złote druty.

Pazury jej dotknęły, delikatnie, przesuając się po nagim ciele jak paznokcie, niosąc doznania i drżenie.

Niebezpieczny. Niebezpieczny.

Krawędź jego języka musnęła jej obnażone udo, sunąc jak wąski, płonący wąż prosto do jej krocza.

Płonący symbol złożony z dwóch części, które zbliżyły się i połączyły z bolesną powolnością. Niemal je widziała.

Moje imię, powiedział. Twoje imię. My.

Wąż uniósł ją i zabrał daleko stąd. Dotarła do drzwi zbudowanych z ognia, a On zaprosił ją do środka, ale bała się i nie chciała wejść...

* * *

Kiedy wróciła, leżała na krótkiej trawie, oparta o jego pierś, pomiędzy przednimi łapami, na poduszce z miękkiego futra na brzuchu. Jego oddech

szumiał jej w uszach jak wiatr. Miała wilgotną twarz, ale nie pamiętała, żeby płakała. Rozpuszczone włosy otaczały ją jak rozpostarty jedwab.

Podniósł się i odszedł, zostawiając ją samą. Wstała w ciemności, zadowolona, że w mroku nie może zobaczyć jej twarzy, ale po chwili zapłonęła z zażenowania, gdy uświadomiła sobie, że On wcale nie musi jej oglądać. Skontrolowała swój strój, sądząc, że musi się ubrać, ale zorientowała się, że jest ubrana, a nagość kryła się w jej wnętrzu. W umyśle. Zmieniła się. Coś, co ją okrywało, zostało zerwane...

Po kilku chwilach wrócił i ponownie zaprosił ją na swój grzbiet. Wspięła się na Niego, a On ją poniósł, dyskretnie i łagodnie, jak jajko w koszyku. Taniec stał się tylko wspomnieniem. Czymś cudownym i ohydny. Czymś niedokończonym.

Menady, pomyślała. Tańczące z bogiem...

Przemawiał do niej. Wyjaśniał. Podawał imiona, ale ona widziała tylko kilka samic; było ich wyraźnie mniej niż samców. Tylko niektóre z nich zdolne do reprodukcji. Wiele postanowiło dać sobie z tym spokój. Napełniło je to smutkiem, który z czasem zmienił się w melancholię. Mroczną brązowoszarą udrekę. Beznadzieję. Przyszłość otwierała się jak bezpłodny kwiat, pusty w środku. Bez nasion.

Skąd lisy znają kwiaty? Przecież nie ma ich na Trawie.

Twoje, odrzekł. Twój umysł. Wszystko, co w nim jest. Zabrałem wszystko...

Chwila zdumienia. A więc ją poznał. Naprawdę poznał.

Jesteśmy winni, stwierdził. Może wszyscy powinniśmy umrzeć, zasugerował. Ekspiacja. Grzech. Może nie pierwородny, ale jednak grzech. Brzmienie tego słowa w jej uszach. Brzmienie słowa „niegodziwość”. Odpowiedzialność zbiorowa. (Ujrzała w myślach przemawiającego księdza Sandovala, który najwyraźniej pomyślał o takiej diagnozie). Lisy na to pozwoliły. Nie one, ale ich przodkowie, dawno temu. Zobaczyła obrazy: lisy daleko stąd, podczas gdy Hippae zabijały Arbaiów. Wrzaski, krew; następnie, w innym miejscu, niedowierzenie. Wyraźnie, jakby to było wczoraj. Były winne, wszystkie lisy.

Depresja poporodowa? Część jej umysłu zachichotała histerycznie, ale inna część ją zgaśniła. Nie. Prawdziwy smutek.

„To nie była wasza wina” – odpowiedziała. – „Nie wasza wina”. Ujrzane obrazy ją zmroziły. Tyle śmierci. Tyle bólu.

Dlaczego to powiedziała?

„Ponieważ to prawda” – pomyślała. – „Jak cholera. Nie wasza wina”.

Ale może niektórzy z nas to zrobili. Kiedy byliśmy Hippae. Niektórzy spośród nas.

„To nie wasza wina” – upierała się. – „Kiedy byliście Hippae, nie wiedzieliście. Hippae nie znają moralności. Nie wiedzą, czym jest grzech. Jak dziecko, które bawi się zapalkami i powoduje pożar domu”.

Kolejne obrazy. Dawne czasy. Hippae kiedyś lepiej się zachowywały. Stare wspomnienie. Sprzed mutacji. Wtedy nikogo nie zabijały. Kiedy to lisy składały jaja. Obraz lisa przytłoczonego smutkiem, z łbem spuszczonego między przednie łapy i żałośnie wygiętym grzbietem. Pokuta.

Palcami bezustannie poruszała we włosach, starając się je zapleść.

„Więc musicie się cofnąć” – pomyślała. – „Przywrócić dawny porządek. Niektórzy z was wciąż mogą się rozmnażać”.

Tak niewiele. Tak bardzo niewiele.

„To nieistotne. Nie marnujcie czasu na pokutę ani poczucie winy. Lepiej rozwiązać problem!”. To była prawda. Wiedziała o tym. Powinna była zdać sobie z tego sprawę wiele lat temu, w Hodowli.

Brak zrozumienia.

Przywołała obraz klęczącej postaci, lisa przytłoczonego żalem, podczas gdy Hippae dumnie paradowały i ryczały. Wykreśliła go, zanegowała. Wyobraziła sobie postać z pazurami jak szable, lisa stojącego, składającego jaja. „Lepiej. Znacznie lepiej”.

Ta wojowniczość wpadła jakby do bezdennej studni, w próżnię. Lisy przekroczyły tę granicę. Postanowiły, że już nie będą się zajmować sprawami tego świata. Czują się odpowiedzialne, ale nie chciały reagować.

Zapłakała, nie wiedząc, czy lis jej nie usłyszał, czy może po prostu ją zignorował, uznając za nieistotną. Zmieniła się, więc wiedziała, że

powinna zmusić go do słuchania, ale nie byli sami i Jego myśli były rozproszone oraz nieuporządkowane.

Noc mijała niepostrzeżenie. Przed i ponad nimi wisały lśniące kule światła Arbaiów, ku którym się wspinali. Słyszała nieustanne rżenie koni pasących się na ich wysepce. Była bardzo zmęczona, tak zmęczona, że ledwie utrzymywała się na Jego grzbiecie. Przyklęknął, a gdy sturlała się na ziemię, odszedł.

– Marjorie? – Zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz księdza Jamesa. – Czy Stella...?

– Żyje – odrzekła, oblizując usta. Mówienie wydało się jej dziwne, jakby wykorzystywała niektóre części ciała do niewłaściwych celów. – Wie, jak ma na imię. Myślę, że nas rozpoznała. Poleciałam pozostałym, żeby zabrali ją do Wspólnoty.

– Lisy ich zabrały?

Pokiwała głową.

– Część z nich. Potem pozostałe się oddaliły, nie licząc... Jego.

– Pierwszego?

Nie potrafiła Go tak nazywać. Obraziłam Boga następującymi grzechami. Dopuściłam się cudzołóstwa. Sodomii? Nie. To nie był ani mężczyzna, ani zwierzę. Więc co? Zakochałam się w... Czy zakochałam się w...?

– Bardzo długo cię nie było – stwierdził. – Minęło już pół nocy.

Bełkotała rozpaczliwie, starając się nie mówić o tym, co najbardziej ją martwiło.

– Sądziłam, że rozważania brata Mainoa na temat grzechu to przesada. Okazało się, że nie. Lisy mają na tym punkcie obsesję. Rozwazały, a może dalej rozważają samobójstwo całej swojej rasy w ramach pokuty. – Chociaż trudno nazwać samobójstwem bezruch i obojętność. A może nie?

Pokiwał głową, pomagając jej wstać i prowadząc do domu, który wybrała. Tam na wpół usiadła, na wpół przewróciła się na swoje poślanie.

– Ty też to wyczułaś, prawda? Mainoa również tak twierdzi. Nie ma wątpliwości, że Hippae zabiły Arbaiów. Prawie na pewno zabijają ludzkość. Nie wiem, w jaki sposób. Lisy nie chcą nam tego powiedzieć. Ukrywają tę

wiedzę. Zupełnie jakby nie były pewne, czy jesteśmy jej godni... To jak zabawa w szarady. Albo rozszyfrowywanie rebusu. Pokazują nam obrazy. Odczuwają emocje. Od czasu do czasu przekażą jakieś słowo. Ale chociaż to nie jest łatwe, wygląda na to, że z nami komunikują się sprawniej niż z Hippae. One i Hippae nadają lub odbierają na innych falach.

Dla Marjorie to już nie były szarady ani rebusy, ale niemal język. Mógłby się nim stać, gdyby kontynuowała, wniknęła w niego, zamiast wycofać się w ostatniej chwili. Jak mogłaby o tym powiedzieć księdzu? Zapewne mogłaby to wyznać brata Mainoa, ale nikomu innemu. Może jutro.

– Chyba ma ksiądz rację. Od czasu mutacji nie porozumiewają się z Hippae, chociaż odczułam, że w dawniejszych czasach, kiedy to one składały jaja, chętnie wspierały swoje młode.

– Kiedy to było? – spytał ksiądz.

– Dawno temu. Jeszcze przed Arbaiami. Czyli jak dawno? Przed kilkoma wiekami. A może tysiącletiami?

– Zbyt dawno, żeby mogły to pamiętać, a jednak pamiętają.

– Jak ksiądz by to nazwał? Pamięcią empatyczną? Pamięcią rasową? Pamięcią telepatyczną? – Przeczesła włosy palcami, rozplątując warkoczek. – Boże, jestem taka zmęczona.

– Prześpij się. Pozostali tutaj wrócą?

– Kiedy będą mogli. Być może jutro. Tutaj znajdują się odpowiedzi, gdybyśmy tylko zdołali do nich dotrzeć. Jutro... jutro będziemy musieli to wszystko zrozumieć.

Pokiwał głową, równie znużony jak ona.

– Jutro to zrobimy, Marjorie. Na pewno.

Nie miał pojęcia, co ona musi zrozumieć. Nie domyślał się, czego niemal się dopuściła. A może naprawdę przekroczyła tę granicę. Jak wiele wystarczy, żeby uznać, że to zrobiła? Czy wciąż jest czysta? A może na jej opisanie nie ma właściwego słowa?

Wiedziała, że nie będzie mogła nikomu o tym powiedzieć. Na pewno nie jutro, a może nigdy.

* * *

Bardzo wczesnym rankiem, gdy słońce wisiało tuż nad horyzontem, lisy pozostawiły Tony'ego i jego towarzyszy podróży tuż poniżej portu, na skraju bagiennego lasu. Lisy zniknęły między drzewami, a osamotnieni jeźdźcy usiłowali sobie przypomnieć ich wygląd i dotyk.

– Zaczekacie na nas?! – zawołał Tony, próbując sobie wyobrazić lisa czekającego wysoko na drzewie, być może drzemiącego.

Nagle zgiął się wpół z bólu. Zobaczył lisy stojące tam gdzie teraz i słońce powoli przesuające się po niebie. Rillibee trzymał się jedną dłonią za głowę, mocno zaciskając powieki, a drugą ręką kurczowo przytrzymał Stellę.

– Zaczekacie tutaj na nas. – Westchnął w stronę lasu i otrzymał mentalne potwierdzenie.

– Tony, co się dzieje? – spytał Sylvan.

– Gdybyś je słyszał, nie musiałbyś pytać – odparł Rillibee. – Uważają, że jesteśmy głusi, dlatego krzyczą.

– Żałuję, że nie krzyczą na tyle głośno, żebym mógł je usłyszeć – odrzekł Sylvan.

– Wtedy usmażyłyby mózgi całej reszcie – odparł Tony z irytacją w głosie. Jeśli od razu poczuł sympatię do Rillibee'ego, to niezbyt podobał mu się Sylvan, który miał w zwyczaju rozkazywać innym. „Pójdziemy tam”. „Zatrzymamy się na chwilę”.

– Ktoś w porcie podwiezie nas do Drogi Trawiastej Góry – stwierdził Sylvan. – Tam porozmawiamy z miejscowym funkcjonariuszem bezpieczeństwa. – Ruszył w stronę portu.

Chociaż Tony'emu szkoda było energii na kłótnię, chciał szybko dostarczyć Stellę do doktora.

– Lekarze znajdują się po drugiej stronie miasta? – spytał.

Sylvan przystanął, po czym się zaczerwienił.

– Nie. Nie, prawdę mówiąc, szpital jest na szczycie tego wzniesienia, niedaleko Hotelu Portowego.

– Więc właśnie tam pójdziemy – stwierdził Rillibee, nie zostawiając miejsca na sprzeciw. Podniósł Stellę i chwiejnym krokiem zaczął się wspinać w stronę szpitala.

– Mogę pomóc ci ją nieść? – spytał Tony.

Stella zapadła w głęboki sen, a Rillibee zastanawiał się, czy w ogóle będzie pamiętała, kto ją niósł. Mimo wszystko pokręcił głową. Nie chciał odstąpić nikomu tego brzemienia, chociaż czuł się wyczerpany. Co prawda, myślał o niej jak o dziecku, lecz wcale nie była małą dziewczynką. Na grzbiecie lisa przytrzymał ją całymi godzinami. Czuł, że jego serce się do niej wyrывa, ale nie usiłował zrozumieć dlaczego.

– Poradzę sobie – odparł. – To już niedaleko.

Szpital znajdował się na szczycie sporego wzgórza, na które trudno było się wspiąć zmęczonym wędrowcom. Zbliżyli się do budynku od tyłu, gdzie czekały na nich pozbawione okien ściany i szerokie drzwi. Ktoś ubrany w biały fartuch wyjrzał na zewnątrz, a następnie się wycofał, gdy ich zobaczył. Po chwili ze szpitala wyszło kilka kolejnych osób z zasilanymi noszami. Rillibee ostatkiem sił przekazał swoje brzemię, a następnie wsparł się na ramieniu jednego z sanitariuszy i razem z nim wszedł do budynku.

– Kto to jest? – spytał ktoś.

– Stella Yrarier – odparł Tony. – Moja siostra.

– Ach! – Zaskoczenie. – Twój ojciec też tutaj jest.

– Ojciec! Co się stało?

– Porozmawiaj z lekarką. Doktor Bergrem. Jest w tamtym gabinecie.

Po kilku minutach Tony wpatrywał się w twarz śpiącego ojca.

– Na szczęście, to nic poważnego. Nie bylibyśmy w stanie wykonać klonowania i przeszczepu narządów, tak jak to robią w innych miejscach. Nie mamy sprzętu do KPN.

Klonowanie! Przeszczep narządów! Takie operacje cechowała wysoka śmiertelność. Poza tym starokatolikom nie wolno było korzystać z klonowanych narządów, chociaż zdarzali się wiarołomcy, którzy przyznawali się do tego dopiero po fakcie.

Lekarka zmarszczyła czoło.

– Nie denerwuj się, chłopcze. Powiedziałam, że to nic poważnego. Kilka skaleczeń i lekkie stłuczenie mózgu. Wszystkim się zajęliśmy. Ma uszkodzone nerwy w nogach, ale już się goją. Wystarczy, że spokojnie tutaj

poleży jeszcze dzień albo dwa. – Delikatna kobieta o zadartym nosie krążyła przy pokrętlach i je regulowała. Bujne czarne włosy spięła w ciasny kok, a jej ciało wydawało się niemal bezpłciowe w powiewającym fartuchu.

– Uspiliście go – zauważył Tony.

– To sztuczny sen. Twój ojciec jest za bardzo nerwowy, żeby zbyt długo pozostawać przytomnym. Zadręcza się.

Można to i tak nazwać, pomyślał Tony, ironicznie wykrzywiając usta. Roderigo Yrarier się zadręcza. Albo wścieka. Albo ryczy.

– Co innego twoja siostra – ciągnęła lekarka. – Sądzę, że będzie wymagała rekonstrukcji umysłu. Hippae się nią zajmowały.

– Wie pani o tym!

– Widziałam co nieco, gdy bonowie przychodzili z połamanymi kośćmi albo odgryzionymi kończynami. Nie reagowali normalnie, więc pod pretekstem sprawdzania odruchów badałam ich głowy. Zazwyczaj znajdowałam tam wiele dziwnych rzeczy, ale nie wolno mi nic z tym robić. Nie w przypadku bonów. Oni postanowili zachowywać wszystkie swoje zaburzenia i okaleczenia, nawet jeśli czynią ich one dziwnymi.

– Nie chcemy, żeby Stella była okaleczona!

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. Nie wiem jednak, czy uda mi się ją całkowicie wyprostować. Mam ograniczone zdolności.

– Powinniśmy wywieźć ją z planety?

– Cóż, młodzieńcze, uważam, że obecnie tutaj będzie bezpieczniejsza, nawet jeśli coś jest z nią nie tak. Zresztą doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Co pani ma na myśli? – Wbił w nią wzrok, nie chcąc zrozumieć.

– Zaraza – odparła. – Dość dobrze wiemy, co tam się dzieje.

– Wie pani coś o niej? Co ją wywołuje? Czy pojawiła się także tutaj?

– Tutaj nie. Tego jestem niemal pewna. Dlaczego nie spytaliście nas, lekarzy? Nie sądziliście, że jesteśmy do czegokolwiek zdolni? Na przykład ja. Ukończyłam biologię molekularną i wirusologię na uniwersytecie na Semlingu Prime. Studiowałam immunologię na Pokucie. Mogłabym pracować nad tym zagadnieniem. – Popatrzyła na niego szczerze i z zaciekawieniem. – Podobno próbowaliście potajemnie dojść prawdy.

– Rzeczywiście – szepnął. – Żeby nie dowiedziała się Pleśń. Gdyby jej członkowie wiedzieli...

Przez chwilę się nad tym zastanawiała, a jej twarz powoli bledła, gdy uświadamiała sobie, co to oznacza.

– Sprowadziliby ją tutaj? Celowo?

– Owszem, gdyby się dowiedzieli. Gdyby przypadkiem poznali prawdę.

– Mój Boże, chłopcze. – Roześmiała się gorzko. – Przecież wszyscy ją znają.

Wszyscy znają prawdę, powiedziała lekarka, i wyglądało na to, że nie kłamie. Wszyscy wiedzą o zarazie. Wszyscy wiedzą, że przedstawiciele Pleśni mogą przebywać na Trawie. Wszyscy wiedzą o szerokim na pół mili szlaku pośród traw, który prowadzi do bagiennego lasu, który obecnie jawi się jako delikatna, łatwa do przeniknięcia zasłona, a nie niepokonana bariera, na której zawsze polegano. Histeria przybierała na sile, a w miasteczku plotki stawały się coraz liczniejsze i śmielsze.

Rozprawiano między innymi o tym, czy rzekoma odporność Trawy na zarazę jest cokolwiek warta. Jedną z osób, które najdobitniej dowodziły, że tak jest, była doktor Bergrem. Widziała kilka osób, które wysiadły ze statków, z brudnymi szarymi zmianami chorobowymi na ciele. Po tygodniu albo dwóch spędzonych na Trawie odlecieli wyleczeni. Kiedyś trafił się nawet mężczyzna w kapsule kwarantanny...

Roald Few domagał się wyjaśnień.

– A więc twierdzi pani nie tylko, że choroba tutaj nie występuje, ale że nie może się tutaj pojawić. Czyżby coś ją powstrzymywało?

Pokiwała głową i odpowiedziała, że owszem, może tak stwierdzić na podstawie swojego doświadczenia oraz obserwacji, po czym zwróciła się do Tony'ego i Rillibee'ego, by potwierdzili jej słowa.

– Nie, to nie tak – rzekł Tony znużonym głosem. – Nie chodzi o to, że zaraza nie może tutaj przybyć. Nie chodzi o to, że tutaj nikt na nią nie zapada. Choroba powstała na Trawie. W jakiś sposób. Tak uważają lisy.

To stwierdzenie wymagało dokładniejszych wyjaśnień. Od kiedy lisy rozmawiają z ludźmi? I gdzie one są? Tony i Rillibee przekazali wszystko, co wiedzieli, Roaldowi i burmistrzowi Alverdowi Bee, podczas gdy dziesiątki innych ludzi przychodziły i odchodziły. Próbowali, bez powodzenia, opisać lisy, ale spotkali się ze sceptycyzmem, a wręcz otwartym niedowierzaniem.

Ducky Jones i Święty Teresa również opowiedzieli dziwną historię: o Diamante bon Damfels, która czaiła się naga w porcie. Diamante teraz przebywała w szpitalu, gdzie zajmowała pokój obok swojej siostry, Emeraude, która została pobita, oraz Amy i Roweny, które odmówiły powrotu do Klive.

Sylvan, gdy się o tym dowiedział, poszedł spotkać się z matką i siostrami. Mieszkańcy Wspólnoty spoglądali na niego z politowaniem. Bon we Wspólnocie. Bezużyteczny jak trzecia noga u gęsi.

– Jak Diamante tutaj trafiła? – spytał zgromadzonych Tony. – Właśnie przeszliśmy przez bagienny las i jeśli on wszędzie wygląda tak samo, to nie sposób się przez niego przedostać! Blisko obu skrajów można napotkać wysepki, ale środkowa część to głęboka woda oraz płatanina niskich gałęzi i pnączy, niczym zarośnięty labirynt. Jeśli Diamante nie potrafi się wspinać jak Rillibee albo nie przyniosły jej lisy, to w jaki sposób się tutaj dostała?

– Sami zadajemy sobie to pytanie, słodziutki – odparła Ducky Jones. – Bez przerwy. Czyż nie, Tereso? A jedyna odpowiedź jest taka, że gdzieś musi istnieć inne przejście, o którym jak dotąd nie wiedzieliśmy. – Nerwowość tłumiała zwyczajową dziewczęcą zalotność Ducky.

– O którym nadal nie wiemy – poprawił ją Teresa.

– Ależ skąd, mój drogi – zaoponowała Ducky. – Wiemy, że ono gdzieś tam jest. Po prostu nie jesteśmy pewni, gdzie. Chyba że przyniosły ją te dziwaczne lisy, co wcale nie jest wykluczone!

Rillibee słuchał tego wszystkiego z zaślony wyczerpania.

– Nie sądzę, żeby to lisy ją przyniosły – stwierdził. – Brat Mainoa by o tym wiedział.

– Czy znam tego brata Mainoa, o którym wciąż pan wspomina? – spytał Alverd Bee.

Rillibee przypomniał mu, kim jest brat Mainoa.

Sylvan ponownie do nich dołączył; miał bladą i ściągniętą twarz. Dimity była przytomna, ale go nie poznała. Emmy była nieprzytomna, jednak jej stan się polepszał. Rowena spała. Amy z nim porozmawiała. Powiedziała, że jego ojciec nie żyje, a Sylvan zdziwił się, dlaczego ta wiadomość wcale go nie poruszyła.

Rillibee opowiadał burmistrzowi o pracach brata Mainoa nad przetłumaczeniem dokumentów Arbaiów.

– Czyli już coś przetłumaczono?! – wykrzyknął Roald. Nie sprawiał wrażenia oszołomionego, raczej roztrzęsionego z podekscytowania. Kępy siwych włosów otaczały jego uszy jak stercząca aureola; z chrzęstem wyłamywał palce w przerwach między stukaniem w klawisze wiadofonu, klik-klak, zupełnie jakby ktoś chodził po skorupkach orzechów. – Chciałbym to jak najszybciej zobaczyć. Muszę się skontaktować z Semlingiem.

– Jest pan lingwistą? – spytał z zaciekawieniem Sylvan, zastanawiając się, czy w ogóle jest ktoś taki na Trawie.

– Ależ nie, chłopcze – odparł Roald. – Pracuję w branży dostawczej. W kwestii języków jestem tylko amatorem. – Powiedział to, nawet nie patrząc na Sylvana, a następnie spytał Rillibee’ego: – Z kim Mainoa się kontaktował na Semlingu?

Zlekceważony Sylvan usiadł przy stole obok i oparł głowę na rękach, przyglądając się otaczającej go krzątaninie. We Wspólnocie panował większy ruch, niż mógł się spodziewać. Ludzie okazali się inteligentniejsi i znacznie zamożniejsi niż podejrzewał. Dysponowali rzeczami, których nie było nawet w posiadłościach. Potrawami. Maszynami. Wygodniejszymi mieszkaniami. Czuł się niepewnie i głupio. Pomimo wściekłości, którą odczuwał wobec Stavengera i innych przedstawicieli klasy Obermuna, uważał, że bonowie przewyższają prosty lud. Teraz zastanawiał się, czy to prawda. Czy bonowie mogą się równać z ludźmi ze Wspólnoty? Na jakiej

podstawie oczekiwał, że Marjorie odwzajemni jego zaloty? Co mógł jej zaoferować?

Ta myśl napełniła go pełnym wstrętem zażenowaniem. Przypominał sobie słowa, które kiedyś poznał, ale których rzadko używał. „Zaściankowy”. „Prowincjonalny”. „Ograniczony”. Prawdziwe słowa. Kim jest bon pośród tych ludzi? Żaden z mieszkańców Wspólnoty mu nie ustępował. Nikt nie pytał go o opinię. Kiedy Rillibee i Tony poinformowali wszystkich, że Sylvan nie słyszy lisów, obywatele Wspólnoty również zaczęli go traktować jak głuchego i niemego. Łatwiej znosiłby ich pogardę, gdyby byli zawodowcami, jak tamta lekarka, ale byli tylko amatorami, jak ten staruszek, który rozmawiał z Rillibee'em o tłumaczeniach. Zwykłymi hobbystami, którzy zgłębiali tematy niemające nic wspólnego z ich codziennym życiem. A jednak każdy z nich przewyższał go wiedzą! Sylvan rozpaczliwie pragnął do nich dołączyć, stać się częścią wspólnoty...

Dźwignął się na nogi i wyszedł w poszukiwaniu czegoś do picia.

Rillibee wstał ze swojego krzesła obok Roalda.

– Wie pan już wszystko to, co ja, panie Few. Muszę wracać do pozostałych. Nie mogę tutaj zostać. – Ponownie ziewnął, przez chwilę rozważając, czy nie zaproponować Tony'emu wspólnego powrotu. Nie. Tony będzie wolał zaczekać na jakieś wieści o Stelli. A co do Sylvana, to lepiej, żeby tutaj został. Marjorie nie chciała go ponownie widzieć.

Wyszedł, wciąż ziewając, po czym truchtem zbiegł w dół zbocza do miejsca, w którym czekały lisy. Coś go przyciągało, nalegało, żeby wrócił. Może to drzewa. Może coś więcej. Jakaś potrzeba lub cel oczekiwały go pośród drzew. Zresztą musiał dostarczyć wieści o odnalezieniu córki bon Damfelsów i obrażeniach Riga oraz o wszystkim, co wynikało z tych wydarzeń.

W pomieszczeniu, które opuścił, lekarka, Ducky Jones oraz Święta Teresa usiłowali ustalić, po co naga, bezmyślna dziewczyna próbowała się dostać na pokład frachtowca.

– Dlaczego miała przy sobie ususzonego nietoperza? Co to oznacza? – spytała pozostałych doktor Bergrem.

– Hippae – rzekł Sylvan, przechodząc obok nich. – Hippae kopią w siebie wysuszonymi nietoperzami. Można je znaleźć w ich jaskiniach.

Wreszcie na niego popatrzyli. Nagle przestał być traktowany jak niemowa.

– To gest pogardy – wyjaśnił. – W ten sposób Hippae nawzajem się poniżają, gdy rzucają sobie wyzwanie. Albo na zakończenie pojedynku, żeby podkreślić porażkę przeciwnika. Kopiąc w niego nietoperzami, mówią: „Jesteś śmieciem”.

Lees Bergrem pokiwała głową.

– Słyszałam o tym. Słyszałam, że u Hippae obserwuje się wiele symbolicznych zachowań...

Idiotycznie wdzięczny za ich zainteresowanie, Sylvan opowiedział wszystko, czego dowiedział się o Hippae w dzieciństwie, żałując, że nie ma z nimi brata Mainoa, który mógłby opowiedzieć więcej.

* * *

W połowie poranka Mainoa, Marjorie i ksiądz James znaleźli się na rozległej otwartej platformie Nadrzewnego Miasta. Wcześniej brat Mainoa badał materiały zarejestrowane za pomocą wiadofonu, Marjorie zwiedzała miasto, a ksiądz James próbował rozmawiać z lisami, dziękując Bogu, że to on się tutaj znalazł, a nie ksiądz Sandoval. Staruszek nie dopuszczał myśli o istnieniu innych inteligentnych ras. Ksiądz James zastanawiał się, co Papież na Wygnaniu pomyślałby o tym zagadnieniu.

Marjorie nie próbowała rozmawiać z lisami. Od czasu do czasu On odzywał się do niej. Przyjmowała informacje, które jej przekazywał, starając się nie okazywać innym, co się z nią dzieje za każdym razem, gdy „Pierwszy” do niej przemawia – czuła wtedy ogień pełzający wzdłuż jej nerwów, przyływ rozkoszy, smak, zapach, zawsze coś. Teraz troje ludzi siedziało naprzeciwko siebie, próbując poskładać w całość fragmenty wiedzy i hipotez.

– Arbaiowie dysponowali maszynami, które ich przenosiły – stwierdziła Marjorie. Wreszcie to zrozumiała. – Ten obiekt stojący na podwyższeniu

na środku miasta to właśnie taka maszyna. Te urządzenia transportowały Arbaiów z miejsca na miejsce.

Brat Mainoa westchnął i pomasażował skronie.

– Myślę, że masz rację, Marjorie. Zobaczmy, co otrzymałem w ciągu ostatnich kilku godzin. Przyszła kolejna wiadomość z Semlinga. – Wyjął wiadofon, umieścił go pomiędzy nimi i stuknął dłonią. – Zgodnie z teorią, że zapiski bezpośrednio poprzedzające tragedię mogą się nam najbardziej przydać, ludzie z Semlinga skupili się przede wszystkim na przetłumaczeniu odręcznie napisanej książki, którą jakiś czas temu znalazłem w jednym z domów. Przełożyli mniej więcej osiemdziesiąt procent jej treści. Wygląda na to, że mamy do czynienia z dziennikiem. Autor relacjonuje swoje próby nauczania Hippae pisma. Hippae wpadły we frustrację i wściekłość, po czym zabiły dwóch Arbaiów, którzy przebywali w okolicy. Kiedy się uspokoiły, autor zaczął protestować. Tłumaczył, że zabijanie inteligentnych istot jest złe, że śmierć Arbaiów zasmuci ich przyjaciół, a Hippae nie mogą nigdy więcej tak postępować.

Marjorie westchnęła.

– Biedny, naiwny, dobroduszny głupiec.

– Chce brat powiedzieć, że ten Arbai, autor dziennika, po prostu powiedział Hippae, żeby nigdy więcej tego nie robiły? – spytał ksiądz James z niedowierzaniem. – Sądził, że Hippae się tym przejmą?

Mainoa ze smutkiem pokiwał głową, masując ramię i rękę, jakby go bolały.

– Kiedy On... kiedy lisy myślą o Arbaiach, zawsze otaczają ich światłem, tak jak my przedstawiamy anioły – stwierdziła Marjorie.

Brat Mainoa zastanowił się, jak złote anioły na szczycie wież Świętości wyglądałyby z kłami i łuskami Arbaiów.

– Ale chyba nie dlatego, że uznawały ich za świętych, jak sądzisz, Marjorie? Raczej miały ich za nietykalnych.

Marjorie pokiwała głową. Tak. Wizja przekazywała właśnie takie wrażenie. Nietykalni Arbaiowie. Postawieni na piedestale. Nieosiągalni.

– Arbaiowie nie wierzyli, że Hippae mogą być źli? – Ksiądz James nie wierzył w to, co słyszy.

Mainoa pokiwał głową.

– To nie tak, że nie dostrzegali zła w Hippae. W ogóle w nie nie wierzyli. Wygląda na to, że nie znali pojęcia zła. W materiałach, które dostałem z Semlinga, słowo „zło” w ogóle nie występuje. Pojawiają się określenia oznaczające błędy lub nieumyślne czyny, a także wypadki, ból i śmierć, ale nie wspomina się o złu. Według komputerów rdzeń arbaiskiego słowa, którym opisywali inteligentne stworzenia, oznacza „unikające błędów”. Jako że Arbaiowie uznawali Hippae za rozumne istoty – w końcu uczyli je pisma – to uważali, że wystarczy wskazać im błędy, a Hippae będą ich unikać.

– Oczywiście te zachowania nie były błędem – dodała Marjorie. – Hippae lubiły zabijać.

– Trudno mi uwierzyć, że takie umysły... – zaczął protestować ksiądz James.

Brat Mainoa westchnął.

– Ona ma rację, proszę księdza. Przetłumaczono znaki, które Hippae wydeptały w jaskini. To arbaiskie słowo, a raczej kombinacja trzech albo więcej wyrazów. Jeden z nich oznacza śmierć, inny obcych albo cudzoziemców, a jeszcze inny radość. Specjaliści z Semlinga z dużym prawdopodobieństwem stwierdzili, że znaki oznaczają „radość z zabijania obcych”.

– Uważają, że mają prawo zabijać wszystko poza sobą nawzajem? – Ksiądz James pokręcił głową.

Marjorie roześmiała się gorzko.

– Ależ proszę księdza, czy to takie nietypowe? Popatrzmy na naszą ojczystą planetę. Czy człowiek także nie uważał, że ma prawo zabijać wszystko poza innymi ludźmi? Czy nie sprawiało nam to przyjemności? Gdzie są wieloryby? Gdzie są słonie? Gdzie są jaskrawe ptaki, które kiedyś mieszkały w naszych bagiennych lasach?

– Cóż, na pewno nie zabiły mieszkańców Nadrzewnego Miasta – odrzekł Mainoa. – Hippae nie potrafią pływać ani się wspinać, więc nie mogły zabić tutejszych Arbaiów.

– Jednakże dla nich i tak było za późno – stwierdziła Marjorie, spoglądając na widmowych kochanków, którzy właśnie wrócili na most i opierali się o balustradę w promieniach słońca, szepcząc do siebie nawzajem. Widmowi kochankowie, niebezpiecznie skupieni na sobie. Niedostrzegający tego, co ma nadejść. – Może umarli, gdy nadeszła zima. Było za późno dla wszystkich pozostałych, na innych światach.

– Ci w mieście musieli być odporni na zarazę – rzekł ksiądz James. – Mogli zejść pod ziemię. Dlaczego tego nie zrobili? My także z pewnością jesteśmy odporni. Jak wszyscy ludzie na Trawie.

– O tak – zgodziła się Marjorie. – Jestem pewna, że jesteśmy odporni, dopóki pozostajemy na planecie. Dlatego to logiczne, że Arbaiowie na Trawie również byli odporni na zarazę. To dlatego Hippae zabiły ich w taki sposób. Ale ta wiedza w niczym nam nie pomaga! Nic, czego się dowiedzieliśmy, nie ma znaczenia! Nadal nie wiemy, jak to się zaczęło. Wciąż myślę o domu. Zostawiłam tam siostrę, a Rigo matkę i brata. Oboje mamy tam siostrzenice i siostrzeńców, a także przyjaciół!

– Ciii – odpowiedział ksiądz James. – Znamy jeden sposób na wyleczenie zarazy, Marjorie. Każdy, kto tutaj przybędzie...

– Nie możemy być tego pewni – zaoponowała. – Nawet gdybyśmy przywieźli tutaj wszystkich ludzi z każdego zamieszkanego świata, to nie wiedzielibyśmy, czy nie zarażą się ponownie po opuszczeniu planety. Nie wiemy, czy nas też nie spotka taki los. Nie wiemy, jak rozprzestrzenia się zaraza. Lisy wiedzą coś, co może nam pomóc, ale nie chcą nam tego powiedzieć! Zupełnie, jakby na coś czekały. Tylko na co? – Podniosła wzrok na ciemną bryłę po drugiej stronie balustrady. Przez chwilę widziała oczy. Coś otarło się o jej umysł. Gniewnie pokręciła głową. – Ogarnia mnie straszliwe poczucie beznadziei. Jakby już było za późno. Jakby sytuacja osiągnęła punkt bez odwrotu. – Coś bezpowrotnie się zmieniło. Minięto jakąś granicę. Była tego pewna.

Lis dotknął jej umysłu bezcielesnymi dłońmi. Usłyszała pocieszający głos: „Cichutko, moja droga, cichutko”. Wsparła czoło na masywnym, odległym ramieniu. Lisy tańczyły w jej myślach, a ona im towarzyszyła.

Nagle ramię się wycofało. Popatrzyła w górę. Lis odszedł.

Po chwili zrozumiała dlaczego. Usłyszała ludzkie głosy zagłuszające szeleszczącą mowę Arbaiów. Niemożliwe, żeby Tony zdążył wrócić. Nie rozpoznawała tych głosów.

– Posłuchajcie – powiedziała, odwracając się, żeby zlokalizować ich źródło.

Ktoś kryjący się między pobliskimi drzewami ją zauważył i młode głosy zajadłowały, intonując niecierpliwy pean.

Było coś groźnego w tym okrzyku. Marjorie i dwaj starszycy wycofali się na drugi koniec placu, z niepokojem patrząc na trzy skaczące po gałęziach postacie, które z małpią zręcznością opadły na platformę.

– Bracie Flumzee – odezwał się brat Mainoa znużonym głosem. – Nie spodziewałem się tutaj brata.

Brat Flumzee stanął na balustradzie z uniesionym kolaniem, obejmując je rękami.

– Mów mi Długokostny – zaświergotał. – Poznaj moich przyjaciół. Wiezochwyty, Długi Most. Było nas jeszcze dwóch, ale Mały Most i Linowięz zostali zjedzeni przez Hippae. – Machnął ręką, wskazując jakieś inne miejsce. – Podobnie jak starszy brat Fuaso i jego mały przyjaciel Shoethai. Chociaż tego akurat nie jesteśmy pewni. Słyszeliśmy dużo wycia, ale może zdołali uciec.

– Po co w ogóle przylecieliście? – spytał brat Mainoa.

– Wysłali mnie po ciebie, bracie. – Długokostny się uśmiechnął. – Powiedzieli, że już nie jesteś jednym z nas. Należy się cię pozbyć.

– Ale powiedziałaś, że był z wami Fuaso! A także Shoethai!

– Nie spodziewaliśmy się, że do nas dołączą. Dokooptowano ich w ostatniej chwili. Miel nas zrzucić, a następnie polecieć w jakieś inne miejsce.

Widmowa postać przeszła między trzema wspinaczami. Długokostny odpędził ją, jakby była chmarą komarów.

– Co to jest, do diabła?

– Tylko obrazy – odpowiedziała Marjorie. – Wizerunki ludzi, którzy kiedyś tutaj mieszkali.

Długokostny uważnie rozejrzał się po mieście.

– Niezłe – stwierdził. – W sam raz dla wspinaczy. Jest tutaj wystarczająco dużo jedzenia, żeby ktoś mógł tu zamieszkać?

– W lecie – odrzekł brat Mainoa. – Wtedy pewnie tak. Są owoce. Orzechy. Możliwe, że także jadalne zwierzęta.

– Ale nie zimą, co? Cóż, zimą i tak moglibyśmy chodzić do miasta, prawda? Pewnie i tak chcielibyśmy się tam wybrać. Znaleźć jakieś kobiety. Przyprowadzić je tutaj.

– Chcesz tutaj zostać? – spytał Długi Most. – Kiedy już załatwimy sprawę, chcesz, żebyśmy tutaj zostali?

– Dlaczego nie? – spytał Długokostny. – Znasz jakieś lepsze miejsce dla wspinaczy?

– One mi się nie podobają. – Długi Most machnął ręką w stronę widmowych postaci, które poruszały się przed nim. – Nie podobają mi się te potwory, które wszędzie łażą.

Dwaj mężczyźni uważnie słuchali i obserwowali, zwracając uwagę na napięte mięśnie na rękach i nogach wspinaczy, na ich napięte szyje i szczęki. Brat Mainoa wiedział, że całe to gadanie nic nie znaczy i ma na celu jedynie zyskanie na czasie, żeby przybysze dokładniej przyjrzeni się swoim przeciwnikom. A kogo mieli przed sobą? Staruszka, mięczaka oraz kobietę.

Sięgnął myślą w stronę lisów. Nic. Żadnych obrazów. Żadnych słów.

– Są bracia głodni? – spytała Marjorie. – Mamy trochę jedzenia, którym możemy się z braćmi podzielić.

– O tak, jesteśmy głodni. – Długokostny ohydnie się wyszczerzył. – Ale nie mamy ochoty na jedzenie. Mamy go dużo. – Przesunął językiem po ustach, wpatrując się w Marjorie, lubieżnie zatrzymując na niej wzrok. Zadrżała. – Wyglądasz na młodą i zdrową – ciągnął. – W klasztorze rozmawialiśmy o zarazie. Ty na nią nie chorujesz, prawda, ślicznotko?

– To możliwe – odparła, z trudem panując nad głosem. – Kiedy opuszczałam Terrę, panowała tam zaraza.

Dwaj poplecznicy zwrócili się w stronę Długokostnego z pytaniami na ustach, ale uciszył ich gestem dłoni.

– Niegrzecznie tak kłamać. Gdybyś się tam zaraziła, to już byś była martwa. Wszyscy tak mówią.

– Czasami choroba ujawnia się dopiero po latach – wtrącił ksiądz James.

– A tyś co za jeden? – Długokostny się roześmiał. – Co to za strój? Jesteś służącym? Uważaj na maniery, sługo. Nikt się do ciebie nie odzywał.

– Jeśli Fuasoł wysłał was za mną – rzekł Mainoa z namysłem – to mógł mieć tylko jeden powód. Skoro nie interesuje go przyczyna zarazy, to z pewnością jest przedstawicielem Pleśni.

Marjorie wstrzymała oddech. Pleśń tutaj? Tak szybko? Czyżby się spóźnili?

Długokostny zignorował ich uwagi. Postawił obie stopy na platformie i się przeciągnął.

– Jesteście gotowi, chłopcy? – spytał. – Niech każdy z was zajmie się jednym staruchem. Ja pierwszy biorę się za kobietę...

– Długokostny. – Głos dobiegł z góry, od strony wysokich gałęzi mieniących się w słońcu. – Długokostny tchórz. Długokostny kłamca. Czy będzie się wspinał?

Marjorie poczuła, że powietrze ulatuje jej z płuc. Rillibee. Ale sam. Żadnych innych głosów.

Długokostny obrócił się i wyciągnął szyję, wpatrując się w jaskrawe korony drzew.

– Lourai! – zawołał. – Gdzie jesteś, rzekotko?

– Tutaj – dobiegł głos z góry. – Gdzie Długokostny nie potrafi się wspiąć. Gdzie Długokostny nie może mnie dosięgnąć.

– Pilnujcie, żeby nie robili hałasu – warknął Długokostny, wskazując Marjorie i dwóch staruszków. – Dopóki nie wrócę. – Wskoczył na balustradę, a następnie między drzewa. – Zaczekaj na mnie, rzekotko. Już po ciebie idę.

Plecak Marjorie leżał tuż za drzwiami. W środku znajdował się nóż. Obróciła się i ruszyła w jego stronę. Wieżochwył rzucił się naprzód, zatrzymał ją i odepchnął od drzwi. Zatoczyła się i wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać upadek. Uderzyła tylną częścią kolan w niską balustradę

i wypadła na zewnątrz; wokół niej zawirowały migoczące liście i usłyszała własny krzyk, po czym nagle wszystko ucichło.

* * *

– Jakaś bardzo mała istota chce się z tobą widzieć, o Boże – oznajmił anielski sługa. Bardzo przypominał księdza Sandovala, tylko miał skrzydła. Marjorie przystanęła w sklepionym, przezroczystym wejściu, żeby się im przyjrzeć. Nie były to skrzydła łabędzia, jakich się spodziewała, tylko prześwitujące skrzydła owada, jak u olbrzymiej ważki. Z anatomicznego punktu widzenia miały więcej sensu niż ptasie skrzydła, zwłaszcza że nie zastępowały górnych kończyn, lecz stanowiły dodatek. Anioł spiorunował ją wzrokiem.

– Tak, tak – rzekł Bóg cierpliwie. – Wejdz.

Bóg stał przed wysokim oknem spowitym w obłoki. Na zewnątrz ciągnęły się kolejne poziomy ogrody Opalowego Wzgórza. Po chwili Marjorie zorientowała się, że ogród składa się z gwiazd.

– Jak się masz? – usłyszała swój głos.

Bóg przypominał kogoś, kogo znała. Był drobniejszy, niż się spodziewała. Miał bardzo kościstą twarz i olbrzymie oczy, chociaż jej znajomy, kimkolwiek był, nigdy nie nosił takiej fryzury, ciemnych loków do ramion ani białej grzywy na skroniach.

– Witaj, bardzo mała istoto – odrzekł z uśmiechem. Światło wypełniło wszechświat. – Czy coś cię zaniepokoiło?

– Mogę zaakceptować, że nie znasz mojego imienia – odparła Marjorie.
– Chociaż było to dla mnie szokiem...

– Chwileczkę – zaprotestował. – Znam prawdziwe imiona wszystkiego. Dlaczego twierdzisz, że nie znam twojego imienia?

– Nie wiesz, że mam na imię Marjorie.

– Marjorie – powtórzył, jakby badał nieznany dźwięk. – Masz rację, nie wiedziałem, że masz na imię Marjorie.

– To bardzo ciężkie i okrutne. Być wirusem.

– Nie użyłbym słowa wirus, ale czy uważasz, że to okrutne, być czymś, co się rozprzestrzeni? – spytał. – Nawet jeśli to konieczne?

Pokiwała głową, zawstydzona.

– Widocznie przechodzisz trudne chwile. To normalne u bardzo małych istot. Właśnie po to je tworzę. Gdyby nie skomplikowane idee, które trzeba zbudować z niczego i wpleść w stworzenie, nie potrzebowałbym bardzo małych istot. Większe elementy powstają niemal samoistnie. – Wskazał wszechświat wirujący pod nimi. – Elementarna chemia, nieco nietypowej matematyki i gotowe, wszystko działa jak w piecu. To detale wymagają czasochłonnej ewolucji. Są jak smar w łożysku. Nad czym teraz pracujesz?

– Nie jestem pewna – odparła.

Anioł w progu odezwał się zniecierpliwiony.

– Bardzo mała istota pracuje nad miłosierdziem, panie. A także sprawiedliwością. Oraz poczuciem winy.

– Miłosierdziem? Sprawiedliwością? Ciekawe idee. Niemal warte tego, żeby stworzyć je bezpośrednio, zamiast zdać na łaskę ewolucji. Chociaż nie traciłbym czasu na poczucie winy. Ufam jednak, że wszyscy przebrniecie przez permutacje i osiągnięcie właściwy cel...

– Mnie brakuje takiej pewności – odrzekła. – Wiele z tego, czego mnie nauczono, nie ma sensu.

– Na tym polega natura nauczania. Coś się dzieje, a inteligencja najpierw stara się to zrozumieć, następnie tworzy regułę, a potem usiłuje ją przekazać dalej. Bardzo małe istoty zawsze działają w taki sposób. Ale zanim informacja zostanie przekazana, pojawiają się nowe wydarzenia, które nie pasują do starej zasady. W końcu inteligencja uczy się, że nie warto tworzyć zasad, a jedynie pojmować bieg zdarzeń.

– Powiedziano mi, że odwieczne prawdy...

– Na przykład jakie? – Bóg roześmiał się. – Gdyby jakieś istniały, powinienem o tym wiedzieć! Stworzyłem wszechświat oparty na zmienności, a bardzo mała istota opowiada mi o odwiecznych prawdach!

– Nie chciałam cię obrazić. Po prostu, skoro nie ma żadnych uniwersalnych zasad, to skąd mamy wiedzieć, co jest prawdą?

– Nie obraziłaś mnie. Nie tworzę czegoś, co może mnie obrazić. Co zaś dotyczy prawdy... prawdziwe jest to, co zostało zapisane. W każde stworzenie jest wpisany mój zamiar. W skały. W gwiazdy. W bardzo małe istoty. Wszystko działa w jeden naturalny sposób, który zaplanowałem. Problem polega na tym, że bardzo małe istoty piszą książki, w których zaprzeczają skałom, a następnie twierdzą, że to ja je napisałem i że skały są kłamstwem. – Roześmiał się. Wszechświat zadrżał. – Wymyślają zasady zachowania, którym nawet anioły nie potrafią sprostać, i głoszą, że to ja je wymyśliłem. Są z nich tacy dumni. – Zachichotał. – Mówią: „Och, te słowa są wieczne, więc to Bóg musiał je napisać”.

– Wasza Wspaniałość – odezwał się anioł stojący przy drzwiach. – Wasze spotkanie poświęcone analizie porażki Arbaiów...

– Ach, właśnie – odrzekł Bóg. – Oto doskonały przykład. W tej kwestii całkowicie zawiodłem. Spróbowałem czegoś nowego, ale oni byli za dobrzy, żeby uczynić cokolwiek dobrego.

– Mówiono mi, że właśnie tego pragniesz – stwierdziła. – Żebyśmy byli dobrzy!

Poklepał ją po ramieniu.

– Nadmiar dobra jest bezużyteczny. Dłuto musi mieć ostrze, moja droga. W przeciwnym razie tylko wywołuje zamieszanie, a nigdy nie przebija się do prawdziwych przyczyn i faktów...

– Wasza Wspaniałość – powtórzył anioł z rozdrażnieniem. – Bardzo mała istoto, przeszkadzasz Bogu w Jego pracy.

– Pamiętaj – rzekł Bóg. – Chociaż rzeczywiście nie wiedziałem, że nosisz imię Marjorie, dobrze wiem, kim jesteś naprawdę...

– Marjorie – powiedział anioł.

– Mój Boże, Marjorie! – Dłoń na jej ramieniu potrząsnęła nią jeszcze bardziej niecierpliwie.

– Książka James – jęknęła, wcale nie zaskoczona. Leżała na plecach i patrzyła na liście pokryte smugami słonecznego blasku.

– Myślałem, że cię zabił.

– Rozmawiał ze mną. Powiedział mi...

– Myślałem, że tamten przeklęty wspinacz cię zabił!

Usiadła. Bolała ją głowa. Czowała, że coś jest nie tak, nie na swoim miejscu.

– Pewnie uderzyłaś się w głowę.

Przypomniała sobie konfrontację na platformie i balustradę.

– Czy tamten młodzieniec mnie uderzył?

– Wypchnął cię za balustradę. Spadłaś.

– Gdzie on jest? Gdzie są oni wszyscy?

– Jeden z lisów zapędził ich do domu Arbaiów. Zeskoczył z drzewa, kiedy spadłaś, warcząc jak burza. Jest na otwartej przestrzeni, ale nadal go nie widzę. Razem z nim pojawiły się dwa kolejne. Zniosły mnie do ciebie.

Z trudem wstała, podciągając się na pękatym korzeniu, z niedowierzaniem spoglądając na platformę wysoko w górze.

– Upadek z takiej wysokości powinien był mnie zabić.

– Upadłaś na elastyczną gałąź. Potem ześlizgnęłaś się na kolejną, a w końcu wylądowałaś na tamtej kępie trawy i zarośli – wskazał. – Zupełnie jakbyś upadła na wielki materac. Twój anioł stróż nad tobą czuwał.

– Jak wrócimy na górę? – spytała, niezbyt wierząc w anioła stróża.

Ponownie coś wskazał. Dwa lisy czekały obok drzewa. Niewyraźne formy bez krawędzi; zbieżne zamiary i cele, schematy w jej umyśle.

– Pomogły w obronie przed napastnikami? – spytała.

Ksiądz James pokręcił głową.

– Ich towarzysz na górze nie potrzebował pomocy.

Przypatrywała się im przez dłuższą chwilę z namysłem. W końcu przytłoczyły ją zawroty głowy i oparła się bezwładnie o drzewo, mamrocząc:

– Skały. Gwiazdy. Bardzo małe istoty.

– Brzmisz nieswojo – zauważył ksiądz James.

– Wcale nie – odpowiedziała, z trudem zmuszając się do uśmiechu, a niedawna wizja na nowo wyświetliła się w jej umyśle. – Czy ksiądz kiedyś widział Boga?

To pytanie go zaniepokoiło. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, szklistymi oczami.

– Obawiam się, że doznałaś wstrząśnienia mózgu. Może nawet pęknięcia czaszki, Marjorie...

– A może miałam religijne doświadczenie. Wizję. To się zdarza.

Nie mógł zaprzeczyć, chociaż wiedział, że ksiądz Sandoval by to zrobił. W opinii księdza Sandovala religijne doświadczenia były czymś, czego starokatolicy powinni się wystrzegać, żeby zachować równowagę i umiarkowanie. Kiedy kwestie wiary zostały jasno określone, religijne doświadczenia tylko mieszały ludziom w głowach. Ksiądz James był mniej pewny. Pozwolił, żeby Marjorie się na nim wsparła, i razem chwiejnie pokonali kilka kroków, które dzieliły ich od lisów. Jeden z nich zabrał Marjorie i poniósł wzdłuż pochyłych gałęzi i ledwie widocznych pnączy na plac położony wysoko w górze. Wszędzie wokół czuła obecność lisów, ich ciężar w swoim umyśle, grzmot myśli, szum przyływu, jak oddech potężnego smoka w ciemności.

– Dobry Boże – szepnęła. – Skąd one wszystkie się wzięły?

– Już wcześniej tutaj były – odrzekł Mainoa. – Obserwowały nas z drzew. Po prostu się zbliżyły. Marjorie, nic ci nie jest?

– Coś jest z nią nie tak – stwierdził zmartwiony ksiądz James. – Mówi dziwne rzeczy. Jej oczy nie wyglądają normalnie...

– Wszystko ze mną w porządku – odpowiedziała nieobecny głosem, próbując przyjrzeć się zebranemu tłumowi, wiedząc, jak jest liczny, a jednak nie potrafiąc rozróżnić jego poszczególnych części. – Po co tutaj przyszły?

Brat Mainoa podniósł na nią wzrok, marszcząc czoło w skupieniu.

– Próbują się czegoś dowiedzieć, ale nie wiem czego.

Masywny lis całkowicie zastawiał drzwi. Marjorie odebrała wyraźny obraz dwóch ludzi zrzuconych z wysokiej gałęzi. Skreśliła go w myślach. W tłumie za jej plecami spotkało się to zarówno z uznaniem, jak i sprzeciwem. Po chwili zobaczyła obraz uwolnienia jednego z mężczyzn. Tę wizję również skreśliła. Kolejna porcja uznania i sprzeciwu. Wyraźnie toczyła się dyskusja. Lisy nie zgadzały się, co należy zrobić.

Ugięły się pod nią nogi, aż się zatoczyła.

– Rillibee nie wrócił?

Brat Mainoa pokręcił głową.

– Nie. Jego głos było słycać z tamtej strony. – Wskazał palcem.

Podeszła do drzwi domu. Dwaj wspinacze, którzy siedzieli z mocno związanymi rękami i nogami, posłali jej nieprzychylnie spojrzenia.

– Kto was wysłał, żebyście zabili brata Mainoa? – spytała.

Popatrzyli po sobie. Jeden pokręcił głową. Drugi, Wieżochwył, odparł, naburmuszony:

– Prawdę mówiąc, Shoethai. Ale rozkazy wydał starszy brat Fuasoi. Stwierdził, że Mainoa jest wiarołomcą.

Marjorie pomasowała bolące czoło.

– Dlaczego tak uważał?

– Shoethai powiedział, że chodziło o jakąś książkę brata Mainoa. Książkę z miasta Arbaiów.

– Mój dziennik – wyjaśnił brat Mainoa. – Obawiam się, że byłem nieostrożny. Musiałem zostawić nowy dziennik w łatwo dostępnym miejscu. Tak się śpieszyliśmy...

– O czym brat pisał? – spytała Marjorie.

– O zarazie, Arbaiach i całej tej zagadce.

– Aha – przytaknęła, odwracając się z powrotem w stronę jeńców. – Powiedz... Długi Moście. Chciałście mnie zgwałcić, prawda?

Długi Most wbił wzrok w swoje stopy, a jedno z jego nozdrzy zafalowało.

– Owszem, zamierzaliśmy spróbować. Czemu nie? Nigdzie nie widzieliśmy tych... czymkolwiek one są... więc niby dlaczego nie mielibyśmy spróbować szczęścia.

– Sądziłście, że to było... – Z trudem szukała słowa, które mógłby zrozumieć. – Mądre? A może dobre? No jak?

– A kim ty jesteś? – zakpił. – Pracujesz dla Doktryny? Mieliśmy na to ochotę, to wszystko.

– Obchodziło was, co ja o tym myślę?

– Kobiety to lubią, niezależnie od tego, co mówią. Każdy to wie.

Zadrzała.

– A potem zamierzaliście mnie zabić?

– Gdyby naszła nas ochota, to tak.

– To także lubią kobiety?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego. Obliznął usta.

– W ogóle byście się tym przejęli? Zabicie mnie? – ciągnęła.

Długi Most nie odpowiedział. Wyręczył go Wiezochwyt.

– Żałowalibyśmy tego później, gdybyśmy mieli ochotę na twoje towarzystwo, a ty byś już nie żyła – mruknął.

– Rozumiem – odrzekła. – Ale nie byłoby wam mnie żal?

– Niby dlaczego? – gniewnie spytał Długi Most. – Dlaczego mielibyśmy cię żałować? Gdzie byłaś, kiedy kazano nam się spakować i nas tutaj posłano? Gdzie byłaś, kiedy odebrano nas rodzinom?

Marjorie ponownie odebrała obraz jeńców zrzuconych z wysokiego drzewa. Skreśliła go w myślach, ale tym razem wolniej.

– Czego chcą te wszystkie lisy, bracie Mainoa? Po co się tutaj zgromadziły?

– Myślę, że chcą zobaczyć, jak się zachowasz – odpowiedział.

– No właśnie, co zamierzasz? – spytał ksiądz James.

– Staram się coś ustalić – odparła. – Chcę zdecydować, czy mogę sobie pozwolić na miłosierdzie. Arbaiowie byli miłosierni, ale w starciu ze złem miłosierdzie również staje się złe. Doprowadziło do śmierci Arbaiów i może kosztować życie także nas, ponieważ ci dwaj po prostu mogą wrócić i nas zamordować. Pytanie brzmi, czy oni są źli? Jeżeli tak, nie ma znaczenia, w jaki sposób się tacy stali. Zła nie da się odczynić....

– Przebaczenie to cnota – rzekł ksiądz James, zdając sobie sprawę, że mówi to z przyzwyczajenia.

– Nie. To zbyt proste. Jeżeli przebaczymy tym dwóm, możemy doprowadzić do kolejnego zabójstwa. – Ukryła twarz w dłoniach, pogrążając się w myślach. – Czy mamy prawo zachowywać się jak głupcy? Nie. Nie kosztem kogoś innego.

Ksiądz James wpatrywał się w nią z zaciekawieniem.

– Nigdy nie mówiłaś takich rzeczy, Marjorie. Miłosierdzie to jedna z doktryn naszej wiary.

– Tylko dlatego, że według was to życie nie ma większego znaczenia. Bóg twierdzi coś przeciwnego.

– Marjorie! – wykrzyknął. – To nieprawda.

– No dobrze! – zawołała w odpowiedzi. Tępy ból w jej głowie zmieniał się w agresję. – Nie mam na myśli księdza osobiście, tylko zwyczajowe stanowisko starokatolickich kapłanów. Uważam, że to życie ma znaczenie, a zatem miłosierdzie oznacza, że powinnam ich potraktować jak najlepiej, ale nie narażając nikogo innego na cierpienie, także siebie samej! Nie popełnię błędu Arbaiów.

– Marjorie! – wykrzyknął ponownie, zrozpaczony. On również zmagał się z wątpliwościami i problemami, ale jej ostre słowa głęboko go zaniepokoiły. Była niemal brutalna, co nigdy się jej nie zdarzało, pełna słów, które wysypywały się z jej ust jak ziarno z rozdartego worka.

Zwróciła się do uwięzionych mężczyzn.

– Przykro mi. Wygląda na to, że jedynym sposobem na zagwarantowanie sobie ochrony przed wami jest pozwolenie, żeby lisy was zabiły.

– Na litość boską! – wykrzyknął przestraszony Wieżochwył. – Zabierzcie nas do Wspólnoty i oddajcie w ręce tamtejszych funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Nic nie zrobimy, przecież jesteśmy związani.

Chwyciła się za głowę, wiedząc, że to zły pomysł, ale nie znając powodu. To był bardzo zły pomysł. Była tego pewna. W jej umyśle potężne pytanie czekało na odpowiedź.

Ksiądz James kręcił z lękiem głową, próbując przemówić do Marjorie.

– Mainoa bardzo mocno ich związał. Zresztą i tak musimy się udać do Wspólnoty. Możemy ich przekazać funkcjonariuszom bezpieczeństwa. Zapewne nie są gorsi od połowy portowego motłochu, którym na co dzień zajmuje się stacja bezpieczeństwa.

Marjorie pokiwała głową, chociaż nie była przekonana. To wcale nie było dobre wyjście. Tak nie powinna postępować bardzo mała istota. Ona powinna rozpoznać zagrożenie i zrzucić ich z najwyższego drzewa...

Najbliższy lis drgnął, roztaczając cienie, rodząc wizje. W ich umysłach zawirowały światło i cień, rozedrgane, nietrwałe barwne pasy.

– Jest niezadowolony – stwierdził brat Mainoa.

– Ja również – odparła Marjorie, posyłając mu spojrzenie oszalałe z cierpienia. – Niech brat ich posłucha. Wszystkich. A tylko kilka z nich postanowiło nam pomóc. Może one są takie, jaka ja zawsze byłam, pełne intelektualnego poczucia winy i wątpliwości. Pozwalają, żeby działy się złe rzeczy, i nie przywiązują wagi do tego, co czuję.

Potwornie bolała ją głowa. Odebrała obraz lisów wędrujących między drzewami, odchodzących. W myślach obrysowała go świetlistym okręgiem. Tak. Dlaczego nie? Równie dobrze mogą sobie pójść.

– Odchodzą. Musimy tutaj poczekać na Rillibee’ego – oznajmiła.

W jej umyśle wystrzeliło działo. Doczołgała się do swojego posłania i położyła się, czekając, aż otuli ją cisza. Stopniowo ból się zmniejszał. Lisy oddalały się między drzewami. Obrazy przemykały przez jej umysł: ich myśli, ich rozmowy. Pozwalała, żeby symbole i dźwięki obmywały ją jak fale i wprowadzały w senny stan częściowej nieświadomości.

Dopiero po południu usłyszeli okrzyk „Haloo”, który dobiegał z ciemności nisko pomiędzy drzewami.

Jeden z lisów sapał w lesie, niedaleko i groźnie.

– Haloo! – ponownie rozległ się głos, tym razem bliżej. Zagrożenie między drzewami zniknęło.

Marjorie z trudem wstała i wyszła na platformę.

– Rillibee! – zawołała.

Pojawił się pod nimi, ostrożnie przemieszczając się między pnączami.

– Wyglądasz na wykończonego!

Jego koścista twarz była blada. Okolone cieniami oczy sprawiały wrażenie olbrzymich, jak u jakiegoś nocnego stworzenia.

– Długa wspinaczka – wymamrotał. – Bardzo długa wspinaczka. – Podciągnął się, powoli prześlizgnął ponad balustradą i spoczął na platformie, zwinięty w kłębek. – Dziękuję losowi za te wszystkie cienkie drabiny i mosty w klasztorze...

– Co się stało? – spytał brat Mainoa.

– Długokostny próbował mnie dogonić, ale nie potrafił. Wyprowadziłem go daleko w głąb lasu. Potem się ukryłem, czekałem, aż mnie ominie,

i wróciłem. Zabiłbym go, gdybym wpadł na jakiś prosty sposób. Drań.

Marjorie dotknęła jego policzka.

– Już możemy wracać. Do Wspólnoty.

Rilibee pokręcił głową.

– Nie. Jeszcze nie. Potrzebujemy... potrzebujemy lisów. Przepraszam, że zmarnowałem tyle czasu na Długokostnego, ale nie wiedziałem, co innego mogę zrobić, poza odciągnięciem go jak najdalej. Myślałem, że oni wszyscy pójdą za mną. Długokostny zazwyczaj lubi mieć przewagę liczebną nad swoimi przeciwnikami. Ale widzę, że zdołaliście poradzić sobie z pozostałymi.

– Jeden z lisów to zrobił.

– Aha. – Oklapł, wycieńczony. – Muszę pani powiedzieć kilka rzeczy. Hippae spaliły Opalowe Wzgórze. Szeroki na pół mili szlak Hippae i ogarów prowadzi do bagiennego lasu. Ambasador, pani mąż, jest w szpitalu. Wyjdzie z tego, ale był blisko śmierci. Stavenger bon Damfels nie żyje, tak samo jak około tuzina bonów. W porcie znaleziono córkę bon Damfelsów. Dimity, tę która zniknęła na wiosnę. Tak samo jak znaleziono Janette...

– Obie dziewczyny zostały zabrane przez Hippae – odrzekła zadziwiona Marjorie. – I obie pojawiły się w porcie!

Rilibee pokiwał głową.

– Nagie. Nieświadome. Wszyscy we Wspólnocie wariują. Janetta i Dimity w jakiś sposób tam trafiły. Nie mogły się przedostać przez las, chyba że przeniosły je lisy. Ale jeśli tego nie zrobiły, to musi istnieć inna droga. To jedyne wyjście. A skoro dziewczęta się przedostały, to może Hippae też są do tego zdolne. Musimy się dowiedzieć, w jaki sposób się tam znalazły...

Spomiędzy drzew dobiegło zaniepokojone nawoływanie.

– Teraz są niezadowolone – stwierdził brat Mainoa, masując głowę. – Wściekłe. Lisy nigdy wcześniej nikogo nie niosły. Ty i twoi towarzysze jesteście pierwsi, Rilibee. Uważały, że miasto jest bezpieczne. Zachęcały ludzi, żeby wybudowali tam port, ponieważ Hippae nie mogły się tam dostać.

– Zachęcały? – zdziwiła się Marjorie.

– No wiesz. – Brat Mainoa westchnął. – Zachęcały. Wpływały na nich. Jak to mają w zwyczaju.

Marjorie poczuła, że lisy się wycofują.

– Dokąd one idą?

– Poszły poszukać przejścia, o którym wspominał Rillibee. Po drodze myślały o migererach.

– O kopaczach? A więc podejrzewają, że chodzi o tunel.

– Coś w tym rodzaju. – Mainoa zadrżał, chowając twarz w dłoniach. – Marjorie, w tej chwili jestem zmęczonym starcem. Nie jestem w stanie wam pomóc w poszukiwaniu tuneli.

Rillibee objął staruszka.

– A ja jestem bardzo zmęczonym młodzieńcem, bracie. Jeśli lisy prowadzą poszukiwania, pozwólmy im się tym zająć. Muszę trochę odpocząć. Chyba że uważasz, że potrzebują naszej pomocy...

– Poradzą sobie – stwierdził brat Mainoa. On już nie miał siły.

Marjorie doczołgała się do swojego łóżka, ponownie czując przyływ bólu. Zapadła w sen, tym razem wolny od lisich wizji. Rillibee leżał rozciągnięty jak dziecko. Mainoa zwinął się w kłębek, cicho pochrapując. Ksiądz James usiadł przy balustradzie, zastanawiając się, co tak naprawdę przydarzyło się Marjorie, co takiego widziała, a może wyśniła. Długi Most i Wieżochwył szeptali coś do siebie ponuro, trąc swoje więzy.

Zanim „Pierwszy” wrócił późnym popołudniem, już wiedzieli, że lisy znalazły przejście do Wspólnoty. Chociaż był jeszcze daleko, w ich umysłach pojawiły się wizje koni oraz jeźdźców, i zrozumieli, co zamierzał. Ponownie wskoczyli na siodła i dali się poprowadzić okrężną drogą, przez spokojne stawy, mroczne strumienie i długie, chlupoczące alejki. Bez przewodnika nigdy nie znaleźliby drogi. W niektórych stawach płytka woda zakrywała grząskie piaski. W innych sterczały zabójczo ostre korzenie. Wiedzieli o tym, ponieważ lisy im pokazały.

Wyszli na trawę niedaleko stawu, przy którym odnaleźli Stellę. W pobliżu miejsca, w którym leżała, wyrwano olbrzymie kępy trawy i połacie darni, odsłaniając wlot tunelu, szerokiego, głębokiego

i wzmocnionej zaprawą, tak jak jaskinie Hippae. Tunel skrywała trawa. Kiedy odnaleźli Stellę, znajdowali się o kilka jardów od jego wlotu, ale go nie widzieli.

– Robota migrererów – stwierdził brat Mainoa.

Gdzieś rozległ się potężny okrzyk lisa, od którego zamarł cały świat.

– Robota diabła – poprawił się Mainoa. – Tak twierdzą nasi przewodnicy. Ten tunel prowadzi głęboko pod bagnami. Jeden z lisów przeszedł nim aż do portu.

Nie trzeba było pytać, kto wcześniej z niego korzystał. Wszędzie w środku widniały trójdzielne odciski kopyt Hippae, nie licząc miejsc, w których wypłukała je woda.

– Do środka! – popędzono ich. – Na drugą stronę! Szybko!

Marjorie, prowadząc Don Kichota, weszła do otworu i natychmiast przemoczyła ją mętna woda kapiąca ze stropu z miękkiego kamienia. Pozostali szli za nią, cicho przeklinając wilgotne powietrze, smród odchodów oraz grząską ziemię pod stopami. Jeńcy bluźnili i szarpali liny, którymi byli związani. Strop znajdował się za nisko, by mogli wyprostować się w siodłach. Był tak nisko, że Irlandzkie Dziewczę ledwie się mieściła z podniesioną głową, a końcówkami uszu ocierała się o zabłocone korzenie sterczące z sufitu. Światła, które nieśli, pozwalały im widzieć drogę, ale niedostatecznie. Kopyta koni oraz stopy ludzi rozchlapły wodę i zapadały się w mieszance błota i skały.

– Lisy idą za nami! – zawołał Rillibee, który zamykał pochód. – Tak myślę. Wyczuwam ich obecność. Ten tunel jest za niski dla Hippae.

– Zmieszczą się, jeśli będą się skradać – odrzekł brat Mainoa. – Tak jak lwy. Jeden za drugim. Powoli. Ale tunel nie został stworzony dla nich.

Kilka jardów od wejścia tunel zaczął stromo opadać. Woda wypływająca na zewnątrz zawróciła i zaczęła płynąć zgodnie z kierunkiem ich marszu. Konie przysiadły i rżały, niezadowolone z wędrówki po stromiźnie. Coś kazało im się nie zatrzymywać, szczebiotało do nich, przyzywało. W końcu teren się wyrównał, a woda stała się głębsza. Zanurzali się w ciemności, pośród kapiącej i chlupoczącej wody, mając wrażenie, że mrok otula ich coraz bardziej.

Marjorie zbliżała światło do ścian tunelu, odnajdując liczne niewielkie otwory na poziomie wody.

– Co to jest? – spytała.

– Pewnie otwory odpływowe – odrzekł ksiądz James. – Ta cała woda musi dokądś uciekać.

– Ale dokąd? Przecież nie może płynąć pod górę.

– Znajdujemy się wewnątrz wzgórza – wyjaśnił brat Mainoa, pokaszując.

– Cała Wspólnota, łącznie z bagiennym lasem, leży w skalistym basenie, który wznosi się ponad prerię. Przypomina miskę stojącą na stole. Jeśli ktoś wywierci w niej dziurę, woda wyleci.

– Uważa brat, że migegery to wszystko wykopały? – spytała.

Tym razem atak kaszlu wstrząsnął całym jego ciałem.

– Owszem, tak uważam. Sądzę, że Hippae kazały im to zrobić.

– Przekopały się przez skałę?

– Częściowo. To wygląda na stosunkowo miękką warstwę, a one potrafią kopać w miękkim kamieniu. Widziałem, jak to robią.

– Daleko jeszcze?

Po jakimś czasie brat Mainoa odpowiedział:

– Widzę coś przed nami.

Dotarli do bocznej komnaty odchodzącej od tunelu, ciasnej i suchej, ze stertami trawy na posadzce. Marjorie poświeciła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Na podłodze wały się skrawki bielizny, dwa lewe buty oraz postrzępiona kurtka myśliwska.

– Ona tutaj była – stwierdziła. – Janetta.

– Nie tylko ona. – Brat Mainoa westchnął, wskazując buty. – To lewe buty dwóch osób. Może Janetty i Dimity bon Damfels.

Tunel był pełen dźwięków, świergotów, warknięć i żądań.

– On chce, żebyśmy jechali dalej – rzekł brat Mainoa. – Za nami jest niebezpieczeństwo.

Podjęli swoją chlupoczącą wędrówkę, a strach dodawał im sił. Marjorie spoglądała na Don Kichota i zastanawiała się, czy ten przypadkiem nie rozumie lisów lepiej niż ona. Szedł czujnie, jakby ktoś go wzywał. Wszystkie konie się tak zachowywały.

Daleko za nimi coś donośnie krzyknęło. Otoczyły ich echa – „ii-ja, ii-ja, ii-ja” – odbijające się od ścian, powoli cichnące.

– Szybciej – odezwało się coś w ich umysłach. To terrańskie słowo zapulsowało im w myślach, wielkie czarne litery na pomarańczowym tle, podkreślone i zwieńczone wykrzyknikiem. „SZYBCIEJ!”.

– Co?! – wykrzyknęła Marjorie. – Co to było?

– On czasami to robi. – Mainoa westchnął. – Zazwyczaj nie interesuje go pismo, ale zdarza się, że zapożycza jakieś słowo ode mnie i je przekazuje.

Kolejny obraz, tym razem przedstawiający ich konną ucieczkę. Zanim zdążył zblaknąć, już siedzieli w siodłach, przytuleni do grzbietów wierzchowców, które pośpiesznie kłusowały przez wodę, na oślep przemierzając ciemność, jakby prowadził je jakiś system sterowania, który tylko one znały. Jeńcy, pośpiesznie rzućni na grzbiet Irlandzkiego Dziewczęcia, warczeli i narzekali.

– Zamknijcie się, albo zostawimy was dla Hippae – rozkazał Rilibee. Wspinacze ucichli.

W końcu, daleko przed sobą i nieco w górze, ujrzeli różowawe światło. Posadzka stała się pochyła. Konie wspinały się, mocno odpychając się tylnymi nogami. Na tle światła na chwilę pojawił się jeden z lisów, po czym zniknął. Wkrótce ponownie znaleźli się na powierzchni. Tunel kończył się na małej wysepce, którą otaczały zbiorniki wodne. Przed nimi kończył się las, a teren podwyższał się, prowadząc ku czerwonemu zachodowi słońca. Widmowe kształty wyłoniły się z tunelu za ich plecami i wspięły na drzewa.

– Ruszajcie. – Czerwone słowo rozbłysło na białym tle. „Ruszajcie!”.

Zatem ruszyli. Konie na wpół przeszły, a na wpół przepłynęły do skraju lasu, a następnie zaczęły się wspinać na długie zbocze. Jeźdźcy oglądali się, oczekując, że z tunelu wynurzy się coś strasznego. Nic się nie działo. Żadnego dźwięku. Może lisy wywalczyły dla nich trochę czasu.

– Zabiorę tych dwóch do stacji porządkowej – rzekł Rilibee, szarpiąc za linę krępującą jeńców. Wskazał w górę zbocza. – Tam, obok Hotelu Portowego, znajduje się szpital. Znajdzie w nim pani Stellę i swojego męża.

Marjorie popędziła Don Kichota i zdążyła pokonać połowę wzniesienia, zanim uświadomiła sobie, że zmierza na spotkanie z Rigiem. Rigo. Wypowiedziała jego imię. Niczego nie poczuła. Był kimś, kogo znała, to wszystko. Zazwyczaj, gdy o nim myślała, dręczyły ją poczucie winy, lęk i frustracja. Teraz odczuwała tylko zaciekawienie, może lekki smutek. Zastanawiała się, jak to będzie, spotkać go po tym wszystkim, co się wydarzyło.

* * *

W Hotelu Portowym było pełno ludzi, anonimowych grup włóczących się z miejsca na miejsce, anonimowych twarzy, które zwracały się z zaciekawieniem ku Marjorie i pozostałym. Ktoś krzychał. Ktoś inny wskazywał ich palcem. W końcu Sebastian Mechanic odłączył się od tłumu i do nich podbiegł.

– Lady Marjorie! – zawołał. – Pani syn tutaj jest, tak samo jak córka i mąż.

Sztywno zsiadła z konia, ocierając zabłoconą twarz.

– Rillibee mi powiedział – odrzekła. – Muszę się z nimi zobaczyć. Muszę się gdzieś umyć.

Po chwili Persun Pollut pojawił się u jej boku i poprowadził ją w jedną stronę, podczas gdy Sebastian i Asmir poszli z końmi w drugą.

– Lady Westriding, cieszę się, że pani przyjechała. – Mówił prosto z serca, ale Marjorie nie widziała tego w jego oczach. – Oni odprowadzą konie do stodoły. Czym mogę pani służyć?

– Wiesz, gdzie jest Rigo?

– Tam. – Wskazał przekrzykujący się tłum za drzwiami. – Lekarka pozwoliła mu wstać kilka godzin temu. Teraz rozmawiają o zarazie i o tym, czy Hippae tutaj wpadną i nas wszystkich pożrą.

– O zarazie! – Widziała szczupłą sylwetkę Riga w samym środku tłumu. Siedział na krześle, blady i wymizerowany, lecz najwyraźniej sprawny. Ale żeby rozmawiać o zarazie!

– Wszyscy już wiedzą, proszę pani. Pani mąż usiłuje to wszystko jakoś uporządkować...

– Dołączę do nich – odezwał się brat Mainoa zza ich pleców. – Muszę im opowiedzieć o tunelu... coś trzeba z nim zrobić.

– A Stella? – spytała Marjorie Persuna.

– Tam. – Persun wskazał jeden z korytarzy.

– Pójdę z panią – zaproponował Rillibee, podczas gdy brat Mainoa wsparł się na ramieniu księdza Jamesa i dołączył do tłumu w sali.

Persun poprowadził Marjorie i Rillibee'ego wzdłuż budynku, a następnie do środka przez niewielkie drzwi i korytarzem do narożnego pokoju, który niemal w całości wypełniało brzęczące pudło, uzdrowiacz.

– Tam – rzekł Persun.

Spojrzała przez przejrzyste wieko i zobaczyła leżącą Stellę, którą cienkie przewody i rurki łączyły z urządzeniem.

– Pani jest jej matką? – Za nimi pojawiła się lekarka.

Marjorie się obróciła.

– Tak. Czy ona...? To znaczy, co pani...

Lekarka wskazała krzesło.

– Jestem doktor Lees Bergrem. Nie jestem całkowicie pewna, jakie są prognozy. Przebywa tutaj niewiele ponad dobę. Nie odniosła... cóż, żadnych trwałych fizycznych obrażeń.

– Czy one zrobiły coś z jej... z jej organizmem?

– Coś. Stwierdziliśmy zmiany w ośrodkach przyjemności w mózgu i układzie nerwowym, w połączeniach odpowiedzialnych za doznania seksualne. Jeszcze nie jestem pewna, co dokładnie jej zrobiono. W każdym razie coś perwersyjnego. Wygląda na to, że teraz czerpie seksualną przyjemność z wykonywania poleceń. Sądzę, że uda mi się to naprawić.

Marjorie nic nie mówiła. Czekala.

– Możliwe, że niczego nie pamięta. Możliwe, że nie będzie taka, jak kiedyś. Możliwe, że będzie bardziej przypominać siebie z czasów dzieciństwa... – Lekarka pokręciła głową. – Zna pani przypadek Janetty bon Maukerden? Słyszała pani, że znaleziono kolejną dziewczynkę? Diamante bon Damfels. Zupełnie, jakby ktoś wymazał im umysły do czysta, poza tym

jednym obwodem. – Ponownie pokręciła głową. – Pani córka miała więcej szczęścia. Jeszcze nie została odłączona. Nawet jeśli coś straci, to będzie miała czas na odbudowę, ponowną naukę.

Marjorie nic nie odpowiedziała. Co mogła powiedzieć? Poczula na ramieniu dłoń Rillibee'ego.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł. – Mam przeczucie.

Zastanawiała się, czy powinna płakać. Czula gniew. Była wściekła na Riga. Była wściekła nawet na Stellę. Rigo i Stella ściągnęli to na siebie przez swoją głupotę. Oni i bonowie. Zapomnijcie o Hippae, mimo ich całej wrogości. To przez ludzką głupotę Stella znalazła się w tej skrzyni.

Miłosierdzie, odezwał się w jej głowie jakiś cichy głos. Sprawiedliwość. Nie warto tracić czasu na poczucie winy.

Lekarka wyrwała ją z zamyślenia.

– Pani też nie najlepiej wygląda. Ma pani na głowie guza wielkości jajka. Proszę na mnie popatrzeć. – Zaczęła świecić Marjorie w oczy i podłączyła ją do urządzeń. – Wstrząśnienie mózgu – orzekła. – Skoro już pani tutaj jest, to coś z tym zrobimy, zanim się pani przewróci z wysiłku. Przyślę też kogoś, żeby panią umył. Ma pani ubranie na zmianę?

Pielęgniarki przychodziły i odchodziły. Przynosiły miski z wodą i miękkie ręczniki. Ktoś jej pożyczył koszulę. W końcu Marjorie usiadła przy Stelli, podłączona do własnego uzdrowiacza za pomocą rurek i przewodów. Wizja, którą miała w bagiennym lesie, stopniowo zaczęła się zacierać. Pamiętała ją, ale już nie tak wyraźnie, jakby przed chwilą jej doświadczyła. Zapominała usłyszane słowa. Zapominała, co do niej mówił Bóg. Lekarka wróciła i usiadła obok niej, cicho opowiadając o swojej medycznej edukacji na Semlingu, o dalszej nauce na Pokucie, o młodych ludziach ze Wspólnoty, którzy niedawno wykształcili się na naukowców i teraz pracowali nad zagadką, która interesowała Lees Bergrem.

– Wiem – odrzekła Marjorie. – Zamówiłam pani książki.

Lekarka się zaczerwieniła.

– Nie pisałam ich z myślą o laikach.

– Nie zauważyłam. Udało mi się zrozumieć niektóre fragmenty.

Lekarka spytała o bagienny las i lisy, a Marjorie zaspokoila jej ciekawość, nie wspominając o swojej wizji, ale opowiedziała o napastnikach, i mówiąc więcej, niż wiedziała...

– Kiedyś bym im przebaczyła – przyznała. – O tak. Puściłabym ich wolno. Bałabym się postąpić inaczej. Bałabym się surowego osądu ze strony społeczeństwa lub Boga. Stwierdziłabym, że ból w tym życiu nie jest taki ważny. Ot, kilka kolejnych morderstw. Kilka kolejnych gwałtów. W niebie to nie będzie miało znaczenia. Tak zawsze powtarzaliśmy, prawda, pani doktor? Ale Bóg nic o tym nie wspominał. Mówił tylko, że powinniśmy kontynuować swoją pracę...

Lekarka popatrzyła na nią dziwnie i zajrzała jej prosto w oczy.

Marjorie pokiwała głową.

– Ciągłe nam powtarzają, co Bóg powiedział w księgach. Całe życie noszę w kieszeni Jego słowo, a okazuje się, że On napisał wszystko zupełnie gdzie indziej...

– Ciii – odrzekła doktor Bergrem, poklepując ją po ramieniu.

Marjorie odprężyła się i dała sobie spokój. Po jakimś czasie lekarka odeszła i Marjorie mogła słuchać już tylko własnego oddechu oraz brzęczenia maszyn. Myślała o książce doktor Bergrem. Myślała o inteligencji. Myślała o Stelli. Z trudem przypominała sobie twarz Boga, zupełnie jakby czytała o nim dawno temu w książce z bajkami. Wyglądał jak ksiądz Sandoval ze skrzydłami ważki.

* * *

W zatłoczonej sali, w której siedział Rigo, brat Mainoa, pomimo zmęczenia, starał się namawiać ludzi do podjęcia konkretnych działań.

– Tunel trzeba zapieczętować – upierał się. – Natychmiast. Hippae mogą za jego pomocą zaatakować Wspólnotę. Słyszeliśmy ich za sobą, kiedy tutaj jechaliśmy. Nie było ich dużo, ponieważ tunel jest tak wąski, że mogą nim iść tylko pojedynczo, ale wystarczy kilka, żeby dokonać olbrzymich zniszczeń.

– Niektóre z nich przyszły za wami – rzekł Alverd Bee, burmistrz. – Kiedy tylko się pojawiliście i powiedzieliście nam o przejściu, wysłałem tam dwóch ludzi, którzy donieśli, że przy wylocie tunelu znajduje się grupka bestii.

– Teraz jest ich tuzin, ale do zmroku może się pojawić setka – stwierdził Rigo. – Brat Minoa ma rację. Tunel trzeba zniszczyć.

– Chciałbym wiedzieć, jak to zrobić. – Burmistrz westchnął, zwracając się ku swojemu teściowi. – Roaldzie? Masz jakiś pomysł?

Roald poruszył się nerwowo.

– A co można zrobić, do diabła? Trzeba go wysadzić w powietrze. Albo zatopić. Albo przegrodzić jakąś bramą. – Pomasował skronie. – Hime Pollut zna się na takich rzeczach. Spytaj jego.

Alverd poszedł poszukać Hime'a Polluta. Po kilku chwilach wrócił.

– Hime uważa, że powinniśmy go wysadzić. Tylko nie wie, czego możemy w tym celu użyć.

– Nie używacie materiałów wybuchowych do usuwania skał, kiedy rozbudowujecie zimowe kwatery? A co z minami? Przecież je macie. Skorzystajcie z nich.

– Myśleliśmy o tym, panie ambasadorze, ale przy wylocie tunelu jest pełno Hippae. Nie zdołamy się dostać do środka, żeby go wysadzić. Wcześniej nas pożrą. – Alverd z namysłem przygryzł wargi.

– A co z drugim końcem?

– Tam jest tak samo. Hippae są po obu stronach. Kiedy tylko usłyszałem, że się tutaj pojawiły, wysłałem autolot, żeby sprawdzić, co się dzieje na drugim końcu. Pilot naliczył około stu bestii pośród traw, z czego dwadzieścia pilnuje wlotu tunelu. Jeżeli to się nie zmieni, nie zdołamy się przedostać.

– Może zrzucić coś z góry?

– Ale co? Mamy materiały wybuchowe, ale żadnych bomb ani – jak one się nazywają – detonatorów. Są tutaj ludzie, którzy mogliby je zbudować, gdyby dysponowali odpowiednimi materiałami, albo uzyskać te materiały, gdyby mieli wystarczająco dużo czasu. Ale pan i pański przyjaciel twierdzicie, że może być za późno. Gdyby udało nam się przedostać w głąb

bagiennego lasu i zlokalizować tunel od góry, to w ciągu kilku dni albo tygodni moglibyśmy się do niego przewiercić i go zalać. Ale nie mamy dni ani tygodni. Mamy kilka godzin. Najwyżej. One już wszystko zaplanowały. Pańska żona znalazła ich wypowiedzenie wojny wydeptane w jaskini. Wszyscy je widzieliśmy. Brat Mainoa wytłumaczył nam, co ono oznacza. Zamierzają tutaj przyjść i wymordować nas wszystkich, tak jak to zrobiły z Arbaiami. Dla nich to rozrywka.

– Gdzie tunel wychodzi na powierzchnię? – spytał Rigo.

– Na małej wyspie między drzewami u podnóża tego zbocza – odpowiedział Brat Mainoa. – Tutaj, po wschodniej stronie portu, las jest najwęższy. Ma najwyżej dwie albo trzy terrańskie mile. W innych miejscach jest szerszy, ale tutaj teren wznosi się po obu stronach bagna, tworząc przesmyk. Właśnie tam kopały te przekłete migerery. Musiały to robić od lat. Tunel musi być wystarczająco głęboki, żeby od góry osłaniała go gruba warstwa skały, w przeciwnym razie wypełniłby się wodą. Kto wie, ile czasu im to zajęło!

– Możecie dotrzeć do wejścia do tunelu? Fizycznie się tam dostać? – spytał Rigo Alverda Bee.

– Moglibyśmy, gdyby nie było tam Hippae. Ale z nimi to niemożliwe. Od razu by nas zaatakowały. – Alverd przeczesał włosy palcami, odsłonił zęby i zmarszczył brew. – Nie mamy zbroi ani bojowego pojazdu. Kołowce, którymi poruszamy się po mieście, są delikatne jak strączki grochu. Moglibyśmy użyć autolotów, żeby zapędzić Hippae z powrotem do tunelu, ale wyszłyby na zewnątrz, zanim ktokolwiek zdążyłby podłożyć ładunki wybuchowe.

– Gdybyśmy je odciągnęli, moglibyście się zbliżyć i wysadzić wejście?

– W jaki sposób mielibyście je odciągnąć? – Alverd popatrzył na Riga z mieszanką nadziei i podejrzliwości.

– Jeszcze nie wiem. Moglibyście to zrobić?

– Może. Raczej tak.

– Więc bądźcie gotowi.

– Boże, to wygląda beznadziejnie. – Alverd pokręcił głową.

Rigo zmierzył go wzrokiem.

– Możliwe, że na Trawie ostanie się resztką ludzkości, burmistrz Bee. Założmy, że tak jest. Jak by pan wolał zginąć? Czekać czy walczyć?

Alverd ponownie się wyszczerzył, po czym odszedł. Rigo zwrócił się do Roalda Few.

– Jeżeli odciągniemy stwory, niektóre z nich mogą nas minąć. Czy może pan zaprowadzić wszystkich do zimowych kwater i zabarykadować wejścia? Czy może pan uzbroić ludzi? Jeśli nie ma innej broni, proszę im rozdać laserowe noże, takie jak ten, który dał mi Persun.

– Tak, możemy uzbroić ludzi. Ale sądzę, że mamy jeszcze jedną linię obrony, zanim będziemy zmuszeni do wycofania się do zimowych kwater. Mamy barierę przy Jegórze. Umieśćmy tam broń i odważnych ludzi.

– To może zadziałać. Niech wszyscy przemieszczą się za tę linię. Ewakuujcie Dzielnicę Handlową i Portową. Niech wszyscy ukryją się w zimowych kwaterach, nie licząc tych, którzy będą walczyć. Upewnijcie się, że statki w porcie są szczelnie zamknięte. Jeśli wyjdziemy z tego cało, możliwe, że będziemy ich potrzebować. Gdzie jest wasza elektrownia?

– Poniżej miasta, w zimowych kwaterach. Będą musiały nas pokonać, żeby się do niej dostać.

Zapewne to zrobią, pomyślał Rigo. Zapewne tak. Po kilku chwilach milczenia Roald zostawił go z jego myślami, które dotyczyły tylko śmierci i zniszczenia. Łatwo było mówić o odciągnięciu Hippae. Trudniej wymyślić, w jaki sposób to zrobić. Podszedł do okna i się o nie oparł, nie widząc krzątający się i zamieszania na zewnątrz, nie widząc niczego poza własnymi krwawymi obrazami.

– Panie ambasadorze?

– Słucham, Sebastianie.

– Chce się z panem zobaczyć jeden z Zielonych Braci. Największa szyscha. Przywódca tej całej bandy.

– Jak się nazywa?

– Jhamlees Zoe. Twierdzi, że musi z panem porozmawiać.

– Mogę mu poświęcić trzy minuty.

– Powiedziałem mu, że wszyscy są zajęci. Wytłumaczyłem, co się dzieje. Tam jest pusty pokój. Będzie w nim na pana czekał.

Starszy brat był stanowczy.

– Panie ambasadorze, muszę się dowiedzieć, co pan wie o zarazie. – Chociaż w pokoju było chłodno, pot lśnił u nasady jego włosów i spływał mu za uszami.

– Czyżby? – odparł Rigo. – Z czyjego upoważnienia? – Wbił wzrok w dziwaczną twarz.

– Z upoważnienia Świętości. To oni pana posłali i kazali mi pozostawać z panem w kontakcie.

– Nie otrzymałem takiej informacji. Poinformowano mnie, że nikt na Trawie nie ma się dowiedzieć o istocie naszego zadania. – Rigo patrzył na kropelkę potu, która spłynęła po malutkim nosie mężczyzny i zawisła na czubku.

– Skontaktował się ze mną nowy Hierarcha, Cory Strange. Jego wiadomość przybyła tym samym statkiem, który państwa przywiózł.

Rigo uśmiechnął się niewesoło.

– A więc jest nowy Hierarcha. Żałuję, że nie objął urzędu wcześniej, bracie Zoe. Gdyby tak się stało, nie byłbym zaplątany w ten cały bałagan. Cóż, pańskie upoważnienie nie ma żadnego znaczenia! Nawet jeśli tak naprawdę go pan nie ma, to również obojętne. Mógłbym odmówić odpowiedzi, ale w ciągu dziesięciu minut dowiedziałby się pan prawdy od kogokolwiek w tym hotelu. Na Trawie nie ma zarazy. A z tego wynika, że występuje tutaj lekarstwo, chociaż nie wiemy gdzie. Ani co nim jest. Ani jak działa. Nie mamy pojęcia, czy przybywający tutaj ludzie są uzdrawiani, a jeśli tak, to czy odzyskują zdrowie trwale, czy tylko czasowo. Odpowiedź zapewne znajduje się na Trawie. Tylko tyle wiemy.

Starszy brat wyjął chustkę z kieszeni szaty i otarł twarz.

– No cóż... to znaczy... doceniam, że przekazał mi pan te informacje, ambasadorze. – Odwrócił się i opuścił pomieszczenie, niemal biegnąc.

Rigo popatrzył w ślad za nim, a potem zatrzymał się, widząc złożony kawałek papieru leżący na podłodze. Papier wypadł z kieszeni Jhamleesa, gdy ten wyciągał chustkę. Rigo podniósł go i wygładził, żeby sprawdzić, czy jest na tyle ważny, żeby ponownie posłać po starszego brata.

„Mój drogi przyjacielu Nodsie”, zaczynał się list, nakreślony wyraźnym, zakręcanym odręcznym pismem, wąskim i przejrzystym jak druk.

Rigo przeczytał go w całości z rosnącym niedowierzaniem, a potem jeszcze raz. „Zaraza działa tutaj tak samo jak wszędzie indziej... Nie zależy nam na tym, żeby informacje o lekarstwie trafiły do powszechnej wiadomości... usuwa niewiernych, pozostawiając czyste światy, które może zasiedlić Świętość...”.

– Rigo.

Odwrócił się i zobaczył ją tuż obok.

– Marjorie! Powiedzieli mi, że jesteś ze Stellą.

Była bardzo blada. Bardzo zmęczona.

– Zatrzymałam się w jej pokoju. Tak naprawdę jej nie widziałam. Jest zamknięta w potężnym uzdrowiaczu. Rilibee przy niej został.

– Jak ona się czuje?

– Lekarka twierdzi, że są nadzieje na wyzdrowienie. Przez ostrożność nie mówiła o pełnym powrocie do zdrowia. Sądzę, że pewne zniszczenia się dokonały. – Marjorie potarła powieki.

Stał sztywno w pewnym oddaleniu od niej. Chociaż nie czyniła mu wyrzutów, czuł się winny. Nie chciał rozmawiać o ich córce, jeszcze nie teraz. Kartka zaszeleściła mu w dłoni, przypominając o sobie.

– Musisz to zobaczyć. Przywódca klasztoru przyszedł zapytać mnie o zarazę. Oto, co mu wypadło z kieszeni. – Podetknął jej list.

Przeczytała go, potem jeszcze raz, a następnie zwróciła ku niemu pobladłe oblicze.

– Świętość nie rozpowszechni lekarstwa, nawet jeśli je odkryjemy?

– Przeczytałaś to samo, co ja. Człowiek, który podpisał ten list, jest nowym Hierarchą. Może wuj Carlos był apostatą, ale nie byłby zdolny do czegoś takiego!

– Co zrobimy?

– Na razie żałuję, że cokolwiek mu powiedziałem. Nie wiem co dalej!

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Wszystko po kolei, Rigo. Tylko tyle możemy zrobić.

– Dobrze. Po kolei. Przeklęte Hippae zagrażają nam w tunelu. Zapewne będziemy musieli je wszystkie pozabijać...

– Nie! – Złożyła list i starannie schowała go do kieszeni z klapką. – Nie! Nie możemy ich wszystkich zabić. Nawet nie większość. One zmieniają się w inne istoty. Ważne istoty. W lisy, Rigo. To inteligentna rasa. Nawet same Hippae są na swój sposób rozumne.

– Część będziemy musieli zabić – zaprotestował, dochodząc do wniosku, że Marjorie brzmi nieswojo. – Niezależnie od tego, czym się stają. Jeśli tego nie zrobimy, sami zginiemy. Musimy zabezpieczyć przed nimi Wspólnotę, w przeciwnym razie wszyscy tutaj umrą, tak samo jak Arbaiowie.

– Zabijcie część z nich – zgodziła się Marjorie. – Tak. To będzie konieczne. Ale tylko tyle, ile trzeba. Właśnie to chciałam ci powiedzieć. Słyszałam, jak mówiłeś o odciągnięciu ich od tunelu. Musimy użyć koni.

Początkowo chciał się roześmiać, ale kiedy wysłuchał, co mu miała do powiedzenia, zebrało mu się na płacz. Zaprotestował, a ona popatrzyła na niego z niewzruszoną pewnością, zupełnie dla niej nietypową. Nie miał lepszych propozycji. Kpinę zastąpiła w nim rozpacz. Chwiejnym krokiem wyszedł z Hotelu Portowego, żeby zabrać się za przygotowania, do których go przekonała. Autoloty nie mogły się dostać do leśnych ostępów, w których kończył się tunel. Dostrzegając zagrożenie z góry, Hippae wycofałyby się na bagna lub do tunelu, tak jak cofnęły się przed autolotem, gdy Rigo został ranny. Jeżeli ludzie chcą zniszczyć tunel, będą musieli odciągnąć Hippae. Stwory nienawidziły koni, dlatego właśnie z nich należało skorzystać.

– Przynajmniej... – rzekł, próbując się roześmiać – przynajmniej nigdy więcej nie będę musiał zakładać tych cholernych butów od bonów ani pogrubianych spodni!

* * *

Wkrótce po świcie zebrali się w olbrzymiej szopie na siano, w której trzymali konie. Niewiele mówili. Wszystko, co najważniejsze, już zostało

powiedziane, a oni mieli dosyć słów. Mieli dosyć słów, bali się działania, a jednak byli zdeterminowani.

Rigo, blady, ale stanowczy, siodłał El Dia Octavo. Marjorie wybrała Don Kichota. Tony zdecydował się na Błękitną Gwiazdę, a Sylvan na Jej Wysokość. Ze smutkiem uznali, że Irlandzkie Dziewczę jest zbyt wolna. Pozostała tylko Millefiori.

– Żałuję, że nie mamy kogoś jeszcze – rzekł Sylvan, spoglądając na klacz.

– Ależ mamy – odparła Marjorie. Była bardzo spokojna. Ksiądz Sandoval zaproponował, że ją wyspowiada i udzieli jej rozgrzeszenia. Odpowiedziała, że nie ma czasu. Nie była pewna, czy chce się z czegośkolwiek spowiadać. Nie była pewna, czy musi coś wyznać. Nawet jeśli tak było, uznała, że nie chce albo nie może się tym podzielić, ponieważ jeszcze tego nie zrozumiała. – Tony, mamy kogoś.

– Kogo? – spytał zaskoczony.

– Mnie – rzucił ktoś od drzwi. Stała w blasku bijącym z zewnątrz, bardzo blada, ubrana w płaszcz do jazdy i pośpiesznie przerobione spodnie. Rowena.

Sylvan wstrzymał oddech.

– Matko!

– Cieszę się, że jeszcze mam dziecko, które tak mnie nazywa – odrzekła lodowatym głosem. – Czy widziałeś Dimity, Sylvanie?

Pochylił głowę, przez chwilę nie potrafiąc odpowiedzieć.

– Owszem, widziałem ją. Wiem, w jakim jest stanie. Ale to jej w niczym nie pomoże – wyszeptał. – Nie jesteś w pełni wyleczona...

– Obiecałam Marjorie pomoc, jeśli kiedyś będzie potrzebna. Teraz tak jest. A poza tym, kto inny to zrobi? Kilka godzin temu Marjorie zabrała mnie na zewnątrz i pokazała, jak to się robi. To nic wielkiego. Zwłaszcza w porównaniu z tym, co robiłam przez całą swoją młodość i większość życia jako Obermum, nawet po twoich narodzinach, Sylvanie. Jestem wystarczająco doświadczonym jeźdźcem, żeby sobie poradzić. Widziałeś Emmy, Sylvanie? Wygląda prawie tak samo jak Dimity. Chociaż lekarze twierdzą, że z czasem wróci do zdrowia.

– To sprawka ojca – rzekł bez emocji Sylvan.

– Nie obwiniam Stavengera – odparła. – Po co obwiniać zmarłego? Obwiniam Hippae. Winię tych, którzy naprawdę są odpowiedzialni, a to od zawsze były Hippae.

– Bonowie i lisy również nie są bez winy – powiedziała z naciskiem Marjorie. – Lisy pozwoliły, żeby to się stało. Wygodniej im było się nie angażować. Pozwoliły na to zło, a potem zaczęły toczyć o nim filozoficzne dysputy. Od ludzi, którzy przybyli na planetę, nauczyły się nowych pojęć winy i odkupienia. Zaangażowały się w wielkie teologiczne spory, po czym posłały brata Mainoa, żeby dowiedział się, czy mogą liczyć na przebaczenie. Rozmawiały o grzechu pierwotnym, odpowiedzialności zbiorowej. Nadal to robią. Nie nauczyły się, że pokuta czasami nic nie daje.

– Szarpnęła za popręg z taką furją, że Don Kichot parsknął z niezadowoleniem.

– Matko – odezwał się Tony. – Uspokój się.

– Cholera, Tony, mogły jakoś pomóc. Są potężnymi, silnymi bestiami, które ewolucja przygotowała do obrony przed czymś jeszcze straszliwszym, co dawno wyginęło. Ale przestały cokolwiek robić. Tylko myślą. Dyskutują. Nie podejmują żadnych decyzji.

– Myślałem, że to zrobiły, kiedy ci pomogły – rzekł Rigo. Marjorie opowiedziała mu o wspinaczach.

– Ach! – ryknęła. – Ach. Jeden z nich mi pomógł. Samodzielnie. Ale obawiam się, że niewiele by zdziałał przeciwko tuzinowi Hippae. Reszta tylko siedzi na drzewach i rozmyśla. Zastanawiają się, co robią, jeśli kiedyś postanowią zadziałać. Popełniłam błąd w Nadrzewnym Mieście, nie zabijając tamtych dwóch wspinaczy. Dałam im dobry przykład. One chętnie nas naśladują, jeśli to oznacza, że nie będą musiały niczego robić ani brać na siebie odpowiedzialności.

Po raz dziesiąty sprawdziła swoją lancę, mocną włócznię z lekkiego stopu z przyciskiem uruchamiającym nóż laserowy, taki jak te, które rozdali robotnikom ścinającym trawy. Nóż znajdował się na czubku lancy, a równoważył go ciężarek umieszczony na drugim końcu. Robotnicy Roalda zbudowali lance, a także pancerze, które mieli na sobie – rodzaj lekkiego napierśnika z hakiem pod lewą pachą do przytrzymywania lancy.

Piersi i boki koni osłonięto w podobny sposób, lekkimi płytami przytwierdzonymi do płacht wytrzymałego materiału, które zbyt nie obciążały zwierząt. Rigo przypomniał sobie napierśniki z dawnych czasów, gdy lance były potwornie ciężkie i trzeba je było trzymać w poziomie.

W przypadku tej broni sposób trzymania nie miał znaczenia. Prawdę mówiąc, lance mogły wyrządzić największe szkody, gdy się kołysały i drżały. Im bardziej się poruszały, tym były skuteczniejsze na dużą odległość. Hak pomagał nad nimi zapanować i nie dopuszczał do opadnięcia ostrza lub zaczepienia nim o ziemię – przynajmniej podczas jednej szarży. Marjorie nie miała zamiaru szarżować. Zaproponowała szybki wypad, który miał odciągnąć Hippae od wlotu tunelu, a następnie długą ucieczkę, dzięki której ludzie Alverda mieli zyskać wystarczająco dużo czasu, żeby wysadzić przejście. Rigo, który widział, jak skuteczne są noże w zetknięciu z ciałami Hippae, zaproponował użycie broni w celu zwiększenia szans. Dlatego każde z nich miało lancę oraz nóż schowany w kieszeni. Jednak niezależnie od uzbrojenia, po pierwszym ataku jeźdźców zapewne czekała rozpaczliwa ucieczka. Jeżeli uda im się przetrwać tak długo.

Mieli czas tylko na jeden krótki trening jeździecki z lancami.

– Pamiętajcie, konie są szybsze na płaskim terenie – przypomniał Rigo.
– Hippae mają przewagę na wzniesieniach. Tak są zbudowane. Bardziej przypominają wielkie koty niż konie. Mogą silniej odpychać się nogami, gdy biegną pod górę. Pojedziemy po płaszczyźnie wzdłuż wzgórza, tam teren jest tylko lekko nachylony. Jeśli uda nam się dotrzeć do bramy stacji porządkowej, to wpuszczą nas do środka.

Wydawało im się, że brama stanowi nieosiągalny cel. Wyjechali z olbrzymiej szopy na siano i przekroczyli brukowany teren oddzielający ją od Hotelu Portowego, a następnie okrążyli pusty hotel i szpital, docierając do zbocza opadającego ku mokradłom. Każdy uważnie mu się przyjrzał, wypatrując trasy, którą mieli uciekać przed Hippae. Gdyby ruszyli na północ, szybko zostaliby przyparciu do nieprzekraczalnego masywu Jegóry. Poza tym właśnie tam znajdowali się ludzie Alverda, którzy zamierzali dotrzeć do tunelu, gdy tylko Hippae zostaną od niego odciągnięte. Zatem

zamierzali ruszyć na południe, gdzie mogli przez wiele mil jechać po obszernym łuku wokół pastwisk, aż do kolein Drogi Portowej, a następnie wzdłuż niej do Drogi Trawiastej Góry i bramy. Teren wszędzie wyglądał tak samo. Trawiaste, zachwaszczone zbocze, nieuprawne, usiane skałami i norami małych kopaczy, grożącymi złamaniem nogi. Słońce świeciło im w oczy. Mokradła kryły się w cieniu u podnóża wzniesienia, tuż przed pierwszą linią drzew. Hippae się ukrywały. Od czasu do czasu na górę docierało ich wycie. Nikt nie wiedział, na co czekają.

– Gotowi? – spytał Rigo.

Cisza. Rozejrzał się i zobaczył, że kiwają głowami, gotowi, ale niechętni przerwać milczenie. Kolanami popędził El Dia Octavo, który równomiernym krokiem ruszył w dół zbocza.

MARJORIE POMYŚLAŁA: Zawsze kończy się w taki sposób, czyż nie? Niezależnie od tego, co mówi nasze sumienie, ile przyswoiliśmy doktryn, ile etycznych kwestii przeżuliśmy, połknęliśmy i spróbowaliśmy przetrwać, ostatecznie zawsze bierzemy najgroźniejszą posiadaną broń i ruszamy do walki...

Powinam się bać, ale to się prawie nie różni od jeździeckich zawodów. Wysoki mur. Stałe ryzyko upadku, także poważnego, a nawet śmierci. Nie jest to najbezpieczniejszy sport na świecie. A jednak wszystko sprowadza się do czasu, energii, trzymania się w siodle i ufania wierzchowcowi. Myślenia razem z koniem, a nie za niego...

Naprawdę nie muszę myśleć o niczym innym poza zabiciem jak największej liczby Hippae. Pozabijaj je, a dopiero później martw się etyką. Zapomnij, że każdy z Hippae u podnóża wzniesienia może potencjalnie zmienić się w lisa. Istotę inteligentniejszą ode mnie. Każdy zabity lub okaleczony Hippae to jedna mniej istota taka jak On. Nie myśl o Nim. Wyrzuć Go z myśli. To wszystko tylko złudzenie. Wyobraźnia.

Gdzie tutaj jest sprawiedliwość? Gdyby człowiek nigdy nie przybył na Trawę, nic takiego by się nie wydarzyło. Gdyby nie przybyli ludzie ani Arbaiowie. Gdyby nikt nigdy nigdzie się nie wybierał, nic takiego by się nie wydarzyło...

Tylko że to nieprawda. Jakiś dziki, złośliwy wirus znalazłby drogę do nas, domatorów. Coś podobnego do Hippae wpadłoby z wrzaskiem przez nasze okna i rozbite drzwi, zabijając nas, gwałcąc i okaleczając.

Mój Boże, byłam taką grzeczną dziewczynką! Zawsze uczestniczyłam we mszy, chodziłam do spowiedzi, odprawiałam pokutę. Zajmowałam się działalnością dobroczynną. Kochałam swoje dzieci i troszczyłam się o nie, nawet gdy mi to utrudniały. Próbowałam z całych sił kochać swojego męża. Myślałam o tym, żeby się zabić, ale już to odpokutowałam. W domu wiodłam bardzo udane i poprawne życie...

Szczać na to.

Wolę być tutaj. Nawet jeśli umrę, wolę być tutaj. Jeżeli bardzo mała istota może zrobić coś ważnego, to jest to właśnie walka z zarazą. To podstawa. Musimy zyskać na czasie, żeby znaleźć odpowiedź. W tej chwili liczy się tylko zaraza. Musimy znaleźć lekarstwo i zadbać o to, żeby Świętość jako pierwsza nie położyła na nim łapy. A jeśli to nam się uda... pozostanie jeszcze jedna sprawa. O Boże, pozwól, żeby On do mnie przemówił. Chcę, żeby On do mnie przemówił.

* * *

RIGO POMYŚLAŁ: Ta przeklęta lanca jest źle wyważona. Powinna mieć cięższą tępą końcówkę, żeby można nią było swobodniej poruszać. A może to tylko ja sobie nie radzę? Jestem chory i słaby. Powinienem wciąż siedzieć na krześle, czekając, aż ktoś okryje mi nogi kocem. Zamiast tego jestem tutaj. Czyli gdzie? Jak się tutaj znalazłem, do diabła? Cóż, nikt mnie nie zmuszał. Jestem jedynym z tego grona, który już walczył z Hippae. Jako jedyny wiem, gdzie je uderzać. Najpierw w nogi. Potem w szczęki. Podciąć im nogi, odrąbać szczęki, niech te przeklęte cuchnące bestie zdechną.

Jeszcze nie wyzdrowiałem. Nie mam w pełni sprawnych nóg. Moje uda są jak mokre gąbki. Jakby nie było w nich mięśni. Ktoś może dzisiaj zginąć. Może to będę ja. Lepiej ja niż Marjorie albo Tony. Oni się tak nie wygłupili.

Ale jeśli padnie na mnie, ona stanie się wolna. Będzie mogła robić wszystko, na co ma ochotę, pójść do każdego, kto jej się spodoba. Do Sylvana. Tylko na niego popatrzcie. Nigdy wcześniej nie jechał konno, ale wygląda, jakby był do tego stworzony. To nie taka duża różnica. Tak samo potrzebne są silne nogi oraz plecy.

Czy jeśli zginę, ona do niego odejdzie?

A jeżeli tak, to czy to jest gorsze niż mój związek z Eugenie? Biedna Eugenie. Psiakrew. Żałuję, że jej nie ocalili. Cudowna Eugenie. Przejmowała się tylko tym, jak sprawić, żeby wszystko ładnie wyglądało, smakowało, pachniało i było miłe w dotyku. Nie miała żadnych wyższych aspiracji. Nie cechowała jej wzniosła niewinność, którą mógłby zbrukać, ani skromność, którą mógłby naruszyć. Nie miała oczekiwań, których mógłby nie spełnić. Nie miewała poważnych myśli. A jednak nie zasłużyła na taką śmierć.

Jeżeli rzeczywiście zginęła. Boże. A może nie? Może zabrały ją ogary albo Hippae, tak samo jak Stellę...?

Nie myśl o tym! Teraz liczy się tylko zaraza. Musimy ocalić Wspólnotę przed inwazją, chociaż na chwilę, dopóki ktoś nie znajdzie odpowiedzi. Bo na pewno ją znajdziemy. Ludzkość znajdzie odpowiedź! Coś zawsze nas ratuje, choćby w ostatniej chwili. Bóg zainterweniuje! Wystarczy nam czasu. Marjorie do mnie wróci. Zawsze tak robi. Zawsze, niezależnie od tego, co się dzieje...

* * *

SYLVAN POMYŚLAŁ: Nie sposób go nie szanować. Niecałą dobę temu wstał z łóżka, poturbowany niemal na śmierć przez wierzchowce, a teraz jedzie razem z nami. Spogląda na mnie, omiata mnie wzrokiem. Wiem, co sobie myśli. Jeżeli zginie, ja dostanę Marjorie. Głupiec. Jeśli zginie, Marjorie będzie mogła zrobić, co zechce, a ja nie jestem częścią jej planów. Nie wiem dlaczego. Nigdy nie miałem kłopotów ze zdobywaniem kobiet, na których mi zależało, a jednak z nią sobie nie radzę. To ja jestem prawdziwym głupcem. Myślałem, że ona jest taka jak my. Jak brzmi to terrańskie słowo? Hedonistyczna. W końcu o czym innym mielibyśmy myśleć, jeśli nie o rozkoszy? Te przekłete Hippae nie pozwalały nam myśleć o niczym innym. Podłączyły się do nas, zniewoliły i kontrolowały...

Popatrzcie na Marjorie! Jak królowa! Dostojna i dumna, jedzie na tym czymś, jakby stanowiła jego część. Na tym czymś! Ha-ha. To jest koń. Koń.

Wydają z siebie ciche dźwięki, kiedy się je głaszczę, i patrzą serdecznie, gdy się ich dosiada. Mój, Jej Wysokość, robi to, co jej rozkażę. To niemal jak miłość z kobietą. Koń. Nie Hippae.

Tony również mnie obserwuje. Nie lubi mnie. Początkowo myślałem, że to z powodu Marjorie, ale chodzi o coś innego. W jakiś sposób go obrażam. Nie akceptuje moich manier. Manier bona. Może dlatego, że nie potraktowałem poważnie tej ich zarazy. Nie wiedziałem. Czy w ogóle obchodziło mnie, czy ludzkość w innych miejscach ocaleje? Tak myślały Hippae. Było im to obojętne. A my przejmowaliśmy ich myśli. Od jak dawna myślały za nas? Nie chcę, żeby istniała inna rozumna rasa. I nie wierzą, że same zmieniają się w inną inteligentną rasę. Lisy. Jak to ujął brat Mainoa? Nigdy nie wierzymy, że kiedyś się zestarzejemy. Hippae nie wiedzą, jaki tkwi w nich potencjał. Zatrzymały się w rozwoju. Zatrzymały się na wieku nastoletnim. To brutalny okres. Okres pełen nienawiści. Już nie dzieci, jeszcze nie dorośli. Pełne siły i wściekłości, ale niewiedzące, co z tym zrobić...

Nas też zatrzymały. Marjorie patrzy na mnie tak samo jak na Tony'ego. Jakbym był chłopcem. Ale czy kiedykolwiek miałem okazję być kimś innym...?

Matko. Matko. Nie powinno cię tutaj być. Och, Matko, czy naprawdę uważasz, że w ten sposób odpłacisz im za Dimity...?

* * *

TONY POMYŚLAŁ: Doprowadźmy to do końca i wracajmy do domu. Jeśli zginę, to trudno, ale jeśli nie zginę, chciałbym wrócić do domu. Zostawmy tych ludzi, tych szalonych bonów, i wyjedźmy! Niech przetrwam tę godzinę albo dwie, jakkolwiek długo to potrwa, a potem jakoś się stąd wydostaniemy, ja się wydostanę. Doprowadźmy to do końca. Jeśli zginę...

* * *

ROWENA POMYŚLAŁA: Dimity. Za Dimity. Za Emmy. Za Stavengera. Za moje inne dzieci, które zginęły tak dawno, że niemal zapomniałam, jak miały na imię. Za was wszystkich. Za nas wszystkich.

Sylvanie. Och, Sylvanie. Cokolwiek się wydarzy, pamiętaj, że cię kocham, kocham was wszystkich...

* * *

DON KICHOT POMYŚLAŁ: Ona jedzie. Zaufajcie jej. Zaufajcie temu, co robi. I słuchajcie wszyscy. Nasłuchujcie głosów.

* * *

Kiedy dotarli do podnóża wzniesienia, od Hippae strzegących wlotu tunelu dzieliło ich zaledwie kilka głębokich zbiorników oraz zasłona z listowia. Tylko Rigo zjechał na sam dół, w myślach odmierzając dystans, który mieli pokonać galopem. Następnie zawrócił, wzywając pozostałych do miejsca, które znajdowało się w odpowiedniej odległości od dna zagłębienia. Chcieli wykorzystać nachylenie zbocza, ale potrzebowali przestrzeni, żeby okrążyć wzgórze i nie wpaść do grząskich zbiorników u jego podnóża. Rigo w milczeniu sprawdził swoją lancę, podobnie jak pozostali, a następnie zaczął uderzać jej tępym końcem o pancerz, jednocześnie wykrzykując obelgi.

– Głupie Hippae. Udawane konie. Durne zwierzaki. – Oczywiście stwory nie rozumiały jego słów, ale wyczuwały intencje kryjące się w jego umyśle.

– Ludobójcy! – wrzasnęła Marjorie z całych sił. – Niewdzięcznicy! Złośliwe bestie! Kundle!

– Och, ła, ła, ła, ła! – wykrzyknął Tony, robiąc jak najwięcej hałasu, chociaż nie potrafił wymyślić żadnych słów.

– Za Dimity! – zawołała Rowena. – Za Dimity, Dimity, Dimity!

– Tchórze! – grzmiał Sylvan. – Tchórze. Zwierzęta. Rzekotki. Migerery. Ubłocone migerery pozbawione honoru jak zwykłe krety.

Hippae pośpiesznie wyłoniły się z zarośli, po czym się zatrzymały, a ludzie na wzgórzu ucichli. Oczekiwali Hippae, ale nie spodziewali się, że te będą niosły jeźdźców. Na przedzie stał olbrzymi szary wierzchowiec, na którego grzbiecie siedział ktoś, kogo wszyscy znali.

– Shevloek. – Rowena westchnęła. – Na miłość boską, mój syn.

– To nie jest Shevloek – parsknął Sylvan. – Popatrz na jego twarz.

Twarz była maską, pustą jak rozbita butelka. Nie dało się z niej niczego wyczytać.

– Walczcie z bestiami, a nie z jeźdźcami – zagrzemiał Rigo. – Pamiętajcie. Wierzchowce, a nie jeźdźcy!

Kolanami popędził El Dia Octavo do klusa. Pozostali zrobili to samo, formując ukośną linię, tak by każdy miał miejsce do ataku i nawrotu, nie narażając przy tym ludzi za swoimi plecami.

Rigo liczył. Było dziesięć Hippae. Na przedzie stał ten, który niósł na grzbiecie ciało Shevloka, a trzy kolejne stwory czały się za nim po prawej stronie. No dobrze. Ten na przedzie przyjmie na siebie impet uderzenia, a będzie lepiej, jeśli Rigo sam go zaatakuje, zamiast czekać, aż zrobią to bonowie. Kim są pozostali jeźdźcy na grzbietach Hippae? Rigo zaryzykował szybkie spojrzenie. Lancel bon Laupmon. Trzech bon Maukardenów: Dimoth, Vince i jeszcze jeden, którego imienia zapomniał. Nie znał pozostałych albo ich nie rozpoznawał. Ich oblicza w ogóle nie przypominały ludzkich twarzy. Zostali przekształceni w coś czysto symbolicznego. Coś całkowicie opętanego.

Dzieliło go od nich zaledwie kilka stóp, gdy nagle poczuł, jak napierają na jego umysł, usuwają jego zamiary. Zawył, a jego wycie ich odpędziło. Przyciskiem włączył laserowe ostrze i dał Octavo znak, żeby ten przeszedł do zebranego galopu. Szary Hippae stanął dęba, a Octavo pomknął w jego stronę. Nagle bez wahania skręcił w prawo, a Rigo odciął bestii przednie łapy ognistą lancą. Hippae się tego nie spodziewał!

Jeden. Jeszcze ryczy, ale wyłączony z gry.

Octavo wydłużył krok i pogalopował wzdłuż zbocza, podczas gdy trzy Hippae wyłoniły się z bagna, próbując przechwycić go z lewej strony. Przeklinając, Rigo podniósł czubek lancy i przełożył ją spod lewej pachy

pod prawą, a następnie wyprostował lewą rękę, przytrzymując lancę prostopadle do linii ruchu Octavo. Brzęczący płomień trafił pierwszego z napastników w barki. Hippae upadł z przeciętymi mięśniami nóg, a pozostałe dwa osobniki zawróciły z wrzaskiem.

Dwa.

Sylvan był tuż za nim. Jej Wysokość ruszyła na Hippae szybko jak ptak. Młodzieniec zobaczył, jak Rigo przekłada lancę, i natychmiast zrobił to samo. Przypomniawszy sobie, że mieli zmusić stworzy do pościgu. Niekoniecznie muszą je teraz zabijać. W końcu trzeba będzie to zrobić, ale niekoniecznie w tej chwili. Dźgnął lancą zielono nakrapianego Hippae i usłyszał wściekły okrzyk bólu. Potem go ominął. Zerknął przez ramię i zobaczył, że zielony potwór ruszył za nim. Dobrze. Świetnie. Skierował ostrze lancy w kierunku, w którym jechał i nachylił się, żeby wyszeptać coś do ucha Jej Wysokości. Te same słowa kiedyś mówił swoim kochankom. Nie widział niczego dziwnego w tym, że teraz zachęca nimi Jej Wysokość.

Rowena jechała za Sylvanem, ale nieco za późno skopiowała jego taktykę, żeby skrócić po równie obszernym łuku. Dopiero kiedy jej lanca wbiła się w gardło skrzeczącego stwora w kolorze błota, Rowena przypomniała sobie, że muszą uciekać. Millefiori sama uznała, że najwyższa pora na odwrót. Okręciła się na tylnych nogach i pognęła w ślad za poprzednimi dwoma końmi, podczas gdy potwór w kolorze błota zataczał się z wrzaskiem, błyskawicznie wyprzedzany przez dwa inne, sprawne Hippae.

Trzy, pomyślała Marjorie. Trzy pokonane. Cztery, w tym dwa lekko ranne, ścigają trzy konie. Trzy czekają na nią i na Tony'ego. Mały Tony. Błady jak ściana. Zawsze tak wygląda, kiedy siedzi w siodle. Boi się. Nie myśli o tym.

– Anthony! – wrzasnęła mu do ucha. – Jedź za mną!

Włączyła ostrze lancy i obrała kurs, który miał ją wyprowadzić przed dwa z pozostałych Hippe. Trzeci trzymał się z tyłu, jakby chciał zastawić pułapkę.

– Uważaj na tamtego! – zawołała, wskazując cętkowaną bestię w kolorze wina, częściowo osłoniętą przez drzewa.

Tony wykrzyknął coś w odpowiedzi, ale go nie zrozumiała. Kichot przeciął drogę dwóm stworom, które szarżowały na nią ze skrzyconymi szyjami, wystawiając do przodu kolce. Przełożyła lancę na lewą stronę, tak jak pozostali, i uderzyła ostrzem. Wrzaski. Ryki. Zawróciła konia i pomknęła w górę zbocza.

Tony. Miał przed sobą ostatniego Hippae, jego lanca opadała i wirowała, a bestia trzymała się z tyłu, poza zasięgiem. Tony za bardzo się zbliżył. Gdyby teraz zawrócił, drugi stwór by go dopadł!

Marjorie się obejrzała. Dwa osobniki, które trafiła, nie były poważnie ranne. Zaskoczone i chwilowo niezdolne do działania, ale sprawne. Zraniła je w szyję, a nie w nogi. Gwałtownie zmusiła Kichota do zawrócenia.

– Dalej! – zawołała, jadąc prosto na potwora, z którym mierzył się Tony. Za bestią rozciągał się kawałek płaskiego terenu.

Serce biło jej tak głośno, że nie słyszała niczego innego, a pulsowanie w uszach zagłuszało tętent kopyt. Ujęła lancę lewą ręką, swobodnie ją trzymając. Zbliżali się.

– Będziemy skakać – powiedziała Kichotowi. – Przeskoczmy nad nim, koniku. Nad nim. – Potem już nie było czasu na mówienie. Kichot zebrał się w sobie i po chwili znaleźli się wysoko nad grzbietem potwora, a Marjorie skierowała lancę w dół i do tyłu. Następnie wylądowali po drugiej stronie.

Znaleźli się na malutkiej wyspie, na której było tylko tyle miejsca, żeby Kichot zdołał się zatrzymać, zawrócić i ponownie przeskoczyć ponad wodą na suche zbocze. Tony patrzył ogłupiały na Hippae, który leżał z przeciętym kręgosłupem, tocząc pianę z pyska. Dwa ranne stwory skradały się w jego stronę.

Cztery.

– Anthony! – zawołała, mijając chłopca. – Za mną, Błękitna Gwiazdo!

Tony jej nie usłyszał, ale klacz owszem. Kichot pomknął w górę zbocza, szybciej niż ranny Hippae, a Błękitna Gwiazda trzymała się tuż za nim. Kiedy nieco oddalili się od stworów, Marjorie skrzyła na południe. Błękitna Gwiazda się z nią zrównała. Marjorie zerknęła na syna. Wyglądał niemal jak Shevloek, jego blada twarz była pozbawiona emocji. Zbliżyła się

do niego, tak że oba wierzchowce jechały w odległości zaledwie kilku cali, po czym nachyliła się i dwukrotnie spoliczkowała go rękawiczką.

Ocknął się gwałtownie, a w jego oczach zebrały się łzy.

– Nie mogłem myśleć! – zawołał. – On dostał się do mojego wnętrza i nie pozwalał mi myśleć.

– Nie pozwól im na to! – rozkazała. – Wrzeszcz. Krzycz. Obrzucaj je obelgami, ale im na to nie pozwalaj!

Mniej więcej pół mili przed nimi Octavo i dwie kłaczki pędziły obok siebie po zboczu wzgórza, ścigane przez cztery Hippae.

– Teraz! – zawołała Marjorie, wskazując przed siebie i na prawo. – Przetniemy im drogę.

Nachyliła się. Rigo, Sylvan i Rowena jechali po płaskim terenie, okrążając wzgórze, zamiast się na nie wspinać. Jadąc w ten sposób, dotrą do bramy za dwie albo trzy godziny, jeśli nie będą zwalniali tempa. Gdyby ona i Tony wjechali nieco wyżej i ruszyli na zachód, mogliby się z nimi spotkać kawałek za najbardziej wysuniętym na południe punktem ich trasy. Kichot i Błękitna Gwiazda wyciągnęły szyje, galopując obok siebie jak bliźnięta połączone na wysokości serca. Za nimi biegły dwa ranne Hippae, które wciąż ryczały i niosły na grzbiecie jeźdźców o beznamiętnych obliczach. Były zbyt wolne, żeby stanowić bezpośrednie zagrożenie, ale laserowe ostrze przyżega zadawaną ranę, więc nie osłabił ich upływ krwi.

– Wciąż próbują się dostać do mojej głowy! – zawołał Tony. – Dlatego myślę o powrocie do domu.

Uśmiechnęła się do niego i zachęciła skinieniem głowy. Cokolwiek okaże się skuteczne. Sama w ogóle ich nie czuła. Coś odczuwała, ale to nie były Hippae. Coś innego. Ktoś inny.

– Nie zabiłaś swoich złych osobników – skomentował ktoś cicho zaciekawionym głosem. – Dlaczego zabijasz naszych?

– Ponieważ swoich mogłam związać i powstrzymać przed dalszym wyrządzaniem krzywdy – odpowiedziała. – Nie mogę tego zrobić z tymi istotami.

– Mogłabyś coś wymyślić.

– Nie! – odparła ze złością. – Wszyscy zawsze tak mówią, ale to nieprawda. Jeśli można coś wymyślić, to się to robi, a jeżeli się tego nie robi, to najwidoczniej nie można. Ponieważ brakuje czasu, pieniędzy albo potrzebnych materiałów. Ponieważ nie ma na to żadnego sposobu bądź dogodnej chwili, lub nie jest się wystarczająco inteligentnym.

Myśl bardzo przypominająca westchnienie. Dotyk, jak pieścizota.

– Cholera! – wykrzyknęła. – Nie widzisz, że teoretyczne odpowiedzi są bezużyteczne! Potrzebne są praktyczne rozwiązania!

Zaszokowane milczenie. Tony wbił w nią wzrok.

– Co się stało?! – zawołał.

– Nic – szepnęła, skupiając się na jeździe. – Zupełnie nic.

Ziemia uciekała spod kopyt koni. Skórzane siodła skrzypiały. Co jakiś czas chłostały ich kępy wysokich traw. Przed wierzchowcami materializowały się zarośla, dziury i zagłębienia, które konie przeskakiwały i zostawiały z tyłu. Ranna para Hippae wciąż ich goniła, wyjąc. Czas szybko mijał, a jednak wydawało się, że nie ma końca. Przeszłość była niczym, niezależnie od tego, jak długo trwała. Przyszłość była wszystkim, niezależnie od tego, jak była krótka. Oczy Tony'ego zasłzy mgłą z wysiłku, gdy starał się powstrzymać Hippae przed przejęciem kontroli. Marjorie milczała, w ten sposób pomagając Kichotowi. Mógł dla niej zrobić wszystko, jeśli mu nie przeszkadzała. Wydawało się, że łuk wzgórza widoczny na tle nieba wcale się nie zbliża.

Aż wreszcie do niego dotarli. Z góry dostrzegli Riga i pozostałych na południu. Zataczali krąg wzdłuż zachodniej strony wzgórza, na którym wybudowano Wspólnotę. Cztery Hippae wciąż ścigały Riga i jego dwoje towarzyszy. Były coraz bliżej.

– Dalej, Kichocie! – zawołała, popędzając konia w dół zbocza. Chciała dać Rigowi znać, że tutaj jest, ale oceniała, że z tej odległości jej nie usłyszy.

Popatrzyła na miejsce, w którym przecinały się ich szlaki, położyła się na szyi Kichota i go przynagliła. Kiedy skrócili dystans o połowę, zawołała i zobaczyła, że trzy głowy zwracają się w jej stronę.

Rigo obejrzał się przez ramię, rozumiejąc zamiary Marjorie. Mogła znaleźć się za czterema Hippae, które ścigały Riga, Rowenę i Sylvana. Rigo

i pozostali mogliby wtedy zawrócić i stawić stworom opór, podczas gdy Marjorie i Tony zaatakowałyby je od tyłu. To byłaby dobra taktyka, gdyby nie kolejne dwa Hippae, które właśnie wyłoniły się zza szczytu wzgórza za Marjorie i Tonym. Ich obecność sprawiła, że Marjorie znalazła się pomiędzy dwiema grupami wrogów. Rigo zamachał rękami, wskazując Hippae za jej plecami.

Obejrzała się, zobaczyła, co się dzieje, i zaklęła. Sądziła, że konie zostawią ranne bestie daleko w tyle, ale Hippae nie zwalniały. Teraz na pięcioro ludzi przypadało sześć potworów. Chociaż cztery bestie były lekko ranne, nie wyglądało to dobrze.

Ze wschodu dobiegł potężny grzmot i wstrząs, jak podczas burzy. Ziemia zadrżała. Dwa Hippae na wzgórzu wrzasnęły wściekle, pojmując, co się stało, jeszcze zanim Marjorie się zorientowała. Ludzie Alverda Bee wysadzili tunel. Jedyny tunel. Marjorie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że tunel był zbyt wąski i niski, żeby umożliwić szybką inwazję na pełną skalę. Jeżeli Hippae od dawna planowały atak, to zapewne istniały inne tunele. Skoro wydeptały szeroki szlak wiodący przez trawy, to z pewnością dysponowały kolejnymi przejściami...

– Szukamy – odezwał się ktoś. – Na razie ich nie znaleźliśmy.

Co nie znaczyło, że ich nie ma.

– Zamierzacie nam pomóc? – spytała ostro. – Czy będziecie patrzeć, jak ginimy, próbując to zrobić samodzielnie.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Rigo usłyszał wybuch. Teraz położył się na szyi Octavo i zachęcił go do szybszego biegu. Jej Wysokość i Millefiori gnały za nim jak wiatr, powiększając przewagę nad Hippae.

Marjorie odbiła na północ. Nie było sensu kierować się w stronę innych jeźdźców. Teraz musieli po prostu uciec swoim prześladowcom. Dotrzeć do kamienistych grani Jegóry, a następnie do bramy.

– Gdyby chodziło o twój lud, to próbowałabym pomóc – rzekła Marjorie.

– Ludzie pomagali Hippae zabijać lisy – pojawiła się odpowiedź, zgryźliwa, wyraźna, wcale nie aluzyjna. To nie był znajomy głos. – Od samego początku.

– Dobrze wiecie, że to nieprawda! – zawołała. – Hippae wykorzystywały ludzi do zabijania lisów. To coś zupełnie innego. – Wiedziała, że to kłamstwo, przynajmniej częściowo. Ludzie bardzo chętnie angażowali się w Polowania.

Żadnej odpowiedzi.

Pędzili. Sierść Kichota pokryła się pianą, koń ciężko dyszał. To był długi podjazd, a pancierz sporo ważył. Marjorie przytrzymała wodze zębami, wyjęła nóż z kieszeni i przecięła paski, na których trzymały się płyty, jeden na piersi wierzchowca i dwa na jego bokach. Pancierz spadł, a koń wydał z siebie odgłos, który zabrzmiał jak modlitwa. Tony zobaczył, co zrobiła matka, i uczynił to samo.

Rigo ich obserwował. Pokiwał głową i dał znać pozostałej dwójce. Sylvan poszedł w ich ślady, podobnie jak sam Rigo, ale Rowena krzyknęła zrozpaczona. Nie miała noża. Dołączyła jako ostatnia i nikt nie pomyślał o tym, żeby go jej dać.

Jakby rozproszona tym okrzykiem, Millefiori potknęła się i upadła. Rowena potoczyła się po ziemi, po czym wstała z szaleństwem w oczach. Podbiegła do konia i płynnym ruchem wskoczyła na siodło, podczas gdy Millfiori z trudem się podniosła, utykając. Klacz podjęła ucieczkę, ale niezdarnie, powoli, coraz bardziej zostając w tyle za pozostałymi.

Sylvan to zobaczył. Zawrócił po ciasnym łuku i cofnął się do matki. Chwycił ją i posadził przed sobą na siodle. Teraz Jej Wysokość musiała sobie poradzić z podwójnym ciężarem. Zwolniła. Millefiori również. Sylvan przesunął się do tyłu, żeby zrobić matce więcej miejsca. Jeden z Hippae skoczył do przodu z oszalamiającą szybkością, szeroko rozwierając szczęki, i ściągnął Sylvana z grzbietu Jej Wysokości. Kolejny zrównał się z Millefiori, szykując się do ataku. Rowena, z twarzą niczym śmierć i ustami otwartymi w niesłyszalnym jęku, jechała dalej.

Sylvan zniknął. Tam, gdzie był, pozostała pustka, bezruch. Marjorie wrzasnęła z wściekłości i bólu, a po jej twarzy łzy spłynęły.

– Zacznę od spalenia bagiennego lasu. Nie będzie to łatwe, ale jakoś tego dokonamy. Potem trawy, wszystkie. W ten sposób pozbędziemy się zarazy i Hippae. Już ich nie będzie.

– A co z nami?! – wykrzyknęły głosy.

– A co ma być? – warknęła. – Skoro nie zamierzacie nam pomagać, to trudno. Wam nie zależy na nas. Dlaczego nam miałyby na was zależeć?

Skowyt. Warknięcie. Uderzenie, jakby jedno stworzenie zadało cios drugiemu. Nagle coś pojawiło się za Millefiori, stając na drodze zbliżających się Hippae. Jasnofioletowe, śliwkowe i fiołkowe, z wijącym się ogonem i falującymi ramionami, ruchomy miraż z drżącego powietrza.

– Jeśli On będzie musiał to zrobić sam, to i tak spalę las, choćby własnymi rękami! – krzyknęła Marjorie.

– Doganiają nas! – zawołał Tony. – Błękitna Gwiazda jest wyczerpana.

– Wszyscy jesteście wyczerpani! – odkrzyknęła przez łązy. W miejscu, w którym upadł Sylvan, kłębiły się bestie. – Skręć bardziej w stronę drogi. – Obejrzała się, a potem zerknęła na słońce. Jechali już od ponad godziny. Może nawet od dwóch. Pokonali mniej więcej trzydzieści mil, po trudnym terenie, głównie pod górę. Od bramy dzieliło ich jeszcze dwanaście do piętnastu mil. – Jeśli tutaj zginę – zagroziła – moja rodzina spali las, klę się na Boga.

– Co się dzieje tam w dole?! – zawołał Tony. – Hippae się zatrzymały.

Rzeczywiście. Zatrzymały się, zawróciły i rzuciły do ucieczki. Niestety, nie w kierunku, z którego przybiegły, ale w górę zbocza. W stronę Marjorie.

– Lisy! – wykrzyknęła Marjorie. – Nie tam, gdzie bym chciała, ale lepsze to niż nic.

Starła się podejść filozoficznie do śmierci, ale bezskutecznie, usiłowała powstrzymać strach, ale również nie potrafiła.

– Tony, musimy pozbyć się tych dwóch za nami, zanim inne do nas dotrą.

Popatrzył na nią oszołomiony.

– Musimy! Jeśli pozostała czwórka nas dopadnie, będziemy okrążeni.

Pokiwał głową, przygryzając wargę. Zobaczyła na niej krew, jedyny barwny element na jego twarzy.

– Włącz lancę.

Zupełnie o tym zapomniał. Uruchomił ją kciukiem, spoglądając na brzęczące ostrze jak zahipnotyzowany.

– Tony! Skup się! – Pokazała mu, jak powinien pojechać: oboje mieli zatoczyć szerokie kręgi w przeciwnych kierunkach i zaatakować ranne Hippae z obu stron.

Rozdzielili się, zatoczyli łuk, po czym popędzili w stronę potworów, zanim te zrozumiały, co się dzieje. Hippae również się rozłączyły i każdy z nich ruszył w stronę innego konia. Marjorie próbowała zapomnieć o swoim synu i skupić się na tym, co musi zrobić. Trzymała lancę daleko przed sobą, a płomień jej ostrza był widoczny nawet w świetle dnia.

Ponad nią rozległ się ryk. Podniosła głowę i zobaczyła Asmira Tanliga i Roalda Few, którzy machali do niej z autolotu i coś krzyczeli. Odczytała ich słowa z ruchu warg.

– Zabierzemy was, zabierzemy.

Mieliby zostawić Błękitną Gwiazdę i Kichota na pastwę bestii?! Pokręciła głową i odmówiła machnięciem ręki. Dopiero kiedy pojazd się uniósł, dotarło do niej, co uczyniła. Boże, co za głupota. Co za głupota. A jednak...

Hippae był tuż przed nią, krążył poza jej zasięgiem, na zmianę rzucając się do przodu i cofając. Potrafił manewrować szybciej niż Kichot, który zwracał łeb w stronę bestii i tańczył, jakby miał na kopytach baletki, stając na palcach. Za sobą Marjorie usłyszała krzyk Tony'ego. Nie odważyła się obejrzeć. Kolejna porcja tanecznych kroków. Potem Kichot zaszarżował. Nie kazała mu tego zrobić. Po prostu ruszył do ataku. Pojawiła się luka, lanca ją odnalazła i po chwili ponownie się oddalili, tańcząc, a Hippae upadł na ziemię, jęcząc ku niebu, z do połowy przeciętą szyją.

„Pięć!” – wykrzyknął jej umysł, gdy usiłowała odnaleźć Tony'ego. – „Pięć!”.

Numer sześć stał nad jej synem, podczas gdy Błękitna Gwiazda uciekała w stronę dalekiej bramy, jakby wiedziała, gdzie ta się znajduje, i jakby ktoś jej powiedział, że tam będzie bezpieczna. Przyczajony Hippae szeroko rozwarł paszczę i zawył na chłopca, gotowy zedrzyć mu twarz jednym potężnym ugryzieniem. Kichot rzucił się naprzód z donośnym rzeniem...

Na grzbiecie Hippae mignęło coś włochatego. Drugi kształt pojawił się pomiędzy szczękami a chłopcem, kolejny zaś przy udach stwora, w które uderzył pazurami. Trzy lisy. Kłębowisko walczących ciał potoczyło się w stronę wzgórza.

Tony leżał nieruchomo.

Marjorie zsiadła z konia i z trudem wciągnęła chłopca na grzbiet Kichota. Wierzchowiec przykląkł, chociaż wcale go o to nie prosiła. Potem Marjorie ponownie usiadła w siodle, trzymając syna przed sobą, i popędziła śladem Błękitnej Gwiazdy. Chociaż trudno to było nazwać pędem. Ale przynajmniej się przemieszczała.

W dole zbrocza kolejne lisy zajęły się pozostałymi Hippae. Rowena trzymała się tuż za plecami Riga. Millefiori wlokła się na końcu, mocno utykając.

Teraz, pomyślała Marjorie. Teraz sprowadźcie swój przeklęty autolot, powietrzną ciężarówkę czy cokolwiek tam macie. Teraz.

Rzeczywiście się pojawił, niedaleko od nich. Persun Pollut siedział za sterami, a Sebastian Mechanic opuszczał rampę dla koni.

– Wiedziałem, że nie będziecie chcieli zostawić koni – powiedział Persun, gdy weszli na pokład. – Mówiłem Asmirowi, że tak będzie, ale Roald upierał się, że nie będziecie tacy głupi.

Głupi, pomyślała. Głupi. Zupełnie jakby to było rozwiązanie problemu, który od dawna nie dawał jej spokoju. W swoim umyśle wyczuła potężne, całkowite poparcie.

* * *

Punkt dowodzenia mieścił się w stacji porządkowej, a nad wszystkim czuwał James Jellico. Tuzin ochotników zgłosił się do oporządzenia koni. Nie licząc uszkodzonej nogi Millefiori, wszystkie zwierzęta były sprawne. W kącie doktor Bergrem z troską patrzyła na Rowenę, która coś sobie złamała podczas upadku z konia. Może ramię. Pękło także coś w jej wnętrzu. Siedziała nieruchomo, blada i obojętna. Kiedy Marjorie do niej podeszła, Rowena raz za razem szeptała imię Sylvana.

– Znaleźliśmy go – powiedziała Marjorie. – Pojechaliśmy tam i znaleźliśmy go, Roweno.

– Co? Jak to?

– On nie żyje, Roweno. Skręcił kark podczas upadku. Nie tknęły go.

– A więc go nie... nie...

– Nie, Roweno! – wykrzyknęła. – Nie zrobili tego. Przywieźliśmy jego ciało, żeby go pochować.

Wróciła do Tony'ego, który siedział poblady w kącie i powoli wracał do siebie. W głębi pomieszczenia zobaczyła brata Mainoa, który siedział przy wiadofonie. Niezdarnie uniosła klapkę kieszeni; jej dłonie były jak zamrożone po długotrwałym kurczowym trzymaniu lancy i wodzy. Palce miała jak z drewna. W końcu zdołała wydobyć list.

Położyła go przed bratem Mainoa.

– Myślę, że należy to wysłać na Semlinga – stwierdziła.

Przeczytał list, a twarz mu poszarzała, gdy zrozumiał jego znaczenie.

– Ach... – mruknął. – Ach, tak... ale...

– Ale?

Potarł czoło i zaczął coś mówić, ale przerwał, żeby znów się zastanowić.

– Jeśli teraz to ujawnimy, wybuchnie panika, bunty, zamieszki. A kiedy odkryjemy lekarstwo, władze nie zdołają go rozpowszechnić, ponieważ będą zajęte utrzymywaniem porządku. Tego listu nie należy upubliczniać, dopóki nie powstanie lekarstwo, Marjorie.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale martwię się, że jeśli będziemy czekać, prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Kto wie, co te...

– Diabły – zasugerował. – Uświęcone diabły. Hierarcha i jego świta.

– To brata wiara. Nie chciałam...

– W niej się urodziłem – przyznał. – Do niej mnie ofiarowano. To nie to samo. Nie. Ten list napisał ktoś, kto nie jest wart żadnej wiary, Marjorie.

Uniosła rękę.

– Wie brat, co mam na myśli. Ten, jak mu tam, Zoe może się w każdej chwili zorientować, że list zniknął. Może zacząć go szukać. Może starać się zapobiec ujawnieniu go.

– Sporządzimy kopie – zaproponował brat Mainoa. – Wysłanie tekstu poza planetę nie wystarczy. Hierarcha może się go wyprzeć. Potrzebne są kopie listu napisanego jego własną ręką. A skoro czytamy tutaj, że Hierarcha do nas zmierza, to musimy poprosić kogoś, żeby wywiózł kilka egzemplarzy poza Trawę. W porcie stoi frachtowiec z Semlinga, gotowy do odlotu. *Gwiezdna Lilia*.

– Jak daleko do najbliższego... jak daleko do Semlinga?

– Dwa trawiańskie tygodnie.

– Trzydzieści dni – szepnęła. – Byłoby cudownie, gdybyśmy wtedy już mieli lekarstwo.

– My, czyli kto?

– Tutejsza lekarka. Jest niesamowita, bracie Mainoa. Kształciła się na Semlingu oraz na Pokucie. Ma grupę młodych pomocników, którzy właśnie skończyli szkołę. Zainteresowała się immunologią ze względu na coś, co odkryła na Trawie, gdy była dziewczynką.

– Coś?

– Nie jestem naukowcem. Napisała o tym książkę. To coś ma długą nazwę, nie pamiętam jaką. To jakaś substancja odżywcza. Coś, czego potrzebują nasze komórki, żeby rosnąć i się rozmnażać. A tutaj, na Trawie, to istnieje w dwóch formach, zwyczajnej i odwróconej, która nie występuje nigdzie indziej.

– Kiedy ci to powiedziała?

– Kiedy odwiedzałam Stellę. Mówiła do mnie tylko po to, żeby zająć czymś moje myśli, ale sprawiała wrażenie tak kompetentnej, że poczułam nadzieję. – Wzięła list i popatrzyła na niego, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. – Pewnie ma brat rację. Jeśli nie znajdziemy lekarstwa, nie będzie miało znaczenia, czy ludzie się dowiedzą. Ale jeśli nam się uda? Wtedy ludzie będą musieli poznać prawdę. Mają prawo wiedzieć, co zamierzała Świętość!

– W porządku, Marjorie. Na wszelki wypadek wyślemy kilka kopii poza planetę. *Gwiezdna Lilia* jutro odlatuje. Skoro tunel został wysadzony, poprosimy Alverda Bee, żeby sprowadził załogę i pracowników magazynów z powrotem do portu, by mogli przygotować statek do startu.

– Tony – odparła. – Poślemy Tony’ego. – To byłoby dobre wyjście. Jest zbyt podatny na ataki Hippae. Lepiej go odesłać, zanim zostanie przez nie skażony tak jak Stella. Tylko że... na Semlingu może szaleć zaraza. Co jest groźniejsze? Wszędzie czai się ryzyko. Groźba śmierci. – Niech brat powie załodze, żeby mieli się na baczności. Z pewnością istnieje inny tunel. W przeciwnym razie, po co byłby ten potężny szlak Hippae prowadzący aż tutaj!

Pokiwał głową, głaszcząc Marjorie po dłoni.

– Jeśli postawią kogoś na straży i będą mieli w odwodzie autolot albo dwa, to nic im nie będzie. A na wypadek gdyby Hierarcha zaczął mnie szukać – co nie jest wykluczone, jeśli Zoe mu o mnie powie – gdzie się ukryję. Najlepiej wrócę do lasu. Rillibee do mnie dołączy, żeby się mną zaopiekować. Jeżeli będą mnie szukali, powiedzcie, że wróciłem do lasu. Jeśli będą szukali listu, udawajcie, że nigdy go nie widzieliście. Rigo także. Kiedy znajdziecie lekarstwo, Tony zadba o to, żeby list trafił do jak największej liczby osób, tak samo jak lek.

Rillibee zbliżył się do staruszka.

– Ja też pójdę – oznajmił. – Posadzę brata Mainoa wysoko na drzewie i zaczekamy, aż przyjdzie po nas któryś z lisów.

Marjorie zauważyła, że szuka pretekstu, by do nich dołączyć. Chciała odejść. Chciała się znaleźć między drzewami, a nie tutaj, wśród tych wszystkich ludzi. Rozejrzała się, wypatrując jakiegoś powodu, ale kiedy ponownie się odwróciła, stwierdziła, że Rillibee już odszedł.

Cholera. Poczwała dojmujący smutek, ale powstrzymała łzy.

– Czy wszyscy zgadzają się z tym, że zapewne istnieje kolejny tunel? – spytała Roalda Few, próbując skupić się na czymś innym.

– O tak – odparł Roald. – Zapewne więcej niż jeden. Pewnie Hippae jeszcze nie są gotowe, w przeciwnym razie już by się na nas rzuciły.

– Tunel równie dobrze mógłby się zaczynać po tej stronie muru – wyszeptała, upewniając się, że nikt inny jej nie słyszy. – Jego wylot mógłby się znajdować poniżej miasta. Pomyślał pan o tym?

Roald ze znużeniem pokiwał głową.

– Lady Westriding, pomyśleliśmy o tym, a także o trzech albo czterech innych, równie przerażających scenariuszach. Ludzie zaczynają rozmawiać o tym, jak długo zimowe kwatery zdołają się opierać przed atakiem Hippae.

– Skoro więc tunel nie jest gotowy, to jaki będzie następny krok Hippae?

– Spalą posiadłości – odrzekł. – Tak jak zrobiły z Opalowym Wzgórzem. To jedna z kwestii, jaką zrozumieliśmy, kiedy wy odciągaliście Hippae. Jesteśmy co do tego zgodni. Znając ich naturę, jeśli nie będą mogły się tam przedostać, to wywołają pożary.

– Czy ktoś ostrzegł posiadłości?

Roald ukrył twarz w dłoniach.

– Nikt nie miał czasu! Zresztą, kogo oni mogliby posłuchać? Obermum bon Damfelsów? Może ona by ich przekonała. Mnie na pewno nie uwierzą.

Marjorie oddaliła się, żeby skopiować list, odstawić Tony'ego na pokład *Gwiazdnej Lili* oraz znaleźć Rowenę.

* * *

Nikt nie odebrał wiadofonu w Klive. U bon Laupmonów ktoś się odezwał, ale w żaden sposób nie zareagował na wieści, że Taronce przeżył, a posiadłość należy ewakuować. Jednakże w Stane, po otrzymaniu informacji, że Dimoth i Vince zginęli, Geraldria bon Maukerden poprosiła Rowenę o przysłanie pomocy z Miasta Ludu, w celu przeprowadzenia ewakuacji domu i wioski. Burmistrz Bee już posłał wszystkie dostępne autoloty do wiosek, wliczając wioskę bon Damfelsów.

– Przeklęci bonowie mogą się przypiekać, jeśli chcą – warknął – ale uratujemy swoich ludzi.

Było za późno, żeby wydostać ich z Klive. Hippae zaatakowały posiadłość jeszcze przed wysadzeniem tunelu. W posiadłości i wiosce nie ocalał nikt poza jednym człowiekiem, Figorem, który wałęsał się pośród zwęglonych domów z laserowym nożem w dłoni.

Kiedy Rowena usłyszała wieści, zapłakała. Ocierała łzy lewą dłonią, gdyż jej prawa ręka i ramię znajdowały się w uzdrawiaczu.

– Emmy jest tutaj – powiedziała. – Amy również. Shevlok też, w pewnym sensie żywy. Figor sobie poradzi. Ale zasmuciły mnie wieści o Sylvanie. A także o moich kuzynach i o starej ciotce Jem.

Nikt nie miał czasu towarzyszyć jej w żałobie. Klive z bagiennym lasem łączył szlak, na którym najwyraźniej gromadziły się wszystkie Hippae z całej planety.

Flota ewakuacyjna kursowała tam i z powrotem ponad preriami, nie przerywając nawet wtedy, gdy pożary wybuchły w Stane i Jorum, posiadłości bon Bindersenów. Obermun Kahrl oraz Obermun Lisian odmówili opuszczenia posiadłości bon Bindersenów, ale ich dzieci, Traven i Maude, chętnie odleciały razem z mieszkańcami wioski oraz wieloma innymi osobami z rezydencji.

* * *

W posiadłości bon Haunserów Eric dołączył do ewakuowanych razem z Jasonem, synem Obermuna. Felitia wcześniej zginęła przed murami domu bon Laupmonów podczas wydarzenia, które Rigo zapamiętał jako „Pojedynek”.

Posiadłość bon Laupmonów została całkowicie zniszczona, zanim przybyły autoloty, ale mieszkańcy wioski otoczyli swoje zabudowania rowem przeciwpożarowym i, uzbrojeni w noże do ścinania trawy, stali razem ze swoim żywym inwentarzem. U bon Smaerłoków pilotom powiedziano, że bonowie udali się na Polowanie razem z bon Tanligami. Wszyscy, nawet starcy. Wczesnym rankiem pojawił się olbrzymi tłum ogarów oraz wierzchowców, i wszyscy mieszkańcy posiadłości ruszyli na łowy. Pozostały tylko dzieci. Ewakuowano je razem z mieszkańcami wioski. Od posiadłości w stronę Wspólnoty wiódł szeroki szlak Hippae.

Stacja porządkowa stała się centrum Wspólnoty. Tam można było obserwować, co się dzieje w porcie, a także odbierać wiadomości od nadlatujących statków. Stamtąd można było kierować działaniami obronnymi, gdyby Hippae przedostały się przez jakiś inny tunel.

W zimowych kwaterach poniżej stacji porządkowej utworzono prowizoryczny szpital, w którym umieszczono Rowenę, Stellę, Emmy, Shevloka, Figora oraz tuzin innych osób, które zostały poważnie ranne przed ewakuacją bądź w jej trakcie. Ludzi z lekkimi obrażeniami opatrywano i odprawiano. Kiedy już zajęto się wszystkimi potrzebującymi, Lees Bergrem zaczęła nalegać, żeby pozwolono jej wrócić razem z kilkoma pomocnikami przez bramę do szpitala.

– Niezależnie od tego, czy istnieje inny tunel, w szpitalu znajduje się sprzęt, którego potrzebuję – przekonywała. – Być może będę w stanie działać w sprawie zarazy więcej niż ktokolwiek inny, ale muszę się dostać do swojego sprzętu. Nie mogę pozwolić, żeby Hippae mnie go pozbawiły.

– Ma pani jakieś pomysły? Plan ataku? – dopytywała Marjorie.

– Nie. Na razie nie mam niczego. Tylko kilka pomysłów, ale w tej chwili nie mam do tego głowy! – Zignorowała protesty Jellica i wyruszyła razem ze swoimi pomocnikami, zabierając zapasy jedzenia i picia, a także różne dziwaczne przedmioty, które ocalili podczas ewakuacji Dzielnicy Handlowej.

Marjorie nie mogła nic więcej zrobić. Tony spał w sali noclegowej w stacji, gotowy odlecieć na pokładzie *Gwiezdnej Lilii*, która miała wystartować za kilka godzin. Mainoa i Rillibee byli w lesie. Persun i Sebastian pomagali burmistrzowi Bee rozlokować uchodźców i ufortyfikować zimowe kwatery.

Marjorie nie mogła nic więcej zrobić.

– Roald zaproponował nam pokój w swoim domu w mieście – powiedziała Rigowi. – Jego żona, Kinny, przyrządzi nam kolację. Możemy pójść...

Rigo z trudem wstał, krzywiąc się przepaszająco.

– Nie jestem pewien, czy mogę chodzić.

Persun usłyszał go i podszedł.

– Mam na zewnątrz niewielki kołowiec. Wystarczy w nim miejsca dla pana i Lady Westriding, jeśli nie przeszkadza wam tłok. I tak muszę jechać do miasta.

Rigo uśmiechał się z wdzięcznością, gdy jechali w milczeniu, wyczerpani, do letnich kwater Roalda Few.

Kinny ze łzami w oczach zaprowadziła ich do wygodnych podziemnych apartamentów.

– Straciliśmy tylko jedną wioskę – powiedziała zapłakana. – Tylko jedną z siedmiu. Ale każdy w miasteczku miał tam krewnych. Każdy jest w żałobie po Klive.

Marjorie także żałowała Klive i zniszczeń, które tam się dokonały.

Kinny mówiła dalej, kręcąc głową ze zdziwieniem i bolesnym rozdrażnieniem.

– Wiedzą państwo, że bonowie już próbują przejąć władzę?

– Nie – odparł Rigo. – Jak to przejąć władzę?

– Nie uwierzy pan, ambasadorze... A więc tak... Mamy Erica, brata zmarłego Obermuna Jerrila bon Haunsera, oraz Jasona, syna Jellila. Mamy także Taronce'a bon Laupmona, bratanka zmarłego Obermuna Lancela, oraz Travena, czyli brata zmarłego Obermuna bon Bindersenów. Jest ich czterech. Postanowili przejąć tymczasowe rządy we Wspólnocie. – Roześmiała się, wściekła, a zarazem rozbawiona. – Oświadczyli Roaldowi, że powołali radę czterech, która ma sprawować władzę. Roald i Alverd próbują z nimi rozmawiać, ale to niełatwe. Nie w ich przypadku.

– Myśleli, że będziecie słuchać ich rozkazów? – spytał zdumiony Rigo.

– Naprawdę tak uważali. W końcu zawsze udawaliśmy posłuszeństwo, gdy odwiedzaliśmy ich w posiadłościach. Bonom sprawiało to przyjemność, a nam nie wyrządzało żadnej krzywdy. Jednakże we Wspólnocie mamy zbyt wiele do stracenia, żeby pozwalać im się mieszać. Są takimi ignorantami. – Skrzywiła się i spytała, czy są gotowi coś zjeść.

– Chyba tak – odpowiedziała z westchnieniem Marjorie. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam. Chyba w Nadrzewnym Mieście.

– Och, chciałabym o tym usłyszeć! Niech się państwo umyją, a potem zapraszamy na górę; kolacja będzie czekać.

Kinny usługiwała im w kuchni, jednocześnie paplając o Nadrzewnym Mieście oraz tuzinie innych tematów, na przemian wybuchając płaczem

i z czegoś się śmiejąc. Dopiero kiedy zjedli i siedzieli z filiżankami herbaty, o czymś sobie przypomniała.

– Och, Roald dzwonił, kiedy byli państwo na dole. Mam państwu przekazać, że jutro przyleci duży statek ze Świętości. Roald twierdzi, że na pokładzie będzie sama największa szycha. Ten, jak mu tam, Hierarcha.

– Wpuści go na orbitę? – spytał Rigo, czując ucisk w żołądku, ponieważ domyślał się, co taka wizyta może oznaczać.

Kinny pokręciła głową.

– Powiedział, że tego nie chce, podobnie jak burmistrz Bee. Pytanie tylko, jak można ich powstrzymać przed zawiśnięciem nam nad głowami, jeśli będą mieli ku temu ochotę?

Marjorie dała się ponieść wyobraźni.

– Rigo, musimy zabrać doktor Bergrem ze szpitala. Znajduje się tuż obok portu. Jeśli ten statek wyląduje. Jeśli Świętość dowie się, nad czym ona pracuje...

Stęknął, wstając od stołu.

– Chodźmy jeszcze raz porozmawiać z Alverdem Bee.

* * *

– Co to jest „klasa galaktyczna”? – chciał wiedzieć burmistrz Bee.

– To statek Świętości – wyjaśnił jeden z kontrolerów. – Nazywa się *Israfel*. Nigdy takiego nie widziałem.

Znajdowali się w zimowych kwaterach stacji bezpieczeństwa. Z sąsiednich pokojów dobiegały jęki kogoś rannego oraz zawodzenie wystraszonych niemowląt. Ktoś przebiegł korytarzem i jęki ustały. Dzieci nie przestawały płakać.

Mężczyzna przy wiadofonie nie zwracał na nic uwagi.

– Statek wojenny – stwierdził, wpatrując się w wykres na ekranie. – Marynarka wojenna Świętości. Wielki skubaniec.

– To transportowiec – zauważył Rigo, spoglądając spod przymrużonych powiek na wykres zza pleców operatora. – A zarazem pancernik. Stary. Wszystkie ich statki są stare.

– Nieważne, jak jest stary, jeśli przewozi tysiące ludzi – zgodził się kontroler. – Wyposażonych w prawdziwą broń bojową.

– Doktor Bergrem musi uciekać – odezwała się Marjorie. – Na pokładzie *Gwiezdnej Lilii*. Nie może tutaj zostać.

– Doktor Bergrem nigdzie się nie wybiera – rozległ się kobiecy głos za jej plecami. – Co to ma znaczyć?

Lekarka zdjęła płaszcz i usiadła, jakby miała zamiar zostać na dłużej.

– Właśnie szłam do miasta po książkę, której potrzebuję, gdy nagle usłyszałam, że ktoś woła moje imię nadaremno.

– Niedługo przybędzie nowy Hierarcha Świętości – poinformowała ją Marjorie. – Cory Strange. Lepiej, żeby pani tutaj nie było, kiedy się pojawi.

– A niby dlaczego, do cholery? – Kobieta rozsiadła się na krześle.

– Ma pani lekarstwo?

– Jeszcze nie. Ale mam wrażenie, że jestem na właściwym tropie. Gdybym tylko wiedziała...

– Zatem musi pani stąd odlecieć – burknął Rigo.

Lekarka poczerwieniała ze złości.

– Ciii – wtrąciła się Marjorie. – Doktor Bergrem, nikt nie próbuje panią rządzić. Proszę to przeczytać. – Wyjęła z kieszeni kopię listu do Jhamleesa Zoe i wręczyła ją kobiecie.

Lees Bergrem przeczytała list, potem uczyniła to ponownie.

– Nie wierzę!

Rigo zaczął odpowiadać, ale Marjorie zakryła mu usta palcami.

– W co pani nie wierzy?

– Że ktokolwiek mógł... To musi być fałszerstwo... – Popatrzyła im w oczy, ale nie znalazła tam niczego poza niepokojem. – Ale po co...? Cholera! – Wręczyła list Alverdowi Bee.

– Musi pani uciekać – powtórzyła Marjorie. – Możliwe, że jest pani blisko odkrycia lekarstwa albo czegoś, co do niego doprowadzi. Sama pani tak powiedziała. Jeśli znajdzie pani rozwiązanie tutaj, podczas gdy statek Świętości będzie przebywał w porcie, to nie będzie pani miała okazji nikomu tego powiedzieć. Tysiąc żołnierzy może umieścić nas wszystkich w areszcie domowym. Zamierzaliśmy posłać naszego syna na Semlinga

z kopiami tego listu, ale pani może jeszcze skuteczniej go rozpowszechnić. Znają panią na tamtejszym uniwersytecie.

– Jeżeli odeślecie mnie z planety, niczego nie zdziałam – zaprotestowała Lees Bergrem. – Potrzebuję próbek tkanek i gleby. Potrzebuję rzeczy, które nie istnieją na Semlingu. Nic z tego.

Alverd Bee podniósł wzrok znad listu; na jego napiętej twarzy malowała się wściekłość.

– Jeżeli nie odleciś, to będziemy musieli gdzieś cię ukryć, Lees. A to oznacza konieczność przeniesienia twojego sprzętu. Powiedz nam szybko, czego potrzebujesz. Mamy mniej więcej sześć godzin, żeby cię gdzieś schować i wyprawić w drogę *Gwiezdną Lilię*. Potem będzie za późno.

– Nowy Hierarcha jeszcze o niczym nie wie – stwierdził Rigo. – Dopóki nie wyląduje na Trawie, Jhamlees Zoe nie będzie mógł mu niczego powiedzieć.

– Jhamlees Zoe niczego mu nie powie, koniec, kropka – rzekł Persun Pollut, wchodząc do pomieszczenia. – Byliśmy z Sebastianem w klasztorze, żeby dowiedzieć się, czy zmienili zdanie co do ewakuacji. Hippae ich zaatakowały. Płomienie widać aż z Klive. Płonie połowa tej części planety.

– Zatem Hierarcha się nie dowie – stwierdziła lekarka, odwracając się, jakby chciała na nowo podjąć dyskusję. – Już się wyprowadziłam ze szpitala. Dopiero zdążyliśmy się rozstawić. Hierarcha nie dowie się, co robię.

– Nie będzie go to obchodziło – nalegała Marjorie. – Kiedy znajdzie się na Trawie, będzie pani musiała go słuchać, w przeciwnym razie pani pożałuje. Doktor Bergrem, nie miała pani do czynienia ze Świętością, ale Rigo i ja owszem. Proszę mi wierzyć Nawet ich członkowie mają niewiele praw, a niewierni są ich całkowicie pozbawieni, chyba że je sobie wywalczą. Jeżeli Hierarcha wyląduje tutaj z tysiącem żołnierzy, nie zdołamy wywalczyć nawet nadejścia lata!

– No dobrze już, dobrze. Ukryję się! Próbki tkanek, Alverdzie. Będę potrzebowała skrawków skóry wszystkich ocalałych bonów. Wyślę po nie jednego ze swoich ludzi. Nie zapomnijcie o próbkach od dzieci. Oprócz tego próbki gleby. Z wnętrza posiadłości i spoza jej granic. Persunie, chodź

ze mną, a opiszę ci, czego potrzebuję. Spakuję swoje rzeczy. Są ciężkie. Wyślij kilku ludzi, żeby je załadowali.

Następnie się oddaliła.

– A co z państwem? – spytał Alverd.

Rigo wstał z trudem.

– Na razie nie możemy niczego zrobić. Tony śpi na dole i nie ma sensu go budzić, dopóki nie będzie musiał wejść na pokład *Gwiezdnej Lilii*. Chyba spróbujemy się zdrzemnąć. Kiedy przyleci statek ze Świętości, będziemy musieli być czujni. Myślę, że warto wprowadzić ich w błąd.

* * *

Israfel rozbłysnął jak gwiazda i tak samo jak one pozostał na nieboskłonie. Pojedynczy niewielki prom wylądował i wysadził mały oddział ludzi dowodzony przez Serafina z sześcioskrzydłymi aniołami na ramionach. Na dowódcę czekał burmistrz Bee.

– Hierarcha chce rozmawiać z naczelnikiem Jhamleesem Zoe z klasztoru Zielonych Braci. Nie udało nam się z nim skontaktować za pomocą naszych systemów komunikacyjnych.

Burmistrz Bee ze smutkiem pokiwał głową.

– Klasztor został zniszczony za sprawą pożarów prerii – wyjaśnił. – W tej chwili szukamy ocalałych osób.

Zapadła refleksyjna cisza.

– Hierarcha zapewne będzie chciał to sprawdzić osobiście.

– Ewakuowaliśmy Hotel Portowy, żeby móc go udostępnić Hierarsze – zgodził się burmistrz. – Pożary pochłonęły ogromne obszary traw oraz siedem wiosek. W miasteczku jest pełno uchodźców.

– Hierarcha mimo wszystko zatrzyma się w miasteczku – rzekł Serafin.

– Tak, oczywiście, skoro ma takie życzenie – odparł burmistrz Bee, kiwając głową. – Chociaż w miasteczku szerzy się choroba, której Hierarcha pewnie wolałby uniknąć.

Wyraz twarzy Serafina nie uległ zmianie, ale w jego głosie pojawiła się ostrożność.

– Urząd Hierarchy chętnie udzieli wam wsparcia. Czy to jakaś konkretna choroba?

– Nie jesteśmy pewni, co to takiego – odrzekł burmistrz. – Ludziom pojawiają się rany na ciele... – Rilibee opisał mu objawy zarazy. Powiedział więcej, niż ktokolwiek z nich chciałby wiedzieć.

Niewielki oddział wprowadził się do pustego hotelu, ale Hierarcha nie wylądował na planecie. Zamiast tego posłał po Riga. Marjorie koniecznie chciała towarzyszyć mężowi.

– Dla pozorów – wyjaśniła. – Przylecieliśmy razem. Wspierajmy się nawzajem.

– Potrzebuję cię, Marjorie.

Popatrzyła na niego z namysłem.

– Nigdy wcześniej mi tego nie mówiłeś, Rigo. Często powtarzasz to Eugenie?

Poczerwieniał.

– Możliwe, że to robiłem.

– Być potrzebną to nie to samo, co być pożądaną, o czym często mnie zapewniałeś, chociaż to było dawno temu – odrzekła refleksyjnie. – Serafin chyba na nas czeka.

– Serafin – parsknął Rigo. – Dlaczego nie mogą go nazwać pułkownikiem albo generałem? Serafin!

– Nie wolno nam się zdradzać z naszymi uprzedzeniami! Ten Hierarcha nie jest twoim wujem i możliwe, że jest wobec nas podejrzliwie nastawiony choćby dlatego, że jesteśmy cudzoziemcami.

Hierarcha nie zdradzał podejrzeń, chociaż trudno byłoby to wyczuć, skoro powitał ich zza przezroczystej przegrody, zwracając na nią ich uwagę, jakby nie widzieli jej na własne oczy.

– Moi doradcy – odezwał się irytująco zadowolonym, chociaż pokornym tonem – nie pozwalają mi się wystawiać na potencjalne niebezpieczeństwo.

– Bardzo mądrze – stwierdził Rigo.

– Czy mam się czego obawiać, ambasadorze? – Hierarcha był ubrany w białe szaty ze złotymi aniołami wyhaftowanymi przy dolnej krawędzi

oraz na szerokim przednim obramowaniu. Ich metaliczne skrzydła skrzyły się migotliwie, przez co wyglądał jak otoczony aureolą. Miał pospolitą twarz pozbawioną charakterystycznych rysów. Można było ją łatwo zapomnieć, chociaż trudno byłoby zapomnieć jego szaty. Hierarcha powtórzył pytanie: – Czy doszło do niewyjaśnionych zgonów? Ktoś zmarł z powodu zarazy?

– Nie wiemy – odparł Rigo, przypominając sobie, że Hierarcha może mieć przy sobie analizator. Najmniej ryzykowne wydawało się przyznawanie do częściowej niewiedzy. Niemal zawsze można to robić szczerze.

– Ludzie rzeczywiście znikają na Trawie – szczerze dodała Marjorie. – Usiłujemy ustalić jak i dlaczego. Mogłoby nam pomóc, gdybyśmy wiedzieli, co początkowo zwróciło uwagę Świętości na Trawę. Otrzymaliśmy mało precyzyjne informacje.

Hierarcha długo mierzył ją wzrokiem od stóp do głów, jakby oceniał, czy dałoby się ją przerobić na mięso. Marjorie, która już wcześniej spotkała się z takim spojrzeniem, poczuła lodowate dreszcze. Z pewnością nie interesowała Hierarchy jako kobieta ani osoba.

– Powiem państwu, czego dokładnie się dowiedzieliśmy. Pewien niższy rangą urzędnik Świętości odwiedzał rodzinę. Jeden z jego krewnych pracował jako kontroler w porcie na Shafne. Czasami po pracy wpadał do portowej tawerny. Pewnego razu rozmawiał przy piwie z członkiem załogi pewnego frachtowca o nieznanym nazwie. Ten opowiedział, że u jego kolegi, o nieznanym nam imieniu, pojawiły się rany na nogach i rękach, tuż przed lądowaniem ich statku na Trawie. Chory przebywał w kapsule kwarantanny. Nie wiemy, jak długo statek pozostawał na Trawie, ale gdy dotarł do kolejnego etapu podróży, mężczyzna był wyleczony.

– To wszystko?

– Nasz urzędnik powtórzył nam tę opowieść, kiedy wrócił po odwiedzinach u rodziny. Nasze komputery twierdzą, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten nienazwany członek załogi miał zarazę, chociaż nie udało nam się potwierdzić prawdziwości tej historii. Człowiek, który opowiedział ją naszemu urzędnikowi, zmarł na zarazę wkrótce po

opuszczeniu Terry. Nie wiemy, dokąd jego statek poleciał z Trawy. Nie zdołaliśmy zidentyfikować ani jednostki, ani człowieka.

Rigo machnął rękami, dając wyraz frustracji.

– Zakładając, że opowieść jest prawdziwa, lekarstwo mogło pochodzić stąd albo z innego miejsca. Albo chory mógł nie mieć zarazy. To nie jedyna przyczyna powstawania ran! – Postarał się, żeby w jego głosie pobrzmiwały frustracja i lęk. Taka naturalna reakcja znakomicie maskowała pobudzenie.

Hierarcha wpatrywał się w nich bez emocji.

– Czy znaleziono jakiegokolwiek ocalałe osoby z klasztoru?

Rigo pokiwał głową.

– Owszem, kilka. Niektórzy wracają na miejsce pożaru, uświadamiając sobie, że będziemy ich tam szukać.

– Mój stary przyjaciel Nod... to znaczy Jhamlees Zoe?

Rigo pokręcił głową, nie ufając swojemu głosowi. Nie. Jhamlees Zoe się nie odnalazł. Gdyby Rigo powiedział to na głos, maszyna mogłaby wyczuć, że się z tego cieszy.

Hierarcha przytaknął, jakby ktoś zadał mu pytanie.

– Myślę, że na razie tutaj zostanie. Zoe może się pojawić. Albo możecie zdobyć jakieś konkretniejsze informacje.

Na pokładzie promu Marjorie spytała:

– Rigo, tamten mężczyzna w kapsule kwarantanny, oczywiście zakładając, że ktoś taki istniał, otrzymywał trawiańskie jedzenie oraz wodę, prawda?

– Z pewnością. – Rigo pokiwał głową, pokazując mężczyznę, który przed nimi siedział. – Kapsuły kwarantanny nie wypuszczają niczego na zewnątrz, ale rozmaite materiały dostają się do środka.

Marjorie wyraźnie się nad czymś zastanawiała i czymś martwiła, ale nie zadawała dalszych pytań.

Garstka żołnierzy odprowadziła ich do stacji porządkowej.

– Na statku z pewnością jest wystarczająco dużo uzbrojonych ludzi, żeby przejąć kontrolę nad planetą – przekazała Marjorie Roaldowi Few.

– Jeżeli się na to zdecydują – zgodził się Rigo.

– A zanosi się na to? – spytał Roald, zerkając z ukosa na swojego zięcia, burmistrza.

– Myślę, że Hierarcha się waha – odrzekł Rigo. – Na jego miejscu teraz posłałbym na powierzchnię planety naukowców.

– Nie powiedziałby państwu o takich planach? – dopytywał burmistrz. Marjorie roześmiała się niewesoło.

– Nie jesteśmy Uświęceni, burmistrzu Bee. On nas nie lubi ani nam nie ufa. Zapewne nie ufa praktycznie nikomu. Wyciągnie od nas wszystko, co zdoła, ale nie da nam niczego w zamian.

– Sprytny człowiek – zauważył Alverd. – Ma rację, że nie ufa Wspólnocie. Nie kochamy tutaj Świątości. To on powinien umrzeć na zarazę.

– Kiedy ten list stanie się jawny, możliwe, że będzie żałował, iż tak się nie stało – odparła Marjorie. – A tymczasem po prostu cierpliwie czekajmy i starajmy się krzyżować mu szyki.

Nie otrzymali jednak kolejnej okazji do opóźnienia działań Hierarchy. Naukowcy Świątości wylądowali na planecie i zajęli szpital, przysyłając własny tajemniczy sprzęt.

– Nieważne, czego się dowiedzą – przypomniała Marjorie Rigowi. – Jeśli tylko doktor Bergrem odkryje lekarstwo.

– Byłoby lepiej, gdyby ich uprzedziła – zaprotestował Rigo, ujmując Marjorie pod rękę i prowadząc w spokojniejsze miejsce. – Musimy uzgodnić, co powiemy, jeśli Hierarcha będzie zadawał kolejne pytania. Cała Wspólnota musi to zaplanować.

Omówili swoją strategię, najpierw tylko we dwoje, a następnie z Roaldem i Alverdem. Kiedy już wyczerpali wszystkie tematy, wrócili do swoich pokoi w zimowych kwaterach, żeby się przespać i ponownie skosztować kuchni Kinny.

Późnym wieczorem Rillibee wrócił z bagiennego lasu i obudził Yrarierów. Marjorie wyszła ze swojego pokoju, ziewając, otulona w cienki szlafrok, i zastała Riga siedzącego na posłaniu w towarzystwie Rillibee'ego, który przycupnął u stóp jego łóżka.

– Przyszedłem po księdza Jamesa – rzekł młodzieniec. – A także po drugiego z księży, jeśli będzie chciał wrócić.

- Co się dzieje, Rilibee?
- Chciałbym wiedzieć dokładnie. Lisy próbują coś ustalić. Chodzi o coś, co pani zrobiła. Rozmawiała pani z lisami, prawda?
- Podczas... naszej walki na prerii. Zgadza się.
- Nic mi nie mówiłaś – odezwał się Rigo, niemal gniewnie.
- Wtedy to nie wydawało mi się rzeczywiste – odpowiedziała spokojnie.
- Trudno byłoby mi zacytować przebieg tej rozmowy. Myślałam głównie słowami, ale miałam wrażenie, że lisy rozumieją moją groźbę.
- Sądzę, że nie chodziło o groźbę. Nie. Raczej o coś innego. Brat Mainoa wrywa sobie resztki włosów z głowy, próbując to zrozumieć. Cokolwiek pani zrobiła, stanowiło to klucz do zmiany ich podejścia. W lesie zgromadziły się setki lisów. Rozmawiają, warczą, wyją, myślą, siedzą i przypatrują się sobie nawzajem, z wyczekiwaniem stukając pazurami. Zupełnie, jakby ktoś wyświetlił wszędzie wokół nas widmowe bestie. Nie widać ich. Chodzi się pośród nich, nie znając powodu. Słyszy się je, a nasz umysł próbuje nas przekonać, że to wiatr. Po chwili pozostaje tylko położyć się, zakryć głowę rękami i czekać, aż sobie pójda... Tak czy inaczej, toczą jakąś poważną dyskusję. Coś się wydarzy. Jeden z lisów chce się z panią zobaczyć, ale powiedziałem mu, że nie wiem, czy może pani przyjść. Odparł, że w takim razie zadowolili się księdzem Jamesem.

Marjorie pokręciła głową.

– Nie mogę stąd odejść. Gdybym zniknęła, Hierarcha mógłby nabrać podejrzeń. Ma tysiąc uzbrojonych żołnierzy i nie zawaha się przed zniszczeniem bagienno lasu, miasteczka bądź cegokolwiek innego. Ksiądz James zapewne z tobą pójdzie, jeżeli czuje się na siłach.

– Chciałbym także zabrać Stellę – odrzekł Rilibee, wbijając wzrok w swoje stopy.

Marjorie westchnęła, po czym się obejrzała. Stella wciąż przebywała w tymczasowym szpitalu, chociaż już nie była zamknięta w uzdrowiaczu.

- Widziałeś się z nią, Rilibee?
- Od razu do niej poszedłem.
- Ona nie jest... nie jest sobą.
- Jest jak dziecko – zgodził się Rilibee. – Miłe dziecko.

– Po co ci takie miłe dziecko? – spytał Rigo, zaciskając usta w ponurym grymasie.

Rillibee się wyprostował; wąła, giętka postać, której brak potężnej postury w tych okolicznościach dodawał godności.

– Nie mam zamiaru jej napastować, jeśli o tym pan myśli. Tutaj nie jest bezpieczna. Podobnie jak wszyscy państwo. Tylko że ona nie może zdecydować o swoim losie. Chciałbym zabrać również Dimity oraz Janettę. Z tego samego powodu. Jeżeli Hippae je skrzywdziły, być może lisy zdołają pomóc w ich uzdrowieniu.

– Czemu nie? – odrzekła Marjorie. – Jeśli Rowena i Geraldria zgodzą się powierzyć ci swoje córki, to dlaczego nie? Będziesz musiał je zapytać, ale jeśli o mnie chodzi, to tak, możesz zabrać Stellę.

– Marjorie! – Rigo był oburzony.

– Och, przestań się na mnie wydzierać, Rigo – odburknęła głosem, jakiego nigdy nie słyszał. – Pomyśl! Znów to robisz, reagujesz automatycznie, kierując się pychą i męską dumą.

– To moja córka!

– Moja również, ale w jej głowie jest tylko pustka. Nawet mnie nie poznaje. Bawi się piłką, odbijając ją od ściany. Co chcesz z nią zrobić? Zabrać ją na Terrę i zatrudnić dla niej opiekunkę?

– Ten... ten... – jąkał się, wskazując na Rillibee'ego. – Co?

– Ten młody człowiek – odparła – został wykorzystany przez Świętość, tak jak my wszyscy. Ten młody człowiek posiada rozliczne talenty i umiejętności. Co z nim?

– Ufasz mu, że nie...

– Ufam, że nie wyrządzi jej większej krzywdy niż Hippae, którym na to pozwoliłeś! – wykrzyknęła. – Ufam, że będzie się nią opiekował lepiej niż my, Rigo! Lepiej niż jej matka i ojciec. Ufam, że o nią zadba.

Rillibee, który próbował nie rzucać się w oczy przez większość ich rozmowy, teraz zapewnił:

– Uczynię to, co jest dla niej najlepsze. Od chwili, gdy ją ujrzałem, pragnąłem tylko jej dobra. Teraz na Trawie pozostało tylko jedno dobre

miejsce, Nadrzewne Miasto. Jeżeli nawet planeta pograżyła się w kłopotach, to nie dotknęły one drzew.

Rigo nie odpowiedział. Marjorie nie widziała jego twarzy. Nie była pewna, czy chce ją zobaczyć, i nie chciała dalej się z nim spierać. Za pomocą wiadofonu połączyła się z Geraldrią i Roweną, informując je o propozycji Rilibee'ego i zachęcając, żeby z niej skorzystały. Kiedy się odwróciła, Rigo stał za nią.

– Tak? – spytała ze zniecierpliwieniem.

– Dobrze – odpowiedział, jakby wyświadczał jej przysługę. – Chwilowo to zaakceptuję. Na razie to może być dla niej najlepsze miejsce.

Próbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

– Mam nadzieję, że się nie mylę, Rigo, Chciałabym chociaż kilka razy mieć rację.

Nie odpowiedział. Odwrócił się tylko i oddalił do swojego pokoju. Chociaż próbowała ponownie zasnąć, nie zdołała. Dopiero kilka godzin później, wkrótce przed świtem, gdy Serafin przyszedł po nich z uzbrojoną eskortą, dowiedziała się, że Rigo również nie zmrużył oka.

* * *

Dali im niewiele czasu na ubranie się. Może tylko tak im się wydawało, ale mieli wrażenie, że potraktowano ich mniej grzecznie niż poprzednio. Kiedy stanęli przed obliczem Hierarchy, znajdowały się tam już dwie inne osoby. Rigo mocniej zacisnął dłoń na rękę żony, gdy zobaczył pierwszą z nich. Twarz Marjorie stężała, kiedy kobieta zobaczyła drugą z osób.

– Admit! – zawołała, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiało zadowolenie. – Rigo, to Admit Maukerden. Tak się cieszę, że uszedłeś cało z pożaru w Opalowym Wzgórzu. Sebastian i Persun kilkakrotnie tam wracali, ale nie było cię wśród ludzi, których przywieźli.

– Nazywam się Admit bon Maukerden – odparł.

– Bon? Jerril bon Haunser powiedział, że znajdzie dla nas jednego z pobocznych krewnych! – wykrzyknęła.

– Zostałem do was przydzielony, żeby dowiedzieć się, co robicie na Trawie – odrzekł. – Bonowie chcieli wiedzieć, co knujecie. Podobnie jak teraz on. – Wskazał Hierarchę siedzącego za szkłem. – Jego także ciekawi, jakie macie plany.

– Na miłość boską, więc mu powiedz, Admicie! – zawołała Marjorie. – Powiedz Hierarsze wszystko, co chce wiedzieć.

– Bardziej mnie interesuje, co ma do powiedzenia mój drugi gość – odezwał się Hierarcha jedwabistym głosem zza przezroczystej przegrody.

Drugi z mężczyzn siedział na krześle jak jaszczurka na kamieniu, a jego beztroska poza klóciła się z zadrapaniami i siniakami, które pokrywały jego twarz i ręce. Długokostny.

– Brat Flumzee? – spytała Marjorie Hierarchę. – On i jego towarzysze próbowali mnie zabić w bagiennym lesie. Co jeszcze panu powiedział? – Posłała Długokostnemu ponure spojrzenie.

Zobaczył, jak Marjorie na niego patrzy, i przypomniał sobie kolejny zapomniany fakt dotyczący kobiet. Czasami było im ciebie żal, chociaż nie miałeś pojęcia dlaczego.

– Twierdzi, że zapoznali się państwo z jednym z Zielonych Braci, niejakim bratem Mainoa. Podobno brata Mainoa uznano za wiarołomcę, a także wiedział on coś o zarazie.

– Naprawdę? Co takiego wiedział, bracie Flumzee? A może wolisz, żeby nadal nazywać cię Długokostnym?

– Coś wiedział! – zawołał Długokostny, niezadowolony z tego, co wyczytał z jej twarzy. – Fuaso! chciał jego śmierci.

– Co wiedział brat Mainoa? – spytał Hierarcha. – Będzie dla państwa najlepiej, Lady Westriding i panie ambasadorze, jeśli zdradzą mi państwo wszystko, co on wiedział bądź wydawało mu się, że wie.

– Chętnie – odrzekł Rigo. – Chociaż on sam mógłby powiedzieć na ten temat znacznie więcej niż my...

– To on żyje? – warknął Hierarcha.

– Oczywiście – odparła Marjorie. – Długokostny zostawił swoich dwóch towarzyszy, którzy mieli zabić braci Mainoa i Louraia, ale im się nie

powiodło. Sądzę, że powodem była nienawiść Długokostnego do brata Louraia.

– Fuaso! rozkazał zabić Mainoa! – zawołał Długokostny.

– Cóż, to pewnie możliwe – ciągnęła Marjorie, zachowując spokój, chociaż była rozpaczliwie skoncentrowana. – Skoro brat Mainoa uważał, że Fuaso należy do Pleśni. – Zwróciła się w stronę Riga i pokiwała głową. Nigdy nie wspominała mężowi o podejrzeniach brata Mainoa. Miała nadzieję, że Rigo zrozumie, co zamierzała.

Hierarcha, który rozpoczął przesłuchanie z furją, teraz sprawiał wrażenie oszołomionego.

– Do Pleśni?

– Tak uważał brat Mainoa – odrzekł Rigo, podążając śladem Marjorie. – Ponieważ...

– Ponieważ w przeciwnym razie Fuaso nie zleciłby jego zabójstwa – skwitowała Marjorie. – Jeśli chciał go zgładzić tylko dlatego, że sądził, że Mainoa wie coś o zarazie, to musiał należeć do Pleśni. W przeciwnym razie chciałby, żeby brat Mainoa żył i dzielił się swoją wiedzą. – Popatrzyła na Hierarchę, czując wzbierającą histerię.

– Przedstawiciele Pleśni na Trawie? – wyszeptał Hierarcha, przeraźliwie błądzący, a jego usta wykrzywiła groza. – Tutaj?

Rigo ucieszył się z jego przerażenia.

– Wasza Eminencjo – odezwał się uspokajającym tonem – ich przybycie było tylko kwestią czasu. Każdy to wiedział. Nawet Sender O’Neil mi tak powiedział!

Audiencja nagle dobiegła końca. Wyprowadzono ich z komnaty i odeskortowano do promu. Długokostny im nie towarzyszył. Admit bon Maukerden również. Tę dwójkę zabrano w innym kierunku.

– Dokąd oni idą? – spytała Marjorie.

– Do portu – odpowiedział dowódca eskorty. – Potrzymano ich tam na wypadek gdyby Hierarcha znów ich potrzebował.

Marjorie poczuła przypływ nadziei. Jeżeli Hierarcha im uwierzy, to może opuści planetę. Może to wystarczy! Jednakże, kiedy Marjorie i Rigo dotarli do portu, nie zezwolono im na powrót do miasteczka, tylko

zaprowadzono do pustego Hotelu Portowego i umieszczono w apartamencie, przed którym stanął strażnik.

– Mamy tutaj siedzieć bez jedzenia? – spytała ostro Marjorie.

– Przyniosą coś z kasyna oficerskiego – odparł strażnik. – Hierarcha chce państwa mieć pod ręką.

Kiedy drzwi się zamknęły, Marjorie przycisnęła usta do ucha Riga.

– Pewnie słyszą wszystko, co tutaj mówimy.

Pokiwał głową.

– Myślę, że Mainoa miał rację – rzekł głośno. – Brat jak-mu-tam rzeczywiście należał do Pleśni. Zapewne kilka tygodni temu sprowadził wirusa na planetę. Pewnie dlatego ludzie w miasteczku chorują. Powinniśmy opuścić planetę, Marjorie. Jak najszybciej się da.

Pokręcił głową ze znużeniem. Co innego mogą powiedzieć albo zrobić, poza wygłoszeniem tej mieszanki prawdy i kłamstw? Jeżeli wystarczająco wystraszą Hierarchę, to może sam ucieknie.

Rigo usiadł i odchylił się do tyłu z zamkniętymi oczami. Marjorie usiadła w pobliżu. W pomieszczeniu unosiło się mnóstwo niewypowiedzianych słów oraz drażniących wspomnień dotyczących tego, co powiedziano. Popatrzyła na jego wyczerpaną twarz i poczuła niemal bezosobowy smutek, jaki często czuła wobec ludzi w Hodowli. Tak samo jak im, jemu również nie potrafiła pomóc.

Rigo mrużył oczy i zastanawiał się, czy jest już za późno. Czy zbyt wiele się wydarzyło. Eugenie. Stella. Jego oskarżenia wobec Marjorie. Zachowywał się idiotycznie. Powinien mieć więcej rozumu. Przecież doskonale wiedział, że ona nie ma takich skłonności. Dlaczego ją oskarżał?

Ponieważ wtedy musiał jej coś zarzucić.

A teraz? Czy już jest za późno, żeby przebaczyć jej to, czego nigdy nie zrobiła?

W Nadrzewnym Mieście Arbaiów dwaj religijni panowie siedzieli pośród delikatnych podmuchów wieczornego wiatru, jedząc owoce, które lisy zerwały dla nich z okolicznych drzew. Jeden ze stworów towarzyszył im podczas posiłku.

– Zupełnie jak śliwki – stwierdził ksiądz James.

Rankiem przybył do miasta na grzbiecie lisa. Ksiądz Sandoval nie chciał do niego dołączyć. Brat Mainoa pojawił się wcześniej, po wyczerpującej podróży, której skutki wciąż odczuwał. Teraz opierał się o pierś jednego z lisów, jak dziecko usadowione na krzeselku skrytym w cieniu, podczas gdy ksiądz James ponownie usiłował przekonać samego siebie, że lisy są prawdziwe – nie są snem, amorficznymi wizjami, abstrakcją ani urojeniem. Trudno było to osiągnąć, skoro ich dokładnie nie widział. Czasami mignęła mu łapa, dłoń, oko, zacieniony kawałek nogi albo grzbietu. Próby zobaczenia całej istoty zawsze prowadziły do zmęczenia oczu i bólu głowy. Odwrócił się, postanawiając, że nie będzie się tym przejmował. Wkrótce wszystko się wyjaśni, tak czy inaczej.

– Kameleony – szepnął brat Mainoa. – Psychiczne kameleony. Hippae także są do tego zdolne, chociaż nie są aż tak biegle.

Księdzu Jamesowi zadrżały usta.

– Nie sądzi brat, że te owoce przypominają śliwki? – powtórzył, tęskniąc za czymś znajomym. – Chociaż może w dotyku są bardziej jak gruszki. Tylko że małe.

– Nic dziwnego, że są małe, skoro dojrzewają tak wcześnie – odrzekł brat Mainoa zdyszczanym szeptem. – Owoce lata i jesieni są większe, nawet gdy pochodzą z tego samego drzewa. – Sprawiał wrażenie zadowolonego, chociaż bardzo osłabionego.

– Więc drzewa owocują więcej niż raz w roku?

– O tak – mruknął Mainoa. – Ovocują bez przerwy aż do późnej jesieni.

Na moście prowadzącym z placu Janetta bon Maukerden tańczyła i nuciała pod nosem, a siedząca na placu Dimity bon Damfels patrzyła na to bez zbytniego zainteresowania, z kciukiem w otwartych ustach. Stella była razem z Rillibee'em w budynku stojącym przy placu. Starszy z mężczyzn słyszał głos młodzieńca.

– Chwyć owoc dłonią, Stello. Właśnie tak. A teraz ugryź. Grzeczna dziewczynka. Otrzyj podbródek. Grzeczna dziewczynka. Jeszcze raz ugryź...

– Jest bardzo cierpliwy – wyszeptał brat Mainoa.

– Musi być – zgodził się ksiądz James. – Inaczej nie dałby rady z całą trójką! Biedactwa – westchnął. – Będziemy mu przy nich pomagać, dopóki tutaj jesteśmy. Przynajmniej tyle możemy zrobić. – Przez chwilę się zastanawiał, po czym dodał: – Jeżeli będziemy tutaj dostatecznie długo.

Zbliżyła się do nich grupa widmowych Arbaiów, na chwilę przesłoniła ich rękami, nogami i ramionami, zbombardowała syczącą rozmową, a potem powędrowała dalej. Pod nimi z jednego drzewa na drugie przemknęło coś szkarłatno-jaskrawoniebieskiego, barwny niemal-ptak, bardzo odmienny od terrańskich gatunków, a zarazem na tyle do nich podobny, że kojarzył się z papugą. Na moście, na którym tańczyła Janetta, jedna z widmowych postaci chwyciła balustradę widmowymi rękami, po czym przykucnęła ponad krawędzią. Arbaiowie bardzo swobodnie podchodzili do wydalania.

– To będzie księdza wybór – odezwał się brat Mainoa słabym szeptem. – Księdza wybór. Zostać czy odejść.

Kapłan zaprotestował.

– Nawet nie jesteśmy pewni, czy możemy tutaj przeżyć! Na przykład, co z jedzeniem? Nie wiemy, czy te owoce wystarczą, żeby utrzymać się przy

życiu.

– Owoce i nasiona traw w zupełności wystarczą – zapewnił go brat Mainoa. – Brat Laeroa poświęcił wiele lat na badanie wartości odżywczej różnych kombinacji nasion. Przecież na Terrze wielu ludzi żywiło się jedynie pszenicą, ryżem albo kukurydzą. One także są nasionami traw.

– Koszenie trawy wymaga wychodzenia na prerię – zaproponował ksiądz James. – Hippae na to nie pozwolą.

– Mógłby ksiądz to robić – odrzekł brat. – Miałby ksiądz ochronę... – Zamknął oczy i jakby odpłynął; często mu się to zdarzało, odkąd przybyli do lasu.

– Chociaż z drugiej strony – odezwał się ksiądz James, nagle przypominając sobie gospodarstwa, które odwiedzał jako dziecko – na bagnach można by hodować kaczki i gęsi. – Spróbował wesoło zachichotać, ale z jego ust wydobyło się tylko drżące ciche westchnienie. Młody kapłan przypomniał sobie, że nieliczni ludzie obecni na Trawie mogą być ostatnimi przedstawicielami swojego gatunku. Nieważne, czy będą hodowali kaczki, czy nie, możliwe, że nie ma innego miejsca, do którego mogliby się udać.

– Znów otrzyj podbródek – powiedział Rillibee Chime. – Och, Stello, jesteś taką grzeczną i mądrą dziewczynką.

Janetta obracała się i nucila, aż nagle zatrzymała się gwałtownie i wyraźnie oznajmiła:

– Siusiu!

Zadarła długą bluzkę, kurczowo chwyciła się balustrady i przykucnęła tam, gdzie stała, wystawiając pośladki za krawędź, przyjmując taką samą pozę jak widmowy Arbai kilka chwil wcześniej.

– Potrafi mówić – niepotrzebnie odezwał się ksiądz James, różowiejąc na twarzy i odwracając wzrok od obnażonego tyłka Janetty.

– Potrafi się uczyć – zgodził się brat Mainoa, który nagle znów się ocknął.

Ksiądz James westchnął, przezornie odwracając twarz.

– Miejmy nadzieję, że nauczy się większej skromności.

Brat Mainoa się uśmiechnął.

– Albo że my się nauczymy, wzorem Arbaiów, zwracać mniejszą uwagę na sprawy ciała.

Książd James poczuł falę smutku, tak dotkliwego, że sprawił mu niemal fizyczny ból. Nagle ujrzał brata Mainoa za pośrednictwem zmysłów jakiejś innej istoty: kruchego przyjaciela, ulotnego krewnego, który już wkrótce nie będzie się przejmował sprawami ciała.

Ktoś go obserwował. Podniósł wzrok i dostrzegł parę lśniących, nieludzkich oczu, które wyraźnie łowiły jego spojrzenie. Były pełne olbrzymich, bardzo ludzkich łez.

* * *

Wkrótce po zatrzymaniu Yrarierów, Serafin dowodzący oddziałami Hierarchy zabrał kilku swoich „świętych” w bojowych strojach – bardziej w celu zrobienia wrażenia na ludności niż z powodów taktycznych – i przeczesał miasteczko oraz okoliczne gospodarstwa, poszukując, jak twierdził, niejakiego brata Mainoa. Okazało się, że chociaż każdy kiedyś go spotkał, nikt nie jest w stanie udzielić żadnych pomocnych informacji. Kilka osób wiedziało, gdzie nocuje. Inni widzieli, gdzie spożywał kolację kilka godzin wcześniej. Jednakże nikt nie wiedział, gdzie przebywa obecnie.

– Był przygnębiony – stwierdził ze szczerością informator nazwiskiem Persun Pollut. – Tym, że inni bracia zginęli w pożarze klasztoru. Nie zdziwiłbym się, gdyby poszedł do bagiennego lasu. Ostatnio zrobiło to kilka osób. – To wszystko była prawda. Chociaż Pollut miał smutną minę i głośno wzdychał, nie mógł się doczekać, kiedy sam zobaczy Nadrzewne Miasto.

Żołnierze pobieżnie przeszukali skraj lasu, wysyłając pojedynczy patrol nieco głębiej. Zwiadowcy wrócili przemoczeni aż do ud i stwierdzili, że nie pamiętają, by cokolwiek widzieli. Szpiegowskie oczy wysłane między ciemne rzędy pnączy również niczego nie wypatrzyły. A raczej ci, którzy obserwowali obraz z kamer na ekranach hełmów, byli pewni, że niczego nie zobaczyli, co na jedno wychodziło. Członkowie oddziału, którzy

z bliska badali bagienny las, doszli do wniosku, że jeśli ten brat jak-mu-tam do niego wszedł, to zapewne już dawno się utopił.

Tymczasem żołnierzom, którzy pozostali w mieście, przynoszono ciasta, pieczone gęsi oraz dzbany z piwem i wciągano ich w długie rozmowy, które nie miały nic wspólnego z tym, czego szukali. Poszukiwania prowadzono z coraz mniejszym zaangażowaniem i coraz większą wesołością, podczas gdy bezowocny dzień chylił się ku zachodowi.

Serafin miał duże doświadczenie w odgrywaniu roli Uświęconego i potrafił przy każdej okazji rzucać cytatami z katechizmu. W Mieście Ludu jego przemów słuchoano z tak uprzejmym zainteresowaniem, że zaczął się dobrze bawić, chociaż – jak każdemu powtarzał – czułby się pewniej, gdyby na powierzchnię planety wysłano kilka setek świętych, a nie marną czterdziestkę. Według tych dobrych ludzi, na Trawie mieszkali wrogowie, którzy już kiedyś zbudowali przejście pod lasem.

– Nie macie żadnych urządzeń, które mogłyby was ostrzegać, że ktoś zaczyna kopać? – spytał. – Mechanizmów wykrywających wstrząsy? Czegoś w tym rodzaju?

– Na Trawie nie występują wstrząsy – wyjaśnił Roald Few. – Największe drgania odczuwamy, gdy Hippae zaczynają tańczyć.

Serafin pokręcił głową, czując przyływ wylewności.

– Przyniosę wam kilka wojskowych czujników ze statku. Używamy ich do wykrywania saperów, którzy próbują się przedostać pod fortyfikacje. Na pewno wam się przydadzą.

– Gdzie mamy je umieścić? – spytał burmistrz Bee. – Tutaj, w miasteczku?

Serafin przez chwilę się namyślał, po czym narysował mapę palcem na obrusie.

– Tam, na północ od miasteczka, mniej więcej w dwóch trzecich drogi do lasu. Około tuzina, w półokręgu. Odbiornik możecie ustawić gdziekolwiek w mieście. Stacja porządkowa wydaje się dobrym miejscem. Jeżeli cokolwiek zacznie kopać, natychmiast się o tym dowiecie! – Uśmiechnął się błogo, dumny, że tak im pomaga.

Alverd popatrzył na Roalda, który odwzajemnił jego spojrzenie. A więc będą wiedzieli. No dobrze. Ale co, u diabła, zrobią z tą wiedzą?

* * *

Na pokładzie *Israfela*, wysoko nad tym całym zamieszaniem, podstarzały Hierarcha przekuł niepokój we wściekłość. Za pierwszym razem, gdy rozmawiał z Yrarierami, był przekonany, że ambasador go zwodzi, mimo że analizatory nie dały jednoznacznych wyników. Jednakże za drugim razem maszyny orzekły, że Rigo i Marjorie mówią prawdę. W porównaniu z Długokostnym oraz Maukerdenem – urodzonymi kłamcami, jak oceniły maszyny – Yrarierowie okazali się uczciwi i skłonni do pomocy. Jednakże nie należeli do Świętości, a poza tym w opinii Hierarchy nie grzeszyli bystrością. Na przykład kwestia Pleśni. To nie mogła być prawda. Świętość była zbyt ostrożna. Trzymali zarazę w tajemnicy, w całkowitym ukryciu. Yrarierowie z pewnością błędnie zrozumieli to, co ten brat Mainoa powiedział im o Pleśni.

Hierarcha przez chwilę to rozważał. Poprzedni Hierarcha wybrał tych dwoje, ponieważ byli rodziną i cechowała ich sprawność fizyczna. Takie osoby nie słyną z wybitnych umysłów. To był błąd starego Carlosa. Powinien był wysłać kogoś sprytniejszego. Kogoś bardziej przebiegłego. Poza tym, powinien był to zrobić dużo wcześniej, zamiast czekać na ostatnią chwilę. Nie było sensu trzymać Yrarierów w zamknięciu. Z kolei on, Hierarcha, będzie bezpieczny w specjalnie zmodyfikowanym promie-izolatce, który zbudowali dla niego jego ludzie. Kiedy osobiście wyląduje na planecie, wydarzą się wielkie rzeczy! Dokonają się odkrycia! Był tego pewien!

Kiedy już miał wyruszyć, nadeszły nowe wieści z powierzchni planety. Niebezpieczeństwo, ogłaszał Serafin. Nie tylko zagrożenie zarazą, ale także obecność dużych, dzikich zwierząt może uczynić wizytę Hierarchy niebezpieczną. Wrogo nastawione istoty mogą planować zdobycie portu.

To dodatkowe źródło frustracji wystarczyło, żeby Hierarcha wpadł w dziki szal, co rzadko mu się zdarzało. Służący, którzy ledwie przeżyli

poprzednie takie ataki, zaczęli rozpaczliwie działać. Po awaryjnej interwencji osobistego lekarza Hierarcha zasnął, a wszyscy odetchnęli z ulgą. Spał kilka dni, a nikt nie zwrócił uwagi na to, że nie wydano rozkazów dotyczących zwolnienia Yrarierów.

* * *

Persun Pollut, Sebastian Mechanic oraz Roald Few zabrali urządzenia nasłuchowe Serafina na łąki na północ od miasteczka, żeby je rozstawić. Nie było to trudne: smukłe rury należało wbić w grunt za pomocą mechanicznego młota, a następnie umieścić w ich wnętrzu długie nitkowate urządzenia oraz przykręcić na wierzchu przekaźniki.

– Banalne w obsłudze – wyjaśnił Serafin. – To konieczne, żeby poradzili sobie z nimi nawet niedoświadczeni żołnierze. Proste jak abecadło. Wbić, wrzucić, zakręcić.

Może i były banalne w obsłudze, ale także potwornie ciężkie. Żeby przetransportować dwanaście zestawów oraz pękaty młot, trzeba było skorzystać z autolotu. Zaczęli na zachodnim krańcu wytyczonego łuku, przesuając się na północ, równoległe do zaokrąglonej linii lasu. Minęła większa część dnia, nim zainstalowali siedem sztuk, a kiedy skręcili na wschód, Persun nagle osłonił oczy ręką i rzekł:

– Ktoś tam ma kłopoty.

Przerwali pracę, a wtedy wszyscy to usłyszeli: krztuszący się silnik, który co jakiś czas przestawał pracować – jak umierający człowiek wstrzymujący oddech – na tak długo, że nie było się pewnym, czy znów się odezwie, dopóki ponownie nie budził się do życia.

Potem go zobaczyli – zbliżający się autolot, lecący tuż nad lasem. Podskakiwał i chwiał się, lecąc ku nim nagłymi zrywami. Gdy minął ostatnie drzewa, na chwilę znieruchomiał, po czym runął na ziemię pomiędzy nimi a bagnem, w odległości niecałych stu jardów.

Persun puścił się biegiem, a Sebastian pędził tuż za nim. Roald również za nimi podążył, ale wolniej. Początkowo nie dostrzegli żadnych śladów życia w rozbitym pojeździe, ale potem drzwi otworzyły się z jękiem

dręczonego metalu i na zewnątrz wyszedł oszołomiony Zielony Brat, trzymając się za głowę. Za nim pojawili się kolejni: sześciu, ośmiu, tuzin. Upadli na ziemię obok autolotu, wyraźnie wyczerpani.

Persun dotarł do nich jako pierwszy.

– Nazywam się Pollut – oznajmił. – Możemy sprowadzić kilka pojazdów i was zabrać, skoro maszyna braci wygląda na niesprawną.

Najstarszy z mężczyzn wstał z trudem i wyciągnął dłoń naznaczoną starczymi plamami.

– Jestem starszy brat Laeroa. Krążyliśmy w okolicach klasztoru w nadziei, że znajdziemy ocalałych braci. Najwyraźniej zbyt długo tam pozostawaliśmy. Ledwie starczyło nam paliwa.

– Jestem zaskoczony, że braci widzę – odrzekł Sebastian. – Z klasztoru nic nie zostało.

Laeroa otarł twarz drżącymi palcami.

– Kiedy usłyszeliśmy o ataku na Opalowe Wzgórze i posiadłości, zasugerowaliśmy starszemu bratu Jhamleesowi Zoe, żeby ewakuował klasztor. Odpowiedział, że Hippae nie są w konflikcie z Zielonymi Braćmi. Usiłowałem mu powiedzieć, że Hippae nie potrzebują wymówki, żeby zabijać. – Zachwiał się na nogach, a jeden z jego towarzyszy użyczył mu ramienia. Po chwili Laeroa kontynuował opowieść swoim precyzyjnym głosem, zupełnie jakby przemawiał z ambony. – Zoe nigdy nie miał cierpliwości do dyskusji i był odporny na logiczne argumenty. Dlatego razem z tymi braćmi zaczęliśmy sypiać w autolocie.

– Byliście na pokładzie, kiedy Hippae zaatakowały?

– Byliśmy na pokładzie, kiedy wybuchły pożary – odpowiedział jeden z młodszych braci. – Wystartowaliśmy i zaczęliśmy krążyć nad trawami, myśląc, że później zabierzemy innych ocalałych braci. Nie wiem, ile dni tam spędziliśmy, ale znaleźliśmy tylko jednego człowieka.

– Zabraliśmy ze dwa tuziny waszych towarzyszy – odrzekł Sebastian Mechanic. – W większości młodzieńców. Wałęsali się pośród traw, dosyć daleko od klasztoru. Możliwe, że jest ich tam więcej. Każdego dnia wyruszamy na poszukiwania. Hippae już tam nie ma. Wszystkie zgromadziły się wokół bagiennego lasu.

– Nie mogą się przedostać, prawda? – spytał jeden z mężczyzn, najwyraźniej ten, którego ocalili bracia. Miał bardzo bladą twarz i nosił na temblaku to, co pozostało z jednej z jego rąk.

– Z tego, co wiemy, nie – odparł Sebastian, chcąc ich pocieszyć. – A gdyby im się udało, to w zimowych kwaterach mamy mocne drzwi, a ludzie już produkują broń.

– Broń – westchnął jeden z braci. – Miałem nadzieję...

– Miałeś nadzieję, że będziemy mogli się z nimi dogadać? – spytał z goryczą starszy brat Laeroa. – Zapomnij, bracie. Wiem, że pracowałeś dla urzędu do spraw Doktryny, ale zapomnij. Jestem pewien, że Jhamlees Zoe wierzył w nawrócenie Hippae aż do chwili, gdy go zabiły. Liczył na to cały czas, odkąd przybył na Trawę, chociaż wielokrotnie mu powtarzaliśmy, że równie dobrze mógłby próbować nawrócić tygrysy na wegetarianizm.

Sebastian przytaknął.

– Bądźmy wdzięczni, że Hippae nie mają pazurów jak terrańskie tygrysy. W przeciwnym razie potrafiłyby się wspinać i nie moglibyśmy przed nimi uciec. Niech bracia ruszają w górę tamtego zbocza. Wrócę do wiadofonu i poproszę, żeby ktoś was odebrał.

Znużeni bracia wstali i, powłócząc nogami, powędrowali przez rozległą łąkę. Kiedy Sebastian i Persun upewnili się, że wszyscy są w stanie chodzić, wrócili do pojazdu i słuchali, jak Roald wzywa pomoc.

– Już lecą – odezwał się w końcu Roald.

– To dobrze – szepnął Sebastian. – Niektórzy z nich wyglądają, jakby mieli się przewrócić po stu jardach.

– Pozostało tylko trzydziestu kilku braci z tysiąca – zauważył Persun, zabierając się za instalację kolejnego urządzenia.

– Za jedno możemy być wdzięczni – odpowiedział jego towarzysz. – Z pozostałych ponad dziewięciuset nic nie zostało, więc nie trzeba się martwić pochówkiem. – Zatrzymał się obok mechanicznego młota. – Zauważyłeś, jak cicho się zrobiło?

Dwaj mężczyźni rozglądali się dokoła.

– Odgłos młota wszystko wystraszył – stwierdził Persun.

– Młot nie jest aż taki głośny. Zresztą od jakiegoś czasu go nie używamy.

– Zatem hałas autolotu.

Bagienny las, zazwyczaj pełen skrzeków i grzechotów, ptasich nawoływań i okrzyków nadrzewnych zwierząt, trwał w ciszy.

– Dziwne – szepnął Persun. – Coś jest nie w porządku. Czuję to. – Ruszył z powrotem w stronę pojazdu, szukając noża w kieszeni.

Za jego plecami Sebastian jęknął.

Ze skraju lasu obserwowała ich niewidoma głowa. Puste oczy posyłały w ich stronę piorunujące spojrzenia. Ponad oczami spod rozerwanego ciała wystawała kość lśniąca wilgotną bielą. Głowa zachwiała się na szyi i uniosła, tak że zobaczyli ramiona, ręce, a następnie potworne szczęki Hippae. Jeździec na wierzchowcu! Martwy albo prawie martwy, nie miało to większego znaczenia. Trupie usta otworzyły się i wydały wrzaskliwy grzechot, a wtedy skraj lasu zbudził się do życia.

Jeźdźcy i wierzchowce wypadli na otwarty teren szeroką ławą, a w ich wrzaskach kryły się nienawiść, bunt, chęć zabijania i ćwiartowania. Persun odwrócił się, żeby chwycić Sebastiana, który stał jak zahipnotyzowany.

Zanim jego ciało zostało rozerwane na strzępy, Sebastian zdążył pomyśleć jedynie, że ich poranna praca była spóźniona.

Persun wycofał się w stronę autolotu, wymachując nożem, tłumiąc krzyk. Był kolejny tunel na północy. Zęby ostre jak brzytwy przeorały rękę, w której trzymał nóż. Broń z trzaskiem upadła na skałę. Zacisnął zęby, przygotowując się na ostateczny ból, wpatrując się w ślepe oczy jeźdźca nad sobą.

Coś wepchnęło się pomiędzy niego a Hippae. Tuż nad ziemią unosił się autolot, a siedzący za sterami Roald coś krzyczał. Zęby Hippae wystrzeliły w stronę Persuna, po czym się cofnęły. Rzucił się na plecy do wnętrza pojazdu, widząc, jak inne autoloty zatrzymują się obok żałosnego szeregu odzianych na zielono braci, z których część chwiejnie uciekała, inni leżeli zabici, jeszcze inni dopadali do pojazdów, podczas gdy wszędzie wokół wyły i szalały Hippae, a ich jeźdźcy miotali się i drgali, jakby ktoś przywiązał ich do grzbietów potworów.

Kiedy się wznosili, Persun próbował nie patrzeć na to, co pozostało z Sebastiana. Krew skapywała z jego nieruchomych palców. Wychylał

głowę przez drzwi autolotu. Grupki Hippae i ogarów już biegły w stronę miasteczka. Roald wrzeszczał coś do wiadofonu. Persun zobaczył, jak stwory rozrywają jednego z braci na pół. Inni krzyczeli. Był w stanie myśleć tylko o tym, że nie może poruszać palcami. Palcami, których używał do rzeźbienia. Obok niego Roald zareagował na coś krzykiem, ale Persun się nie obejrzał. Nie mógł poruszać palcami i myślał, że byłoby lepiej, gdyby zginął.

* * *

Gdy setki Hippae zaatakowały miasteczko od północy, bataliony migererów wydrążyły ostatnie kilka jardów tunelu na południu, wyższego i szerszego od poprzedniego przejścia, uzyskując drogę dostępu, którą bestie mogły swobodnie biec. Nadciągały falami, tak samo jak dawno temu do miasta Arbaiów; z lasu ku portowi, wyjąc, gotowe zabijać. Na południe od muru nie napotkały żadnego oporu. W porcie przebywała garstka niedoświadczonych żołnierzy. Zostali zaskoczeni i błyskawicznie pokonani.

Jednakże trzech albo czterech z nich zdążyło się uzbroić i wspiąć na dźwig serwisowy, na którym Hippae nie mogły ich dosięgnąć. Hippae ginęły całymi dziesiątkami, wrzeszcząc z niedowierzaniem, ucząc się, że należy unikać broni palnej.

Na północ od muru, w odpowiedzi na alarm ogłoszony przez Roalda rozległ się dźwięk syreny i wszyscy mieszkańcy Wspólnoty uciekli do zimowych kwater, kryjąc się za specjalnie wzmocnionymi drzwiami. Jednakże większość ludzi obawiała się, że okażą się one niewystarczające, by powstrzymać nieustępliwe ataki Hippae. Na dźwięk alarmu James Jellico pozamykał wszystkie wysokie bramy. Był także na tyle przytomny, że posłał po żołnierzy, którzy zabawili w gościnnych kuchniach w miasteczku. Chociaż nie wiedział, skąd nadciąga zagrożenie, ten tuzin ludzi pod dowództwem Serafina przynajmniej dysponował prawdziwą bronią. Możliwe, że Serafin będzie mógł sprowadzić kolejnych ludzi i broń ze statku.

Pośpiesznie wezwany Serafin wybrał stację porządkową na swoją bazę i rozsądnie zabrał się za powstrzymywanie zagrożenia.

– Po dwóch ludzi przy każdym oknie – rozkazał, pocąc się na widok Hippae, które szalały pośród nieruchomych ciał w porcie. – Automatem ogień w promieniu dziewięćdziesięciu pięciu stopni. Światła w hełmach na pełną szerokość. Włączyć noktowizory w okularach. Strzelać do wszystkiego, co się rusza.

– W porcie jest tuzin świętych – zaprotestował jeden z żołnierzy, czując suchość w ustach. – Mogą spróbować dostać się do bramy.

– Ktoś prowadzi ostrzał z górnych poziomów tamtej budowli, Cherubinie – odpowiedział ponuro Serafin, wskazując dźwig, jakby żołnierz był ślepy. – Jeżeli nasi ludzie w porcie mają choć trochę rozumu, to zostaną na miejscu. Są tam są bezpieczniejsi niż my tutaj. Jeżeli zobaczycie, że coś się zbliża do bramy, zabijcie to. Cisza w eterze, chyba że te stwory się tutaj przedostaną. Muszę ściągnąć posiłki. – Wiedział, że to zajmie wiele godzin, może nawet kilka dni. *Israfela* nie wyposażono w pojazdy bojowe. Kto mógłby przypuszczać, że będą potrzebne. Dysponowali tylko niewielkimi promami, które będą musiały wielokrotnie krążyć, każdorazowo przywożąc po dziesięciu żołnierzy, stopniowo tworząc umocnienia.

– Panie dowódczo – odezwał się ponownie Cherubin – a co z ludźmi w hotelu?

– Jakimi ludźmi? – spytał zaskoczony James Jellico.

– Naukowcami, których przysłał Hierarcha – odparł Cherubin. – Oraz ambasadorem i jego żoną.

* * *

Marjorie obudziło wycie atakujących Hippae. Okno jej apartamentu wychodziło na niewłaściwą stronę, dlatego przeszła przez pokój, w którym spał wyczerpany Rigo, i zbliżyła się do okna po zewnętrznej stronie budynku. W porcie tańczyły chaotyczne światła. Nie budząc Riga, podeszła

do drzwi apartamentu i je otworzyła. Dziennego strażnika zastąpił inny żołnierz.

– Niech pan wyjrzy przez okno – poprosiła. – Szaleją tam jakieś bardzo groźne stworzenia.

Gestem nakazał jej wrócić do środka, jakby to ona stanowiła zagrożenie, w wygniecionym ubraniu, bezbronna, z potarganymi włosami zwisającymi wokół twarzy. Kiedy jednak zobaczył, co się dzieje w porcie, zawahał się, jakby targaly nim sprzeczne pragnienia.

– Jeśli mamy tutaj zostać, musimy się jakoś zabezpieczyć przed tymi bestiami – stwierdziła. – Musimy założyć, że w końcu do nas przyjdą.

– Jak? – spytał. – Co pani ma na myśli?

– Nie potrafią się wspinać po drabinach, ale nie są głupie. Możliwe, że już wiedzą albo wkrótce domyślą się, do czego służą windy. Musimy wyłączyć zasilanie w szybach. Znajdujemy się na czwartym poziomie. Bez wind raczej się tutaj nie dostaną.

– Wylącznik prądu pewnie znajduje się na samym dole – odparł.

– Więc będziemy musieli tam zejść.

Przez chwilę się namyślał, po czym ruszył w stronę windy, by zaraz się cofnąć.

– No dalej, chłopcze – parsknęła. – Mogłabym być twoją matką, więc mogę na ciebie wrzeszczeć. Zdecyduj wreszcie, co zrobisz!

Zaczął odkładać broń.

– Zabierz ją – rozkazała. – Mogą się dostać do hotelu, kiedy będziemy na dole.

Razem wskoczyli do szybu prowadzącego w dół, a Marjorie narzekała pod nosem na to, jak wolno się poruszają. Luksus najwyraźniej łączył się z powolnymi windami. Hotel Portowy uchodził za luksusowy. Opadali jak pyłki kurzu, aż w końcu znaleźli się pięć pięter pod ziemią. Według tablicy, pod sobą mieli kolejne pięć poziomów.

– Zimowe kwatery – stwierdziła Marjorie. – Zupełnie o nich zapomniałam.

– Musi się tutaj robić bardzo zimno, co? – spytał strażnik, rozglądając się nieprzytomnie.

– Mam wrażenie, że zimno to tylko część problemu – odpowiedziała Marjorie. – Dokąd teraz?

Wskazał ciężkie metalowe drzwi naprzeciwko szybu. Za nimi krył się pokój pełen konsol i okrągłych mierników.

– Myślę, że powinniśmy wszystko powyłączać – stwierdziła Marjorie.

– Wszystko? Wtedy nie będziemy mieli wody ani niczego innego. Poza tym, jak wrócimy na górę?

– Wespniemy się szybem – odrzekła.

Przeszła wzdłuż konsoli, odczytując etykiety. Główny wyłącznik zasilania. Główna pompa. Wyglądało na to, że pompę zasila osobny obwód. Nie musieli się pozbawiać wody. Otworzyła blokadę i zdecydowanym ruchem przesunęła główny wyłącznik. W pomieszczeniu zrobiło się ciemno.

– Cholera – warknęła.

Oślepiło ją jaskrawe światło.

– Powinienem już wcześniej je włączyć – powiedział żołnierz, poprawiając lampy na hełmie. – Którędy będziemy się wspinać?

– W szybie jest drabina awaryjna.

Wrócili do szybu, pochylili się nad chłodną, ciemną studnią i wymacali zimne metalowe szczeble. Marjorie ruszyła przodem, a lampy na hełmie żołnierza oświetlały im drogę.

– Użyteczny sprzęt – stwierdziła, ciężko dysząc, gdy zbliżali się do czwartego poziomu. – Mam na myśli twój hełm. Możesz patrzeć w podczerwieni?

– Owszem – przytaknął. – Oprócz tego ma jeszcze sześć innych filtrów. Może odróżniać żywe istoty od martwej materii. No i ma czujnik ruchu. Jeżeli połączy się go ze sterownikiem broni w pancerzu, można ustawić automatyczny ostrzał.

Sprawiał wrażenie dumnego, a Marjorie spodobała się jego pewność siebie. Wiedziała, że mogą jej potrzebować. Możliwe, że będzie od niej zależało ich bezpieczeństwo.

– Możesz wejść do apartamentu – zaproponowała, gdy dotarli na czwarty poziom. – Zamkniemy drzwi na wypadek, gdyby coś się tutaj

przedostało.

Rigo wciąż spał. Wyglądał na wymizerowanego i osłabionego.

– Będzie głodny, kiedy się obudzi – stwierdziła Marjorie. – Niestety, nie mamy tutaj żadnego jedzenia.

– Awaryjne racje żywnościowe – odezwał się chłopak, stukając palcem w długi pojemnik na swoim opancerzonym udzie. – Dla jednego człowieka wystarczą na dziesięć dni, więc my troje też przez jakiś czas będziemy mieli co jeść. Nie smakują zbyt dobrze, ale Cherubin zapewnił nas, że są pożywne. – Wskazał śpiącego człowieka. – Czy on jest chory?

Pokiwała głową. Tak. Rigo jest chory. Jak wszyscy jeźdźcy.

– Jak masz na imię? – spytała. – Jesteś Uświęcony?

Wyszczrzył się dumnie.

– Favel Cobham, proszę pani. Owszem, jestem Uświęcony. Podobnie jak cała moja rodzina. Zarejestrowali mnie tuż po urodzeniu. Jestem ocalony na wieczność.

– Szczęściarz z ciebie – odrzekła, ponownie odwracając się w stronę posłania Riga. Jeśli Hippae dostaną się do hotelu, ona i Rigo nie zdołają się ocalić nawet w tym życiu. Może Tony'emu się uda, jeśli ktoś wkrótce odkryje lekarstwo. Oraz Stelli. Biorąc pod uwagę, jak Rilibee na nią patrzył, może ona też ocaleje. Jeżeli nie na wieczność, to przynajmniej na życie bardzo małej istoty. Tylko na to każdy z nas może liczyć.

Wróciła do okna i popatrzyła ponad bitwą na olbrzymie szopy stojące pod murem. Konie! Widziała budynek, w którym urządzili dla nich stajnie. Był wytrzymały, ale nie niezniszczalny. Łączył się z hotelem za pomocą sieci tuneli. Tutaj wszystko było ze sobą połączone. Czy zdołałaby się tam przedostać? Zaczęła grzebać w kieszeni, szukając rejestratora trasy, który oddał jej brat Mainoa.

– Kilku ludzi Serafina było w miasteczku – rzekł żołnierz.

– Co zrobią? – spytała z zaciekawiona.

Pokręcił głową.

– Serafina można określić mianem konserwatysty, proszę pani. Kilkakrotnie słyszałem to z ust Cherubina. Zaczeka do rana, a potem zapewne ostrzela miasto z murów, każąc wszystkim ludziom ustawić broń

na automatyczny ogień. Wtedy już będzie dysponował posiłkami, które przybędą ze statku.

– Istnieje przynajmniej jeden tunel, którym przedostały się Hippae – wyjaśniła Marjorie. – Będzie trzeba go wysadzić, zalać albo coś w tym rodzaju.

– Czy ludzie w miasteczku o tym wiedzą? – spytał, a kiedy pokiwała głową, dodał: – Więc powiedzą o tym Serafinowi, a on się tym zajmie. Może nawet dzisiaj ściągnie na planetę barkę szturmową. Jego oddział szturmowy, który wszędzie mu towarzyszy, ma do dyspozycji różne rodzaje sprzętów do wyburzania.

– Zabrały taką grupę do miasteczka? – spytała z niedowierzaniem.

– Wszędzie ich zabiera – odparł żołnierz poważnie. – Nawet do toalety. Na wypadek gdyby coś się stało podczas jego nieobecności i miałyby problem z powrotem do dowództwa. Na przykład, gdyby wybuchł bunt.

Pokręciła głową, zadziwiona. Jakże niepewnie musi się czuć Hierarcha, skoro stale jest przygotowany na bunt poddanych.

– Bunt? – dobiegł od progu wściekły głos. Rigo, bosy, ubrany w same spodnie. – Co się dzieje?

Marjorie odsunęła się od okna, żeby mógł zobaczyć.

– Przedostały się – powiedziała. – Razem z tym młodym człowiekiem wyłączyliśmy prąd w hotelu. Nie wejdą na górę, chyba że są tutaj jakieś schody, o których nie wiem. Niestety, oznacza to, że my także jesteśmy uwięzieni. Przynajmniej na razie. – Uważała, że mogą nie dożyć uwolnienia z tej pułapki, ale nie powiedziała tego na głos.

Rigo z obojętną miną wyglądał przez okno.

– Hippae – rzekł niepotrzebnie. – Jak wiele?

– Wystarczająco dużo, żeby wyrządzić ogromne szkody – odrzekła Marjorie. – Doliczyłam do osiemdziesięciu kilku i przerwałam, a przybywały kolejne.

– Czy mógłbyś poczekać na zewnątrz? – powiedział Rigo do żołnierza. – Chciałbym porozmawiać z żoną.

– Nie – odparła. – On może tutaj poczekać. Nie chcę, żeby wychodził na korytarz, gdzie mogą go wyczuć lub usłyszeć. Być może istnieje inna droga

na górę, a nie mam zamiaru ich tutaj zwabić. Jeśli chcesz porozmawiać, możemy to zrobić w twoim pokoju. – Poszła przodem, wymięta, nieuczczesana, a mimo wszystko dostojna. W pokoju, w którym Rigo spał, usiadła na krześle i czekała, podczas gdy on krążył – trzy kroki naprzód, trzy kroki w tył.

– Kiedy cię nie było – rzekł w końcu – miałem okazję omówić naszą sytuację z księdzem Sandovaliem. Sądzę, że powinniśmy porozmawiać o naszej przyszłości.

Poczuła smutek zmieszany z delikatnym rozdrażnieniem. To bardzo w jego stylu, rozmawiać o przyszłości w chwili, gdy mogą jej nie mieć. Zawsze chciał rozmawiać o miłości, kiedy jej między nimi nie było, i o zaufaniu, gdy to wygasało. Zupełnie jakby miłość i zaufanie nie były uczuciami, tylko symbolami albo narzędziami, których można użyć do osiągnięcia celu. Jakby same słowa stanowiły klucz do jakiegoś mechanicznego zamka. Obróć miłość, a ta się wydarzy. Obróć zaufanie, a ono się pojawi. Obróć przyszłość...

– Co z naszą przyszłością? – spytała z obojętnym wyrazem twarzy.

– Ksiądz Sandoval zgadza się ze mną, że w końcu pojawi się lekarstwo – oznajmił głosem nieznoszącym sprzeciwu, jakby w ten sposób czynił to faktem. Ten ton niemal zawsze odnosił pożądany skutek. Rigo przemawiał w ten sposób do swojej matki, sióstr, Eugenie, dzieci, także Marjorie. A kiedy zawodził głos Riga, wspomagał go ksiądz Sandoval, który wyznaczał pokutę i przywoływał autorytet Kościoła. Teraz Rigo opowiadał jej, co się wydarzy. – Ktoś je odkryje. Skoro już wiemy, że odpowiedź znajduje się na Trawie, ktoś je odkryje, i to wkrótce. Lekarstwo zostanie rozpowszechnione. Dopóki to się nie stanie, zostaniemy tutaj. Potem wszyscy czworo musimy wrócić do naszego prawdziwego życia.

– Co musimy zrobić? – spytała, myśląc o potworach w miasteczku i porcie. Jak on może je ignorować? Ale z drugiej strony, jak mógł wcześniej ignorować fakt, że są potworami? – Co musimy zrobić?

– Wszyscy czworo – powtórzył. – Wliczając Stellę. – W jego oczach płonął gniew. Najwyraźniej dręczyło go, że Stella ukryła się w lesie. – Będzie wymagała mnóstwa uwagi, ale nie musisz rezygnować ze swojej

działalności dobroczynnej ani jazdy konnej. Możemy zatrudnić opiekunów.

– Opiekunów.

Zacisnął usta w ponurym grymasie.

– Wiem, że zajmowanie się nią będzie bardzo wymagające, Marjorie. Po prostu chciałem cię zapewnić, że nie musi to się dla ciebie stać ciężarem. Wiem, jak wiele dla ciebie znaczy twoja praca, i że uważasz ją za bardzo ważną. Ksiądz Sandoval zauważył, że nie powinienem być się o to z tobą kłócić w przeszłości. To był mój błąd. Masz prawo mieć swoje zainteresowania...

Powoli pokręciła głową, nie dowierzając w to, co słyszy. Co on mówi? Czy naprawdę sądzi, że mogą żyć tak jak kiedyś, jakby nic się nie wydarzyło? Czy znajdzie kogoś na miejsce Eugenie i wrócić do dawnych zwyczajów? Czy ona będzie jeździła do Hodowli, rozwoziła jedzenie i załatwiała transport? Tak jak przedtem?

– Czy rozmawialiście z księdzem Sandovaliem o tym, jak przedstawić Stellę swoim przyjaciołom? – spytała. – Może powiesz: „Oto Stella, moja córka idiotka. Pozwoliłem, żeby została umysłową i seksualną kaleką na Trawie, żeby dowieść swojego męstwa ludziom, którzy nic dla mnie nie znaczyli”. Coś w tym stylu?

Jego twarz pociemniała z gniewu.

– Nie masz prawa...

Ostrzegawczo uniosła dłoń.

– Ależ mam, Rigo. Jest również moim dzieckiem. Nie możesz swobodnie nią dysponować. Należy także do mnie i do siebie samej. Jeżeli chcesz zabrać Stellę z powrotem na Terrę, to oczywiście możesz próbować, ale nie sądzę, żeby udało ci się ją łatwo usunąć z miejsca, w którym się obecnie znajduje. Miałbyś także ogromne problemy, żeby zabrać stąd mnie. Jeżeli pragniesz wrócić do dawnych czasów, to nie mogę cię powstrzymać. Nawet nie będę próbowała. Ale nie możesz oczekiwać, że Stella albo ja pobiegniemy za tobą jak wierne psy!

– Chyba nie myślisz o tym, żeby tutaj zostać! Co byś tutaj robiła? W domu masz pracę. Tam zostało nasze życie.

– Kiedyś przyznałabym ci rację. Ale teraz to nieprawda.
– A te wszystkie kłótnie o twoją pracę w Hodowli? Twierdzisz, że to były bzdury? Kłamstwa?
– Wtedy uważałam je za istotne.
A raczej sama się do tego przekonywałam, przyznała w myślach.
– Teraz tak nie jest?
– Co to za różnica? Sama nie jestem pewna, co myślę! Zresztą, pomimo twojego założenia, że zaraza zostanie opanowana, nadal możemy na nią umrzeć! Albo mogą nas zabić Hippae. To nie pora na dyskusje, co kiedyś zrobimy! Teraz nie mamy innego wyjścia, niż tylko starać się przeżyć.

Wstała i ominęła go, po drodze kładąc dłoń na jego ramieniu, chcąc go – albo siebie – pocieszyć. To nie była odpowiednia chwila na kłótnię. Jeżeli mieli tutaj stracić życie, wołała, żeby nie rozstawali się w nienawiści. Jakie to ma znaczenie, co on teraz powie?

Poszedł za nią i zastał ją przy oknie, gdzie stała razem z żołnierzem. Spoglądając ponad jej ramieniem na ogień i zniszczenie, Rigo zastanawiał się, po co ktokolwiek miałby chcieć pozostać na Trawie. Hippae znalazły naukowców w szpitalu i wyciągnęły ich na zachwaszczone zbocze. Nawet gdy ludzie już nie żyli, nadal szalały pośród ciał jak byki, depcząc je i rycząc.

Marjorie przeklęła po cichu, a łzy spłynęły jej po twarzy. Nie pamiętała, czy w budynku portu byli inni ludzie. Kiedy razem z żołnierzem odcięli prąd, mogli zaprowadzić ich w bezpieczne miejsce. Widząc szalejące bestie, ponownie pomyślała o koniach. Nie zostawi ich samych w obliczu tej grozy.

Dwaj mężczyźni stali nieruchomo przy oknie. Marjorie odwróciła się i wyszła niezauważona. Czekają ją długie zejście do zimowych kwater i tuneli, które wszystko łączyły, niczym otwory w gąbce, jak to ujął Persun Pollut.

* * *

Większość mieszkańców Wspólnoty zdołała się schować za solidnymi drzwiami zimowych kwater, zanim pojawiły się Hippae. Większość, nie wszyscy. Ci, którzy pozostali na powierzchni, wywalczyli sobie drogę do jak najbezpieczniejszych miejsc. Chociaż większość budynków w mieście była niska, gdzieś tam można było się ukryć na wyższych piętrach i bronić prowadzących na nie klatek schodowych, przynajmniej przez jakiś czas. Ludzie nie mieli broni, którą mogliby wykorzystać przeciwko Hippae i ogarom. Co prawda, nożem dało się przeciąć łapę albo szczękę, ale ogar mógł zająć człowieka od tyłu i odgryźć mu rękę z ostrzem, zanim ten zorientował się, że bestia się zbliża. Ogary potrafiły się wspinać po schodach jak wielkie koty. Ciała i fragmenty ciał zaczęły się gromadzić na ulicach Wspólnoty. W stacji porządkowej Serafin pocił się i kłął, żałując, że nie może się skomunikować z obrońcami miasteczka.

– Autolot – zasugerował James Jellico. – Może pan latać nad nimi. W autolotach są głośniki.

– Niech pan sam to zrobi – odburknął Serafin. – Proszę im kazać opuścić ulice i wejść na dachy, skąd będziemy mogli ich zabrać. Niech przestaną bezsensownie umierać, dopóki nie sprowadzę swoich ludzi!

Zatem James poleciał, podobnie jak Asmir, Alverd, a nawet stary Roald. Wspólnie przeszukiwali szczyty budynków, wołając do ludzi w dole, żeby wychodzili na dachy.

– Wspinajcie się! – krzyčili. – Zabierzemy was.

Ci, którzy ich słyszeli, przeklinali, wrzeszczeli i próbowali dostać się na dachy, podczas gdy bestie rzucały się na nich z każdych drzwi, wyskakiwały z pozornie pustych ulic, materializowały się w zagłębieniach murów. Dotychczas Hippae zawsze pozwalały się oglądać. Teraz, podczas bitwy, wołały się nie pokazywać, dopóki nie zatopiły zębów w ofierze. Jak kameleony wtapiały się w tło, ich skóra przyjmowała barwę cegieł, bruku bądź gipsu, tylko zęby i błysk ślepi zdradzały ich pozycję, często za późno.

Jednakże te stwory, które z arogancją nosiły na grzbiecie niesamowitych jeźdźców, nie mogły się ukryć. Widok dygoczącej trupiej postaci pędzącej wzdłuż muru wystarczył, by zorientować się, że pod nią znajduje się bestia. Roald, który spoglądał z autolotu na ten pokaz,

zastanawiał się, jakie ezoteryczne motywy skłoniły Hippae do tej straszliwej parodii Polowania. Po co obciążały się tymi bezużytecznymi naroślami? Kiedy Hippae ginęły, jeźdźcy staczali się na ziemię, niektórzy żywi, inni ledwie żywi, jeszcze inni martwi. Roald wybrał kilku, co do których miał nadzieję, że mogą przeżyć. Ale nawet najlżej ranni spośród nich nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Dlaczego się tutaj pojawili?

– Widzę więcej martwych – mruknął Roald do Alverda, gdy przelatywali z dachu na dach. – Coraz więcej martwych Hippae.

– No właśnie – dziwił się Alverd. – Kto je zabija? Nie żołnierze. Wszyscy utknęli w stacji porządkowej.

– Pewnie my.

Alverd parsknął.

– Raczej nie, teściu. Tam na rogu leży kolejny nieżywy Hippae. Rozdarty na strzępy.

– Więc co je zabija, skoro nie my?

– Nie wiem – odparł Alverd. – Coś. Coś, czego nie widzimy. Coś, co ma zęby.

* * *

Z najniższego poziomu hotelowych zimowych kwater Marjorie brnęła siecią tuneli ku szopie, która stała niemal przy samej ścianie Jegóry. Rejestrator trasy nie mógł jej prowadzić, ale chronił ją przed bezpowrotnym zgubieniem się. Szopa stała się blisko miejsca, w którym Hippae szalały i zabijały. Trudno będzie niepostrzeżenie wydostać konie. Jeśli jednak uda im się dotrzeć do bagiennego lasu, to być może będą bezpieczni. Jeżeli stwory ich zauważą, niewątpliwie ją zaszlachtują. Czuła gniew Hippae, skierowany przeciwko niej osobiście. To jej nienawidziły. Ona je szpiegowała, weszła do ich jaskini, walczyła z nimi. Nie zamierzały przegapić okazji do jej zabicia.

Mimo wszystko, gdyby udało się jej wyprowadzić konie na zbocze, część z nich by ocalała. Mogła przynajmniej je wypuścić i nadać im właściwy kierunek. Kiedy dotrą do lasu, „Pierwszy” się nimi zaopiekuje i je ochroni.

Dzielne koniki. Zasluguja na lepszy los niz smierc od klów Hippae. Zasluguja na ląki, zrebaki i długie dni na słonecznych pastwiskach.

Jej kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki. W słabym świetle widać było skrzyżowanie korytarzy. Kiedy rejestrator trasy oznajmił, że dotarła wystarczająco daleko we właściwym kierunku, zaczęła szukać drogi w górę. Konie powinny się znajdować gdzieś nad nią. Oby Hippae jeszcze nie zwróciły uwagi na szopę. Oby konie nie były ranne albo martwe.

„Nie” – odezwał się ktoś. – „Konie są bezpieczne”.

Stała jak wryta, całkowicie oszołomiona. Ten głos pochodził z leśnej dziczy, a nie z tych suchych, mrocznych korytarzy. Kiedy minął pierwszy szok, z drzeniem zwróciła się w stronę głosu, jak igła kompasu zwraca się ku północy.

„Tędy” – rzekł głos. – „Tędy”.

Powoli ruszyła za tym wezwaniem, wspinając się pochyłymi korytarzami, po krętych schodach, wyciągana jak ryba na żyłce.

Był w szopie razem z końmi. Leżał przed drzwiami. Zobaczyła ruch powietrza, falowanie podobne do mirażu, błysk zęba albo oka. Konie spokojnie żuły paszę. Kiedy Marjorie weszła, Kichot zarżał w jej kierunku, a ona oparła się o ścianę, dygocząc na całym ciele. A więc to tak. Czy tylko On się zaangażował, czy inne lisy też się pojawiły?

„Po co przyszedłeś?” – zapytała.

„Wiedziałem, że się tutaj pojawisz” – odpowiedział ludzkimi słowami, idealnie wyraźnie.

Znaczenie tego faktu nią wstrząsnęło.

„Nie mogłam porzucić przyjaciół” – wyjaśniła.

„Wiem” – odrzekł. – „Wiedziałem o tym już wcześniej, ale mój lud w ciebie nie wierzył”.

„Zmienił zdanie?” – spytała.

„Tak. Ze względu na nie” – odparł. – „Ze względu na konie”.

Zobaczyła siebie na grzbiecie Kichota, zagrożoną ze wszystkich stron, wzywającą do ucieczki na pokład autolotu. Zobaczyła, jak odmawia. Obraz

w jej umyśle był większy niż w rzeczywistości, naznaczony niezwykłą doniosłością. Nie chciała porzucić koni.

„Głupota. Tak mi się wtedy wydawało”.

„Głupota” – zgodził się, ponownie używając słów. – „Ale to ważne. Warto wiedzieć, że ktoś jest skłonny zaryzykować życie dla innych. Warto wiedzieć, że ludzie są lojalni. Warto wiedzieć, że przyjaźń może przekraczać granice ras”.

„Czy Arbaiowie byli waszymi przyjaciółmi?”.

Zaprzeczenie. Zobaczyła Arbaiów zajętych Hippae, pracujących z nimi, podczas gdy lisy grasowały w pobliżu, skrupulatnie ignorowane. Według lisów Arbaiowie woleli bezpośrednie podejście do nauczania zamiast stosowanych przez nie metod komunikacji. Marjorie poczuła staranne wycofanie Arbaiów, ich pedantyczną skromność myśli, podobną do jej własnych odczuć, posuniętą jednak znacznie dalej! Nie widzieli zła, ale dostrzegali naruszenie prywatności i je odrzucali. Jakież to znajome! Jakież to okropne!

Zgodził się. Mimo wszystko czuł żal i wyrzuty sumienia z powodu ich śmierci.

„Oni zginęli” – odrzekła. – „Teraz my umieramy. Hippae są na zewnątrz. Przedostaną się do Wspólnoty i nas pozabijają”.

„Już są we Wspólnocie. Ale niewielu ludzi ginie. Nie tym razem”.

„Chronicie nas?”.

„Tym razem wiemy, co się dzieje”.

„Wcześniej nie wiedzieliście?” – spytała. – „Nie wiedzieliście, co się działo z Arbaiami?”. Wydawało się to niemożliwe, a jednak, czy lisy koniecznie musiały wiedzieć? Rzezi dokonano na prerii, z dala od lasu...

„Niektórzy nienawidzili ludzi, ponieważ na nas polowaliście. Niektórzy uważali, że to nie nasza sprawa, nie nasz problem, ponieważ nie mogliście zostać naszymi przyjaciółmi, tak samo jak Arbaiowie. Powiedziałem im, że Mainoa jest przyjacielem. Odrzekli, że jest jedyny, wybryk natury, niepodobny do pozostałych. Nie zgodziłem się, twierdząc, że będą kolejni. Potem pojawiłaś się ty. Uważali, że również jesteś wyjątkiem, a ja utrzymywałem, że pojawią się inni. Klóciliśmy się o to. Wreszcie

osiągnęliśmy kompromis”. – Humor. Niemal śmiech, ale podszyty smutkiem i napięciem. – „Zgodziliśmy się, że jeśli naprawdę okażesz się moją przyjaciółką, to będę ci mógł powiedzieć”.

„Mnie?”.

„Jeśli dasz mi swoje słowo. Że będziesz przyjaciółką, tak jak Mainoa był przyjacielem. Że będziesz tam gdzie ja”.

Usłyszała ten warunek i natychmiast na niego przystała. Już wcześniej postanowiła, że zostanie. Nie zabierze stąd Stelli. Przynajmniej tutejsi ludzie rozumieją, co się jej przytrafiło.

„Dam słowo” – odparła.

„Że będziesz tam, gdzie ja?”.

„Tak”.

„Nawet jeśli to nie będzie tutaj?”.

Nie tutaj? Gdzie On będzie, jeśli nie tutaj? Czekwała na wyjaśnienie, ale go nie otrzymała. Coś jej podpowiadało, że się nie doczeka. Gdyby tylko mogła zobaczyć Jego twarz. Zobaczyć Jego minę...

„My się nawzajem widzimy” – odrzekł. – „My, lisy”.

Poczerwieniała. Oczywiście, że się widzą, pozwala na to łącząca je intymność. Ona również może je zobaczyć, jeżeli zapomni o sobie i do nich dołączy. Tak jak ludzie zrzucają swoje codzienne ubranie, żeby przyjść nago do swoich kochanków, tak samo lisy zrzucają maskującą iluzję, by dostrzec rzeczywistość...

Ale teraz nie mogła ich oglądać. Jeśli przyjmie zaproszenie, będzie musiała to zrobić na ślepo, jak podczas rytuału, jak podczas ceremonii zaślubin; wyrzeknie się wszystkich innych dla tego jedyne, dla tej zagadki, mimo braku pewności. Obieca, że odda swoje wnętrze komuś innemu. Zadrżała. To bardzo niebezpieczne.

Miała swobodę wyboru.

Jak może to zrobić? Rigo też tego od niej pragnął, a ona wielokrotnie próbowała, ale nie potrafiła. Ponieważ go nie знаła i mu nie ufała...

A czy Jemu ufa?

Wiedział, gdzie ją znaleźć. Razem ze swoimi towarzyszami postanowił ocalić ją i innych ludzi. Co jeszcze mógł zrobić, by udowodnić, że warto Mu

zaufać? Czego jeszcze od Niego wymagała?

Westchnęła, z trudem wypowiadając te słowa, oddając się na zawsze. „Tak. Obiecuję”.

Wtedy pokazał jej, dlaczego i jak zginęli Arbaiowie. Dlaczego umierają ludzie.

Kiedy zrozumiała, oparła się o Niego, a w jej umyśle wirowały i burzyły się chaotyczne pomysły, sprawy, o których usłyszała, wnioski, które wyciągnęła. Nie przeszkadzał jej. W końcu wszystko zaczęło się układać w całość. Tylko częściowo rozumiała, a jednak odpowiedź była blisko, jak skarb migoczący w strumieniu, ujawniający swoją obecność.

„Musisz coś dla mnie zdobyć” – powiedziała. – „Później pójde tunelami do miasteczka...”.

* * *

Marjorie weszła do jaskini, w której Lees Bergrem siedziała pochylona nad biurkiem. Przez chwilę stała w kącie, niezauważona, porządkując myśli. Lees podniosła wzrok, zdając sobie sprawę z tego, że ktoś ją obserwuje.

– Marjorie? – spytała. – Myślałam, że jest pani w Hotelu Portowym! Myślałam, że Hippae was tam uwięziły!

– Pod murem biegnie co najmniej jeden tunel. Właśnie tamtędy wróciłam – wyjaśniła. – Muszę z panią porozmawiać.

– Nie ma na to czasu – odparła lekarka, odwracając się do swojej pracy. – Nie ma czasu na rozmowy.

– Lekarstwo – rzekła Marjorie. – Chyba już wiem.

Lekarka zwróciła ku niej lśniące oczy.

– Wie pani? Tak po prostu?

– Wiem coś ważnego. A raczej dwie ważne rzeczy. Zgadza się. Tak po prostu.

– Proszę mi powiedzieć.

– Pierwsza istotna sprawa: Hippae zabiły Arbaiów, wrzucając martwe nietoperze do ich transporterów. My nie mamy transporterów, więc Hippae zabijają nas, umieszczając martwe nietoperze w naszych statkach.

– Martwe nietoperze! – Doktor Bergrem zacisnęła usta, skupiając się na jej słowach. – Jeden z bon Damfelsów powiedział, że to symboliczne zachowanie!

– O tak, jest symboliczne. Problem polega na tym, że uznawaliśmy je za czysto symboliczne. Powinniśmy byli pamiętać, że symbole często stanowią esencję rzeczywistości. Flagi kiedyś były sztandarami niesionymi podczas bitwy. Krzyż kiedyś był prawdziwym narzędziem egzekucji. To symbole czegoś, co jest albo było rzeczywiste.

– Jak to, rzeczywiste? – Lees usiadła, piorunując Marjorie wzrokiem. – Co rzeczywistego symbolizują nietoperze?

Marjorie ze smutkiem masowała sobie skronie.

– Pierwotnie coś bardzo uciążliwego. Prawdziwe szkodniki. Hippae kopią w siebie nawzajem martwymi nietoperzami. Widziałam, jak to robią.

– Wiemy o tym! Sylvan bon Damfels mówił, że to oznacza „Jesteś śmieciem”.

– Zgadza się. Takie było pierwotne znaczenie tego zachowania. To samo Hippae miały na myśli, gdy kopały martwymi nietoperzami w Arbaiów. Na Terrze kiedyś żyły zwierzęta, które rzucały w nieznanomych odchodami. Hippae nienawidzą obcych. Postrzegają inne istoty albo jako użyteczne narzędzia, jak migerery czy myśliwi, albo jako obiekty pogardy, które w razie możliwości należy zabić. Arbaiowie należeli do tej kategorii, więc Hippae zaczęły kopać martwymi nietoperzami w nich, ich domy oraz transporter. Czysty przypadek sprawił, że jeden z nietoperzy wpadł do transportera i przeniósł się w inne miejsce. Po tej stronie było to jedynie symboliczne zachowanie. Po drugiej oznaczało zarazę. Śmierć.

– Wektor zakażenia...

– Tak. Właśnie tak się stało. W miejscu, do którego prowadził transporter, Arbaiowie umarli. A potem głupi Arbaiowie na Trawie powiedzieli Hippae, co się stało. Od tamtej pory ten gest już nie oznaczał tylko „Jesteś śmieciem”, ale „Nie żyjesz”. Kiedy Hippae zrozumiały, że mogą zabijać, wrzucając nietoperze do transportera, zaczęły to powtarzać. Symbol stał się rzeczywistością.

– Co powtarzać...?

– Wrzucać martwe nietoperze do transportera, dopóki wszyscy Arbaiowie nie zostali zarażeni. Możliwe, że to nie trwało długo. Może tylko dzień albo tydzień. Kiedy tylko nikt na nie nie patrzył. Arbaiowie byli tak... pewni siebie, że nie przyszło im do głowy, by wystawić strażę. Zakładam, że transporter działał jak komunikator uruchamiany głosem. Kiedy ktoś korzystał z sieci, uruchamiał się zestaw terminali, dzięki którym nietoperz mógł trafić w jakieś odległe miejsce. Na Pokutę? Na Shafne? Na obu tych planetach znajdują się ruiny miast Arbaiów. Na setkę światów, których nigdy nie widzieliśmy? Niezależnie od tego, ile ich było, ten plan zadziałał. Arbaiowie umarli, wszędzie. Hippae upamiętniły to wydarzenie w swoich tańcach. Wielkie zwycięstwo. „Radość zabijania nieznajomych”. Zapamiętały to. Kiedy na Trawę przybyli ludzie, Hippae chciały powtórzyć swoją taktykę, ale nie mieliśmy transporterów, tylko statki. Martwe nietoperze okazały się skuteczne w przypadku Arbaiów, więc Hippae postanowiły umieszczać je na pokładzie naszych statków. Ale one znajdowały się w lesie, gdzie, dzięki wpływowi lisów, wybudowaliśmy port. Lisy uważały, że w bagiennym lesie port będzie bezpieczny. Lisy lubiły towarzystwo Arbaiów. Chociaż wołałyby bezpośredni kontakt, mogły się bez niego obyć dzięki zdolnościom telepatycznym. Szukały intelektualnej bliskości z Arbaiami, ale zostały odrzucone, dlatego nie próbowały nawiązywać kontaktu z nami. Traktowały nas tak, jak my moglibyśmy traktować jakieś inteligentne, interesujące, ale obojętne oswojone zwierzęta, i sądziły, że będziemy bezpieczni... Nie doceniły Hippae. Może uważały, że Hippae zapomną po upływie kilku stuleci, ale tak się nie stało. Potwory zakodowały swoje wspomnienia w tańcu i wzorach. Kiedy przybyli pierwsi ludzie, Hippae poleciły migererom kopać tunel, najpierw niewielki, w którym mógł się zmieścić pojedynczy ludzki posłaniec. Posłańcom wymazywały umysł, nie licząc pewnego impulsu, zaprogramowanego działania...

– To niewiarygodne!

– Wręcz przeciwnie, ponieważ impuls ten stanowił tylko niewielką modyfikację naturalnych ludzkich zwyczajów. Rzekotki nie mają takiej

zdolności. Ogary również są jej niemal całkowicie pozbawione. Hippae są w stanie wpływać na umysły otaczających je istot i naginać ich wolę do własnych potrzeb. Niech pani sobie przypomni, co robią z migererami i myśliwymi! Kiedy Hippae zmieniają się w lisy, ta zdolność rozwija się stukrotnie. Hippae mogą nie być prawdziwie rozumne. Są złe i przebiegłe, owszem, potrafią się uczyć, ale nie są zdolne do subtelnych działań. Przypadkiem nauczyły się zabijać i pozostały na tej drodze. Wszystko, co robią, stanowi powtórzenie poznanych schematów...

Lekarka siedziała nieruchomo i rozmyślała.

– Powiedziała pani, że wie dwie istotne rzeczy.

– Druga dotyczy pani książek. Próbowałam je przeczytać. Nie jestem naukowcem. Pamiętam tylko, że jedna z nich traktowała o substancji odżywczej, białku, które stanowi podstawę naszego organizmu. Napisała pani, że wszyscy go potrzebujemy. Większość żywych komórek. Stwierdziła pani, że na Trawie – i tylko tutaj – istnieje ono w dwóch postaciach. Zaczęłam się zastanawiać dlaczego. Dlaczego akurat na tej planecie występuje w dwóch formach? A potem pomyślałam, że może coś je tutaj zmodyfikowało. Może coś na Trawie zmieniło istotną substancję odżywczą, której potrzebują nasze komórki, a z której nie mogliśmy korzystać w odwróconej formie...

Zapadła długa cisza.

– Potrzebuję martwego nietoperza – oznajmiła Lees Bergrem.

– Przyniosłam pani jednego – odrzekła Marjorie, sięgając do głębokiej kieszeni.

„Pierwszy” opuścił szopę i udał się na pochyłe tereny, żeby go dla niej zdobyć. Położyła wysuszony i rozsypujący się obiekt na stole lekarki. Potem usiadła, schowała głowę między drżącymi kolanami i próbowała o niczym nie myśleć.

* * *

Obie kobiety pozostawały w prowizorycznym laboratorium przez dwa dni. W miasteczku nad ich głowami toczyły się bitwy o każdą ulicę i budynek.

Ludzie umierali, chociaż nie tak licznie, jak się początkowo obawiano. Pojawili się sojusznicy, których nikt nie widział. Wojownicy, na których nikt nie mógł patrzeć. Znajdowano martwe Hippae, których zabicia nikt nie pamiętał. Potem, jako że Hierarcha spał i nie mógł cofnąć rozkazów Serafina, żołnierze zaczęli przylatywać promem, po kilku na raz, stopniowo zajmując kolejne części Wspólnoty i strzegąc powoli poszerzanej granicy. Ekipy wyburzeniowe znalazły tunele pod bagiennym lasem i zmieniły je w mokrą ruinę. Nowe Hippae przestały nadciągać. Te, które już były w środku, ukrywały się jak kameleony, by następnie z wrzaskiem wyskakiwać z uliczek i z piskiem pędzić wzdłuż murów. Podobnie jak lisy, potrafiły stawać się niewidzialne, dzięki czemu przedostawały się do wnętrza domów i sklepów. Śmierć przybyła do Wspólnoty, śmierć, krew i ból, ale także powolne zwycięstwo.

Roald Few o kilka cali uniknął śmierci, ocalony przez coś, czego nie potrafił opisać. Jeden z jego synów zginął. Wielu z jego przyjaciół umarło bądź zaginęło. W zimowych kwaterach urządzono kostnicę. Pierwsze ciało, które do niej trafiło, należało do Sylvana bon Damfelsa. Dołączyła do niego setka kolejnych. Po śmierci, Sylvana spotkało coś, czego nie dokonał za życia: zjednoczył się ze Wspólnotą.

Znajdowano i zabijano kolejne Hippae. Wiele z nich wciąż ukrywało się na skraju lasu. Żołnierze zajęli pozycje wzdłuż linii drzew, ustawiając swoją termolokacyjną broń na automatyczny ogień. Głębiej w lesie inne istoty odnalazły Hippae, które już nigdy nie wróciły do Wspólnoty.

Pod koniec bitwy Favel Cobham zszedł szybem i ponownie włączył zasilanie w Hotelu Portowym, a następnie dołączył do swoich kompanów. Nie nakazano mu zrezygnować z pilnowania Yrarierów, ale nie otrzymał też przeciwnego rozkazu.

Rigo wyszedł z hotelu później, kiedy zobaczył, że ostatni żołnierze wloką się w stronę portu, po czym ruszył ku bramie. Na terenie portu ludzie grzebali swoich zmarłych i przygotowywali się do odlotu.

– Już odchodzicie? – spytał Rigo siwowłosego Cherubina o pomarszczonym, cynicznym obliczu.

– Pan i Władca obudził się i odkrył, co się przytrafiło jego oswojonym naukowcom – odrzekł Cherubin. – Dowiedział się także, co się stało z miasteczkiem. Chyba obawia się, że jeśli zostaniemy, coś go poźre.

Rigo wszedł do Wspólnoty, żeby spytać, czy ktoś widział jego żonę. Kazano mu jej szukać tam, gdzie każdy szukał swoich zaginionych krewnych, czyli w kostnicy. Właśnie tam ją znalazł; stała nad ciałem Sylvana.

– Rowena poprosiła mnie, żebym zorganizowała pogrzeb – wyjaśniła. – Chce, żeby został pogrzebany tam, gdzie kiedyś znajdowało się Klive.

– W przeciwnym razie byś nie przyszła? Nie był dla ciebie ważny? Nie kochałaś go? – Nie to zamierzał powiedzieć. Razem z księdzem Sandovaliem zgodzili się, że oskarżenia będą nie na miejscu. Spodziewał się, że znajdzie zwłoki Marjorie i nad nimi zapłacze. Pozbawiony smutku, pozbawiony dobrych intencji, dał dojść do głosu innym emocjom.

Marjorie postanowiła nie odpowiadać na jego pytanie.

– Sebastian również nie żyje, Rigo. Kinny straciła jedno z dzieci. Persun Pollut omal nie zginął. Ma straszliwie poranioną rękę. Możliwe, że już nigdy nie będzie rzeźbił.

Wstyd zmusił Riga do milczenia, ale jednocześnie wzbudził w nim gniew.

Marjorie podeszła do drzwi, a on powędrował za nią.

– Pracowałam z Lees Bergrem – oznajmiła, rozglądając się, aby mieć pewność, że nikt jej nie słyszy. – Uważa, że znalazłyśmy lekarstwo. Już wcześniej miała kilka elementów układanki. Leku nie da się przetestować na Trawie. Wysłała informację na Semlinga. Mogą wyprodukować lekarstwo i wypróbować je na grupie chorych.

– Wyprodukować? – spytał z niedowierzaniem. – Chodzi o jakiś rodzaj szczepionki?

Pokiwała głową, zbliżając się i go obejmując, niezdarnie, jedną ręką, ze łzami na twarzy.

– To wcale nie szczepionka. Och, Rigo. Naprawdę sędzę, że znaleźliśmy odpowiedź.

Wyciągnął ku niej rękę, ale już się odwróciła.

Nie chciała powiedzieć nic więcej, dopóki ludzie na Semlingu nie otrzymają wszystkiego, co mogła im wysłać Lees Bergrem.

– Zaczekajcie – powiedziała Rigowi, Roaldowi i Kinny. – Nic nikomu nie mówcie, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi. Nie róbcie ludziom nadziei, póki nie będziemy mieli pewności.

Marjorie i Lees Bergrem spędziły trzeci dzień od czasu swojego odkrycia na nerwowym krążeniu po rozbrzmiewających echem pomieszczeniach, w których pracowały. Tego dnia chorzy na Semlingu mieli zacząć zdrowieć albo dalej zmierzać ku śmierci. Około południa czwartego dnia nadeszła wiadomość z Semlinga. W ciągu kilku godzin od podania lekarstwa stan wszystkich zarażonych zaczął się poprawiać.

– Teraz. – Marjorie płakała, a łzy spływały do kącików jej wykrzywionych w uśmiechu ust. – Teraz możemy wszystkich powiadomić.

Podeszła do wiadofonu, żeby zadzwonić do brata Mainoa. Dopiero wtedy dowiedziała się, że kilka dni wcześniej zmarł w objęciach jednego z lisów. Dopiero wtedy zrozumiała część tego, co „Pierwszy” starał się jej powiedzieć.

– Nasza praca dobiegła końca – stwierdziła Marjorie. – Wykonaliśmy zadanie, które nam zlecono.

Siedziała razem z Rigiem i księdzem Sandovalem przy stoliku w restauracji burmistrza Bee, popijając prawdziwą terrańską kawę. Wokół nich trwała odbudowa. Odbudowa oraz pochówki. Na końcu ulicy przechodzili noszowi z wózkami, a Marjorie odwróciła wzrok. Nie chciała już myśleć o śmierci.

– To ty tak twierdzisz – odrzekł ksiądz Sandoval wyniosłym tonem, który ostatnio wobec niej stosował. – Nie widziałem żadnych dowodów.

– Myślę, że potrafię to wyjaśnić – stwierdziła. W ciągu ostatnich kilku dni rzadko rozmawiali. Ksiądz Sandoval nie wybaczył jej, że ich opuściła, ale o tym nie wspominał, gdyż skutkiem było odkrycie lekarstwa. Nie przebaczył także księdzu Jamesowi. Razem z Rigiem rozmawiali o swoich krnąbrnych towarzyszach, o bratanku i żonie Riga. Emocje walczyły w nich z rozsądkiem, a ona chciała im pomóc. – Mogę przynajmniej przekazać wam, co mi powiedziała Lees Bergrem, a raczej co wszystkim mówi.

Ksiądz Sandoval odstawił filiżankę i zakręcił nią na blacie, a następnie ponownie podniósł, pozostawiając mokry okrąg. Dotknął go palcem, rozciągnął i przerwał.

– Może to by coś pomogło – przyznał.

Złożyła dłonie na kolanach, tak jak robiła w dzieciństwie, gdy musiała coś wyrecytować.

– Lees twierdzi, że wszystko, co odkryliśmy we wszechświecie składa się z niemal takich samych lewo- bądź prawoskrętnych cząstek. Nie znamy powodu, dla którego niektóre cząstki są skrócone w jedną, a inne w drugą stronę, ale tak jest, wszędzie, gdzie byliśmy. Niektóre z tych substancji są kluczowe dla różnych form życia, a jedną z nich jest pewna substancja odżywcza, L-alanina. Istnieje ona wszędzie, gdzie się pojawialiśmy. Większość ludzkich komórek nie może bez niej przetrwać. Jednakże tutaj, na Trawie, wyewoluował wirus, który w ramach swojego procesu reprodukcji tworzy pewien enzym, izomerazę, przekształcającą typową L-alaninę w D-alaninę, jej lustrzane odbicie, czyli izomer, który, z tego co wiemy, nie występuje nigdzie indziej we wszechświecie. W tym miejscu cytuję Lees. Powtarzała to sto razy, by mieć pewność, że się nie pomyłę.

Przerwała na chwilę, żeby się napić i popatrzyła na Riga, który nie spuszczał z niej wzroku. Machnął ręką, zachęcając ją, żeby mówiła dalej.

– Po setkach tysięcy lat wirus rozpowszechnił się w komórkach tutejszych roślin. Kiedy rośliny umierały, D-alanina była uwalniana do środowiska. Z czasem na Trawie stała się równie powszechna jak L-alanina. To ważny fakt, Rigo. Na Trawie zarówno D-alanina, jak i L-alanina są wszechobecne. Przyswajamy obie, razem z wirusem, kiedy pijemy tę kawę albo jemy jakikolwiek pokarm wyhodowany na planecie. Gdy tylko wysiedliśmy ze statku, zostaliśmy zarażeni. Wirus jest w powietrzu, kurzu i wodzie. Lees twierdzi, że w ciągu kilku minut zapewne wniknął niemal do każdej komórki naszego ciała. Jednakże wirus nie może sam się rozmnażać, potrzebuje aktywatora. Jest nim D-alanina. Białko wirusa łączy się z nią, a następnie błyskawicznie przemienia formę L w D. Jednakże wirus działa w obie strony. Może także połączyć się z L-alaniną, a wtedy jego białko przekształca formę D w L. Na Trawie łączenie się wirusa z D-alaniną następuje niemal natychmiastowo, ponieważ jest jej bardzo dużo. Z kolei na innych planetach, takich jak Terra, gdzie występuje najwyżej kilka cząstek tej substancji, ten proces może potrwać znacznie dłużej. Właśnie dlatego w innych miejscach zaraza rozwinęła się tak powoli. Z tego samego powodu zaraza nie występuje na Trawie. Kiedy tylko zaczęliśmy oddychać tutejszym powietrzem, dostarczyliśmy naszym

komórkom obu form alaniny. Zatem tutaj, na Trawie, wirus zmienia formę L, której potrzebujemy do przeżycia, w formę D, której nasze ciała nie mogą używać. Ale skoro oba rodzaje alaniny występują w dużej obfitości, wirus przekształca je równocześnie, a każda z naszych komórek znajduje wystarczająco dużo L-alaniny, żeby przetrwać. Na innych planetach było niewiele D-alaniny bądź nie było jej wcale. Kiedy forma L uległa odwróceniu, pozostała tylko forma D, a komórki nie mogły z niej korzystać. Kiedy ludzkie komórki umierały, wirusy uciekały do sąsiednich komórek i proces zakażenia ulegał powtórzeniu. Na ciele pojawiały się rozszerzające się rany. Bandaże, woda do mycia i wszystko inne, co dotykało ciała, stanowiło źródło infekcji, a martwe komórki stawały się aktywatorem dla nowo zarażonych komórek – wyjaśniła Marjorie.

– Ale nie tutaj – odrzekł sztywno Rigo.

– Nie tutaj. Na Trawie zarówno D-alanina, jak i L-alanina występują w dużej ilości, więc nasze komórki mogą przetrwać. Cykl życiowy wirusa zostaje zakłócony, komórki obumierają w sposób naturalny. Ludzie przybywają tutaj, zarażają się i odlatują, niczego nie podejrzewając...

– A zarazę rozprzestrzeniały nietoperze? – spytał ksiądz Sandoval.

– Lees twierdzi, że nietoperze nie wykorzystują alaniny. To tylko jeden z wielu aminokwasów, a nietoperze go nie potrzebują. Jednakże alanina jest obecna we krwi innych zwierząt. Skoro nietoperze jej nie wykorzystują, wirusy i aktywatory znajdują się w pęcherzu z krwią w ich ciałach. Kiedy po śmierci nietoperze wysychają, ich wnętrzności zamieniają się w proszek pełen wirusów i aktywatorów, które są jak zarodniki wewnątrz purchawki. Martwe nietoperze-krwiopijcy tworzą idealnych nosicieli choroby.

– Nie powiedziałaś, co jest lekarstwem – rzekł ksiądz Sandoval, wycytując z oblicza Riga uczucia, które wzmocniły także jego nastrój gniewnej frustracji. Nie mógł się złościć na fakt odkrycia lekarstwa, jednak rozdrażnił go sposób, w jaki dokonano się to odkrycie.

– Lekarstwem? – Podniosła wzrok, zaskoczona. – Ależ oczywiście, proszę księdza. Myślałam, że to jasne. Wystarczy rozpowszechnić olbrzymie ilości D-alaniny. Niewielkie dawki na nic się nie zdadzą. Jeżeli

ktoś otrzyma małą dawkę, D-alanina połączy się z enzymem i człowiek umrze. Ale jeśli dostarczymy potężną dawkę, która nie może się w całości połączyć, wtedy doprowadzimy do równowagi między przemianą formy L w D oraz formy D w L. Na Semlingu odkryto, że otrzymanie D-alaniny jest niezwykle łatwe. Wystarczy otrzymać ją z L-alaniny za pomocą wirusa.

Ksiądz Sandoval pokręcił głową.

– W twoich ustach to się wydaje takie proste. Tymczasem Arbaiowie nie zdołali zwalczyć zarazy, chociaż byli tak mądrzy. – Nie potrafił uwierzyć w ich mądrość, niezależnie od słów księdza Jamesa. Poza tym przeczuwał, że Kościół również w nią nie uwierzy. Wiedział, że w Doktrynie nie ma miejsca na inne Boże dzieci.

– Może umierali szybciej od nas. Mój informator tego nie wie.

– Twój informator? – spytał Rigo nieprzyjemnym tonem. – Jeden z lisów! Konie ci nie wystarczyły, Marjorie?

Ostrzegawczo zmarszczyła czoło, powstrzymując nagły przyływ gniewu.

– Przestań, Rigo. Jeżeli jesteś ambasadorem na Trawie, to jesteś ambasadorem również wobec nich. One nie są zwierzętami.

– Nie ty o tym decydujesz – odparł ksiądz, odpowiadając na jej gniew ponurą furią. – To sprawa Kościoła, Marjorie. Nie twoja. To, że są rozumne, nie musi oznaczać, że nie są zwierzętami. Wasza relacja to poważny błąd. Ostrzegam cię

– Co takiego? – spytała z niedowierzaniem. – Co takiego?

– Ostrzegam cię. Pod groźbą ekskomuniki, Marjorie. Nie trwaj w bezmyślnym uwielbieniu dla tych istot.

Popatrzyła na księdza, nie zdradzając swoich uczuć. Jego twarz poczerwieniała, potem pobladła. Kurczowo zacisnął dłoń spoczywającą na stole. Rigo wyglądał podobnie. Znów o niej rozmawiali. Z pewnością dyskutowali o tym, w jaki sposób mogą ją kontrolować. Jej umysł jak zwykle zaczął szukać ucieczki oraz kompromisu, ale po chwili jakby natrafił na ścianę.

Podjęła zobowiązanie.

Roześmiała się.

– Czy on mówi także w twoim imieniu? – spytała Riga.

Nic nie powiedział. Wyraz jego twarzy stanowił wystarczającą odpowiedź. Rigo również poczerwieniał, gotując się z wściekłości.

Wstała z krzesła i nachyliła się w ich stronę.

– Możecie... – powiedziała spokojnie – ...możecie iść do diabła.

Odwróciła się i odeszła, a oni patrzyli w ślad za nią, aż z ich twarzy wyciekł cały gniew, pozostawiając tylko bladość i zdziwienie.

Patrząc na jej oddalające się plecy, Rigo potrafił się zastanawiać tylko nad tym, o kim Marjorie teraz myśli, skoro Sylvan zginął.

– Proszę księdza?

Podnieśli wzrok i zobaczyli obok siebie księdza Jamesa.

Ksiądz Sandoval obojętnie skinął głową.

– Przyszedłem się pożegnać – rzekł młodszy ksiądz, tylko lekko drżąc.

– Pamięta ksiądz, co mówiłem – rzucił Sandoval przez zaciśnięte zęby.

– Owszem, proszę księdza. Serdecznie żałuję, że nie potrafi ksiądz zrozumieć mojego stanowiska. Mimo wszystko, uważam, że ksiądz się myli, a sumienie nie pozwala mi...

– Posłuszeństwo by księdzu pozwoliło!

Młodzieniec pokręcił głową i mówił dalej.

– Sumienie nie pozwala mi zmienić zdania. Przyszedłem tutaj dzisiaj, żeby dowiedzieć się czegoś o lekarstwie. Brat Mainoa przed śmiercią powiedział, że na pewno je odkryjemy. Twierdził, że lisy nam pomogą. Czy wiedzieliście, że Mainoa miał prawie sto terrańskich lat? A niby skąd mielibyście to wiedzieć? To był cudowny staruszek. Chciałby teraz tutaj być...

– Wraca ksiądz do lasu? Pomimo tego, co powiedziałem?

– Zgadza się. Wierzę, że powinienem tutaj zostać. Zgadzam się z Marjorie, że to może być nasze najważniejsze zadanie.

Nozdrza Riga się rozszerzyły.

– Jakie zadanie? Znów działalność dobroczynna? Pomoc bezdomnym Trawiańczykom? Kolejne wdowy i sieroty?

Ksiądz James pokręcił głową, po czym ją przekrzywił, uważnie przypatrując się Rigowi.

– Nie chodzi o wdowy ani sieroty, wujku Rigo. Nie. Lisy są jedyną rozumną rasą, jaką napotkał człowiek. Już wysłałem zapytanie na Shafne, do Kościoła na Wygnaniu. Mimo stanowiska księdza Sandovala, jestem pewien, że Sekretariat uzna za istotne, żebyśmy nawiązali przyjaźń z lisami. Poszukali pokrewieństwa i wspólnych doświadczeń. Marjorie uważa, że nawet małe istoty mogą zostać przyjaciółmi. – Roześmiał się, wzruszając ramionami. – Ale przecież wiesz...

– Nie wiem – odrzekł ze złością. – Rzadko ze mną rozmawia.

– Cóż – odezwał się młodzieniec z namysłem – to pewnie naturalne. Zawsze niewiele do niej mówiłeś, wujku Rigo. Twierdzi, że cierpiała na chorobę Arbaiów.

– Jaką chorobę Arbaiów?

– Nieuleczalną sumiennosc – odparł, marszcząc czoło. – Skrupulatność, która stwarza warunki, w jakich bieda i choroba stają się nieuniknione, a następnie gratuluje sobie sukcesów w karmieniu ubogich i opiece nad chorymi. To moje słowa, a nie jej, i możliwe, że się mylę...

Pokiwał głową, a następnie odszedł, tak samo jak Marjorie, pozostawiając obu mężczyzn, aby dalej dyskutowali o groźbach i konfrontacjach, wiedząc równie dobrze jak oni, że wszystko, co zaproponują, okaże się bezużyteczne. Ani Marjorie, ani ksiądz James nie zmienią zdania przed odlotem statku na Terrę, chociaż wtedy oboje będą już wiedzieli, że to, co robią, jest znacznie bardziej skomplikowane niż zakładali.

W Nadrzewnym Mieście Arbaiów wiosna ustąpiła miejsca wiecznemu latu, a lato wiecznej jesieni. Powoli nadciągała zima, dni następowały po sobie w atmosferze spokojnego otępienia. Mieszkańcy miasta wiedzieli, że wkrótce będą musieli zejść do zimowych kwater, ale wciąż zwlekali. Dwie osoby – a może więcej – czekały na odpowiednią okazję; inni na nic nie czekali. Słońce wciąż rozświetlało wierzchołki drzew. Wiatr tylko czasami bywał chłodny. Większość dni była wystarczająco ciepła, żeby siedzieć przy otwartym oknie z książką albo listem...

„Kochany Rigo!”, napisała Marjorie.

Ponownie prosisz, abysmy razem z Tonym wrócili na Terrę. Tony musi zdecydować samodzielnie. Ja już kilkakrotnie tłumaczyłam, dlaczego nie mogę wrócić. Czuję się głupio, wciąż powtarzając te same słowa, skoro wcześniej nic one dla Ciebie nie znaczyły. Na Trawie nadeszła jesień. To oznacza, że tam, gdzie jesteś, minęły całe lata. Zastanawiam się, dlaczego nadal Ci na tym zależy.

Wyjrzała przez okno swojego domu i zobaczyła, jak Rillibee Chimes zeskakuje na plac, powracając ze wspinaczki po wierzchołkach drzew. Inni młodzi Zieloni Bracia wciąż byli na górze. Słyszała, jak się nawołują. Ich starsi współbracia, wliczając w to starszego brata Laeroę, znajdowali się

w Kapitularku w głębi lasu. Na Trawie wciąż żyli Zieloni Bracia i tak miało pozostać. Kto tworzyłby trawiaste ogrody, gdyby odeszli?

– Wszystkie liście się zwijają, opadają albo wycofują w głąb gałązek! – zawołał Rillibee. – Wszystkie małe rzeczy, które żyją na górze, schodzą na ziemię. – Przystanął obok Stelli, która czytała na placu. – Żaby i inne stworzenia, wszystkie zakopują się w błocie.

Stella podniosła wzrok znad książki. Miała ufną, dziecięcą twarz, ale nie była dzieckiem. Ponownie była młodą kobietą, chociaż inną niż kiedyś.

– Nawet te futerkowe?

– One też – odrzekł, po czym nachylił się i ją pocałował, a ona odwzajemniła pocałunek.

W oknie po drugiej stronie mostu pojawiły się dwie twarze, dwie pary cmokających ust, które drażniły się z nimi z dzikim zapamiętaniem. Jak młode psy, które rzucają się na coś z zębami.

– Hej, wy tam! – zawołał Rillibee. – Wracajcie do lekcji.

Dwie głowy posłusznie się cofnęły.

– Radzą sobie coraz lepiej – zauważyła Stella. – Janetta potrafi przeczytać dziesięć słów, a Dimity już prawie nigdy się nie rozbiera.

– Twój brat jest dobrym nauczycielem.

– Lisy są dobrymi nauczycielami – odpowiedziała. – Nie zmuszają do nauki czytania ani mówienia po ludzku. Dimity i Janetta znają podstawy ich języka. Żałuję, że sama nie mówię tylko po lisiemu.

– Nie chcesz móc rozmawiać ze swoją matką?

Stella zmarszczyła nos.

Marjorie popatrzyła na prawie pustą kartkę i cicho westchnęła. Nie. Nawet teraz Stella nie miała zbytnej ochoty na rozmowę z matką, chociaż dawała jej to do zrozumienia w znacznie miłszy sposób niż wcześniej. Wkrótce nie będzie miała matki, z którą będzie mogła porozmawiać, więc nie ma sensu się tym zadręczać.

– A ze mną? – spytał Rillibee.

– Tak – radośnie odparła Stella. – Tak, chcę z tobą rozmawiać.

– Co zamierzasz zrobić dzisiaj po południu?

– Odwiedzić brata Mainoa. Wkrótce zostanie sam, więc lepiej zrobmy to teraz.

– To prawda. – Rillibee pokiwał głową i wziął ją za rękę. Powoli ruszyli w stronę mostu, co kilka kroków zatrzymując się, żeby przyjrzeć się jakiemuś stworzeniu, liściowi albo kwiatu.

Marjorie wróciła do swojego listu.

Dziękuję, że informujesz nas na bieżąco, co się dzieje w Świątości. Słyszeliśmy, że Hierarcha został obalony in absentia, a Świątosc najechano i w dużej części zniszczono. Podczas ostatniej wizyty we Wspólnocie Rillibee dowiedział się, że Świątosc jest tylko pustą skorupą, a anioły na wieżach wznoszą trąby ku pustemu niebu. Dowiedział się również, że wszyscy członkowie załogi Israfela umarli na zarazę na jakiejś niezasiedlonej planecie, na którą uciekli. Zapewne przywieźli wirusa z Trawy. Pamiętam młodego Favela Cobhama i go oplakuję. Miał dobre serce.

– Zatrzymaj się – odezwała się Stella.

Marjorie wyjrzała przez okno. Rillibee posłusznie się zatrzymał tuż przed mostem.

– Dlaczego stajemy? – spytał.

– Chcę popatrzeć na arbaiskich kochanków. Właśnie idą mostem.

Dwoje ludzi na moście i kobieta w domu patrzyli, jak nieludscy kochankowie przechylają się nad balustradą, tuląc się do siebie nawzajem.

– Jak się nazywają? – spytała Stella głośnym szeptem.

– Znasz ich imiona tak samo jak ja – odrzekł Rillibee.

– Powiedz mi!

– Chyba-chłopak ma na imię Ssanther. Chyba-dziewczyna to Usswees.

– Arbaiskie imiona.

– Tak. Arbaiskie imiona.

Marjorie bezgłośnie powtórzyła te dobrze znane imiona. Specjaliści z Semlinga i Shafne przylecieli, żeby zarejestrować mowę mieszkańców miasta i powiązać ją z ich pismem. Według nich malutkie projektory ukryte pośród drzew mogą działać przez kolejne stulecie albo dłużej,

wyświetlając wizerunki Arbaiów w mieście, które wybudowali i w którym umarli. Podobne projektory znaleziono w drugim mieście, pogrzebanym za zburzonymi murami, zagubionym pod ziemią. To one wywoływały tajemnicze wizje wypełniające ruiny. Kiedy specjaliści zrozumieli język Arbaiów, ich artefakty przestały być tak zagadkowe. Naukowcom nawet udało się odtworzyć transportery Arbaiów, przynajmniej po tej stronie, ale jeszcze ich nie wypróbowano.

Marjorie wróciła do pisania.

Tutaj, na Trawie, lisy postanowiły przejąć kontrolę nad swoim życiem. Wybudowano kilka nowych wiosek z ogrodzeniami zasilanymi energią słoneczną, żeby nie wpuszczać rzekotek ani Hippae. Rzekotki, które wyklują się z jaj lisów, będą trzymane osobno. Lisy będą zjadały tylko te, które wyklują się z jaj Hippae. Dzięki tym celowym działaniom, z czasem może się uda złagodzić zachowanie Hippae.

Zieloni Bracia założyli ogrody w wioskach. W miejscu, w którym kiedyś kwitły ogrody Opalowego Wzgórza, widziałam kielkującą nową pierwszą powierzchnię, która pewnego dnia może oszołomić wielkiego Snipopeana. Lisy zgadzają się, że takie piękno nie może ulec zatraceniu. Cokolwiek zrobimy, piękno trzeba chronić, w przeciwnym razie zubożymy nasze przeznaczenie. Nawet Klive się odrodzi.

Marjorie odłożyła pióro i rozmasowała zdrętwiałe palce, dalej wyglądając przez okno, wspominając Klive. Wspominając Opalowe Wzgórze. Chlubę pośród traw. Nawet Snipopean nie potrafiłby opowiedzieć o jego chwale, gdyż nie tańczył z lisami...

Gwałtownie się ocknęła. Przez ostatnie kilka godzin tylko wypełniała kolejne kartki, żeby czymś się zająć. Zrobiła już wszystko, co musiała. Obok drzwi leżał jej plecak ze starannie dobraną zawartością. Kto by przypuszczał, że jedna obietnica tak daleko ją doprowadzi.

Na placu Stella pociągnęła za sobą Rillibee'ego.

– Chodź.

Razem ruszyli mostem w stronę wyspy. Na płaskiej zielonej łące, pod wysokim owocowym drzewem, znajdował się grób brata Mainoa, a porastającą go roślinność stale pokrywały owoce, nasiona i kawałki skórek.

Marjorie podniosła się i stanęła przed jednym z naściennych paneli wyrzeźbionych przez Persuna Polluta. Pierwszy, który wykonał lewą ręką, był prymitywny, chociaż pełen surowej witalności. Kolejne rzeźbił z coraz większym wyczuciem i swobodą. Persun był wybitnym artystą. Zbyt wybitnym, żeby pozostać na Trawie. W jakimś innym miejscu mógłby dla siebie sklonować nową prawą dłoń. Wkrótce więzy trzymające go na Trawie zostaną przecięte. Może wtedy odejdzie...

Marjorie zamknęła klapę przenośnego pulpitu, podniosła go za rączkę i poszła za Stellą i Rilibee'em. Wokół niej cienie Arbaiów poruszały się i mówiły. Przetłumaczono ich słowa. Zrozumiano ich motywy. W obliczu zła Arbaiowie postanowili umrzeć. Marjorie opłakiwała ich los, ale ich nie żałowała. Byli zbyt dobrzy, żeby czynić dobro. Ktoś tak kiedyś powiedział. Chyba Rilibee. Rilibee, który kocha Stellę.

Młodzi siedzieli przy grobie Mainoa, gdy Marjorie zeszła ze wzgórza.

– Będzie mu tutaj dokuczała samotność.

– Nie sądzę – odrzekła Marjorie, powoli się obracając, żeby ogarnąć spojrzeniem całą łąkę: poskręcany łuk transportera Arbaiów, który lśnił opalizującym światłem za ochronnym ogrodzeniem; kwitnące trzciny na skraju bagna; zmierzwiłe drzewa wznoszące ku niebu rozpaczliwie złociste gałęzie. Z uśmiechem popatrzyła na Stellę i Rilibee'ego. – Nie bratu Mainoa. On z pewnością będzie się wszystkim interesował, przez całą zimę. Poza tym lisy będą przychodziły, żeby z nim porozmawiać. Zimą wychodzą na powierzchnię.

– Co robisz? – spytał Rilibee, wskazując przenośny pulpit. – Pisziesz książkę?

Ze smutkiem pokręciła głową.

– Rigo poprosił o wyjaśnienia. Ponownie.

– Książ James twierdzi, że on może gromadzić dowody, żeby unieważnić wasze małżeństwo.

Przez chwilę się namyślała, po czym parsknęła śmiechem.

– O tym nie pomyślałam, ale to możliwe! Z pewnością namówił go do tego ksiądz Sandoval. Może zmieniły się prawa na Terrze i pozwolą mu założyć nową rodzinę. Tak czy inaczej, to może być dla mnie ostatnia szansa, żeby opowiedzieć mu o jego poprzedniej rodzinie. – Wzruszyła ramionami, spokojnie wytrzymując spojrzenie Rillibee’ego.

– Nadal jesteś zdeterminowana, żeby...

– To nie determinacja, Rillibee. Złożyłam obietnicę, a zawsze staram się ich dotrzymywać.

– Powiedz tatusiowi, że Rillibee i ja spodziewamy się dziecka – rzekła Stella. – Powiedz mu, że nadamy mu imię Joshua. Albo Miriam.

Dwa magiczne imiona Rillibee’ego. Imiona, które pozostaną dla niego święte, nawet jeśli przeciwstawi mu się całe piekło. Teraz nada jedno z nich swojemu dziecku, posyłając je jak świetlika w mrok. Z czasem pojawią się kolejne, których jasne imiona rozświetlą pustkę, jak płonące imiona gwiazd. Marjorie się uśmiechnęła, wiedząc, że tego Rigowi nie powie. Nic by nie zrozumiał.

Z góry dobiegł szczebiot, a potem mruczenie. Lisy. Marjorie zaszczebiotała w odpowiedzi. Na pobliskiej łące zarżał koń.

– Widziałaś nowego żrebaka? – spytała Stella.

Marjorie pokiwała głową.

– Dzisiaj rano. Matka i dziecko czują się dobrze. Zresztą wszystkie szesnaście koni doskonale się czuje. Lisy znów przemawiają do żrebiąt. Wciąż czuję na sobie ich badawcze spojrzenia! Nowe żrebię Błękitnej Gwiazdy wygląda dokładnie jak Don Kichot. Burmistrz Bee jest ogromnie podniecony!

– To on dostanie żrebaka, prawda? – spytał Rillibee.

– Tak mu obiecałam. Kilka Hippae pojawiło się w zakazanej wiosce niedaleko Klive, więc burmistrz chce poprowadzić wyprawę.

– Zgodnie z planem – rzekł Rillibee.

– Zgodnie z planem – powtórzyła Stella.

Zgodnie z planem, pomyślała Marjorie. Usiadła i położyła sobie pulpit na kolanach, zerkając na niego z rezygnacją. Ksiądz James zapewne miał

rację. Rigo potrzebował pisemnego dowodu jej odejścia i odstępstwa.

– Później do tego wrócimy – obiecał Rillibee. – Teraz pójdę po Tony’ego. Pracuje z Dimity i Janett. One nigdy nie wydobreją, Marjorie. Wszyscy już to wiedzą. Nie mam pojęcia, po co Tony dalej...

– Jest uparty – odparła Marjorie. – Tak jak ja. Czy coś powiedział? – spytała, nieco nerwowo. – O tym, co zrobi...?

Rillibee pokiwał głową, marszcząc czoło.

– Wraca na Terrę. Dokładnie przemyślał propozycję ojca i postanowił wrócić, przynajmniej na jakiś czas. Rigowi nie wolno mieć więcej dzieci, dlatego Tony uznał, że powrót będzie najuczciwszym wyjściem. – Uścisnął jej dłoń, dzieląc z nią rozczarowanie. Potem razem ze Stellą oddalili się w górę zielonego wzgórza.

Marjorie westchnęła. Miała nadzieję, że Tony zostanie. Zimą zamieszkałby we Wspólnocie, dorastając i nawiązując nowe przyjaźnie. Wiosną Amy bon Damfels miała przybyć do Nadrzewnego Miasta razem z Emmy i jej matką. Marjorie wyobrażała sobie Amy i Tony’ego... Ale jeśli chce wrócić... Wciąż jest bardzo młody. Może czuje, że potrzebuje przynajmniej jednego z rodziców.

Otworzyła pulpit i zaczęła nowy akapit. Jeżeli Rigo chce dowodu, że Marjorie jest szalona albo bezbożna, to dlaczego nie miałyby mu go dostarczyć?

Nie musisz się odwoływać do moich religijnych powinności, Rigo, ponieważ wcale o nich nie zapomniałam...

Przylecieliśmy na Trawę razem, z poczucia obowiązku. Na Terrze przywykłam do obowiązków, dbałam o przyzwoitość. Nawet kiedy wiedziałam, że moje wizytacje nie przynoszą wiele dobrego, uparcie je kontynuowałam. Ostatnio uświadomiłam sobie, że nie różnię się aż tak bardzo od bonów. Tak jak ich zniewoliły Hippae, tak mnie zniewoliła tradycja, która kierowała moimi poczynaniami. Byłam dobrym dzieckiem i kobietą. Postępowałam sumiennie. Regularnie się spowiadałam i słuchałam rad swojego spowiednika. Spełniałam dobre uczynki, chociaż czasami czułam się winna, gdyż łamałam ludzkie zasady dyscypliny, żeby wprowadzać to, co

uznawałam za Boże prawa miłosierdzia. Byłam Ci wierna, ponieważ tego ode mnie oczekiwano, a ja zawsze spełniałam te oczekiwania, bojąc się, że w przeciwnym razie obrażę Boga.

Tutaj, na Trawie, czekały na mnie kolejne obowiązki. W końcu już tylko czekałam, kiedy wreszcie umrę i nie będę miała żadnych zobowiązań. Nie miałam jeszcze czterdziestu terrańskich lat, a już chciałam umrzeć, żeby uwolnić się od tego przymusu! Dlatego pewnego dnia wyruszyłam między trawy, igrając ze śmiercią, a jednak wcale jej nie znalazłam, i to tak bardzo mnie przeraziło, że zrozumiałam, co robię.

Obowiązki nie wystarczą. Musi być coś więcej!

Ksiądz James zasugerował, że być może wszyscy jesteśmy wirusami. Teraz wiem, że chciał mnie rozśmieszyć. Uważa, że brak mi poczucia humoru. To prawda. Wszyscy tak twierdzą, nawet Tony. Z tego powodu wzięłam jego słowa poważnie. Później doszłam do wniosku, że być może przypominamy raczej białe krwinki albo neuroprzekaźniki. Wojowników albo posłańców. Takie komórki mają swój cel, a przynajmniej pełnią jakąś funkcję w ciele, które zamieszkują. Właśnie po to wyewoluowały. Niewykluczone, że my, w ciele, które zamieszkujemy, również wyewoluowaliśmy bądź ewoluujemy, by pełnić podobną funkcję, chociaż, jak sądzę, jesteśmy tylko bardzo małymi istotami...

Wysoko pośród liści rozlegał się podniesiony głos księdza Jamesa, który rozprawiał o czymś z lisami. Teraz, gdy został przywódcą oficjalnej misji ustanowionej pośród lisów, często z nimi dyskutował i zawsze podnosił głos, gdy brakowało mu logicznych argumentów. Ostatnio omawiali grzechy ciała, więc musiał często krzyczeć. Lisy nie wierzyły w taką kategorię grzechów i ksiądz czuł się urażony, gdy cytowały fragmenty pisma, które kiedyś im przytaczał.

Po drugiej stronie łąki jedna z czerwono-niebieskich oswojonych papug Rillibee'ego raz za razem powtarzała: „Songbird Chime. Joshua Chime. Miriam Chime. Stella...”.

Marjorie ponownie wróciła do stronic listu.

Kiedy człowiek wierzył, że jest jedyną rozumną istotą, a Ziemia stanowiła jego jedyny dom, być może miał prawo uważać, że każda osoba jest ważna. Nie było nikogo poza nami. Byliśmy jak żaby, które sądzą, że ich kałuża to centrum wszechświata. Wierzyliśmy, że Bóg troszczy się o każdego z nas. Dziwne, że uznawaliśmy pychę za grzech, a jednocześnie padaliśmy ofiarą takiej arogancji.

Wystarczyło dokładnie się rozejrzeć, żeby zrozumieć, jak idiotyczny był to pomysł. Czy któryś rolnik zna imiona wszystkich nasion? Czy któryś pszczelarz nazywa wszystkie swoje owady? Czy któryś pasterz rozróżnia poszczególne źdźbła trawy? W porównaniu z ogromem stworzenia byliśmy tylko małutkimi istotami, tak jak pszczoły, nasiona kukurydzy i źdźbła traw.

A jednak kukurydza staje się chlebem, pszczoły robią miód, z trawy zaś otrzymuje się miąższ albo tworzy z niej ogrody. Bardzo małe istoty są ważne, nie osobno, ale ze względu na to, czym mogą się stać, jaki mają potencjał...

Arbaiowie zawiedli, ponieważ nie wykorzystali swojego potencjału. Ludzkość prawie zawiodła. Siedzieliśmy na Terrze niemal zbyt długo. Odlecieliśmy tylko dlatego, że doprowadziliśmy swoją planetę do ruiny i czekała nas tam śmierć. A kiedy dotarliśmy wystarczająco daleko, by znaleźć nowe domy, dopuściliśmy, żeby Świętość nas powstrzymała. „Wypełnijcie te światy”, nakazywała. „Nie wędrujcie dalej. Nie ryzykujcie”. Zatem przerwaliśmy wędrówkę. Nie ryzykowaliśmy. Rośliśmy. Mnożyliśmy się. Nie wykorzystywaliśmy swojego potencjału...

Za jej plecami rozległ się świergot. Nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, kto się tam pojawił. Dotknął jej szyi ledwie wysuniętym pazurem, delikatnie jak opadający liść, tak że poczuła tylko drobne ukłucie.

– Teraz? – westchnęła.

Położył jej plecak na ziemi.

Zawahała się.

– Nie pożegnałam się z Tonym ani Stellą!

Cisza.

Oczywiście, że się pożegnała. Każda godzina tego roku była pożegnaniem. Ksiądz James jeszcze tego ranka udzielił jej

błogosławieństwa. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Ponownie jej dotknął.

– Muszę to dokończyć – odrzekła, pochylając się nad listem.

...Nie wykorzystaliśmy potencjału. Nie zmieniliśmy się.

Ale zmiana musi nadejść. Musimy zaryzykować. Jest nas tak dużo, że możemy sobie pozwolić na straty! Niby po co jesteśmy tak liczni? A chociaż ździebeł trawy jest tyle, ile gwiazd na niebie, trzeba wyhodować pierwszy pęd, żeby stworzyć ogród...

Nie pożegnała się z Persunem. Może to lepiej. Biorąc pod uwagę wszystko...

Wyruszam w podróż z jednym z lisów. Nikt nie wie, czy dokądś dotrzemy ani czy wrócimy. Jeżeli nie, w końcu uda się komuś innemu. Jest nas tak dużo, że możemy próbować aż do skutku.

Ponownie dotknął jej pazurem. Droczył się z nią.

Przejrzała kartki i ułożyła je we właściwej kolejności, wiedząc, że nie ma na nich tego, co chciał przeczytać Rigo, ani nawet tego, co ona chciała przekazać. Nie miała czasu, żeby napisać kolejny list, a zresztą, co mogła zmienić? Być może, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Rigo byłby dzisiaj przy niej. Ale postanowił wrócić, a ona postanowiła iść dalej. Żadnego z nich nie można było winić za podjętą decyzję.

Podniosła wzrok na miasto, patrząc, jak miotane wiatrem cienie poruszają się pośród drzew upstrzonych cętkami słonecznego blasku. Może zostawić list w pulpicie. Tony albo Rillibee go znajdą i dopilnują, żeby został wysłany. Nigdy nie zależało jej na tym, żeby odejść z wielką pompą.

„Teraz” – odezwał się jak dźwięk trąby. – „Teraz”. Byli z Nim inni, bardzo wielu. Chociaż Marjorie nie chciała wielkiej ceremonii, lisy przybyły, żeby się z nią pożegnać.

Napisała ostatnie kilka słów i podpisała list swoim imieniem, zastanawiając się, czy Rigo poczuje ulgę, że odeszła, czy raczej będzie rozdrażniony, że nie może jej ścigać. Do czego wykorzysta ten list? Położyła pulpit na grobie brata Mainoa. Obowiązek wykonany, ale pozostały obietnice, które należy spełnić.

Otaczały ją ze wszystkich stron. Dosiadła znajomego mirażu i poprawiła się na Jego grzbiecie. W odległości stu jardów wewnątrz okrągłego transportera Arbaiów lśniło bąbelkami światła i migotało opalizująco, jakby okryte tajemniczym całunem. Istniał tylko jeden sposób, żeby go wypróbować: przejść na drugą stronę. Godność, powiedziała sobie, kiedy zbliżali się do maszyny. Przeznaczeniu należy stawiać czoło z godnością.

– Marjorie – powiedziała na głos, wypowiadając ostatnie słowa, które zapisała, żeby usłyszeć, jak brzmią. On nie znał jej jako Marjorie. Być może po raz ostatni usłyszała swoje imię.

*Marjorie,
z Bożej łaski, trawa.
Amen.*

KONIEC

O autorce

Sheri Steward Tepper urodziła się w Kolorado w 1929 roku. Przez wiele lat pracowała w różnych organizacjach non profit i pisała opowieści dla dzieci, dopóki w 1982 roku nie sprzedała swojej pierwszej powieści dla dorosłych. Sheri jest niezwykle płodną amerykańską pisarką, autorką powieści science fiction, fantasy, horrorów, kryminałów oraz poezji, które wydawała pod swoim nazwiskiem, jak również pod licznymi pseudonimami. Jej pierwsza powieść SF „The Awakeners” pierwotnie została wydana w dwóch tomach w 1987 roku. Powieść „Beauty” z 1991 została uhonorowana Locus Award za najlepszą powieść fantasy. Mieszka w Santa Fe w Nowym Meksyku.